



janelle
brown

NIE MAM NASTROJU
NA MIŁOŚĆ

Brown Janelle

Nie mam nastroju na miłość

Trzy kobiety z rodziny Millerów, trzy różne historie. Matka i jej dwie córki odnajdują się w środku upalnego lata, gdy każda z nich przeżywa osobistą klęskę. Dobiegająca pięćdziesiątki Janice zostaje brutalnie porzucona przez męża i odcięta od milionów dolarów, które nieoczekiwanie stały się jego udziałem. Jej córka Margaret tonie w długach, na dodatek zostawia ją chłopak. Nastoletnia Lizzie jest upokarzana przez chłopców ze szkoły, nie bez powodu uważających ją za puszczalską. Kiedy ich problemy wychodzą na światło dzienne, kobiety nie mają innego wyjścia, jak otworzyć się na siebie i wspólnie stawić im czoła.



Czerwiec w Santa Rita jest idealny, wprost idealny. Słońce świeci wysoko na niebie, które ma czysty odcień jasnego błękitu, a średnia temperatura wynosi dwadzieścia osiem stopni. Nie jest za gorąco, żeby grać w tenisa. Jedwab nie przykleja się do skóry. Basen w klubie jest chłodny, więc pływanie przyjemnie odświeża, a szare macki letniej mgły, która zwykle latem zakrada się znad oceanu, na razie falują przy brzegu.

Janice Miller budzi się w ostatni poniedziałek miesiąca przy dźwiękach piosenki z czasów swojej młodości płynącej cicho z radiobudzika. Leży w wielkim łóżu, gdzie pościel po stronie męża już zdążyła wystygnać. Melodia omywa ją, gdy dryfuje ku świadomości: *Wyobrażam sobie siebie i mnie, myślę o tobie dzień i noc. Dobrze jest myśleć o dziewczynie, którą się kocha, i trzymać ją mocno. Razem szczęśliwi!*. Od lat nie słyszała tej błahej melodyjki, a jednak nagle przypomina sobie słowa, nawet okładkę albumu. Była to łapówka od jednego z przelotnych facetów, których matka miała po rozwodzie, i dziesięcioletnia Janice odtwarzała utwór do znudzenia, dopóki płyta nie zaginęła w czasie kolejnej przeprowadzki. Trzydzieści dziewięć lat później znów ma bzika na punkcie tego podnoszącego na duchu refrenu w dziwnej tonacji molowej: *Razem szczęśliwi!*.

Ziewa szeroko: nie spała dobrze. Art wysmyknął się z łóżka o czwartej nad ranem, żeby zdążyć na giełdę przed uderzeniem w dzwon. Chodził na paluszkach po ciemku — starał się jej nie zbudzić, choć naprawdę nie miałyby nic przeciwko, gdyby pocałował ją na do widzenia, zwłaszcza dzisiaj — ale nie mogła już zasnąć, rzucała się i wierciła przez resztę nocy. Z drugiej strony była zbyt podekscytowana, żeby spać. Ta piosenka, wyciągnięta z zakurzonych archiwów podświadomości, wydaje się odpowiednim lejtmotywem tego dnia. *Nie będą kochać nikogo prócz ciebie — do końca życia!* W refrenie pobrzmiwa radosna polifonia lat sześćdziesiątych pasująca do jej optymistycznego nastroju.

Spoglądając na zegar, Janice wyrywa się z zadumy. Jest za kwadrans ósma, prawie dwie godziny minęły od otwarcia giełdy. Przełącza radio na nową stację, ucinając ostatni refren piosenki *Razem szczę...*, i wstaje z łóżka. Bierze prysznic, nasłuchując jednym uchem, ociągając się pod regulowanym sitkiem, ale nie słyszy ani słowa o Applied Pharmaceuticals. Płyną poranne wiadomości — fala upałów na Południu, pięćdziesiąt cztery ofiary wybuchu samochodu-pułapki w Izraelu, kongresman przyłapany na braniu łapówek od lobbystów — gdy starannie, po wojskowemu ściele łóżko, rzuca na nie kilkanaście poduszek, odkłada na miejsce podglówki i ozdobne narzuty. Wciąż nic, gdy ubiera się w biały strój tenisowy i drżąc z niecierpliwości, wreszcie idzie na dół, żeby włączyć ekspres do kawy. Po drodze włącza telewizor w pokoju, żeby oglądać CNBC z kuchni w trakcie przyrządzania frittaty z fetą i smażoną cukinią dla córki Lizzie.

Frittata skwierczy na patelni, orzechowy aromat brązowiejącego masła rozgrzewa kuchnię, podczas gdy Janice jednym okiem zerka na ekran i czeka (niemal wyskakując ze skóry, ledwo może ustać w miejscu), żeby spiker wymienił nazwę Applied Pharmaceuticals. Wreszcie o ósmej trzydzieści arogancki rudzielec za studyjnym biurkiem chrząka i mówi do kamery:

„A teraz giełdowa historia poranka, błyskawiczna zwyżka pierwszej oferty publicznej firmy Applied Pharmaceuticals. Cena akcji wynosi sto trzynaście dolarów i dwadzieścia pięć centów zaledwie dwie godziny po otwarciu giełdy”.

— Uff. — Janice nie może się powstrzymać od radosnego westchnienia. Na dole ekranu pełźnie pasek z notowaniami giełdowymi —jest, APPI. Serce znów zaczyna jej kołatać, gdy widzi, że to prawda. Sto trzynaście dolarów! A skoro Art... skoro oni mają trzy miliony osiemset tysięcy akcji, to znaczy... Szum krwi w uszach sprawia, że ledwo słyszy ciąg dalszy doniesienia: „Eksperci chwają strategiczne wyczucie czasu dyrektora naczelnego Arta Millera, unoszącego się na fali bumu w przemyśle biofarmaceutycznym, za ten imponujący debiut na rynku NASDAQ, choć od dawna oczekiwany nowy lek firmy, coifex, jeszcze się nie pojawił w aptekach...”.

Janice ma ochotę wrzeszczeć i podskakiwać, biegać dokoła domu albo zrobić cokolwiek innego, ale boi się, że zbudzi Lizzie i zaalarmuje sąsiadów. Uśmiecha się tylko i wraca do kuchenki, żeby włożyć frittate do piekarnika. Ale wewnątrz czuje, jakby eksplodowała, i żałuje, że nie ma z kim podzielić się wiadomościami, żeby stały się bardziej realne. Ich starsza córka, Margaret, mieszka w Los Angeles. Zawsze wydaje się niezwykle zajęta tym swoim denerwującym czasopismem, a biorąc pod uwagę napięty charakter ich obecnych relacji, przeszkadzanie jej w czasie pracy z pewnością nie byłoby dobrym pomysłem. Poza tym Margaret prawdopodobnie obruszyłaby się na wieść o takiej sumie i rzuciła komentarz na temat głodujących dzieci w Afryce, wskutek czego Janice poczułaby się jak egoistyczna materialistka. Lizzie też nie wchodzi w rachubę. Nie wytłumaczyli jej znaczenia debiutu dla budżetu rodziny Millerów, ponieważ mając czternaście lat, jest za młoda, żeby przejmować się tego rodzaju sprawami finansowymi. Poza tym nie chcą, żeby przewróciło jej się w głowie.

Janice podchodzi do telefonu i wybiera numer komórki Arta. Łączy się z pocztą głosową, co nie jest niespodzianką — uprzedzał, że ten dzień będzie szalony — i zostawia wiadomość.

— Art, widziałam w telewizji — mówi, starając się panować nad głosem, który mimo to trochę popiskuje. — To ekscytujące. Nie jedź przed powrotem do domu, uczcimy sukces wieczorem, zgoda? Zdażysz przed ósmą z San Francisco? Jestem z ciebie taka dumna... — Trzyma telefon przez minutę, mając ochotę paplać dalej, ale bierze się w cugle i przerywa połączenie.

I choć znów jest odrobinę sfrustrowana, bo nie może skontaktować się z Artem, pociesza ją myśl, że to wreszcie koniec. Czekala na ten dzień prawie od roku. W tym okresie dogłębnie zaznajomiła się z mechanizmami giełdy, kaprysmi przemysłu farmaceutycznego i wewnętrznym funkcjonowaniem Federalnego Urzędu Żywności i Leków, a jednocześnie coraz mniej znała własnego męża. Co parę dni latał odrzutowcem do Rejkiawiku, Brunei albo Kobe, prowadząc objazdową akcję reklamową Applied Pharmaceuticals, żeby przekonywać inwestorów do rozstania się z absurdalnie dużymi sumami pieniędzy. Resztę czasu spędzał w rozległym parku przemysłowym w Millbrae, w biurze z widokiem na mulistą szarą zatokę San Francisco, pracując do późna i śpiąc na skórzanej kanapie.

W czasie długich tygodni nieobecności Arta Janice czasami stawała przed jego apteczką w łazience, patrzyła na rząd plastikowych buteleczek z zielonymi pigułkami coifex i myślała o nim. Kiedyś zażyła coifex, raz, żeby się przekonać, co czuje Art, ciekawa reakcji — co nie znaczy, że łysiała, ale miała cichą nadzieję, że może włosy odzyskają odrobinę naturalnego koloru blond albo staną się bardziej miękkie — lecz tylko ją wzduło. Pigułka była wielka jak jej kciuk, niemal za duża do przełknięcia: kolejna innowacja Arta, który dowodził, że duże pigułki przemawiają do mężczyzn ze słabnącą potencją. Janice uznała, że to głupie, ale z drugiej strony co wiedziała o marketingu?

Nosiła jedną pigułkę w kieszeni i czasami obracała ją w palcach, gładząc ziarnistą powierzchnię jak króliczą łapkę lub inny amulet szczęścia. To nie było głupie, prawda? Przecież amulet zadziałał, już po debiucie i wygląda na to, że te zielone pigułki przez długi, długi czas będą opłacać ich rachunki. Art więcej czasu będzie spędzał w domu, dając im szansę na przywrócenie małżeństwa do stanu, w jakim było przed rozpoczęciem tego obłędu z Applied Pharmaceuticals. Janice wyobraża sobie ich małżeństwo w postaci wahadła: szorują o dno i unoszą się w górę.

Stary szafkowy zegar w salonie wydzwania pół godziny, co znaczy, że pora jechać do country clubu na tenisa z najlepszą przyjaciółką Beverly. Janice dopija kawę, odstawia kubek do zmywarki, zabiera kluczyki, listę spraw do załatwienia i rakietę tenisową. Ma dziś tyle do zrobienia, na wieczór zaplanowała wspaniałą, romantyczną fetę, coś równie niezapomnianego jak cały ten dzień. Już widzi wieczór, wyraźnie jak na stronie czasopisma: ona elegancko ubrana w nową twarzową suknię, rodzina zebrana przy wykwintnie zastawionym stole, wszyscy lekko wstawieni szampanem, wszyscy tak pełni miłości i jedzenia, że omal nie pękają. Szkoda tylko, że Margaret nie będzie świętować wraz nimi. Córka zignorowała jej aluzje, że się spóźnia z odwiedzinami w domu.

Lizzie jeszcze nie wstała, więc Janice, gotowa do wyjazdu, zostawia frittate na ladzie, przykrytą ręcznikiem, i pisze liścik (Na kortach. Zjedz mnie — miłego dnia. Kocham Cię. Mama), po czym wymyka się za drzwi, zapuszcza silnik porsche cayenne i jedzie obsadzonymi dębami ulicami w kierunku miasta.

Niskie poranne słońce mruga do niej przez baldachim liści, gdy przejeżdża przez swoje osiedle. Ulice wciąż są ciche — nowe lokalne rozporządzenie, przegłosowane przez obywateli zmęczonych porannym warkotem buldożerów, zakazuje wszelkich prac budowlanych przed dziewiątą. Okna na wpół ukończonych ogromnych willi, które Janice mija co jakiś czas, gapią

się obojętnie, fasady są jeszcze szare, z surowego betonu. Czasami już nie pamięta, jak Santa Rita wyglądała dwadzieścia lat temu, gdy wprowadziła się z Artem i Margaret do ich pierwszego, mniej okazałego domu w stylu wiejskim, zanim eksplozja przemysłu technologicznego przeobraziła senne osiedla Doliny Krzemowej w szybko rosnące miasta; zanim buldożery zaczęły burzyć skromne powojenne siedziby i zastępować je wartymi wiele milionów dolarów rezydencjami w stylu toskańskim, tradycyjnym amerykańskim i hiszpańskich misji, wyposażonymi w sale kinowe, piwnice na wino o stałej temperaturze i garaże na pięć samochodów; zanim ona, Art i ich przyjaciele zrozumieli, ile pieniędzy mają w zasięgu ręki, jeśli tylko zdołają przebić sobie do nich drogę.

W ciągu lat Santa Rita stała się enklawą superbogaczy Doliny Krzemowej. Janice patrzyła, jak jej przyjaciele i sąsiedzi dorabiają się fortun, rozkwitając dzięki epoce informacji, opcjom na akcje i siedmiocyfrowym pensjom. Społeczność obfituje w akronimy — CEO, VC, IPO, MBA*; społeczność, w której najniższy wspólny mianownik jest astronomicznie wysoki. Janice uświadamia sobie, że po latach pływania w kil-waterze spektakularnych sukcesów — po latach życia na niezłym, ale z pewnością nie na wysokim poziomie — oboje z Artem wreszcie dołączyli do grona elity. W czasie jazdy patrzy na wyjątkowo okazałą willę z oddzielnym domem dla gości stojącą na działce o powierzchni co najmniej ośmiu tysięcy metrów. W zasadzie nie ma zastrzeżeń do domu w stylu kolonialnym o powierzchni pięciuset pięćdziesięciu metrów, do którego wprowadzili się siedem lat temu, ale czy nie jest przyjemna świadomość, że teraz stać ich na jeszcze lepszy?

* CEO — Chief Executive Officer — dyrektor generalny; VC — vice-chairman — wiceprezes, wiceprzewodniczący; IPO — Initial Public Offering — pierwsza oferta publiczna; MBA — Master of Business Administration — magister szkoły biznesu.

Gdy wjeżdża do centrum, główna ulica Santa Rita budzi się do życia. Z francuskiej restauracji wycieka nieprzerwany strumień mężczyzn, którzy zmierzają do pracy z parującymi kubkami w dłoniach, a przez okno siłowni widać ćwiczące na stepperach młode kobiety w skąpych strojach (beztrosko wystawiają na widok publiczny nagie ciała, wciąż dość jędrne, więc nie muszą się kępować). Sklepy specjalistyczne, butiki z firmową odzieżą i luksusowe restauracje są jeszcze zamknięte. Rosnące przed nimi ozdobne magnolie zrzucają delikatne białe płatki, każdy wielkości dziecięcej dłoni, na miejsca do parkowania.

Janice układa generalny plan dnia. Po tenisie z Beverly pojedzie do fryzjerki, żeby uczesać się na wieczór. Potem zakupy. Na kolację przygotowuje kurczę pieczone w sosie miodowo-pieprzowym, gnocchi z dyni pizmowej, krem czekoladowo-lawendowy, a na przystawkę ptysie z melonem i może te crostini z tuńczykiem ahi i cytryną, które oszczędzała na koktajl party w przyszłym miesiącu. Będzie musiała kupić kwiaty, parę świec, butelkę szampana. Potem nowa suknia, czekanie na poprawki. Janice z satysfakcją rozmyśla o planie, każde zadanie jest kamieniem na ścieżce, która pod koniec dnia doprowadzi ją do domu.

W czasie jazdy w jej głowie rozbrzmiewa piosenka: *Jeśli do ciebie zadzwonię, inwestując dziesiątkę, a ty powiesz, że jesteś moja, kamień spadnie mi z serca, wyobraź sobie, jaki świat może być piękny. Razem szczęśliwi!!!*. W zaciśniętym wnętrzu samochodu Janice próbuje śpiewać głośno, myśląc, że może w ten sposób uwolni się od melodii, ale jej głos brzmi po prostu śmiesznie (nigdy nie umiała śpiewać).

Randy — tak miał na imię facet matki, ten, który dał jej album, teraz sobie przypomina. Mieszkali... gdzie, w Indianie? W Michigan? Czasami dzieciństwo wydaje się takie zamazane. Miała siedem lat, gdy rodzice się rozwiedli i ojciec wyjechał do Ohio, gdzie parę lat później zginął w wypadku samochodowym.

Lata szkolne spędziła na tułaczce po Środkowym Zachodzie, gdy matka dostawała i traciła pracę, przeprowadzając się z nędznego mieszkania do gościnnej sypialni u krewnych i z powrotem. Pracowała głównie jako gospodyni w ogromnych domach nad Wielkimi Jeziorami, odkurzając porcelanowe bibeloty i polerując mahonie. Z tych lat Janice wyniosła upodobanie do delikatesów — sardynek z puszki i kawioru, sucharków z mąki i wody, ręcznie ciętych włoskich makaronów i oliwek kalamata w zalewie — podkradanych przez matkę ze spiżarni pracodawców, gdy kończyły się pieniądze. Dostawała również, bardziej legalnie, używane ubrania pochodzące z tego samego źródła, porozciągane sukienki, których nie mogła nosić bez strachu, że zobaczy je pierwsza właścicielka, często starsza

o parę lat szkolna koleżanka.

Po szkole Janice siadywała przy kuchennych stołach w tych wspaniałych domach, patrząc, jak matka zmywa podłogi obcych ludzi, i przepelniało ją uczucie opiekuńczości (jej matka czyści ich toalety!), ale również wstydu (jej matka czyści ich toalety!). Dla rozrywki przeglądała wyrzucone czasopisma, które matka wyciągała dla niej z koszy na makulaturę — „Architectural Digest”, „House Beautiful”, „Town & Country”, „Vogue” —

i wycinała kartki, które, jak myślała, pewnego dnia mogą się przydać. Przepisy, zastawy stołowe, wystrój wnętrz, wyposażenie: przechowywała wycinki w tekturowych pudełkach, które wędrowały z nimi z domu do domu, wraz z oddzielnym indeksem pomagającym odszukać poszczególne artykuły.

Janice znalazła te kartony siedem lat temu, gdy przeprowadzili się do tego domu, i spędziła popołudnie na przeglądaniu zawartości. Nagle zatęskniła za tamtą szesnastoletnią Janice — Janice, która myślała, że pewnego dnia będzie potrzebować przewodnika po sklepach, żeby kupić bryczesy, i przepisu na pomidory smażone w lawendzie. W lawendzie! Znalazła całe pudełko opisane „Święta” (miała trzydzieści zdjęć samych ozdobnych wieńców) i indeks wystroju wnętrz według stylów:

angielski wiejski, shaker, kolonialny, Arts & Crafts. W młodości uczyła się życia w dostatku i elegancji jak szkolnych przedmiotów, matematyki czy francuskiego. Ale z perspektywy czasu widzi, że całe te studia nie były konieczne; myśli o zwrocie „szlachetnie urodzeni” i wyczuwa w nim prawdę. Pieniądze nie mają nic do rzeczy, wycucie stylu i smaku jest czymś wrodzonym, wewnętrznym rozumieniem klasy w różnych znaczeniach tego słowa. Przecież matka przebywała w tym samym świecie co ona, a jednak z uporem okrywała swoją porządną kanapę plastikową płachtą. Pieniądze zapewniają— a dokładnie, miały zapewnić jej, Janice — okazję do realizacji tego smaku, niemal jakby to był talent, który trzeba ćwiczyć, żeby osiągnąć pełnię możliwości.

Gdy Janice wyjeżdża z miasta, po lewej stronie wśród wzgórz porośniętych sosnowymi lasami i łąkami pełnymi polnych kwiatów ukazuje się monumentalna żelazna brama ekskluzywnego ośrodka rekreacyjnego. Leżący na północ od miasta Forest Heights Country Club o powierzchni osiemdziesięciu hektarów niegdyś był posiadłością pewnego potentata, który zbił fortunę na sprzedaży łopat w czasie kalifornijskiej gorączki złota. Pole golfowe zajęło miejsce rozległych ogrodów, stajnia może pomieścić dwadzieścia osiem wierzchowców, na tyłach jest padok, a wokół dwóch basenów o olimpijskich wymiarach rozciągają się liczne korty tenisowe. Wielki kamienny dwór jest obecnie głównym budynkiem klubu, a z ogromnej sali balowej — zachowanej w oryginalnej wspaniałości, wyłożonej parkietem, zwykle służącej za restaurację — roztacza się widok na tereny porośnięte wypielegnowaną trawą, wznoszące się na spotkanie z niebem.

Janice parkuje SUV-a na bocznym parkingu, już pełnym samochodów porannych graczy w golfa, i idzie w stronę kortów, skąd płyną echa stukotu piłek tenisowych. Beverly jeszcze się nie zjawiała. Czekać na nią, staje przy korcie i obserwuje pojedynek Lindy Franks z Marthą Grouper. Piłka żegluj w tę

i z powrotem. Janice odwraca oczy od szaleńczych susów kobiet, zastanawiając się, czy ona też wygląda równie sztywno, gdy rzuca się za piłką. Odkąd nadwreżyła więzadło w czasie wiosennego turnieju, stała się bardziej świadoma wieku, lekkiego poskrzypywania w stawach i powolnego rozgrzewania się mięśni.

Wreszcie Martha posyła Lindę w pościg za idealnie ściętym bekhendem, a potem podchodzi do niskiego ogrodzenia i pochyla się w stronę Janice, przywołując ją ruchem ręki. Poziome linie potu odznaczają się na jej żółtej koszulce, dokładnie wskazując, gdzie biegną fałdy ciała. Janice mimo woli dotyka własnego brzucha, który zdecydowanie napiera na pasek, ale w przeciwieństwie do pupy i skóry na biodrach jeszcze nie poddaje się sile grawitacji. Pięćdziesiątka coraz bliżej, już tylko rok, i czasami myśli, że widzi, jak rozsypuje się dzień po dniu. Mężczyźni już nie gwizdzą na ulicy na jej widok jak kiedyś. Co gorsza, nie kochała się z Artem od sześciu miesięcy. Był zapracowany w związku z wejściem firmy na giełdę, a ona też nie odczuwała zbyt dużego popędu seksualnego, ale mimo wszystko się martwi, że zupełnie przestał jej pragnąć. Dzisiaj, myśli, dzisiaj zainicjujemy życie seksualne.

— Założę się, że jesteś dziś w dobrym nastroju — zagaduje Martha, podnosząc daszek i opuszczając okulary słoneczne, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. — Mówią o tym we wszystkich wiadomościach... Mówią, że traficie na listę czterystu najbogatszych magazynu „Forbes”. Co, miliarderzy?

Janice już obliczyła w pamięci, że liczba w rzeczywistości wynosi około czterystu milionów — samo nazywanie jej po imieniu wydaje się surrealistyczne, ale tego Marcie nie powie. Nie potrafi jednak powstrzymać zakłopotanego uśmiechu zadowolenia.

— Och, daj spokój. Obie wiemy, że to tylko cyfry na papierze.

— Do licha, co można zrobić z takimi pieniędzmi? — zastanawia się Martha, jakby było to dla niej niezgłębioną tajemnicą, choć Janice wie, że jej mąż, Steven, który zainwestował w technologie komputerowe, już zbił fortunę (ich wakacyjny dom w Aspen ma osiem — osiem! — sypialni). A jednak pytanie Marthy ostatnio wiele razy przychodziło jej do głowy. Nie znaczy to, że Millerowie mają duże potrzeby, ale nagle zostali katapultowani do górnej warstwy społecznej Santa Rita, do grona ludzi, którzy mogą mieć wszystko, co chcą. Janice nie powiedziała nikomu — ani Artowi, ani nawet Margaret, którą uważa za jedyną osobę mogącą to docenić — że gdy myśli, na co teraz mogłaby sobie pozwolić, jedyną rzeczą, o jakiej naprawdę marzy, jest sztuka. Malarstwo. Szczególnie (tak, to głupie, ale...) chciałyby mieć coś van Gogha, na przykład jeden z tych obrazów, które kilka lat temu widziała we Francji. Spędziła deszczowy dzień w Luwrze, a Art został w hotelu, żeby przeprowadzić jakieś rozmowy w interesach. Kiedy chodziła po wielkich salach, towarzyszyło jej poczucie wolności. Starożytny Egipt, rzeźba grecka, renesans włoski, impresjonizm — zwiedzała je po kolei, spędzając w każdej nie więcej niż dziesięć minut, pilnując, żeby nie pominąć mniejszych galerii, zwracając uwagę na każdy ważny eksponat. Chciała wchłonąć wszystko, metodycznie, po kolei. Ale gdy doszła do ekspozycji dzieł van Gogha, stanęła jak wryta. Wcześniej widziała reprodukcje jego prac i uznała, że są ładne, ale oglądanie prawdziwych obrazów było czymś zupełnie innym. Dramatyzm farby nakładanej wściekłymi warstwami tak grubymi, że mogła zobaczyć odciski drapiących płótno palców artysty — poczuła się jakby ją spoliczkowano. Kolory! Żywe niczym halucynacje. W tej galerii było coś dzikiego i zatraconego, i pamięta, jak tam stała, roztrzęsiona, niezdolna wyjść przez ponad godzinę. Nie obejrzała mistrzów holenderskich.

Wyobraża sobie któryś z tych obrazów — słoneczniki albo

nocne niebo — nad kominkiem w salonie i drży na myśl, co wraz z nim znalazłoby się w jej domu. Potem przychodzi chwila opamiętania: oczywiście niełatwo kupić prawdziwego van Gogha, a poza tym naprawdę nie są aż tacy bogaci (jeszcze nie?). Ale może mogłaby kupować dzieła innych malarzy, obiecujących młodych artystów. Nie znaczy to, że zna się na sztuce, ale kolekcjonowanie pięknych dzieł zawsze uważała za świadectwo prawdziwego sukcesu i dobrego smaku: rozrywka światłej elity od czasów Medyceuszy. Nigdy nie dążyła do zrobienia kariery w dziedzinie sztuki, ale lubi myśleć, że umiejętność rozpoznawania talentu innych jest oznaką kreatywności. Na przykład talentu Margaret do pracy naukowej czy Lizzie do pływania.

Prawda jest taka, że to, co będzie mogła kupić za wszystkie te pieniądze, wydaje się bez znaczenia. Uważa pieniądze przede wszystkim za siatkę asekuracyjną, wielką i drobno utkaną, za gwarancję, że od tego momentu wszystko będzie dobrze. Jej dzieci nigdy nie będą musiały martwić się o pieniądze, nigdy nie wpadną w panikę na myśl, skąd wziąć na czynsz, jak ona kiedyś.

Wszyscy zawsze mówią, że lata niedostatku są najszcześniejsze, ona jednak wie swoje. Pierwsze lata małżeństwa, kiedy mieszkali z Artem w San Francisco w okropnym wynajętym mieszkaniu nad pralnią chemiczną, były koszmarne. Margaret była marudnym dzieckiem, Art pracował wieczorami i w weekendy na niskim stanowisku w bankowości inwestycyjnej, a ją przytłaczało macierzyństwo i samotność. Poronienia następowały jedno po drugim, jak kara za jakiś niewysłowiony grzech. Dopiero później, gdy kupili pierwszy dom, gdy mieli trochę pieniędzy do wydania i więcej przestrzeni, gdy zrezygnowali ze starań o drugie dziecko, odkryli poczucie spokoju. Janice wspomina poranek w dziewiątą rocznicę ślubu, kiedy lecieli balonem nad doliną Napa, pozwolili sobie na nieprzyzwoicie drogi kaprys. Popatrzyła na męża i zrozumiała, że jego oczy

rozjaśnia podniecenie i świadomość, iż są wolni od zmartwień. On spojrział na nią i roześmiał się, a wówczas odniosła wrażenie, że zobaczyli się po raz pierwszy od lat. Dolina Napa przesuwawała się pod nimi, kobierzec zielonej winorośli w krzepiących geometrycznych rzędach, a dalej ocean, nad którym kłębiły się chmury, lecz tutaj, gdzie płynęli, słońce było gorące i niebo czyste. Janice pamięta, że pomyślała wtedy, iż najgorsze lata już mają za sobą i teraz pną się w górę, unoszą jak balon, i ogarnęła ją czysta radość. Kiedy to uczucie osłabło? Jakiś czas później urodziła się Lizzie, gdy Arta porwał boom technologiczny, gdy Margaret rozpoczęła samodzielne życie. Może pora zaplanować kolejną podróż do Napa, następny lot balonem.

Janice sprawdza godzinę. Dziewiąta trzydzieści, Beverly jest pół godziny spóźniona, to do niej niepodobne — Beverly, jak ona, pochodzi ze szkoły, która uważa punktualność za oznakę szacunku. W końcu dzwoni do niej do domu, żeby zapytać, czy nie zapomniała o spotkaniu, ale nikt nie odbiera. Może coś się stało jej synowi, Markowi? Janice jest lekko zaniepokojona, starannie zaplanowane przedpołudnie zaczyna się sypać. Czeka jeszcze piętnaście minut, bezskutecznie dzwoniąc na komórkę Beverly, a potem rezygnuje. W drodze do samochodu próbuje sobie przypomnieć, kiedy przyjaciółka nie zjawiała się na umówione spotkanie, i nie pamięta ani jednego takiego zdarzenia.

Strata porannej gry zakłóca jej plany. Janice wraca do centrum Santa Rita pół godziny przed umówioną wizytą u fryzjerki, /irytowana zmianami w drobiazgowo zaplanowanym rozkładzie dnia. Dla zabicia czasu wstępuje do cukierni po pudełko truflí — dla Arta czekoladki z kardamonem i czarnym pieprzem, dla niej śmietankowe, dla Lizzie orzechowo-cynamonowe — i do winiarni po butelkę Dom Perignon za sto pięćdziesiąt dolarów; sprzedawca charakteryzuje szampan jako „transcendentny”, co rzeczywiście brzmi bardzo dobrze. Zostawia czekoladki w samochodzie, trochę zmartwiona, że się stopią i zepsują, i idzie

do salonu fryzjerskiego, żeby Peggy przywróciła siwiejącym odrostom naturalny blond.

Siada w fotelu, próbując się odprężyć, ale czuje napięcie pomiędzy łopatkami (czy to podniecenie? Niepokój? Nie umie powiedzieć), podczas gdy Peg — chyba jest nie w sosie, oczy ma podpuchnięte i rzadko się odzywa — nakłada jej na głowę szczypiącą wodę utlenioną. Gdy włosy zostają wysuszone i ułożone posłusznie na ramionach, Janice widzi, że tym razem kolor jest trochę zbyt metaliczny, odcień zbyt żółty — kolor kobiety, która za wszelką cenę próbuje zachować młodość, zamiast starzeć się z wdziękiem. Peggy patrzy na nią, gdy przegląda się w lustrze, i Janice zmusza się do uśmiechu.

— Dziękuję — mówi. — Bardzo ładnie. — Nie pozwoli, żeby niezadowolenie z fryzury zepsuło jej dzień. Regulując rachunek, impulsywnie daje sto dolarów napiwku, drobiazg na poprawienie humoru Peggy, a poza tym, jeśli dziś nie pozwoli sobie na beztroską hojność, to kiedy?

Po wyjściu z salonu Janice sprawdza, czy Art nie zadzwonił na komórkę, i jest sfrustrowana brakiem wiadomości. Giełda będzie otwarta jeszcze przez godzinę, może za wiele od niego wymaga, spodziewając się telefonu przed zamknięciem. Chowa aparat do torebki i rusza do sklepu spożywczego. Nie mają kurczaków kornwalijskich, tuńczyk ahi wygląda nieświeżo, a kantalup potrzebny do ptysiów jest kompletnie niedojrzały. Gdy stoi w dziale owocowo-warzywnym, ponuro łypiąc na twarde jak skała melony, potrąca ją Cecile Bellstrom w stroju do joggingu, z litrowym sokiem pomarańczowym w rękach.

— Janice! — woła. Przystaje i wybucha: — No dobra, nie mogę stać i udawać, że nie wiem, bo oczywiście wiem, widziałam wiadomości jak wszyscy inni, więc chcę ci pogratulować! Takie szczęście nie mogło spotkać sympatyczniejszej rodziny!

Jej słowa wyrywają ją z dziwnego przygnębienia. Idzie do kwaciarni, gdzie wybiera naręcze orientalnych lili na stół do kolacji. W drodze do samochodu dostrzega Noreen Gossett.

Ledwie w zeszłym tygodniu była na polu golfowym z nią i z Beverly, ich córki chodzą do jednej klasy i zawsze miała nadzieję, że oszałamiająca córka Noreen, Susan, w końcu zaprzyjaźni się z jej słodką Lizzie. Teraz drży z oczekiwania na kolejną przyjemną rozmowę. Ale zamiast się przywitać, Noreen skręca gwałtownie, jakby ktoś chwycił ją za ramiona i odwrócił, i odchodzi nawet bez kiwnięcia ręką.

Janice zatrzymuje się zdezorientowana. Czuje ciepło bijące od zaparkowanych aut, które prażą się w południowym słońcu. Czym mogła urazić Noreen? Co się stało? Nagle ją olśniewa, że nie wszyscy przyjmą dobrze wieści o fortunie rodziny Millerów i że Noreen nie jest jedyną osobą, która skręca się z zazdrości na myśl o powodzeniu sąsiadów. Nerwowo wyjmuje komórkę i sprawdza — za dziesięć pierwsza, giełda lada chwila zostanie zamknięta — i dopiero potem rusza do krawcowej.

Zakład krawiecki mieści się przy Main Street tylko dwie przecznice dalej. Janice przegląda się w każdej mijanej witrynie: włoskie delikatesy z żywnością ekologiczną (tak, włosy zdecydowanie są za żółte), agencja handlu nieruchomościami z szybą zasłoniętą zdjęciami posiadłości Beaux Arts (tenisowa spódniczka odsłania zbyt dużo cellulitu) i sklep, który oferuje czterysta rodzajów ręcznie wyrabianego mydła (czy podbródek zawsze się tak kołysał?). Przy stolikach z kutego żelaza w ogródku przed Fountain siedzi grupa nastolatków, zajadając frytki; ich znudzone miny sugerują, że lato, które zaczęło się za tydzień, już jest katorgą. Janice posyła im uśmiech, próbując się zorientować, czy zna ich rodziców, ale patrzą na nią bez wyrazu. Ruch na jezdni się nasila — jest szczyt pory lunchu — i ktoś trąbi uparcie, bez końca wciskając klakson.

Właścicielka zakładu krawieckiego, kompetentna starsza chińska dama, pani Chen — Janice często mówi przyjaciółkom, że jej palce są szybkie jak kolibry — siedzi pochylona nad kostiumem, obramowana plastikowymi workami z ubraniami,

które wiszą za nią na wieszaku. Ciemnoniebieska suknia futerał Donny Karan, którą Janice kupiła trochę za dużą u góry, żeby pasowała w biodrach, już czeka przy kasie. Janice przymierza ją za spłóviałą zasłonką, która służy za przebieralnię. Gdy wkłada suknię przez głowę, spostrzega, że coś jest nie w porządku: materiał klinuje się pod pachami, ręce więzną bezradnie i nie chcą przesunąć się dalej.

— Chyba za bardzo pani zebrała — woła.

Pani Chen zagląda za zasłonę, na pozór nieporuszona widokiem klientki w majtkach tenisowych i staniku do joggingu. Mocno pociąga suknię, a wówczas rozlega się trzask pękającego szewka.

— Jest pani za duża — zauważa łagodnie, zdzierając suknię przez głowę Janice.

Janice podnosi spódniczkę, żeby osłonić nagość.

— Mierzyła mnie pani — skarży się. — Przecież nie zmieniłam rozmiaru w ciągu tygodnia.

Pani Chen sprawdza szwy sukni i pociąga suwak.

— Nie ma obawy, poprawię. Proszę przyjść w przyszłym tygodniu.

Janice patrzy na suknię — czuje, jak blednie jej wyobrażenie eleganckiej, wciąż atrakcyjnej żony, która z gracją serwuje rodzinie wykwinny posiłek — i jest zaskoczona, gdy łyzy wzbierają jej w oczach. Mruga szybko, żeby pani Chen nie zauważyła. To tylko suknia, mówi sobie, tylko zła fryzura, stracony mecz, niedojrzały melon.

— Doskonale — mówi. — Żaden problem.

Gdy jedzie dębową aleją w kierunku domu, z radia w samochodzie nastawionego na wiadomości płynie informacja, że indeks NASDAQ zamknął się na poziomie trzynastu punktów, ale nie pada wzmianka o firmie Arta. Przebiega myślą dzień. Wyczuwa, że wszystko się pozmieniało, jak w domu, który zsunął się z fundamentów. Próbując określić pochodzenie tego uczucia, po raz kolejny skupia się na Beverly. Tego ranka

zdecydowanie wydarzyło się coś złego — to do niej niepodobne, Beverly powinna zadzwonić. Nagle zalewa ją fala troski o przyjaciółkę. Może, myśli, może jeśli wyjaśnię tę sprawę, wszystko inne też się ułoży. Na skraju miasta, zamiast jechać w stronę domu, impulsywnie skręca w prawo, do Beverly.

Weatherlove'owie mieszkają w piętrowym domu w stylu Tudorów, z gontowym dachem i zielonymi okiennicami. Czwarty lipca dopiero za tydzień, ale Beverly już wywiesiła chorągiewki i flagę, a na rabatkach przy drzwiach posadziła czerwone i białe niecierpki. Na podjeździe nie ma jej bmw. Janice dzwoni, potem zagląda przez okno do salonu, lecz nie widzi znaku życia. Nagle słyszy kroki w korytarzu, coraz głośniejsze dudnienie bosych stóp na drewnianej podłodze.

Drzwi się otwierają i staje w nich nastoletni syn Beverly, Mark, ponury i milczący, z kapturem bluzy na głowie, choć jest gorąco. Oczy ma zaczerwienione, pryszcze wyraźnie odznaczają się na skórze.

— Cześć, Mark. Zastałam twoją mamę? — pyta Janice.

— Nie. — Głos ma nosowy i niewyraźny. Czyżby płakał?

— A gdzie jest?

— Wyjechała — mówi, co niczego nie wyjaśnia. Janice patrzy na niego w osłupieniu, rozważając to słowo.

Wyjechała? Dokąd? Do sklepu? Odeszła na zawsze? Patrzy na chłopaka i widzi, że płakał, niewątpliwie. Pomimo ogólnego zaniepokojenia w jej sercu wzbiera czułość dla posepnego dziecka.

— Mark, wszystko w porządku? — Zbliża się do niego z lekko uniesioną ręką, pragnąc przytulić go do piersi. Ale Mark wzrusza ramionami i lekko przymyka drzwi, jakby blokował jej drogę.

— Nic mi nie jest. Dzięki. Dam jej znać, że pani była. — Zamyka drzwi.

Skonsternowana stoi przez chwilę na schodach. Nie ma innego wyjścia, jak jechać do domu i mieć nadzieję, że robi widły z igły — zapomniane spotkanie, zapłakany dzieciak, to może być wszystko i nic. Ale pamięta wyznanie, jakie kilka miesięcy temu Beverly zrobiła w barze klubu, gdy wypłała jedną krwawą mary za dużo, że od jakiegoś czasu jej stosunki z Louisem są napięte. Zaczyna się zastanawiać, czy Louis jej nie zostawił. Decyduje, że jeśli Beverly nie odezwie się do rana, przymaszeruje tutaj i będzie siedziała na progu, dopóki nie usłyszy, co się stało.

Wjeżdża na swój podjazd parę minut po drugiej i przez chwilę siedzi w wozie, patrząc na dom. Kilka lat temu pomalowali mury na bladożółto, kolor kaszmirowego swetra, i dom wydaje się jarzyć w popołudniowym słońcu. To pełen wdzięku królewski budynek w klasycznym georgiańskim stylu kolonialnym, ze starannie przystrzyżonymi żywopłotami, pilastrami po obu stronach wejścia i bluszczem pnącym się po ścianach; dom, który sprawia, że Janice czuje się częścią jakiejś wielkiej amerykańskiej tradycji. Patrzy na niego z ulgą, jakby po sztormie wracała do bezpiecznego portu.

Ale w domu jest zbyt cicho. Sekretarka milczy: nie ma żadnych wiadomości. Oddech Janice brzmi głośno w pustej kuchni, gdy chowa zakupy i szampana, echo odbija się od sprzętów z nierdzewnej stali, od rondli wiszących nad wyspą na zaprojektowanym na zamówienie żelaznym wieszaku, od granitowych blatów z żółtymi żyłkami. W ogrodzie za domem pracuje James, nowy czyściciel basenów, który przyjeżdża dwa razy w tygodniu. Przesuwa siatkę pod prąd, wyławia listek, wyciąga tyczkę i stuka, żeby wyrzucić go na rosnący stos mokrej zieleni. Janice obserwuje go przez okno w kuchni. Gdy James ją zauważy, macha do niego ręką, a on z uśmiechem podnosi dłoń. Gąsienica potu pełźnie mu po czole, gdy wysypuje wiaderko chloru w najgłębszą część basenu.

Janice włącza piekarnik i zaczyna układać lilie w wazonie, jednym okiem spoglądając na zegar. Już jest spóźniona z gotowaniem, a musi jeszcze posprzątać (zwolniła gosposię, gdy stwierdziła, że barek z alkoholem jest podejrzanie pusty, i jeszcze nie zatrudniła nowej). Po ułożeniu na stole najlepszych sreber włącza telewizor i stoi pośrodku salonu ze skrzyżowanymi ramionami, broniąc się przed chłodem płynącym z klimatyzacji. Dowiaduje się, że w chwili zamknięcia giełdy cena akcji Applied Pharmaceuticals wynosiła sto czterdzieści jeden dolarów i dwadzieścia pięć centów. Słucha obojętnie, nie mogąc wyczarować zapierającego dech podniecenia zaledwie sprzed sześciu godzin. Czuje tylko zmęczenie: zmęczenie tym, że bierze wszystko do siebie, zmęczenie czekaniem na telefon męża. Pomimo napiętego harmonogramu powinien chcieć dzielić z nią radość. W tej chwili słabości do jej serca zakrada się podstępne podejrzenie, że jej entuzjazm do odnowienia małżeństwa jest znacznie większy niż entuzjazm męża, że to ona będzie musiała podźwignąć cały ciężar.

Ale nie przestaje nakrywać do stołu, składając trzy serwetki w kształt łabędzia, jak zawsze na wyjątkowe okazje, jak wiele lat temu nauczyła ją matka Arta. Gdy Art pierwszy raz zabrał ją do Connecticut, do domu rodziców na Hoże Narodzenie, miała wrażenie, że znalazła się na zdjęciu wyciętym z jednego z tych magazynów, które jej matka przynosiła do domu. Było tam drzewko obwieszane połączanymi ozdobami z prawdziwego szkła, i domowy farsz, nic z pudełka, i serwetki złożone niczym origami, i pachnące sosnowe gałęzie nad portykiem. Portyk! Solniczki w kształcie choinki! Mrugały do niej tak znajomo, że omal nie zapłakała — do takiego życia powinna się urodzić. Kiedy matka Arta zapytała ją, czy jej matka nie będzie lęsknić za nią w święta, Janice pomyślała o matce pracującej w nadgodzinach, a potem samotnie jedzącej upieczone-

go w mikrofalówce indyka, i skłamała: „Nie. Jest z przyjaciółmi. Piecze szynkę”.

Pomimo entuzjastycznego udzielania lekcji składania serwetek matka Arta nie była zachwycona, gdy kilka miesięcy później usłyszała o przymusowym ślubie. Janice zawsze podejrzewała, że Elaine miała wyższe aspiracje co do żony jedynaka. Podejrzenie to potwierdziło się parę lat później, w czasie ich ostatniej wizyty w Connecticut, kiedy chora na alzheimera Elaine dogorywała w domu starców. Elaine chwyciła ją za ramię żylastymi rękami. „Znam cię — wychrypiała, buchając jej w twarz kwaśnym oddechem. — Jesteś ulicznicą, która usidliła mojego syna”.

Oczywiście Janice zapomniała wziąć pigułkę, ale nie z rozmysłem. Myśl o pigułce po prostu wyleciała jej z głowy, jak woda przez sito: kończyła studia, okres był stresujący — możliwości zawodowe się komplikowały, Art chłódł, przyszłość rysowała się mrocznie i przerażająco. Przez większość nocy leżała bez ruchu, marznąc pod starymi bawełnianymi prześcieradłami. Pograżona w czarnej rozpacz wspominała gładki różowy owal, owinięty w folię i schowany w kosmetyczce w łazience, i myślała: powinnam wstać i wziąć pigułkę, nie mogę zapomnieć o pigułce. A potem nastawał ranek, szła na zajęcia z francuskiego i absolutnie nie pamiętała, że jej nie wzięła. Przypominała sobie trzy dni później i z poczuciem winy połykała cztery pigułki z rzędu, popijając je szklanką mleka. Powinna powiedzieć NIE, co zwykle robiła w podobnych przypadkach, gdy Art wślizgiwał się do jej łóżka, powinna przyznać się do błędu i nalegać, żeby włożył prezerwatywę, ale zabrakło jej silnej woli, żeby go odtrącić, nie teraz. I tak oto leżała potem w łóżku, a Art spał obok niej, pograżony w ciepłym spokojnym śnie, i próbowała zapomnieć, że zapomniała.

Bała się, że Art ucieknie, kiedy powie mu o ciąży, ale czyż nie wiedziała, iż tego nie zrobi? Czy nie zakochała się w nim

właśnie dlatego — z powodu jego solidności, dobrego wychowania i przyzwoitości, wartości rodzinnych i ambicji? Poważny student MBA — gdy się poznali, miał dwadzieścia jeden lat, a ona osiemnaście — powiedział jej, co chce mieć w życiu: dom z czterema sypialniami przy polu golfowym, mosiężną tabliczkę na drzwiach narożnego biura, dwoje dzieci (chłopiec i dziewczynka), którym będzie fundował wakacje w Europie i weekendy w domu na wsi. Na drugi dzień po tym, jak powiedziała mu o ciąży,

o zachodzie słońca zabrał ją do parku nad zatoką, gdzie dzieci puszczały latawce na wietrze, który dał niemal z siłą huraganu. Słońce opromieniało mgłę nad miastem i nadawało szarym chmurom nuklearny odcień. Wiosna się spóźniała, temperatura wynosiła nieco powyżej zera. Podeszli do falochronu, żeby popatrzeć na wodę, i Art osunął się na kolano.

Kłęczał dzielnie, choć trawa była błotnista. Wyjął pudełeczko z czarnego aksamitu i podniósł je na dłoni. Dostała gęziej skórki na ten widok.

— Wiem, że ostatnio było ciężko — powiedział sztywno i powoli. — I naprawdę przepraszam. Ale zawsze uważałem, Janice, że jesteś wyjątkową kobietą, kimś, kogo szanuję i podziwiam. Myślę, że w małżeństwie tak naprawdę chodzi o wybranie osoby, która ma podobne wartości i cele, i wiem, że to nas łączy. Będiesz wspaniałą żoną i matką, i z kimś takim chcę spędzić życie. Więc może to wszystko dzieje się nagle, wcześniej, niż chcieliśmy, i mamy jeszcze wiele spraw do załatwienia, ale naprawdę jestem pełen optymizmu. Jesieni optymistą, jeśli chodzi o nas. Stworzymy wspaniały zespół. — Urwał. Wiatr smagał włosami jej policzki. — Kocham cię.

Janice płakała od chwili, gdy ukląkł, z ulgi i radości, a po części dlatego, że wiatr dmuchał jej w oczy morską solą. Art otworzył pudełeczko, odsłaniając prostą złotą obrączkę z maleń-

kim diamencikiem. Skromny pierścionek, ale gustowny. Szlochała tak głośno, że ledwo usłyszała, gdy zapytał:

— Czy wyjdiesz za mnie?

— Tak, tak, tak — odparła. — Oczywiście. Tak się cieszę, że mnie chcesz.

Pozwoliła mu wsunąć pierścionek na palec i uśmiechnęła się, dziwnie rozdarta, jakby jednocześnie zwyciężyła i poniosła porażkę. Czy to miała być najszcześniejsza chwila jej życia? Czuła głównie zawroty głowy, jakby, wessana przez cyklon, zataczała kręgi wysoko nad ziemią. Art musiał zauważyć dziwną minę, z jaką spoglądała na pierścionek na palcu, bo podniósł się i ujął jej dłoń, nakrywając swoją ręką.

— Nie martw się, niedługo dam ci większy — obiecał. — Skoro mamy to zrobić, zrobimy, jak trzeba.

Dwadzieścia osiem lat później Janice może prześledzić przebieg ich małżeństwa i kariery Arta w szeregach korporacji na podstawie stosu aksamitnych pudełeczek w toalecie. Cztery lata po ślubie, po pierwszym poronieniu, dał jej większy pierścionek (drugie i trzecie zaowocowało stylowym naszyjnikiem i parą kolczyków w granatami). Dziewięć lat później pojawił się trzykaratowy brylant ze szlifem princess, gdy zaskoczyła ich ciąża z Lizzie, chociaż za radą lekarzy zrezygnowała już z myśli o drugim dziecku. Osiem lat temu, na dwudziestą rocznicę, dostała diament o masie cztery i jedna dziesiąta karata ze szlifem asscher z półtorakaratowymi bagietkami, osadzony w platynowej obrączce — kamień, który pasował do stanowiska Arta jako dyrektora naczelnego, do ich nowego domu z czterema sypialniami i luksusowej terenówki Porsche na podjeździe. Z początku kępowała ją ostentacyjna wielkość kamienia i tęskniła za skromnym pierścionkiem, który kiedyś nosiła, dopóki nie zobaczyła prezentu, jaki Beverly dostała od męża na czterdzieste urodziny — brylant pięć i osiem dziesiątych karata kupiony u Harry'ego Winstona. Wówczas zrozumiała, że rozmiar zawsze jest względny.

Janice zastanawia się abstrakcyjnie, czym zaowocuje ten nowy sukces. Może Art zjawi się wieczorem z kolejnym aksamitnym puzderkiem? Próbuje wykrzesać podniecenie, ale głównie pragnie, żeby już był w domu.

Dźwięczy dzwonek. Z kuchni, gdzie rozbierała kaczkę na confit, Janice biegnie do drzwi, wycierając ręce w ścierkę do naczyń. Widzi stojącego na progu młodego człowieka mniej więcej w wieku Margaret, z wypłowiałą tęczową grzywką przyciśniętą przez kask motocyklowy. Przybysz ma ubłocone buty i wołałaby, żeby nie stał na wycieracze z napisem: „Witaj w naszym szczęśliwym domu”, którą wiosną uplotła z suchej lawendy z ogrodu. W czarnej skórzanej kurtce i dżinsach przypomina jej trochę Barta, chłopaka Margaret, który też jeździ na motocyklu, ale przynajmniej nie farbuję włosów na różowo, chociaż nic więcej dobrego nie może o nim powiedzieć.

Mężczyzna w jednej ręce trzyma beżową kopertę, w drugiej podkładkę do pisania.

— Przesyłka — mówi i podsuwa jej pokwitowanie. — Proszę podpisać.

Janice wyciera ręce do sucha, żeby złożyć podpis na wy-kropkowanej linii, i próbuje sobie przypomnieć, co takiego mogła zamówić. Rozdziera beżową kopertę, wewnątrz znajduje białą z adresem zwrotnym: Applied Pharmaceuticals, 220 Analgesic Loop, Millbrae, Kalifornia. Stoi i patrzy, i nagle boi się otworzyć list. Zwalcza to uczucie, łamie pieczęć na kopercie, ale kiedy wyjmuje arkusz papieru firmowego Applied Pharmaceuticals (natychmiast zauważa, nawet nie patrząc, podpis Arta na dole), nie czuje zaskoczenia. Oczywiście, myśli, gdy opada na nią chmura nieuchronnego przeznaczenia.

List, wydrukowany na kremowym papierze, brzmi następująco:

Janke,

jak wiesz dziś jest dzień wielkich zmian. Wydaje się równie dobry jak każdy inny na rozpoczęcie nowego życia. Chyba oboje wiemy, że nasze małżeństwo stało się farsą. Od wielu lat nie jestem szczęśliwy i choć z pewnością nigdy tego nie przyznasz sądzę, że to samo odnosi się do Ciebie. Musimy uciec od tej klaustrofobii, skorzystać z szansy na znalezienie prawdziwej namiętności, zanim zrobi się zapóźno. Dlatego występuję o rozwód. Mój prawnik będzie z Tobą w kontakcie. Z pewnością zgodzisz się zę mną, że to najlepsze rozwiązanie.

Art

Podpisał jasnozielonym atramentem. Janice rozpoznaje kolor, kupiła mu to pióro, żeby atrament pasował do logo pigulek coifex.

Ścisła ścierkę w pobielącej dłoni. Patrzy na słowo „szczęśliwy” uplecione z pączków lawendy na wycieracze („Razem szczęśliwi!”). Spogląda na kuriera, który wciąż stoi przed drzwiami, i uświadamia sobie, że czeka na napiwek.

— Chwileczkę — mówi. Idzie na oślep, wpada na krzesło w drodze do kuchni, bierze torebkę z lady i wraca. Wyjmuje portfel od Prądy i znajduje tylko dwudziestki.

— Proszę — mówi i daje mu jedną.

— Hej, dzięki! — woła chłopak, wsuwając banknot do kieszeni motocyklowej kurtki. Uśmiecha się. — Wielkie dzięki.

Gdy silnik motocykla pokaśluje, Janice jeszcze raz czyta list, ręce drżą jej tak mocno, że słowa się rozmywają. Nie ma pojęcia, gdzie Art nauczył się takich zwrotów, które brzmiąjak ściągnięte z romansu. Jak Art, który pisze tylko biznesplany, wymyślił kwieciste wyrażenia w rodzaju „znalezienie prawdziwej namiętności” czy „uciec od tej klaustrofobii”? Do licha, co to znaczy?

Przez kilka sekund jej myśli krążą wokół tych anomalii, nie chcąc się zająć poważniejszą sprawą: jej mąż właśnie ją

zostawił. Jest oszołomiona, czarne plamki wirują jej przed oczami. Patrzy pod nogi, próbując się skupić — zachowaj spokój, trzeba to przemyśleć — i zauważa jak przez mgłę, że kurier zostawił lśniące smugi błota na jej wycieraczce.

*

Ręce wciąż drżą jej tak mocno, że z trudem wystukuje numer. Dzwoni pięć razy na jego komórkę. Z pewnością, próbuje sobie wmówić, źle zinterpretowała treść listu, to jakaś pomyłka. Ale kiedy w końcu Art odbiera telefon, przekreśla jej nadzieje dwoma słowami:

— Witaj, Janice. — Stwierdzenie faktu. Dzięki identyfikacji numeru Art wie, że to ona, a obojętny ton, jakim wypowiedział te cztery sylaby, wyraźnie potwierdza sens listu. Mąż ją rzuca, tylko to może wyjaśniać absolutny brak uczucia w jego głosie. — Przypuszczam, że dostałaś list. Miałem nadzieję, że nie będziesz czuła potrzeby konfrontacji.

— Nie rozumiem. — Janice ucieka przed nieodwracalnością jego decyzji. Głos jej się łamie. — Skąd ten pomysł?

— Tak musi być — odpowiada Art. Janice jest zdumiona spokojnym, racjonalnym brzmieniem jego głosu, jakby był dentystą informującym, że trzeba wyrwać zęby trzonowe. — Ale nie pora o tym mówić. Wciąż jestem w pracy.

— W takim razie znajdź prywatne miejsce do rozmowy. To ważne. To nasze życie. Co rozumiesz przez farsę?

— Myślę, że wiesz.

Janice podchodzi do drzwi jadalni i patrzy na stół, na wazon z liliami wybuchającymi niczym fajerwerki, na kryształowe kieliszki przy każdym nakryciu. Gdzieś w tle słyszy strzelający korek szampana. Myśli o butelce chłodzącej się w lodówce i z trudem przełyka ślinę.

— Nie, nie wiem — upiera się i choć to niezupełnie prawda, nic jest gotowa przyznać mu racji, zwłaszcza nie teraz. — Chodzi o to... Potrzebuję cię.

— Nie potrzebujesz mnie. Nigdy w życiu nikogo nie potrzebowałam. Na tym polega połowa problemu. Jedyne, do czego jestem ci potrzebny, to płacenie rachunków.

— To śmieszne. Mówisz bez sensu.

— Posłuchaj, powiedz mi, kiedy ostatni raz tak naprawdę rozmawialiśmy o czymś ważnym. Od lat zachowujemy się jak roboty i szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy być z tego zadowoleni.

— Potrafię rozmawiać. — Janice stara się, by jej głos brzmiał pewnie i przekonująco. — Fakt, że ostatnio nie rozmawialiśmy, wcale nie znaczy, że nie umiemy tego robić. Porozmawiajmy teraz. Albo później. Możemy pójść do terapeuty, żeby nam pomógł.

— Za późno. O całe lata za późno.

Janice próbuje coś dodać, ale tylko dyszy płytko do słuchawki. Słyszy echo własnego oddechu.

— Kim jesteś? — pyta. — Nie znam tego Arta.

— Właśnie o to mi chodzi — mówi Art i jego logika ją ucisza.

Słyszy, jak w tle jakaś kobieta mruczy coś cicho. Nie może zidentyfikować głosu, choć brzmi znajomo. Ktoś z biura Arta, myśli, to straszne, że współpracownicy przysłuchują się ich rozmowie. Art zakrywa ręką mikrofon, więc słyhać tylko stłumiony szmer.

Po chwili wraca na linię.

— Janice — zaczyna, ale kobiecego głos w tle, teraz podniesiony i przenikliwy, zagłusza jego słowa.

— Musisz jej powiedzieć — nalega kobieta. — Musi wiedzieć.

Nagle Janice rozpoznaje głos i czuje się tak, jakby ktoś chlusnął jej w twarz kubel lodowatej wody. Wreszcie sumują się wszystkie złe przeczucia tego dnia i jest oszołomiona wynikiem, zdumiona, dlaczego wcześniej niczego nie dostrzegła.

— Czy to Beverly jest z tobą? — Z trudem wypowiada te słowa.

Po drugiej stronie zapada wymowna cisza. Art tylko chrząka.

Janice rzuca telefon, jakby ją parzył, i wpatruje się w niego z szaleńczo bijącym sercem. Po chwili połączenie zostaje przerwane i aparat buczy uparcie, w takt pulsowania żyły na jej skroni.

*

Parę minut później Janice siedzi sztywno przy stole w jadalni sparaliżowana z szoku. Wpatruje się uporczywie w zdjęcie ślubne w kryształowej ramce na kredensie. Zostało zrobione po krótkiej ceremonii w South Lake Tahoe dwa tygodnie po oświadczeniach Arta. Ona, w rękawiczkach i pożyczonej białej sukni tylko odrobinę przyciasnej w talii, patrzy na Arta z rękami zarzuconymi na jego szyję. On, w garniturze, spogląda w obiektyw z przestraszoną miną, jakby ktoś za aparatem zawołał: „Buu!”. Myśli o słowach przysięgi: „W chorobie i w zdrowiu, w dobrej i złej doli”.

O to chodzi w małżeństwie, myśli, nie o jakąś dziecinnie pojmowaną namiętność, ponieważ dorosła prawda jest taka, że życie, partnerstwo i miłość są trudne. Wymagają pracy, w dobrych chwilach i złych. Myślała, że Art też czuje szacunek do instytucji małżeństwa, do zapewnianej przez nią stabilności. A jednak odrzuca to wszystko, dlaczego? Dla Beverly? Rozwód: na samą myśl robi jej się niedobrze. To zbyt łatwe rozwiązanie. Sama też nie była przez cały czas bezgranicznie szczęśliwa, ale trzeba próbować, nawet gdy twój mąż wygląda jak oziębły łysiejący nieznajomy po drugiej stronie stołu; nawet gdy słyszysz, jak niecierpliwie rozmawia przez telefon ze swoją niedomagającą matką, i zdajesz sobie sprawę, że jest zdolny do okrucieństwa; nawet gdy zostawia cię samą noc po nocy i nawet nie próbuje ci tego wynagrodzić. Znosisz wszystko, bo małżeństwo i rodzina to świętość. Forteca chroniąca przed trudnym

światem. Może ostatnio nie było idealnie — tu przyznaje rację Artowi — ale dlaczego tak szybko się poddał? Myśli o Beverly, swojej przyjaciółce, kuszącej jej męża otwartymi ramionami i rozłożonymi nogami, i czuje się chora — chora, że Beverly mogła to zrobić, i chora, że Art uległ tak łatwo.

Janice próbuje wyobrazić sobie życie bez Arta. Ma wrażenie, że spada z rozpiętej wysoko liny i w locie widzi, że w dole nie ma siatki asekuracyjnej. Chwyta zdjęcie ślubne i rzuca nim w kominek, z całej siły, żeby szkło rozpadło się na setki kawałków. Stoi w salonie, bez ruchu, gdy powraca cisza, trzask cichnie w próżni wykładziny dywanowej i brokatowych draperii. Potem pochyla się, żeby zmieść odłamki, ponieważ nie chce, żeby Lizzie nastąpiła na nie bosą stopą, i idzie do kuchni, żeby wyjąć z lodówki butelkę szampana.

Sześćset pięćdziesiąt kilometrów na południe od Santa Rita, w Los Angeles, znów dzwoni komórka Margaret Miller. Drży na fotelu pasażera, wygrywając przenikliwe elektroniczne arpeggio, a na fosforyzująco niebieskim ekranie błyska czerwone światełko. Telefon leży na zewnętrznym skraju fotela. Margaret musi wyciągnąć rękę, drugą trzymając kierownicę i nie spuszczać oka z jezdni Beverly Boulevard. Suknia napina się mocno pod jej udami. Komórka leży tuż poza zasięgiem.

Znowu dzwoni, te same sknocone trzy takty etiudy Chopina. Kiedyś uważała melodię za przyjemnie łagodną, ale ostatnio ma ochotę wrzeszczeć, gdy tylko ją słyszy. Dzwoniący telefon przyprawia ją o chwilową migrenę i przyspiesza jej puls; czuje się nerwowa jak gazela. Wyciąga rękę jeszcze dalej, a cienka stara bawełna sukienki trzeszczy, szewek puszcza pod pachą, honda skręca lekko, ale tylko muska palcami metaliczną obudowę.

Mogłaby po prostu wyłączyć cholerstwo, ale się boi, że straci jakąś ważną rozmowę, tę ważną rozmowę, która wszystko zmieni. Nie wie, kto zadzwoni — może jej tak zwany inwestor Sluart z informacją, że zmienił zdanie i ostatecznie chce zawrzeć transakcję. Może — co jest mniej prawdopodobne — Bart, jej

były, który powie, żeby się nie przejmowała jego e-mailem. Może ojciec z propozycją, jakiej nie będzie mogła (nawet gdyby powinna) odrzucić. Margaret nigdy nie uważała się za optymistkę — optymizm jest dobry dla beznadziejnych idealistów w rodzaju Anne Frank (która, spójrzmy prawdzie w oczy, w końcu zmarła w obozie śmierci) i oderwanych od rzeczywistości zwolenników ruchu New Age. Od kilku lat jednak żyła oparami nadziei i jeszcze nie zamierza się poddać.

W jakimś zakamarku świadomości czerwone światło błyska w takt ze świetlnym sygnałem komórki: uwaga, niebezpieczeństwo. Uwaga, niebezpieczeństwo. Uwaga, niebezpieczeństwo. Margaret mruga i spostrzega, że zapaliły się światła stopu jadącego przed nią wozu. W ostatniej chwili prostuje się i wciska pedał hamulca. Opony skarżą się, rzygając spaloną gumą, a za nią chór klaksonów krytykuje jej umiejętności jako kierowcy. Stojąc na skrzyżowaniu, z walącym sercem rzuca się na fotel i chwytą telefon.

NUMER ZASTRZEŻONY. Wie, że lepiej nie odbierać. Wrzuca komórkę do torebki. Melodyjka urywa się w połowie.

Światła zmieniają się na zielone, samochody wokół niej przyspieszają gwałtownie. Wieczne słońce wypala oślepiające kręgi na siatkówce, gdy Margaret telepie się jęczącą hondą po Beverly Boulevard w kierunku Acqua Trattoria. Sprawdza godzinę na zegarze na desce rozdzielczej i beszta się za spóźnienie. Wychodziła z mieszkania w Echo Park trzy razy, przystawała z wahaniem tuż za drzwiami, a potem wracała z myślą: mogę się jeszcze wykręcić, wystarczy, że zadzwonię do Josephine i powiem, że jestem chora. Ale w końcu wyszła, skuszona obietnicą wieczoru z przyjaciółkami, zawsze takimi inteligentnymi, zawsze robiącymi takie interesujące rzeczy. Dzięki temu nie będzie musiała siedzieć w domu i dumać nad różnymi trudnymi do rozwiązania problemami.

Mimo wszystko podjęła głupią decyzję. Sałatka. Zamówi tylko sałatkę. Nie powinna kosztować więcej niż... Ile, piętnaście

dolarów? Z kieliszkiem wina może dwadzieścia pięć, trzydzieści. W zasadzie wydatek nie mieści się w jej budżecie — w jej budżecie już nic się nie mieści — ale też nie jest szaloną ekstrawagancją.

Komórka znowu budzi się do życia, tym razem emitując jeden długi sygnał. Wiadomość tekstowa. Margaret otwiera telefon i czyta: „Wiadomość od VZW: Opłata za usługi VZ Wireless zaległa 60 dni. Karta kredytowa odrzucona. Należność \$126,30. Jeśli do jutra nie uregulujesz rachunku, Twój numer zostanie wyłączony”.

Nie teraz.

— Cholera — klnie głośno. Na prawo piętrzy się Bank of America. Margaret dostrzega wolny parkometr, wsuwa się pomiędzy bmw i hummera i parkuje w kakofonii klaksonów. Przez chwilę siedzi za kierownicą, pot występuje jej na czoło. To nic wielkiego, myśli. Mogę to załatwić. Więc jej karta kredytowa znowu została odrzucona, a konto jest puste — ale przecież może zapłacić gotówką, prawda? Jutro rano wstąpi do punktu operatora i uiści należność. Jakie inne rachunki wymagają natychmiastowej uwagi? Czynyś, tak, ale gospodarz, miły starszy pan o imieniu Al, ją uwielbia — karmiła jego grubego persa, gdy w zeszłym miesiącu wyjechał do wnuków — więc z pewnością zaczeka jeszcze jeden miesiąc. FedEx? Nie ma pośpiechu. Kabłowka? Już wyłączyli, razem z telefonem stacjonarnym. Rachunki za gaz i prąd? Tak, są zaległe niebezpiecznie długo. Blisko odcięcia obu mediów. Będzie musiała gotować na świeczkach, jeśli szybko nie zapłaci stu czterdziestu dwóch dolarów.

Bart? Wracają słowa z e-maila, który dziś rano dostała od byłego chłopaka. „Margaret — wiem, że minęło trochę czasu, i nie chciałem zawracać Ci głowy, dopóki oboje trochę nie ochłoniemy, ale czas porozmawiać o 12 000 z ogonkiem, które jesteś mi winna. Nawiasem mówiąc, widziałem twojego tatę w wiadomościach. Szczęściarz z niego. Wolałbym, żebyś oddała

w całości, oczywiście, ale jeśli to niemożliwe, opracujmy plan spłat. Bart". Podstępny Bart z wtrąconą od niechcienia wzmianką o debiucie ojca. Wie, że ona nigdy w życiu nie poprosi rodziny o pieniądze. Wie, że zawsze szczyliła się swoją absolutną niezależnością od rodziny i że nawet sugestia zwrócenia się

o pomoc niewiarygodnie ją wkurzy. I Bóg świadkiem, że naprawdę nie potrzebuje tych pieniędzy, w każdym razie nie teraz, gdy według artykułu w „Variety” z zeszłego tygodnia, z nagłówkiem „Agencja artystyczna CAA zaklepuje odlotową kasę dla dobrze się zapowiadającego Johnsona”, Bart ma dostać milion dwieście tysięcy dolarów za rolę w następnym filmie. Artykułowi towarzyszyło zdjęcie, stara fotka, którą dobrze znała, ponieważ była z nim wtedy i robiła śmieszne miny, żeby się odprężyć przed obiektywem. Nie potrafiła się zmusić do wyrzucenia czasopisma, tylko schowała je głęboko w pudle z dokumentami.

Nie, Bart już nie zajmuje wysokiego miejsca na jej liście priorytetów.

Wyplaci tyle gotówki, żeby zapłacić rachunki za komórkę i prąd plus trochę drobnych na kolację. Gdy biegnie do bankomatu, potykając się na chodniku w trzy razy żelowanych pantoflach, oszołomiona smrodem spalin w godzinie szczytu i blaskiem słońca na spieczonym betonie, przerzuca karty w portfelu i wybiera jedną — z pewnością ma jeszcze trochę gotówki na koncie. Ale bankomat przeżuwa kartę, smakuje ją i wypluwa. Margaret z coraz większym zaniepokojeniem przetrząsa portfel. Visa jest wykorzystana do maksimum, podobnie jak MasterCard i Discover... ale co z kontem biznesowym Bank of America? Może dostanie zaliczkę. Maszyna zastanawia się nad plastikowym prostokątem, potem wyświetla informację: BRAK ŚRODKÓW NA KONCIE, wszystko wielkimi literami. BRAK ŚRODKÓW NA KONCIE. BRAK ŚRODKÓW NA KONCIE.

Komórka w torebce — sędziwej skórzanej torbie na ramię,

która pamięta lepsze czasy — wybiera sobie tę chwilę na ponowne dzwonenie. NUMER ZASTRZEŻONY. Znowu wielkie litery. BRAK ŚRODKÓW NA KONCIE. Te maszyny na nią wrzeszczą! Maszyny są dokładnie takie jak jej matka, która w e-mailach zawsze zadrecza ją wielkimi literami: „NIE ZAPOMNIJ ZNOWU O URODZINACH SWOJEJ STRYJECZNEJ BABKI EDNY”. „BARDZO CHCEMY, ŻEBYŚ W TYM ROKU PRZYJECHAŁA NA ŚWIĘTO DZIĘKCZYNIENIA, SKORO NIE BYŁAŚ W ZESZŁYM”. „SZKODA, ŻE NIE BYŁAŚ NA DZIESIĄTYM ZJEŹDZIE ABSOLWENTÓW, SKARBIE, KELLY MAXFIELD POWIEDZIAŁA, ŻE BYŁO NAPRAWDĘ WSPANIALE”. Margaret zgrzytała zębami, czytając wiadomości. Dlaczego matka zawraca sobie głowę wymyślaniem tych pomysłowych pasywnie-agresywnych tekstów, skoro i tak zawsze WYWRZASKUJE JE WIELKIMI LITERAMI??? Poza tym nie rozmyślnie zapomniała o dziewięćdziesiątych drugich urodzinach ciotki Edny Helen (której swoją drogą nie widziała co najmniej od dziesięciu lat), a jeśli nie zjawiała się na Święto Dziękczynienia, to tylko dlatego, że jak zwykle musiała pracować, żeby skończyć artykuł na pierwszą stronę styczniowego numeru „Snatcha”, swojego czasopisma, choć oczywiście matka nigdy nie zrozumie tego rodzaju zainteresowania i poświęcenia, gdyż przez całe życie nie miała prawdziwej pracy.

Bankomat wypluwa kartę. Jediną pozostałą w portfelu jest nowa American Express, którą dostała w zeszłym miesiącu, karta, której nikt nie bierze, ale z której można wypłacić gotówkę na lichwiarskie dwadzieścia dziewięć procent. Przysięgła, że użyje jej tylko w sytuacji kryzysowej, ale czy sytuacja właśnie nie jest kryzysowa (Nie ma telefonu! Nie ma prądu!)? Mankomat na szczęście honoruje tę kartę. Margaret wciska WYBIERZ i wybija trzysta dolarów.

NUMER ZASTRZEŻONY, ktokolwiek się za nim kryje, w końcu kapituluje. Margaret wysuwa ze szczeliny trzy szelesz-

czące banknoty studolarowe i chowa je do portfela. W drodze do samochodu wciąga hausty ciężkiego, wilgotnego powietrza, osusza czoło chusteczką i próbuje się uspokoić. Coś wymyśli, żeby zwrócić kredyt w przyszłym tygodniu, zanim narosną odsetki, ale znowu włącza się wewnętrzny czerwony alarm: uwaga, niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo.

Zjawia się pod Acqua z dwudziestominutowym spóźnieniem, które się powiększa, gdy jeździ dokoła, szukając miejsca do zaparkowania. Nie chce dawać czterech i pół dolara wymęczonym ormiańskim parkingowym, którzy czyhają wzdłuż chodnika, a poza tym wstydzi się stawiać rdzewiejącego japończyka wśród wszystkich tych lśniących sportowych kabrioletów i niemieckich sedanów. Znajduje parking siedem przecznic dalej i na wpół biegnie pustymi chodnikami w kierunku restauracji, paski na piętach trą skórę, aż robią się pęcherze. Wchodzi do restauracji, słaba i spocona. Za drzwiami okrąża piętrową ścianę zbudowaną ze szklanych bloków wypełnionych wodą, w której pływają rozdrażnione kolorowe bojowniki. W holu tłoczy się grupa nieskazitelnie ubranych hollywoodzkich aspirantek stanowiących ucieleśnienie banału Los Angeles: modna chudość, głęboka opalenizna, firmowe obcisłe dzinsy, bujne piersi podniesione ku sufitowi przez wymyślne biustonosze. Hostessa, która wygląda jak słowiańska supermodelka z zapadniętymi policzkami i sterczącymi obojczykami, wytrwale ignoruje wszystkich, łącznie z Margaret.

Kto wybrał ten lokal? Josephine? Alexis? Margaret unika zachodniej części Los Angeles; jest tak, jakby tutaj obowiązywał dodatkowy podatek za przywilej przebywania w sąsiedztwie takiej świeżej, wypieszczonej i sfabrykowanej młodości. Mając dwadzieścia osiem lat, Margaret czuje się stara, gdy przyjeżdża do Hollywood. Myśli o swoich włosach związanych w oklapły koński ogon i o sukience w kropki w stylu lat pięćdziesiątych, trochę odbarwionej pod pachami, i czuje się jak przykład

bezguścia. Ale przynajmniej jest oryginalna, próbuje się pocieszyć. Wyjątkowa. Ekscentryczna. Nie jest ofiarą mody, nie ona. Nawet gdyby miała dużo pieniędzy, nie kupiłaby dzinsów za czterysta dolarów.

Kiedyś postrzegałaby tę restaurację jako swego rodzaju szalę Petriego, kulturę do studiowania pod mikroskopem. Los Angeles nie wydawało się najbardziej logicznym miejscem na świecie, żeby założyć nowy popfeministyczny magazyn dla młodych kobiet — Nowy Jork, tak, San Francisco albo Seattle, jasne, ale nie miasto lekceważąco nazywane „La-la-landem”. Jednak gdy cztery lata temu przeprowadziła się tutaj z Bartem i zaczęła wydawać „Snatch”, uważała Los Angeles za źródło materiałów. Tutaj było centrum kompleksu rozrywkowo-przemysłowego, które kształtowało percepcję świata, i życie w brzuchu bestii obdarzało ją jako krytyka mediów autorytetem.

Wydawanie czasopisma było jej sekretną fantazją od czasów ogólniaka, kiedy pisała jako krytyk filmowy w „Fillmore High Bugle” (daremnie próbując przekonać koleżanki i kolegów z klasy, że powinni wyrzec się Jima Carreya na rzecz Federica Felliniego). Jak tylko sięgnąć pamięcią, czuła, że ma coś do powiedzenia światu, i po zrobieniu dwóch fakultetów na wydziale mediów i studiów dla kobiet w Cornell, a potem magisterium na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, gdzie poznała Barta, dokładnie określiła, czym jest to coś. Młode Amerykanki dryfowały w kulturze konsumpcjonizmu, uwielbienia dla gwiazd, banalnych rozrywek pop, a ona poprzez „Snatcha” miała się przebić przez cały ten chłam. „Snatch: Ponieważ dziewczyny mogą”. Czasopismo miało być nowym głosem tych młodych kobiet, które patrzą krytycznym okiem na kulturę masową, umieją rozpoznać nierealistyczne wizerunki ciała i seksistowskie banały; głosem, który wyrazi prawdziwy kobiecy erotyzm i wylansuje silne kobiece wzorce do naśladowania. „Snatch” miał być antytezą magazynu „US Weekly”. Margaret chciała przyczynić się do zmiany oblicza współ-

czesnej rozrywki i sprawić, żeby feminizm znów nabrał sensu dla młodych kobiet — takich jak jej siostra Lizzie, która już cierpiała na niepokojące uzależnienie od kolorowych pisemek.

Ale minęły cztery lata i teraz, zwłaszcza po wypadkach minionego tygodnia, Margaret zaczyna się zastanawiać, czy ktokolwiek naprawdę jej słuchał. Z pewnością tutaj, w ekskluzywnej Acqua, gdzie króluje opalenizna w sprayu, niczego nie zmieniła. Czuje łzy w oczach i mruga szybko, żeby tusz do rzęs nie spłynął na brodę.

Potem dostrzega Josephine, Claire i Alexis, które siedzą przy stoliku w głębi sali i machają jak szalone, próbując przyciągnąć jej uwagę, i znajduje niezbędny hart, żeby przylepić uśmiech do twarzy i przepchnąć się przez tłum. Josephine — królowa wieczoru, ukochana solenizantka, słynna scenarzystka — siedzi u szczytu stołu z oczami przymkniętymi z rozkoszy, wysysając odnóże kraba. U jej stóp leży stos prezentów. Boże, myśli Margaret, zapomniałam o prezencie! Butelka drogiego z wyglądu szampana chłodzi się w wiaderku z lodem, a pośrodku stołu króluje czubaty półmisek surowych owoców morza. Wygląda to tak, jakby cały Pacyfik został opróżniony na talerz.

— Wszystkiego najlepszego z okazji trzydziestki — mówi Margaret i pochyla się, żeby cmoknąć powietrze nad nawilżonym policzkiem Josephine. — Przepraszam za spóźnienie, ale sama rozumiesz. Korki. — Z drugiej strony stołu Claire całuje palce i macha nimi w powietrzu, magiczny pył miłości sypie się z jej drobnych rąk upstrzonych niebieskimi plamkami farby z pracowni. Alexis tylko chrząka, zbyt zajęta rozbieraniem homara parą srebrnych szczypiec i strzepywaniem kawałeczków mięsa z kolan.

— To naprawdę barbarzyństwo — skarży się, wyrzucając skorupkę. — Dlaczego znowu to zamówiłyśmy? Nie jestem pewna, czy podoba mi się myśl o zgonie mojej kolacji.

— Och, nie zrzedź — ucina jej narzekania Josephine, która, niech ją Bóg błogosławi, włożyła turban w afrykańskie wzory

do czarnej sukienki koktajlowej i nie wygląda ani trochę śmiesznie. Stara szkolna przyjaciółka Margaret, pulchna panetniczna miejska bogini o lśniącej skórze, promienieje z zadowolenia i przez pół sekundy Margaret nienawidzi jej za to. Josephine przesuwa naczynie z zieloną ciecżą w stronę Alexis, gdy robi dla niej miejsce. — Spróbuj sosu wasabi.

— Mam prawo zrzędzić — oznajmia Alexis. Gęsta czarna grzywka spada jej na oczy, nieumalowane i podpuchnięte z niewyspania. Alexis funkcjonuje najlepiej w stanie bliskim wyczerpania i gdy nie jest w skrajnym stresie, robi się nerwowa i rozdrażniona. — Miałam fatalny dzień na planie. Mój kierownik zdjęć został wysłany na rehabilitację, wytwórnia fonograficzna obcięła budżet o połowę, a śpiewaczka odmawia włożenia różowej wiktoriańskiej peruki, którą chciała nosić jeszcze w zeszłym tygodniu. Przypomnijcie mi, dlaczego jeszcze nie mam skończonych wideoklipów?

Margaret próbuje okazać współczucie, ale zdobywa się tylko na lekkie potrząśnięcie głową.

— Bo płacą ci za nie po dziesięć tysięcy dolarów dziennie — podsuwa i ma nadzieję, że słowa nie ociekają goryczą, jaką czuje na języku. Kiedy poznały się trzy lata temu, Alexis, która wyreżyserowała zerobudżetowy niezależny film według scenariusza Josephine (film trafił na festiwal w Sundance i stał się odskocznią dla kariery ich obu), i jej ówczesna współlokatorka Claire były do tego stopnia spłukane, że mieszkały w kawalerce. Jak to się mogło zmienić tak szybko?

— Uhum — mruczy Alexis. — A jednak. Josephine przysuwa Margaret tacę z owocami morza.

— Ostrygę? — pyta. — Japońskie.

— Nie, dzięki — mówi Margaret, patrząc na stos owoców morza i obliczając w pamięci cenę. — Nie jestem głodna. Wezmę sałatkę. — Patrzy na butelkę szampana, gdy Claire napelnia kieliszek; Dom Perignon. Ile? Osiemdziesiąt dolarów? Sto? Chyba się nie spodziewają równego podziału rachunku,

przecież to nie ona zamawiała. Ale jeden kieliszek dobrze jej zrobi.

Pojawia się kelner i w milczeniu wręcza jej menu. Są tylko trzy sałatki: najtańsza, kiełki z pianką anchois, kosztuje osiemnaście dolarów. Margaret z przerażeniem przegląda menu, ale jedynym tańszym daniem jest przystawka z tłuczonych ziemniaków za trzynaście. Pomijając absurdalną cenę (trzynaście dolarów za ziemniaki!), wyglądałaby głupio, gdyby zamówiła coś takiego jako danie główne.

— Sałatkę z kiełków proszę — mówi. — To wszystko. — Widzi, jak kelner mierzy ją wzrokiem i uznaje za kolejną anorektyczną aktorkę skubiącą sałatę. Chce wyjaśnić, że nie cierpi na zaburzenia odżywiania, że po prostu jest splukana! Ale on już odwrócił się na pięcie i zniknął. Pod wpływem płynącego z kuchni aromatu smażonego łososia głośno burczy jej w brzuchu — dzisiaj zjadła tylko cheeseburgera. Dławi pragnienie rzucenia się na zakazane ogony homarów. Bierze bułeczkę i grubo smaruje ją masłem.

Claire, którą ledwo widać zza sterty muszli ostryg, mówi coś, czego nikt nie słyszy w ryczącej muzyce. Ostrzygła jasne włosy w stylu Mii Farrow i fryzura odsłania maleńkie muszelnikowe uszy. Ma ogromne złote kolczyki żyrandole. Margaret wie, że kupiła je z zysków z ostatniej samodzielnej wystawy, gdy sprzedała jedną ze swoich fotografii gwiazdzie pop Bobby'emu Masterstonowi. Na zdjęciu, naturalnej wielkości autoportrecie zatytułowanym „Bezwłosa Claire”, jest ubrana tylko w kowbojskie ochraniacze. Margaret stara się nie gapić ani na kolczyki, ani na torbę Josephine od Balenciagi, ani na kaszmirową bluzę z kapturem Alexis. Próbuje się nie przejmować — doskonale wie, że nie powinna się przejmować, że przejmowanie się jest uleganiem nakręcanej przez reklamy kulturze konsumpcyjnej, a poza tym dlaczego miałyby być ważne, czy jej sukienka ma metkę projektanta albo czy jej samochód ma skórzaną tapicerkę, dopóki jest ubrana i dociera tam, dokąd

chce? Czy nie taki właśnie jest sens wszystkiego, co pisała? Ale gorzka prawda wygląda tak, że się przejmuje. Przejmuje się, gdy Alexis zapraszają do swego nowego domu, cudownej oazy klasy średniej z jajowatym basenem i widokiem aż na Santa Monica, podczas gdy ona mieszka w dusznej kawalerce w betonowym bloku, który cuchnie wilgocią i kocimi sikami. Przejmuje się, gdy przyjaciółki wyjeżdżają na dwutygodniowe wakacje do czterogwiazdkowych ustroni jogi na Bali, a ona korzysta z podłych moteli, kiedy uda jej się zebrać dość gotówki, żeby wyskoczyć za granicę do Rosarita Beach. Obchodzi ją rosnąca garderoba przyjaciółek, ich samochody, ich meble, ich sprzęt stereo i nade wszystko ich godne pozazdroszczenia sukcesy zawodowe.

Na początku łatwo było udawać, że wszyscy w ich grupie społecznej są równi. Walczący o uznanie artyści, pisarze, filmowcy, aktorzy, wszyscy dwudziestokilkuletni: twórcze talenty z wielkimi celami i małym budżetem. Margaret, ubogi wydawca własnego czasopisma, czuła, że chodzi wśród równych sobie. Ale w pewnym momencie ich ścieżki się rozeszły. Jej przyjaciółki przed trzydziestką zaczęły naprawdę się dorabiać — sprzedając scenariusze, reżyserując filmy i wideoklipy, urządzając wernisaże — podczas gdy ona wciąż dysponowała budżetem na poziomie zysków z wyprzedaży rzeczy używanych. Ignorowanie dzielącej je przepaści finansowej było łatwiejsze, kiedy żyła z Bartem. Bart również zaczynał robić pieniądze, duże pieniądze, i uparcie płacił za nią, gdy wzdragała się na widok martini za piętnaście dolarów, albo brał na siebie więcej niż połowę czynszu (dokładnie osiemdziesiąt pięć procent) za uroczy hiszpański bungalow, który wynajmowali w Los Feliz. Ale teraz Bart należał do przeszłości, podobnie jak bungalow i martini, i od czterech miesięcy z zamian za to wszystko miała rosnący codziennie dług na kartach kredytowych. Wierzyła, że jest tylko parę kroków za przyjaciółkami, gotowa dopędzić je lada dzień, ale teraz wie, że została wiele kilometrów z tyłu. Nawet nie bierze udziału w wyścigu.

Claire wciąż mówi delikatnym, lekkim jak piórko głosem. Margaret nie rozumie ani słowa. Josephine przykładą rękę do pulchnego ucha.

— Nie słyszymy cię, skarbie! — krzyczy. — Mów głośniej. Claire wyciąga szyję i podnosi głos. Parę słów przebija się przez zgiełk muzyki.

— ...Margaret wie... świętujemy... wiadomości o Josephine mppffh...?

Margaret prosi Josephine o przetłumaczenie, ale Josephine patrzy w talerz, lekceważąco machając ręką.

— Nic takiego — mówi. — Jeszcze nic nie jest podpisane. To na razie puste słowa.

Wymijająca odpowiedź budzi zaniepokojenie. Margaret nie lubi być jedyną osobą przy stole, która nie wie, o czym mowa. Po drugiej stronie stołu Alexis pochyla się i krzyczy:

— Disney kupił nowy scenariusz Josephine! Chcą go wykorzystać do wykreowania Ysabelle van Lumis. Robi wrażenie, prawda?

Claire, która ostrożnie trzyma za ogon różową krewetkę, zanurzając ją w sosie koktajlowym, z przerażoną miną podnosi głowę i bombarduje Alexis wzrokiem. Josephine kaszle. Margaret czuje, jak czyjś but drapie jej skórę, przesuwał się ku nodze Alexis.

— Auć! — protestuje Alexis. — To boli.

— O co chodzi? — pyta Margaret, coraz bardziej zaintrygowana.

— O nic — odpowiada Josephine.

— Och, dajcie spokój — mówi Margaret, wodząc wzrokiem po twarzach przyjaciółek i próbując zinterpretować ich przejęte miny. — Wiecie, że już wiem, że Ysabelle van Lumis wystąpi z Bartem w *Thrusterze*. Możecie śmiało o nim mówić. Nie jestem taka wrażliwa.

Zapada kłępująca cisza. Przyjaciółki unikają jej spojrzenia. Margaret patrzy prosto na Alexis, najbardziej prawdopodobną osobę, która udzieli szczerzej odpowiedzi.

— Spotyka się z nią? Z Ysabelle van Pieprzoną Lumis? Alexis pochyla się, marszczy czoło i wzdycha.

— W zeszłym tygodniu widziano, jak trzymali się za ręce w czasie lunchu w Ivy. „Migdalili się” według pewnego czasopisma, którego tytułu przez wzgląd na ciebie nie powinniśmy wymieniać. Możesz rozumieć to, jak zechcesz.

Margaret czuje dziwne mrowienie gdzieś w przetyku. Nie jest pewna, co gorsza — zrozumienie, że jej przyjaciółki (i każdy inny, kto czyta „US Weekly”) wiedzą teraz o Barcie,

o mężczyźnie, z którym żyła przez ponad trzy lata, więcej niż ona, czy świadomość, że były chłopak tak szybko pocieszył się po ich zerwaniu (i to z prawdziwą gwiazdą filmową, ni mniej, ni więcej!), podczas gdy ona jeszcze nie wykasowała jego zdjęcia z wygaszacza ekranu.

— To tylko plotka — pociesza ją Josephine. — Nie masz się czym przejmować. Wiesz, ile podobnych bzdur jest w brukowcach. Poza tym w dzisiejszych czasach trzymanie się za ręce niczego nie oznacza.

Margaret wie, że trzymanie się za ręce to nie drobiazg, ale w tej samej chwili przychodzi jej na myśl, iż ma do wyboru albo czarną rozpacz, gdy zacznie wyobrażać sobie byłego chłopaka w czasie stosunku z nieletnią gwiazdką o kremowej twarzy, albo kolejny kieliszek szampana. Decyduje, że lepszy będzie szampan. Tłumi wątpliwości, przechyla kieliszek i wlewa łaskoczące bąbelki do gardła. Josephine szybko dolewa szampana.

— Powiedz mi, o czym jest twój scenariusz? — pyta Margaret, zmieniając temat.

Josephine przekrzywia głowę, przykłada palec do podbródka i zastyga w wystudiowanej pozie.

— Jednym zdaniem: młodzieżowy romans, dynamiczna akcja, ładne sceny. Współczesna adaptacja *Wichrowych wzgórz* osadzona w realiach konkursu nastoletnich piękności w Laguna

Beach. — Patrzy na Margaret i marszczy nos. — Tak naprawdę to chłam, jakiego nie oszczędzisz w „Snatchu”.

Dania pojawiają się w dogodnej chwili. Margaret ma szansę wziąć się w garść. Patrzy na swój talerz, gdzie góra zielska pływa w pachnącej rybą piance. Aromaty dań jej przyjaciółek — kopce strzępiela wpuree ziemniaczano-oliwkowym, nasączone maderą steki wciąż krwawiące na talerz — sprawiają, że czuje się jak anemiczka.

— Nie, nie zrobię tego — mruczy lekko zawstydzona. To niezupełnie prawda. Zrobiła coś podobnego wcześniej, ze szkodą dla swojego związku z Bartem. Może teraz byłaby dość mądra, żeby pomyśleć dwa razy, zanim napisze krytyczną recenzję przedsięwzięcia którejś przyjaciółki. Ale oczywiście już nie będzie miała okazji, prawda?

Cholerny Stuart Gelkind. Zwodził ją od ponad roku, obiecując, że „Snatch” będzie podstawą tworzonego przez niego nowego alternatywnego imperium wydawniczego, niekonwencjonalnym tytułem kobiecym, który pojawi się w kioskach wraz z „Mother” (*jego* planowanym czasopismem dla aktywnych ekologów), „AMP” (czasopismem poświęconym kapelom niezależnym) i „New Sprout” (poświęconym naturalnej żywności). Zamierzał kupić go za sumę, która zapierała jej dech — czterysta dwadzieścia pięć tysięcy dolarów plus opcje! Razem mieli przemienić „Snatch” w jeszcze większy, lepszy magazyn. Lśniące okładki. Kolorowe zdjęcia. Wywiady ze sławami (inspirującymi rzecz jasna, jak aktorki kina niezależnego i topowe kobiety ze świata polityki). Płatni współautorzy. Z poparciem Gelkinda „Snatch” stałby się czymś więcej niż walczącym o swoje miejsce na rynku pisemkiem, które redagowała w mieszkaniu. Stałby się nowym rodzajem czasopisma kobiecego, antykonsumpcyjnym „Sassy” dwudziestego pierwszego wieku, prawdziwym tytułem głównego nurtu inspirującym dziewczyny do samodzielnego myślenia.

Wszystko, co musiała zrobić, to utrzymać „Snatcha” na powierzchni jeszcze przez parę miesięcy (a potem jeszcze parę, i tylko parę więcej, aż w końcu minął rok), a także zwiększyć nakład, żeby magazyn stał się bardziej atrakcyjny dla inwestorów, których urabiał Gelkind. Obiecywał, że gdy tylko finanse zostaną zatwierdzone, natychmiast podpiszą umowę. To pewne, przysięgał, a ona mu wierzyła. Był przecież synem konserwatywnego magnata prasowego Maxwella Gelkinda i jeśli nawet czasami wyglądało na to, że bierze udział w tym projekcie bardziej na złość ojcu niż z prawdziwego zainteresowania prasą niezależną, z pewnością miał dostęp do ludzi o bardzo głębokich kieszeniach. Przyszłość zapowiadała się naprawdę interesująco i chociaż Margaret płaciła horrendalne honoraria negocjującym umowę prawnikom i rachunki FedEx za przesyłanie wszystkich tych dokumentów i za reklamę bezpośrednią, która, jak sugerował Stuart, zwiększy nakład, za nową fotokopiarkę i za lśniący papier, inwestycja wydawała się opłacalna.

Kiedy miała chwilowe wątpliwości co do sprzedaży czasopisma, powtarzała sobie, że ta forma kapitalizmu jest inna niż, powiedzmy, drapieżny typ interesów ojca. Będzie przyjmować wyłącznie światłe reklamy, na przykład sieci sklepów z ekologiczną żywnością, ogłoszenia niezależnego rocka, kosmetyki uietestowane na zwierzętach, i tylko reklamy inspirujące dla kobiet. Nawet zaszalała, zatrudniając na umowę-zlecenie dwóch sprzedawców reklam. Choć w ciągu sześciu miesięcy nie sprzedali ich wiele, pocieszała się, że wprowadzanie nowego paradygmatu zawsze wymaga czasu.

A potem, w zeszły piątek, dokładnie tydzień temu, gdy inwestorzy wreszcie potwierdzili swój udział w projekcie, ;i dokumenty sprzedaży były gotowe do podpisu, Stuart zaprosił HI do Coffee Explosion na Sunset. Wiedziała, że jest źle, gdy nic zapłacił za jej latte z mlekiem sojowym; zawsze stawiał jej kawę, z jednej strony *noblesse oblige*, a z drugiej gest przyszłego pracodawcy.

Stuart, pocąc się w koszuli od Brooks Brothers, gapił się w piankę macchiato i nie chciał spojrzeć jej w oczy.

— Słuchaj — zaczął. — Nie ma łatwego sposobu, żeby to powiedzieć, więc powiem wprost. Nie będziemy w stanie kupić twojego czasopisma.

Margaret czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Ujrzała w wyobraźni stos rachunków na biurku, grubą na pięć centymetrów stertę nieotwartych kopert czekających na długo obiecywany czek od Stuarta. Po długiej chwili milczenia wydukała:

— My, to znaczy kto? Myślałam, że my to ty.

— Inwestorzy, których znalazłem. — Teraz Stuart uporczywie wpatrywał się w okno, jakby nagle zafascynował go parking. — Zdecydowali, że „Snatch” nie będzie opłacalną inwestycją. Sama przyznasz, że w tym roku nakład nie wzrósł zawrotnie, pomimo reklamy bezpośredniej...

— Mamy piętnaście tysięcy prenumeratorów — sprzeciwiła się Margaret głosem zduszonym przez piłkę tenisową, która najwyraźniej utkwiała jej w gardle. — To całkiem nieźle.

— Wiem, wiem. Ale inwestorzy... cóż, mieli inną wizję. Większą, rozumiesz? Dotarłaś do dość ograniczonej grupy odbiorców. Sama wiesz, jak trudno znaleźć reklamodawców. Inwestorzy nadal uważają, że powinienem wydawać czasopismo dla kobiet, ale coś bardziej zabawnego. Szczerze, Margaret, wiesz, jak kocham „Snatcha”, lecz magazyn jest po prostu zbyt... marginalny, żeby wejść do głównego nurtu. Chodzi mi o to, że ostatni numer zawierał dziesięciostronicowy przegląd wibratorów. Z rysunkami, jak to robić!

— Czterdzieści sześć procent kobiet ma wibratory, to według ciebie kwestia marginalna? — Ale wzdrygnęła się lekko, wspominając swój wstępniak na ten temat — esej skomponowany po pijanemu pewnego wieczoru dwa tygodnie po odejściu Barta — w którym oświadczyła, że wibratory są „wielkim wyzwolenicznym narzędziem dla mas kobiecych, narzędziem

sprawiającym, że mężczyzna staje się nieważny, narzędziem dającym kobietom władzę nad ich własnym seksualnym przeznaczeniem".

Stuart wzruszył ramionami.

— To się nie sprzeda na głębokiej prowincji.

Margaret zawrzała. Ze złością przełknęła łyk kawy i rozejrzała się po kawiarni, patrząc na scenarzystów zajętych stukaniem na laptopach, na emerytów skrupulatnie pochłaniających każde słowo „Los Angeles Times”, na znudzoną dziewczynę opitą kradzioną kawą. Nagle poczuła się bardziej zła niż zmartwiona lekceważeniem zadufanego w sobie Stuarta.

— Obiecałeś mi — syknęła. — Czy wiesz, ile wydałam pieniędzy — własnych pieniędzy! — żeby to się stało? A teraz po prostu wychodzisz i zostawiasz mnie z rachunkiem do zapłacenia?

— Jeśli to poprawi ci samopoczucie, prawdopodobnie zrezygnuję również z „New Sprout” — powiedział, wzruszając ramionami. — W tym roku już za późno na naturalną żywność. Naturalna żywność wychodzi z mody.

Znalazła słowa, które mogły najbardziej go zranić.

— Boże, jesteś taki sam jak ojciec.

Stuart wbił oczy w dno kubka, jakby chciał, żeby w czarodziejski sposób ponownie się napełnił.

— Okazuje się, że ma rację. Nie chcę stracić pieniędzy. To miała być inwestycja. Chodzi o to, że wiem, że nienawidzisz chciwych kapitalistów i tak dalej, ale to interesy, rozumiesz?

I taki był koniec. „Snatch” — jej dziecko — był martwy, zamordowany przez Stuarta Gelkinda, chociaż musiała przyznać, jeśli zamierzała być uczciwa wobec siebie, że sztucznie podtrzymywała życie magazynu, jeszcze zanim pojawił się (ielkind. W dniu zgonu „Snatch” był dziewięćdziesiąt dwa tysiące dolarów do tyłu. Ściśle biorąc, Margaret była dziewięćdziesiąt dwa tysiące dolarów do tyłu, ponieważ wszystkie rachunki płaciła z własnej kieszeni (a raczej z licznych kart

kredytowych) co najmniej od roku. Jeszcze ściślej biorąc, była dokładnie dziewięćdziesiąt dwa tysiące pięćset czterdzieści osiem dolarów do tyłu, jak wynikało z obliczeń zrobionych w poniedziałek, parę dni po bombie Stuarta, gdy stuknęła w kalkulator i oglądała w CNN, jak firma jej ojca wchodzi na giełdę. Od poniedziałku upłynęły trzy dni temu, więc suma się powiększyła. Co oznacza, że jest winna MasterCard, American Express, Visie i paru innym operatorom kart kredytowych dziewięćdziesiąt dwa tysiące pięćset czterdzieści osiem dolarów plus lichwiarskie odsetki za trzy dni i wszyscy oni domagają się zwrotu. Bezzwłocznie.

Przez cały poniedziałek, pierwszy dzień powszedni, w jaki nie pracowała od miesiący, może od lat, Margaret leżała na kanapie w nietypowym odrętwieniu, odpalała papierosa od papierosa i oglądała CNN — w kablówce podłączonej na dziko od sąsiada z góry — wachlując się numerem „Granty” sprzed sześciu miesięcy. Była zahipnotyzowana nieprzerwaną pętlą enigmatycznych symboli przewijającą się u dołu ekranu. Co dwadzieścia minut przepływał symbol jej ojca, APPI, i puls jej przyspieszał, rachunki na parę minut popadały w niepamięć. Liczby rosły, zawsze. Zastanawiała się, co każdy ułamek oznacza dla jej ojca. Sto tysięcy dolarów? Pięćset? Milion? A potem myślała o własnych liczbach rosnących jeszcze szybciej, każda minuta zwiększała odsetki od zadłużenia na kartach. Nie wspominając o pieniądzach, które była winna Bartowi. To niewiarygodne, że wartość tylko jednego z tych ułamków NASDAQ —jedna druga! jedna czwarta! — prawdopodobnie przewyższała jej cały dług.

Gdy Margaret wlepia oczy w sałatkę za osiemnaście dolarów, wpada jej do głowy myśl — tak jak tamtego ranka, gdy czytała wiadomość od Barta — że jeden telefon do rodziców najpewniej rozwiązałby jej problemy finansowe. Ale nie chce dzwonić, jest za dumna, żeby płaszczyć się przed mamą i tatą. Wie, że od czterech lat czekają na jej porażkę — potrafi sobie wyobrazić

ich: „A nie mówiliśmy?”, gdy się dowiedzą o śmierci czasopisma. Już słyszy kazania na temat odpowiedzialności finansowej, widzi twarze rozczarowane z powodu „marnowania możliwości”. Po co dawać im pretekst do wydawania sądów? (Podejrzewa, że być może również dlatego nie zebrała się na odwagę, żeby powiedzieć im o rozstaniu z Bartem).

Poza tym... tylko może... może jeszcze jest szansa na reanimowanie „Snatcha”. Prawda? Może Stuart zmieni zdanie i zadzwoni. Jeszcze lepiej, gdy zrobi to sama: znajdzie fundusze gdzieś indziej. A może ludzie sprzedający reklamy nagle zjawią się z ogromnym zamówieniem (mniejsza z tym, że w poniedziałek powiedziała im oraz dwóm innym osobom zatrudnionym na niepełny etat, że „Snatch” rozpoczyna długą przerwę wydawniczą). Albo... coś. Po prostu nie jest gotowa pogodzić się z faktem, że to koniec, i dopóki naprawdę, ale to naprawdę nie będzie żadnych szans, nie ma powodu mówić o tym rodzicom. Zdoła naprawić sytuację.

Co więcej, nawet nie miała okazji powiedzieć rodzicom o zgonie „Snatcha”. Rodzice nie raczyli odpowiedzieć na wiadomość, którą nagrała w poniedziałek, gratulując ojcu debiutu giełdowego, a na pewno nie zadzwoni do nich po raz drugi.

Z drugiej strony, gdyby zadzwonili do niej i z własnej woli zaproponowali trochę pieniędzy, może by nie odmówiła. Uznałyby to za grant. Albo inwestycję. Ale nie. To byłby wykręt. Jeśli czegoś nauczyła się od ojca, to tego, że samodzielność ma kapitalne znaczenie dla poczucia własnej wartości. Już było źle, bo pozwoliła, żeby Bart tak długo ułatwiał jej życie. Zdzieranie pieniędzy z ojca byłoby jeszcze gorsze; przecież nie będzie czerpać zysków z moralnie skompromitowanego przemysłu farmaceutycznego. To na niej spoczywa odpowiedzialność.

Margaret otrząsa się z tych myśli, nabiera surówkę i podnosi widelec do ust. Przyjaciółki na nią patrzą.

— Słucham? — rzuca nieprzytomnie.

— Właśnie pytałam, jak miewa się „Snatch” — mówi Alexis. — Kiedy dojdzie do zakupu?

Surówka jest niebiańska, słonawa, pachnąca morzem. Margaret zastyga, patrzy na górę skorupki ostryg, na zroszoną butelkę szampana, skrzące się złote kolczyki (trzy tysiące czterysta u Freda Segala; była tam, gdy Claire je kupowała), i zmusza się do uśmiechu. Nie ma siły na nic więcej.

— Och, niebawem — odpowiada wymijająco. Josephine uśmiecha się szeroko i kładzie dużą dłoń na jej przedramieniu.

— Cudownie! Jesteśmy z ciebie dumne, wiesz? Udało ci się! Z tym małym magazynem!

Margaret krzywi się wewnątrz na słowo „małym”, ale wbrew sobie uśmiecha się szeroko. Zarażona entuzjazmem Josephine nie czuje się winna z powodu kolejnego kłamstwa. Przez chwilę jej sukces — wyobrażony czy nie — jest równy temu, jaki odniosły jej wspańnięte rówieśniczki. Znow bierze udział w wyścigu. Tak, myśli, ożywie „Snatcha”. Sprawię, że się uda. Patrzy na uśmiechnięte, wierzące w nią przyjaciółki i ufa, że wszystko będzie dobrze.

— Toast! — piszczy Claire, podnosząc kieliszek szampana. — Za Margaret, magnata prasowego!

— Wiwat, Margaret! — dołącza się Alexis.

Margaret uśmiecha się nieśmiało, pozwalając, by alkohol zarumienił jej policzki. Bąbelki szampana i ciepłe, puszyste wiwaty unoszą ją zbyt wysoko, by miała się przejmować telefonami, Stuartem, długiem u byłego chłopaka czy nawet „Snatchem”. Jest zbyt podekscytowana, żeby panikować, gdy w końcu pojawia się rachunek opiewający na oszałamiającą sumę dziewięciuset dwunastu dolarów.

Alexis wrywa rachunek z zaciśniętych palców Josephine.

— My płacimy — mówi. Wskazuje palcem solenizantkę. — Zatkaj uszy.

Josephine wzdycha, posłusznie zasłania uszy i nuci pod nosem, żeby nie słyszeć rozmowy.

— Dobra, trzysta cztery na głowę plus napiwek, czyli po jakieś trzysta pięćdziesiąt — podsumowuje Alexis, sięgając po portmonetkę. — Nie tak źle, jak myślałam.

Przez chwilę Margaret ma wrażenie, że gdzieś w niej zerwała się winda i opada we wnętrzości. Dzielą się? Przecież ona nawet nie spróbowała homara! Poświęciła danie główne! Szybko się opanowuje i robi dzielną minę. Nie, jest świetnie, myśli, pozwalając, by bąbelki znowu ją porwały. To tylko pieniądze. Sięga po portfel z myślą, czy jakimś cudem w czasie kolacji nie zmaterializował się w nim dodatkowy banknot pięćdziesięciodolarowy.

Claire pochyla się w stronę Alexis i szepcze:

— Ale Margaret wzięła tylko sałatkę...

— Racja — przyznaje Alexis. — W takim razie ty i ja damy, powiedzmy, po trzysta siedemdziesiąt pięć, a Margaret dorzuci dwieście siedemdziesiąt pięć. — Patrzy na Margaret i unosi brew. — Sprawiedliwie?

— Jasne — odpowiada Margaret, próbując odzyskać spokój. — To urodziny Josephine. — Wyciąga portfel, wyłuskuje trzy studolarówki i wachluje się nimi. Rzuca banknoty na stół i stwierdza, że to naprawdę niezłe uczucie. Jest siła w rzucaniu setkami, myśli, pociecha w brawurze puszczenia pieniędzy. Teraz rozumie, dlaczego jej przyjaciółki przychodzą do takich lokali, i czuje, że jest im równa. To cudowne uczucie. Gdy Claire sięga do torebki, chcąc wydać jej dwadzieścia pięć dolarów, macha ręką na znak, że nie trzeba.

W głębi jej torby znów dzwoni komórka. Przez krótką chwilę Margaret nie traci humoru i optymistycznie wierzy, że ostatecznie to może być dobry telefon, ten, na który przesądnie czekała, tajemnicza rozmowa, która wszystko zmieni na lepsze. Siedzi sparaliżowana z niezdecydowania, rozdarta pomiędzy nadzieją i przekonaniem, że cudów nie ma. Chce odebrać, a zarazem

udaje, że komórka natarczywie dzwoniąca przy kolacji nie należy do niej.

Josephine odsuwa ręce od uszu i wskazuje na jej torbę.

— Czyj telefon dzwoni? Margaret, chyba twój.

Alexis i Claire też na nią patrzą. Margaret spogląda na torebkę, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. Bez sięgania do środka widzi mrugający ekran komórki, NUMER ZASTRZEŻONY, i zamiera. Bąbelki szampana pękają szybko, jeden po drugim, i nagle znów ląduje w twardej rzeczywistości. Czuje na sobie trzy pary oczu i brzemie wiary, jaką pokładają w niej przyjaciółki. Nie ma innego wyboru, jak odebrać. Wie, że nie powinna tego robić, ale jej ręka jakby z własnej woli nurkuje w skórzanych głębiach torby i wynurza się z komórką, która trzepocze się w dłoni jak ryba. Przyjaciółki milczą, obserwując ją wyczekująco. Otwiera klapkę i podnosi telefon, nieznośnie powoli, do ucha.

— Halo, czy to Margaret Miller? — pyta metaliczny kobiecy głos.

Margaret przez długą minutę wbija oczy w stół, próbując wymyślić właściwą odpowiedź. Dotyka palcem wyjątkowo duży okruszek, a gdy przykleja się do opuszki, podnosi go do ust. Wsuwa go między zęby i gryzie dwadzieścia razy, jakby to był ostatni posiłek w jej życiu.

— Tak — mówi w końcu płaskim głosem, dokładnie wiedząc, kim jest osoba po drugiej stronie. Nie ma znaczenia, skąd dzwoni, jest ich pół tuzina, może tuzin, ale wszystkie są jednakowe. Nękają ją od tygodni, miesięcy, bezcielesne głosy robotów upominające się o jej duszę. NUMER ZASTRZEŻONY.

— Dzwonię z firmy windykacyjnej w sprawie należności wobec MasterCard — szczeka kobieta. — Nagraliśmy osiemnaście wiadomości i wysłaliśmy cztery zawiadomienia pocztą. Chcielibyśmy omówić kwestię zadłużenia w wysokości dwudziestu dwóch tysięcy trzystu pięćdziesięciu trzech dolarów na

pani karcie kredytowej. Czy jest pani świadoma, że w przypadku braku spłaty MasterCard ma prawo skierować sprawę do sądu i...

Margaret powoli odsuwa telefon od ucha i zamyka go tak delikatnie, że nawet nie klika. Chowa aparat do torebki i spogląda na przyjaciółki. Patrzą na nią bardzo dziwnie. Claire ma nieco spanikowaną minę, Alexis marszczy czoło, nawet Josephine ściąga brwi z zaniepokojenia. Tym razem nie może zdobyć się na uśmiech.

— Wszystko w porządku, Margaret? — pyta Claire nerwowo, piskliwym głosem. — Zbladłaś.

— Pomyłka — wyjaśnia Margaret i wstaje tak nagle, że sala zaczyna wirować jej przed oczami. Przytrzymuje się stołu, drugą spoconą dłonią ściska pasek torebki. Mój Boże, myśli, właśnie wydałam ostatnie trzy setki... na sałatkę. Trzysta dolarów. Na dwadzieścia dziewięć procent! Mam sto tysięcy długu i wydaję ostatnie pieniądze na sałatkę? — Prawdę mówiąc, nie czuję się zbyt dobrze — duka.

— Idziesz? Nie możesz! — jęczy Josephine. — Mamy zarezerwowany stolik w tym nowym barze z rosyjską wódką!

— Nie mogę. Muszę jechać do domu. — Nie czekając na zwykłe ceregiele, Margaret rozpoczyna długą, dręczącą wędrówkę w kierunku wyjścia z Acqua, mijając prawie sławne gwiazdki, słowiańską hostesę i mężczyzn w garniturach od Armaniego. Czuje się jak skazaniec wychodzący z sali sądowej.

*

Wracając do domu, do rozpadającego się bloku z lat osiemdziesiątych, oszpeconego graffiti przez okoliczne gangi, tak szybko pogrąża się w rozpacz, że nie jest ani trochę zaskoczona widokiem listu przyklejonego do drzwi. Otwiera go ostrożnie i czyta w nikłym świetle korytarza. Skreślony staroświeckim pismem z zawijasami na niebieskim papierze listowym brzmi następująco: „Margaret, spóźniasz się dwa miesiące z opłatą czynszu. Żałuję, że do tego doszło, ale jeśli nie otrzymam

zaległych pieniędzy do końca przyszłego tygodnia, będę musiał prosić, żebyś się wyprowadziła. Dzięki, Al".

Zgniata list w garści, wpycha do torebki, otwiera drzwi. Może myśleć tylko o łóżku. Jeśli teraz pójdzie spać, może rano wszystko będzie lepiej. W ciemności szuka wyłącznika, pstryka. Nic, nadal jest ciemno. Stoi w głównym pokoju — jedynym pokoju — słuchając płynącego z dołu warkotu samochodów. Słyszy rodzinę Hernandezów w sąsiedniej kawalerce, sprzeczkę ich trójki dzieci, hiszpańską telenowelę nastawioną tak głośno, że rozróżnia poszczególne słowa: *Soy asi que perdido — el amor de mi vida ha funcionado lejos eon mi hermana gemala!* Nocne powietrze w mieszkaniu jest gorące, stęchłe i cuchnie jak gnijący ser. Pomiedzy listewkami żaluzji sączy się siar-kowożółte światło z ulicznych latarni.

Próbuje zapalić światło w kuchni. Nic. Nie ma nawet siły płakać. Siada nagle na linoleum, lepkiem i wyświechtanym, a potem kładzie się na plecach i wlepia oczy w sufit. W ciemności fakturowany sufit mieszkania wydaje się przytłaczająco niski, jakby mieszkanie piętro wyżej opadało, żeby ją zmiażdżyć.

To koniec, myśli, że „Snatchem”, z Bartem, ze wszystkim. Za tydzień będzie bezdomna, zadłużona i bezrobotna, a myśl

o zaczynaniu od początku — o spaniu w gościnnej sypialni Josephine, o nowej pracy od zera, o próbach umawiania się na randki — jest dla niej zbyt straszna. Może mogłabym po prostu uciec, myśli. Ukryć się gdzieś, daleko od operatorów kart kredytowych, daleko od Barta, daleko od przyjaciół, rodziny

i każdego innego, kto mógłby zobaczyć, jak nisko upadła. Chce być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Telefon dzwoni w torebce, którą wciąż ma na ramieniu, i pierwsze trzy takty cholernej etiudy Chopina są ostatnią kroplą, która przemienia otepienie w furję. Margaret siada gwałtownie, wrywa komórkę z torebki i już ma nią cisnąć o ścianę, żeby nigdy więcej nie zadzwoniła — jutro i tak

wyłączą to cholerstwo — gdy jej oczypadająca ekran. LIZZIE, widzi. LIZZIE. LIZZIE.

Patrzy na wyświetlacz przez minutę, zastanawiając się, czy to jakaś kosmiczna wiadomość. Ale oczywiście to tylko jej siostra. Mimo wszystko odczuwa taką ulgę na widok jej imienia, wdzięczność, że choć raz nie jest to ktoś upominający się o pieniądze, że pomimo ponurego nastroju podnosi klapkę.

— Lizzie?

— Margaret! — Głos siostry brzmi wysoko, dziecinnie. — Tu Lizzie.

— Wiem — mówi Margaret, uśmiechając się wbrew sobie. — Przed chwilą powiedziałam twoje imię, pamiętasz?

— Aha. Cześć. Rozmawiałaś z mamą?

— Nie... — Margaret jest skonsternowana napięciem w jej głosie.

Lizzie wzdycha ciężko i głośno, jakby miażdżył ją ciężar świata utrzymanego na barkach. Takie dramatyczne westchnienia wydają czternastoletnie dziewczęta, gdy rozważają tragizm swojej krótkiej egzystencji, ale z jakiegoś powodu Margaret czeka. Westchnienie brzmi prawdziwie.

— No tak. Mama chce, żebyś przyjechała do domu — podejmuje Lizzie. — Prawdę mówiąc, nie powiedziała tego, ale to chyba dobry pomysł, bo tata odszedł, a ona świruje. Wiedziałaś, że tata odszedł? Pewnie nie, skoro z nią nie rozmawiałaś. Naprawdę świruje. Jak myślisz, będziesz mogła przyjechać?

Siedząc w dusznym mroku na brudnej kuchennej podłodze, Margaret się uśmiecha.

Gdy w poniedziałek o zmierzchu wóz Margaret skręca na podjazd, Lizzie siedzi przy oknie w salonie, czekając od prawie trzech godzin. W tym czasie pochłonęła jedenaście ciastek ryżowych z masłem orzechowym, dwa szmirowate czasopisma, litr lemoniady i jeden zakazany sneakers kupiony ukradkiem tego popołudnia w miejscowym 7-Eleven; baton pożarła wtedy, gdy miała sto procent pewności, że nie przyłapie jej mama drugi raz tego dnia sprzątająca pokój Margaret na górze. Kiedy wreszcie opony chrzęszczą na żwirze i honda się zatrzymuje, Lizzie jest tak podkrecona przez cukier i oczekiwanie, że wyskakuje z domu, zanim siostra ma czas odpiąć pasy. Pędzi do samochodu, potykając się w sandałach na korkowej platformie, więc gdy Margaret wysiada, niemalże zbija ją z nóg.

— Cześć — mówi Margaret głosem stłumionym przez jej włosy. — Witaj, Lizzie. Witaj.

Lizzie stoi przez chwilę z głową opartą na ramieniu siostry, chwytając oddech, czując zapach frytek. Wreszcie odsuwa się i skubie nogawkę spodenek.

— Boże, tak się cieszę, że jesteś w domu! — woła, połykając słowa. — Naprawdę zrobiło się dziwnie. Mama świruje. Pomyślałam, że będę musiała dać jej Valtrex albo coś...

— Valtrex? — Margaret robi zdumioną minę. — Lekarstwo na opryszczkę?

— Nie, to coś, co uspokaja.

— Aha, chodzi ci o Valium — śmieje się Margaret.

— Wszystko jedno — mówi Lizzie i wzdycha. Margaret zawsze robi to samo, nieumyślnie przypomina jej, jaka jest głupia i naiwna, jakby jeszcze wczoraj trzymała lalki Barbie w pudełku po butach w głębi szafki. Gdy Margaret wyjmuje worek marynarski z fotela pasażera, Lizzie przykłada złożone ręce do zakurzonej przedniej szyby, żeby zajrzeć na tył wozu. Jest pełen tekturowych pudeł.

— Co to?

— To... nic. Parę rzeczy, które chciałabym tu przechować. Gdzie ona jest? Mama?

— Na górze. Sprząta. Znowu. To dziwaczne. Najpierw trzymała odejście taty w tajemnicy, stawiała dla niego nakrycia i tak dalej, potem nagle wpadła w depresję, a dwa dni temu zupełnie jej odbiło i zaczęła sprzątać. Nawet w nocy. Mówiłam, zachowuje się tak, jakby potrzebowała valium.

Stoją na podjeździe, trudny temat wisi ciężko w powietrzu między nimi. Lizzie spogląda na okno, uznaje, że mama nie patrzy, i pochyła się w stronę siostry.

— Rozmawiałaś z tatą? Margaret mierzy ją wzrokiem.

— Nie, ale dostałam od niego e-maila. Napisał, że wszystko będzie dobrze. Totalny wykręt, jeśli chcesz wiedzieć. Naprawdę powinien zadzwonić.

— Ja też dostałam! — E-mail przyszedł do jej skrzynki dwa dni po odejściu ojca: „Jestem pewien, że matka już Ci powiedziała o rozwodzie. Wiem, że to może być trudne, lecz będzie dobrze. Muszę mieć trochę czasu dla siebie, dopóki nie przywykniemy do zmian, ale latem spędzimy razem trochę czasu. Może minigolf?”. To skłoniło Lizzie do zastanowienia, bo dotąd ojciec ani razu nie zabrał jej na minigolfa. Nagle wyob-

raziła sobie przyszłość pełną wizyt i osłupiała na myśl o chodzeniu do kina tylko z nim, o wspólnych wycieczkach do zoo, o robieniu wszystkich innych rzeczy, jakie dzieciaki robią ze swoimi rozwiedzionymi ojcami. „Mimo wszystko nie ma powodów do zmartwień. Jestem pewny, że nie będziesz musiała zeznawać. I obojętnie, co powie Twoja matka, to nie moja wina. Bądź grzeczna. Tata”.

Lizzie przeczytała wiadomość tuzin razy, próbując dokładnie zrozumieć sens. Czym ma się nie martwić? Co było czyją winą? I co tata rozumie przez „grzeczna”? Ale głównie zastanawiała się, dlaczego po prostu nie zadzwonił, zamiast pisać: czyżby nawet nie chciał z nią rozmawiać? Z jakiegoś powodu ten szczegół był znacznie bardziej bolesny niż fakt, że je zostawił.

W zasadzie odejście ojca jej nie zaskoczyło. Na drugi dzień przy śniadaniu, gdy mama wcisnęła jej kit, że tata „potrzebuje trochę czasu”, od razu wiedziała, że odszedł. W pewien sposób odchodził od dawna: coraz mniej czasu spędzał w domu, aż w końcu jego nieobecność zaczęła wydawać się normalna. Prawie przez całą wiosnę podróżował w interesach. Jeśli nie uczestniczył w jakiejś konferencji, to weekendy spędzał na polu golfowym albo na „biznesowych kolacjach”. Ale zdawało się, że głównie unika rodziny.

Praktycznie widywała go tylko przy śniadaniu, a wtedy bała się do niego odezwać. Obowiązująca od lat niepisana zasada głosiła, że nikt nie powinien zagadywać taty, dopóki nie dopije kawy. Podczas gdy gawędziła z matką, on chował się za „Wall Street Journal”, od czasu do czasu rzucając lakoniczne komentarze — rzadko więcej niż pięć słów naraz, nigdy nie opuszczając gazety. „Wylej ją” — mówił, gdy matka skarżyła się na sprzątaczkę, która podkradała alkohol. „Sprzedaj” — o zawodnym porsche. „Tylko po moim trupie” — o jej wyjeździe na wiosenne ferie do Meksyku. Lizzie wyczuwała, że jego cierpliwość się kończy; może skończyła się już przed laty.

Nie jest szczęśliwa, że odszedł — przecież to jej ojciec — ale w dziwny sposób odczuwa ulgę. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo wstrzymywała oddech w oczekiwaniu na chwilę, kiedy tata po prostu nie wróci z podróży w interesach. Teraz, gdy go nie było, mogła przestać się nad tym zastanawiać. Może życie bez niego nie będzie takie złe. Tylko ona i mama. I Margaret, która wróciła.

Tyle tylko że to koszmarne uczucie zostać wyrzuconym jak para starych tenisówek, żalona i zapomniana przy krawężniku. Poza tym jest również sprawa Beverly, co powoduje, że sytuacja staje się jeszcze dziwniejsza, bardziej skomplikowana i niepokojąca. Lizzie skubie kosmyk włosów i próbuje odczytać wyraz twarzy Margaret.

— Więc... tata nie wspomniał w e-mailu o Beverly?

— O Beverly? — Margaret nie kryje zaskoczenia.

— Przyjaciółka mamy. Beverly Weatherlove. Jej partnerka tenisowa. Pamiętasz?

— A co z nią?

— Chyba... — Lizzie milknie, szukając właściwych słów. — Chyba zostawił nas dla niej.

Margaret stoi w osłupieniu, z lekko otwartymi ustami, jakby nie mogła zrozumieć, co usłyszała.

— Chcesz powiedzieć, że uciekł do niej? Jak w romansie? Lizzie kiwa głową.

— Chyba tak.

- Ja cię kręcę. Mama ci to powiedziała? Matka tego nie powiedziała. Osobą, która postanowiła spełnić swój święty obowiązek i wtajemniczyć ją w drastyczne szczegóły życia seksualnego jej ojca, była Susan Gossett. Susan — i rekordzistka w stylu grzbietowym na dwieście metrów, pierwsza dziewczyna w klasie z profesjonalnie zrobionymi pasemkami, posiadaczka pary idealnych piersi o rozmiarze 32-C, których pożąдали wszyscy chłopacy, ale dotknąć mogli tylko nieliczni — uświadomiła ją po letnich zajęciach na pływalni w zeszły

czwartek, zaledwie trzy dni po odejściu ojca. Idealnie wybrała porę ataku, czekając w szatni do chwili, gdy Lizzie ściągnie kostium z pokrytej gęsią skórą pupy i będzie się czuła wyjątkowo bezbronna.

— Hej, Lizzie, słyszałam, że twój tata robi to z Beverly Weatherlove — zagadnęła słodkim głosem, obracając w palcach złoty medalion na szyi. — Zatrzymują się w hotelu w San Francisco. W apartamencie. Moja mama słyszała to od mamy Leslie Beck, która słyszała od pani Baron. Ale skandal. Pewnie jesteś totalnie zszokowana?

Zmartwiała, gdy usłyszała słowa Susan, i przez chwilę nie mogła przyswoić tej niewiarygodnej informacji. Jej ojciec? Beverly Weatherlove? Beverly z krótko obciętą, farbowaną na blond fryzurką i zmarszczonym brązowym rowkiem pomiędzy piersiami? Partnerka tenisowa i klon matki? To było niewyobrażalne. Gdy stała, wrząc bez słowa, ociekając chlorowaną wodą, Susan cofnęła się o krok i powiedziała na tyle głośno, że słyszała cała szatnia:

— Nie robiłaś tego z Markiem Weatherlove'em? Czy to nie byłoby czymś w rodzaju kazirodztwa? Ohyda. — Wszelkie pozory słodyczy znikły, Susan gapiła się na nią ze skupieniem jastrzębia, który ma zamiar rozedrzeć polną mysz na strzępy.

Lizzie wbijała paznokcie w dłonie, zostawiając na skórze drobne bolesne półksiężyce. Nie płacz, myślała. To pocałunek śmierci. Prześledziła cienką nić bólu do środka piersi, zwinęła ją w głębokim drżącym oddechu. Zobaczyła twarz Marka: trądzik na czole, dziwne odstające uszy, nastroszone włosy po bokach głowy. Mark, kolega z klasy, syn najlepszej przyjaciółki matki, palant, którego od lat musiała znosić na rodzinnych grillach, przyjęciach przy basenie i grupowych biwakach.

— Mark? Koszmarny — powiedziała, próbując podchwycić odpowiednią nutę znudzonej nonszalancji. Gdy wciągnęła koszulkę przez głowę, znowu napotkała błękitne oczy Susan. — Jesteś naprawdę stuknięta, skoro tak uważasz. — Ale jej umysł

pracował na najwyższych obrotach: czyżby Mark wygadywał, że z sobą spali? Dlaczego skłamał? Co poza tym słyszała Susan? Czy ludzie gadali? Co wiedzieli?

Policzki miała takie gorące, że praktycznie słyszała skwierczenie ściekającej wody. Już zrezygnowała z próby rozgryzienia logiki stosunków społecznych Fillmore High: dlaczego niektórzy jedzą lunch na trawie na głównym dziedzińcu, a inni koczują na gołej ziemi za salą naukową, dlaczego tylko pewna muzyka rycząca ze stereo w samochodzie na parkingu jest akceptowana (Bobby Masterston: tak, The Hurly Burly Boyz: nie), dlaczego dziewczyny, które noszą ciuchy firmy Abercom-bie & Fitch, są tak zdecydowanie przeciwne tym, które mają czelność pokazywać się w ubraniach od Tommy'ego Hilfigera. Zasady istniały i zgłębiała je z zacięciem, choć nie dostała przewodnika, który wyjaśniałby, dlaczego w ogóle istnieją. I'rzez wiele lat oczywiście nie uczestniczyła w grze — nie grając, nie przegrywała, ale też była nikim dla koleżanek w rodzaju Susan, co było niemal równie złe. Dopiero niedawno weszła na boisko, a zaraz potem stwierdziła, że stała się celem ich wrogości, i wciąż nie miała pewności, czy to podnosi, czy obniża jej notowania.

Ale w czwartek stało się jasne, że przegrała rundę. Susan odsunęła się, zmierzając do wyjścia.

- Ja tylko powtarzam, co słyszałam — rzuciła na odchodnym i znikła, zanim Lizzie mogła coś powiedzieć. W szatni powrócił gwar, gdy reszta dziewcząt zajęła się kostiumami kąpielowymi, suszarkami, tuszem do rzęs. To jak powracający sen, pomyślała Lizzie żałośnie, ten, w którym przychodzi na imprezę i dopiero gdy wszyscy zaczynają w nią rzucać balonami z wodą, spostrzega, że ma kostium kowbojki, a to wcale nie jest hu I przebierańców. Chciała uciec do łazienki, żeby dać upust wzbierającym łzom upokorzenia, ale uznała, że to zły pomysł. Rozejrzała się. Prawie wszystkie dziewczyny odwracały oczy, i wyjątkiem Becky Jackson. Becky zmarszczyła nos, zrobiła

zeza i bezgłośnie powiedziała „suka”, wskazując kciukiem na drzwi. Lizzie poczuła wdzięczność: Becky była przyjaciółką, na którą zawsze mogła liczyć. Jej jedyną przyjaciółką, prawdę mówiąc. Miła, solidna, prostolinijna Becky, zawsze gotowa na dodatkowy batonik czy wyprawę do centrum handlowego, nawet jeśli czasami wydawała się, cóż, młoda.

Po basenie Lizzie poszła prosto do domu. Serce wciąż nieprzyjemnie łomotało jej w piersi, skóra swędziała od chloru. Dokuczał jej jakiś nieokreślony ból, nie dość głęboki, żeby zapłakać. Miała wrażenie, że jest pusta jak matryoszka. Jej ojciec? Romans? Jak mogła nie wiedzieć? Czują, że zajrzała do sekretnego świata dorosłych, którego istnienia wcześniej nie podejrzewała, niebezpiecznie bliskiego jej światu, i nie potrafiła w pełni pojąć, co to wszystko oznacza. Nagle zobaczyła ojca robiącego to z Beverly (Gdzie? W tanim hotelu? Na tyle jej bmw kombi?) i zrobiło jej się niedobrze.

Dom był gorący, duszny i milczący za drzwiami zamkniętymi przed popołudniowym wiatrem.

— Mamo?! — zawołała, ale nie doczekała się odpowiedzi. Uznała, że matka wyszła. Japonki pisnęły, gdy pośliznęła się na nawoskowanym parkiecie w holu i popędziła po schodach. Dom był zaprojektowany na planie L, w miejscu spotkania dwóch skrzydeł z piętra spływały mahoniowe schody, które rozwijały się jak język ziejącego psa. Na dole znajdowała się kuchnia i salon, gdzie spędzali większość czasu w ciągu dnia, a w głębi zatęchły pokój, urządzone na biało jak okropna jadalnia (gdzie Lizzie, jak było do przewidzenia, wysypała żurawinę na dywan w Święto Dziękczynienia), i zakazany gabinet taty. Na górze na lewo od schodów mieściły się sypialnie córek, a na prawo była sypialnia rodziców. Gdyby ktoś stanął na końcu skrzydła dziewcząt i krzyknął na cały głos, całkiem możliwe, że nikt nie usłyszałby go w drugim skrzydle — głównie z powodu puszystej tapicerki, która zdawała się wchłaniać wszystkie dźwięki z pokoi. Zasłony z grubego brokatu

i puchowe poduszki w poszewkach z aksamitu dodatkowo tłumiliły odgłosy. Czasami, idąc korytarzem, Lizzie uderzała ręką w ścianę, aż bolało, tylko po to, żeby przypomnieć domowi o swoim istnieniu.

Wstrząśnięta wieściami od Susan tego dnia stwierdziła, że z niewiadomego powodu ciągnie ją do sypialni rodziców, centrum tajemnicy w domu. Co spodziewała się tam znaleźć — odpowiedzi? Ukryte listy miłosne? Ojca robiącego to z Beverly Weatherlove? Z pewnością nie matkę leżącą w środku dnia.

Rolety zostały opuszczone i tylko odrobina światła sączyła się zza upiętych zasłon, oświetlając sylwetkę na rozesłanym łóżku. Lizzie uderzyła dłonią w kontakt i zamarła z trwogi. Matka leżała na wznak, ubrana w błękitny welurowy spodniom, z maską żelową na oczach. Na szafce nocnej stała butelka Cotes du Rhône, wiśniowy krążek odznaczał się na drewnie. W prawej ręce trzymała na wpół opróżniony kieliszek, który przechylał się niebezpiecznie. Na łóżku obok niej leżał zakurzony garnitur ojca.

Matka drgnęła, słysząc szmer otwieranych drzwi, i trochę wina wylało się na łóżko.

— Art?! — zawołała, próbując podnieść się na łokciach. Przesunęła na czubek głowy woreczki z żelem, które jak opaska podniosły jej piękne jasne włosy, i zamrugła dwa razy, wbijając w nią powiększone źrenice. — Och. Przepraszam, skarbie. Jak było na basenie? — Janice postawiła kieliszek na stoliku

I strzepnęła dłonią rozlane wino.

Lizzie zrobiła krok do przodu.

Dobrze się czujesz? Janice usiadła, oparta o poduszki, wachlując lewą ręką płonące policzki. Maską żelowa zostawiła głębokie ślady mi delikatnej skórze wokół oczu, nadając jej wygląd oszołomionej sowy.

Tak, świetnie. Po prostu pogoda trochę mnie zmęczyła —

odparła, ale nie zabrzmiało to przekonująco. — To chyba alergia. Wszystkie te pyłki w powietrzu.

— Och — mruknęła Lizzie nie całkiem pewna, jak się odnieść do takiej oczywistej nieprawdy. Matka pachniała trochę cierpko, jak zwierzały alkohol. Czy była pijana? Lizzie popatrzyła na nią z przerażeniem. Mama nigdy nie piła. — Jesteś pewna?

Janice pokiwała głową, z każdym skinieniem uderzając potylicą w wezłowie.

Lizzie z trudem przełknęła ślinę. Od kilku dni czekała na załamanie matki, czekała na wskazówkę, jak ona sama ma zareagować na odejście ojca, ale matka nie uroniła jednej łzy, przynajmniej nie przy niej. Zachowywała się, jakby nic się nie zmieniło. Usiadła do kolacji, ignorując puste nakrycie męża, i wypytała ją o dzień na obozie pływackim. Potem zestawiała listę zakupów i wertowała „Gourmet”, układając menu na zbliżające się koktajl party. W środę rano jak zwykle pojechała na ćwiczenia metodą Pilatesa, a potem na manikiur. Ale jej głos podskoczył o parę oktaw, stał się ostry i nieprzyjemny. Lizzie czuła napięcie, jakby obserwowała kruchy kryształowy wazon, który balansuje na krawędzi półki i lada chwila może spaść z trzaskiem na ziemię, i nie mogła zapobiec nieszczęściu.

W ten czwartek odetchnęła z ulgą, bo wreszcie coś się zmieniło, choć to szczególne załamanie matki nie było dokładnie takie, jak sobie wyobrażała. Spodziewała się czegoś trochę bardziej zwyczajnego, może na przykład łez. Teraz miała wrażenie, że czarna dziura wyssała wszystkie emocje z pokoju. Ta pustka była przerażająca. Niepewnie zrobiła krok do przodu.

— Mamo? Smutno ci przez tatę? Janice zeszywniała.

— Nie będziemy teraz rozmawiać o twoim ojcu.

Lizzie próbowała trzymać język za zębami, z całej siły przyciskając go do podniebienia, ale pytanie i tak się wysmyk-nęło. Nie mogła nic na to poradzić.

— Mamo, słyszałam coś dzisiaj o Beverly Weatherlove — zaczęła i skrzywiła się odruchowo, czekając na reakcję matki.

Ale nic się nie stało. Janice przycisnęła palce do skroni.

— Mogłabyś przynieść mi aspirynę? Boli mnie głowa. Lizzie westchnęła i wsunęła się do łazienki, żeby przejrzeć

szafki, przy okazji zrzucając pęsetę i pustą butelkę vicodinu na podłogę. Wróciła do sypialni, wytrząsnęła na wyciągniętą rękę matki dwie tabletki paracetamolu. Janice zacisnęła dłoń.

— Chcesz wody? — zapytała Lizzie, ale matka już popijała tabletki winem.

— Dzięki, skarbie — odparła i poklepała ją po nadgarstku. — Jesteś aniołem. Teraz pozwól mamie się przespać. Później zrobię ci kolację.

— Mamo...

Janice zamknęła oczy.

— Nie — mruknęła. W pokoju zapadła cisza. Lizzie słyszała płynące z dali ciche poszczekiwanie psa sąsiadów. Powietrze wydawało się gorące. Przez minutę czekała przy łóżku, ale matka nie otworzyła oczu. Z powrotem włożyła maskę żelową i zsunęła się z poduszek, kładąc na wznak. Jej włosy rozłożyły się wachlarzem na prześcieradle.

Lizzie wyszła za drzwi. Na dole podniosła słuchawkę i wybrała numer siostry w Los Angeles. To za wiele, żeby poradziła sobie sama, zdecydowała. Margaret będzie wiedziała, co zrobić. Zawsze wszystko wiedziała. Przyjedzie do domu i znowu wszystko będzie dobrze.

Tyle tylko że Margaret już tu jest, a jej obecność wcale nie uspokaja, jak się spodziewała. Coś w wyglądzie siostry ją niepokoi, choć nie umie dokładnie tego określić. Zawsze była zazdrosna o jej szybki metabolizm, o obojętne podejście do lodzenia, podczas gdy ona od urodzenia była nieszczęśliwym członkiem klubu pustego talerza. Jeśli zmusi się do zjedzenia sałatki na kolację, w nocy śni o batonach Twinkies i pieczonych kurczakach, o ociekających majonezem kanapkach z tuńczy-

kiem i ciastkach czekoladowych prosto z piekarnika. Ale teraz Margaret jest chuda jak patyk. Kiedy obejmowały się na podjeździe, Lizzie czuła wystający obojczyk, kościstą klatkę piersiową pod letnią frotową sukienką. W dziesięciocentymetrowych platformach jest wyższa od niej, może stąd to wrażenie, ale dziwna prawda wygląda tak, że Margaret jakby ubyło.

Idą podjazdem w stronę domu, Lizzie niesie torbę z laptopem, Margaret dźwiga worek na chudym ramieniu.

— Mów — prosi Lizzie chętna zacząć od przyjemnych plotek — co u Barta?

— Świetnie — mówi Margaret szybko. Lizzie czeka na ciąg dalszy, ale siostra nie podejmuje tematu. Lizzie gryzie się w język: może w Los Angeles nie wypada rozmawiać o słynnym chłopaku. Może trzeba udawać, że chodzenie z gwiazdą jest zupełnie normalne. A jednak umiera z ciekawości, chciałaby wiedzieć jak najczęściej o hollywoodzkim życiu, o którym czyta w kolorowych pisemkach, a Margaret zawsze skąpi takich szczegółów.

Zmienia taktykę.

— Byłaś ostatnio na jakichś hollywoodzkich przyjęciach? — pyta. — Jakie sławy widziałaś?

— Lizzie, sławy naprawdę nie są takie interesujące, jak myślisz. — Margaret patrzy na nią z ukosa. — Chyba powinnaś przestać kupować te szmirowate brukowce. Sprawiają, że tracisz wiarę w siebie. Nie czytasz czasopism, które ci przysyłam? W lutowym numerze zamieściłam obszerny wstępniak na ten temat.

— Jasne, że czytam — zapewnia Lizzie, choć tak naprawdę uważa „Snatch” za nudny i trudny do czytania. Za dużo mądrych słów, za mało plotek o sławach: mózg jej się lasuje, gdy próbuje czytać i zrozumieć, chociaż z przyjemnością wlepiała oczy w zdjęcia vibratorów w ostatnim numerze. Mimo wszystko uśmiecha się dzielnie do siostry. — Przywiozłaś mi nowy?

Margaret nie odpowiada. Przystaje przed drzwiami domu,

pod mosięzną kołatką, i mierzy Lizzie wzrokiem od góry do dołu.

— Straciłaś na wadze, prawda? — mówi, zmieniając temat. Lizzie promienieje. Zastanawiała się, kiedy Margaret zauważy.

— Już siedemnaście kilo. Dasz wiarę?

— Jasne. Wyglądasz super. Co nie znaczy, oczywiście, że wcześniej wyglądałaś źle. Marilyn Monroe nosiła rozmiar czternaście, wiedziałaś? Kult szczupłej sylwetki jest niedawnym wynalazkiem w ewolucji człowieka. Ale, tak czy siak, wyglądasz świetnie. Powinnaś być z siebie dumna.

Lizzie uśmiecha się i wzrusza ramionami, mając nadzieję, że jej mina wyraża naturalne zaskoczenie.

— To pływanie.

— Domyślam się, że nie lekcje dykcji. — Margaret uśmiecha się, gdy wchodzi do domu i idą po schodach na górę, szukając matki.

*

Na początku ósmej klasy, półtora roku wcześniej, matka zapisała Lizzie na zajęcia z etykiety, baletu i dykcji. „Dla wdzięku, wytworności w ruchach i elokwencji”, wyjaśniła. Lizzie nie cierpiała tych zajęć. Z baletu była okropna: jej *plie* były sztywne, piruety chwiejne, a elastyczny trykot ścisnął łuszczyk na udach, co wprawiało ją w przygnębienie. Etykieta okazała się najmniej potrzebną rzeczą, jakiej się uczyła: ślimaki budziły w niej odrazę, nigdy w życiu nie zje ani jednego, więc dlaczego musiała się uczyć, jak trzymać widelec do ślimaków? Dykcja była jeszcze gorsza: pani Grimley kazała jej bez końca wymawiać drżące „r,” aż myślała, że się udusi.

W zajęciach uczestniczyły gapowate, niezgrabne dziewczyny, dziewczyny z różnego rodzaju aparatami korekcyjnymi, z koszmarnym trądzikiem, cierpiące na paraliżującą nieśmiałość albo lokie, które miały nadwagę i były gamoniowate jak ona. Wiele

z nich spędzało cotygodniowe zajęcia na żalnym żuciu kosmyków włosów i chowaniu się po kątach, żeby nie wywołała ich nauczycielka. Lizzie czuła się jak wygnana do krainy zepsutych zabawek.

— Lekkie i kobiece! Jak drozd na gałęzi! Drrrozd! — ćwierkała Grimley, kursując wzdłuż szeregu nastolatek. Bezbłędnie wybierała biedną Rebeke Steinberg — wysoką na metr osiemdziesiąt, strasznie sepleniącą i tak nieśmiałą, że rumieniła się, gdy tylko ktoś na nią spojrzeł—i zmuszała ją do powtarzania zdań w rodzaju; „Ależ tak, proszę pana, zatańczę z przyjemnością”, choć z ust Rebeki płynęło coś, co przypominało owsiankę, i było jasne, że żaden chłopak nigdy nie da jej okazji, żeby mogła wylać z siebie to zdanie. Lizzie wprawdzie współczuła Rebecce, lecz trzymała się od niej z daleka, świadoma, że przyjaźnienie się ze społecznymi pariasami może jeszcze bardziej obniżyć jej status. Wiedziała, że jest fajniejsza od nich. Jasne, była przygruba, ale miała zdrową osobowość, jak wiele z tych innych dziewczyn, i choć może nie stała na szczycie drabiny społecznej, jeszcze nie spadła na sam dół.

— Wszystkie dziewczęta powinny się nauczyć, jak być damą— tłumaczyła matka, gdy Lizzie się skarżyła. — Niebawem będziesz młodą damą. I będziesz umawiać się z chłopcami. Wiem, to wydaje ci się daleką przyszłością, ale sama będziesz zaskoczona. Kiedy poznałam twój ojca, zdałam sobie sprawę, jak ważne są te rzeczy, i dlatego chcę zapewnić ci to, czego sama nie miałam. Pomyśl tylko, co się stanie, gdy miły młody człowiek zabierze cię na kolację i zobaczy, że mówisz z pełnymi ustami? Czy będzie chciał się z tobą spotykać?

— Ale, mamó, większość chłopców w klasie uważa, że maniery przy stole oznaczają wtykanie frytek w nos.

— To źle o nich świadczy. Jeśli wszyscy inni skoczą z mostu, czy ty też to zrobisz? Naprawdę, skarbie, dobre maniery pomogą ci w życiu. Wierz mi.

I tak przez jakiś czas Lizzie próbowała. Może matka miała rację, może chłopcy nie umawiali się z nią dlatego, że źle

stawała na palcach i połykała końcówki niektórych wyrazów. Może ojciec tak rzadko wracał do domu na kolację nie dlatego, że był zapracowany, ale ponieważ nie mógł patrzeć, jak widelcem do sałatek wsuwa spaghetti bolognese.

Ale choć sumiennie chodziła na zajęcia i w domu przed lustrem ćwiczyła postawę, to niczego nie zmieniło. Po ponad roku lekcji wytwornych manier umiała właściwie poprosić o podanie soli, lecz przybrała na wadze następne pięć kilo i wciąż potykała się

o własne nogi, a w sobotnie wieczory nadal nie umawiała się na randki ani na nic innego, poza urządzanym od czasu do czasu maratonem MTV z Becky. Co tydzień wsiadała z matką do SUV-a

i chciało jej się płakać, gdy widziała jej ponurą, zdeterminowaną minę. To kara, zdecydowała. Było dla niej jasne, że matka w skrytości ducha żałuje, iż nie może jej oddać i zastąpić idealną córką: jakąś chudą, wytworną, anemiczną baleriną.

Matka potrafiła nieskazitelnie zachować się przy stole, miała idealną dykcję i w zasadzie nie chodziła — płynęła przez pokoje z cichym, pełnym gracji stukaniem obcasami. I najwyraźniej wszystko przychodziło jej w sposób naturalny, bo przecież nigdy nie uczestniczyła w zajęciach z etykiety. W przeciwieństwie do niej miała drobne kości wróbla. To było absolutnie niesprawiedliwie. I wszyscy ją kochali. Zawsze wybierała się na jedno czy drugie przyjęcie, telefon dzwonił bez przerwy i choć zbliżała się do pięćdziesiątki, Lizzie czasami widziała, jak mężczyźni oglądają się za nią na ulicy. Ona sama przyciągała uwagę tylko totalnych odmieńców.

— Nie pozwalaj, żeby mama cię zmuszała do udziału w tych zajęciach — poradziła jej Margaret, gdy się jej poskarżyła. — Mnie też zmuszała. To jakieś dziwactwo wynikające z dorastania w biedzie. Matka jest przekonana, że zapewnia ci coś dobrego, ale w rzeczywistości włacza cię w jakąś stereotypową fantazję kobiecości. Mam rację? Postaw się jej, powiedz, żeby przestała cię wykorzystywać do realizowania własnych ambicji. Albo zapisz się na dodatkowe zajęcia w szkole. Ja tak zrobiłam.

Ale Lizzie w głębi duszy uważała, że matka ma rację. Była niezgrabna. Jej jedyną prawdziwą przyjaciółką była Becky, która też nie umawiała się na randki i czasami dłubała w nosie, gdy myślała, że nikt nie patrzy. Zamiast wystawać po szkole na parkingu Pizza Stone, gdzie lubiły się spotykać wszystkie fajne nastolatki, Lizzie przesiadywała w swoim pokoju i pęsetą wyskubywała włoski na nogach. Całowała się tylko z dwoma chłopakami: jeden padł ofiarą gry w butelkę na letnim obozie w siódmej klasie, a drugi, Mikey Bronstein, saksofonista altowy z klasowego zespołu, był słodki, ale nosił szkła grube jak denka butelek i wciąż pozwalał, żeby matka pakowała mu w szary papier kanapki z kielbasą bez skórek na lunch. Zabrał ją na mecz futbolu pierwszoklasistów, trzymał za rękę i nazywał swoją dziewczyną. Zawstydzona jego entuzjazmem rzuciła go w następnym tygodniu.

Niedługo później, gdy ważyła siedemdziesiąt sześć kilogramów, pewnego dnia rano zeszła na dół i zobaczyła na stole biały omlet zamiast zwykłej miski płatków z cukrem.

— Skarbie — usłyszała od matki, gdy stanęła jak wryta — nie sądzisz, że będziesz szczęśliwsza, jeśli stracisz trochę na wadze?

— Nie — odparła. — Będę żałosna niezależnie od wagi. — Ale wiedziała, że to nieprawda. Czy chude dziewczyny nie mają więcej rozrywek, więcej chłopaków, czy nie przyciągają większej uwagi?

— Och, skarbie, będzie zabawnie. Zrobimy to razem. — Matka poklepała się po udach. — Naprawdę powinnam zrobić coś z tym cellulitem. — I Lizzie wyobraziła sobie, że żyje jak matka, która stosowała dietę, odkąd sięgała pamięcią, która dla figury skubała zieleninę i twarożki, zamiast pochłaniać frytki i czekoladowy popcorn, i zebrało jej się na płacz. Przyszłość rysowała się przed nią jako jałowa pustynia, odarta z całej radości i tłuszczu.

Ale może, pomyślała, jeśli będzie chuda, przyciągnie uwagę chłopców. Randki. Miłość. A to będzie jeszcze lepsze niż

czekoladowy popcorn. Dlatego zaczęła się odchudzać. Zakończyła wypady do automatów ze słodyczami w stołówce w porze lunchu, wyeliminowała potajemne wycieczki do McDonalda, które zwykle robiła w drodze do domu po lekcjach, i przestała chować batony pod łóżkiem. Bez krzywienia się czy trzymania za nos jadła przygotowywane przez matkę sałatki z toru, mięso kurczaków bez skórki i góry szpinaku na parze.

Mniej więcej w tym okresie, jesienią w pierwszej klasie liceum, wstąpiła do drużyny pływackiej, ponieważ było to łatwym sposobem na wymiganie się od zajęć z etykiety i dykcji, jak radziła Margaret, ale również dlatego, że naprawdę lubiła pływać. Ćwiczenia i dieta sprawiły, że waga wskazywała coraz mniej: siedemdziesiąt trzy kilogramy, siedemdziesiąt jeden, sześćdziesiąt siedem. Ubrania zaczęły na niej wisieć i pomyślała, że naprawdę widzi zarys kości policzkowych. Matka była zadowolona. Lizzie zaczęła cieszyć się z jej pochwał i starała się jeszcze bardziej, żeby zrobić na niej wrażenie.

Gdy straciła dziesięć kilo, matka pożyczyła jej swoją platynową kartę i pozwoliła zaszaleć w sklepach. Lizzie zapełniła szafę modnymi ciuchami, wyrzucając workowate spodnie, wielkie koszulki i sukienki ukradkiem kupowane w dziale dla otyłej młodzieży. Zastąpiła dawne ubrania wściekle różowymi topami i džinsowymi spódniczkami mini. Nie mogła się doczekać chwili, gdy włoży coś naprawdę seksownego — fantazyjną suknię koktajlową, może nawet szpilki — i wyjdzie frontowymi drzwiami na randkę z superchłopakiem, podczas gdy rodzice będą patrzyli przez kuchenne okno.

Udało się. Gdy straciła na wadze, zyskała upragnioną uwagę. I znacznie, znacznie więcej.

Wiosną w pierwszej klasie Lizzie nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie straci cnotę. Czowała, że dziewictwo ciąży jej jak jarzmo na karku. Dziewczyny z jej klasy od lat przechwalały

się seksualnymi podbojami. Zaczynały od pocałunków z języczkiem i macanek w szóstej klasie, przechodziły do obciągania i palcówek (uznała to określenie za wulgarne i banalne: skrzyżowanie sondy kosmitów i gry na pianinie) w ósmej, a potem, w liceum, szły na całość. Działo jak w zegarku: weekendowa impreza u kogoś w domu — rodzice na wakacjach na Hawajach, dzięki czemu dzieci mogły wtoczyć beczkę piwa do salonu bez przyzwoitek — a w poniedziałek dziewczyny zjawiały się w szkole z wyprężonymi ramionami i świeżą znajomością męskiej anatomii (O mój Boże, jego penis jest krzywy! Ohyda, on ma włosy na plecach!). Wnosząc z rozmów prowadzonych w szatni, padały jak muchy przez całą pierwszą klasę. Dziewictwo wyfruwało przez okno, kwiaty zużytych kondomów kwitły w koszach w całym mieście, prześcieradła trafiały do prania z dodatkowym wybielaniem, zanim limuzyna odebrała mamę i tatę z lotniska.

Lizzie pragnęła tego tak okropnie, że niemal czuła się tym zażenowana. Nie znaczy, że wierzyła, iż utrata dziewictwa jest biletem do świata kobiet — tak jak pierwsza miesiączka okazała się nie tyle zaproszeniem do jakiegoś kobiecego klubu, co obiecywała Margaret, ile zmurą. Bardziej zależało jej na wejściu do wewnętrznego kręgu, żeby określenia: łechtaczka, mastka czy „perłowy naszyjnik”, znaczyły coś również dla niej. Albo się wiedziało, albo udawało, że się wie, a ona była zmęczona udawaniem. Próbowwała mądrze kiwać głową, gdy mimo woli słuchała kolejnej szeptanej opowieści o defloracji albo o odwzajemnionym pożądaniu, jakby wszystko rozumiała, choć nie rozumiała. Zdecydowała, że utrata dziewictwa jest ostatecznym znakiem społecznego sukcesu. Defloracja oznaczała, że dziewczyna jest obiektem pożądania, że chłopak pragnie jej tak bardzo, iż nie może się opanować. Zastanawiała się, kiedy jej mama straciła cnotę, bo z pewnością nie była dziewicą w dniu ślubu.

Ona też miała nie być, dzięki Justinowi Bellstromowi,

niekwestionowanej gwiazdzie drużyny pływackiej Miliard Fillmore High.

Jej pierwsze wiosenne zawody regionalne odbyły się w Sacramento w ostatnim tygodniu marca. Matka brała udział w wiosennym turnieju tenisowym, a ojciec wyjechał na promocję swojej firmy, więc Lizzie wsiadła do autobusu bez nich, niepewna, czy czuje ulgę, że nie będą jej krępować, czy rozczarowanie, że nie zobaczą jej pierwszych zawodów. Wprawdzie nie wygrała, ale zajęła trzecie miejsce na sto metrów stylem klasycznym. Próbowwała dodzwonić się do mamy na komórkę, żeby podzielić się z nią radosnymi wieściami, ale matka nie odbierała — pewnie była na korcie. Lizzie nie zawracała sobie głowy zostawianiem wiadomości.

W ten weekend Justin zajął pierwsze miejsce w stylu dowolnym. Gdy po zakończeniu wyścigu stanął na podium, żeby odebrać nagrodę, łypiąc okiem na wiwatujący tłum, Lizzie pomyślała, że wygląda jak jeden z tych bogów greckich,

o których uczyli się na lekcjach historii starożytnej. Adonis. Może Hermes. A może ten z dziwną zniekształconą stopą? Tak czy siak, spalone przez słońce loki Justina lśniły, lekko zielonkawe, zniszczone przez chlor (Justin był znany z tego, że odmawiał wkładania czepka), i widziała meszek na jego nogach, coraz gęstszy od dołu w kierunku krocza. Nosił sztuczny złoty ząb, który ktoś dał mu dla żartu, i kiedy rozciągnął usta w swoim firmowym uśmiechem z dołeczkami, można było zobaczyć błysk złota. Kiedy padło jego nazwisko, potrząsnął pięścią w powietrzu na znak zwycięstwa, potem odwrócił się szybko, szarpnął za gumkę spodenki Speedo i pokazał tłumowi błądy, umięśniony zadek. Trener usunąłby z zespołu każdego innego, ale nie Justina. Jemu wszystko mogło ująć na sucho.

Gdy zeskakiwał z podium, jego spojrzenie zatrzymało się na Lizzie. Co więcej, mrugnął do niej dużym, zaczerwienionym okiem: szelmowsko, jak gdyby właśnie podzielili jakiś sekret. Lizzie zarumieniła się z zadowolenia. Czy to był komunikat?

Czy wypinanie gołej pupy było pokazem tylko dla niej? Czy przez cały czas durzył się w niej, a ona po prostu o tym nie wiedziała? Wydawało się to nieprawdopodobne — ona i Justin Bellstrom? Wykluczone. Równie możliwe jak randka pawia z orangutanem. Ale dlaczego nie? Właśnie straciła czternasty kilogram na diecie, a może zauważył jej nowy elegancki top. Może nawet zwrócił uwagę na jej start w porannych zawodach. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

Lizzie zdecydowała wtedy, że to musi być on. Nie chciała stracić dziewictwa z jakimś miłym chłopakiem jak Mikey Bronstein. Chciała to zrobić z idolem, z facetem, na którego wszyscy patrzą z podziwem. Justin należał do zupełnie innej ligi niż ona i dlatego oczywiście był idealny. Wyobraziła sobie, że dając mu siebie, wspina się o parę szczebli na drabinie społecznej Fillmore High. Boże, Susan Gossett i jej przyjaciółki padną trupem, gdy zobaczą, jak spaceruje po szkolnych korytarzach z Justinem!

Wieczorem, po dwóch godzinach oglądania płatnych filmów w pokoju hotelowym, oznajmiła Becky, że idzie do automatu, i udała się na przeszukiwanie wyświechtanych korytarzy Sacramento Wander Inn (pokój dwuosobowy tylko trzydzieści dziewięć dolarów za dobę), próbując znaleźć Justina. Hotel został wynajęty przez pływaków z całego stanu. Trenerzy nie przejmowali się rozpustą, a może spali i nie byli niczego świadomi albo machnęli na to ręką i uciekli do baru. Kiedy przyciskała ucho do drzwi różnych pokoi, miała wrażenie, że znalazła się w pałacu rozkoszy. Z jednego pokoju płynął dźwięk wrzaskliwego śmiechu i tłuczonego szkła, z drugiego huk strzałów z telewizora, z innego rytmiczny łomot wezgłowia o ścianę. Na korytarzach walały się butelki po piwie, puste pudełka po pizzy, tu i ówdzie widziała kałużę wymiotów. Posuwała się ostrożnie z parteru na czwarte piętro, przestępując nad nieprzytomnym nastolatkiem na schodach, przeciskając się na palcach wokół grup

dziewczyn szepczących przed drzwiami pokoi, patrzących na nią obojętnie.

Po półgodzinnej wędrówce była gotowa się poddać i wrócić do swojego cichego pokoju, gdzie zostawiła Becky przy *Randce w ciemno* z kablówki. Czekala przed drzwiami windy, starając się nie oddychać, żeby nie wciągnąć do płuc zapachu, który płynął ze stojącej obok donicy z paprocią, gdzie ktoś niedawno oddał mocz. Gdy drzwi windy się rozsunęły, zobaczyła Justina. Leżał w kabinie, lubieżnie obejmując poduszkę. Otworzył przekrwione oczy i popatrzył na nią.

— Organizacja imprez, jazda na górę — powiedział. — Masz piwo?

Smród gorzały wzniósł się w powietrzu i uderzył ją w twarz. Lizzie powoli weszła do windy, ale nie wcisnęła żadnego guzika, gdy drzwi się zamknęły. Wyklepała tekst, który przez cały wieczór powtarzała w głowie.

— Gratuluję zwycięstwa w stylu dowolnym. — Stojąc nad nim, czuła się niezgrabnie wielka, więc kucnęła i zaczęła jeszcze raz: — Myślę, że to, co dzisiaj zrobiłeś, było naprawdę zabawne. Wiesz, po wygranej.

Justin mrugnął do niej.

— A wódka? Masz wódkę? Marycha? Wezmę wszystko.

- Nie — odparła, zaskoczona. Spróbowała powrócić do scenariusza. — Naprawdę podoba mi się twoja technika. To, jak bierzesz oddech co cztery wyrzuty ramienia.

Justin przetoczył się na plecy i przytulił poduszkę do piersi.

- Kim jesteś? Ścisnęło ją w dołku.

- Lizzie. — Podniosła się i wcisnęła guzik swojego piętra. Winda ruszyła na górę. — Lizzie Miller. Należymy do jednej drużyny. Pływam stylem klasycznym.

Aha, fakt. Lizzie. Lizzie ze stylem klasycznym. Stylowa Lizzie. Lizzie, wiesz, gdzie możemy dostać jakieś piwo? Nie.

— Chyba mam trochę wody w swoim pokoju. Tylko nie pamiętam, gdzie jest mój pokój. Wiesz, gdzie jest mój pokój?

Winda stanęła, a gdy drzwi się rozsunęły, zobaczyli parę całujących się nastolatków. Patrzyli przez długie sekundy, powietrze wypełniała sugestia seksu i odgłosy mlaskania, potem Lizzie uderzyła pięścią w guzik zamykający drzwi. Drzwi się zsunęły i gdy winda jechała na górę, Lizzie rozważała możliwości. Justin był totalnie nawalony, ale kiedy nadarzy się druga okazja, żeby być sam na sam z Justinem Bellstromem?

— Jaki masz numer na kluczu? — zapytała.

Justin oparł się o lustro w kabinie. Włosy z boku głowy miał spłaszczony, a na koszulce popiół z papierosa. Sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął klucz z numerem trzysta dwa. Popatrzył na nią z niekłamanym podziwem.

— Rany, jesteś naprawdę bystra. Wzruszyła ramionami.

— Logika.

— Chcesz się napić?

Włoski nastroszyły się na jej przedramionach, jakby włożyła palec do kontaktu. Serce zaczęło bić jak szalone.

— Jasne — odparła z nadzieją, że zabrzmiało to nonszalancko.

Pokój trzysta dwa leżał na końcu drugiego piętra. Szła za Justinem, gdy wytoczył się na korytarz i odbijał od ścian jak piłka, przystając przed każdymi drzwiami, by spod przymrużonych powiek łypać na numer i porównywać go z tym na breloczku. Rzucił poduszkę na podłogę. Lizzie podniosła ją i powąchała. Pachniała jak skóra głowy. Justin zaczął gmerać kluczem przy zamku, próbując wsunąć go na odwrót. Wyjęła mu go z ręki i otworzyła drzwi.

W pokoju było siwo od dymu, zdarta z łóżka pościel piętrzyła się przed telewizorem. Jego współlokator, kimkolwiek jest, był nieobecny. Justin rzucił się na stos pościeli i zaczął grzebać pod

łóżkiem. Wyciągnął plastikową butlę z jakimś niebieskim płynem i podniósł ją nad głowę.

— Zwycięstwo!

— Co to jest? — zapytała.

— Everclear. Z jagodowym napojem koolaid.

— Everclear?

— Spirytus. Dziewięćdziesiąt pięć procent. Taki towar nieźle daje w czapę. — Pociągnął łyk i podał jej butelkę.

Lizzie powąchała, zanim wzięła łyk. Włoski w jej nosie stanęły na baczność. Miała wrażenie, że alkohol spala śluzówkę w gardle, a koolaid zostawił lepłą cukrową powłokę we wnętrzu ust. Zakrztusiła się i zabrudziła przód koszulki niebieskim sokiem.

— Fuj. Ohyda.

— Zgadza się. To dynamit.

Ponieważ patrzył, dzielnie wypija drugi łyk. Już czuła, jak ciepło rozchodzi się po brzuchu, ogarnia klatkę piersiową i płynie do czubków palców. Próbowwała wcześniej alkohol — od czasu do czasu spijała resztki z kieliszków rodziców po kolacji, a w zeszłym roku pozwolono jej wypić cały kieliszek szampana na bar miewie, ale nigdy nie coś takiego. Zdecydowała, że wrażenie jest przyjemne. Czuła się nieważka, niemal jnkby pływała. Wyjęła butelkę z rąk Justina i wypija kolejny haust. Położyła się na stercie pościeli obok niego i spojrzała na sufit. Komuś udało się przykleić do niego kulkę gumy do żucia.

Justin zapalił papierosa i wydmuchnął dym. - Czy to nie ciulowe? Nienawidzę tego gówna. Papierosów? Tak, są obrzydliwe. Nie. Pływanie. Robię to tylko dlatego, że mama mi każe. Myśli, że dzięki temu dostanę się na dobrą uczelnię. Ale nie cierpię tego całego góóów... — beknął. — Chodzi o to, że marnuję weekendy. Sacramento jest do dupy, wiesz? Chciałem zostać w domu i zrobić imprezę. Pieprzyć wstawanie o szóstej, za dużo roboty.

— Czy ja wiem — mruknęła. Miała mdłości, kręciło jej się w głowie od dymu i czuła pot na czole. — Myślę, że to fajnie, gdy człowiek jest w czymś dobry.

— Jesteś dobra w pływaniu?

— Coraz lepsza. Chyba całkiem niezła. — Zarumieniła się. Gdy podniosła głowę, zobaczyła, że Justin leży na boku i przygląda jej się uważnie. Wyciągnął rękę i spuścił jej kosmyk włosów na oczy.

— Hej, czy to nie ty straciłaś całe mnóstwo na wadze?

Pokiwała głową, nie mogąc wprawić języka w ruch. Pociągnęła następny łyk gorzalki, która unieruchomiła także jej kończyny. Guma na suficie zaczęła falować w dziwny sposób.

Justin się przysunął. Czuła ciepło jego ciała przez bawełnę koszulki tak blisko, że gdyby przesunęła rękę o parę centymetrów, mogłaby go dotknąć. Skamieniała. To chwila mojej przemiany, pomyślała. Mogę zostać kimś.

— Lecisz na mnie? — zapytał Justin. Urwał. — Jeśli tak, to OK.

Opuściła powieki, żeby nie widzieć jego reakcji, i pokiwała głową. Z zamkniętymi oczami czuła się jak na karuzeli wirującej na najwyższych obrotach. Proszę, pomyślała, proszę, gdy otworzę oczy, niech będzie szaleńczo we mnie zakochany. Policzyła do trzech i uniosła powieki. Justin pochylał się, patrząc na nią z odległości dziesięciu centymetrów. Oczy, zauważyła, miał jasnoniebieskie, niemal koloru wody w szkolnym basenie. Pomyślała, że czuje krew pulsującą w żyłach, w rytm z walącym sercem.

Zanim zdążyła się zastanowić, co robi, poderwała się i pocałowała go. Nie wydawał się ani trochę zaskoczony.

Jego język, niemrawy, smakował jak surowy stek zmięczony popiołem i cytrynami, gdy ich nosy zderzyły się w ciemności. Dzięki Bogu, pomyślała, i znowu zamknęła oczy. Musiała mocno skupić się na oddychaniu przez nos. Czuła ślinę ścieka-

jąca po brodzie. Omywały ją fale alkoholu, niosąc ją delikatnie, zabierając jej koszulkę, dzinsy, stanik i majtki, aż sześć minut później znalazła się naga i bezbronna na przeciwnym brzegu.

Później próbowała przypomnieć sobie szczegóły utraty dziewictwa i stwierdziła, że pamięta niewiele. W zasadzie nie bolało — może znieczulił ją everclear? — ale też nie było fantastycznie. Zdecydowała, że czuła się podobnie, gdy musiała usunąć zęb mądrości i dentysta podał jej podtlenek azotu: doświadczenie trochę nieprzyjemne, gwałtowne, cudowne i trudne do określenia.

Miło było dopiero później, gdy leżeli nadzy, a ona słyszała przy uchu jego powolny oddech. Nie starła jego potu, który skapnął na jej brzuch. Nigdy w życiu nie była tak blisko chłopaka, ciało przyciśnięte do ciała, splecione włosy. Jej ojciec nie lubił przytulania, a mama się nie liczyła. Więc to jest intymność, pomyślała. Oto, co znaczy być blisko kogoś. To piękne. To takie proste.

- Dzięki — wymamrotał. — Było fajnie.

Przez parę minut leżeli w milczeniu. Włączył się klimatyzator i ich nagie ciała pokryła gęsia skórka. Ktoś zapukał do drzwi, Lizzie zamarła, bojąc się oddychać, gdy głos trenera Jonesa popłynął przez sklejkę.

Gasić światła, dzieciaki. Nastawić budziki na szóstą. — Słyszała, jak odchodzi i puka do drzwi sąsiedniego pokoju.

Powinam iść — szepnęła, mając nadzieję, że Justin poprosi, by została. Justin nie odpowiedział. Wykręciła szyję i popatrzyła na głowę złożoną na swojej klatce piersiowej. Usta miał otwarte, widziała język niebieski od koolaid. Musiała użyć obu rąk, żeby go zepchnąć. Padł na podłogę i zaczął chrapać. Lizzie wyszorowała się do czysta papierem toaletowym w łazience, a potem ubrała niechętnie, czując, jak śmierdzące ubranie wkładane na nagą skórę jeszcze bardziej wymazuje doniosłe zdarzenie, które miało miejsce przed chwilą. Potem wyszła. Chwiejnym krokiem wróciła do swojego pokoju, gdzie

Becky spała pośrodku łóżka, przytulając pluszowego misia do piersi.

Justin nie zadzwonił. Wprawdzie nie dała mu swojego numeru, ale w skrytości ducha miała nadzieję, że jakoś go zdobędzie. Ale gdy później w tygodniu zobaczyła go na szkolnym korytarzu, uśmiechnął się do niej, pomachał palcami i nawet bezgłośnie powiedział „cześć”, mijając ją z kumplami. Pomyślała, że zobaczyła... czyżby? Tak. Puścił oko. Tym razem naprawdę, specjalnie do niej.

Becky ze zdumieniem obserwowała jego zachowanie.

— Od kiedy przyjaźnisz się z Justinem Bellstromem?

Lizzie tylko uśmiechnęła się tajemniczo — może trochę jak Mona Lisa, pomyślała, i pozwoliła, by przepelniło ją ciepło sekretnej intymności. Zobaczyła zaskoczenie na twarzy Becky i była taka szczęśliwa, że omal nie wyskoczyła ze skóry.

*

Może to prawda, że utrata dziewictwa nie spełniła jej oczekiwań. Justin wcale nie był w niej szaleńczo zakochany i wcale nie chciał zostać jej chłopakiem. Ale zdarzenie uchyliło dotąd szczelnie zamknięte drzwi w warstwie społecznej Miliard Fillmore High. Justin od czasu do czasu podchodził do niej po treningu, żeby powiedzieć „cześć”, i niektórzy z jego kolegów też zaczęli kiwać do niej głową na korytarzach. Zaczęła znajdować w szafce zaproszenia na imprezy, z których wcześniej czuła się wykluczona, liściki z pytaniami, czy chce zostać po szkole, żeby razem odrobić pracę domową, albo czy wpadnie, gdy rodzice wyjadą z miasta.

Matka miała rację: strać na wadze, naucz się poprawnie trzymać widelec, a będziesz mogła umawiać się na randki, z kim tylko zechcesz. Okazało się, że chłopcy ją lubili. Zamroczona nową popularnością zaczęła uprawiać seks z kolegami Justina. Nie tylko z jednym. Prawdę mówiąc, zrobiła to z sześcioma.

Była zachwycona zainteresowaniem, to wydawało się wprost nierealne. Gdy tylko zjawiała się na imprezie, natychmiast otaczali ją koledzy, którzy zdawali się chłonać każde jej słowo, którzy pilnowali, żeby jej ręce nigdy nie były puste. Życzliwie przynosili jej szklanki wykradzonego z barku rumu z colą, puszki Pabst Blue Ribbon zakupione przez wspaniałomyślnych starszych braci, fajki Bongo szczerze napełnione śmierdzącą inaryską, którą ktoś kupił na placu zabaw w podstawówce. Końcówkę pierwszej klasy przeżyła na chmurze gorzały i trawki upojona nie tyle niespodziewaną męską uwagą, ile alkoholem. I jeśli chłopcy niekoniecznie zadawali się z nią w szkole, to też było OK. Liczyły się godziny towarzyskie po lekcjach i w weekendy, bo wtedy nowa Lizzie budziła się do życia. Czuła się trochę jak Kopciuszek: usmarowany sadzą kocmołuch, który po szkolnym dzwonku przemienia się w królową balu z niezliczonymi adoratorami.

Zdawało się, że urosła o dwa centymetry. Wyzebrała więcej pieniędzy od matki, żeby kupić buty na wysokich obcasach, wpadła do fryzjerki w centrum handlowym i kazała sobie /robić pasemka, a nawet zaszalała w Walgreen's i teraz miała całą szufladę kosmetyków. Co z tego, że dziewczyny w szkole prawie z nią nie rozmawiały, że lekceważyły ją bardziej niż zwykle. I może już nie spędzała tyle czasu z Becky, ale ostatnio Becky zrobiła się nie do wytrzymania. Jej pojęcie o dzikim, szalonym sobotnim wieczorze wciąż sprowadzało się do oglądania ckliwego filmu z Meg Ryan i zadawania tabliczce *ouija* pyłań o przyszłego męża. Lizzie już nie miała czasu na romantyczne fantazje. Miała prawdziwe życie. Miała chłopaków, którzy leraz zwracali na nią uwagę. Nawet jeśli Justin, w którym wciąż była beznadziejnie zadurzona, teraz spotykał się z cheerleaderką, a kontakty z nią ograniczał do „siema, Lizzie!” i klepnięcia po plecach.

Matka była zachwycona, że jej córka uczestniczy w tylu spotkaniach towarzyskich, i to z synami jej przyjaciółek.

— Cieszę się, że jesteś szczęśliwa — powiedziała, gdy Lizzie wybierała się na kolejną imprezę. — Nie przejmuj się godziną policyjną, skarbie. Dobrej zabawy.

Kontakty z chłopakami były zdumiewające. Uwielbiała to wszystko. Najpierw znaczące, sugestywne spojrzenia w kuchni. Ręka położona na udzie, w talii, na dłoni, a potem zaproszenie na górę, żeby „obejrzeć dom”. Później zamknięte drzwi i bicie serca. Chłód powietrza na nagiej skórze. Przez te minuty, gdy była obłapiana, dotykana, całowana, pożądana, miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, zawieszona na niciach babiego lata wysoko nad ziemią. Naprawdę ją lubili, nie mogli się jej oprzeć. Skakała od jednego chłopaka do drugiego i z powrotem, spędzając z każdym tydzień czy dwa, może weekend, nieraz tylko jedną noc, a potem zjawiał się następny. Gdy zamykała oczy, czasami mogła nawet udawać, że to Justin ją całuje.

— Brian mówił, że jesteś naprawdę gorąca — powiedział Tom Liverbach zaraz po seksie w garderobie na imprezie w majowy weekend. — Miał absolutną rację.

Spuchła z dumy, gdy usłyszała, że rozmawiają o niej jako o obiekcie zbiorowego pożądania! Jednocześnie czuła niewyraźny niepokój, że nie rozmawiają o niej dokładnie w taki sposób, o jakim dziewczyna mogłaby marzyć. Za każdym razem, kiedy porywał ją wir zalotów nowego faceta i w końcu trafiała do śmierdzącego łóżka albo na prędką sesję w porze lunchu za boiskiem futbolowym, zastanawiała się w skrytości ducha, czy ten facet będzie tym jedynym. Czy zostanie z nią na miesiąc, dwa albo nawet dłużej. Nigdy nie zostawali, co sprawiało, że troszkę się martwiła. Przecież nie służyła im wyłącznie do seksu, prawda? Przecież wszyscy uprawiają seks, prawda? Poza tym takie życie było zbyt fajne, żeby się przejmować. Jakiego określenia używała Margaret na opisanie siebie? Proseksistowska feministka. Lizzie nie wiedziała, co to oznacza, ale brzmiało dobrze. Może taka właśnie była.

I gdy przespała się z piątym, a potem z szóstym facetem, czuła narastającą dumę. Kiedy słuchała, jak inne dziewczyny rozmawiają w ubikacji o swoich podbojach, zdawała sobie sprawę, że niektóre z nich tak naprawdę nie wiedzą, o czym mówią. Ona wiedziała z doświadczenia, na przykład, że męska anatomia nie smakuje jak kurczak, wbrew temu, co Jennifer Moore oświadczyła w szatni dla dziewcząt. Widziała, jak szkolne koleżanki patrzyły na nią na korytarzach, z ponurym zaciekawieniem w oczach, pochylając się ku sobie niczym wierzby, czekając na chwilę, gdy znajdzie się poza zasięgiem słuchu, i wiedziała, że rozmawiają o niej. I czemu nie? Dziewczyny z klasy zawsze plotkowały o innych dziewczynach, które uprawiały seks, ale teraz zrozumiała, że robiły to z zazdrości: to ona miała całą władzę. Na przekór wszystkiemu okazała się atrakcyjna, a nawet pokonała je w seksualnych zawodach. Przespała się z obiektami ich westchnień i byłymi chłopakami, łącznie z dawną sympatią jej zaprzysięgłego wroga, Susan (iossett, Makssem Grouperem, zaledwie tydzień po ich zerwaniu. Prostowała ramiona, przypominając sobie, że choć raz wygrywa.

Ale w czerwcu szkoła nagle się skończyła i większość facetów z jej klasy ruszyła do Monachium, gdzie obecnie żłopali piwo w ramach dorocznej Europejskiej Przygody Edukacyjnej. Sobotnie wieczory znów sprowadziły się do oglądania powtórek *Pretty Woman* przy misce popcornu z masłem w domu Heccky. Lizzie zastanawia się, czy ktoś za nią tęskni. Na razie nie dostała ani jednej kartki. Nawet od Justina.

Lizzie pozwala, żeby Margaret szła pierwsza na górę. Mijają portrety rodzinne, które wiszą w korytarzu na piętrze — fotografie robione w każde Boże Narodzenie, oprawione w złocone ramki. Tata nieodmiennie w białej koszuli z krawatem w choinki, mama w czerwonej albo zielonej jedwabnej bluzce i w dyskretnych kolczykach z motywem świątecznym (srebrny

renifer, porcelanowi trębacze, miniaturowe ceramiczne wieńce). Dziewczynki wystrojone w odświętne sukienki z falbankami lub gwiazdkowe swetry, które ich babcia Ruth co roku przysyłała z Indiany (robione na drutach w oszałamiający wzór zmutowanych Rudolfów i demonicznych elfów), patrzą ponuro w obiektyw. Na ostatnim, z zeszłego Bożego Narodzenia, Margaret mruży oczy, a Lizzie ma taką minę, jakby zbierało jej się na wymioty, pewnie po ajerkoniaku, który wypła tamtego popołudnia.

Lizzie zatrzymuje się na podeście. Załamanie sprzed czterech dni było anomalią. Wieczorem mama przyszła do kuchni w porze kolacji, jak zwykle udając, że nic się nie stało. Ożywiła się na wieść, że Margaret przyjeżdża z wizytą — trzeba przewietrzyć jej pokój, zrobić specjalną listę zakupów, zerwać kwiaty w ogrodzie i ułożyć bukiet w holu. Powrót Margaret, myśli Lizzie, już wszystko poprawia. Wciąż nie może wymazać z pamięci tamtego obrazu: matka leży na łóżku, nieruchoma jak trup, z kieliszkiem wina w ręce.

— Mamo?! — woła Margaret.

Janice materializuje się w drzwiach pokoju, który nazywany jest sypialnią Margaret, choć Margaret przespała tam mniej niż dziesięć nocy w ciągu ostatnich czterech lat. Jest ubrana w świeżą szmizjerkę i fartuszek, ma gumowe rękawice do łokci i trzyma gąbkę w dłoni. Włosy uczesała w kok, zielone oczy błyszczą. Wcale nie wygląda na przygnębioną, myśli Lizzie; w rzeczywistości wygląda tak, jakby sama przeszła czyszczenie i polerowanie, jakiemu przed chwilą poddała szyby w oknach.

— Margaret! — Matka patrzy w stronę sypialni, potem na korytarz, próbując rozstrzygnąć, czy rzucić rękawice i gąbkę, zanim podejdzie uściskać córkę. — Nie słyszałam samochodu na podjeździe, w przeciwnym razie bym zeszła. Sprzątałam twój pokój, okna nie były myte chyba od miesiący. Mogłam praktycznie wypisać swoje imię na szybach. Jak dostałaś się tak szybko z LA? Wyruszyłaś przed świtem? Jeśli nie, musiałaś

jechać o wiele za szybko, skoro już tu jesteś. Jak szybko jechałaś?

— Cześć, mamó — mówi Margaret. Zmęczenie brzmiące w jej głosie, gdy odpowiada na grad słów matki, przypomina Lizzie, że obie walczą, że walczyły od lat, i martwi się, iż może iednak obecność siostry niczego nie polepszy.

— Chwileczkę. — Matka wraca do sypialni, żeby wrzucić nąbkę do wiaderka przy oknie i wepchnąć gumowe rękawice do kieszeni fartucha. Lizzie i Margaret wchodzą za nią. Janice bierze w ramiona i ściska starszą córkę tak mocno, że Margaret się krzywi — Lizzie pamięta zebra sterczące pod suknią i krzywi się razem z nią — a potem odsuwa się, żeby zlustrować ją od stóp do głów. — Aleś ty blada! Czy słońce nie świeci w tym Iwoim zapomnianym przez Boga mieście? Myślałam, że jest tam ciepło i słonecznie, dlaczego więc nie masz opalenizny? — Ściska ją jeszcze raz, zamykając oczy.

Margaret nagle wygląda na bardzo zmęczoną, niemal bliską płaczu, jak gdyby matka wycisnęła ją niczym gąbkę.

— Jak sobie radzisz, mamó? — pyta, ignorując pytanie. — Martwiłam się o ciebie.

— Och, daj spokój. — Janice kręci głową. — Świetnie, po prostu świetnie. Pewnie wiesz, że miewałam lepsze tygodnie, ule teraz czuję się świetnie. — Urywa. — Naprawdę świetnie — powtarza. Jej oczy kilka razy skaczą na okno i z powrotem, jakby szukała ostatniej przeoczonej smugi.

— Mamó... — zaczyna Margaret. Janice wchodzi jej w słowo.

— Cudowna pora na wizytę! Róże kwitną, ogród wygląda prześlicznie. Musimy urządzić grilla na twoją cześć. Kiedy ostatni raz byłaś w domu latem? Wieki temu. — Pochyla się, w|cha powietrze wokół jej twarzy i krzywi nos. Lizzie wie, że Margaret jest wkurzona, i przygotowuje się na jej reakcję. — Puchniesz dymem? Paliłaś? Proszę, powiedz mi, że nie palisz.

— Nie — mówi Margaret spiętym głosem.

— Zatrzymałaś się gdzieś na lunch? Mam w lodówce quiche z grzybami, nie byłam pewna, o której przyjedziesz. Mogę podgrzać, i sałatka...

— Zjadłem burgera — mówi Margaret. Cały pokój trzeszczy z napięcia. Zawsze walczyły o głupstwa: ile kawy wypija Margaret, dlaczego w country clubie jest grill tylko dla mężczyzn, dlaczego Kongres jest pełen faszystów i tak dalej. Lizzie chce zakryć uszy, wczołgać się pod kołdrę i śpiewać piosenkę Bobby'ego Masterstona na cały głos, dopóki nie przestaną. A jednak, uświadamia sobie, w ich sprzeczkach jest pewna pociecha: przynajmniej są lepsze niż milcząca walka matki i ojca. Walka rodziców przywodzi na myśl rozprzestrzeniającą się truciznę, podczas gdy starcia matki z siostrą eksplodują jak fajerwerki, są gorące i gwałtowne, ale szybko się kończą.

— Czy to znaczy, że już nie jesteś wegetarianką?

— Nie w tej chwili.

— Zatem dlaczego wyglądasz tak anemicznie? Okropnie schudłaś w LA. Martwię się o ciebie i niepokoją mnie te dziwne kulinarne trendy, o jakich się słyszy w Hollywood. Ludzie, którzy nie jedzą niczego gotowanego, ludzie, którzy nie jedzą nabiału... To takie niezdrowe. Mięso jest dobre.

— Czy ty kiedykolwiek widziałaś rzeźnię od środka? — pyta Margaret, ściągając brwi. — Czy wiesz, jak są traktowane krowy, zanim staną się twoim burgerem z poledwicy?

— Margaret, proszę.

Margaret wzdycha i podchodzi do łóżka. Podnosi kraciastą poduszkę i trzyma ją przed sobą jak tarczę. Lizzie powoli wypuszcza powietrze, rada, że siostra nie podjęła przynęty. Matka podchodzi za nią do łóżka i zaczyna spulchniać poduszki, poklepując kraciastą, potem tę w kropki i z powrotem.

— Zastanawiam się, czy nie zostać wegetarianką — wtrąca Lizzie głośno. Nie ma takiego zamiaru, ale nagle pomysł wydaje się dobry, choćby tylko dlatego, że pozwala włączyć się do rozmowy. — Czy jedzenie krewetek się liczy? — Matka i siostra

milczą. Lizzie wbija oczy w podłogę i skrobie butem dywan, jeżąc włos w kształt serca, czując się niepotrzebna.

— Jak długo planujesz zostać? — pyta Janice.

— Jak długo będziesz mnie potrzebować — odpowiada Margaret niezobowiązująco, machając ręką.

Janice kręci głową.

— To bardzo miłe, oczywiście możesz zostać, jak długo wytrzymasz, ale ja niczego nie potrzebuję. — Ostatnie słowa sprawiają, że mruga i milknie, i dodaje po chwili: — Nic mi nie jest, wielkie dzięki.

Lizzie wyczuwa kłamstwo matki i ma nadzieję, że Margaret nie uzna jej słów za zachętę do wyjazdu. Nie chce, żeby siostra wyjechała, jeszcze nie.

Margaret uważnie przypatruje się matce, jakby oceniała każdą zmarszczkę w kurzych łapkach, każde wrażliwe miejsce pod oczami. Spogląda na Lizzie, potem znów na Janice.

— Mamo, porozmawiamy o tym, co się dzieje?

Janice tylko wzdycha, przykłada palce do skroni i patrzy w podłogę. Wygląda tak, jakby mówiła do włosa dywanu. Jej głos opada o trzy oktawy.

— Margaret. Proszę. W tej chwili chcę być szczęśliwa, że jesteś w domu.

Margaret kręci głową. Lizzie, obserwując ją, dochodzi do pocieszającego wniosku: Margaret, nieustraszona Margaret, właśnie została zablokowana przez matkę. Jedna nie jest mądrzejsza od drugiej, co znaczy, że ma wreszcie kogoś po swojej stronie. Uśmiecha się do siebie i przesuwa czubek buta, żeby wygładzić dywan, wymazując serce.

Dwie kobiety stoją w swego rodzaju psychicznym zwarciu, niccałkiem pewne, w jakim kierunku zadać cios. Matka łamie się pierwsza. Rusza z szeroko otwartymi ramionami i zamyka córkę w kolejnym uścisku.

- Och, Margaret, tak długo cię nie było, powinnaś zaglądać częściej — mówi z westchnieniem. Lizzie stoi i patrzy, jak się

obejmują. Znowu czuje się jak piąte koło i zastanawia, czy nie powinna wyjść. Może jedynym powodem ich walki jest to, że mama bardziej kocha jej starszą siostrę. Ale matka podnosi głowę i przywołuje ją szybkim ruchem ręki. — Chodź tutaj, Lizzie. — Lizzie podchodzi i matka wciąga ją do grupowego uścisku. Siostry wiszą w jej ramionach bezradnie jak szmaciane lalki.

— Cudownie jest mieć dzieci w domu, gdzie jest ich miejsce! — mówi Janice. Ma łzy w oczach i jedna przejrzysta kropla wymywa krętą ścieżkę w podkładzie, odsłaniając różową skórę. Z bliska Lizzie widzi, z jakiego powodu oczy mamy wydają się dziś takie zielone. Źrenice ma maleńkie, a białka zaczerwienione, jakby nie spała do kilku dni. — Będziemy dobrze się bawić, tylko my, dziewczyny.

Lizzie czuje lekki strach. Nie wyobraża sobie zabawy z matką w tym stanie. Boli ją ramię w miejscu, gdzie wbijają się jej knykcie.

Matka wypuszcza je z objęć.

— Cóż — mówi i patrzy na nie z zadowoleniem, z jakim sprzedawca może obrzucać umieszczoną na wystawie kompozycję z kwiatów. — Może zjemy podwieczorek? Upiekłam ciasteczka cytrynowe! — Prowadzi córki do drzwi i idzie za nimi ku schodom.

Margaret przesuwa się w bok, żeby matka pierwsza zeszła po schodach, i chwyta Lizzie za ramię, ściskając mocno. Podnosi jedną brew, aż jej twarz zastyga w niemal spastycznym grymasie, a potem rozdyma nozdrza. Po chwili Lizzie mądrze kiwa głową, jakby dokładnie wiedziała, co siostra chce wyrazić tą dziwną miną, choć nie ma bladego pojęcia.

Nic nie jest równie uspokajające jak spacer alejką z warzywami i owocami w delikatesach. Janice żwawo pcha wózek pomiędzy pojemnikami i zdumiewa się otaczającymi ją dokonaniem inżynierii genetycznej. Wieże pomarańczy, każda idealna jak miniaturowe słońce. Letnie brzoskwinie, delikatnie gładzone przez właściciela sklepu, aż nastroszy się meszek. Bakłażany, obrzmiałe i fioletowe, ułożone w stosy, które przeczą grawitacji. Janice nie może nic na to poradzić, podziwia symetrię, elegancko kontrastujące kolory, urocze niewielkie kredowe znaki, które informują o zawartości koszy: „Ekologiczna cykoria *frisée*, importowana z Peru, 6,99 za funt. Chrupka i pyszna”.

Kiedy była na studiach, produkty ekologiczne ani trochę nie przypominały tych dzisiejszych. Sprzedawano je w ciemnych sklepikach, które pachniały cierpko i gorzko, jak kielki pszenicy, a produkty były mączyste, plamiste i pełne robaków. Kiedy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym przyjechała do Kalifornii jako stypendystka, przez jakiś czas robiła zakupy w sklepie z miejscowymi produktami w pobliżu akademika, ponieważ było tanio, ale również z lojalności wobec swojego nowego domu — w tych czasach z radością porzuciła Środkowy Zachód, żeby spróbować czegoś nowego. Pamięta, jak kilka

miesiący po tym, jak zaczęli ze sobą chodzić, upiekła Artowi szarlotkę. Przejęła ją groza, gdy przestał jeść i wbił oczy w maleńkiego, skostniałego robaczka na widelcu. „Zabity przez cukier — powiedział i zawiązał go w serwetkę. — Niezły sposób zejścia dla robaka”. Mimo wszystko jadł dalej, ona jednak nie mogła się zmusić do przełknięcia następnego kęsa.

Janice zatrzymuje się przed świeżymi mackintoshami, wypolerowanymi do tego stopnia, że widzi tysiące maleńkich odbić w ich rumianych policzkach. Dobry pomysł: upiecze szarlotkę dla uczczenia wizyty Margaret. To będzie idealne, takie bezpretensjonalne, zdrowe i poprawiające samopoczucie. Zręcznie wybiera dziesięć największych, najbardziej okrągłych i zarumienionych jabłek — ostrożnie, żeby nie naruszyć niepewnej wieży — i układa je na dnie wózka na cykorii, żeby się nie poobijały. Zauważa, że drżą jej ręce, i potrząsa nimi, żeby drżenie ustało.

Prowadząc wózek, mija świeże warzywa w chłodzonych pojemnikach, gdy z sykiem włączają się zraszacze. Przystaje na sekundę — nie może nic na to poradzić, tutaj panuje taki kuszący chłód, a ona czuje się lekko rozchwiana. Pochyliła się nad koperkiem i przekręca głowę, żeby mgielka spadała na twarz i szyję. Cudowne uczucie, delikatne, lekkie jak piórko kropelki moczą górę bluzki, połyskują we włosach. Wspomina podróż z Artem na Hawaje: spacer w tropikalnym lesie deszczowym, wodospad, pod który pragnęła wejść, ale się nie odważyła, żeby nie zniszczyć sukienki i sandałów. Pragmatyzm nie zostawia miejsca dla wodospadów. Szkoda, bo teraz czuje błogie szczęście, jakie płynie z zapomnienia o całym świecie.

— Janice?

Głos zdaje się docierać z odległości tysięcy kilometrów. Janice cofa się z drgnieniem, z przerażeniem uświadamiając sobie, co robiła, i otwiera oczy. Ma wodę na rzesach, prawie nie widzi, ale rozpoznaje Barbarę Bint po gardłowym głosie.

— Barbara — mówi, gorączkowo ocierając wodę z twarzy

rękawem, osuszając policzki w daremnej próbie zamaskowania zniszczeń. — Jak się masz?

Barbara Bint stoi przed nią, tarasując przejście do porów wózkiem pełnym slimfast i dietetycznej coli. Jest ostatnią osobą, jaką chciałyby zobaczyć. Z Barbarą w zasadzie wszystko w porządku, ale ma trochę za dużo entuzjazmu. Jak szczeniak, który liże człowieka po stopie, niezależnie od tego, jak mocno się go zniechęca. Jeśli powstaje komitet charytatywny, Barbara zgłasza się na ochotnika do najtrudniejszych zadań, których nikt inny nie chce się podjąć; jeśli w Święto Dziękczynienia kościół wydaje obiad dla biednych, Barbara faszeruje indyki / darów do czwartej nad ranem; jeśli w sąsiedztwie ktoś umrze, Barbara jako pierwsza zjawi się z zapiekanką i twarzą mokrą od łez. Poza tym ta jej ostentacyjna religijność, będąca skutkiem ubocznym śmierci męża (pięć lat temu spadł z wyciągu narciarskiego, na oczach Barbary, straszne), trochę niezręczna w środowisku, w którym nikt nie obnosi się ze swoją wiarą. Barbara mówi o Bogu w ten sam familiarny sposób, co ci biedni ludzie na Środkowym Zachodzie: jakby mieszkał w sąsiedztwie w przyczepie kempingowej i wieczorem wpadał na kolację z gotowych dań. Janice nie jest religijna, ale gdyby była, czciłaby Boga dyskretnie, w pobożny sposób. Na przykład nie modliłaby się szeptem, żeby Bóg pokierował jej ręką, zanim spróbuje trafić do czternastego dołka.

Dzisiaj Barbara jest ubrana w bermudy, pod którymi odznaczają się brzegi bielizny. Zawsze wygląda jak niewykończona: szare odrosty widoczne pod brązową farbą, kiepski pedikiur, kołnierzyk koszuli polo poplamiony sosem —jakby cała energię poświęcała światu i nie zostawało jej nic, żeby zadbać o siebie. Coś w niej sprawia, że Janice ma ochotę ją spoliczkować.

Barbara dotyka jej ręki. Janice ma wrażenie, że Barbara sięga zza plastikowej zasłony. Jej twarz wydaje się wodnista i mętna. Janice na sekundę zamyka oczy, mając nadzieję, że

gdy je otworzy, Barbara zniknie jak zjawą. Niestety, wciąż stoi ze ściągniętymi ustami.

— Jak się mam? — mówi. — Świetnie. Ale, Janice... — i Janice krzywi się na widok oczu, w których wzbierają łzy współczucia — jak ty się miewasz? Nie jestem wścibska, ale... słyszałam.

Janice czuje ukłucie irytacji — dlaczego Barbara Bint nie może po prostu udawać, że nie słyszała? Ma jednak zbyt wielki mętlik w głowie, żeby dłużej skupiać na niej uwagę. Jej myśli pędzą jak szalone: Jeśli poda szarlotkę, powinna zmienić danie główne, okonia z wasabi i sałatkę Edamme, może na pieczone kurczę z koperkiem włoskim i pomarańczami, a na przystawkę gratin ziemniaczane i brokuły chińskie z czosnkiem. Musi pamiętać o sodzie oczyszczonej. Czy ma sodę? Nie może sobie przypomnieć.

Przestępuje z nogi na nogę, obie sygnalizują chęć pomaszerowania przed siebie.

— Trzymam się — mówi, gdy uświadamia sobie, że Barbara czeka na odpowiedź. — Po prostu świetnie.

Barbara ścisza głos.

— Świetnie? Miło mi to słyszeć, Janice. Naprawdę. Ale... wiesz, gdyby było ci ciężko, zawsze możesz ze mną porozmawiać...

— Naprawdę, Barbaro, czuję się doskonale. Margaret przyjechała wczoraj z krótką wizytą i wiesz, cudownie jest mieć przy sobie obie dziewczynki. Poza tym nadrabiam rzeczy, które odkładałam od lat. Od lat! Nie uwierzyłabyś, jak wygląda mój strych. W sumie lato naprawdę jest piękne. — Spostrzega, że zgrzyta zębami, i zmusza się do rozluźnienia szczęk.

— Cóż, nie wyglądasz świetnie — mówi Barbara i wskazuje nad jej ramieniem. Janice odwraca się i widzi siebie w lustrze nad warzywami. Włosy ma potargane, makijaż rozmazany pod oczami, a jej biała bluzka, przejrzysta od wilgoci, ujawnia

kształt beżowego biustonosza i wzgórek brzucha. Jest ociekającą ruiną. Przychodzi jej na myśl, że wygląda bardzo śmiesznie, więc zaczyna się śmiać. Jest to dziwny śmiech podobny do czkawki. Barbara podchodzi bliżej i jeszcze mocniej chwyta jej ramię.

— Au! — Janice stara się zapanować nad histerią, zmusić zęby, żeby przestały szczekać. — Uważaj na mój łokieć tenisisty.

Barbara szybko puszcza jej rękę, ale się nie odsuwa.

— Znasz Luellę Anderton? — Janice kiwa głową, niepewna, dlaczego Barbara wspomina o skarbniczce lokalnego komitetu rodzicielskiego. — Ostatnio spotyka się z jakimś prawnikiem. Tym, który prowadził jej sprawę rozwodową. Ledwie rok po tym, jak Bill ją zostawił. Pamiętasz? Mówię tylko... Potem też jest życie. Nie trać optymizmu.

— Dzięki, Barbaro — mówi Janice. Jej nogi grożą, że zaraz zaczną chodzić z własnej woli. Rozpaczliwie pragnie, żeby ta rozmowa dobiegła końca. Już czuje, jak bąbelki jej dobrej woli zaczynają pękać, entuzjazm do placka gaśnie w zapadającej ciemności. Barbara chyba nie pojmuje niepisanego kodeksu Santa Rita, który nakazuje milczenie w obliczu brzydkich rzeczy. Czy nie rozumie, że propozycja pomocy może sprawić, iż ból stanie się bardziej realny? Odejdź, Barbaro, myśli. Wszystko psujesz. Oddycha głęboko, żeby się uspokoić, i czuje zapach szaławii, gęsty i uderzający do głowy. — Będę o tym pamiętać.

- Mówiłam to wcześniej, ale powtórzę jeszcze raz: naprawdę powinnaś przychodzić na nasze poniedziałkowe wieczory grupowego czytania Biblii. Choćby tylko dla towarzysstwa — naciska Barbara.

Janice kładzie rękę na wózku i pcha go w przeciwną stronę. Jabłka kolebią się w koszu.

Naprawdę muszę już iść, Barbaro. Margaret czeka na mnie w domu. Zamierzamy coś upiec.

Barbara idzie za nią, zmuszając ją do zrobienia kolejnego kroku, i szepcze konspiracyjnie:

— Poważnie, Janice. Moje drzwi są zawsze, zawsze otwarte.

— Wspaniałomyślna propozycja — szepcze Janice słabym głosem. Ucieka w alejkę z mrożonkami, gdzie próbuje odzyskać wcześniejszą energię. Ale nawet gdy chodzi, tu biorąc świeży strączek wanilii, tam nasiona koperku włoskiego i szalotkę — soda oczyszczona, nie zapomnij o sodzie — czuje, że znów ogarnia ją melancholia. Nie mają *crème fraîche*, co znaczy, że będzie musiała wstąpić do innego sklepu albo zadowolić się bitą śmietaną. Ktoś zbił butelkę oranżady w drugiej alejce i brudna sycząca kałuża wlewa jej się do sandała, palce stóp robią się lepkie od słodkiego napoju. A potem dochodzi do kasy. Czynne są tylko dwie, przed każdą stoi po dziesięć osób, podczas gdy kasjerka siedzi przy nieczynnym stanowisku i powoli liczy stopy pięciocentówek. Czy nie mają do tego maszyn? Janice w żółtym tempie przesuwa się do przodu i spogląda na zegarek. Jest pierwsza czterdzieści pięć, a więc James, czyściciel basenów, zjawi się lada chwila. Zwykle zostaje nie dłużej niż pół godziny, co znaczy, że zdąży na styk. Myśli, co czekają w domu, i czuje w gardle mrowienie oczekiwania.

Janice ma już przygotowaną kartę kredytową i przesuwa ją przez szczelinę czytnika, zanim kasjerka kończy sprawdzać jej zakupy. Pędzi przez parking z wózkiem dygoczącym na nierównym asfalcie i otwiera pilotem tylne drzwi SUV-a, żeby w czasie, gdy podejdzie do wozu, musiała tylko wrzucić torby do bagażnika i wystartować. Ściga się z bólem, który już nadchodzi, oleista kałuża rozprzestrzenia się od tyłu głowy na całe ciało, aż w końcu czuje się jak jeden wielki odsłonięty nerw.

Po wyjściu ze sklepu z zawstydzeniem uświadamia sobie, że przed chwilą tkwiła z głową pod zraszaczem w dziale z warzywami na oczach Barbary Bint, wścibskiej baby, która najprawdopodobniej już rozpowiada o tym po całej okolicy. To

znaczy, że Beverly i Art z pewnością się dowiedzą. Gdy te imiona nieproszone wpadają jej do głowy, znów atakuje ją przyprawiający o mdłości obraz, który czyhał na skraju świadomości, czekając na dogodną chwilę: Beverly i Art nadzy w pokoju hotelowym, wijące się spocone ciała jak w tanim filmie pornograficznym. Jej mąż! Jej najlepsza przyjaciółka! Jak on mógł? Jak ona mogła? Groza narasta w sposób niekontrolowany. Janice mocno naciska pedał gazu, o dwadzieścia kilometrów przekraczając ograniczenie prędkości. Chce zdążyć przed odjazdem Jamesa. Nie zatrzymuje się na znakach stopu, sprawdzając w lusterku wstecznym, czy nie widać gliniarzy z drogówki, i wjeżdża na podjazd, hamując za strasznie pordzewiałą hondą Margaret. James wrzuca butle ze środkami chemicznymi do pick-upa. Grzbietem ręki odgarnia od oczu gęste czarne kędziory, uśmiecha się do niej i macha ręką.

- James! — krzyczy Janice, wyskakując z wozu. — Miło cię widzieć.

*

Gdy wchodzi do domu z zakupami, lody zaczynają robić się miękkie. Mimo to przystaje przy telefonie w holu i sprawdza, czy mruga światełko sekretarki. Nie mruga. Wciska klawisz „Odtwórz”, po prostu na wszelki wypadek, ale urządzenie tylko popiskuje na nią ze złością. Art nie zadzwonił, a minął ponad tydzień.

Jest również rosnący stos poczty, łącznie z przesyłką FedEx dostarczoną w czasie jej nieobecności. Janice przystaje przy stoliku, trzymając w ramionach wyślizgujące się torby z zakupami, i zastanawia się, czy otworzyć kopertę. Nie ma odwagi. Nic jest w nastroju na złe wieści, a Bóg świadkiem, te dobre i zadko kiedy dostarczane są pocztą ekspresową.

Ma ochotę pójść prosto do łazienki i zrobić coś z ciemnością, która opadła ją w chwili, gdy zobaczyła Barbarę w supermarkecie, ale najpierw musi odłożyć zakupy. Idzie do kuchni,

gdzie Margaret stoi przy stole, przeglądając dział filmowy w gazecie, i zmienia plany.

Jest wpół do trzeciej, ale córka jeszcze jest w piżamie. W piżamie Lizzie, bo chyba zapomniała zabrać swoją. Piżama jest różowa, kwiaty wyhaftowane na bluzie pasują do wzoru na spodniach. Wisi na Margaret, która wydaje się mała, dziewczęca i młoda. Janice przez chwilę ściska serce, gdy przypomina sobie, jaka kiedyś była jej córka, dziecko, które nie chciało spać, jeśli nie przeczytała mu *Gdzie mieszkają dzikie stwory*, mała dziewczynka, która w drugiej klasie grała Wendy w *Piotrusiu Panie*, na długo zanim wyrzuciła z garderoby wszystkie różowe rzeczy, żeby zrobić miejsce dla czarnych kostiumów, i zanim zaczęła reagować na każdą jej uwagę z nieskrywanym zniecierpliwieniem.

— Gdzie kawa? — pyta Margaret zamiast powitania. — Nie mogę znaleźć.

— Dopiero wstałaś? — Janice spogląda na zegar, chowając lody do zamrażarki. Margaret zauważa jej spojrzenie.

— Nie nastawiłam budzika. Jestem na wakacjach, mam. W LA nigdy nie śpiam.

Janice próbuje wymyślić odpowiedź — ha, leniuchu, ja byłam na nogach prawie przez całą noc i gdy ty spałaś, ułożyłam zdjęcia w albumie i wyszorowałam lodówkę — ale gryzie się w język, ponieważ woli, żeby minęło przynajmniej parę dni, zanim zaczną się kłócić. Ich rozmowy szybko przeradzają się w starcia słowne. Patrzy na córkę i pragnie wziąć ją w ramiona, uściskiem wymazać wyraz napięcia z jej twarzy i przytulać tak długo, aż nie będzie miała innego wyjścia, jak odwzajemnić uścisk.

— Wiesz, że w twoim wozie cieknie chłodnica? Nie czas, żebyś sprawiła sobie nowy? Strach patrzeć na tę honde. Nie wygląda bezpiecznie. — Janice spogląda na córkę z nadzieją, że choć raz posłucha matczynej rady.

Ale Margaret tylko marszczy brwi.

— Pali siedem litrów na sto kilometrów i dowozi mnie tam, gdzie zechcę. Kiedy ty zmienisz swój pożerający paliwo, za duży i absolutnie niepotrzebny SUV na coś bardziej ekologicznego? Powiedzmy, hybrydę?

Janice kręci głową.

— Chyba wypiję kieliszek wina — mówi, zmieniając temat. — Chcesz? Czy to nie brzmi odświeżająco? Może szprycer?

— Wino? — pyta Margaret ze zmieszaną miną. — Proponujesz mi wino na śniadanie? Czyżby piekło zamarzło?

— W takim razie ja wypiję kieliszek wina, a tobie zrobię kawę.

— Dzięki. — Przez chwilę wydaje się, że zapanuje pokój. Janice wlewa kawę do dzbanka i wsuwa dwie kromki chleba

do tosterka. Wyciąga z lodówki pół butelki chardonnay i nalewa pełen kieliszek. Sączy wino, rozpakowując zakupy. Wino trochę ją znieczuliło, ale mimo to zastanawia się, jak długo powinna czekać. Kuchnia jest ciepła i słoneczna. Janice przystaje przy zlewku, wystawiając twarz do światła. Czuje jaśmin w ogrodzie, lekki, słodki i letni.

- Masz jakieś plany na czas swojego pobytu? — pyta.

- Sama nie wiem — odpowiada Margaret wymijająco. — Myślałam, że pomogę w domu. Posiedzę przy basenie. Nadrobię czytanie. A co, już chcesz się mnie pozbyć?

- Nie bądź niemądra — mówi Janice. Ale prawda wygląda tak, że niespodziewany przyjazd Margaret sprawił, iż zrobiła się nerwowa. Jej obecność odbiera jak nagane, jakby córka ją osądzała, obwiniała za odejście Arta. Zawsze tak było: zawsze czuła się jak czarna dziura wina, składnica sądów córki. Gdyby Margaret kiedykolwiek musiała wybierać, stanęłaby po stronie ojca.

Może jej wizyta w domu jest gałązką oliwną, gestem, którym pragnie wymazać wszystkie ich nieporozumienia. Janice chce wierzyć, że Margaret przyjechała, ponieważ naprawdę rozumie

i współczuje, ale w głębi serca podejrzewa, że jej motywy nie są takie czyste, że córka ma w sobie coś szarego i ciemnego, co, jak się obawia, jest aurą rozczarowania. Boi się spytać, woli nie wiedzieć, nie teraz, nie w tej sytuacji.

— Jak twoje czasopismo? — pyta z nadzieją, że to ogólnikowe pytanie wystarczy. Nie może się zmusić do podania tytułu.

Kiedy po wyjeździe do Los Angeles Margaret oświadczyła, że zaczyna wydawać nowy magazyn dla kobiet, Janice była pełna optymizmu: jej córka nie zmarnowała talentu, wykształcenia i szans, uganiając się za chłopakiem. Magazyn! Wyobrażała sobie coś w rodzaju „Vogue”, nawet „Glamour”, i przez jakiś czas zazdrościła córce ambicji, że podjęła takie wyzwanie. Była podekscytowana, dopóki nie usłyszała tytułu, bo wówczas zaczęła sobie uświadamiać, że nie jest to dokładnie ten rodzaj czasopisma.

— Chwytaj co? — zapytała zbita z tropu.

— To dwuznacznik — odparła Margaret. — Przywracam słowu *snatch** pierwotne znaczenie. — A jednak Janice nie rozumiała. Czuła się głupio, gdy córka się z niej śmiała, aż nagle pojęła znaczenie słowa i wtedy miejsce upokorzenia zajęło przerażenie.

— Och, Margaret, nie tak cię wychowałam — powiedziała, gdy córka słuchała z rozbawieniem. — I nie wyobrażam sobie, kto kupi czasopismo o takim tytule. Czy w ogóle wyłożą je na półki?

Margaret umilkła i nie chciała więcej o tym rozmawiać. I choć od tamtej pory Lizzie dostawała pocztą kolejne numery, jej Margaret nie przysłała ani jednego. Ale Janice zbiera stare egzemplarze, gdy Lizzie je przejrzy, i chowa w szafce w pokoju. Raz na jakiś czas otwiera szafkę i wertuje któryś z nich, z mieszaniną dumy i wstydu czytając wojownicze teksty córki. W większości przypadków Janice nie ma pojęcia, o co jej

* Snatch (ang.) — chwytać; także: pizda.

chodzi. Margaret jest taka mądra, lecz w jej czasopiśmie kryje się zbyt wiele złości. Zastanawia się, czy jadowity feminizm córki nie jest wymierzony w nią, czy nie jest krytyką jej decyzji postawienia domu i rodziny ponad własnymi ambicjami. Anachroniczne, tego słowa użyła Margaret, kiedy pisała o matkach, które zrezygnowały z pracy zawodowej. Ale co ona może wiedzieć? Dopiero gdy sama założy rodzinę, zrozumie, jak zmieniają się priorytety, jak mgliste fantazje o karierze stają się nieistotne w chwili, gdy trzymasz w ramionach dziecko, które cię uwielbia, polega na tobie, łąpczywie chłonie samą twoją istotę. Dopóki to nie nastąpi, Janice musi udawać, że opinie córki nie żądają.

- Och, „Snatch” ma się świetnie, jak zwykle — zapewnia Margaret.

Odpowiedź (co to znaczy „jak zwykle”?) jakoś nie uśmierza matczynej troski, ale tym zajmie się za chwilę. Margaret przegląda gazetę, potem patrzy na nią.

- Widziałam, jak rozmawiałaś z tym facetem. To czyściciel basenów?

Serce Janice przyspiesza, ale przecież Margaret nie wie, bo skąd mogłaby wiedzieć?

- Tak. James. Przychodzi dwa razy w tygodniu. Bardzo miły chłopak.

Jest niezły. Ale trochę wymoczek.

Janice myśli o Jamesie, o jego opalonym smukłym ciele i kędzierzawych czarnych włosach, nieodgadnionych zielonych oczach i delikatnym nosie, i myśli, że nie jest typem chłopaka, który podobałby się jej w wieku Margaret. Jest bardziej afektowany i wrażliwy niż męski. Poza tym nie leciałaby na czyściciela basenów, myśli, miałyby większe aspiracje.

Tak? Mnie wydaje się brudny — mówi. Poleruje kieliszek i nalewa wina. Margaret obserwuje ją z zaintrygowaną miną i chyba chce o coś spytać. Przeszkadza jej dzwonek telefonu.

Obie zamierają. Janice nie rusza się, żeby odebrać. Jeśli to Arl, nie ma siły, żeby rozmawiać z nim w obecności córki.

— Odbierzesz? — pyta ją Margaret, gdy coś dziwnego przemyka przez jej twarz, jakby nadzieja zmieszana ze strachem. Czy ona też boi się Arta? — zastanawia się Janice.

Ale Margaret pierwsza sięga do telefonu. Przyciska słuchawkę do ucha, zerka z ukosa i po chwili wzdycha — czy to ulga? A może konsternacja? Janice nie umie powiedzieć. Margaret mamrocze „nie, dzięki” i odkłada słuchawkę.

— Telemarketing — wyjaśnia.

— Spodziewałaś się telefonu od Barta? — Janice wie, że nie powinna pytać, ale nie może się oprzeć.

Margaret podchodzi do zlewu, staje tyłem do niej i myje ręce.

— Niezupełnie.

Janice strzela na oślep, licząc na najlepszy wynik.

— Co u Barta? Wciąż gra? — Ma nadzieję, że pytanie nie jest zbyt pasywnie agresywne, oczywiście doskonale wie, że Bart wciąż gra, ale na przekór intencjom lekki niesmak zakrada się do jej głosu.

Spotkała Barta tylko raz, w czasie fatalnego posiłku w L'Etouffé, i poczuła do niego instynktowną niechęć. Nie zareagował pozytywnie ani na nią i Arta, ani na przyjemne otoczenie, ani na ich próby rozmowy o teatrze. Praktycznie roześmiał się jej w twarz, kiedy wspomniała, że uwielbia ostatnią inscenizację *Nędzników*. Przyszedł do L'Étouffé — gdzie jak gdzie! — w butach motocyklowych i z brudem pod paznokciami, jadł widelcem odwróconym grzbietem do góry i obmacywał jej córkę. Najbardziej zabołało ją, gdy wyszedł w połowie posiłku, a Margaret — jej starsza córka, magistrantka, która, jak miała nadzieję, poślubi naukowca, lekarza albo polityka — poszła za nim, wybierając niepewne życie w dalekim mieście, gdzie nie miała żadnych perspektyw na pracę. Mimo wszystko może nie powinna nazywać jej chłopaka aroganckim nicponiem ani mówić córce, że marnuje życie, rezygnując z możliwości zawodowych i przenosząc się do LA z bezrobotnym aktorem. To jej nie powstrzymało i najwyraźniej znie-

chęciło ją do odwiedzin w domu. Cztery wizyty w ciągu czterech lat, nie włączając tej. Tak mało.

— Tak, oczywiście, wciąż gra — mówi Margaret z bezbrzeżną cierpliwością, jakby miała do czynienia z nierozgar-niętym dzieckiem.

— Jego bohater zginął w serialu, w którym występował, prawda?

— Wywrócili jego łódź w tropikalnym sztormie. Tragiczny wypadek. Złamał serca tysiącom nastolatków.

Janice z ponurej ciekawości obejrzała parę odcinków i nie była zaskoczona, gdy nie przypadły jej do gustu. Dwudziesta któraś tam telenowela, której akcja rozgrywała się w Malibu, w mnóstwie przypadkowego seksu, bezsensownych postaci i niepotrzebnych przekleństw. Nie rozumiała, dlaczego okazała się takim hitem, i choć się chwaliła, tylko trochę, przyjaciółkom, że chłopak jej córki odnosi sukcesy jako aktor (nie wspominając o osobistej antypatii do granej przez niego postaci), żadna z nich nie widziała serialu. Lizzie chciała oglądać, ale jej nie pozwoliła. Nie nadawał się dla dzieci.

— Co teraz robi?

- Gra główną rolę w nowym filmie.

— Serio? O czym? — Janice czuje rozczarowanie, które nie icst dla niej niespodzianką. Nie boi się przyznać, że czekała na porażkę Barta, co udowodniłoby Margaret, że od początku miała co do niego rację.

— Nie jestem pewna. Coś o samochodach.

- Ha! Może wszystkie razem go obejrzymy.

Margaret uśmiecha się nieprzekonująco, uśmiech nie maskuje taktu, że wolałaby umrzeć, niż siedzieć w kinie z nią na filmie z Hartem.

- Tak, na pewno.

Tajemniczość córki czasami sprawia, że Janice chce się płakać. Próby wydobycia z niej czegokolwiek przypominają wyrywanie nieustępliwego ostu z warzywnika. Im mocniej

ciągnie, tym większe prawdopodobieństwo, że łodyga pęknie u podstawy, uniemożliwiając dotarcie do korzeni. Żałuje, że Margaret choć trochę nie przypomina ukochanej córki Maxfieldów, Kelly, dawnej koleżanki z klasy. Helen Maxfield wciąż się przechwala, że córka jest jej najlepszą przyjaciółką, że Kelly wyszła za miłego bankiera i założyła odnoszącą sukcesy firmę public relations, że co piątek przychodzi na kolacje. Czasami Janice przyłapuje się na tym, że patrzy z nieskrywaną nienawiścią, gdy Helen przywozi córkę, zięcia i wnuczkę do klubu na niedzielne drugie śniadanie. Siadają razem, opowiadają żarty i zaśmiewają się do rozpuku, Kelly czasami ściska rękę matki w chwili wspólnej radości. Janice nie pamięta, kiedy Margaret ostatni raz dotknęła jej spontanicznie.

— Wiesz, syn Moore'a, Nelson, właśnie zdał egzaminy adwokackie w Kalifornii. Mieszka w sąsiedztwie, wynajmuje dom ledwie parę przecznic od rodziców. Pamiętasz go? Jest rok starszy od ciebie.

— Ten dzieciak z zajęczą wargą?

— Miał operację plastyczną. Powinnaś do niego zadzwonić, póki jesteś w mieście. Może stwierdzisz, że teraz macie coś wspólnego.

— Mamo, proszę.

— Pomyślałam tylko, że powinnaś utrzymywać kontakty towarzyskie. — Aby ukryć rozczarowanie, Janice zajmuje się myciem jabłek na szarlotkę, poleruje je ścierką do naczyń i kładzie na ladzie, żeby później pociąć. Zauważa, że znowu drżą jej ręce, niemal jakby były oderwane od reszty ciała. Obserwuje, jak tańczą po blacie, zmagając się z jabłkiem, bawiąc się nożem, postukując w ceramiczne płytki. W końcu składa i zaciska dłonie, żeby uspokoić je choćby na minutę. Czuje, jak niewytłumaczalna irytacja córki opada pomiędzy nie niczym ciemna kurtyna, i wie, że niezależnie, co powie, jest skazana na porażkę. Opada ją zmęczenie. W kuchni panuje cisza, słychać tylko tykanie rozgrzewającego się piekarnika.

— Jak myślisz, jak długo będziesz wydawać to czasopismo? — pyta.

Margaret gryzie jabłko.

— Mamo — mówi, przeżuwając — wolałabym o tym nie rozmawiać. Rozumiem, nienawidzisz mojego czasopisma. Uważasz, że tracę czas.

Janice dźga jabłko ostrym nożem i patrzy, jak obrane połówki kołyszają się na blacie, odsłonięty biały miąższ teraz podatny na utlenienie i zbrązowienie.

— Nie nienawidzę, skarbie — zapewnia, wiedząc, że posunęła się za daleko. — Jestem szczęśliwa, że masz się czym ekscytować. — Zerka na Margaret, która ani trochę nie wygląda na podekscytowaną. Janice nie może temu zapobiec, słowa wylewają się same pomimo ostrzegawczego komunikatu, który wysyła mózg. — Choć nadal nie rozumiem, jak możesz się / tego utrzymać.

Margaret patrzy na nią dziwnie.

— Świetnie daję sobie radę, mamo — mamrocze i znowu gryzie jabłko, aż sok tryska na podłogę, i zamyka temat. — Czy możemy przestać mówić o mnie? Czy nie ma ważniejszych spraw do przedyskutowania? Pora porozmawiać o kwestii oczywistej. Co się dzieje z tatą?

Janice zamiera. Powinna się tego spodziewać, ale jak dotąd udawało jej się unikać odpowiedzi na czyjekolwiek pytania. Milczy przez długą minutę.

— Nie wiem — mówi w końcu. To prawda. Rozpatrywała sytuację pod każdym możliwym kątem, próbując znaleźć sposób na naprawę. Instynktownie pragnie, żeby Art odszedł od Beverly, jak gdyby był cenną zdobyczą, do której nikt inny, a zwłaszcza była przyjaciółka, nie ma prawa. Powtarza sobie, że nie pozostaje jej nic innego, jak tylko przekonać Arta, że popełnił fatalny błąd, że musi wrócić do niej i zlikwidować rozłam, którego dokonał w ich świecie. Ale takie rozwiązanie nie uwzględnia dzikiej furii, jaką czuje na myśl o zdradzie, ani

upokorzenia, na jakie naraził ją Art; w głębi duszy chce, żeby on i Beverly na zawsze smażyli się w piekle. Jednocześnie nie chce myśleć o tych uczuciach. Pytanie, jak ma sobie poradzić z tym nieszczęściem, krąży jej po głowie niczym jeden z tych węży, które pożerają własny ogon, i coraz bardziej pogarsza jej samopoczucie. Lepiej je ignorować, a to, co w tej chwili czeka na nią w torebce, znacznie ułatwia ignorowanie. — Naprawdę chcesz o tym rozmawiać? — pyta z nadzieją. — Czy nie będzie milej, jeśli skupimy się na przyjemnych rzeczach, a o tym porozmawiamy później?

— Nie chcesz rozmawiać o rozwodzie? — Margaret z niedowierzaniem potrząsa głową. — To dotyczy nas wszystkich. Ciebie, Lizzie i mnie.

— Rozwód! Margaret, naprawdę wyprzedzasz wypadki. Twój ojciec i ja po prostu musimy porozmawiać, zanim... — waha się — zanim cokolwiek zostanie postanowione. Jesteśmy dalecy od... tego, o czym mówisz, jesteśmy po prostu... w separacji. Ludzie potrzebują czasu, żeby stwierdzić, co szwankuje w ich długim małżeństwie. A swoją drogą za kogo się uważasz, żeby mieć inne zdanie, panienko? Ubrania twojego ojca wciąż wiszą w szafie i jest tutaj wszystko, co do niego należy, tutaj, w naszym domu, więc mówienie o końcu małżeństwa wydaje się trochę przedwczesne, nie sądzisz?

Słucha własnego gładzenia zde gustowana swoją obronną postawą, ale po prostu nie może się zamknąć. Czuje pulsujący ból w tyle głowy, spogląda na zegar i myśli: z pewnością czekałam dość długo.

— Przedwczesne? Mamo, on odszedł. Odszedł do innej. A ty pijesz wino wczesnym popołudniem. Zastanawiałaś się, co będzie... — Margaret na chwilę zawiesza głos — z tymi wszystkimi pieniędzmi z akcji albo z opieką nad Lizzie? Co się stanie z tobą? Możesz skończyć na ulicy!

Głos córki staje się zgrzytliwy i histeryczny, jak gdyby zapowiadała koniec świata, i Janice nagle czuje, że nie zniesie

kolejnego słowa. Upuszcza przepołowione jabłko, które podskakuje i obija się na kuchennej podłodze, i z furją, z nożem w dłoni, odwraca się w jej stronę.

— Kim ty jesteś, żeby mi mówić, jak wygląda moje małżeństwo? Byłam mężatką przez dwadzieścia osiem lat, a ty uciekłaś z jakimś... aktorem... Mieszkas z nim raptem od paru lat i nagle wszystko wiesz o związkach? Jak śmiesz mi mówić, na czym polega zaangażowanie?

Margaret robi wielkie oczy, patrząc na nóż, i cofa się o krok. Podnosi ręce i rozcapierza palce, mrużąc cicho:

— Dobrze, dobrze. W porządku.

Janice myśli, że widzi nieklamany strach na twarzy córki. ('hwilowe poczucie zwycięstwa znika, gdy uświadamia sobie, że grozi jej nożem. W zasadzie nie jest to prawdziwy nóż, tylko krótki nożyk do warzyw i owoców, poza tym tępy, więc dramatyczna reakcja nie jest naprawdę konieczna. Janice rzuca nóż na deskę do krojenia, ale wciąż nie może spojrzeć córce w oczy. Pochyla się, podnosi z podłogi przepołowione jabłko i ściąga z mięszu zabłąkany włos. Czuje, że grzęźnie, szybko, w ruchomych piaskach. Gdzie jest jej torebka?

— Idę do toalety — mówi, wstając.

— Do toalety? Dlaczego nie do łazienki? — pyta Margaret.

— Mówię toaleta, bo jestem damą, w przeciwieństwie do innych mieszkańców tego domu, którzy wolą być flejtuchami albo świnkami—warczy Janice i próbuje iść, nie bieć do łazienki na dole, po drodze zabierając torebkę z lady. Zamyka drzwi, siada na sedesie i drżącymi rękami przetrząsa torebkę. Znajduje foliowy woreczek, rozpina go i wyławia małą paczuszkę.

Wysypuje biały krystaliczny proszek na marmurowy blat i skrajem karty kredytowej od Neimana Marcusa formuje cienką linię. Spogląda uważnie, dodaje odrobinę, a potem wciąga To nosem przez zwinięty w rulonik banknot dwudziestodolarowy.

Oczy zachodzą jej łzami i siada na sedesie, osuszając kącik oka kwadratową chusteczką kąpielową, żeby nie rozmazał się

makijaż. Coś gorzkiego i kleistego spływa do gardła, ale nieprzyjemne uczucie już jej nie przeszkadza, gdyż jest zapowiedzią dobroczynnych skutków panaceum.

Jest w tym coraz lepsza, myśli. Za pierwszym razem, skupiona na szlaku ognia w nosie i gardle, pomyślała, że coś zrobiła źle. Trzymała się ściśle instrukcji Jamesa — karta kredytowa, banknot, zaciśnięta dziurka nosa — ale nie spodziewała się takiej brutalnej siły. Jedynym narkotykiem, z jakim miała styczność, była marihuana, którą paliła parę razy na studiach. Poza tym zdarzało jej się zażywać środki przeciwbólowe, ale To wydawało się znacznie bardziej brudne. Patrzyła na siebie w lustrze, przekonana, że jej twarz musi wyglądać inaczej po tym, co wydawało się gwałtem. W pamięci błysnęła jej scena z jakiegoś okropnego filmu o gangsterach — stosik kokainy i mężczyzna ryjący w nim nosem niczym uczestnik zawodów w jedzeniu ciasta. Spanikowała. Czyżby popełniła straszny błąd? James nazwał ten środek krystaliczną metą, nie kokainą, powiedział, że jest stosowany w celach leczniczych, ale jeśli skłamał?

A potem niepokój przeminął, gdy narkotyk zaczął działać. Janice zaniknęła oczy, a wówczas omyła ją jasność. To samo czuje dzisiaj, teraz: promieniujące ciepło, które błyskawicznie usuwa napięcie, potem powoli rozpływa się po ciele, jak lody topiące się w pudełku w kuchni. Minutę później czuje się zupełnie jak nowa. Tak, teraz może stawić czoło wszystkiemu.

Pamięta, żeby spuścić wodę przed wyjściem z łazienki, na wypadek gdyby Margaret słuchała.

Oczywiście Janice bierze To z uzasadnionej przyczyny. W czasie kwietniowego turnieju nadwreżyła łokieć, pędząc za podciętym wolejem, który Beverly mogła bez trudu odebrać, ale nie odebrała (Beverly zawsze trochę się leniła na korcie), zostawiając walkę na jej głowie. Przegrały — pierwszy raz od

trzech lat — a potem ból łokcia skłonił ją do wizyty u doktora Brunschilda, który zalecił dwutygodniową przerwę w grze i zażywanie vicodinu przez tydzień.

Była zdumiona przyjemnym, wręcz rozkosznym działaniem Icku, bo nie tylko eliminował ból w łokciu, ale również wprawiał ją w stan spokojnej euforii. Chodząc, czuła się tak, jakby powoli sunęła po jedwabiu. Mimo wszystko miała wyrzuty sumienia z powodu zażywania pigułek. Ból ręki nie był straszny, a branie leków, których naprawdę nie potrzebowała, wydawało się niebezpieczne. Przestała, ale resztę tabletek schowała w apteczce, na wypadek nawrotu bólu.

Ten ból nie powrócił, lecz inny zajął jego miejsce. Janice odkryła vicodin w apteczce w poniedziałek, gdy Art odszedł z Beverly. Stała w łazience, w jednej ręce trzymając opróżnioną do połowy butelkę szampana, a w drugiej powoli obracając buteleczkę vicodinu. Osiem pigułek grzechotało prowokacyjnie. I pomyślała: dlaczego nie? Ostatecznie ten ból był gorszy niż naciągnięty mięsień czy złamany nadgarstek. Ten ból był gorszy nawet niż poród, ponieważ rodząc, otrzymała dar; gorszy także niż śmierć matki, która w ubiegłym roku zmarła na raka, ponieważ było wiadomo, że jej powolna agonia kiedyś się zakończy. Strata osoby żywej niosła złość, poczucie winy i zwątpienie w siebie.

Stojąc przed apteczką, myślała o tym, co powiedział Art. Klaustrofobia? Czuł klaustrofobię? To ona powinna czuć klaustrofobię: jej życie toczyło się w obrębie tego domu, ogrodu, miejscowego supermarketu, centrum handlowego i country klubu, to ona musiała być na każde zawołanie, ilekroć dzieci i mąż jej potrzebowali. Tymczasem Art co tydzień wyjeżdżał w interesach, zmieniał pracę za każdym razem, gdy kupował nowy krawat, w ciągu miesiąca odwiedzał pół tuzina krajów. Najwyraźniej nie brakowało mu swobody i czasu, żeby pieprzyć się z jej najlepszą przyjaciółką. Za kogo się uważał, żeby narzekać? Pomyślała, że jeszcze raz zadzwoni do niego i będzie wrzeszczeć, aż pękną płuca, ale zabrakło jej siły woli.

Zamiast tego wzięła pigułkę. Dwadzieścia dwie minuty później nastąpiło wybawienie. Vicodin połączony z szampanem zatarł wszystkie uczucia, pozostawiając tylko ulotne strzępki wściekłości i wstydu. Przez resztę popołudnia snuła się po domu w euforycznym spokoju. Przez bardzo długi czas stała w ogrodzie przytłoczona słodkim zapachem letnich róż. Przez kilka godzin oglądała w telewizji programy poświęcone gotowaniu pełna podziwu dla pomysłowości nadzwyczajnych kucharzy: kto napełniłby małe dynie sufletem żurawinowym? Albo wetknął w sałatkę łodyżki mięty? Myśli o Arcie i Beverly przemykały jej przez głowę, lekkie jak piórko, dzięki czemu ze zdumiewającą łatwością mogła je wydmuchnąć.

— Wróci do domu — uspokajała się głośno. — To tylko nieporozumienie. Wszystko będzie dobrze. — Nakryła stół do kolacji, na przekór wszystkiemu stawiając również nakrycie dla niego i zastanawiając się, czy pozytywne myślenie w jakiś sposób może zwabić Arta do domu. W tym łagodnym zamroczeniu powiedziała Lizzie, że ojciec potrzebuje trochę czasu i nie będzie go przez jakiś czas, a gdy zobaczyła, że córka pomyślała o wyjeździe w interesach, nie wyprowadziła jej z błędu.

Janice powiedziała sobie, że to sytuacja nadzwyczajna, że nie zażyje ponownie vicodinu, ale gdy nazajutrz obudziła się w pustym łóżku i pomyślała, że wyrwie sobie włosy, potłucze porcelanę na milion kawałków albo spali dom, stało się jasne, co musi zrobić. W jej życiu nie było miejsca na gniew, a skoro ludzie cierpiący na bezsenność czasami biorą pigułki nasenne, dlaczego ona nie może zaordynować sobie vicodinu, żeby na jakiś czas złagodzić gniew?

Przez następne dwa dni pływała na obłoku, nieporuszona i pełna energii, łykając kolejną tabletkę za każdym razem, gdy czuła, że rozmyte skraje znów zaczynają się wyostrzać. Było tak, jakby Art wyjechał w interesach — rzeczywiście spędzał większą część roku poza domem — i pomyślała: tak, mogę tak

żyć, w tym stanie zawieszenia, gdzie agapanty zawsze są jaskrawofioletowe, letnie sałatki zawsze przepyszne, moja córka zawsze cudowna. Myśli o rozwodzie i niewierności tylko przelatywały jej przez głowę. Miała wrażenie, że odkryła zupełnie inną płaszczyznę rzeczywistości, gdzie nie istnieją codzienne troski, jak w książce, którą czytała Margaret w dzieciństwie — co to było? *Lew, czarownica i stara szafa*. A potem pigułki się skończyły.

W środę wieczorem zadzwoniła do doktora Brunschilda.

— Boli mnie łokieć — powiedziała.

— Znowu? Czy w dalszym ciągu?

— Ciągle — odparła, niepewna, czy to wiarygodna odpowiedź. Miała nadzieję, że nie widział, jak grała na kortach w klubie.

— Grałaś?

— Nie — skłamała. — Za bardzo boli. Może potrzebuję więcej vicodinu?

— Nie, jeśli wciąż boli, może coś naderwałaś. Być może liz.cba będzie operować. Przyjdź, żebym mógł to zobaczyć.

Oczywiście nie mogła kłamać w rozmowie twarzą w twarz. I dlatego się wymówiła, a potem stała w pustej łazience ogarnięta poczuciem bezradności. Patrząc w przyszłość, widziała tylko ból, potwora, który czeka, żeby ją pożreć. I nagle zrozumiała żądzę mordy: to była wina Arta, powinien cierpieć równie mocno jak ona.

Otworzyła drzwi garderoby i spojrzała z namysłem na rząd icgo garniturów. Maszerowały w głębi szafy, ułożone od szarych po czarne, od letnich do ciężkich wełnianych, z wiszącymi poniżej dopasowanymi koszulami. Krawaty zwisały elegancko z obrotowego wieszaka. Buty stały karnie na dole, dobrane do garniturów, wypolerowane do połysku i z włożonymi cedrowymi prawidłami, żeby nie straciły fasonu. Janice pomyślała

o niezliczonych godzinach, jakie spędziła u Thomasa Pinksa i Neimana Marcusa, pieczołowicie wybierając garnitury, do-

bierając krawaty, buty i koszule. O godzinach poświęconych projektowaniu systemu organizacji, który miał zagwarantować, że Art nie pojedzie na zebranie przed świtem w granatowym garniturze i czarnych butach. Koszule musiały być wyprane na sucho, wyprasowane i naprężone, aż trzaskały na wieszakach.

Janice jedną ręką zrzuciła koszule z wieszaków. Legły na podłodze, tworząc satysfakcjonujący stos, gniotąc się, niwecząc godziny jej pracy. Potem zaatakowała garnitury, które jako cięższe wymagały większego wysiłku. Stos rósł, gdy dorzucała spodnie i marynarki z wełny i płótna. Zaczęła się pocić. Następnie zawartość komody: skarpety, bielizna, chusteczki, koszulki, piżamy, stroje do gry w golfa, każda szuflada wywrócona do góry dnem i wysypana na podłogę. Rzeczy osobiste: też ich nie oszczędzi. Wyrzuciła na stos zawartość szkatułki z męską biżuterią.

Sterta rzeczy Arta na podłodze garderoby sprawiła jej zawód. Chciała, żeby była ogromna, jak przystało na taką masywną czystkę. Weszła do sypialni i rozejrzała się: zdjęcia. Art był wokół niej, uśmiechający się z tuzina fotografii, z szafki nocnej, z komody. Janice zmiatała je ruchami ręki. Zgadza się, przy okazji wyrzucała zdjęcia Margaret, Lizzie i swoje, ale zrobią ich więcej, tym razem bez Arta.

Kontynuowała swoje szaleństwo, w drodze po schodach zdejmując ze ściany coroczne gwiazdkowe portrety. Sztywny, sztuczny uśmiech Arta: nie chce go więcej widzieć. Na dole ułożyła dwadzieścia osiem fotografii w chwiejną wieżę, a potem poszła do kuchni, gdzie po wypiciu kieliszka wina wyciągnęła spod zlewu pudełko z supermocnymi workami do śmieci.

W sumie obecność Arta w domu zapełniła siedem worków. Dobry początek, pomyślała, gdy wepchnęła sztywne garnitury do plastikowych worków, z wieszakami i wszystkim innym. Ostre rogi ramek zdjęć przebiły worki. Buty zostawiły ślady pasty na nieskazitelnie białych szortach do gry w golfa. Ale

Janice o to nie dbała, ani trochę. Niedługo później sama miała ubranie mokre od potu i zabrudzone kurzem z głębi garderoby Arta.

Zwlokła na dół pierwszy worek, z hukiem ciągnąc go po stopniach, a potem z domu na chodnik, gdzie kosze na śmieci czekały na cotygodniowe opróżnienie. Z wnętrza worka dobiegł chrzęst tłuczonego szkła. Próbowwała zarzucić go na ramię, ale okazał się za ciężki. Zepchnęła go na podjazd i próbowała wlec oburącz, lecz plastik nie chciał sunąć po żwirze jak po podłodze z desek. Stawiał opór i zahaczał o ostre kamienie. Szarpnęła leszcze raz i usłyszała trzask dartego plastiku. Dno pękło i garnitury Arta wysypały się na podjazd.

— Gówniany worek — warknęła. — Supermocny, akurat. — Kopnęła płowy płaszcz i patrzyła, jak turla się w białym kredowym pyłe, a potem wybuchła histerycznym, pełnym wściekłości szlochem. Usiadła na ziemi i wrzasnęła.

(idy po jakichś pięciu minutach doszła do siebie, miała wrażenie, że wyłania się z czerwonej mgły. Urywany oddech sławał się wolniejszy i bardziej płynny. Spojrzała przez ulicę na nowy dom Fernów, na zasłony szczelnie zaciągnięte w salonie I Ipadhyayów. Zdała sobie sprawę, że gdyby sąsiedzi patrzyli przez okna, zobaczyliby niezłe widowisko. Chwała Bogu, pomyślała, po drugiej stronie ulicy nie ma śladów życia. Szaleństwo, to było szaleństwo, a ona kompletnie przestała nad sobą panować. Co zamierzała zrobić, rozedrzeć cały dom, żeby zniszczyć wszystko, czego kiedykolwiek dotknął Art? Zrobić *f* siebie idiotkę na oczach całego sąsiedztwa? I co pomyśli I izzie, gdy wróci do domu i zobaczy matkę w amoku? To nie było rozsądne, ani trochę. Nie taka chciała być. Musiała przejąć kontrolę nad sytuacją. Znów pomyślała o delikatnym uścisku vicodinu. Jeśli leki były tym, czego potrzebowała w celu odzyskania panowania nad sobą, w takim razie musi po prostu p.dzićś je znaleźć, niekoniecznie u doktora Brunschilda. Dla dobra Lizzie.

Wzięła w ramiona rzeczy Arta i zaniósła wszystko z powrotem na górę. Musiała obrócić trzy razy, biegnąc z podjazdu do drzwi, żeby nie zobaczyli jej przechodnie. Wyczyściła wilgotną szmatką i szczotką powalane pyłem garnitury, a potem odwiesiła je do szafy. Opróżniła sześć pozostałych worków, odkładając wszystko na miejsce. Powiesiła fotografie nad schodami. Dwie pęknięte położyła na tylnym siedzeniu SUV-a, żeby zabrać je do naprawy do ramiarza. Po zakończeniu pracy wypiła całą butelkę wina i padła na łóżko. Kiedy Lizzie ją tam znalazła, później tego popołudnia, nie mogła nawet usiąść, a strach na twarzy córki tylko utwierdził ją w postanowieniu — strach Lizzie i wiadomość, że Margaret jedzie do domu, a przecież nie może zobaczyć matki w takim stanie! Musi zdobyć vicodin, żeby doprowadzić się do porządku. Ale jak?

Znalazła odpowiedź prędzej, niż się spodziewała.

Dzień po załamaniu Janice zbudziła się skacowana i zirytowana. W domu było gorąco pomimo klimatyzacji. Pomyślała o porannej kąpieli w basenie: może połączenie fizycznego wysiłku i czystej wody pomoże jej ochłonać.

Stała na brzegu basenu, wzięła głęboki oddech, przygotowując się do zanurkowania, i zamarła. Poczowała dziwną woń. Skunks, pomyślała — zeszłego lata w okolicy panowała plaga skunksów — ale zapach przywołał coś z pamięci (ciemna kanapa na studenckiej imprezie, gorący popiół spadający ze skręta) i wtedy zrozumiała. Ktoś palił trawkę.

Zapach płynął z ciemnych zakątków za szopą ogrodową. Najpierw pomyślała o Lizzie: Lizzie pali trawkę, niszcząc sobie życie, wkraczając na drogę narkomanii. Pobiegła, choć po drodze zdała sobie sprawę, że po pierwsze, Lizzie jest za młoda na palenie trawki, a po drugie, przebywa na obozie pływackim.

Niemal wpadła na Jamesa, czyściciela basenów, który kuczał przy grządce bratków, trzymając w ustach ciemnobrazowego skręta wielkości kciuka. Oczy miał zamknięte i ssał z zapalem noworodka dostawionego do piersi. Po wdechu przytrzymał dym głęboko w płucach na długą minutę, otworzył jedno oko, potem drugie i zamrugał dwa razy, jakby Janice mogła być tylko halucynacją.

Chrząknęła, a on skoczył na równe nogi, potykając się o własne tenisówki.

— Przepraszam, pani Miller — wymamrotał i pochylił się, żeby wcisnąć skręta w grządkę. Potem, jakby odczytał jej myśli — Popiół w moich bratkach! — zasypał go ziemią, a następnie, gdy wciąż patrzyła ze zdumieniem, zgarnął zgnieciony niedopałek i wepchnął do kieszeni razem z garścią ziemi.

Janice milczała osłupiała.

— Wyleje mnie pani? — zapytał, patrząc na nią. Powinna go zwolnić. To było słuszne rozwiązanie. Kto pali

trawkę w pracy? Jak mogła mu powierzyć niebezpieczne chemikalia, gdy mózg miał otumaniony środkami odurzającymi? A jeśli spróbuje dać narkotyk Lizzie?

- Tak wypada, prawda?

- Proszę posłuchać, to tylko trawka. Nic gorszego od... kieliszka wina.

- Paliłam trawkę — warknęła. — Wiem, co to jest. A wtedy James, dziwne, mrugnął do niej.

- W takim razie... chce pani trochę? — zapytał. — Żaden problem. Mam tego mnóstwo. Jaką pani chce? Tajską? Zieloną Humboldta?

Janice wlepiła w niego oczy oszołomiona jego bezczelności:!. Czyściciel basenów proponował jej zaopatrywanie w narkotyki? Niesamowite, absolutnie niedorzeczne. Czy powinna wezwać policję? Rozejrzała się, jakby otaczała ją widownia, która podzieli jej zdumienie takim rozwojem wydarzeń. James uśmiechał się łagodnie, obserwując jej zmagania z sytuacją.

Ale nagle, gdy ponownie rozważyła tę absurdalną propozycję, wszystko ułożyło jej się w logiczną całość. Proszę bardzo, miała dokładnie to, czego potrzebowała. Ale nie mogła. Czyściciel basenów? Nie. Żenujące. Nie powinna. Zanim zdążyła przemyśleć to jeszcze raz, powiedziała z bijącym sercem:

— Nie. Nie interesuje mnie marihuana. Ale może mógłbyś... pomóc mi w czymś innym.

— Pomóc pani?

— Tak — odparła niezbyt pewna, jak tym pokierować. Nawet na studiach nie brała narkotyków, choć w latach siedemdziesiątych trudno było uniknąć trawki. Ale sama nigdy nie kupowała żadnego nielegalnego towaru. Nie znaczy, że vicodin był nielegalny. Był lekarstwem na receptę. — Chcę spytać... Może wiesz, skąd wziąć te... rzeczy.

Patrzył na nią, twarz miał bladą i piegowatą. A potem uśmiechnął się radośnie, odsłaniając szeroką, ujmująco dziecienną przerwę pomiędzy żółtymi od nikotyny zębami.

— Chce pani coś innego?

— Potrzebuję trochę vicodinu. — Urwała, czując w trzewiach jego nieodgadniony uśmiech. Co sobie o niej pomyśli? — Doznałam kontuzji łokcia, grając w tenisa, przepisana dawka się skończyła, a mój lekarz wyjechał z miasta. Wiesz, gdzie można zdobyć coś takiego?

James zmrużył oczy.

— Niezupełnie. Nie przepisuję leków. Może mogłaby pani dostać to w Meksyku, jak pani zależy.

— Hm — mruknęła i poczuła smak upokorzenia, gdy stała na wpół nago, niezdarna w kostiumie kąpielowym, przed tym młodym człowiekiem. — Ból — dodała tytułem wyjaśnienia — naprawdę jest nie do wytrzymania. Nie mogę postawić stopy na korcie, jeśli nie wezmę środków uśmierzających. Ale naprawdę nie powinnam pytać. Przepraszam. — Cofnęła się gotowa uciec.

Ale James nie wyglądał na zaskoczonego.

- Proszę się nie martwić. Ból to poważna sprawa, pani Miller — powiedział, z powagą kiwając głową. — Prawdę mówiąc, mam coś lepszego niż vicodin, silniejszego, jeśli chce pani spróbować. — Miał dziwną minę, ale uśmiechał się do niej promiennie.

- Nie jest to lekarstwo na receptę?

- Poniekąd jest, wchodzi w skład mnóstwa leków. Kryształ, słyszała pani?

Janice przeszukała pamięć. Czy ostatnio nie oglądała w telewizji programu na ten temat? O tym gospodarzu konserwatywnego radiowego talk-show, który wpadł w kłopoty?

- To nie jest oxycontin, prawda?

- Nie — odparł James. — Proszę posłuchać, to środek zupełnie nieszkodliwy i na pewno pomoże zwalczyć ból, jeśli na tym polega pani problem. Daje mnóstwo energii, w przeciwieństwie do vicodinu.

Janice się zawahała.

- I pomaga stracić na wadze. Jeśli jest pani zainteresowana. Wiem, że wiele kobiet w Santa Rita bierze kryształ. W pewien sposób jest jak pigułka odchudzająca. Ale lepszy.

Ten argument przechylił szalę.

- Za ile?

- Chce pani... pół grama? — Janice pokiwała głową, nie mając pojęcia, ile to właściwie jest gram. — Pięćdziesiąt dolców.

- Pięćdziesiąt dolarów? Vicodin kosztuje ułamek tej sumy. James parsknął śmiechem.

- No tak, ale ja nie realizuję recept. Przykro mi. Zastanowiła się.

- Możesz mi to przynieść przed wieczorem?

- Nie ma problemu. — Zarzucił siatkę do czyszczenia na ramię jak oszczepnik gotów do rzutu tyczką nad basenem w krzewy bugenwilli. — To znaczy, że nie zostałem zwolniony?

- Nie, chyba nie.

— W takim razie jestem do usług. Cokolwiek pani sobie życzy.

— Dziękuję — odparła Janice, myśląc, że już czuje się lepiej. — Aha. James...

— Tak?

— Nie pal trawki w moim ogrodzie. Sąsiedzi mogą poczuć. A to naprawdę nie wyjdzie ci na dobre, wiesz.

— Jasne. Nie będę. Jeszcze raz dziękuję, pani Miller.

— Mów mi Janice, proszę.

Gdy Janice wychodzi z łazienki, Margaret już nie ma w kuchni. Z odnowioną energią zabiera się do robienia szarlotki, szybko i sprawnie przesiewa mąkę, ubija jajka, odmierza cukier łyżką (zauważa, że ręka drży jeszcze lekko). Masło jest za zimne, wyjmuje je z lodówki i kładzie na blacie, żeby się rozgrzało. Będzie musiała poczekać, żeby dokończyć placek. Spogląda na zegar: trzecia. Jej paznokcie stukają z ożywieniem po ladzie. Umysł skacze z jednej myśli na drugą, skupia się na każdej dokładnie przez dwie sekundy, potem zapomina i przechodzi do następnej. Czuje się cudownie pełna życia, pewnie zakotwiczona w chwili, nieugięta i nieporuszona.

Podnosi ze stołu zostawioną przez Margaret poranną gazetę i otwiera na dziale biznesu, żeby przestudiować notowania NASDAQ. Cena APPI wzrosła o jedną i jedną czwartą, akcje osiągnęły wartość stu czterdziestu dwóch dolarów siedemdziesięciu pięciu centów. Janice oblicza w pamięci, że będące ich własnością trzy miliony osiemset tysięcy akcji są warte w przybliżeniu pięć milionów dolarów więcej niż wczoraj. Myśli o leżącej w holu przesyłce FedEx, chyba już zna jej zawartość, i powtarza w duchu: połowa tych pieniędzy jest twoja. Dwieście siedemdziesiąt milionów dolarów, dobry Boże. I niech ją diabli, jeśli ta suma jej się nie należy za wszystkie

cierpienia; jako żona porzucona przez niewiernego męża oczywiście ma do niej prawo.

Janice starannie składa gazetę, niesie ją do zgniataarki odpadków i rzuca na stertę skorupki jaj i łupinek cebuli. Wciska guzik „Włącz” i słucha, jak urządzenie miele odpadki i ścisza je w kostkę wielkości bułeczki. Potem zaczyna siekać masło z mąką. Ugniata ciasto i zdumiewa się, jak cudownie jest czuć lepłą masę pomiędzy palcami. Powinna to robić codziennie.

Margaret pojawia się w drzwiach kuchni, ubrana w tę samą bezkształtną frotową suknię z rozciągniętym rąbkiem, którą nosiła wczoraj. Czy nie przywiozła ze sobą żadnych innych ubrań?

— Wychodzę — oznajmia.

— Nie, zaczekaj — mówi Janice. — Zaraz będzie placek. I ada chwila przyjdzie Lizzie i razem możemy w coś zagrać. Może w kalambury?

Właśnie wtedy Lizzie wraca z pływalni, niosąc wilgotny kostium w siatce na ramieniu. Po dniu spędzonym w chlorowanej wodzie wygląda jak ugotowana.

— Cześć! — chrypi Janice.

— Co się dzieje? — pyta Lizzie. Lizzie jest okrągła, miękka i opalona, jej dziewczynka, jej cudowne dziecko. Po wszystkich tych latach poronień, po seksie, który przywodził na myśl ruletkę, po posłuchaniu rady lekarza i zaprzestaniu prób (do tego stopnia, że rzadko kiedy mieli stosunek), spotkała ich niespodzianka w postaci takiego słodkiego, niewinnego maleństwa. Janice czuła się pobłogosławiona. Lizzie ożywiła ich małżeństwo, myślała wtedy, choć teraz nie jest pewna, czy drugie dziecko nie oderwało jej uwagi od rozpadającego się związku. To nie ma znaczenia, Lizzie zawsze będzie jej dzieckiem.

Piękę placek, skarbie — mówi. Lizzie patrzy łakomie na ciasto. Myślałam, że mam przestrzegać diety.

— Och, dziś się tym nie przejmuj. Ja też czasami oszukuję. Chcesz rozwałkować?

Lizzie rzuca siatkę na podłogę i chlorowana woda zaczyna zbierać się w kałuży przy drzwiach. Z radością chwytą wałek i uderza nim w ciasto na ladzie. Mąka frunie we wszystkie strony i Janice myśli o zabrudzonej podłodze, ale stwierdza, że to jej wcale nie trapi. Myśl o sprzątaniu sprawia jej przyjemność. Szybko tnie jabłka na idealne, równe kliny i skrapia je cytryną, żeby nie straciły koloru, a potem przygotowuje paski ciasta. Szarlotka nie jest szarlotką bez kratki na wierzchu.

Lizzie odrywa i zjada kawałek surowego ciasta, obserwując ją kątem oka. Janice nie komentuje, tylko pyta:

— Jak ci minął dzień? Jak było na pływalni?

— Dobrze. — Lizzie bierze następny kawałek i wpycha do ust. — Poprawiłam o pół sekundy czas na pięćset metrów.

Margaret wciąż stoi przy tylnych drzwiach.

— Mamo, musimy skończyć rozmowę o... no wiesz — zaczyna. — Może nie teraz, ale musimy znaleźć czas. Może zdołam pomóc.

— Rozmowę o czym? — pyta Lizzie.

— Nie potrzebuję pomocy, Margaret — mówi Janice i zwraca się do Lizzie, żeby zmienić temat: — Masz plany towarzyskie na ten tydzień? Wybierasz się na jakąś imprezę?

Ostatnio, jak zauważyła, Lizzie znowu siedzi w domu w sobotnie wieczory, i to ją niepokoi. Przez jakiś czas, wiosną, wydawało się, że zaczęła zawiązywać przyjaźnie. Może to tylko wakacyjny spokój, bo wszyscy powyjeżdżali, ale mimo wszystko się martwi, że córka wraca do swoich dawnych społecznych przyzwyczajień. Zbyt dużo czasu spędza sama, jej życie towarzyskie zaczyna się i kończy na Becky. Przyjaciele są ważni w tym wieku i Janice z przykrością myśli, że Lizzie może być samotna. Czy nie zrobiła wszystkiego, żeby dopilnować, aby jej córki szły przez życie łatwą ścieżką, łatwiejszą

niż jej własna? A jednak niezależnie od starań nie może skutecznie chronić ich przed okrutnymi koleżankami, przed niezaradnymi chłopakami i zmiennymi kolejami młodości.

— Masz w zapasie całe lato, może wstąpisz do jakiegoś kółka zainteresowań? — podsuwa. — Chyba jest młodzieżowa sekcja tenisa w country clubie.

Lizzie wzdycha.

— Nie lubię tenisa. Wiesz, że nie lubię.

— Może wobec tego założysz klub szydełkowania. Słyszałam, że robótki ręczne są ostatnio bardzo modne. Może poprosisz Susan Gossett, żeby zaczęła razem z tobą. Jej matka mówi, że jest w tym bardzo dobra.

Lizzie nie odpowiada. Przerywa wałkowanie, żeby wypchać sobie buzię ciastem.

— Chcesz, żeby zostało trochę na placek? — pyta Janice. Lizzie przestaje żuć, zamiera z ciastem w ustach i strachem w oczach. Janice poddaje się, bierze ciasto, wciska je szybko do formy, układa jabłka w symetryczne kręgi, posypuje wierzch cynamonem i cukrem. Kładzie paski ciasta i wsuwa szarlotkę do piekarnika. Rozgląda się po kuchni, tryskając energią. Teraz może sprzątać. Gdzie jest mop? Odwraca się i widzi, że Margaret wciąż ją obserwuje. Janice szybko ucieka z oczami, żeby córka nie dostrzegła w nich błysku, nie zajrzała w jej myśli i nie odczytała, co niedawno robiła w łazience.

— Mamo? Nic ci nie jest? — Margaret patrzy na nią badawczo. Dzwonek do drzwi uniemożliwia jej dalsze dociekania.

Drzwi! — ćwierka Janice. — Lizzie, spodziewasz się wizyty kolegi?

Lizzie kręci głową.

Może to poczta — mówi Janice, choć pamięta, że kurier I cdLx już dzisiaj był. Zastanawia się przez sekundę, czy to nie Arl, potem decyduje, że najpewniej sąsiadka albo przyjaciółka, która chce zobaczyć, jak się trzyma. Dobrze, myśli, mieć

świadka sielskiej domowej scenki. Piecze ciasto z córkami, ma się świetnie, nie było żadnej katastrofy kolejowej.

Ale w drzwiach stoi osobisty asystent Arta, Ted. Ted jest po trzydziestce — strasznie stary na asystenta, zawsze tak uważała — i, jak prawie wszyscy w Applied Pharmaceuticals, przedwcześnie łysieje. W przeciwieństwie do starszych kolegów z biura, którzy zaczesują włosy na bok albo ścinają krótko, żeby ukryć łysinę, młody Ted nosi baseballówkę z logo coifex. Janice irytuje się, że nie zdjął czapki, gdy otworzyła drzwi.

— Cześć, Janice — mówi. — Jak się masz?

Janice kiwa głową, nie chcąc okazywać przesadnej sympatii, zanim się nie dowie, po co właściwie przyszedł.

— Świetnie. W czym mogę pomóc?

— Przyszedłem po rzeczy pana Millera — wyjaśnia Ted i wpycha rękę głęboko w kieszeń spodni khaki. Wyciąga złożoną kartkę. — Dał mi listę.

Magraret staje tak blisko, że Janice czuje jej oddech na karku. Nie odwraca się.

— Chodzi ci o jego papiery?

Ted nie patrzy na nią, tylko rozkłada kartkę i spogląda na listę tak, jakby widział ją po raz pierwszy, choć najwyraźniej już ją przeczytał.

— Nie, pani Miller. Głównie rzeczy osobiste. Ubrania.

— Och — mruczy Janice, nagle kręci jej się w głowie. — Wejdz. — Patrzy, jak Ted przemierza hol i wchodzi na schody. Woła za nim: — Zaczekaj!

Ted przystaje na stopniach i odwraca się powoli.

— Zdejmij czapkę. Nie nosimy czapek w domu.

Ted kiwa głową, ściąga baseballówkę, zwija ją w kulę i wpycha do kieszeni. Janice zauważa, że włosy ma tłuste i zagniecione.

Idzie za nim na górę, a za nią Margaret i Lizzie, przezornie trzymając się trzy metry z tyłu. Ted zna drogę do sypialni — wygląda na to, że Art wyrysował mu plan na kawałku papieru.

Wchodzi prosto do garderoby, gdzie ściąga z półek i wieszaków wełniane garnitury, buty, stroje do gry w golfa, drelichy i swetry polo. Zdejmuje z górnej półki walizki — wie, że szare należą do Arta, a burgundowe do niej — i byle jak wrzuca do nich ubrania.

-- Nie w ten sposób. — Janice nie może się powstrzymać, chce pospieszyć z pomocą. — Trzeba przynajmniej poskładać.

Ale Ted kręci głową i zagraża jej drogę do walizki. — Wszystko w porządku, naprawdę. Będziemy musieli tylko je wyprasować.

Janice cofa się, jej ręce trzepoczą bezcelowo u boków. Świerzbią, żeby coś zrobić — złożyć koszulę, wsunąć parę luilów do pudełka, trzepnąć po głowie beztroskiego Teda. Czuje, ink To tętni jej w żyłach, powstrzymując ją od zrobienia czegoś głupiego albo pochopnego, ale zniewalająca siła już nie jest tak potężna jak parę minut temu.

Ted podnosi z szezlongu beżowy letni garnitur, ofiarę wypadku z workiem, płótno jest poplamione, pełne smug, wymaga prania chemicznego. Czy Ted poznał, że się znęcała nad garniturami jego szefa? Czy ją osądza?

Ten trzeba wyczyścić — informuje Janice, próbując wyrwać mu garnitur. — Nie powinieneś go zabierać.

My się tym zajmiemy — odpowiada Ted. Wskazuje komodę. — To szkatułka z jego biżuterią, prawda? Chce spinki do mankietów.

Margaret i Lizzie stoją w drzwiach garderoby. Lizzie ma otwarte usta, Margaret zaciska ręce, emanując wściekłością. Ich obecność bardziej niż szorstkie zachowanie Teda sprawia, że Janice ma wrażenie, iż zaraz się rozsypie, pomimo Tego. I'odchodzi do drzwi i ruchem ręki przepędza córki. Wyjdźcie — zwraca się do nich. — Wyjdźcie. Ted podnosi głowę.

Jeśli to cię kępuje, Janice, też nie musisz tu być — mówi. — Pospieszę się. Wiem, gdzie co leży. Powiedział mi.

Janice kiwa głową. Nigdy dotąd nie czuła się taka bezradna.

— Zostawię cię samego — oznajmia, rozpaczliwie pragnąc zejść na dół, gdzie leży torebka. Od ostatniej dawki minęła tylko godzina, a James powiedział, że powinna odczekać co najmniej cztery, lecz może odrobina więcej jej nie zaszkodzi. — Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebował.

— Jeśli nie masz nic przeciwko, zabiorę kije do golfa. Chyba powiedział, że są w garażu.

Janice stoi, niezdolna oderwać się od tej sceny, gdy nagle wysoki pisk rozdziera powietrze. Podskakuje, mimowolnie podrywa ręce w spazmie paniki i uświadamia sobie, że włączył się alarm pożarowy na dole. Przez dzwonienie w uszach i ryk alarmu przebija się dzikie szczekanie labradora retrievera u sąsiadów. Ted zastyga z rękami w szufladzie ze skarpetami Arta i wlepia w nią oczy. Janice odwraca się i wybiega z pokoju.

Pędzi na dół, czując swąd przypalonego cukru. W kuchni podobne do węży macki czarnego dymu płyną z piekarnika pod sufit. Łapie ścierkę do naczyń — rękawic nie ma na zwykłym miejscu przy kuchence — otwiera drzwiczki i chwyta gorącą formę. Szkło parzy ją przez ścierkę, przypala skórę na rękach. Odruchowo rzuca placek i patrzy, jak zwęglone kawałki jabłek rozsypują się po podłodze. Forma pęka dokładnie pośrodku. Janice wsuwa rękę do zlewu i puszcza zimną wodę na obolałe palce, gdy alarm wciąż wyje. Dym bucha z formy, która wypala ślad na podłodze z wiśniowego drewna.

Lizzie i Margaret wyrastają w kuchni za jej plecami.

— Nie mogę uwierzyć, że przysłał posła do wykonania brudnej roboty — mówi Margaret. — Jak tchórz. Chyba nie sądzisz, mamo, że wróci.

— Nic ci nie jest? — pyta Lizzie. — Poparzyłaś się? Janice dygocze z furii.

— Natychmiast uciszcie ten przeklęty alarm!

Lizzie i Margaret patrzą jedna na drugą, czekając, by ta druga się tym zajęła.

— A jak się go wyłącza? — pyta Lizzie.

— No dobrze, ja to zrobię, jestem jedyną osobą w tym domu, która wie, jak wszystko się robi! — krzyczy Janice i wyjmuje ręce spod bieżącej wody; kontakt z powietrzem sprawia, że zaczynają pulsować. Wyjmuje szczotkę ze schowka

i podchodzi ze złością do alarmu, który wisi nad drzwiami kuchennymi. Podnosi szczotkę i próbuje zerwać go z uchwytu, a gdy dwie próby kończą się niczym, wali z całej siły, aż biały plastik pęka, bateria wypada, a drobiny szkła sypią jej się na włosy. Zawodzenie milknie.

— Mamo... — zaczyna Margaret, ale Janice nie dopuszcza jej do słowa.

— Zamknij się! Po prostu się zamknij, Margaret. Margaret milknie. Lizzie wytrzeszcza oczy, przenosząc spojrzenie z siostry na matkę i z powrotem.

Janice oddycha głęboko.

— Idę na górę się zdrzemnąć — mówi spokojnie. Odwraca się, zabiera z lady butelkę chardonnay i wychodzi.

Na schodach spotyka Teda z walizkami pełnymi rzeczy Arta.

— Pieprz się — mówi, gdy się mijają. Ted stoi, oniemiały ze zdumienia, gdy ona wchodzi na górę.

Janice przemierza korytarz i wchodzi do sypialni, gdzie drzwi garderoby są zamknięte i nic nie świadczy o dokonanej przed chwilą spustoszeniu. Dopija butelkę wina, potem ulega pokusie i wsuwa się do łóżka, nawet nie zdejmując ubrania.

*

Nie może zasnąć i przeklina środki chemiczne, które nie pozwalają jej zmrużyć oka. Rzuca się i przewraca z boku na bok. Do pokoju wpółza zmierzch, resztki dnia uciekają wraz z zachodzącym słońcem. Janice słyszy szcęk naczyń w kuchni, warkot odjeżdżającego i wracającego samochodu Margaret. Na ilolc jazgocze telewizor, śmiech z puszek płynie na piętro. Gdy słońce wreszcie zachodzi, dom spowija cisza, miękka jak

ocieplacz na dzbanek z herbatą. Janice słyszy tylko własny oddech. Leży, nienawidząc Arta. Myśli o torebce na dole, o ukrytych wewnątrz paczuszkach, ale brak jej siły woli, żeby zejść na dół, gdzie musiałyby stawić czoło córkom. Dlatego pozwala, żeby wpływ narkotyku gasł wraz z dniem. Jego miejsce zajmuje pulsujący ból wewnątrz czaszki.

O dziewiątej słyszy ciche pukanie. Nie podnosi głowy.

— Nie chcę kolacji — mówi do zamkniętych drzwi. — Nie jestem głodna. — Ale Lizzie otwiera, zerka ciekawie do sypialni. Ma talerz w ręce, na talerzu leży kawałek szarlotki.

— Pomyślałam, że zjesz trochę — mówi. Janice patrzy na ciasto, nie rozumiejąc.

— To nie to, które się spaliło, prawda?

— Nie — mówi Lizzie, spoglądając na talerz. — To nowe. My je upiekliśmy.

— Upiekliście ciasto?

— Jest całkiem niezłe. Ale nie tak dobre jak twoje. — Lizzie wysuwa przed siebie talerz w zaciśniętych dłoniach. — Margaret pojechała do sklepu po jabłka, ale chyba nie były takie, jak trzeba, bo zrobiły się trochę gąbczaste.

Janice patrzy na placek, na rozlewającą się cukrową papkę,

i po raz pierwszy od odejścia Arta czuje głęboki, czysty smutek. Chce powiedzieć Lizzie, jaka jest troskliwa i słodka, chce dać jej do zrozumienia, że tylko ona i Margaret, jej córki, mogą w tej chwili podnieść ją z łóżka, ale z ust płynie tylko dziwna czkawka. Czuje, że porusza szczękami jak ryba szukająca wody. Kiedy nie sięga po talerz, Lizzie stawia go delikatnie na szafce nocnej i wychodzi na paluszkach, cicho zamykając za sobą drzwi.

Dopiero wtedy Janice daje upust łzom. Płacząc, próbuje placek: za słodki i trochę za miękki. Przeliyka dwa kęsy, trzy, ale żołądek protestuje. Nie ma apetytu. Odstawia talerz, szarlotka stygnie i twardnieje.

Margaret siada gwałtownie w łóżku i przez chwilę nie ma pojęcia, gdzie jest. Pokój nie wygląda znajomo — to nie jej sypialnia, tylko pomieszczenie przydzielone jej przez rodziców, Kiedy przeprowadzili się do tego domu siedem lat temu, długo po tym, jak wyjechała na studia. Nic tutaj nie przypomina pokoju, w którym dorastała. Matka przeniosła i pieczołowicie ułożyła [cj rzeczy z okresu dzieciństwa, ale wszystko zrobiła źle. Na komodzie siedzi rząd najmniej zniszczonych i tym samym najmniej kochanych lalek wyciągniętych z głębi starej szafy. Na półce stoi parę zdjęć dawnych szkolnych koleżanek — Margaret widziała je ostatni raz w czasie ferii Święta Dziękczynienia na drugim roku studiów. Połączone trofea z klubu dyskusyjnego, szachowego i trójboju akademickiego są starannie wypolerowane i wyeksponowane. Margaret potrzebuje kilku minut, żeby zdusić niepokojące wrażenie, że przeniosła się w czasie do wyszorowanej, wygładzonej wersji dzieciństwa, bez śladu młodzieńczych lęków czy niepokojów. Plakat *Ostatniego tanga w Paryżu* i nalepki na zderzaki z kampanii Clintona w dziewięćdziesiątym szóstym nie zachowały się ze ścian dawnej sypialni. Najwyraźniej nie pasowały do jasnej szarozielonej kolorystyki nowego wnętrza.

Sądząc po świetle wpadającym przez okna, już połowa dnia.

Margaret zwleka się z łóżka, chwiejnym krokiem podchodzi do fotela i wkłada ulubioną pomarańczową sukienkę, którą nosi prawie non stop od chwili przyjazdu do domu — sama myśl o innym stroju, o podjęciu próby pokazania się światu z lepszej strony, jest nie do zniesienia. Poza tym sprzedała większość ubrań w Los Angeles. Po tygodniu noszenia frotowa suknia wydziela przyjemny, sugestywnie erotyczny zapach.

Patrząc w jasne popołudniowe słońce, idzie na dół do kuchni wabiona aromatem parzonej kawy.

Gdy staje u stóp schodów, matka zjawia się w drzwiach holu ze ścierką i środkiem do pielęgnacji mebli w ręku.

— Dzień dobry! — ćwierka. Zaspana Margaret jest oszołomiona widokiem matki, która wygląda pięknie, choć niedawno porzucił ją mąż i choć jest zajęta sprzątaniami. Sprząta w sukni, na miłość boską. Jest uczesana, wypolerowana i dobrze zakonserwowana, jak te aktorki, które w telewizyjnych reklamach zachwalają zalety torebek do mrożenia produktów żywnościowych i środków czyszczących o zapachu cytrynowym, kobiety, które mogą być po pięćdziesiątce, ale ludzie wciąż je pytają, czy ich córki są ich siostrami. Margaret patrzy na swoją wyświechtaną suknię, duma nad paznokciami u nóg, pocętkowanymi czerwienią lakieru sprzed trzech miesięcy, myśli

o szarych pasemkach, które zaczęły pojawiać się we włosach,
i medytuje nad rażącą niesprawiedliwością tego wszystkiego. Jak matka może wyglądać tak beztrąsko w obliczu katastrofy?

Margaret zawsze rozumiała, że niezależnie od tego, co osiągnie, nie spełni wymogów matki: nie będzie dobrą dziewczynką, grzeczną, czarującą i kobiecą, nie będzie pełną szacunku córką i idealnym przedstawicielem wspaniałego społeczeństwa. Nigdy taka nie była i choć nie chce się tym przejmować, choć wie, że nie powinna się przejmować, od czasu do czasu ze złością stwierdza, że się przejmuje. Przebywanie w pobliżu matki wycieńczają, okrada z sił i sprawia, że czuje się jak pół człowieka. Jest tak, jakby nigdy się nie uwolniła od, powiedzmy,

linia ukończenia szkoły podstawowej, gdy połała ponczem przód białej, koronkowej sukienki tuż przed odebraniem świadectwa i zobaczyła ból na twarzy matki. Matka nie powiedziała słowa, ale Margaret czuła jej frustrację, gdy szorstkim brązowym papierowym ręcznikiem ścierała czerwony koolaid w łazience przy sali. Wiedziała, że ona nigdy by się nie potknęła. Margaret studiowała na prestiżowej uczelni, miała dwa fakultety, założyła własne czasopismo, a jednak w obecności matki, nawet leraz, czuje się jak dziewięciolatka, która zasłużyła na lanie.

Matka wciąż mówi wyraźnie nieświadoma jej milczenia.

— Naprawdę piękny dzień. Zaparzyłam ci kawy. Może powinnaś wyjść dziś na świat, skarbie, wyjść z domu i zażyć I rochę świeżego powietrza. Naprawdę, powinnaś przestać pić lylc kawy. Znowu włożyłaś tę sukienkę? Nie przywiozłaś niczego innego? Może pojedziesz do centrum handlowego i kupisz sobie jakieś nowe ubrania. Myślę, że latem w porze lunchu dają koncerty pod gołym niebem. W centrum, znaczy się. Dlaczego nie zadzwonisz do Kelly Maxfield? Pamiętasz ja? Jestem pewna, że z tobą pojedzie. Pogoda jest wprost idealna — całe to słońce, przed chwilą byłam w warzywniku, pomidory rosną jak szalone. W sierpniu będziemy mieli wielkie zbiory, zakładając, że tu będziesz. Będziesz? Dasz wiarę, odsunęłam kanapę od ściany i znalazłam swoją ulubioną starą broszkę? Szukałam jej od...

Margaret kiwa głową i odchodzi przed końcem potoczystego monologu matki. W kuchni, gdy nalewa kawę, słyszy, że matka włączyła odkurzacz.

Bierze gazetę ze stołu, nalewa kawy do kubka i wychodzi powoli na podjazd, a stamtąd na ulicę. Wspina się na niski ceglany murek na granicy posesji, niewidoczny z domu, i wyjmuje paczkę papierosów z kieszeni. Z płucami pełnymi orzeźwiającej smoły wodzi wzrokiem po stojących wzdłuż ulicy piętrowych willach.

Choć technologiczna gorączka złota w Santa Rita w zasadzie

rozpoczęła się po jej wyjeździe na studia, czuła jej drzenie na długo przedtem. Dobra koniunktura Doliny Krzemowej zaczęła się rozprzestrzeniać na sąsiednie osiedla w jej czasach licealnych. Codziennie jeździła do Fillmore High starym kombi subaru odziedziczonym po matce, która przesiadła się do nowego audi; codziennie parkowała obok nowiutkich kabrioletów i bmw, które szkolni koledzy i koleżanki dostali na szesnaste urodziny. Żywo pamięta dzień w drugiej klasie, gdy patrzyła, jak koleżanka systematycznie niszczy grafitową rakieta, którą dał jej na urodziny ojciec, dyrektor naczelny zakładu technologicznego. „Nie o taką prosiłam — wyjaśniła dziewczyna, tłukąc rakieta w beton, dopóki nie pękła. — Ale kupi mi nową, kiedy mu powiem, że ta się zepsuła”. Margaret popatrzyła na swoją starą, zdezelowaną rakieta, którą miała od jedenastego roku życia, i czuła nie wstyd, ale wściekłość z powodu takiego marnotrawstwa.

Po jej wyjeździe jeszcze się pogorszyło. Majętna skromność miasta znika pod blichtrzem pospolitego bogactwa reprezentowanego przez rezydencje w wyjątkowo złym goście. Co roku, gdy przyjeżdża z wizytą, widzi nową kolosalną willę w miejscu skromnego parterowego domu z połowy ubiegłego stulecia. Tym razem jest to różowo-beżowy moloch w stylu hiszpańsko-śródziemnomorskim o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych, z frontonem wciąż w stanie surowym, z terenem zagospodarowanym zbyt niedawno, żeby ukryć świeżą ziemię pomimo wysiłków ogrodników, którzy krzątają się przy pączkujących liściach. Na podjeździe stoi skrzynka na listy, miniaturowa replika domu ozdobiona z jednej strony złotymi literami „Fernowie”.

Ojciec Margaret zawsze wskazywał bogactwo rosnące wokół nich i mówił, że jest ono dowodem, co można osiągnąć w życiu. „Ci ludzie nie urodzili się bogaci — mawiał. — Po prostu otrzymali dobre wykształcenie, ciężko pracowali, pozostali zdyscyplinowani”.

Ale Margaret sądzi, że otaczające ją bogactwo — tutaj i w Los Angeles — ma więcej wspólnego ze szczęściem niż z jakiegoś rodzaju merytokracją. Chodzi o to, żeby trafić do właściwej gałęzi przemysłu, do właściwej firmy we właściwym czasie. Już nie widzi jasnej ścieżki do własnego sukcesu, co sprawia, że zastanawia się fatalistycznie, czy osuwa się w przepaść po prostu dlatego, że miała pecha?

Tydzień spędzony w domu rodziców przeminął w dziwnie błogim nastroju, pomimo nieobecności ojca, pomimo doprowadzającej do szału wesołości matki, pomimo faktu, że dynamiczna dwupokoleniowa rodzina, w której się wychowała, po jej wyjeździe uległa rozpadowi. Był to dla niej tydzień dobroczynnej izolacji, tydzień bez dzwoniących telefonów, rachunków napływających pocztą, windyikatorów pukających do drzwi. Po raz pierwszy od lat nie musi się przejmować zamknięciem numeru „Snatcha”, artykułami do napisania, autorami domagającymi się zapłaty, agencjami reklamowymi, które trzeba ułagodzić. Czuje się tutaj jak w kokonie, niewidzialna: nikt nie wie, że ona tu jest, nawet jej przyjaciele, a już na pewno nie operatorzy kart kredytowych.

Spakowanie całego życia nie zabrało jej wiele czasu. Ruszyła w drogę w poniedziałek, tydzień po debiucie giełdowym firmy ojca, parę dni po telefonie od siostry. Sprzedała wszystko, co miała — futon, biurko, absurdalnie drogą fotokopiarkę, garderobę, *Dzieła zebrane* Simone de Beauvoir. Zorganizowana na poczekaniu wyprzedaż chodnikowa przyniosła żalosne siedemset trzydzieści dwa dolary, za mało nawet na spłatę minimalną na jednej karcie. To, czego nie sprzedała, z łatwością zmieściło się na tyle hondy: parę pudełek książek z antykwariatu, czasopism i żółknących papierów, przypadkowe ubrania w plastikowych torbach na śmieci, kilka bibelotów o wartości sentymentalnej. Niektórzy ludzie są wielcy jak domy, ale dorobek ich życia bez trudu mieści się w standardowym japońskim hatchbacku.

Ile czasu minie, zanim jej przyjaciele zauważą, że znikła? Ściślej biorąc: kiedy znajdą ją wierzyciele? Margaret patrzy na-bmw zaparkowane na podjeździe sąsiadów, boleśnie świadoma, że potrzebuje strategii działania, by spłacić karty kredytowe i uporządkować swoje sprawy jak najszybciej i jak najbardziej dyskretnie, żeby móc wrócić do Los Angeles i ponownie ułożyć sobie życie. Powietrze Santa Rita jest wręcz gęste od pieniędzy, wydaje się, że wystarczy wytknąć język, żeby chwytać je jak płatki śniegu. Margaret rozkłada gazetę na ostatniej stronie, żeby przejrzeć ogłoszenia. Jest przygnębiająco mało możliwości. PŁATNE TESTOWANIE PREZERWATYW (nie ma z kim uprawiać seksu, a co dopiero bezpiecznego seksu), POTRZEBNE DAWCZYNIĘ JAJ: wiek 21—25 (ma dwadzieścia osiem, co ją dyskwalifikuje). Jest zapotrzebowanie na asystentów prawników, kurierów i tancerki egzotyczne w San Francisco (odrzuca anonse po minucie namysłu), ale nikt nie potrzebuje ludzi pióra, którzy mają dwa fakultety i znają na pamięć *Spoleczeństwo spektaklu*. Chyba że weźmie pod uwagę maszynopisanie.

Poza tym nie chce, żeby rodzina poznała prawdę, a gdyby nagle przyjęła pracę na pełen etat, niewątpliwie zrodziłoby to pytania, na które jeszcze nie chce odpowiadać. Starannie unikała wszelkich poważnych rozmów z matką ze strachu, że wszystko wyleje się z niej jak z pękniętej rury wodociągowej: długi, druzgocząca klęska czasopisma, koniec związku z Bartem, firmy windykacyjne tropiące ją w dzień i w nocy.

Zeskakuje z murka, rozgniała obcasem niedopałek i wrzuca gazetę do jednego z pojemników, które stoją wzdłuż krawężnika. Nie chcąc jeszcze wracać do domu, idzie chodnikiem, myśląc o swoich możliwościach. Jej japonki wyrzucają żwir w powietrze. Zatrzymuje się nagle przy słupie telefonicznym w połowie kwartału.

Na słupie wisi przypięta pinezkami odbita na ksero jaskrawo-różowa ulotka. „Szukam pełnych optymizmu osób do letniej

pracy tymczasowej na niepełny etat. Musisz być odpowiedzialny, wykształcony i umieć radzić sobie z różnymi zadaniami. Szybka forsa! Mnóstwo zabawy. Dzwonź do Carly: 650 555 9221". W dolnej części ulotki sąaponacinane paski z numerami telefonu. Szybka forsa! Serce Margaret bije nierówno na widok tych słów. Odrywa karteczkę z numerem telefonu i wsuwa ją do kieszeni, a potem patrzy przez ramię na willę Fernów, gdzie meksykański ogrodnik pipetką dawkuje nawóz pod świeżo zasadzone krzewy róż. Mężczyzna patrzy na nią podejrzliwie. Margaret odwraca się szybko i idzie do domu.

Gdy skręca na podjazd, czerwona, rdzewiejąca półciężarówka Chevy z wgiętym zderzakiem zatrzymuje się przy niej z grzechotem. Ręcznie wymalowane litery na burcie oznajmują: Cool Pools, na skrzyni leży płatanina siatek, kubłów i pojemników ze środkami chemicznymi. Gdy Margaret podchodzi, z kabiny wysiada czyściciel basenów i staje plecami do niej, drapiąc się po anemicznym tyłku przez siedzenie obszarpanych dżinsów. James. Wcześniej widziała go tylko przez okno. Z bliska widzi, że jest nieco młodszy od niej, ma ciemne niesforne kędziory do ramion i wydaje się fajniejszy, niż myślała. James wyciąga siatkę ze skrzyni, odwraca się i spostrzega, że jest obserwowany. Opiera tyczkę o ziemię i uśmiecha się, pokazując szeroką na dwa milimetry szczelinę pomiędzy zębami.

— Cześć — mówi. Wyciąga rękę, ogląda ją i cofa. — Mrudne ręce, przepraszam. Środki chemiczne do basenów. Jestem James.

— Margaret. — Margaret uświadamia sobie, że James jest icdyną osobą w jej wieku, jaką widziała od tygodnia. Może również dlatego czuje się bezpiecznie w Santa Rita: nie ma rówieśników, z którymi mogłaby się porównać i uznać, że ma duże braki.

- Czyszczę baseny. Ja... cóż, w zasadzie teraz nic nie robię — mówi lekko

zakłopotana swoim wyznaniem, ale zmuszona je uczynić. Czuje, że on o to nie dba. Ostatecznie jest czyścicielem basenów. James uśmiecha się jeszcze szerzej.

— Super. Super. Nie widziałem cię wcześniej.

— Nie jestem stąd. To znaczy, jestem stąd, ale generalnie mnie tu nie ma. — Zastanawia się nad tym stwierdzeniem, zmartwiona, że James weźmie ją za zepsutą japiszonkę, i poprawia: — Choć tak naprawdę niezupełnie jestem stąd ani z tych czasów, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. — Spozstrzega, że bełkocze z podniecenia, i milknie.

— Aha — mruczy James. — Ja też nie. Nie jestem stąd. W zasadzie jestem znikąd, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

— Jasne! — Margaret wyczuwa bratnią duszę. — Jakie znaczenie ma pochodzenie? „Skąd” jest tylko subiektywną klasyfikacją, społecznym konstruktem przynależności. W dzisiejszych czasach wszyscy jesteśmy tylko cyfrowymi nomadami, prawda? — Uśmiecha się do niego.

James drapie piegi przy lewym uchu. Margaret zauważa, że chłopak ma paznokcie obgryzione do żywego ciała.

— Niezupełnie — mówi wciąż uśmiechnięty. — Chodziło mi tylko o to, że w dzieciństwie stałe się przeprowadzałem. Ale to, co powiedziałaś, jest super. Teraz muszę się zająć basenem. Później wrócę i wpadnę się przywitać.

Margaret szczyrzy zęby, żeby zamaskować uczucie, że właśnie zrobiła z siebie idiotkę.

— Jasne.

James zarzuca tyczkę z siatką na ramię, mruga do niej — z taką miną brakuje mu tylko diabelskich rożków w kędziorach — i znika za bramą. Margaret wzdycha, patrząc za nim, i żałuje, że nie zatrzymała go chwilę dłużej, nie zaprosiła na kawę albo drinka. Albo tylko na rozmowę. Wraca do domu. W kuchni bierze z lady telefon bezprzewodowy i szybko pędzi na górę, żeby matka jej nie zatrzymała i nie wyczuła dymu w oddechu.

— Carly Anderson — mówi kobieta po drugiej stronie. Margaret domyśla się, że to komórka. — W czym mogę pomóc?

— Cześć. Nazywam się Margaret Miller. Dzwonię w sprawie pracy.

— Cudownie! — Głos Carly Anderson jest taki radosny i rześki, że przyprawiają o ból zębów. — Chciałabym osobiście poznać kandydatów. Wyczuć, rozumiesz, charakter. Możesz przyjść na rozmowę? Dziś spotykam się z kandydatami. Możesz wstąpić?

— Chwileczkę. Na czym polega praca?

— Ma związek ze zwierzętami.

— Ze zwierzętami? — pyta Margaret nagle czujna. — Och. W słuchawce zapada cisza. Potem:

— Lubisz psy?

— Tak, oczywiście — zapewnia, nagle przestraszona, że może odstraszyć szybką gotówkę, i bojąc się dopytywać o szczegóły, żeby nie odstraszyć siebie. — Z przyjemnością przyjdę na rozmowę. Jestem chętna do wszystkiego.

Umawiają się w kawiarni na trzecią po południu i Margaret wyłącza telefon. Siedzi na brzegu łóżka i słucha odkurzacza, który warczy na dole. Za oknem sypialni w pole widzenia wpływa czubek siatki, zakreśla łuk i znika. Margaret czuje się nieopisanie samotna. Nagle, nie mogąc się powstrzymać, podnosi słuchawkę i szybko wybiera numer komórki Barta. Zgłasza się poczta głosowa, gdy jeszcze nie jest przygotowana na wysłuchanie jego głosu, lakonicznego i wilgotnego, jakby właśnie wyszedł z wanny. „Cześć, tu Bart, zostaw wiadomość”.

Brzmienie jego głosu sprawia, że zasycha jej w ustach. O Boże, powinna się rozłączyć. Co chciała mu powiedzieć? I dlaczego w ogóle zadzwoniła? Ale dzięki identyfikacji numeru będzie wiedział, że to ona, więc jeśli rozłączy się bez słowa, pomyśli, że go nęka i wtedy wyjdzie na idiotkę. Wciąż rozważa, c/y się nie rozłączyć, gdy rozlega się sygnał, o wiele za szybko.

— Um... Bart — mówi i milknie, żeby chrząknąć. — Cześć. To ja. To znaczy, Margaret. Chciałam tylko, żebyś wiedział... Jestem u rodziców... na wypadek, gdybyś się zastanawiał, po co zadzwoniłam. Um. Moja rodzina przechodzi... kryzys rodzinny. Chciałam ci tylko powiedzieć... na wypadek... na wszelki wypadek. — Milknie. — OK. To wszystko.

Rzuca telefon i wbija w niego oczy.

— Weź się w garść — mruczy. Minęły prawie cztery miesiące od ostatniej rozmowy. Jest mu winna pieniądze, których nie może oddać. Bart spotyka się z gwiazdą filmową, na miłość boską. A jednak, gdzieś w głębi serca, Margaret na przekór sobie ma nadzieję, że Bart siedzi w domu, usycha z tęsknoty za nią i żałuje największego błędu w swoim życiu. Co by powiedziała, gdyby odebrał telefon? Czy chce jego powrotu? Tak. Nie. Niezupełnie. Głównie chce, żeby on chciał, żeby do niego wróciła. Jeśli Bart Johnson, dobrze zapowiadający się aktor, gwiazda niebawem wchodzącego na ekrany filmu akcji *Thmster* wciąż jej pragnie, to znaczy, że ona wciąż musi mieć wymierną wartość. A jak może błagać ją o powrót, skoro nawet nie wie, że uciekła do Santa Rita?

*

Dwie rzeczy zwróciły uwagę Margaret, gdy poznała Barta: pierwszą był jego penis, pomalowany na niebiesko i wystawiony na widok publiczny, a drugą brytyjski akcent. Bart nie był tak naprawdę Brytyjczykiem, choć jego ojciec, kierownik handlowy, zawłókł rodzinę do Anglii. Nastolatek naśladował tamtejszy akcent, żeby nie odstawać od chłopaków z prywatnego liceum i tym samym uniknąć regularnego lania spuszczonego przez członków szkolnej drużyny rugby, którzy nie przepadali za „pieprzonymi jankesami”. Po powrocie do Stanów i wstąpieniu na uniwersytet odkrył, że egzotyczny akcent — udawany czy nie — jest prawdziwym atutem, gdy chodzi o zaciąganie dziewczyn do łóżka, i dlatego postanowił go zachować. Po

jakimś czasie wygodnie zapomniał, że akcent nie jest prawdziwy.

Bart należał do grupy teatralnej w Berkeley. Występował w studenckim spektaklu eksperymentalnym *Arystofanes w chmurach*, a rola wymagała, żeby stał na scenie nagi, pomalowany na kolor niebieskofioletowy, w absolutnej ciszy, podczas gdy mężczyźni w kostiumach kozłów udawali orgię u jego stóp. Margaret poznała go na przyjęciu z winem i serem po przedstawieniu, w wieczór premiery. Było to dwa tygodnie po tym, jak złożyła pracę magisterską — „Matka jako kosmit-ka — współczesne kino i poststrukturalny cyborg feministyczny” — i dała się namówić na wyjście koleżance z pokoju, Josephine, która szukała aktorów do swojej filmowej pracy dyplomowej. Rozpaczliwie pragnąc oderwać się od stosów papierów i książek w pokoju, a także zawitych retorycznych argumentów w głowie, Margaret przeoczyła fakt, że w zasadzie nie interesuje jej teatr eksperymentalny. *Arystofanes w chmurach* nie okazał się wyjątkiem: uznała przedstawienie za pretensjonalne i ogłupiające, bezsensowne dwugodzinne widowisko z niespójnym dialogiem i bez dostrzegalnej akcji. Żałowała, że nie zwinęła się w kłębek na kanapie, oglądając film Roberta Altmana.

Przyjęcie odbywało się na zapleczu sceny, w labiryncie pokoi bez okien ze ścianami zabazgranymi starymi teatralnymi graffiti. Margaret naląła beaujolais do papierowego kubka i skubała leniwie stwardniałe kostki sera, gdy Josephine udała się na poszukiwanie aktorki. Czuła się samotna i bardzo, bardzo zmęczona wszystkim o charakterze intelektualnym.

Pomyślała o rozmowie, na którą była umówiona w przyszłym tygodniu z dziekanem wydziału anglistyki — tak się złożyło, że facet grał w golfa z jej ojcem, co zamiast nadzwyczajnych wyników na studiach i imponujących dwóch fakultetów niewątpliwie miało być czynnikiem decydującym, czy dostanie (a chciała dostać) stanowisko asystenta profesora na Uniwer-

sytecie Stanforda. Była to dobra posada, pewna praca do emerytury: wprowadzanie młodzieży w tajemne radości Baudril-larda, pisanie od czasu do czasu prac teoretycznych, mieszkanie w wiktoriańskim domu w kampusie, wreszcie ślub z drugim profesorem i wychowywanie dzieci w przyjemnym otoczeniu akademickim. Gotowa byłaby zabić za to stanowisko dwa lata wcześniej, gdy myślała, że wejście w to środowisko — dołączenie do elity intelektualnej — jest najpełniejszym sposobem wywarcia wpływu na globalny dyskurs. Ale po latach mozolnego przedzierania się przez poważne teksty filozoficzne, gdy coraz bardziej traciła kontakt ze światem poza granicami kampusu swojego kolegium, taka praca zaczęła kojarzyć się z piekłem.

Czego chciała? Nie była całkiem pewna. Mieć więcej odbiorców niż kilkunastu znudzonych słuchaczy na swoim seminarium. Zmienić świat, co wróżyli jej szkolni koledzy. Wciąż widziała zdjęcie z książki pamiątkowej, na którym stoi na podium z palcem podniesionym w geście upomnienia. Zamiast tego po latach nauki czasami czuła się tak, jakby zupełnie znikła w zawilościach lingwistyki. Zamiast jednostką była tylko elementem oznaczającym, argumentem retorycznym, reprezentacją. W tych czasach, gdy próbowała się masturbować, nie mogła zatracić się w doznaniach fizycznych; kończyła, myśląc

o sobie w osobie trzeciej. Kobieta wyraża swoją feminocentryczną seksualność, zauważała obojętnie; odrzuca układy podwójne

i wchodzi w sferę symboliczną. Musiała znów zakotwiczyć się w rzeczywistości. Musiała odzyskać grunt pod nogami.

Sącząc kwaśne wino, myślała o dawnym dziewczęcym marzeniu założenia jakiegoś czasopisma, ale teraz pomysł wydawał się taki lekkomyślny, taki ryzykowny. Nie wiedziałyby nawet, od czego zacząć. Gryzła krakersa, czując tętniący ból głowy.

Gdy Bart podszedł do stolika, żeby dolać sobie wina, Margaret ledwo go poznała — wyszorował niebieską farbę, włożył białą koszulkę na lewą stronę (umyślnie) i dzinsy z dziurą

wielkości pięści w kroczu (również umyślnie). Miał brązową czuprynę spadającą na półprzymknięte niebieskie oko i srebrną obręcz we wrażliwej górnej części ucha. Uśmiechnął się do niej, gdy wypił kubek beaujolais.

— I co myślisz? — zapytał. — Jesteś tutaj jedną z niewielu osób, których nie znam, dlatego mam nadzieję, że udzielisz szczerzej odpowiedzi.

Margaret niezupełnie wiedziała, co powiedzieć. Choć nie miała pojęcia, jaki był sens przedstawienia — szczerze mówiąc, przespała piętnaście minut w czasie drugiego aktu — studia nauczyły ją, że jeśli coś wydaje się oszalamiające, generalnie musi być godne podziwu. Weźmy Alaina Resnais. Niech żyje nielinearna, poststrukturalna narracja, prawda? Poza tym podziwiała czystą odwagę, jakiej musiało wymagać wystąpienie na golasa przed nieznanymi. W czasie długiej ciszy, gdy Hart stał nagi na scenie, nie mogła nie zauważyć, że jest dobrze wyposażony, ciało miał muskularne, rzeźbione i szczupłe. Podejrzewała, że pod barwinkową farbą jest przystojny w lisi sposób. Miała rację.

Stojąc przed nim w obskurnym holu studenckiego teatru, starała się wymyślić coś, co brzmiałoby intelektualnie przenikliwie, coś, co powiedziała by magistrantka studiów medialnych (z pobocznym akcentem na retoryce feministycznej). Miała pustkę w głowie, wbijała oczy w krocze jego dżinsów i widoczny w dziurze ciemny cień (czyżby nie nosił bielizny?).

- Cóż, powiem jedno. Z pewnością to było niezapomniane — wykrztusiła, decydując, że odpowiedź przynajmniej jest szczerą.

Oparł się o stół, wprawiając w drżenie stos porzuconych kubków.

To dobrze — odparł. — Sam uważałem, że to sztuka do dupy. Nie ma żadnego sensu. Chciałbym, żeby wystawili coś klasycznego, jak *Król Lear*. Albo *Sześć stopni oddalenia*. Labute, cokolwiek.

Margaret poczuła nagłą wdzięczność i ulgę.

— Tak naprawdę niczego nie załapałam — wyznała i odetchnęła, jakby Bart zdjął ciężar z jej ramion. Uśmiechnęła się. — Pomyślałam, że może bileter zapomniał dać mi program. Przydałby się.

— Ha — mruknął — nikt nie kuma, ale trzeba mieć jaja, żeby to powiedzieć. To niezamierzona gra słów.

Uśmiechnęła się, zapominając o stanie swoich zębów. Rozpływała się, słysząc jego akcent, i gdy o nim pomyślała (nagi!), dziewczęcy chichot popłynął z jej ust. Rany boskie.

— Ale twoja rola była... odkrywca. Uśmiechnął się i ściszył głos.

— Można tak to ująć. W każdym razie zrobiłem to, żeby poprawić sobie życiorys. Niebawem ruszam do LA.

— Do teatru?

— Nie, za cholere — powiedział, cedząc wino przez zęby. — W teatrze nie ma pieniędzy. Film. Zamierzam być następnym Seanem Pennem albo może George'em Clooneyem. Wystąpię w paru produkcjach niezależnych, rzecz jasna, dla wiarygodności, ale koniec z pieprzającymi się kozami. Potem parę filmów w poważnych wytwórniach dla kasy. Załapię się do Coppoli, Sofii, oczywiście, albo Andersona, Paula Thomasa lub Wesa. — Uśmiechnął się szeroko. — Zamierzam być sławny przed trzydziestką.

Margaret była oszołomiona. Nie знаła nikogo, kto był tak bardzo pewny swoich zdolności, kto zupełnie się nie przejmował, że może zostać odebrany jako egoista — może z wyjątkiem ojca. W jej środowisku nie brakowało ludzi przekonanych, że są najmądrzejsi od czasów wynalezienia topionego serka, ale wiedzieli dość, żeby maskować wysokie mniemanie o sobie społecznie akceptowaną skromnością i pomniejszaniem własnych zasług. (Och, stypendium dla geniuszy? O to chodzi? Przyznali mi tylko dlatego, że wiedzieli, iż w tym roku wypada dać je kobiecie. Naprawdę, to był zły rok dla składających

wnioski). Wiedziała, że powinna czuć odrazę do tego ordynarnego, prymitywnie ambitnego faceta z nadmiarem testosteronu, ale stwierdziła, że ją pociąga. Chciałaby mieć równie sprecyzowane plany na przyszłość jak on.

— Sława jest przereklamowana, prawda? — zapytała z zaciekawieniem. — A co z autentycznością intelektualną? Samo-realizacją?

Bart wzruszył ramionami.

— Daj spokój. To stek bzdur. Jeśli w dzisiejszych czasach nie jesteś kimś, praktycznie nie istniejesz, zgadza się? Sława jest walutą naszego pokolenia. Musisz być twórczym geniuszem, i to następna wspaniała rzecz, bo gdy nim zostaniesz, możesz mieć wszystko, co chcesz. Dostajesz *carte blanche*. (idy zdobędziesz sławę, wtedy możesz się zająć autentycznością i całym tym gównem. Wiesz? Kurwa, dzisiaj trzeba być bogatym, żeby choćby przeżyć, jeśli więc nie jesteś bankierem inwestycyjnym, to lepiej wyrób sobie nazwisko.

— Ale przed trzydziestką? Czy to nie trochę idealistyczne?

— W dzisiejszych czasach jest za dużo cudownych dzieci. Nastoletnie supergwiazdy. Dobij do trzydziestki jako nikt, a automatycznie staniesz się podejrzana.

— Och — mruknęła, nagle pragnąc przyczepić się do życia Harta, dać się porwać jego wizji.

— Co studiujesz? — Bart napełnił swój kubek z dzbana, a potem pochylił się i jej też nalał jakby od niechcienia.

Margaret patrzyła w wino upstrzone pływającymi kawałkami korka, bezskutecznie szukając odrobiny seksapilu w swojej edukacji.

— Jestem magistrantką studiów medialnych z akcentem pobocznym na retoryce feministycznej. Potrzebny ci na zawołanie cytat Helenę Cixious? Jestem do dyspozycji. — Mówiła za głośno, ale nie mogła się powstrzymać. — Roland Barthes? Walter Benjamin? Judith Butler? Wybieraj.

— Prawdziwa uczona, co? — powiedział, udając zaskocze-

nie. — Nie wiedziałem, że jeszcze ich produkujemy. Pewnie spędzałem za dużo czasu z egocentrycznymi aktorkami z grupy teatralnej. Przystawanie z ludźmi, którzy używają mózgu, musi być przyjemne. A co będziesz robić?

Margaret wbiła oczy w stół ze stwardniałymi kostkami sera. Pomyślała: to, czego nie mogę robić, nauczać. Podniosła głowę i uśmiechnęła się, nagle przepelniona lekkością.

— Zamierzam wydawać czasopismo — oświadczyła zdecydowanie. Gdy to powiedziała, czasopismo nagle zmaterializowało się w jej głowie, błyskotliwa synteza jej feminizmu, krytycznej teorii pochodzenia i zainteresowania kulturą masową. Ujrzała zdjęcia, stronę graficzną, artykuły, okładkę wtuloną pomiędzy „The New Yorkera” i „Ms” w kiosku z gazetami. Dlaczego nie?

Bart odsunął się i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, patrząc na jej okulary w kwadratowych plastikowych oprawkach, niezgrabne buty do kolan, krótko ściętą, farbowaną na czarno fryzurę, która, jak kiedyś myślała, wyraża radosny brak troski o tradycyjne oznaki kobiecości. Teraz nerwowo przygryzała dolną wargę i żałowała, że nie nałożyła szminki.

— Super, naprawdę — pochwalił. — Musisz mi o tym powiedzieć. Może przy drinku.

— Przy drinku? — Nerwowo gryzła kostkę sera, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była na randce. Miesiące temu.

— Koktajlu. Słyszałem, że piją je nawet wydawcy intelektualnych czasopism.

— W takim razie nie mogę odmówić. — Przeżuła parę razy twarde ser, przełknęła i odparła: — Jutro wieczorem wybieram się na wieczór poetycki, gdybyś chciał pójść...

— Poezja? Mówiłem o koktajlu. A może przejedziemy się na motocyklu?

Mogła to sobie wyobrazić: czuje pulsujący silnik pomiędzy nogami, gdy siedzi za tym chojrakiem i obejmuje go, jakby od

tego zależało jej życie. Zdecydowanie pozycja kobiety uległej. Zdała sobie sprawę, że kiwa głową tak energicznie, iż prawie dostała zawrotów. Była słaba, taka słaba. Uznała, że musi iść do domu i poczytać Germaine Greer. — Wstąpię po ciebie o ósmej.

Margaret zapisała adres na odwrocie poplamionego plakatu i popędziła szukać Josephine, żeby nie zrobić czegoś głupiego, na przykład zacząć uprawiać seks z Bartem tutaj, pośrodku holu.

*

Sześć tygodni, dwadzieścia przejazdów na motocyklu, czterdzieści jeden oszałamiających orgazmów i jedną olaną rozmowę na Uniwersytecie Stanforda później Margaret pojechała z Bartem do Los Angeles, gdzie razem wynajęli małą kawalerkę w pobliżu hałaśliwej autostrady we wschodnim Hollywood. Nic powiadomiła rodziców, że olała pracę w Stanfordzie, dopóki się nie spakowała, bo tak było łatwiej. Nie przyjęli tego dobrze. Margaret nie była pewna, co bardziej zdenerwowało matkę, to, że ją zawstydziła, nie stawiając się na spotkanie z ich znajomym z klubu, dziekanem anglistyki, czy to, że Bart nie zadał sobie trudu, żeby wyszorować paznokcie przed kolacją w L'Etouffe. Ojciec przewracał oczami, mrużąc coś o marnowaniu możliwości i fortunie, jaką wydali na jej wykształcenie. Lizzie zjadła wszystkie pięć deserów i dostała mdłości, choć już od samego początku miała taką minę, jakby zbierało jej się na wymioty. Kolacja wreszcie się skończyła, gdy matka zaczęła ocierać oczy. „Przecież jesteś na to za mądra — powiedziała, a te słowa tylko podsyciły furję Margaret. — I LA jest tak daleko”.

Pomimo braku wsparcia ze strony rodziny — a może z powodu braku wsparcia — pierwszy rok w Los Angeles był sielankowy. Margaret czuła, jak niesie ją tsunami ich połączonych ambicji, wyobrażając sobie, że uwalnia się z wąskich ram oczekiwań rodziny i rozpoczyna rewolucję. Miała z Bartem

tworzyć wyjątkową parę. Jak Yoko Ono i John Lennon (przed zabójstwem), jak Sofia i Spike (przed rozwodem). Ona miała zostać *enfant terrible* pisarzem-wydawcą, on miał być niekonwencjonalną gwiazdą filmową. Mieli mieć wstęp wolny na każde wydarzenie w mieście, zaproszenia na wszystkie premiery filmowe i przyjęcia w domach artystów cieszących się międzynarodowym uznaniem. Odurzająca wizja.

Z Bartem u boku rzuciła się w wir życia ubogiej miejskiej bohemy, odpowiedni dla jeszcze nieznanego twórczego geniuszu. Piła pabst blue ribbon za dwa dolary w podejrzanych barach we wschodnim Los Angeles, gdzie przesiadywali „prawdziwi tubylcy”. Chodziła na niekonwencjonalne wernisaże w Chinatown. Gromadziła karty członkostwa w muzeach jak filatelista znaczki i nauczyła się hiszpańskiego z podręczników na taśmie. Przez pierwszy rok wydawało się, że życie jest piękne. Fakt, że ona i Bart byli przeciwieństwami pod każdym względem, działał jak potężny magnes. Bart nazywał ją publicznie „moją feministyczną niewolnicą miłości”, a ona rewanzowała mu się „uzależnionym od cipki szowinistą”. Ich seks był gwałtowny i niesamowity. Jasne, mieszkali w klitce, która śmierdziała starymi kocimi sikami i odsmażaną fasolą, a poza tym stale się kłócili, kto pozmywa naczynia i czy oglądać *Charlie Rose* czy *El True Hollywood Story*, ale była zakochana, dzięki czemu wszystko było dobrze.

I jeśli musiała pracować jako ekspedientka w księgarni, żeby założyć swoje czasopismo, to nie był koniec świata. Jej przyjaciółki — Josephine, która przyjechała do Los Angeles niedługo po niej, a potem Alexis, następnie Claire — też nie miały grosza, pracowały jako kelnerki, sprzedawczynie albo asystentki w reklamach. „Snatch” rósł powoli, ale pewnie. Pierwszy numer, *Kwestia ciała*, wydany za pieniądze ze sprzedaży brylantowych kolczyków, które rodzice podarowali jej na zakończenie studiów, i napisany w całości przez nią, łącznie z dwoma wstępniakami, „Kobiety powinny siusiać na stojąco” i „Pochwała otyłości”,

plus rozkładówka ze zdjęciami „Rozpadające się implanty Pameli Anderson”, rozszedł się w tysiącu egzemplarzy, a taki był cały nakład. Cztery miesiące później numer drugi, *Kwestia reklam*, poświęcony przeglądowi najbardziej obraźliwych reklam w telewizji, uzyskał entuzjastyczną recenzję w „Ms”, który nazwał „Snatcha” „krwawiącym skrajem czwartej fali feminizmu” i zdobył dwa tysiące prenumeratorów. Po siódmym numerze, *Kwestia mamy*, kiedy „Rolling Stone” wspomniał o niej w artykule „Nowe czasopisma” i odebrała telefon od bogatego szczeniaka, Stuarta Gelkinda, Margaret miała schludną listę dwunastu tysięcy prenumeratorów, a magazyn z kwartalnika stał się dwumiesięcznikiem. Choć w zasadzie nie przyniósł jej bogactwa ani nie wypromował jej nazwiska, wciąż czuła, że nia w zasięgu ręki coś namacalnego. Starła się jeszcze bardziej: zabiegała o względy autorów, wyklócała się w kioskach z prasą, pracowała przez większość weekendów, nawet wkładała garsonkę na spotkania z przedstawicielami handlowymi. Myślała, że ojciec, choć nie pochwalał jej decyzji, byłby dumny z jej etyki pracy, gdyby mógł ją widzieć.

Tymczasem Bart, jak obiecał, gorączkowo i wytrwale dążył do zrobienia kariery aktorskiej, choć Margaret nie przewidywała, jak płytkie to będą dążenia. Wydał trzysta dziewięćdziesiąt pięć dolarów na zdjęcia głowy i lśniące czarno-białe portrety — Hart siedzący tyłem na krześle, delikatnie opierający policzek na dłoni — które wysypywały się z każdej półki i szuflady. Wolny czas spędzał w siłowni i marnował godziny przed lustrem, próbując udoskonalić swój firmowy wyraz twarzy. „L'acino pokazuje białka oczu, Roberta Redforda cechuje gapowate rozbawienie — wyjaśnił. — Myślę, że ja powinienem przymrużać lewe oko, z odpowiednim półuśmiechem”. Znał na pamięć hollywoodzki numer „Vanity Fair”, zaznaczył w nim zdjęcia wpływowych producentów i agentów, na wypadek gdyby przypadkiem stanął za którymś z nich w Coffee Explosion.

Jego pierwsze dwa lata sprowadzały się do robienia chlamu: reklama maści na hemoroidy, rola trupa w programie 24, udział w nagrywanym kamerą wideo filmie niskobudżetowym. Margaret zaczęła się zastanawiać, czy zrealizuje swoje cele do trzydziestki, czy tsunami ambicji nie okaże się tylko pluskiem w brodziku. Ale Bart wydawał się nieporuszony.

— Wszyscy zaczynają powoli — powiedział, gdy przyrządzali kolejny garnek makaronu z sosem spaghetti z puszkii. — Nawet Ewan MacGregor został wyrzucony ze szkoły aktorskiej i musiał pracować w pizzerii, a spójrz na niego teraz, Obi Wan Kenobi. To przyjdzie z czasem.

I niestety przyszło, w formie pilota telenoweli, puszczonego w czasie największej oglądalności, z akcją osadzoną w Malibu i tytułem *Fahrenheit 88*. Reklamowano ją hasłem: „Raj jest gorętszy, niż myślisz”. Bart grał instruktora surfingu ze stalowymi mięśniami, złotym sercem i brudną przeszłością płatnego zabójcy. Margaret przeczytała scenariusz pilota i zrobiło się jej niedobrze — bezzasadna scena seksu zbiorowego lesbijek w minibasenie, żona planująca morderstwo męża milionera i około stu lasek o ptasich mózdkach biegających w skąpych bikini. Nie przychodził jej na myśl żaden seksistowski chwyt, jaki nie zostałyby wykorzystany. Jej jedyny wniosek był taki, że ten anachroniczny szajs nigdy nie zostanie wyemitowany, a jeśli nawet, to Bart na pewno się wykreści, bo ma większe wymagania.

Jak bardzo się myliła. *Fahrenheit 88* okazał się wielkim hitem sezonu, uwielbianym właśnie z powodu banalności, a Bart niemal z dnia na dzień został idolem. Patrzył na nią ze swoją firmową miną — przymrużone oko i półuśmiech jak u wyjątkowo zadowolonego z siebie faceta reklamującego marlboro — z boku każdego autobusu, gdy dreptała do Coffee Explosion, żeby pisać wstępniaki. Pojawił się na okładce „Entertainment Weekly” pod nagłówkiem *Fahrenheit 88: Gorączka, której nawet nie próbujemy opisać*. Nie mogła włączyć telewizora, żeby nie zobaczyć reklam tego tasiemca.

— Co się stało z Clooneyem? Co się stało z kinem niezależnym? — pytała, ale Bart tylko wzruszał ramionami.

— Hej, dla Clooneya przełomowe znaczenie miała rola w *Facts of Life*. Trzeba umieć korzystać z okazji.

Gdy zaczęły napływać czeki i Bart najpierw kupił sobie nowe bmw, a potem przenieśli się do bungalowu z dwoma sypialniami w Los Feliz, skąd zabierał ją na drogie kolacje i na weekendowe wyprawy do Palm Springs, Margaret wiedziała, że powinna protestować dla zasady. Nie powinna, powiedzmy, pozwalać, żeby Bart konsygnował jej kartę kredytową, dzięki czemu miała niższe odsetki, ani pożyczać od niego pieniędzy („Nie musisz się spieszyć ze spłatą”) na pokrycie jej części czynszu. A jednak pozwalała, żeby wszystko, co złe w amerykańskiej popkulturze, czyli najbardziej seksistowski serial w telewizji regulował jej rachunki. Zabrakło jej siły, żeby powiedzieć nie. Uświadomiła sobie, że posiadanie pieniędzy jest bardzo przyjemne. Bart miał rację, że sława zapewnia nie tylko pieniądze, ale i władzę. Prawda wyglądała tak, że była zachwycona, gdy w restauracji szef sali rozpoznawał jej chłopaka i przynosił im bezpłatne desery, albo gdy dostali darmowe bilety na koncert Radiohead, albo gdy Nike przysłał do ich domu całe pudło promocyjnych tenisówek (choć się upierała, żeby przekazać je organizacji charytatywnej jako rekompensatę za wyzyskiwanie przez koncern siły roboczej Trzeciego Świata).

A jednak za każdym razem, gdy tuż przed zaśnięciem kuliła się pod cieniotkimi prześcieradłami od Cal vina Kleina, które Mart przyniósł do domu, ta sama myśl z hukiem przemykała jej przez głowę: sprzedaję się.

Później miała uznać swoją decyzję zamieszczenia artykułu o *Fahrenheit 88* w inauguracyjnym numerze *Kwestia telewizji* za błąd, za oczywistą próbę duchowej pokuty, która zaćmiła jej zdrowy rozsądek. Ale wtedy powody wydawały się jak najbardziej uzasadnione. *Fahrenheit 88* był największym hitem w te-

lewizji przez drugi sezon z rzędu i zignorowanie tematu podkopałoby jej wiarygodność jako redaktora. Czytelnicy spodziewali się jej miażdżących recenzji, jej krytyki powszechnych przekonań, jej zdolności do nazywania rzeczy po imieniu, i sprawiłaby im zawód, gdyby nie zrobiła tego samego w przypadku tego tasiemca. Fakt, że mieszkała z jednym z jego głównych bohaterów, dawał jej tym większe prawo krytyki. Wyrażenie własnego zdania było praktycznie jej imperatywem moralnym. Poza tym, bardziej pragmatycznie, zastanawiała się, czy mała kontrowersja mogłaby zwiększyć liczbę prenumeratorów i zmniejszyć narastający niepokój, że jej chwila sławy przeminęła ze wzmianką w „Rolling Stone”, pomimo absurdalnych pieniędzy, które wpompowała w „Snatcha” na życzenie Stuarta Gelkinda.

Zatytułowała artykuł *Fahrenheit 88: Oparzenia słoneczne na ich duszach*. Pilnowała się, żeby nie wymieniła nazwiska Barta, ponieważ problem nie dotyczył jego, i po co go mieszać, skoro nie ma ku temu potrzeby? Ale nie powstrzymała się od nazwania telenoweli „miękkim pornoem dla najniższego wspólnego mianownika”, „znakiem ostatecznego zgonu inteligentnego dialogu w Ameryce” czy „niebezpiecznym krokiem w kierunku zapędzenia kobiet z powrotem do klatek”.

W dniu, w którym nakład został rozesłany do prenumeratorów, zostawiła otwarty na tym artykule egzemplarz „Snatcha” na stole w kuchni, żeby Bart mógł przeczytać po powrocie z planu. Zbudziła się w środku nocy i usłyszała krzątanie w kuchni, plusk alkoholu wlewanego do szklanki. Owinęła się szlafrokiem, ruszyła tam, skąd napływał hałas, i zobaczyła, że Bart stoi przy stole, patrząc na jej pismo i trzymając kieliszek tequili w dwóch palcach. Twarz miał pokrytą purpurowymi cętkami. Nagle zrozumiała, że popełniła straszny błąd. Czy myślała, że będzie zachwycony, iż jego dziewczyna publicznie podkopyje jego karierę? Że uzna jej wyższość moralną, ukłoni

się przed nią, zrezygnuje z roli, wyprze się swoich pracodawców? Że dozna oświecenia?

Stała w milczeniu, obserwując, jak czyta artykuł. Kiedy skończył, spojrział na nią oskarżycielsko nabiegłymi krwią oczami.

— Skreślają mnie z serialu — oznajmił. Wyjął papierosa z kieszeni dżinsów. — Zabijają mojego bohatera.

— Dlaczego? Wszyscy cię kochali! — Najpierw pomyślała z przerażeniem, że wylali go z powodu jej kontrowersyjnego artykułu, ale zaraz potem mimo poczucia winy zadrżała z podniecenia, że jej publikacja wywołała taki błyskawiczny efekt. Może, na przekór swojej uporczywej paranoi, że zamiast wydawać czasopismo, powinna pisać blog, na przekór obawom, że czepia się Stuarta Gelkinda jak tonący brzytwy, „Snatch” spowodował wielki kulturalny zamęt, choć miał niewielkie grono czytelników. Jak „The Paris Review”. Albo „The Believer”.

Bart wzruszył ramionami.

— Oglądalność spada. Uznali, że uśmiercenie bohatera podniesie wskaźnik.

— Tak mi przykro — mruknęła. Bart oddychał chrapliwie i domyśliła się, że walczy ze łzami. Objęła go, wtuliła twarz w jego szyję, czując kwaśny zapach alkoholu we włosach i lcpko-słodką woń podkładu pod makijaż. Szukała czegoś, czegokolwiek, co mogłoby poprawić mu samopoczucie. — Ale w pewien sposób to dobrze, prawda? Masz wolną rękę, możesz robić coś bardziej ambitnego. Może u Coppoli?

Bart wyrwał się brutalnie.

Wiesz co, Margaret? — powiedział, zapalając papierowi. - Ty naprawdę powinnaś zająć się sobą.

Myślę o tobie — odparła, uświadamiając sobie, że popełniła błąd. — Chcę, żebyś był szczęśliwy, żebyś był najlepszy. Bart postukał palcem w artykuł.

Wiesz, myślałem, że to super, że jesteś taka mądra. Ale

wcale nie jest super, kochanie, bo uważasz się za mądrzejszą od wszystkich innych. To naprawdę robi się męczące. Wiesz, nie zawsze masz rację, a twoje pismo jest zgryźliwe i ponure.

Margaret czuła, że z czymś poważnie się przeliczyła i wskutek tego jej chłopak się wymyka, ale zawrzała z oburzenia. Rzuciła dla niego wszystko i dla „Snatcha”, jak on śmie to lekceważyć?

— Przynajmniej mam zasady, w przeciwieństwie do innych znanych mi osób — warknęła, a potem pomaszerowała do sypialni i zatrzaskała drzwi.

Nie zerwał z nią od razu. Znalazł pracę w formie akcji zatytułowanym *Thruster*, gdzie partnerował wschodzącej gwiazdce Ysabelle van Lumis. Rola wymagała wyjazdu na trzy miesiące do Monako, gdzie kręcili plenery. Josephine i Alexis obskakiwały agentów na festiwalu w Sundance, gdzie ich zerobudżetowy film niezależny zdobył najwyższe nagrody, a Claire wyjechała do Londynu robić instalację, więc Margaret miała więcej czasu dla walczącego o utrzymanie się na rynku czasopisma. Ale coś w tyradzie Barta zatruło jej entuzjazm do „Snatcha” i stwierdziła, że ślęczy nad nim bardziej z przyzwyczajenia, bez prawdziwej pasji. Stuart Gelkind wciąż obiecywał lukratywny interes, a ponieważ długi rosły, potrzebowała pieniędzy bardziej niż kiedykolwiek. Poza tym co innego miała robić? To było jej wyzwanie — jej Sundance, jej *Fahrenheit 88* — i nie miała zamiaru się poddać.

Jednak w skrytości ducha najbardziej pragnęła powrotu Barta, żeby mogli się pogodzić. Zamiast tego, gdy wrócił, opalony, z bardzo włoską fryzurą, kazał jej natychmiast wyprowadzić się z bungalowu i oddać ponad dwanaście tysięcy dolarów, które jej pożyczył.

To było cztery miesiące temu. Codziennie tęskni za nim bardziej. W chwilach bolesnej szczerości przyznaje, że miał rację. Nie była lepsza od niego, jej moralność wcale nie była wyższa, a jej żądza sukcesu nie mniej zachłanna. Co więcej, porażka czasopisma dowiodła tego, co on wiedział od samego

początku: oryginalność intelektualna jest przereklamowana. Stawa przebija wszystko. Jeśli Bart wróci, może nawet głośno przyzna mu rację.

*

O wpół do trzeciej Margaret myje twarz, czesze włosy i kompletuje przyzwoity strój na rozmowę kwalifikacyjną: czarne spodnie i bluzkę od Prądy niegdyś należąca do Claire. Matka robi coś na strychu — czyżby używała wiertarki? — gdy Margaret po cichu schodzi po schodach, wyławia banknot pięciodolarowy z jej torebki i jedzie do Le Chat Blanc.

Główny trakt Santa Rita to obsadzony dębami pasaż ostentacyjnej konsumpcji. Jest tam butik z dziecięcymi ubrankami szytymi ręcznie przez belgijskie zakonnice, sklep ze świeżymi rogalikami wielkości arbuźów i inny, który specjalizuje się w ręcznie wyrabianych świecach. Gdzie się podział stary tani sklepik wielobranżowy, w którym kupowała czarne gumowe bransoletki i czekoladki w złotej folii? (Zburzony, by zrobić miejsce pod Starbucks). Co się stało z kawiarnią z wytartymi skórzanymi kanapami w boksach, gdzie przesiadywała? (Zasepiona przez restaurację w stylu retro o nazwie Fountain). To inna reklama napływu kapitału. Myśląc o rodzinnych firmach, które zostały wyparte, by zrobić miejsce dla herbaty *chai latte* po pięć dolarów, Margaret czuje się wściekła w imieniu ich właścicieli (mimo że ma słabość do *chai latte*).

Le Chat Blanc mieści się w połowie głównej ulicy, gdzie kiedyś był zatechny sklep z używaną odzieżą; Margaret kupowała tam staromodne domowe suknie, których nie cierpiała jej mntka. To sterylne kawiarnia — bardziej bistro, restauracja z posadzkami parkietowymi, oprawionymi plakatami paryskich likierów z fin de siecle'u i krzesłami z kutego żelaza, które wyglądają jak narzędzia tortur. Menu wywieszane przy drzwiach frontowych informuje, że lokal serwuje sandwicze z serem po szesnaście dolarów i ostrygi po trzy dolary za sztukę.

Margaret kupuje kubek kawy przy barze i rozgląda się po sali, szukając samotnej kobiety. Jediną poza nią klientką jest nastolatka z okrągłą twarzą i włosami związanymi w cienki kucyk. Ma czarną spódniczkę, zapinaną białą bluzkę z wysoką stójką i... czy to możliwe? Tak. Perłowy naszyjnik. Przed nią leży teczka ułożona równo z brzegiem marmurowego blatu stołu. Czarne litery na teczce oznajmniają: „Szczęśliwe Ogony”. Margaret czuje, jak serce jej zamiera.

Podchodzi do dziewczyny, która patrzy na nią z konsternacją.

— Ty jesteś Carly?

— Tak. A ty... Margaret? — Dziewczyna uśmiecha się, pokazując aparat korekcyjny.

Margaret niechętnie kiwa głową. Rozgląda się, żeby sprawdzić, czy ktoś je obserwuje.

— Rany — mruczy Carly, patrząc na nią. — Zwykle zgłaszają się ludzie, rozumiesz, w moim wieku.

— Ile masz lat?

— Piętnaście.

— Jesteś bardzo profesjonalna jak na piętnastolatkę — mówi Margaret, próbując przełknąć ponizenie, próbując zignorować fakt, że obecność tutaj świadczy o klęsce jej życia zawodowego. Powtarza sobie w duchu: szybka forsa!

Carly się uśmiecha.

— Dzięki. Jestem przedsiębiorcą — oznajmia. — Prowadzę ten interes od trzech lat. Mam dwudziestu dwóch klientów i dość pieniędzy, żeby kupić sobie samochód, gdy skończę szesnaście lat. Przypuszczam, że to dobry start do szkoły biznesu.

Margaret sili się na uśmiech. Carly przypomina trochę nią samą w tym wieku. Nie znaczy to, że była taką dobrze zapowiadającą się kapitalistką, ale rozpoznaje towarzyszącą młodości energię, cel i absolutną wiarę we własne siły. Ojciec pokochałby tę dziewczynę, myśli. Zawsze miał nadzieję, że

jego córka skończy szkołę biznesu. Wzdycha, siada naprzeciwko Carly i pociąga łyk kawy.

— Więc co to za praca?

Carly prostuje plecy i profesjonalnym ruchem przekłada papiery.

— Wyprowadzanie psów na spacer.

— Wyprowadzanie psów? — Ręka Margaret drży mimowolnie, kawa wylewa się z kubka.

— To bardzo dochodowy, dynamicznie rozwijający się przemysł.

— Cóż, Carly, to bardzo miłe, ale... — Podnosi się. Myśli o Harcie w „US Weekly” o Josephine i Alexis fetowanych na festiwalu w Sundance, o Claire urządzającej wystawę w galerii Täte w Londynie.

— Dwadzieścia pięć dolarów na godzinę za psa — kontynuuje Carly. — Gotówką. Plus napiwki. Wyjeżdżam z miasta na letni obóz i ktoś musi przez sześć tygodni pokrywać moją trasę. Klienci płacą trzydzieści dolarów za psa, ja biorę pięć dolarów z góry.

Margaret się waha. Rachuje w pamięci. Jeśli wyprowadzi, powiedzmy, dziesięć psów dziennie — co nie wydaje się niemożliwe — zarobi dwieście pięćdziesiąt dolarów. Tysiąc dwieście pięćdziesiąt na tydzień. Pięć tysięcy na miesiąc. Szybka forsa! Nie jest dość szybka — musiałyby wyprowadzić jakieś cztery tysiące psów, żeby spłacić debet na kartach kredytowych. A jednak zarobki z jednego tygodnia wystarczyłyby na spłatę minimalną na jednej czy dwóch kartach. Taką lobotę nietrudno byłoby ukryć przed rodziną. Powie, że wychodzi na spacer i nikt się nie połapie. I czy w tej chwili ma lepsze możliwości? W duchu odpowiada na to retoryczne pytanie: tak, możesz poprosić rodziców o pieniądze, a potem: me, w ten sposób przynajmniej zachowasz odrobinę dumy, jeśli nawet stracisz godność.

Siada.

— OK. Biorę to.

— Szczerze mówiąc, mam trzech kandydatów, więc nie mogę dać ci pracy od ręki — mówi Carly. Wyjmuje kartkę z teczki i przesuwa ją po stole. — Może to wypełnisz, a jutro zrobimy próbę, żeby sprawdzić, czy się nadajesz.

Margaret patrzy na kartkę. To uniwersalne podanie.

— Musisz znać numer mojego ubezpieczenia i przedmiot kierunkowy ze szkoły?

Carly wyciąga rękę i czarnym markerem skreśla część dotyczącą wykształcenia.

— Większość kandydatów tego nie wypełnia. Margaret podnosi podanie i zaczyna wypełniać je długopisem.

Nazwisko. Adres. Doświadczenie. Oddaje kartkę Carly, która czyta uważnie.

— Też chodziłaś do Miliard Fillmore? O rany, skończyłaś dziesięć lat temu. Mieszkasz na Hiacyntowej... Chwileczkę, jesteś siostrą Lizzie Miller? — Carly patrzy ze zdumieniem na Margaret, która przytakuje niechętnie. — O rany. To... dziwne.

— Jakbym o tym nie wiedziała. Może mi powiesz, co mam robić na tej próbie?

Carly uśmiecha się machinalnie i podaje jej plik papierów — charakterystykę czterech psów i plan Santa Rita wyrysowany różowym pisakiem.

— To twoja trasa. A tu profde psów. Będziesz zabierać je w takiej kolejności, jak podałam. W większości przypadków otwierasz bramę, łapiesz psa i idziesz. Wszyscy zostawiają otwarte furtki. A potem po prostu chodzisz z psami, żeby zrobiły, co trzeba. Trasę zaznaczyłam na planie. Zakładam, że umiesz zajmować się psami.

— Jasne — zapewnia Margaret, wspominając suczkę shih--tzu, którą mieli, gdy była bardzo mała. Nie pamięta, czy zabierała ją na spacer. Bitsy hasała po ogrodzie, systematycznie poznając kwiaty z rabat matki, dopóki nie padła na raka żołądka

152

wskutek zjedzenia zbyt dużej ilości nawozów. — Bardzo dobrze sobie radzę ze zwierzętami — kłamie.

Carly wstaje, chowa wypełnione podanie do teczki, zamyka zatrzaski. Wyciąga rękę.

— Miło było cię poznać. Zadzwoń jutro po spacerze. Jestem pewna, że będziesz świetna.

— Dzięki za wotum zaufania — mówi Margaret, niezupełnie panując nad głosem, do którego zakrada się ironia.

— Jesteś mile widziana — odpowiada Carly, zaciskając ręce na wysokości serca na znak niekłamanej szczerości.

W drodze do domu Margaret mija swoją starą szkołę, Miliard Fillmore High, wielki ceglany monolit, który ma lyle wdzięku, co więzienie o zaostrzonym rygorze, pomimo multikulturowych fresków z uśmiechniętymi czarnymi, brązowymi, żółtymi i białymi dziećmi na bocznej ścianie sali gimnastycznej. Na siatkowym ogrodzeniu łopoczą leniwie nawiane przez wiatr opakowania po big macach i wyrzucone prace pisemne. Boisko, gdzie biegała zasapana, robiąc okrążenia, zostało obsiane na jesień i żółta taśma okrąża młodą Irawę jak miejsce przestępstwa.

Grupa cheerleaderek ćwiczy na trawie przy parkingu. Margaret staje na chwilę, żeby na nie popatrzeć. Dziewczęta wykonują jakieś skomplikowane układy. Z pomocą dwóch chłopaków w pulowerach wyrzucają jedna drugą wysoko w powietrze. Dziewczęta kolejno robią salto i bezpiecznie lądują w ramionach koleżanek. Margaret zapiera dech. Zastanawia się, co czują w czasie takiego wysokiego skoku, jak to jest skakać tak wysoko i ufać, że ktoś w dole cię chwyci, gdy spadniesz.

W szkole średniej skupiała się na działalności umysłowej: Triatlon Akademicki, Przyszli Demokraci Ameryki, Towarzystwo Altówki, Fillmore High Bugle — w takim czy innym razie należała do zarządu wszystkich tych klubów. Musiała ilolaczyć całą dodatkową stronę do podań na studia. Nic

dziwnego, że w księdze pamiątkowej figurowała jako „Najbardziej prawdopodobna osoba, która zmieni świat”. Zawsze myślała, że tak będzie, jeśli nawet zdobyła ten tytuł dzięki stanowisku redaktora książki. Na uroczystości wręczenia dyplomów to ona wygłosiła mowę zatytułowaną: „Zawsze chcieliśmy mieć wszystko”. W owym czasie ten utwór Bauhausu zdawał się trafnie ujmować czekające na nich szerokie spektrum możliwości. Teraz brzmi po prostu okropnie posepnie.

Cheerleaderki robią teraz przewroty do tyłu i na znak zwycięstwa wyrzucają nad głowy obwieszone pomponami ręce. Patrząc na nie, Margaret czuje straszny smutek. Myśli o Carly Anderson, ambitnej i pewnej swojej ścieżki w życiu, i zastanawia się, w którym momencie ona sama zblądziła. Chce choćby na moment wpaść pomiędzy cheerleaderki, chwycić pompon i poprosić, żeby ktoś nauczył ją robić przewroty. Zamiast tego wyciąga papierową serwetkę z kieszeni na drzwiach, wydmuchuje nos i wyciera oczy. Przez chwilę opiera głowę na kierownicy, żeby się opanować. Potem zapuszcza silnik hondy, która kaszle, wioząc ją w kierunku domu.

*

Margaret nastawia budzik na wpół do dziewiątej, ale budzi się i wstaje przed dzwonkiem. Na myśl o pieniądzach, które wreszcie wchodzi jej w drogę, czuje... co? Iskierkę nadziei? Optymizm, że najgorsze ma za sobą? Energicznie szcztokuje zęby, sięgając nawet do zwykle ignorowanych trzonowych. Wychodząc z łazienki, wpada na Lizzie, która w czepku i z goglami na szyi szykuje się do wyjścia na pływalnię.

— Co robisz tak wcześnie? — pyta Lizzie.

— Idę na spacer.

— Serio? Mogę pójść z tobą?

— Nie! — krzyczy Margaret z przerażeniem. Twarz siostry się wydłuża. Próbuje ją udobruchać. — Muszę trochę pobyć sama, Lizzie. Wiesz, pomyśleć.

Lizzie stoi i patrzy na nią.

— Margaret, w LA nie wszystko jest OK? Dlatego tu jesteś? I Matego jeszcze nie wróciłaś do siebie?

Zaskoczona przygląda się siostrze. Skąd wie? Czy powinna jej powiedzieć? Ale w oczach Lizzie lśni uwielbienie i troska, jak u wiernego szczeniaka, więc nie chce jej uświadamiać, że jej życie to jedna wielka katastrofa.

— Nie bądź niemądra — mówi. — Jestem tu, bo powiedziałaś, że mnie potrzebujesz, pamiętasz?

— Zgadza się... Ale powiedziałaśbyś mi, gdyby coś było nie w porządku, na przykład z Bartem? Ufasz mi, prawda?

— Naturalnie! — Margaret żartobliwie pociąga ją za ucho, czując się tylko odrobinę winna z powodu oszustwa, a potem zbiega po schodach. Na dole przystaje, żeby spojrzeć na paczkę l'cdEx, która leży na stole w holu od ponad tygodnia. Ciekawość bierze górę. Zerka przez ramię w kierunku kuchni, gdzie słyszy krzątającą się matkę, i podnosi paczkę.

Jest adresowana do Janice Miller, a nadawca to znana kancelaria adwokacka Sarmin, Anderson, Baretta i Roth z San Francisco. Jest jasne, że to papiery rozwodowe. Margaret waha się, odkłada paczkę. To problem matki, mówi sobie. Jasno dała do zrozumienia, że nie potrzebuje niczyjej pomocy. Zwłaszcza nic jej. Poza tym Margaret rozumie niechęć do przyjmowania złych wieści. (NUMER ZASTRZEŻONY! — błyska jej w głowie mimo woli).

Matka szykuje śniadanie. Na stole już stoi świeży sok pomarańczowy i talerz z kantalupem, pociętym i rozłożonym juk kwiat. Na blacie leży książka kucharska. Janice miksuje płatki owsiane i inne ziarna, rozbijając je na mierzwę w mikserze, który zawodzi i zatrzymuje się z drzeniem.

Patrzcie, kto już wstał! — woła. Spogląda na zegar. — Czy ziemia się poruszyła? A może zegar stanął?

Dzień dobry — mówi Margaret. Wielkodusznie nie podejmuje przynęty. — Co robisz?

— Musli. Bardzo zdrowe i dobrze robi okrężnicy. Chcesz trochę?
Mam przepis z „Gourmet”.

Margaret kręci głową.

— Wychodzę.

— Wychodzisz? — Matka otwiera mikser i szturcha łąpatką tę karmę dla chomika. — Cudownie. Dokąd?

— Idzie na spacer — mówi Lizzie za plecami Margaret. Janice mruga.

— Nie wiedziałam, że... spacerujesz.

— Co to znaczy?

— Nigdy nie przepadałaś za zażywaniem ruchu.

— Ostatnio praktycznie mam świra na punkcie fitness, mamo — kłamie Margaret. Z przyjemnością uświadamia sobie, że nawet zwykłe czepialstwo matki nie psuje jej szampańskiego humoru.

Janice wrzuca do miksera kubek rodzynek. Zastyga, patrząc na jej strój.

— Będiesz spacerować w japonkach? Nie wyglądają na mocne.

Margaret zerka na niebieskie plastikowe klapki, jedyną parę obuwia, jakiej nie sprzedała w Los Angeles. Wzrusza ramionami, bierze szklankę soku pomarańczowego i wypija jednym haustem. Orzeźwiona zastrzykiem witaminy C bez słowa patrzy na matkę, która przygląda się jej sceptycznie.

— Rób, co chcesz, ale moim zdaniem nie wyglądają też na wygodne — mruczy Janice i wciska klawisz miksera. Margaret otwiera drzwi kuchenne i wychodzi.

Pierwszy przystanek na jej trasie jest dwie przecznice dalej. Beagle wabi się Skipper i należy do niejakich Fincherów, którzy mieszkają w piętrowym domu w stylu Cape Cod. Pies czeka przy drewnianym ogrodzeniu i merda ogonem. Margaret idzie podjazdem, otwiera furtkę i rozgląda się za właścicielem. Nikogo nie ma, ale smycz wisi przy drzwiach na tyłach domu. Skipper liże jej palce szorstkim ciepłym językiem, gdy przypina

mu smycz do obroży. Rozbawiona bezkrytycznym uczuciem psa drapie go za uszami i rusza w drogę.

Idzie ze spuszczoną głową na wypadek, gdyby ulicą przejeżdżała jakaś znajoma matka, bo mogłaby ją rozpoznać i syznąć. Poranne słońce sączy się przez korony dębów, o tej porze na ulicy panuje spokój, więc w końcu podnosi twarz ku niebu. Wiewiórki paplają na drzewach i biegają po przewodach elektrycznych. Klapanie japoniek po asfalcie brzmi nadzwyczaj głośno. Skipper truchta, zatrzymując się przy skrzynkach na listy, żeby spryskać je żółtym moczem. Przejeżdża kilka samochodów, kierowcy kiwają do niej przyjaźnie, jakby ją znali. Margaret łapie się na tym, że też do nich macha. Myśli, że ten sposób spłaty długów wcale nie jest taki straszny.

Przystanek numer dwa, cztery przecznice dalej, to dom Hrunschildów, niejasno pamięta mieszkającego tu lekarza rodzinnego, który zawsze pachniał miętowymi kropelkami na kaszel. Skąd zabiera stetryczalego jamnika, Mister Pibba. W trzecim miejscu, parę domów dalej, czeka ważący pięćdziesiąt kilogramów bloodhound, Dusty, łagodny rudy potwór z uszami wielkości ścierek do naczyń. Dusty idzie z nosem przyciśniętym do ziemi, jakby wdychał nieskończenie długą kreskę kokainy.

Ostatni pies to sznaucek Sadie należąca do Gossettów. Margaret okrąża stary hiszpański dom w stylu wiejskim z wyboistym podjazdem. Suka, wyczuwając jej obecność, rzuca się nu ogrodzenie z kutego żelaza. Margaret otwiera furkę i wchodzi na podwórko za domem. Sadie szczeka piskliwie, japjapjap, aż pękają uszy.

To puszysta biała bestia z różową skórzaną obróżką. Margaret czuje do niej natychmiastową antypatię. Sadie też nie wydaje się szczególnie zachwycona i ujada przeraźliwie, gdy Margaret próbuje przypiąć różową skórzaną smycz do obroży, jednocześnie trzymając w lewej ręce smycze pozostałych trzech psów. W kuchennym oknie domu pojawia się twarz i blada ręka

wznosi się w geście powitania. Margaret próbuje się pospieszyć, ale kobieta otwiera drzwi i wychodzi na trawnik.

— Gdzie jest Carly? Już na obozie? Pani ją zastępuje? Margaret zmaga się z obrozą, nie może przypiąć smyczy.

Trzydzieści centymetrów od jej twarzy Dusty podnosi nogę i leje na furtkę. Mister Pibb pryka głośno. Jap. Jap. Japjapjapjap, uskarża się Sadie.

— Jestem Margaret! — woła, kucając przy psach. — Dziś zastępuję Carly.

Przypina smycz i wstaje. Kobieta stoi na wprost niej, wycierając ręce ręcznikiem. Ma beżowe, płócienne spodnie, które marszczą się na udach, i złote obręcze w rozciągniętych uszach.

— Noreen Gossett — mówi, wyciągając wilgotną rękę. Margaret nie może jej uścisnąć, bo trzyma smycze. Kiwa głową, mając nadzieję, że gest wypada życzliwie. Psy kręcą się wokół jej nóg.

— Wrócę za godzinę.

Noreen patrzy na nią uważnie, jej oczy zatrzymują się na znoszonej sukni, plastikowych klapkach.

— Czekaj, nie jesteś... Jesteś Margaret Miller? Córka Janice? Serce Margaret zamiera: została rozpoznana.

— Tak — przyznaje niechętnie. Dusty obwąchuje rabaty Noreen. Wybiera wyjątkowo urodziwe niebieskie bratki i zaczyna je pożerać. Margaret z całej siły szarpie smycz. Pies nie ustępuje.

— Jestem przyjaciółką twojej matki — mówi Noreen Gossett. Jednym okiem łypie na zniszczone bratki, drugim szacuje ją otwarcie.

— Poznaję cię ze zdjęć z salonie. Zajmujesz się wyprowadzaniem psów? Matka mówiła mi, że pracowałaś dla... co to było, „Vogue”? Czasopismo dla kobiet, prawda? Mam rację?

— Naprawdę nazywa się... — zaczyna Margaret i urywa, przygnębiona. — Zgadza się. „Vogue”. Jestem na wakacjach, tylko pomagam Carly.

— Jak miewa się matka? Nie odezwała się od czasu IPO. I, cóż, zastanawiałam się... Taki niefortunny obrót spraw. Jest załamana?

Margaret przesuwa się w kierunku furki. Irytuje ją wścibska Iroska tej baby.

— Niech pani do niej zadzwoni i sama zapyta.

Noreen Gossett sznuruje usta. Sadie odwraca się i szczypie Margaret w kostkę. Japjapjap! — ujada. Margaret krzyczy i patrzy na przebitą zębami różową skórę.

— Sadie chyba cię nie polubiła — zauważa Noreen. — I Iwielbia Carly. Carly zawsze przynosi smakołyki. Nie masz przypadkiem wątrobianych ciasteczek?

— Przykro mi — burczy Margaret. Beagle znowu liże ją po palcach stóp, więc odpycha go nogą. — Sama wszystkie zjadłam.

Noreen Gossett bez zmrużenia oka odprowadza ją do furki.

— Zaopiekuj się moją księżniczką. Trzymaj ją z daleka od oleandra na rogu. Jest trujący, wiesz. I nie zmuszaj jej do biegu tylko dlatego, że pozostałe psy są większe. Jest stara, ma zeszywniałe stawy.

Margaret uśmiecha się blado i kiwa na pożegnanie jedynym wolnym małym palcem, gdy psy wyciągają ją na ulicę.

Stwierdza, że wyprowadzanie czterech psów jest nieskończenie trudniejsze niż wyprowadzanie jednego. Psy idą w różnym tempie, a ona miota się pomiędzy nimi. Zauważa, że Sadie nic jest w dobrych stosunkach z Mister Pibbem i Skipperem i szczeka, gdy tylko któryś się zbliży. Przekłada jej smycz do prawej ręki, na stronę Dusty'ego, mając nadzieję, że wielki bloodhound przywoła ją do porządku. Japonki klapią po asfalcie. Na skórze, gdzie plastik ociera wielki palec, szybko robi się pęcherz. Ostrzeżenie matki okazuje się przygnębiająco prorocze.

Przystaje, podczas gdy psy po kolei znaczą terytorium na świeżo pomalowanym ogrodzeniu, zostawiając plamy na białej farbie. Spełniwszy obowiązek, zgodnie klusują naprzód pod

wodzą Dusty'ego. Wydaje się, że znalazły znośne wspólne tempo. Ptaki ćwierkają nad głową. Margaret okręca smycze Dusty'ego i Sadie wokół prawego przedramienia, żeby pogim-nastykować palce i przywrócić krążenie w dłoni.

Akurat w tej chwili szara wiewiórka przecina im drogę i zanim Margaret może porządnie chwycić smycze, Dusty podrywa głowę. Rozdyma nozdrza. Strzyże uszami. Węszy i warczy, aż włos się jeży na głowie, a potem skacze w stronę wiewiórki. Margaret ma wrażenie, że prawa ręka wyskakuje ze stawu. Zapiera się nogami i ciągnie w tył. Dusty, pięćdziesiąt kilo żywej wagi, znów skacze. Mister Pibb postanawia dołączyć do zabawy i napina smycz z lewej strony. Smycze okręcone wokół prawej ręki zaczynają się ześlizgiwać. Silnie szarpnięta Margaret biegnie, czubek japonki zahacza o asfalt, plastikowy pasek pomiędzy palcami odrywa się od podeszwy. Kłapek pęka na pół. Bosa stopa szoruje po żwirze i Margaret krzyczy z bólu. Puszczając smycze z prawej ręki, żeby złapać bolącą nogę.

Dusty wietrzy wolność i rzuca się do ucieczki. Pędzi przez drogę, wlokąc smycz po ziemi, i zapędza wiewiórkę na dąb. Sadie rusza w przeciwnym kierunku, krótkie łapy niosą ją szybko z powrotem za róg w kierunku domu Gossettów. Mister Pibb i Skipper, wciąż uwięzieni, szczekają na Dusty'ego. Margaret skacze na jednej nodze, patrząc, jak Sadie znika w głębi ulicy, wlokąc różową smycz. Po drugiej stronie jezdni Dusty stoi na tylnych łapach, przednimi oparty o pień, i z zadartą głową szczeka rozpaczliwie w konary dębu. Wiewiórka, bezpieczna poza jego zasięgiem, skrzeczy szyderczo.

Klnąc w duchu, Margaret biegnie za Sadie, która zniknęła za rogiem, ale potem decyduje, że najpierw powinna złapać większego psa, bo przecież Sadie jest znacznie wolniejsza. Jazgot cichnie w dali. Z pękniętym klapkiem zwisającym ze stopy Margaret wlecze Mister Pibba i Skippera na drugą stronę jezdni, żeby złapać smycz Dusty'ego. Resztkami sił odciąga

bloodhounnda od drzewa. Zrywa japonki z nóg i truchta na bosy po asfalcie za Sadie, ciągnąc za sobą opierające się psy.

Skreca za róg w chwili, gdy rozbrzmiewa pisk opon i chmura pyłu wzbija się z drogi. Z chmury wypada Sadie, żeglując w powietrzu w baletowym łuku, obraca się powoli w eleganckiej spirali. Margaret zamyka oczy i otwiera je w chwili, gdy suka z przyprawiającym o mdłości odgłosem ląduje w rabacie kalii, zaledwie sześć metrów od ogródka Gossettów. Młoda kobieta w spodniach wyskakując z stojącego pośrodku jezdni audi TT i biegnie do nieruchomego ciała.

Patrzy na Margaret ze łzami w oczach.

— Pies... wyskoczył znikąd. Mój Boże, nie żyje? Margaret pędzi, ciągnąc za sobą trzy psy. Kuca przy Sadie,

dotyka sierści, czuje woń spalonej gumy. Suczka oddycha, ale przednie łapy ma zakrwawione i nienaturalnie wygięte. Margaret gładzi ją po łebku i odciąga Dusty'ego, który obwąchuje ofiarę wypadku.

- Chyba żyje — mówi.

Przeraźliwy wrzask zagłusza sapanie psów i kobiet. Margaret podnosi się i widzi Noreen Gossett, która szybko biegnie w ich stronę. Na trawniku przed jej domem leży porzucona torebka. Nogawki płóciennych spodni podjeżdżają w górę, gdy pędzi co sił w nogach.

Sadie! — krzyczy. — O mój Boże, co się stało mojej księżniczce! Co zrobiłaś mojej suni?!

*

Godzinę po wizycie w klinice dla zwierząt, dokąd pojechała z rozhisteryzowaną Noreen Gossett i Sadie, i po odprowadzeniu pozostałych psów do właścicieli, Margaret idzie ciężkim kiokiem do domu. Siedemdziesiąt pięć dolarów w kieszeni nie neutralizuje jadu pożegnalnych słów Noreen Gossett: „Jestem zszokowana — zszokowana! — twoją niekompetencją i kom-

pletnym brakiem odpowiedzialności! Spodziewałam się czegoś więcej po kobiecie w twoim wieku!"

. Margaret jest skłonna się z nią zgodzić, no bo jak ktoś tak mądry może być taki głupi? Dlaczego się uparła, żeby włożyć te idiotyczne japonki? Wspomina, jak pies z jej winy broczy krwią na asfalcie, i wyrzuty sumienia przyprawiają ją o mdłości. Ścisza ją w dołku. W pewien sposób zdarzenie wydaje się bardziej żenujące niż upadek czasopisma. Pomijając dług na kartach kredytowych, widzi się nagle w odrażającym świetle: nieudacznik, szybko popadający w zapomnienie, niezdolny nawet w najbardziej skromny sposób włączyć się w życie społeczeństwa. Była bliska sukcesu, a teraz wszystko przepadło. Na pewno? — myśli, idąc na bosy po żwirowym podejździe. Czy tak szybko osiągnęłam kres swoich możliwości? Może niektórym ludziom jest pisana wielkość, a innym nie, i ma to związek nie ze szczęściem czy ciężką pracą, ale z wrodzonym talentem. Może od samego początku była skazana na mierność — do niczego jako opiekunka psów, jako intelektualistka, jako wydawca czasopisma — i po prostu próbowała osiągnąć więcej, niż mogła. Nagle uświadamia sobie, że gdy człowiek raz da sobie wmówić, iż jest w stanie zmienić świat, to wówczas wszystkie mniejsze osiągnięcia wydają się porażką.

Wchodzi do domu drzwiami frontowymi. Z ogródka za domem matka woła:

— Margaret?! To ty?!

— Cześć, mamó! — odkrzykuje. Stojąc w kuchni, rozważa możliwości. Jakie jest prawdopodobieństwo, że Noreen Gossett zadzwoni i powie matce o wypadku? Możliwość istnieje, oczywiście, ale może nikła? Margaret woli wierzyć, że Noreen nie puści pary z ust, niż powiedzieć matce, co się stało i wyznać wszystko inne. Poza tym to tylko pies, stary i wredny, i przeżył, a ona przeprosiła. Każda rozsądna osoba przyzna, że to nic wielkiego. Po co się tym przejmuje?

Nalewa szklanekę wody z kranu i duszkiem wypija połowę,

jakby równocześnie z gaszeniem pragnienia mogła jakoś splukać smutki. Przez okno widzi matkę pracującą w warzywniku. Ma zielone gumowce, koszulę roboczą haftowaną w narzędzia ogrodnicze i włosy przewiązane gumką. Margaret patrzy na nią z mieszaniną zazdrości i goryczy. Jak matka może wyglądać tak spokojnie, gdy jej życie wali się w gruzy? Jak może być taka aktywna? Dlaczego ona nie może osiągnąć podobnej pogody ducha?

Dzwoni telefon. Matka podnosi głowę, patrząc w kierunku domu.

— Margaret! — woła. — Odbierzesz?

Margaret przytrzymuje słuchawkę ramieniem i dolewa wody do szklanki.

— Słucham?

Słyszy szum, potem kobiecy głos.

— Margaret Miller? Tu MasterCard, czy rozmawiam z Margaret Miller?

Jak ją znaleźli? Ma wrażenie, że podłoga się pod nią zarywa, u nogi przemieniają w galaretę.

Przykro mi, pomyłka — mówi, zniżając głos o parę oktaw, żeby kobieta jej nie rozpoznała. Jesteś żałosna, myśli.

Niejaki Bartholomew Johnson poinformował nas, że pod tym numerem można skontaktować się z Margaret Miller.

Przykro mi, nie ma tutaj nikogo o tym nazwisku. Musiał podać pani zły numer — mówi szybko.

Przepraszam za kłopot. Margaret szybko odkłada słuchawkę. Bart. Oczywiście, wytropili go, gdy znikła, bo przecież konsygnował jej kartę American Express. Z grozą wspomina wiadomość, którą zostawiła na jego komórce, i uświadamia sobie ogrom swojego błędu.

Kto to był? — pyta matka z ogrodu. Margaret nie może wydobyć głosu. Oddycha głęboko, próbując spowolnić wściekłe bicie serca, i ponosi żalostną porażkę, tak długo jej kłamstwo ich powstrzyma? Niedługo, na pewno

nie na tyle długo, żeby zdążyła wymyślić plan zdobycia pieniędzy. Jestem udupiona, myśli. Totalnie udupiona.

Gdy odstawia szklanę z wodą, drży jej ręka. Czy ojciec nie trzymał butelki whisky w barku w gabinecie? Ciężkim krokiem idzie w głąb domu, myśląc, że porządny mocny drink — może trzy — oczyści jej myśli, ale w drodze przez hol zatrzymuje się przy stoliku. Paczka wciąż tam leży, nietknięta. Patrzy na czerwono-niebieską kopertę, brzemieną w skutki, ciężką od rozczarowania i zdrady, i rozdzierają praktycznie bez świadomego udziału woli.

Wertuje plik papierów, szybko chłonąc ich treść. Ojciec prosi o ugody rozwód bez orzekania winy, powołując się na „nierozwiązywalne konflikty”. Jest gotów przyznać Janice opiekę nad Lizzie (Margaret przez chwilę czuje się zraniona, bo nie wspomniał o niej, ale potem przypomina sobie, że jest dorosła i tym samym nie pozostaje pod niczyją opieką), a także dom plus alimenty w wysokości ośmiu tysięcy dolarów miesięcznie. Rachunek oszczędnościowy zostanie podzielony wraz z różnymi wspólnymi funduszami i inwestycjami. Janice zatrzyma swojego SUV-a.

Margaret przez minutę oblicza w pamięci: osiem tysięcy razy dwanaście to tylko dziewięćdziesiąt sześć tysięcy, suma, która może wydawać się zawrotna, ale matce prawdopodobnie nie wystarczy nawet na pokrycie rachunków od Neimana. Po chwili uświadamia sobie, co przeoczyła. W dokumentach nie ma ani słowa o połowie miliarda dolarów w akcjach, które ojciec ostatnio zarobił po wejściu na giełdę. Jeszcze raz przegląda papiery, szukając wzmianki o akcjach, i znajduje na dole dwieście czterdziestej trzeciej strony. „Wskutek wcześniejszego porozumienia stron udział powoda w kapitale akcyjnym Applied Pharmaceuticals jest wyłączony z postępowania i pozostanie wyłącznie jego własnością”.

Nie jest całkiem pewna, co to znaczy, dlatego czyta jeszcze raz, a potem przegląda dokumenty, żeby się upewnić. Prawniczy

żargon nie może zamaskować faktu, że ojciec nie ma zamiaru dać matce bodaj jednego centa z fortuny zarobionej na giełdzie. Panika i frustracja, narastające w niej od kilku tygodni, nagle wchodzą w gwałtowną reakcję i tworzą zupełnie nowe uczucie: gniew. Jest wściekła, wściekła na ojca, na matkę, na Barta, na windykatorów z MasterCard i na cały ten strasznie płytki, chciwy, nieczuły, pozbawiony zasad świat, który okrutnie wykorzystuje uczciwych i obsypuje nagrodami niezasłużonych.

— Mamo! — ryczy.

— Jestem jeszcze w ogrodzie — głos Janice wraca z echem. Margaret idzie do warzywnika i znajduje matkę w otoczeniu

slert chwastów, które wyglądają na posegregowane — tu stos gwiazdnicy, tam trawy, gdzie indziej pokrzyw i jeszcze jeden mleczu. Wszystkie rośliny są starannie ułożone w piramidy, korzenie z jednej strony, łodygi z drugiej. Margaret staje i robi wielkie oczy. Matka patrzy na nią, ale nie przerywa pracy.

— Dzwoniła jakaś Carly. Powiedziała, żebyś oddzwoniła jak najszybciej. To twoja przyjaciółka z Los Angeles? Sprawiała wrażenie miłej dziewczyny — mówi i dźga ziemię rydlem. — Wprost nie do uwierzenia, że ogrodnik tego nie zrobił. Powinnam go zwolnić. Nic dziwnego, że moje cukinie wyglądają tak anemicznie!

- Dlaczego, do licha, posortowałaś zielsko? Janice spogląda na kupki.

- Hm, sama nie wiem. Pomyślałam, że warto wiedzieć, jakich chwastów rośnie najwięcej. — Patrzy na nią i uśmiecha się nerwowo, jak dziecko przyłapanie na dłubaniu w nosie. — Masz zakrwawiony palec. Zraniłaś się w nogę? Mówiłam, żebyś nie chodziła na spacer w tych tandetnych klapkach!

Wściekłość Margaret rośnie jak balon: mąż ją zostawił, sypia z jej najlepszą przyjaciółką i zamierza oskubać ją z ostatniego ccula, a ona beztrąsko układa zielsko, jakby nic się nie stało? Zaraz zadławi się złością.

Podpisałaś dokumenty?

Matka odpowiada dopiero po minucie. Zastyga z rydlem w powietrzu i krzywi twarz, jakby usiłowała wypłynąć na powierzchnię z dna głębokiego, ciemnego stawu.

— Dokumenty? Jakie dokumenty?

— Czy tata kazał ci podpisać coś, co dotyczyło pieniędzy? I Applied Pharmaceuticals?

Janice namyśla się przez długą chwilę.

— Hm — mruczy i jej twarz się ożywia. — Podpisaliśmy jakieś dokumenty finansowe jakiś rok temu. Aby chronić nasz majątek. Gdy twój ojciec ruszył z Applied Pharmaceuticals. To było ryzykowne przedsięwzięcie i poczyniliśmy pewne inwestycje na początku działalności. Chciał mieć pewność, że jeśli firma zostanie pozwana, ja będę prawnie chroniona. Do licha, dlaczego o to pytasz?

— Czy prawnik widział te papiery?

— Tak, oczywiście. Prawnik twojego ojca je skompletował.

— Moje gratulacje, mamó! — wykrzykuje Margaret. — Wygląda na to, że tata chce oskubać cię co do centa. Możesz pocałować pieniądze z IPO na pożegnanie.

Twąz Janice przybiera kolor odtłuszczonego mleka.

— O czym ty mówisz?

— Czytałam papiery rozwodowe. Czym ty najwyraźniej nie byłaś zainteresowana. — Macha plikiem dokumentów. Kremowy arkusz spływa na ziemię i Margaret wierzga, próbując przycisnąć go stopą. Wiatr unosi kartkę i rzuca do basenu.

Spodziewa się, że matka zareaguje z furją, ale tylko szturcha ziemię rydlem, wykopując oset. Margaret jest skonsternowana. Jej matka, królowa kontroli, pozwala, żeby życie przemykało bokiem. Pozwala, żeby ojciec nią pomiatał. Dlaczego nie podjęła kroków, żeby się ratować? Czy energia idealnej gospodyni, która doprowadzała ją do szału od czasu przyjazdu do domu, jest rzeczywiście tym, na co wygląda: maską psychicznego zaprzeczenia, może nawet chronicznej depresji? Jej gniew zaczyna przygasać, zastępuje go gryzące poczucie winy. Dlaczego

wrzeszczy na własną znękaną matkę? Mogą mieć odmienne zdania na różne tematy, ale z pewnością ta chwila powinna je pojednać.

— Papiery rozwodowe? — powtarza Janice słabym głosem. — To są papiery rozwodowe?

— Tak, mamó — mówi Margaret ciszej. — Czytałam je. Janice wzdycha, na jej twarzy odbija się szok i konsternacja.

— Dlaczego twój ojciec wysłał je do ciebie?

Margaret jest zaskoczona niezwykle tępotą matki, która sprawia wrażenie wręcz zamroczonej.

— Przysłał je tobie — tłumaczy powoli. — W paczce FedEx, która leży od tygodnia. Pomyślałam, że to coś ważnego, więc otworzyłam. Sama zobacz. — Wyciąga papiery w jej stronę. — W części o podziale majątku. Ojciec mówi, że nie należą ci się udziały IPO.

Janice wertuje papiery. Podnosi je, opuszcza, pociera rękami przód koszuli.

— Chciałam otworzyć, ale jestem taka zajęta. W domu jest tyle do zrobienia.

— Tak? I?

Janice wzdycha. Jest to głębokie westchnienie, wstrząsające do szpiku kości.

— Och, Margaret, po prostu nie wiem — mówi. Zdejmuje okulary słoneczne i trze oczy grzbietem nadgarstka. Kiedy odsuwa rękę, Margaret spostrzega czarne półksiężycy wyczerpania pod jej oczami. W słońcu źrenice są małe jak łebki szpilek. — Po prostu nie mogę ogarnąć całej sytuacji.

— Potrzebujesz naprawdę, naprawdę dobrego prawnika, i to naprawdę, naprawdę szybko.

Janice zaciska powieki i kołysze się leciutko, w tył i w przód, w tył i w przód, jak dziecko, które dopiero nauczyło się sumodzielnie siedzieć. Nagle wydaje się bezradna i Margaret zalewa niespodziewana fala smutku. Czy nie tego zawsze chciała? Żeby matka choć raz przegrała, żeby pękła jej twarda skorupa i odsłoniła osobę, która nie jest tak doskonała, jak

wszyscy myślą? Ale teraz, gdy ma przed sobą bezradną Janice, czuje się strasznie. Matka z pewnością na to nie zasłużyła. Nikt na to nie zasługuje.

— Luella Anderson — oznajmia Janice — rozwiodła się parę lat temu. Zadzwoń do niej i zapytaj, kto był jej prawnikiem.

— Ja mam zadzwonić? Nie chcesz zrobić tego sama? Janice kręci głową.

— Nie, ty to zrób. — Otwiera oczy i spogląda na nią z drżeniem, które sprawia, że serce jej zamiera. — Proszę. Zrób to. Nie mogę z nikim o tym rozmawiać. Będą... zadawać pytania.

Margaret patrzy na nią przez długą chwilę i trudno jej uwierzyć, że ma przed sobą Janice Miller, mistrzynię tenisa, sekretarz Forest Heights Country Club, nieustraszoną matkę dwóch córek, żonę (niebawem była, ale mimo wszystko) przyszłego dyrektora generalnego z listy Fortune 500. Matka wydaje się krucha jak szkło. Ktoś musi wkroczyć i coś zrobić, zanim rozsypie się na kawałki. I wtedy uświadamia sobie w przeblysku olśnienia, że Janice uważa ją za jedyną osobę, która może jej pomóc. Matka prosi ją o pomoc. Ją? Czy naprawdę wciąż wierzy w zdolną, efektywną córkę? Na to wygląda. Margaret zamiera ze strachu i radości, gdy brzemień przyszłości matki niespodziewanie ląduje na jej ramionach.

Mijają długie sekundy.

— Oczywiście — mówi w końcu i klepie matkę po plecach. — Nie ma obawy, ja się tym zajmę. Pomogę ci. Zajmę się wszystkim, mamo.

Janice podnosi rydel i znów dziabie oset, który nie chce wyjść. Rzuca rydel i chwytą chwast rękami, szarpiąc ze wszystkich sił. Kolczasty fioletowy kwiat odłamuje się w jej ręce.

— Margaret?! — woła.

Margaret zatrzymuje się i patrzy na matkę, która ze smutkiem spogląda na ubłocony chwast.

— Tak?

— Dziękuję — szepcze Janice.

Najbezpieczniejszym miejscem na świecie jest dno basenu. Lizzie może wstrzymać oddech przez minutę i sześć sekund, najdłużej ze wszystkich uczestników obozu. Dryfując na grzbiecie przy dnie w najgłębszej części basenu, jest nieważką, egzotyczną syreną w zielonym stroju, czekającą na odkrycie przez śmiałego płetwonurka. Może tylko najpierw wolałaby pozbyć się czepka, gogli i ochraniacza na nos. Patrzy w górę na słońce. Światło łamie się na falach, ponad nią tańczą brylanty. W zwolnionym ruchu wyciąga rękę, żeby złapać jeden z nich, ule brylant znika, gdy ktoś płynący na powierzchni zasłania słońce.

Wynurza się gwałtownie, chwytając powietrze.

Wciąż ją zaskakuje to, że jest dobrą pływaczką. Taplała się w basenie od lat i zawsze myślała, że jest dobra w pływaniu dzięki wałkowi tłuszczu w talii, ale dopiero po wstąpieniu do zespołu pływackiego odkryła, że ma smykałkę do stylu klasycznego. Chociaż straciła prawie siedemnaście kilogramów, wciąż jest masywniejsza od większości dziewcząt. Może masa ciała pomaga jej wynurzać się z wody przy każdym wyrzucie ramion. A może po prostu potrzebuje zwycięstwa bardziej niż one. W czasie zawodów czuje się niemal jakby frunęła, jakby jeden szczególnie zdecydowany ruch ramion mógł wynieść ją z wody

w powietrzu. Jest przekonana, że jeśli tego lata będzie wytrwale ćwiczyć, być może wygra w swojej kategorii w październikowych krajowych zawodach juniorów.

Liczy w głowie: trzy miesiące. Czy tata przyjdzie na zawody? Jeśli tak, czy będzie się dobrze czuła, widząc mamę i tatę w tym samym miejscu? Zawsze współczuła dziewczynom, których rodzice nie pojawiali się na szkolnych wydarzeniach, bo to na nią cuchnęło rodzinnym nieszczęściem. Nie chce stać się obiektem współczucia ze strony koleżanek z drużyny.

Płynie automatycznie, nie podnosząc głowy, przyjemnie nieświadoma tego, co może się dzieć wokół basenu. Jej ręka uderza w beton na brzegu. Robi przewrót, opiera pomarszczone podeszwy stóp o płytki i odpycha się mocno. Przez bulgotanie w uszach słyszy gwizdek — koniec ćwiczeń? — ale złapała rytm, więc postanawia zignorować sygnał. Poza tym, jeśli trochę zaczeka, nie będzie musiała oglądać wszystkich dziewczyn w szatni. Od paru tygodni skutecznie unika Susan Gossett, przychodząc wcześniej i wychodząc późno.

Przepływa jeszcze osiem długości, wreszcie zatrzymuje się i rozgląda. Basen jest pusty, tylko szczupła Becky siedzi cierpliwie na krawędzi płytkiej części, machając stopami w wodzie. Już się przebrała w koszulkę i szorty, jej kędzierzawe rude włosy schną w słońcu. Po raz kolejny zapomniała zabrać kapelusz od słońca. Piegi na jej twarzy niemal przysłaniają rysy. Z daleka wygląda jak zarumieniona od podbródka do brwi. Lizzie pod pływa i łaskocze ją po palcach stóp.

— Cześć — mówi.

— Cześć. Przy tobie wyglądam na leniucha.

— Tylko pływam.

— Naprawdę szybko. Lizzie się uśmiecha.

— Tak myślisz?

— Absolutnie. Skoczmy na koktajl mleczny?

— Absolutnie — odpowiada Lizzie, zadowolona, że ma

powód, by nie wracać do cichego domu. Choć to z kolei sprawia, że czuje się winna. Czy matka będzie się czuć samotna, jeśli od razu nie wróci do domu? A może wszystko będzie w porządku, bo jest tam Margaret? Czy powinna zadzwonić i uprzedzić, że wróci później? Nigdy wcześniej tego nie robiła, ale może teraz wszystko będzie inaczej. Zasady rządzące zachowaniem dzieci rozwodzających się rodziców wciąż są dla niej niejasne.

— Do Fountain? — pyta Becky.

— Dobrze — zgadza się Lizzie. Fountain jest jej ulubionym lokalem: gdy zamawiasz koktajl mleczny, dają ci dodatkowy w metalowym kubku, więc masz dwa w cenie jednego. Oczywiście nijak ma się to do jej diety, ale co tam. Zasłużyła.

Przebiera się w spodenki i koszulkę, a potem idzie z Becky bocznymi ulicami do głównej części miasta, wertując „US Weekly” i oglądając płaskie brzuchy różnych rzekomo ciężarnych gwiazdeczek. Popołudnie jest ciepłe i czuje, jak spocone uda lepią się w marszu.

Fountain jest prawie pusta, gdyż tłum pory lunchu zniknął, a kolacyjny jeszcze się nie pojawił. Dziewczęta padają ciężko na zielone kanapy w ostatnim boksie i zsuwają się tak nisko, że niemal leżą, podkulając nogi. Restauracja z długą ladą z formiki i obracanymi stołkami ma przypominać staroświecki bar z napojami i lodami, ale została otwarta trzy lata temu i chrom wciąż lśni, a większość starych urządzeń jest tylko na pokaz. Lizzie czyta menu. Zastanawia się nad klopsiem Niemana Schella za dziewiętnaście pięćdziesiąt albo burgerem rybnym za dwadzieścia osiem, ale wybiera czekoladowy koktajl mleczny Vahlrona za osiem dolarów.

Hecky wzdycha i chwyta garść kręconych włosów, żeby obejrzeć końcówki. Wtyka je do ust, przygryza i wypluwa.

- To lato jest takie nudne — skarży się. — Jeśli wkrótce nic zdarzy się nic ciekawego, chyba umrę.

Rozumiem cię — mówi Lizzie, choć uświadamia sobie

z pewnym zaskoczeniem, że wcale się nie nudzi. Jej zwykła letnia senność ustąpiła stałemu wrażeniu podenerwowania i nawet gdy siedzi, ma wrażenie, że świat wiruje dziko wokół niej. Może dlatego ostatnio tak bardzo lubi pływać. W wodzie otaczający ją chaos zwalnia, jakby siedziała w samochodzie, przyspieszającym i wyprzedzającym drugi wóz, który wygląda tak, jakby sunął do tyłu.

Becky patrzy na nią niepewnie.

— Rozmawiałaś już z tatą? Skoro...

— Nie — mówi, żałując, że Becky spytała. — Podróżuje służbowo, rozumiesz? Nie mógł zadzwonić. — Prawda jest taka, że przed wyprawką ojciec zawsze dzwonił, gdy wyjeżdżał w interesach, choć w zasadzie nie do niej, tylko do mamy. Jej przywoził pamiątki — lalki w strojach ludowych, miniaturowe repliki wieży Eiffla, misie w koszulkach z obcojęzycznymi napisami, niektóre jeszcze z metkami ze sklepu wolnołowego. Nigdy nie wiedziała, co z nimi robić, więc kładła je na półce w swojej sypialni, by gromadziły kurz. Czy teraz, gdy odszedł, nadal będzie dawał jej prezenty? Niektóre dzieciaki po rozwodzie rodziców dostawały jeszcze lepsze. Ale myślenie o tym jest przygnębiające.

Czuje ulgę, gdy pojawiają się koktajle z grubą warstwą bitej śmietany posypanej wiórkami czekolady. Śmietanka jest taka gęsta, że z trudem przebija ją łyżką. Mocno i długo ssie przez plastikową słomkę, aż dostaje zawrotów głowy z braku tlenu, a oczy chcą wyskoczyć z orbit, lecz lody nie dają się zassać.

Odsuwa shake'a i chwyta oddech.

— Trudniejsze niż robienie lodu — oznajmia. Becky sinieje.

— Lizzie! Nie powinnaś mówić takich rzeczy.

— Jezu, Becky, to tylko żart — mówi, wbijając oczy w koktajl. Wpycha palec w bitą śmietanę i oblizuje. — Nie masz poczucia humoru?

Becky zwija papierek ze słomki w cieką rurkę, a potem spłaszczają kciukiem.

— Mogę o coś spytać, Lizzie?

— Co?

Becky rozprostowuje wilgotny papierek, owija go wokół kciuka. Nie patrzy jej w oczy.

— Jesteś dziewczcą?

Lizzie zastanawia się nad pytaniem. Wie, że Becky tylko raz całowała się z chłopakiem, gdy w pierwszej klasie bawili się w butelkę w kącie sali na szkolnej zabawie, i Johnny Franks pocałował ją z języczkiem. Przez cały następny tydzień Becky informowała wszystkich, jakie to było cudowne. Zachowała się totalnie dziecinnie. Lizzie wspomina, jak uprawiała seks z Johnnym Franksem. Myśli, że Becky nie tylko o tym nie wie, ale pewnie byłaby wkurzona, gdyby się dowiedziała, i czuje, jakby pomiędzy nimi otworzyła się głęboka na sto metrów przepaść. Jakim cudem stała się, cóż, fajniejsza niż ona, i to tak szybko? Zerka na Becky z lśniącym jednorożcem na koszulce, która ukrywa płaską jak naleśnik klatkę piersiową, i wstydzi się za nią.

Ale chce powiedzieć, nawet jeśli Becky nie będzie pod wrażeniem jej wyczynów seksualnych. Wyjaśni jej, jaka powinna być. To będzie ulga, myśli. Nie powiedziała nikomu — bo przecież nie mamie, a siostra jeszcze nie pytała. Komu innemu mogłaby się zwierzyć? Sekret narasta w niej od dawna i czasami czuje się jak szybkar, który lada chwila może eksplodować, lozbryzgując zawartość po ścianach.

Nie — mówi, prostując się i uśmiechając do siebie. — Nie jestem.

Hecky kiwa głową, wciąż patrząc na papierek okręcony wokół kciuka.

Jak długo? To znaczy, kiedy straciłaś cnotę? Cztery miesiące temu. Hecky przygryza wnętrze policzka, co robi zwykle wtedy, gdy chłopcy rozmawiają z nią w szkole i wpada w panikę.

— Z kim to zrobiłaś?

Lizzie wsuwa język w śmietankę, zwlekając z odpowiedzią, i brudzi sobie usta. Oblizuje się i dopiero wtedy mówi:

— Hm. Za którym razem?

Becky patrzy na nią, papierek zastyga w jej palcach.

— Więc to nie jest kłamstwo?

— O co ci chodzi?

— Coś słyszałam. — Becky ścisza głos, ledwo ją słysząc.

— Co słyszałaś? — Lizzie robi się nerwowa, choć nie jest pewna przyczyny, gdy Becky porusza ustami i skręca słomkę w palcach.

— Słuchaj, Lizzie — zaczyna Becky błagalnym tonem — nie chciałam wierzyć Susan. Wiesz, że uważam ją za stukniętą sukę. Ale wszyscy mówią, że się puszczasz.

— Och — mruczy Lizzie z zamierającym sercem. — Co dokładnie mówią?

Becky wierci się na kanapie.

— Nie chcę tego powtarzać.

— Mów, śmiało — zachęca ją coraz bardziej zatroskana. Becky mamrocze coś pod nosem.

— Co?

— Mówią, że... — Becky milknie, krzywi się i szepcze — że zrobiłaś to już z pięćdziesięcioma facetami i zostałaś... — pauza, skrzywienie, szept — szkolną dziwką i wszyscy się z ciebie śmieją. I że chcesz zaliczyć wszystkich facetów z naszej klasy. Że obciągniesz każdemu... — pauza, skrzywienie, szept — gdy tylko cię spije. Że służysz tym wszystkim facetom wyłącznie do seksu. — Becky ma łzy w oczach. — Mówiłam im, że to nieprawda, że chrzanią, ale potem ktoś mi pokazał kartę wyników.

Ostatni łyk koktajlu, który spływa w dół gardła, nagle się zatrzymuje i zmienia kierunek. Lizzie krztusi się i pije wodę, próbując przełknąć zgrozę, jaka wzbiera w niej wraz z cofającymi się lodami.

— Jaką kartę wyników? — pyta.

— Na ścianie w szkolnej szatni chłopaków.

— Co na niej jest?

Becky kręci głową, wielka łza spływa jej z oka i ląduje w shake'u, tworząc krater w bitej śmietanie.

— Może sama powinnaś zobaczyć — szepcze.

Lizzie osuwa się nisko na winylowym siedzeniu i zamyka oczy. Udaje, że wciąż leży na dnie basenu, gdzie woda jest nieruchoma pomimo gwałtownych mchów, które wykonują pływacy na powierzchni. Może oddychać wodą, jak ryba, i nigdy nic będzie musiała się wynurzyć, żeby zaczerpnąć powietrza. Słyszy daleki głos Becky płynący nad nią jak prąd.

— Lizzie? Wiesz, że ja o to nie dbam, prawda? Nie obchodzi innie, co mówią. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Wszyscy inni są do kitu. Lizzie?

Milczy. Słowo dziwka tłucze się echem w jej głowie. Dziwkadziwkadziwkadziwkadziwka. Powtarza je w myślach, karząc się ostrymi sylabami, które dławiają gardle i grożą wylaniem się na stół. Przez długą minutę słyszy tylko siorbanie, gdy Hecky pije koktajl. Wreszcie znów brzmi jej głos, bardzo cichy. - Lizzie? Jak to jest? Co?

Wiesz. Gdy to robisz.

Jak... — Urywa i przez długą minutę nie wie, co powiedzieć. — To po prostu głupie.

Po rozstaniu z Becky Lizzie idzie półtora kilometra do Miliard Hillmore High. Trwają zajęcia letniej szkoły i drzwi nie są zamknięte, więc wchodzi przez salę gimnastyczną na tyłach kompleksu. Słyszy, jak gdzieś ćwiczą cheerleaderki, a z boiska płyną odgłosy gry w koszykówkę, ale na korytarzach nie ma nikogo. Klapanie sandałów niesie się po polerowanym betonie. Szafki są świeżo pomalowane na pomarańczowo i niebiesko,

od zapachu taniej farby kręci jej się w głowie. Mija swoją szafkę z zeszłego roku i zastanawia się, czy graffiti, które wypisała wiosną— „Kocham Justina” — wciąż jest w środku. Ma nadzieję, że go nie zamalowali.

Zatrzymuje się przed wejściem do męskiej szatni. Serce bije jej szybko na myśl, że może zostać przyłapana na zakazanym terenie. Ale zbiera się na odwagę, pcha ręką wahadłowe drzwi i cofa się, żeby nikt jej nie zauważył.

— Halo? — szepcze chrapliwie na wszelki wypadek, gotowa uciec jak najszybciej, jeśli otrzyma odpowiedź. Głos odbija się od białych kafelków i wraca do niej echem.

Szatnia chłopców, ku jej zdumieniu, jest dokładnie taka sama jak dziewcząt, tylko że w łazience oprócz kabin są także pisuary. Nawet zapach jest taki sam, coś jakby wybielacz i różowe granulowane mydło. Jest rozczarowana, bo to takie niemieckie.

Graffiti widnieje na kafelkach tuż za umywalkami. Nagłówek wypisano czarnym markerem, pochyłymi literami. „Przeleciałem Lizzie Miller”. Pod spodem lista nazwisk, różnymi charakterami pisma, i obok daty. Justin Bellstrom 22.03. Max Grouper 17.04. Johnny Franks 09.06. i 18.06. Brian Cientela 24.05. Łącznie dziesięć nazwisk. Patrzy na nie z przerażeniem: sześć rozpoznaje ze wstydem — zrobiła to? Tak. Tak. Tak. Cztery doprowadzają ją do szału, bo to kłamcy. Mark Weatherlove jest w tej drugiej grupie. Co za oszust! Z Martinem Simmsem też nie uprawiała seksu.

— Cholera — mówi głośno. Przekleństwo rozbrzmiewa w szatni i karci ją wielokrotnie, odbite od ścian. Z nagłą, przyprawiającą o mdłości jasnością widzi, że wcale nie jest obiektem pożądania chłopców z Fillmore High. Jak mogła tego nie zauważyć? Wiedziała, ale jakoś nie chciała wiedzieć? W zasadzie nie jest nawet prawdziwą dziewczyną, tylko czymś do zaliczenia. Niewiele się różni od przyłożenia w futbolu.

Gdy stoi w szatni, dawna Lizzie znika jak bańka mydlana na

silnym wietrze, po prostu rozplywa się w powietrzu, zostawiając ją ze strasznym uczuciem, że ostatnie trzy miesiące, które uważała za najlepsze w całym życiu, były straszną ułudą.

Wyrywa z dozownika garść papierowych ręczników, nakłada na wierzch granulowane mydło i szoruje graffiti. Nazwisko Itriana Cienteli, wypisane długopisem, trochę się rozmazuje, ale w reklamach nie żartują, gdy nazywają marker „wiecznym”. Zwilża ręczniki w umywalce i trze mocniej, lecz papier przemienia się w różową papkę, a mydlana woda ścieka po ścianie. Mimo wszystko szoruje dalej, choć dłoń ją boli, a ramię sygnalizuje, że zaraz odpadnie z wysiłku.

Wczesnym wieczorem po powrocie do domu Lizzie idzie prosto do swojego pokoju i z trzaskiem zamyka drzwi. Chwyta obszytą koronką poduszkę i rzuca nią w lustro. Poduszka miękko spada na ziemię. Kopie ją, ale przesuwa się tylko o metr. Kopie leszcze raz z nadzieją, że zdoła ją rozedrzeć, i poduszka odbija się od ściany. Stoi w pokoju, patrząc na zabrudzoną poduszkę, i stara się oddychać.

Wyjmuje z biurka różową kartkę z wytłoczonym u góry nazwiskiem „Elizabeth Miller”. Dostała papeterię od babci z Connecticut na gwiazdkę cztery lata temu. Matka wpadła w zachwyt nad tym „bardzo przemyślanym prezentem”, jak to ujęta. Po wypisaniu podziękowań do babci zostało jej czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć sztywnych różowych arkuszy.

Lizzie bierze ulubione pióro, to z puszystym niebieskim Irollem na czubku, i pisze list do Marka Weatherlove'a.

„Drogi Marku — kaligrafuje pochyłymi literami — jesteś kłamcą. Jak śmiesz wypisywać takie bzdury w Waszej szatni. Nic tknęłabym Cię, gdybyś nawet był ostatnim facetem na ziemi, i dobrze o tym wiesz. A Twoja matka jest dziwką. Nie próbuj się do mnie odzywać. Naprawdę nie Twoja, Lizzie Miller”.

Zakleja kopertę i czując się znacznie lepiej, schodzi na dół. Wychodzi przed dom, na końcu podjazdu sprawdza, czy ktoś nie patrzy, i wrzuca różową kopertę do skrzynki pocztowej.

Kiedy wraca do domu, słyszy szelest w salonie i zagląda przez uchylone drzwi. Margaret leży na kanapie, opierając nogi na wieży dekoracyjnych poduszek. Otaczają ją wydruki komputerowe. Lizzie wchodzi do pokoju i podnosi jeden z nich. Tekst ściągnięty ze strony prawniczej nosi tytuł „Poślubny podział majątku”. Inny to „Jednostkowe oszacowanie własności małżeńskiej”. Trzecia kartka, wydarta z „Ladies Home Journal”, to artykuł „Kiedy rozwód jest trudny: Jedenaście kobiet mówi o piekle, jakie przeszły”.

— Gdzie mama? Co teraz czyści? — pyta, rzucając się na kanapę.

— W zasadzie nic — mówi Margaret. — Parę godzin temu poszła na górę się zdrzemnąć i prosiła, żeby jej nie przeszkadzać. Prawdę mówiąc, wyglądała dość marnie. Może to przez opary lizolu. Ten środek jest toksyczny. Naprawdę powinna kupować preparaty przyjazne dla środowiska, zważywszy na to, ile tego zużywa.

Lizzie podnosi artykuł z „Ladies Home Journal” i przebiega wzrokiem pierwszy akapit. *Kiedy mąż Jenny (imię zmienione) uciekł na Bahamy z dwudziestotrzyletnią sekretarką, opróżniając wspólne konto bankowe i nawet zabierając ich chihuachua, Jenny myślała, że już nie może być gorzej. W sądzie odbyła, że mąż, bankier inwestycyjny, pozywa ją — niepracującą gospodynię domową — o alimenty w wysokości 8000 dolarów miesięcznie. Jenny próbowała popełnić samobójstwo, podcinając sobie żyły w wannie, zanim w końcu zmaźrzała i...*

Lizzie podnosi głowę.

— Myślisz, że mama chce popełnić samobójstwo? Margaret marszczy nos.

— Wątpię. Zabrudziłaby białe dywaniki. Chyba że wybierze jakiś schludny sposób, na przykład pigułki nasenne.

Lizzie, przerażona, próbuje sobie przypomnieć, co zawiera apteczka matki.

— Czy vicodin jest nasenny? Mama miała tego trochę.

— Dlaczego brała vicodin?

— Wiosną naciągnęła mięsień, grając w tenisa. Przez dwa tygodnie chodziła z obandażowaną ręką.

— Aha. Nie martw się, vicodin jest nieszkodliwy. Nie można się tym zabić. W zasadzie.

— Aha — mruczy Lizzie, ale nie jest przekonana. Margaret zauważa jej minę i podnosi rękę, żeby pogłaskać ją po plecach.

— Żartowałam, Lizzie. Mama nigdy się nie zabije. Nie jest typem samobójcy. Poza tym ma zbyt wielkiego świra na punkcie porządku, żeby pozwolić nam szaleć w jej domu, gdy nie mogłaby dopilnować, że nie zrobimy bałaganu. Mam rację?

Lizzie odkłada papiery.

— Dlaczego czytasz „Ladies Home Journal”?

— Zobaczyłam to w supermarkecie, pomyślałam, że się przyda.

Co robisz?

- Przeprowadzam badania. Dla mamy.

- Rozwiodą się, prawda? — pyta Lizzie niechętnie. Margaret kiwa głową i bierze nową kartkę, skupiając oczy na drobnym druku.

- Jeśli tata postawi na swoim.

- A postawi? — Pieką ją oczy i uświadamia sobie, że powstrzymuje łzy. Przez chwilę ma nadzieję, że siostra zaprzeczy i powie, że mama przekona tatę, iż źle robi, że tata zostawi Illeverly i znów będzie w domu, i wszystko wróci do normy.

Tak. — Margaret opuszcza papiery na kolana. — Najprawdopodobniej.

Lizzie mruga dwa razy i ściąga brwi. Aha. Więc pomagasz mamie? Tak — mówi Margaret głośno i zdecydowanie.

Zapewnienie siostry na chwilę podnosi ją na duchu. Margaret zawsze myśli trzeźwo i wie, co robić; jeśli w tej sytuacji są jakieś plusy, ona na pewno je znajdzie. Zamyka oczy i czuje się przy niej bezpieczna. Gdyby Margaret przez cały czas była w domu, myśli, miałabym najlepszą przyjaciółkę pod jednym dachem.

— Chyba zrobię sobie deser lodowy — oznajmia. — Chcesz też?

Margaret kręci głową i kładzie papiery na stole. Wyrównuje je trzema szybkimi stuknięciami.

— Nie jestem głodna, ale dzięki, że pytasz. Lizzie przystaje w drzwiach.

— Margaret? Ile miałaś lat, kiedy straciłaś cnotę? Margaret unosi brwi.

— Czekaj, Lizzie. Czekaj, dopóki nie będziesz starsza, znacznie starsza.

Lizzie czuje rumieńce na policzkach i boi się, że Margaret zobaczy za nimi brzydką prawdę. Jest tylko trochę zirytowana, że siostra zawsze uważa ją za zbyt młodą do rozmów o ważnych sprawach.

— No mów, Margaret, nie jestem dzieckiem.

— Masz tylko czternaście lat.

— W październiku będę miała piętnaście! — Nie rusza się z progu.

— Mówię serio. Czekaj. Z trzech powodów. Po pierwsze, mężczyźni są do luzu, wystarczy popatrzeć, co się dzieje z mamą i tatą, żeby przekonać się, jak to wygląda. Po drugie, nastoletni chłopcy są wyjątkowo do luzu w łóżku. Nie sprawiają "Ci przyjemności, nie odróżniają lechtaczki od lękotki. — Obrzuca ją bardzo poważnym spojrzeniem, tym z uniesionymi brwiami i rozdętymi nozdrzami, oznaczającym, że naprawdę mówi poważnie. — Co ważniejsze, Lizzie, to ryzykowne, fizycznie i emocjonalnie. Dopóki możesz, odkładaj smutek, który przychodzi z seksem. Wiem, czasami życie wydaje się

ciężkie, ale gdy dochodzi miłość i seks, staje się jeszcze cięższe. Jeśli naprawdę chcesz poznać seks, pogadajmy o wibratorach.

Lizzie chłonie jej słowa i czuje się chora. Za późno, myśli, gdy widzi przed sobą swoją żalną przyszłość. Ale przecież Margaret ma dla niej jakąś nadzieję?

— Ale to nie przez Barta, prawda? Margaret parska śmiechem i krzywi nos.

— Nie. Bart jest aniołem. Lizzie uśmiecha się dzielnie.

— Jestem pewna. Ty to masz szczęście.

Kuchnia błyszczy i pachnie wybielaczem. Mama zostawiła na ladzie zapiekankę z karteczką: „Kolacja. 350 stopni przez (0 minut”. Lizzie zdiera folię aluminiową i wtyka palec w ciasto do warstwy szpinaku: *spanakopita*. Nie cierpi szpinaku. Chciałaby, żeby choć raz mama przygotowała coś w rodzaju burgera z deserem z pudełka. Może namówi Margaret, żeby wybrały się dokądś na kolację.

Znajduje w lodówce zapas lodów i sorbetu z mango. Sorbet jest przeznaczony dla niej, ale robi sobie deser z lodów, kawowo-migdałowy z toffi i krówkami, i wsuwa kilka kęsów przed powrotem do pokoju, żeby Margaret nie zobaczyła, jakim jest obżartuchem.

Lody są twarde i lodowate. Lizzie je powoli, wkłada łyżeczkę do ust i pozwala, żeby zawartość jak najdłużej topiła się na języku. Przełyka dopiero wtedy, gdy zęby cierpną jej z zimna. Margaret patrzy na nią i wzdycha.

- Muszę zapalić — mówi, ale nie rusza się z kanapy. Lizzie patrzy na bukiet róż na kredensie, na schludnie ułożony stos książek na stoliku do kawy — *Pola golfowe świata, Zamki śródziemnomorskie, Ogrody Maneta* — i kolekcję antycznych szkatulek na półkach. Znowu myśli o napisach na ścianie w szatni dla chłopców, o swoim całym sekretnym życiu wystawionym na pokaz, o wszystkich chłopakach, którzy udawali, że ją lubią, podczas gdy tak naprawdę mieli ją w nosie, o chłopakach,

którzy wypisali swoje nazwiska na ścianie, chociaż ich nie dotknęła, o kłamcach (Mark! Mark Weatherlove! Co za menda!). Chce zrzucić wszystko na podłogę, miażdżyć porcelanę obcasami, drzeć książki na kawałki, wywrócić wszystko do góry nogami i zobaczyć, czy nie trafi jej piorun. Opada ją przyprawiające o ciarki wrażenie, że jest obserwowana, że nadciąga nieuchronna katastrofa. Zakopuje się w beżowe aksamitne poduszki, zapada w przepaściste głębie kanapy. Może wśliznie się w szczelinę pomiędzy poduszkami i zniknie na zawsze.

Na podwórku chrzęści żwir i pomrukuje silnik. Samochód zatrzymuje się na podjeździe. Margaret patrzy na nią, spogląda w okno i zrywa się, żeby rozsunąć zasłony.

— Kto to? — pyta, wyglądając przez okno.

Lizzie staje za nią. Zza kierownicy mercedesa kombi wysiada kobieta w sukni koktajlowej z obniżonym stanem. Staranie stawia stopy w czarnych czółenkach, gdy idzie żwirowym podjazdem. W jednej ręce trzyma pleciony koszyk nakryty srebrną folią, a drugą podciąga rajstopy za plecami. Patrzy na dom, zerka na zegarek i zdecydowanym krokiem zmierza do drzwi.

— To Barbara Bint. Przyjaciółka mamy z klubu.

— Co ona tu robi? Lizzie wzrusza ramionami.

— Nie mam pojęcia.

Siostry stoją przy oknie jak sparaliżowane, patrząc na Barbarę, która przemierza podjazd i znika z pola widzenia. Brzęczy dzwonek.

Margaret rusza do drzwi. Lizzie zostaje przy oknie salonu. Światło zachodzącego słońca skrzy się na żwirze, połyskuje w okruchach miki. Słyszy szmer rozmowy Margaret i Barbary Bint. Chce, żeby czas się zatrzymał, chce stać na wieki przy oknie, patrząc na zachód słońca, wolna od wstydu czy wszelkich niebezpieczeństw czyhających za zamkniętymi drzwiami tego krzepiąco beżowego pokoju.

Pani Bint wpada do salonu w chwili, gdy odwraca się od okna.

— Jestem pierwsza? Zawsze pierwsza — zawodzi. — Mam taki okropny nawyk, ale nie sądzisz, że w dzisiejszych czasach punktualność idzie w ślady etykiety i dobrych manier? Naprawdę uważam, że to wszystko powinno powrócić. Jeśli na zaproszeniu jest godzina siódma, wtedy powiem, że będę

o siódmej. Nie znoszę, gdy sama wydaję przyjęcie, a wszyscy się spóźniają i kanapki schną w piekarniku! Dasz to matce, Lizzie? Babeczki marchewkowe domowej roboty! — Wymachuje koszykiem, podchodzi i pochyla się, żeby pocałować ją w policzek. Pachnie dziecięcym pudrem i jaśminem, a z bliska Lizzie widzi kropelki zaschniętego lakieru, którym spryskała włosy ułożone w idealnie symetryczne skrzydła.

Pani Bint cofa się, trzymając rękę na jej ramieniu.

— Niech ci się przyjrzę. Dawno cię nie widziałam, Lizzie, i widzę, że twoja matka miała rację, rzeczywiście straciłaś na wadze. Wyglądasz cudownie! Choć nie rozumiem, dlaczego dzieci w dzisiejszych czasach nie czują potrzeby przebierania się w stosowne ubrania. Mój Zeke nie chce nosić butów i zawsze ma takie brudne nogi!

Lizzie patrzy na swoje bose stopy, obcięte dzinsy i koszulkę, pełną brązowych plam po popołudniowym koktajlu i wieczornym deserze, i czuje, że się rumieni.

Pani Bint kontynuuje:

— Wygląda na to, że przyszłam za wcześnie, twoja matka leszcze się nawet nie ubrała. Cóż, to da nam czas na pogawędkę. Powiedz mi, Lizzie, jak się masz? Jak w szkole? Słyszałam, że nieźle pływasz?

Gdy papła, Lizzie dzikim wzrokiem szuka siostry i dostrzega HI w drzwiach. Margaret mówi bezgłośnie coś niezrozumiałego, jej usta rozciągają się przesadnie. Lizzie, spłoszona, kręci głową na znak, że nie rozumie. Margaret dramatycznym gestem wskazuje sufit, a potem kręci palcem przy głowie, najwyraźniej sugerując, że ktoś — ona? Barbara Bint? — jest stuknięty.

— Nieźle — duka Lizzie, widząc przez okno następny samochód zajeżdżający pod dom. Znowu dzwonek. Margaret znika.

— Gdzie catering? — Trzymając koszyk, pani Bint rozgląda się, jakby kelner mógł wyskoczyć zza kanapy albo z kredensu. — Z przyjemnością coś wypiję. Może odrobinę wody gazowanej. Z limetą. Czy jest gdzieś bar?

— Przyniosę pani — mówi Lizzie, wykorzystując okazję do ucieczki. Wybiega z salonu, mija Margaret, która stoi w holu, odbierając płaszcze od Marthy i Stevena Grouperów, rodziców jej szkolnego kolegi Maksa. Max, trzeci facet, z którym spała. Siedemnastego kwietnia, według karty wyników z szatni.

O Boże,* to ostatni ludzie, jakich ma ochotę widzieć. Rzuca przez ramię słowa powitania i pędzi do kuchni.

Wyjmuje z szafki plastikowy dzbanek, zatrzymuje się, odstawia go na miejsce. Matka wpadłaby w popłoch, gdyby w czymś takim podała napoje gościom. Wspina się na ladę, żeby sięgnąć do górnej półki, gdzie stoją ślubne kryształ. Bierze za dużo szklanek naraz i gdy zeskakuje, jedna wysuwa się spod ręki i rozpada na płytkach na milion lśniących okruchów.

Margaret otwiera wahadłowe drzwi tak gwałtownie, że uderzają o ścianę, i wpada do kuchni. Ma krople potu na czole.

— Co się dzieje? — pyta Lizzie, chociaż już wie. Przypomina sobie, jak matka wycinała przepisy z magazynu „Gourmet”

i przygotowywała stosy zaproszeń, które na jej prośbę rozesłała miesiąc temu, tydzień przed odejściem ojca do Beverly Weatherlove.

— Mama zapomniała o koktajlu — mówi Margaret.

— No nie! — Lizzie stwierdza, że trudno jej to pojąć. To tak, jakby Święty Mikołaj zapomniał o Bożym Narodzeniu. Jakby nauczyciel matematyki, pan Nimroy, zapomniał o egzaminie z algebry. Coś takiego zaburza naturalne prawa nauki. — Co zrobimy?

— Biegnij na górę i wyciągnij ją z łóżka. Szybko, zanim ci ludzie pożrą nas żywcem. Ja obsadzę drzwi.

— Ale Barbara Bint chce trochę wody z bąbelkami.

— Ja zaniosę. Mamy czym ich nakarmić? Trochę sera i krakersów? Jakieś miniauciche w lodówce?

— Jest spanakopita, mama przyrządziła. Mogę zrobić trochę spaghetti.

Margaret się krzywi.

— Chyba nie myślisz, że to załatwi sprawę. Jestem pewna, że mama ma coś, co można przygotować napędce. Idź po nią!

— Ale powiedziała, żeby jej nie przeszkadzać, prawda?

— Lizzie, bez żartów. Biegiem! — szepcze Margaret, już lejąc wodę mineralną i wrzucając lód do szklanki. — I nie zostawiaj mnie samej na długo.

Lizzie biegnie po dwa stopnie naraz, przeglądając się w dużym lustrze w złoconej ramie, które stoi na podeście. Jest czerwona i nie ma makijażu — nie umalowała się po przyjeździe z basenu — a z nogawek obciętych džinsów zwisają postrzępione nitki.

Drzwi pokoju matki są zamknięte i stoi przez minutę, przyciskając do nich ucho. Czy mama wciąż śpi, choć na dole panuje taki hałas? Słyszy tylko szum w głowie. Stuka i znowu przyciska ucho do drzwi. Nic. Puka głośniejsze. Wciąż nic.

Zbiera się na odwagę i uchyla drzwi, odrobinę, żeby zerknąć. Oko po dłuższej chwili przyzwyczaja się do ciemności. Widzi matkę leżącą na boku, owiniętą w szlafrok, plecami do drzwi.

— Mamo? — pyta. — Nie śpisz?

Janice się nie rusza. Lizzie wchodzi, po cichu zamyka drzwi. Gruby dywan tłumi odgłosy z przyjęcia i tylko od czasu do czasu wysoki ton dociera z salonu. Lizzie podchodzi na palcach do łóżka, podnosząc pod drodze poduszki, i siada na brzegu obok matki. Janice ma otwarte oczy. Patrzy pustym wzrokiem na jedwabne zasłony szczelnie zaciągnięte przed zachodzącym słońcem.

— Lizzie — szepcze chrapliwie i tak cicho, że Lizzie musi się pochylić, żeby ją zrozumieć. — Ktoś przyszedł?

— Tak. Zgadza się.

— James? — Janice podnosi się na łokciu. — James już przyszedł? Lizzie nie kryje zaskoczenia.

— James?

— Czyściciel basenów.

— Nie. Ale jest pani Bint.

— O nie — szepcze Janice i ciężko opada na plecy. Przyciska dłoń do czoła i zastyga z zamkniętymi oczami. — Co tutaj robi? Niech sobie idzie. Powiedz, że w tym tygodniu nie mogę pójść na jej zgromadzenie kościelne.

— Przyszła na koktajl — wyjaśnia Lizzie. — Podobnie jak Grouperowie. Pewnie inni też. Miałaś urządzić przyjęcie?

Mama siada szybko i gwałtownie wciąga powietrze.

— Och! Zupełnie zapomniałam. Jak mogłam zapomnieć?

— Przygotować ci kąpiel albo coś?

Janice przyciska palce wskazujące do kącików oczu, jakby próbowała je zamknąć. Zapada długa cisza.

— Nie — mówi. — Nie mogę. Nie teraz.

— Czego nie możesz? — Lizzie czuje przestרח. Po raz pierwszy słyszy, że mama nie może czegoś zrobić. Zastanawia się, czy prawdziwa matka nie została uprowadzona przez kosmitów, którzy w jej miejsce podstawili tę dziwnie szczerą oszustkę.

— Nie mogę tam zejść — mówi Janice, kręcąc głową. Kładzie się i zamyka oczy. — Głupia. Głupia głupia, głupia. Twoja matka jest kretynką, Lizzie.

— Nie, wcale nie, mamo — zapewnia Lizzie, gotowa zacząć świrować. Co się tu dzieje? — Ja stale zapominam o różnych rzeczach. Zapomniałam wynieść śmieci, pamiętasz?

Ale Janice kręci głową, nie podnosząc się z poduszki, i ku przerażeniu Lizzie jej oczy wypełniają się łzami.

— Nie mogę się im pokazać. Jestem wrakiem.

Lizzie musi przyznać, że mama faktycznie nie wygląda najlepiej. Ma pod oczami półksiężycy tuszu do rzęs, a jej włosy nad czołem ściemniały od potu. Pod nosem wyskoczyła czerwona wysypka, skóra wokół oczu wydaje się sina. Ostatnim razem wyglądała tak źle, gdy parę lat temu zachorowała na salmonellę po zjedzeniu nieświeżych ostryg i omal nie umarła. Cały tydzień spędziła w łóżku z ponad trzydziestoma dziewięcioma stopniami gorączki, pijąc tylko gatorade i jedząc biały *wonder bread*, którego ojciec musiał szukać w dwóch miastach, Lizzie pamięta, co wówczas czuła: szok, jaka słaba może być matka powalona przez kęs zepsutego mięczaka.

— Wystarczy ci tylko świeży makijaż — mówi z nadzieją.

— Nie kłam — prycha Janice. — Wyglądam upiornie. — Ale podnosi się, jedną ręką przytrzymując szlafrok, żeby się nie rozchylił. Zamiast usiąść, zakreśla łuk i dotyka czołem kolana. Łapczywie chwyta powietrze. — O Boże. Chyba zwymiotuję. — Wstaje gwałtownie i potyka się o rąbek szlaf-loka, gdy biegnie do łazienki. Po paru sekundach Lizzie słyszy odgłosy wymiotowania i podchodzi do drzwi łazienki. Matka pochyła się nad sedesem, wycierając usta różową bibułą. Drobnie brązowe cętki żółci plamią białe kafelki.

Spływa na nią zrozumienie. To tylko grypa.

Nie masz grypy żołądkowej albo czegoś takiego? Mama uśmiecha się blado.

Zgadza się — mówi. — Coś takiego.

Wezwać doktora?

Nie! Nie ma potrzeby.

OK. Ale co mam zrobić z gośćmi?

Powiedz im, że mam grypę. Nie, powiedz, że to strasznie zaraźliwe. Powiedz, że to wirus bakteryjny.

OK — szepcze Lizzie konspiracyjnie, zadowolona, że znalazła się w Komitecie Planowania Tajnej Formacji. Poza tym odczuwa lekką ulgę, że mama nie zejdzie na dół. Nie jest

pewna, czy zniosłaby widok matki rozmawiającej z Grouperami. — Powiem im, że doktor kazał ci leżeć.

— Moje dziecko — mówi Janice i wyciąga rękę, prosząc

o pomoc przy wstawaniu. Jest zaskakująco lekka, a gdy szlafrok przypadkowo się rozchyła, Lizzie widzi jej piersi. Odwraca oczy od pożyczowanego ciała, prowadzi matkę z powrotem do łóżka i stawia kosz na śmieci w zasięgu ręki na wypadek, gdyby znów wymiotowała, a potem wymyka się na dół.

*

W salonie kłębi się tłum. Lizzie widzi co najmniej dwa tuziny par, łącznie z Grouperami, Gossettami, Luellą Anderton

i Barbarą Bint, Maxfieldami i doktorem Brunschildem z za rogu. Ku jej przerażeniu zjawili się również Bellstromowie — rodzice Justina — i Franksowie (rodzice Johnny'ego, 09.06 i 18.06). Jest niemal tak, jakby matka zaprosiła rodziców kolegów, z którymi to robiła — straszna myśl! Wodzi wzrokiem po twarzach, które widywała na niezliczonych letnich piknikach z grillem, świątecznych przyjęciach, imprezach przy basenie w Święto Pracy, w czasie zimowych weekendów z jazdą na łyżwach i w urodziny więcej razy, niż może zliczyć, odkąd nauczyła się chodzić, i nie wyczytuje w nich miażdżącego potępienia. Dorośli uśmiechają się do niej i machają rękami. Jak mogą nie wiedzieć o jej reputacji? Dziwkadziwkadziw-kadziwka, myśli. Wie cała szkoła!

Gości jest już dwa razy więcej. W pokoju, ciepłym pomimo klimatyzacji, narasta hałas, gdy wszyscy próbują się przekrzykiwać. Ze stereo płynie muzyka jazzowa. Lizzie słyszy brzęk biżuterii o kieliszki. Margaret zrobiła najazd na piwniczkę rodziców i pół tuzina zakurzonych butelek Château Lafite stoi na kredensie obok kryształowych kieliszków, talerzyka z oliwkami, miski orzeszków arachidowych, talerza pociętego w trójkąty chlebka pita i salaterki humusu. Lizzie podziwia pracowitość siostry. Ona zrobiłaby tylko spaghetti.

Margaret, przyparta do muru, osaczona przez Stevena Bellstroma i Barbarę Bint, tkwi z nosem w kieliszku wina. Jej mina przywodzi na myśl zblakłego psa, zapędzonego w kąt przez służby weterynaryjne. Lizzie słyszy tylko strzępy rozmowy / drugiego końca pokoju: „praca naukowa”, „epoka dostatku”, „potencjał sieci bezprzewodowych”.

Wzrusza ramionami, gdy Margaret podchwytuje jej spojrzenie.

— Chora — mówi do niej bezgłośnie. — Grypa. — Margaret mruży oko i kiwa głową, nie przerywając rozmowy.

Lizzie czuje rękę na ramieniu i odwraca się. Widzi obok siebie Franksów, Lindę i Jeffreya. Franksowie. Cofa się, ale nie ma dokąd uciec. Linda Franks gładzi ją po głowie. Lizzie myśli, że zaraz zleje się w majtki.

- Miło cię widzieć, Lizzie! — woła pani Franks. — Słyszałam, że wstąpiłaś do drużyny pływackiej. Doskonale! Założę się, że mama jest z ciebie bardzo dumna.

- Tak — przyznaje czujnie. — Na ostatnich zawodach zajęłam trzecie miejsce. Mniej więcej.

Brawo! — kontynuuje pani Franks. — Sport jest ważny w iwoim wieku. Słyszałaś, że w tym roku Johnny zdobył tytuł najlepszego piłkarza?

Lizzie dobrze to pamięta, bo tytułem „daru dla sławy” zrobiła mu laskę w łazience dla gości, gdy Franksowie wybrali się na operę do San Francisco. Kiwa głową, bo nie śmie zaufać głosowi.

Tak, oczywiście, na pewno wiesz, prawda? Słyszałam, dzięki poczcie pantoflowej, gdyż Johnny już mi nic nie mówi, taki z niego mężczyzna, że ostatnio spędzałaś z nim trochę czasu. — Pani Franks sączy wino. — Mój sąsiad widział, jak parę tygodni temu wchodziłaś do domu. Johnny wie, że pod moją nieobecność nie wolno przyjmować gości, lecz gdy usłyszałam, iż chodzi o ciebie, wybaczyłam mu, ponieważ wiem, że twoja matka wychowała cię na przyzwoitą młodą

dame, ale następnym razem tylko wtedy, gdy będziemy w domu, zgoda? — Potrząsa palcem w udawanej pogroźce. — Rozumiesz, wchodzicie w wiek, kiedy zaczynamy się o was martwić. Stale zapominam, że już nie jesteście w podstawówce.

— Och, Lindo. — Jeffrey Franks szturcha żonę w ramię. — Daj dziewczynie spokój. Jestem pewien, że nie chce rozmawiać o swoim życiu towarzyskim z rodzicami kolegi. Nie sądzę, aby dzieciakom się to podobało, prawda, Lizzie?

— Uhum — mruczy Lizzie. — Nie jestem pewna, co myślą dzieciaki.

Linda Franks wciąż się uśmiecha, jednocześnie kręcąc głową. Lizzie przychodzi na myśl, że jest podobna do polerowanego orzecha laskowego: brązowa skóra napina się mocno na kościach policzkowych, jakby miała pęknąć w czasie uśmiechu. Pani Franks zakłada kosmyk włosów za ucho.

— George, nie masz pojęcia — mówi. — Jestem pewna, że Lizzie nie ma nic przeciwko rozmowie o Johnnym. Jestem pewna, że ostatnio ma wielkie powodzenie u wszystkich chłopców.

— Powodzenie! — woła ktoś przy uchu Lizzie. Lizzie z lękiem zerka przez ramię i ma wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. To Joannie Cientela, matka Briana, 24.05. Brian, blady blondyn, nieledwie albinos, ma na biodrze fałszywy tatuaż węża, który co wieczór przed pójściem do łóżka starannie odświeża długopisem. Pokazał go jej i zaprzysiągł do zachowania sekretu, zanim ją upił po raz pierwszy parę tygodni przed końcem szkoły. Zrobili to dwa razy, najpierw w łazience rodziców, co się nie liczy, bo miał przedwczesny wytrysk i spuścił się do umywalki, a potem w jego sypialni, na pościeli z motywami z *Gwiezdnych wojen*. Powiedział, że jeśli naprawdę miła, a ona pomyślała, że chce zostać jej chłopakiem, ale później nawet się do niej nie odezwał. Dziwkadziwkadziwkadziwka. Joannie Cientela pochyla się i cmoka ją na odległość, potem mocno chwyta za ramię.

— Brzmi to tak, jakby musiała ich odpędzać — mówi. — Prawda, Lizzie?

Lizzie stoi bez ruchu, skamieniała, gdy obrączka pani Cienieli wbija się w jej łopatkę.

— Odpędzać? Niezupełnie — mamrocze. Ale Joannie Cientela nie słucha.

— Patrzcie tylko na nią! — Popychają do przodu. — Ładna jak malowanie. Wreszcie dorastasz, skarbie, i jesteś taka słodka, że nic dziwnego, iż wszyscy chłopcy się w tobie durzą. Matka musi być z ciebie dumna. Gdzie twoja mama, skarbie? Dobrze, że urządziła przyjęcie, mimo wszystko nie upada na duchu. Miło to wiedzieć. Zresztą nie rozmawiajmy o tym. Jak szkoła? Słyszałam, że dobrze sobie radzisz. — Zwraca się do Frank-sów: — Brian mówił mi, że parę tygodni temu Lizzie pomagała mu po szkole, jego hiszpański jest straszny, a ona—potrząsa jąza ramię — pomagała mu po lekcjach. Lizzie, wiesz, że zostawiłaś spinkę do włosów w łazience? Zapomniałam ją przynieść.

Linda Franks woła:

— Dajesz korepetycje! Twoja matka nic mi o tym nie mówiła. Johnny też potrzebuje pomocy z hiszpańskiego.

Lizzie ma zamrożone struny głosowe, więc tylko kiwa głową, tak naprawdę z hiszpańskiego dostała czwórkę, ale decyduje, że lepiej o tym nie wspominać. Widzi, jak w ich stronę zmierza Cecile, matka Justina Bellstroma. O Boże. Nienawidzi siebie: **ci** rodzice, wszyscy tacy mili i ufni, nie mają pojęcia, że rozmawiają ze szkolną dziwką. Co będzie, jeśli matka się dowie? Czy wyrzuci ją z domu? Jak mogła być taka głupia? Myślała, że ją lubią, podczas gdy wszystkim, co lubili, była jej... Lizzie myśli o obrzydliwym słowie i przepędza je z głowy, zwija się w twardy kłębek i myśli, że jeśli rozluźni mięśnie, to roztopi się w kałużę jak Zła Czarownica z Zachodu. Chce siusiu, ledwo może wytrzymać.

Znów rozbrzmiewa dzwonek. Lizzie natychmiast korzysta z okazji do ucieczki.

— Muszę do drzwi — mamrocze, wyślizgując się z palców pani Cienieli.

Gdy spieszy przez salon, Noreen Gossett zachodzi jej drogę. Patrycjuszowskie nozdra rozduymają się jak końskie chrapy, brzoskwiniowe usta marszczą się z niezadowolenia.

— Gdzie twoja siostra? — pyta pani Gossett, akcentując każdą sylabę. Gdzie. Two-ja. Sios-tra. — Twoja siostra, Margaret. Muszę z nią pomówić. Jestem bardzo zdenerwowana. — Lizzie kręci głową. Noreen Gossett wyciąga szyję, rozglądając się po pokoju, i wypatruje swój cel przy kredensie. Margaret chłepcze wino, wywracając oczy, podczas gdy pan Bellstrom przemawia do pustego powietrza. Opuszcza kieliszek i nawiązuje kontakt wzrokowy w chwili, gdy Noreen Gossett skupia na niej oczy.

— Przepraszam — mówi pani Gossett, wymijając Lizzie. Margaret jednym haustem dopija wino, odstawia kieliszek na kredens i rusza z kopyta do kuchni.

Dzwonek znów dzwoni — ba bum ba bum ba bum be ba bum—i Lizzie ucieka do holu. Mocno zaciska powieki, szarpiąc klamkę, nie wiedząc, kogo jeszcze zobaczy, ale pewna, że czeka ją kolejna kara. Może Liverbachowie? Kiedy otwiera drzwi, widzi na stopniu Jamesa, czyszciciela basenów. Nie ma wizytowego stroju, chyba że uważa, iż koszulka damskiego boksera i szorty z paskiem z brązowej przędzy są odpowiednie na przyjęcie.

James macha kciukiem przez ramię, wskazując samochody.

— Macie imprezę?

— Co tu robisz? Myślałam, że już dziś byłeś.

— Specjalna dostawa dla twojej mamy. Gdzie ona jest?

— Na górze. Ale jest chora. Nie chce nikogo widzieć.

— Och, nie ma obawy. Mnie na pewno przyjmie. — James wchodzi do holu i wbiega po schodach, po dwa stopnie naraz. Lizzie idzie do stóp schodów i patrzy, jak znika w korytarzu na górze. Jest zaskoczona jego wizytą. Może mama zapomniała mu zapłacić?

Czeka minutę z ręką na poręczu, słuchając gwaru z salonu, i zastanawia się, czy ktoś zauważy, jeśli wyjdzie z domu. Czy Margaret się wścieknie? Może wyskoczy do Fountain na hamburgera z frytkami, a gdy wróci, nikogo już nie będzie. Odwraca się, gotowa do ucieczki, i wpada na Barbarę Bint, która zniecka wyrosła za jej plecami.

Barbara stawia czólenko na pierwszym stopniu.

— Pomyślałam, że pogawędzę z twoją matką, póki się szykuje. Zobaczą, jak sobie radzi. Pogadam...

— O czym? — Lizzie myśli o mamie obejmującej sedes i gra na zwłokę.

- Jest mnóstwo rzeczy do omówienia. — W głosie pani Flint brzmi fałszywa nuta, zdecydowanie złowieszcza i niedwuznaczna. (Dziwkadziwkadziwkadziwka). Stojąc na czwartym stopniu, patrzy na nią z góry, jej twarz jest pogrążona w cieniu żyrandola.

Lizzie wpada w panikę.

- Nie powinna pani tam chodzić — mówi. Rzuca się za nią i gdy Barbara wchodzi po schodach, chwyta rąbek jej sukni w kolorze fuksji. W konsekwencji przypadkowo ma okazję zobaczyć górną część rajstop napiętych na udach. — Jest naprawdę chora.

Chora? — Pani Bint delikatnie odrywa jej rękę od sukni i wygładza materiał na udach. — Straszne. W takim razie ktoś powinien do niej zajrzeć. Biedactwo. Gdybym wiedziała, przyniosłabym garnek zupy. Zobaczą, czego jej potrzeba.

Nie, to naprawdę zły pomysł. Ma bak... bam... — Lizzie nic pamięta, co powiedziała mama, i szuka innej mądrze brzmiącej nazwy choroby. — Ma czerniaka. To bardzo zarazliwe.

Czerniaka? Ma raka skóry?

Uhum, to znaczy... Zatrucie pokarmowe? Pani Bint patrzy na nią podejrzliwie.

Jesteś szczerą, młoda damo? — pyta. Lizzie bez powo-

dzenia próbuje się uśmiechnąć i czuje rumieniec na policzkach. — Wiesz, Jezus gardzi kłamcami. To dziewiąte przykazanie! Nie będziesz składał fałszywego świadectwa.

Lizzie czuje na ramionach ciężar kolejnego błędu i ugina się pod dodatkowym brzemieniem.

— Lizzie! Wszyscy powinni znać przykazania.

Ktoś staje u szczytu schodów i obie podnoszą głowy. James mija je, zbiegając na dół. Przystaje na moment w holu, puszcza oko i znika za drzwiami. Barbara patrzy za nim z przekrzywioną głową.

— Kto to?

— James — mówi Lizzie, rada, że jej wady już nie są tematem rozmowy. — Czyściciel basenów.

— Och. — Barbara nie kryje zdumienia. W chwili, gdy drzwi się zamykają, zaciska rękę na jej ramieniu. — Dokończę, co mówiłam... Może... i mówię to tylko dlatego, że bardzo ci współczuję, Elizabeth. Może powinnaś wziąć pod rozwagę częstsze chodzenie do kościoła. Słyszałam różne rzeczy od mojego syna, Zeke'a, rzeczy o twoim zachowaniu, bardzo niepokojące rzeczy. Nie zamierzam ich teraz powtarzać, ale chyba wiesz, o czym mówię. Wiem, że ostatnio nie miałaś zbyt wielu wzorów do naśladowania, zważywszy na postępek twojego ojca. I wiem, że twoja matka, biedactwo, przeżywa trudne chwile, ale to nie uprawnia cię do... do robienia tego, co robisz. Twoje ciało jest świątynią, Lizzie. Należy do Jezusa Chrystusa! Nie wiedziałaś?

Lizzie myśli, że zaraz zsika się w majtki. Ściska nogi, aż pieką ją uda. Barbara wlepia w nią oczy i Lizzie uświadamia sobie, że kobieta czeka na odpowiedź. Nie pamięta pytania.

— Tak? — mówi niepewnie.

— Powinnaś być mądrzejsza, Lizzie, i nie bezcześcić tej świątyni! Lizzie, posłuchaj. — Pani Bint pochyla się, opierając na jej ramieniu. Szepcze: — Jezus wybacza wszystkim grzesznikom. Jego miłość jest bezbrzeżna i jeśli przyjdiesz do Niego

i ślubujesz Mu swoje oddanie, wskaże ci drogę do wiecznej łaski. Pobłogosławi cię szczęściem.

— Tak? — szepcze Lizzie. Wyczuwa, że słucha głębokiej tajemnicy i pozwala przyciągnąć się bliżej. Barbara Bint jest ciepła, praktycznie bucha z niej para, i Lizzie jest bezradna w gorącym nimbie tej świętej prawości. Czuje, że wciąga ją zawrotny wir.

— Tak, Lizzie. I powinnaś doświadczyć radości, jaka wynika z przyjęcia Pana do serca i oczyszczenia się z grzechu. Móg cię kocha, Lizzie! Kocha cię! Powinnaś pójść z nami do Kościoła Rzeki Życia. Nowi członkowie są przyjmowani w czwartkowe wieczory. Możemy cię podwieźć, i tak mamy po drodze. Zabiorę cię w następny czwartek o siódmej i Zeke cię wprowadzi.

Wir wsysają i miota nią delikatnie. Jezus ją kocha. Naprawdę. Jest niezupełnie pewna, co to znaczy, ale to ją pociąga. (Dziwkadziwkadziwkadziwka). Wydaje się, że nie ma innej możliwości, jak pójść do kościoła i sprawdzić. Lizzie zamyka oczy i ulega. Rozluźnia mięśnie i z ulgą stwierdza, że jednak się nie zsiusiała.

OK — mówi wciąż szeptem.

Barbara odsuwa się od niej.

Będę się modlić za ciebie — mówi. Spogląda w górę i jej twarz, już zarumieniona z religijnego uniesienia, jaśnieje jeszcze bardziej. Lizzie odwraca głowę i widzi matkę na szczycie schodów. Twarz ma świeżo umytą, włosy uczesane w kok. Przebrała się w prostą czarną suknię. Nawet włożyła rajstopy. Jest blada, ale wysyła nerwowe vibracje, I«kby we wszystkich porach jej ciała pulsowała skumulowana energia.

Janice zbiega po schodach, jej wymanikiurowane paznokcie akcentują każdy krok stuknięciem w poręcz. Zatrzymuje się na najniższym stopniu, żeby cmoknąć powietrze nad policzkiem Barbary.

— Przepraszam za spóźnienie na własne przyjęcie — mówi. — Mam nadzieję, że moje córki bawiły gości, gdy się ubierałam.

— Lizzie powiedziała, że jesteś bardzo chora.

— Chora? — Janice sprawia wrażenie rozbawionej tym pomysłem. Lizzie jest skonsternowana. Jak mama mogła wyzdrowieć tak szybko? Czy nie rzygała parę minut temu? — Ależ skąd. Nic poważnego. Drobne kłopoty żołądkowe. Mam nadzieję, że się nie zmartwiłaś.

— Pomyślałam, że nie może być tak źle, skoro przyjęłaś gościa. Kim był ten młody człowiek? — Barbara krzywi twarz, jakby walczyła z własną ciekawością i ponosiła klęskę. — Dziwnie wyglądał. Mógłby nosić prawdziwy pasek.

Janice słucha jej bez zmruczenia oka.

— To tylko czyściciel basenów, Barbaro. Byłam mu winna wypłatę.

— Cóż, nie przejmuj się spóźnieniem. Pogawędziłam z twoją córką. Ucięłyśmy sobie miłą pogawędkę, prawda, Lizzie? — Mruga. Lizzie blednie.

— Dobrze, dobrze, dobrze! — woła Janice. Prowadzi Barbarę do salonu. Lizzie idzie za nimi, niepewna, czy ulga, jaką czuje, wiąże się z szybkim wyzdrowieniem matki, czy z umową, którą właśnie zawarła z Barbarą Bint. Janice staje przed drzwiami salonu, przygląda niewidzialny zbłąkany kosmyk włosów i wchodzi na przyjęcie, jakby wcale o nim nie zapomniała.

Głowy się odwracają, ręce podnoszą w udawanym zaskoczeniu. Twarze wyrażają radość. Jej matka zostaje porwana przez wir. Lizzie patrzy, jak stoi pośrodku pokoju między Grouperami i Luellą Anderton i rozmawia z ożywieniem, jedną ręką napełniając kieliszek winem, drugą wymieniając uściski i rozsyłając całusy. Nie po raz pierwszy jest pod wrażeniem jej sprawności. Tylko ona w jednej chwili może być wymiotującym wrakiem, a w następnej pełną wdzięku gospodynią. Obserwując ją, Lizzie

jest przekonana, że nigdy jej nie dorówna. Już namieszała w swoim życiu w koszmarny, nieodwracalny sposób. Wie, że nigdy nie będzie taka jak ta kobieta idealna. Nawet jeśli Jezus jej wybaczy.

Lizzie wycofuje się z salonu, powoli, żeby nikt nie zauważył jej ucieczki. Idzie na górę do swojego pokoju i kładzie się w ubraniu na łóżku. Patrzy w sufit bez mrugania, aż oczy zaczynają boleć, a potem opuszcza powieki i zapada się w nicość ukołysana do snu przez cichsze i głośniejsze fale rozmów z dołu.

James zjawia się dopiero we wtorek, zgodnie z planem, całe cztery dni po przyjęciu. Nie odpowiedział na żadną z sześciu wiadomości zostawionych na jego komórce, błagających o szybsze przybycie. Kiedy wczesnym przedpołudniem jego ciężarówka grzechocze na podjeździe, Janice wyskakuje z łóżka, gdzie przeleżała cały ranek w czarnej depresji — z tłustymi włosami, nieogolonymi łydkami, nieumytą twarzą — i pędzi do drzwi na nogach niepewnych jak u dziecka, które uczy się chodzić.

Zbiega na dół, przeskakując stopnie, próbując ignorować, co sugeruje ten pośpiech. Po trzech tygodniach wdychania białego proszku z małych plastikowych torebek jest przekonana, że to się niczym nie różni od zażywania przepisanych na receptę lekarstw. Ostatecznie parę lat temu głosowała za legalizacją marihuany jako środka znieczulającego dla nieuleczalnie chorych, oczywiście po tym, jak przejrzała wyniki badań naukowych i zdecydowała, że odmawianie ulgi w cierpieniu osobom konającym na raka jest okrucieństwem. A czy To jest inne? To jest jak trawka, vicodin albo Valium, prosty środek służący praktycznemu celowi: poprawia samopoczucie w trudnych chwilach, w czasie, który, jak sobie powtarza, szybko przeminie, a potem już nie będzie potrzebowała pomocy farmakologicznej.

Poza tym To ma tyle dobroczynnych skutków ubocznych.

Strata na wadze, oczywiście (James miał rację), ale również energia! Może sprzątać godzinami i dopiero później czuć satysfakcjonujący ból w palcach po szorowaniu zapieczonych czarnych plam na spodzie brytfanny czy skurcz w ramionach po woskowaniu karniszy w salonie. Zapewniła lodówkę zapiekankami, zrobiła dwadzieścia słoików kremu cytrynowego i przygotowała pięć partii pieczenia jagnięcej do zamrożenia. Nigdy zbytnio nie interesowała się sprawami spoza granic miasta — chyba że mogły bezpośrednio wpłynąć na jej rodzinę — ale teraz zainteresowanie światem zewnętrznym zmalało jeszcze bardziej, aż w końcu jej jedyną troską stało się życie w obrębie czterech ścian domu. Z Tym w żyłach żadne zadanie nie wydaje się zbyt trudne. Czasami czuje, że gdy będzie szorowała odrobinę mocniej, starała się jeszcze bardziej, zostanie nagrodzona jakimś objawieniem, domową nirwaną, osiągnięciem perfekcji, która przyćmi, a może nawet rozwiąże, jej inne kłopoty.

A jednak. Czasami trudno podeprzeć twierdzenie, że branie tego jest tymczasowym i zupełnie nieszkodliwym eksperymentem. Przede wszystkim wzdraga się na myśl o upokarzającym sposobie zażywania. Byłoby inaczej, gdyby To było w pigułkach. Wciąganie proszku nosem przez zwiniętą dwudziestodolarówkę wydaje się wulgarne, bez względu na to, ile razy piła i prasowała banknot. Unika patrzenia na siebie w lustrze, gdy to robi, bo się boi, że zobaczy, jak kuli się nad blatem — garbuska wsysająca cudowny pył. I Bóg tylko wie, jakie zarazki przy okazji wciąga do nosa.

W tym czasie już ma za sobą poszukiwania w Internecie. Tuż przed świtem pewnej bezsennej nocy, gdy Lizzie i Margaret spały na górze, zakradła się do gabinetu i wpisała do wyszukiwarki słowa „narkotyki” i „kryształ”. Na pierwszym miejscu pojawiła się strona amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości. Tak, od początku czuła, że niezależnie, czym jest ten cudowny krystaliczny proszek, który sprzedaje jej James,

prawdopodobnie nie jest legalny. Ale gdy siedziała w ciemności, przeklinała się za potwierdzenie tego domysłu, bo teraz nie mogła udawać, że nie wie. Metamfetamina, tak brzmiała nazwa użyta przez departament.

Oznaczenie chemiczne: (0±)
-2-metyloamino-1-fenylpropan. Inaczej zwana metyloamfetaminą.
Narkotyk kategorii pierwszej. Posiadanie karane rokiem więzienia.

Kliknęła dalej: „Znana również jako meta, kokaina biedoty, jaba, śnieg, cuks, proszek, przyspieszacz, szkło, kości”, przeczytała na stronie. Wypowiedziała te słowa na głos: „Meta, cuks, szkło”. Potoczne nazwy były dosadne i przykre dla ucha; w myślach kryształ zawsze był po prostu Tym, ogólnikowym określeniem bez nieprzyjemnego podtekstu. Czytała dalej: „Skrajnie uzależniający. Skutki długotrwałego zażywania obejmują zachowania psychotyczne, paranoję i trwałe uszkodzenia mózgu”. Skrzywiła się. „Zapowiedzią problemu uzależnienia jest bezsenność, powtarzanie czynności, niepokój, utrata panowania nad sobą i chroniczna niezdolność do koncentracji uwagi”.

Zauważyła, że jej lewa ręka nerwowo wystukuje uverturę Wilhelma Tella, paznokcie z entuzjazmem odtwarzają partię chóru. Zmusiła palce do bezruchu i rozplaszczyła dłoń na blacie biurka. Czowała mrowienie satysfakcji: najwyraźniej wciąż może panować nad ciałem. A koncentracja? Wczoraj przyrzadziła *coq au vin* — pięć bitych godzin od duszenia do garniowania, na podstawie oryginalnego przepisu Julii Child! — co dowodzi, że potrafi się skupić. Zadowolona wyłączyła komputer i słuchała, jak maszyna pogrąża się w elektronicznym śnie. Uspokoila się, że bierze narkotyk dopiero kilka tygodni — na pewno za krótko, żeby wpaść w uzależnienie. Myśl, że z dnia na dzień mogłaby zostać narkomanką, jest po prostu śmieszna!

Ale czuje, że gdzieś w głębi rośnie coś szpetnego, swego rodzaju rakowata bestia ze zgrzytającymi zębami i krwawiącymi

dziaśłami. Są chwile, gdy wręcz łaknie Tego, znacznie bardziej niż pieczonych kurczaków, gdy była w ciąży z Lizzie. Miała straszne zachcianki: budziła się w środku nocy i kazała Artowi wieźć się do brudnego fast foodu, gdzie jadła, jadła i jadła i nie mogła się najeść. Czasami czuje trawiący ją głód, jakby nienasycony potwór przejął władzę nad jej ciałem, pragnąc coraz więcej i więcej.

A potem przychodzą takie dni jak ten, gdy odlot zupełnie przemija, gdy niecierpliwie czeka na Jamesa, żeby uzupełnił jej zapas. Zjazd z wyżyn, na jakie wynosi ją To, jest stromy. Ma wrażenie, że zamknięta w czarnym jak smoła sejfie spada na dno zimnej rzeki. Myśli o Arcie i Beverly, wcześniej wściekle czerwone, stają się beznadziejnie czarne. Choć nigdy nie należała do osób rozważających samobójstwo, teraz, gdy osuwa się w to ponure, puste miejsce, zaczyna rozmyślać, z jaką ulgą chciałaby zasnąć i więcej się nie zbudzić. Tylko kolejna dawka lego może ją znowu postawić na nogi.

A nie ma Tego od dwóch dni. Przez dwa dni nie sprzątała, nie gotowała, nie załatwiała żadnych spraw, nie umówiła się na spotkanie ani nawet nie włożyła ubrania. Nic nie robiła, tylko siedziała w szlafroku, wyczerpana, oglądając telewizję i czytając stare książki Margaret Nancy Drew. Nie ma nawet siły na płacz. Jej mózg jest kleisty i bezkształtny jak miska owsianki. W chwilach głębokiego skupienia ma wrażenie, że czuje, jak zanikającej mięśnie, gdy leży i porusza tylko palcem wskazującym, żeby zmieniać kanały. Jej córki chodzą po domu na paluszkach, zajmując się swoim życiem. Margaret (która po prawie trzech tygodniach pobytu jeszcze nie wspomniała o powrocie do LA) odbiera telefony, i dobrze, bo ona nie ma ochoty na rozmowy. Nie dostaje żadnych wiadomości. Odkrycie, że świat jej też nie potrzebuje, jest przygnębiające, choć niesie nieokreśloną ulgę.

Kiedy James zjawia się we wtorkowe popołudnie, Janice z drżeniem słucha chrzęstu żwiru pod kołami ciężarówki.

Zbiegając po schodach, myśli o tych starych reklamach telewizyjnych alka-seltzer: „Weź szybki alka-seltzer, a szybka ulga murowana!”. Nos ją pali z oczekiwania. Alka-seltzer przybywa na ratunek.

Ale gdy wychodzi z domu, James już szykuje się do odjazdu, pospiesznie wrzucając na skrzynię środki chemiczne. Zamiera, widząc ją w bramie ogrodu.

— Spieszysz się?—pyta Janice. Krzyżuje ręce na piersi, potem opuszcza je i zaciska dłonie, żeby ukryć nerwowe ruchy palców.

— Dziś nie miałem wiele do zrobienia. — James łąduje do pick-upa ostatnią butlę chloru i zatrzaskuje klapę.

— Dostałeś moje wiadomości?

— Jasne.

— I? — Ma nadzieję, że mówi lekkim tonem, ale jej głos jest cienki i kłujący jak igły w przyborniku do szycia.

— Nie przywiozłem. — James milczy przez chwilę. — Nie mam.

— Nie rozumiem. Wzrusza ramionami.

— Przykro mi.

— James, poważnie. Musisz dać mi jeszcze trochę — nalega. — Parę razy więcej niż ostatnim razem. Dajesz mi tak mało, ostatnią partię zużyłam w dwa dni. Chciałabym dostać trzy razy tyle, jeśli można.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł. Ten towar ci nie służy.

— Powiedziałeś, że nie różni się od vicodinu — zaznacza.

— Vicodin to też nie przelewki.

— Myślę, James, że to nie ma nic do rzeczy. Naprawdę. Jestem dorosłą kobietą, nie musisz mi mówić, co powinnam, a czego nie powinnam robić.

James opiera się o tył półcieżarówki, wtyka palec do ust i z zadumą obgryza skórę przy paznokciu. Janice uważa ten nawyk za odrażający (i co z chemikaliami na rękach?), a jednak nic nie mówi.

— Źle się czuję, dając ci kryształ — mówi James. — Za daleko zasłaś. W ogóle nie powinienem był ci tego dawać.

— Bzdura — mówi, gdy włączają się dzwonki alarmowe w jej głowie. Skąd To weźmie, jeśli nie od niego? Poprosi Margaret albo Lizzie? Boże, nie. Czy w Santa Rita jest więcej dealerów? Nie zna odpowiedzi na to pytanie. Kupując tutaj, za bramą domu, czuje się bezpieczna, ale gdyby musiała jeździć po ulicach... Dokąd miałyby się udać? Poza tym jak w ogóle wygląda handlarz narkotyków? A co, jeśli zostanie przyłapaną? Narkotyk pierwszej kategorii! Rok w więzieniu! Nie może pozwolić, żeby James zakończył dostawy. — Dzięki temu radzę sobie znacznie lepiej.

— Nie w tempie, w jakim to pochłaniasz. Powinnaś przestać.

— Nie twoja sprawa. Nic mi nie jest. Po prostu daj mi trochę więcej. Możesz podrzucić pod koniec dnia?

— Nie.

— Tak — nalega. — Tak! — Czuje, że samokontrola ulatuje, gdy z rykiem nadciąga głód. Będzie powtarzać „tak”, dopóki nic dopnie swego, dopóki James nie przyzna jej racji. Jest tylko czyszcicielem basenów. W końcu musi ustąpić. — Musisz.

— Przykro mi.

— Jeśli nie... to... to.. — szuka argumentu, jakiegokolwiek. — Będę musiała cię zwolnić — mówi rozgrzana przez pełną oburzenia furję. — I powiem wszystkim, że mnie okradłeś. Mogę nawet donieść policji, że handlujesz narkotykami!

Jezu. — James pociera kark wilgotnym palcem. — Jezu, Janice. Pani Miller. Janice. Dlaczego?

Przepraszam — mamrocze. Traci odwagę niemal w jednej chwili. Czuje, że zaraz złapie go za rękę i zacznie błagać. Mój Hoże, zachowuję się jak narkomanka, myśli.

James patrzy na nią z góry, jest dobre siedem centymetrów niższa od niego. Janice widzi litość w jego oczach, skupionych i wilgotnych. W pewien sposób to jest najgorsze. Sprawia, że chce odwrócić głowę, żeby nie widział jej twarzy.

James wzdycha.

— Domyślam się, że masz za sobą ciężki miesiąc.

— Tak — szepcze słabym głosem, spoglądając na dom. Nigdy nie czuła się taka upokorzona. Nigdy w życiu nikogo

o nic nie prosiła ani nikomu nie groziła, co dopiero chłopakowi w wieku córki. Chce jej się płakać nad utraconym własnym ja, nad racjonalną Janice, tą Janice, która miała wszystko pod kontrolą, Janice, którą, jak myśli, ocali, biorąc To. — Zrobisz to? Proszę.

— No dobrze. — James otwiera drzwi samochodu i klapkę schowka. Janice widzi przez chwilę opasane gumką torebki, a potem czuje w dłoni złożony plastikowy woreczek. — To twoje życie. Nie moje.

Omywa ją fala ulgi. Zaciska w rękę plastikową torebkę

i zdumiewa się, że znajduje natychmiastową pociechę w czymś tak lekkim i niematerialnym. Niemal czuje smak chemicznych kropli w głębi gardła. Grzejąca się od skóry plastikowa torebeczka, w której chrzęszczą kryształy, zaciera wstyd płaszczenia się przed dwudziestosześcioletnim chłopakiem i błagania o narkotyki. Zachowała się jak zdegenerowana ćpunka. Nie, teraz, gdy ma To w ręce, zmienia scenariusz: jest tylko pracodawcą proszącym pracownika o dostarczenie towaru i świadczenie usług, zgodnie z tym, co obiecał. Ma czterdzieści dziewięć lat i jest matką dwóch córek, żoną prawie miliardera na papierze, szanowanym członkiem społeczności, a kim jest on? Palącym trawkę młokosem, obibokiem, handlarzem narkotyków. Ta torebeczka po prostu się jej należy. Niech on się wstydzi, że ma o nim takie zdanie.

— Prawda — mówi, chowając torebkę w kieszeni. — Zdecydowanie to nie jest twoje życie.

*

Szanowny Lewis Grosser, gruby jak wieprz i niższy nawet od Lizzie, ma lśniąca różową skórę, która napina się na pyzaty policzkach. Janice zawsze uważała, że niewysocy, otyli męż-

czyżni są weseli z natury, jakby pielęgnowanie jowialności kompensowało im niski wzrost. Ale Lewis Grosser jest daleki od żartów, jak przystało na prawnika specjalizującego się w sprawach rozwodowych.

— Przejdźmy prosto do rzeczy, pani Miller — mówi, siadając na kanapie w salonie. Poduszki pierdzą głośno, gdy opada na nie jego szeroki tyłek. — Mamy trudną sytuację. Podpisała pani poślubną małżeńską umowę majątkową, potocznie zwaną intercyzą, która znosi wspólność majątkową na rzecz rozdzielności majątkowej. Podpis, pani podpis, widnieje na dokumencie, w którym zrzeka się pani wszystkich praw do Applied Pharmaceuticals. Mianowicie, chodzi o dokument, który podpisała pani rok temu. — Sięga po aktówkę i wyjmuje gruby plik papierów. — Bla bla bla... Jest. Strona dwieście czterdzieści lizy. „Janice Miller niniejszym zrzeka się w pełni swoich praw małżeńskich do wszelkiego majątku pozyskanego przez Arta Millera wskutek wprowadzenia na giełdę akcji Applied Pharmaceuticals, jak odnotowano w dowodzie rzeczowym C”.

Janice wykręca palce. Zegar na ścianie salonu tyka — trzy minuty po dwunastej. Od wizyty Jamesa nie zmrużyła oka. To trzymało ją na nogach przez całą noc, przez cały dzień. Spróbowała się przespać około trzeciej nad ranem, ale mogła tylko leżeć sztywno na plecach, patrząc w sufit. W końcu się poddała i zamiast wypoczywać, wyszorowała szafki w kuchni. Kanek spędziła na oglądaniu powtórek programów kulinarnych na kanale Food Network, patrząc w skupieniu, jak Bosonoga Contessa dusi kurczaka, gdy światło na zewnątrz zmieniało się z szarego na żółte i białe. Wreszcie wstała z kanapy, wzięła prysznic i zanim zbudziły się dziewczęta, zrobiła gofry na śniadanie.

Dziś czuje się jak własna podobizna: Janice lalka, na zewnątrz lśniąca i polakierowana, ale w środku pusta. Obiecała sobie, że weźmie Tego przed spotkaniem z prawnikiem, gdyż wydawało się to niestosowne. Ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie

i zdecydowała, że może skorzystać z dodatkowego kopa, po prostu dla większej jasności umysłu. Zażyła tylko odrobinę. Ma nadzieję, że prawnik nie będzie się zastanawiał, dlaczego jej lewa noga drga niekontrolowanie.

Margaret siedzi obok niej na kanapie, w nowej roli asystentki. Na kolanach trzyma teczkę z wycinkami i notes. Jej obecność działa na nią uspokajająco. To nieznanne uczucie, przeciwne ciarkom, jakie zwykle ją przebiegają, gdy córka jest w pobliżu. Może poproszenie jej o pomoc wcale nie było złym pomysłem, nawet jeśli tamtego dnia w warzywniku, zaskoczona w czasie sortowania chwastów, natychmiast poczuła się winna, że okazała słabość. Margaret szybko umówiła spotkanie z prawnikiem, zwalniając ją z tego pierwszego nieprzyjemnego zadania. Janice czuje jej ciężar na kanapie i pozwala, by siła grawitacji zbliżyła je do siebie. Matka i córka. Zjednoczony front. Uśmiecha się pod nosem.

— Cóż, nie wiedziałam — mówi do Grossera. — Nie miałam pojęcia, czego dotyczą dokumenty. — Lewa stopa skacze po dywanie, kreśląc dziesięciocentymetrowe kółko.

— Czytała pani dokumenty? — pyta Grosser. Unosi jedną brew. Janice słyszy świst w jego nozdrzach, cichy i jakby wilgotny. Prawnik wierci się i opada jeszcze głębiej na kanapie. — Ponieważ niestety sformułowanie jest bardzo jasne. Przynajmniej dla prawnika.

— Nie, nie czytałam... Ale to tylko parę zdań na stronie dwieście czterdziestej trzeciej. Dwieście czterdziesta trzecia strona w dokumencie, który ma ich czterysta jedenaście! — Przepelnia ją furia, jest przekonana, że ma rację i że świat powinien — musi! — zrozumieć jej sytuację. — Potrzebowałabym szkła powiększającego, żeby to przeczytać. To jawny podstęp! — Wskazuje papier palcem, który drży, co zauważa z przerażeniem. Splata ręce na kolanach.

— Oczywiście, oczywiście. Nie mówię, że się nie zgadzam. Występuję jako adwokat diabła i tylko wskazuję, jakie będą

argumenty drugiej strony. Dam pani jednak radę na przyszłość, w tej chwili oczywiście nieprzydatną, ale... Zawsze, powtarzam, zawsze proszę czytać dokładnie przedłożone do podpisu dokumenty. — Grosser krzyżuje ręce na piersi i poważnie kiwa głową.

Janice wraca myślą do dnia sprzed ponad roku. Spieszyła się do San Francisco na babski lunch, gdy Art poprosił, żeby po drodze wstąpiła do jego biura i podpisała papiery dotyczące ich inwestycji w Applied Pharmaceuticals. Na trasie sto jeden doszło do wypadku — hummer wpadł na miatę, która stanęła w płomieniach, blokując całą autostradę — więc prawie przez dwie godziny tkwiła beczynnym w korku spóźniona na oba spotkania.

Gdy przyjechała do biura, Art podał jej gruby na siedem centymetrów plik papierów i pokazał strony, gdzie powinna podpisać, jedna po drugiej, co najmniej trzy tuziny. „To tylko arkana prawne — powiedział. — Chodzi o ograniczenie naszej osobistej odpowiedzialności, gdyby Applied Pharmaceuticals kiedyś zostało pozwane, sprawa dotyczy opcji na zakup akcji i wynagrodzenia zarządu. Podpisz tutaj... i tutaj". Pamięta, że tego prawnik, Milt, siedział w kącie gabinetu, przeglądając lakieś czasopismo i paplając o swoim ostatnim wyjeździe na golfa — do Palm Springs? A może do Taos? I o to chodziło. W dwie minuty było po wszystkim. Tak po prostu.

Teraz, z perspektywy czasu, Janice widzi, że Art działał z premedytacją. Kłamca! Nagle wpada jej do głowy, że musiał planować tę chwilę w gabinecie od miesięcy — może nawet od lat! Czy już wtedy sypiał z Beverly? Czy Milt brał udział w spisku? Czy wszyscy poza nią wiedzieli, że Art ją zdradza? Konsekwencje są niewyobrażalne. Patrzy na dokument, na swój podpis skreślony tym cholernym zielonym atramentem, i żołądek podchodzi jej do gardła. Od jak dawna małżeństwo było dla Arta fikcją, zanim zaaranżował to podstępne odcięcie jej od fortuny? Niedługo przed podsunięciem jej papierów do

podpisu zabrał ją na weekend do centrum odnowy biologicznej w Kolorado — nawet uprawiali seks (robi jej się słabo) w wielkim jacuzzi z widokiem na Góiy Skaliste, ze świecami i przy muzyce jazzowej. Czy miał to być jego łabędzi śpiew? Swego rodzaju nagroda pocieszenia dla niej? Widzi siebie tak, jak on musiał ją widzieć: żałosna idiotka.

Nie pamięta miny Arta, gdy podpisała papiery. Gdyby na niego spojrzała, gdyby poświęciła chwilę, czy wykryłaby oznaki wyrzutów sumienia? Czy podejrzewałaby, że paplanina Milta miała na celu oderwanie jej uwagi od treści dokumentu? Gdyby wiedziała, że zrzekła się na piśmie swojej przyszłości, czy dostrzegłaby drobiazgi, które zdradzały, że dla Arta ich małżeństwo od dawna jest skończone?

Noga podskakuje szybciej, dając upust jej gniewowi.

— Dwie godziny tkwiłam w korku — mówi Janice. — Na sto pierwszej doszło do wypadku, byłam spóźniona i zdenerwowana. Nie wiedziałam, że chodzi o coś ważnego.

— Zakładam, że nie zatrudniła pani prawnika, żeby przejrzeć dokumenty?

— Po co miałabym to robić? On był moim mężem. Małżeństwo jest związkiem partnerskim opartym na zaufaniu. — Janice słyszy własne słowa i uświadamia sobie, jak płytko muszą brzmieć w uszach zahartowanego prawnika. Brzmiały płytko nawet dla niej. Zaufanie zostało zdradzone przed laty. Wielka szkoda, że nie zauważyła, kiedy to się stało. Dodaje tytułem wyjaśnienia: — Zabrał mnie na romantyczne wakacje.

— Co to ma do rzeczy? — Grosser rozpira się na kanapie. — Stale się dziwię, ile osób cierpi wskutek rozpadu małżeństwa, bo ich małżonek potrafił o siebie zadbać, oni zaś tego nie zrobili. Taka jest natura ludzka, pani Miller. Każdy troszczy się przede wszystkim o siebie. Potem zleca prawnikom uporządkowanie reszty.

— Ale... to nawet nie było zatytułowane jako umowa... — próbuje wyjaśnić. — Tylko jedna strona z kilku tuzinów, które

podpisałam. Podstępem skłonił mnie do tego. Powiedział, że to plan ochrony majątku. Proszę spojrzeć, tak jest napisane na pierwszej stronie. Nie żadna umowa przedślubna.

— Poślubna. Wiem, wiem. Niestety, liczy się nie okładka, lecz treść książki. — Grosser znowu kręci głową. Podnosi dokument i wertuje go jeszcze raz.

Janice czuje dotknięcie i spuszcza wzrok. Margaret z ręką na jej kolanie pochyla się i szepcze jej do ucha:

— Trzęsie ci się noga, mamó. Nie przejmuj się, będzie dobrze. Odetchnij głęboko i spróbuj się odprężyć. — Chrząka. — Panie Grosser, czy planuje pan nawiązać do Havell?

— Havell?

— Do sprawy Havell przeciwko Islamowi. Wie pan, jeśli ktoś zachowuje się w sposób skandaliczny, czy nie powinien utracić praw do wszelkiej własności? Moim zdaniem zmuszenie żony do odpisania się od majątku jest czynem skandalicznym. — Margaret uśmiecha się triumfalnie i Janice jest pod wrażeniem. Od kiedy córka zna się na prawie? Czy jest utalentowana w tym kierunku? Nagle widzi jej życie alternatywne. Wydział Prawa na Uniwersytecie Stanforda; specjalizacja w czymś liberalnym, co lubi, może prawo środowiskowe; szycowna garderoba od Calvina Kleina, odpowiednia do wystąpień przed sądem. Nie jest za późno. Janice kiwa głową, zgadzając się z opinią córki, choć nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

Grosser patrzy na Margaret zaczerwienionymi oczami. Wzdycha.

Dobrze. Odrobiła pani pracę domową. Ale tamta sprawa nic ma nic wspólnego z naszą. Skandaliczne zachowanie oznacza bicie żony sztangą, nie namawianie do podpisania dokumentów. Proszę posłuchać, młoda damo, może ja się tym zapnę? Mam pewne doświadczenie w tych sprawach, większe niż pani po lekturze paru starych numerów „Legal Affairs”. Janice czuje, jak Margaret sztywnieje obok niej.

Grosser chowa papiery do aktówki i zdecydowanym ruchem zamyka zatrzask.

— No cóż. Będziemy musieli być pomysłowi, pani Miller. Ale mamy możliwości. Mogę się powołać na bezprawny nacisk. Albo przedstawić dowód sądowy, że była pani niezdolna do podejmowania rozsądnych decyzji. Może grafolog dowiedzie, że dokument został podpisany pod przymusem.

— Naprawdę? Charakter pisma to wykaże? — pyta Janice.

— Cud naszego systemu prawnego polega na tym, że można udowodnić niemal wszystko, bez względu na to, jak obłędne się wydaje. Zapłać ekspertowi, a powie wszystko, co zechcesz. — Milknie. — Jest jeszcze jedna sprawa, jaką chciałbym omówić, pani Miller. — Patrzy na Margaret i unosi brew. — W cztery oczy.

Margaret siedzi, ściskając notes, aż Janice odwraca się w jej stronę i gestem każe jej wyjść. Żałuje, że musiała to zrobić. Grosser czeka, aż kroki Margaret ucichną, i dopiero wtedy mówi cichym głosem:

— To delikatny temat, Janice. Wczoraj odebrałem telefon od doradcy twojego męża z kancelarii SAB&R. Powiedziano mi, że mają informacje z wiarygodnego źródła, iż utrzymywałaś... stosunki... z jakimś Jamesem Courtem. Czyścicielem basenów.

Janice zamiera, jej noga nieruchomieje w połowie stuknięcia.

— Stosunki? Grosser ściąga usta.

— Romans, Janice. Ja cię nie osądzam. Ale czy jesteś świadoma, że ten młody człowiek jest notowanym przestępcą? Prawnicy SAB&R najwyraźniej odrobili pracę domową, bo dali mi znać, że w zeszłym roku pan Court został aresztowany za posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży. Miał pięćdziesiąt gramów marihuany i czterdzieści pigułek MDMA, narkotyku lepiej znanego jako ecstasy.

— Nie byłam świadoma. — Janice stara się mówić spokojnym tonem, powściągliwie i rzeczowe, bez poczucia winy czy hysterii. To niełatwe.

— Daleki jestem od wtrącania się w życie miłosne swoich klientów...

— Nie mam z nim romansu — oświadcza Janice. — On jest tylko moim pracownikiem. To chłopak od czyszczenia basenu.

— Skoro tak mówisz. Ale prawnicy twojego męża mają zeznanie, że zadawałaś się z tym młodym człowiekiem. I zamierzają wykorzystać to jako środek nacisku, żebyś odstąpiła od roszczeń.

— W jaki sposób?

— Po pierwsze, mogą dowodzić, że zadawanie się ze znanym handlarzem narkotyków pozbawia cię prawa do opieki nad dzieckiem.

Kolano zaczyna podskakiwać w zawrotnym tempie.

— Lizzie??! — Janice wybuchła z przerażeniem. — Przecież nie może tego zrobić, prawda? Art też ma romans. To znaczy, nie. Ujmę to inaczej: ja nie mam romansu. On ma. Zdecydowanie. Nawet nie chce opieki. To nie ma sensu!

Grosser wzrusza ramionami.

— Nie mówię, że to uczciwe. Może nawet nie mają prawdziwego dowodu. Proszę mieć na uwadze, że przejęcie opieki nad córką najprawdopodobniej nie jest ich celem. Wszystkie działania mają na celu zastraszenie cię, żebyś zrezygnowała z roszczeń do pieniędzy męża. To taktyka, tworzenie atmosfery zagrożenia. Ale sprawa może wlec się w sądzie. Proponuję, żebyś natychmiast zerwała kontakty z tym młodym człowiekiem.

Janice zaciska szczęki. Odciać zaopatrzenie w To? Kiedy najbardziej tego potrzebuje? Niemożliwe. Ile ma? Zapas na cztery dni? Tydzień? Wzbogacona krew szumi jej w żyłach i w szybkim biciu serca słyszy uwodzicielskie gruchanie Tego: tak. Tak. Tak. Tak. Tak. Tak. Tak. Podrygująca noga jeszcze

bardziej przyspiesza, aż Janice myśli, że zaraz oderwie się od tułowia i zatańczy na podłodze.

— Nie pozwolę, żeby mąż mi dyktował, z kim mogę, a z kim nie mogę się widywać — cedzi przez zaciśnięte zęby. — Nie ma prawa. Absolutnie nie ma prawa.

— Skoro tak uważasz. Ja tylko udzielam rady. — Grosser wstaje z kanapy, chwieje się lekko, żeby odzyskać równowagę. Poduszki wzdychają z ulgi.

Janice też się podnosi, przywraca poduszkom właściwy kształt, potem prowadzi Grossera do drzwi.

— Dziękuję za wizytę — mówi. — Będę w kontakcie.

*

Janice wrze, podskórna furia i upokorzenie gotują się niebezpiecznie blisko granicy wybuchu. Wrze, gdy rozbiera wszystkie łóżka w domu i znosi pachnące potem prześcieradła na dół do pralni. Wrze, gdy otwiera okna i wpuszcza letnie powietrze, żeby przewietrzyć salon. Wrze, gdy przygotowuje kurczę pieczone z cytryną i rozmarynem, i opieka orzeszki pinii na sałatkę. Wrze, gdy formuje dwie kolejne kreski, tuż przed kolacją, i zasysa je w gwałtownym wdechu. Woreczek już jest niepokojąco lekki.

Rodzina — *sanspaterfamilias* — zasiada do kolacji o szóstej.

— Och, kurczak — mówi Lizzie. Siada do stołu i zamaszyście rozkłada serwetkę. — Wygląda naprawdę apetycznie, mamó. — Janice uśmiecha się lekko, rozdrażniona sztucznym humorem w głosie córki: w taki sposób przedszkolanki zwracają się do nieśmiałych i głupich dzieci z końca sali, żeby je ośmielić.

Margaret je metodycznie. Kęs kurczaka, odrobina ryżu basmati, trochę surówki szpinakowej. Zawsze jadła tak, jakby to było zadanie do wykonania, bez entuzjazmu siostry, która hołduje zasadzie „jedz, jakby nie było jutra”. Równie dobrze mogłaby konsumować tekturę z sosem klejowym.

Janice patrzy na swój talerz, na przyklejone do porcelany

przywiędłe plasterki cytryny i kawałki białego mięsa, które przesuwa widelcem. Od tygodni nie ma apetytu. Wystarcza jej wyczerpująca praca, jakby przez zapominanie o głodzie, o własnym ciele, mogła również odrzucić wszystkie inne ziemskie potrzeby. Wygłodzona czuje się lekka i boska jak święta osoba. Myśli o zdjęciach dzieci głodujących w Afryce, o biednych niewiniątkach z wyдутymi brzuskami i błogością na twarzach, i czuje dziwne pokrewieństwo, jakby w tym stanie oświecenia mogła nagle pojąć sens całego świata.

Podczas gdy Margaret i Lizzie jedzą kurczaka, Janice siedzi u szczytu stołu i pozwala, by jej wirujący umysł bił się z pytaniem, które trapi ją od wizyty Grossera. Kto powiedział Artowi, że ma romans z Jamesem, i dlaczego odniósł takie wrażenie? Czy ktoś rozmyślnie kłamie? I choć prawnicy nie mogą udowodnić, że ma romans, czy mogą dowiedzieć się

0 Tym? A jeśli tak, czy mogą odebrać jej Lizzie? Margaret przerywa milczenie.

- Lewis Grosser ma parę ciekawych pomysłów, prawda? — Uśmiecha się do matki, pewna siebie w ich nowym poczuciu koleżeństwa. — Zrobił na mnie wielkie wrażenie, zważywszy na to, jak wielu prawników żeruje na cudzym nieszczęściu.

Janice uśmiecha się, próbując zachować ducha macierzyńskiej więzi, ale coś wewnątrz niej się jątrzy. Musi się trzymać w obecności dzieci, myśli. Nie może się rozsypać.

Tak, ma bardzo dobrą reputację—mówi, ściągając skórkę z udka. — Bardzo dobrą. I powinien, biorąc pod uwagę jego honoraria. Margaret, naprawdę uważasz, że wszyscy prawnicy zerują na cudzym nieszczęściu? Nieładnie tak mówić. Spodobało ci się podejście pana Grossera, prawda? Nie trać optymizmu, mamó. Wygramy.

Czując supeł w żołądku, Janice wkłada do ust kawałek tłustego mięsa i powstrzymuje odruch wyplucia go na talerz.

Użycie przez Margaret liczby mnogiej powinno ją pocieszyć, ale wcale nie pociesza. Myśli o okropnej informacji, którą

przekazał jej Grosser, i czuje się straszliwie samotna. Widzi, że Lizzie na nią patrzy, więc zmusza się do krzepiącego uśmiechu.

— Jestem optymistką — mówi.

Na szczęście trąbienie klaksonu na podjeździe uniemożliwia córce dalsze dociekania. Lizzie zrywa się z krzesła.

— Muszę iść — mamrocze. Dopiero teraz Janice spostrzega, że Lizzie włożyła spódniczkę, tę do kolan, i skromne buty na płaskim obcasie.

— Dokąd idziesz?

— Um — mruczy Lizzie. — Do kościoła.

— Do kościoła? — Janice nie jest pewna, czy się nie przesłyszała.

— Tak.

— Jakiego kościoła?

— Nie wiem. Chyba Rzeka Życia.

— Ewangelickiego? — pyta Margaret. — Wiesz, Lizzie, może przyjmiesz do wiadomości, że ten ruch cechuje wstecz-nictwo, zwłaszcza gdy chodzi o rolę kobiety w rodzinie. Kobieta jest podporządkowana mężczyźnie i tak dalej. Mieliśmy artykuł na ten temat w wydaniu o Bogu. Nie czytałaś?

— Hm — mruczy Lizzie i przystaje, żeby się zastanowić. — Nie jestem pewna.

— Lizzie, nie słuchaj siostry — mówi Janice. — Możesz interesować się każdą religią, jaką chcesz. W granicach rozsądku. Z kim idziesz do kościoła?

Lizzie przesuwa się w stronę drzwi.

— Z Zekiem Bintem. Jego mama prowadzi.

— Barbara? — syczy Janice, bo nagle żywo przypomina sobie scenę z przyjęcia: Barbara Bint stoi u stóp schodów i patrzy, jak James wychodzi z jej sypialni. Wspomina zaciekawione oczy Barbary przyglądające się jej po wyjściu Jamesa. Oczywiście zinterpretowała to w najgorszy możliwy sposób. I oczywiście rozpuściła język.

— Stój! — mówi do Lizzie. Wstaje od stołu, zakrywając

serwetką wystygłego kurczaka. — Najpierw muszę porozmawiać o czymś z Barbarą. Zaczekaj tutaj.

Mija Lizzie i podchodzi do mercedesa kombi, który mruczy na podjeździe. Puka w okno po stronie kierowcy. Barbara opuszcza szybę i krzywi usta w pruderyjnym uśmiechu osoby, która żywcem pójdzie do nieba. Jej skóra, zauważa Janice, jest opalona i sucha, maleńkie żyłki na policzkach pękają z gorąca.

— Cześć, Janice! — szczebiocze Barbara. — Chyba nie masz nic przeciwko, że zabieramy twoją córkę do kościoła? Chcesz do nas dołączyć?

— Musimy porozmawiać.

— O czym?

Janice patrzy na Zeke'a, który siedzi z tyłu. Białe przewody słuchawek pełzną od jego uszu do iPod'a na kolanach. Nawet stojąc na zewnątrz, Janice słyszy dudnienie rockandrollowej muzyki, która wyrywa dziury w bębenkach chłopaka. Zeke spogląda na nią z takim zainteresowaniem, jakie poświęciłby gotowanej wątrobie, a potem odwraca głowę do okna.

— Myślę — szepcze — że być może odniosłaś niewłaściwe wiażenie. W związku z młodym człowiekiem, którego zatrudniam. Chyba wiesz, o kim mówię. I muszę ci powiedzieć, że mam ci za złe, naprawdę, że zadzwoniłaś do mojego męża i nabiłaś mu głowę... tą... tymi bzdurami. Jestem wstrząśnięta, że ktoś, kto uważa się za chrześcijanina, zrobił taką niemiłą rzecz.

Barbara przygryza czerwony policzek.

Przykro mi, Janice — mówi ze zdumioną miną — ale naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

Janice spogląda na Zeke'a, który kompletnie je ignoruje, i zniża głos do szeptu:

Powiedziałaś Artowi, że mam romans! Romans z czyścicielem basenów!

Barbara krzywi się i z tępym wyrazem twarzy próbuje odświeżyć pamięć.

— Romans?! Nie, to nie ja. Nie rozmawiałam z Artem. Nie miałam pojęcia, że masz romans. Nie jestem pewna, skąd... Ale czekaj, wspomniałam Noreen Gossett, że widziałam, jak na koktajlu w zeszłym tygodniu James wychodził z twojej sypialni. Może wyciągnęła pochopne wnioski? — Janice widzi nieszczerłość w jej oczach. Świętoszkowata hipokrytka może udawać chrześcijankę, ale w sercu jest kłamliwą plotkarką! Barbara najwyraźniej odgaduje jej podejrzenia, bo duka, brnąc dalej: — Wspomniałam o tym Noreen, bo się zastanawiała, dlaczego zeszłaś tak późno. Noreen miała pretensje, więc pomyślałam, tylko dla wyjaśnienia... — Marszczy brwi z z troskania. — Dlaczego? Janice, naprawdę związałaś się z czyścicielem basenów? Nic bym nie powiedziała... Przepraszam!

— Nie! — syczy Janice. Odsuwa się i prostuje, świadoma, że Barbara może być plotkarką, ale nie jest na tyle okrutna, żeby pójść do Arta ze swoimi podejrzeniami. Noreen Gossett. To na pewno ona. Ale dlaczego? Noreen zawsze była taka życzliwa. A jednak... Janice przypomina sobie, jak się zachowała na ulicy w dniu debiutu giełdowego, i wszystkie elementy układanki trafiają na miejsce. Widzi Lizzie, która stoi w drzwiach, i przywołuje ją ruchem ręki, gotowa jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

— Co się dzieje? — powtarza Barbara.

Janice wycofuje się w stronę domu, gdy Lizzie podchodzi do samochodu.

— Nic — mruczy. — Absolutnie nic. Zapomnij, co powiedziałam. Mój błąd.

Barbara przylepia uśmiech do twarzy, gdy Lizzie wsiada do mercedesa.

— Z przykrością słyszę, że masz trudne chwile, Janice. Możesz na mnie liczyć, gdybyś potrzebowała wsparcia moralnego. Wiesz o tym, oczywiście. Tylko przypominam!

Zeke zwiększa głośność na iPodzie i mocno przyciska się do drzwi, jakby Lizzie mogła go czymś zarazić. Janice z poczuciem

winy zastanawia się, co, u licha, mogło pchnąć córkę do siedzenia w kościele z tymi ludźmi. Szybko wraca do domu, gdy mercedes powoli, niezdolnie powoli wyjeżdża na ulicę i skręca w stronę ramion bezlitosnego Boga.

Dom Gossettów stoi pięć przecznic dalej i choć Janice zwykle jeździ w odwiedziny do Noreen samochodem, tego wieczoru decyduje, że spacer dobrze jej zrobi. Jej ciało, wzmocnione jeszcze jedną maleńką kreską kryształu, rozkoszuje się ruchem. Maszeruje zdecydowanym krokiem, na sztywnych nogach, które na przemian podnoszą się i opadają, pracując jak tryby w dobrze naoliwionej maszynie. W myślach powtarza zdanie: myślę, że mogę, myślę, że mogę, i jest tym zdumiona, dopóki nie przypomina sobie, że to słowa z *Silniczka, który potrafił*, książeczki, którą czytała córkom, gdy były małe.

Światła mrugają w domach w sąsiedztwie. Przez okna panoramiczne widać idylliczne scenki. Ellen Fern przy kuchennym zlewie zmywa naczynia. Brunschildowie z trójką dzieci siedzą wokół stołu w salonie widoczni w plasterkach przez opuszczone żaluzje. U Franksów błękitny blask telewizora odbija się od sufitu, na jego tle rysują się sylwetki czterech głów. Janice zastanawia się, czy dom Millerów wciąż wygląda na spokojny i bezpieczny, czy może jego piętno jest wykrywalne dla przechodnia.

Gdy idzie do Gossettów, gwiazdy pojawiają się na wieczornym niebie. Żałuje, że nie wzięła swetra, bo temperatura spada. We wszystkich oknach wiejskiego domu Gossettów pali się światło. Z pokoju Susan na tyłach płynie ciche pulsowanie jakiejś młodzieżowej kapeli. Janice podnosi kołatkę w kształcie lwiej głowy i pozwala jej opaść ciężko na drzwi, czeka ułamek sekundy, potem dzwoni. Tony odbijają się od hiszpańskich płytek w holu.

Wewnątrz zaczyna ujadać pies Gossettów. Japjapjap, szczeka.

Słysząc drapanie i łoskot, a po chwili ciszy pies zaczyna na nowo. Japjapjap. Drapanie. Łoskot. Janice zerka przez okno i widzi, jak geriatryczna sznaucerka Noreen, Sadie, idzie korytarzem ku drzwiom. Przednie łapy ma w gipsie i gdy próbuje podbiec do drzwi, ślizga się na wytartych płytkach podłogi. Japjapjap, szczeka, rzucając się przed siebie. Przednie łapy suną po płytkach, szukając oparcia, rozjeżdżają się na boki i Sadie upada. Przez chwilę oszołomiona zbiera się z podłogi i miota bezradnie po korytarzu. Noreen pojawia się za suką, bierze ją pod ramię i podchodzi do drzwi. Uśmiecha się blado na widok gościa.

— Witam — mówi, cedząc sylaby. Sadie pod jej ramieniem szczeka na intruza.

— Co się jej stało? — pyta Janice.

Noreen drapie puszystą, białą sierść na karku pupilki. Japjapjap, ujada sznaucerka.

— Sza — mówi do niej Noreen, na próżno, i patrzy na Janice. — Nie wiesz?

— A powinnam?

— Twoja córka omal jej nie zabiła — mówi Noreen. — I nie wydaje się ani trochę przejęta. Ty też nie, skoro o tym mowa.

— Lizzie skrzywdziła Sadie?

— Nie Lizzie, Margaret.

— Margaret? Naprawdę? Margaret przejechała twojego psa?

— W zasadzie nie. Pozwoliła, żeby Sadie uciekła i wpadła pod samochód, gdy ją wyprowadzała.

— Dlaczego Margaret wyprowadzała twojego psa? — To wszystko jest strasznie zagmatwane. Sadie znów zaczyna ujadać i przeraźliwy hałas sprawia, że Janice ma ochotę potrząsać nią tak długo, aż w końcu się zamknie. Japjapjapjap.

Noreen patrzy na nią ze zranioną miną.

— Może powinnaś zapytać o to Margaret. Myślałam, że dlatego przysłałaś. Naprawdę, Janice, biorąc pod uwagę wszystkie te lata mieszkania po sąsiedzku, poczułam się głęboko

zraniona, gdy nawet nie zadzwoniłaś. Wiesz, ile Sadie znaczy dla mojej rodziny. Jest praktycznie siostrą Susan. Mamy ją trzynaście lat! A ty nawet nie zadzwoniłaś, gdy twoja córka omal jej nie zabiła? Janice, próbowałam ci współczuć, bo wiem, że ostatnie tygodnie nie były dla ciebie lal we, ale spodziewałam się czegoś więcej. — Noreen milknie, jakby zakończyła przemowę, a potem wybucha: — To znaczy, naprawdę. Twój mąż zarabia miliardy dolarów, a ty też nie raczysz zadzwonić, żeby pogadać ze starymi znajomymi? Może Greg i ja już nie należymy do waszej ligi, może macie przyjaciół z prywatnymi odrzutowcami i nie chcecie utrzymywać kontaktów z prostym, walczącym o byt urlodontą i jego żoną. Bóg świadkiem, w ostatnich latach widzieliśmy w tym mieście wiele podobnych przypadków, ale naprawdę myślałam, że nie straciłaś zwyczajnego poczucia przyzwoitości...

Janice, wprawiona w osłupienie wybuchem Noreen, potrząsa głową z nadzieją, że przerwie tę przemowę i wróci do swojego lematu. Ruch sprawia, że dostaje lekkich zawrotów głowy. Jej ilopa uderza silnie w ościeże drzwi Gossettów.

Noreen, naprawdę mi przykro. Wierz mi, nie dzwoniłam do nikogo. Nie chodzi o ciebie. Ani o dentystów, ani o odrzutowce, ani o nic takiego. To znaczy, nic mnie to nie obchodzi. — Mówiąc, myśli o finansach Gossettów i zastanawia się po ruz pierwszy, ile zarabia ortodonta i czy zaopatrywanie Miliard Fillmore High w aparaty korekcyjne wystarcza na bmw na ich podjeździe, na prywatnych nauczycieli Susan i dach, klóry naprawdę wymaga wymiany gontów. — I przykro mi z powodu Sadie. Jest cudownym psem. Porozmawiam z Margaret. To nie ma nic wspólnego z aparatami korekcyjnymi. Nic... — milknie, zdając sobie sprawę, że To przejęło władzę nad jej językiem i przemienia ją w bełkoczącą idiotkę. Na próżno próbuje się skupić. — Nie, ale nie po to tu przyszłam. Miwiesz coś mi powiedzieć, szczerze, Noreen, czy mówiłaś

Artowi, że mam, mam... trudno to nawet ubrać w słowa, to takie niedorzeczne.... że mam romans z naszym czyścicielem basenów?

Widzi niesmak w zmrużonych oczach Noreen. Chce cofnąć słowa, przewinąć do tyłu drogę do domu, wykasować parę tygodni do czasu, gdy nie wyobrażała sobie takiego upokorzenia. Ale jest za późno. W tym momencie nie ma innego wyboru, jak płaszczyć się przed sąsiadką — Noreen, z którą co roku w grudniu kieruje sąsiedzką wymianą podarków, z którą od lat chodzi na zebrania komitetu rodzicielskiego, Noreen, która prawdopodobnie nigdy nie spojrzy na nią tak samo.

Noreen się cofa. Podnosi podbródek.

— Niczego nie mówiłam Artowi. Ale może wspomniałam coś Beverly, gdy w poniedziałek grałyśmy w brydża.

— Ale dlaczego, Noreen? Przecież wiesz, że to nieprawda. Chłopak ma dwadzieścia sześć lat! Dlaczego? I komu jak komu, ale Beverly? Chyba wiesz, że ona i mój mąż są... są... — Nie może się zmusić, żeby dokończyć zdanie. To nie ma znaczenia, uświadamia sobie. Brudne pranie już wisi na podwórku przed domem wystawione na widok publiczny. Wszyscy oglądają je od tygodni. Widzieli smugi, plamy po trawie i poźółkłe pachy, i odpowiednio ją osądzili. Już za późno.

— Dlaczego? — Noreen nie odpowiada od razu. Podnosi kudłatą sznaucerkę, kołysze ją przed twarzą i całuje prosto w nos. Sadie milknie na sekundę, szaleńczo oblizując jej twarz. Noreen opuszcza ją. — Cóż, Janice, przepraszam. Sama nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Jap. Japjapjap.

Więc o to chodzi? Jej całe życie, reputacja i rodzina zawisły na włosku przez zemstę za złamaną łapę wstrętnego kundla! Przez zazdrość o pieniądze? Janice żałuje, że Margaret nic zabiła przeklętej suki, zamiast pozwolić jej żyć. Kiedy następ nym razem zobaczy szczekającą wredną małą bestię na ulicy, skopie jej tyłek.

— Chyba wiesz — mówi.

Noreen robi skruszoną minę, w czym Janice nie znajduje pociechy.

— Przypuszczam, że poniosły mnie emocje po spędzeniu dwóch dni w klinice dla zwierząt, gdy się zastanawiałam, czy Sadie przeżyje. A potem oczywiście wynikła kwestia rachunku od weterynarza, dwa tysiące dwieście dolarów. Może dla ciebie **to** drobiazg, ale dla nas to całkiem sporo pieniędzy. Chyba byłam w takim szoku, że nie wiedziałam, co mówię.

Janice sztywnym ruchem sięga po torebkę i wyjmuje książeczkę czekową.

— Powiedziałaś dwa dwieście?

Dokładnie dwa tysiące dwieście osiem dolarów pięćdziesiąt dwa centy. Plus nowa obróżka, bo stara była poplamiona krwią.

Niech będzie równe trzy tysiące — mówi Janice. Pamięta, jak kiedyś Noreen powiedziała, że jej córka, Susan, ma bulimię, i że trzeba pilnować jej po posiłkach, żeby nie chodziła do łazienki wymiotować. Nigdy nikomu nie pisnęła słowa o tej wstydlivej sprawie. A teraz Noreen w taki sposób odwdzięcza Mię za dyskrecję. Co za zdrada.

Mocno ściska pióro, gdy wypisuje łąpówkę. Janice Miller nigdy w życiu nikogo o nic nie prosiła, myśli, a teraz zniża się **do** tego drugi raz w ciągu dwóch dni. Czuje się zupełnie bezsilna. Nazwisko Arta na czeku przypomina jej, że jest obywatelem drugiej kategorii: połową skompromitowanej pary, skandalicznie porzuconą żoną, której starsze dziecko najwyraźniej znalazło się na językach sąsiadów. Gryzmoli cyfry na czeku z ich wspólnego konta, czerpiąc ponurą satysfakcję z tego,

Art zapłaci połowę łąpówki, i wkłada go w wyciągniętą rękę Noreen. Wypisując czek, spisała Noreen na straty.

W jej głowie przypadkowe kryształowe myśli odbijają się od ścian mózgu. Janice miota się, szukając kogoś, kogo mogłaby obwinie za ostatnie upokorzenie. Art? Beverly? James? Ona

sama? Pada na Margaret. Co, u licha, robiła na ulicy z psem sąsiadki? Zajęcie dla dzieci! I to za jej plecami — przez co czuje się jak idiotka i, co gorsza, zła matka. Może Margaret powinna zostać w Los Angeles, myśli. Jej obecność w Santa Rita niczego nie ułatwia.

Pies dwa razy wacha czek, a potem kicha.

— Jesteś bardzo wspaniałomyślna — mówi Noreen, choć jej bezdźwięczny głos sugeruje zupełnie coś innego.

— Byłabym wdzięczna — cedzi Janice przez zaciśnięte zęby — gdybyś wspomniała... Beverly... że twoje informacje były nieprawdziwe.

Noreen kładzie rękę na drzwiach i zaczyna zamykać je powoli.

— Oczywiście. Jutro gramy w czwórkę w golfa. Powiem jej, że się pomyliłam.

— Będę bardzo wdzięczna — mówi Janice, podejrzewając, że jest już za późno.

— Wszystko dla sąsiadki. — Noreen zamyka drzwi. Janice wlepia oczy w ozdobną kołatkę wiszącą parę centymetrów od jej twarzy. Mosiądz zaśnieźniał na rzeźbionej głowie lwa, który szczyrzy na nią zęby, jakby miał zamiar wydrzeć jej serce i zjeść je na surowo na kolację.

Lipiec maszeruje przez Santa Rita, gorący i mglisty. O dziesiątej w ostatni piątek miesiąca mosiężny termometr przy tylnych drzwiach wskazuje trzydzieści pięć stopni, temperaturę nietypowo wysoką jak na tę porę roku. Ulice są ciche, sąsiedzi zamykają okna i włączają klimatyzację. Trawa za domem jest brązowa i sucha jak spalony tost. W wiadomościach mówią

o pożarze lasu, który szaleje na wzgórzach w głębi łądu, i żółtawa mgiełka unosi się nad horyzontem.

Margaret nalewa do szklanki domowej lemoniady, którą zrobiła matka, bierze miskę płatków kukurydzianych, stawia icdno i drugie na stosie książek prawniczych z miejscowej biblioteki i idzie nad basen. Płaskie szare kamienie patio parzą lej podeszwy stóp. Włożyła kostium kąpielowy, który należy do Lizzie — spłowiały czarny speedo, dwa numery za duży, ze strzępiącym się elastikiem wokół ud. W zgięciu łokcia trzyma telefon bezprzewodowy, z którym nie rozstaje się od tygodnia.

Od czasu tej pierwszej rozmowy wytropiły ją dwie inne liry windykacyjne. W obu przypadkach odebrała telefon, uprzedzając matkę czy siostrę. W obu przypadkach przekonała rozmówców, że dzwonią pod niewłaściwy numer. Jak długo będą w to wierzyć? Czuje mrowienie nieuchronnie zbliżającej się katastrofy: to tylko kwestia czasu, zanim na progu domu

rodziców stanie doręczyciel z wezwaniem do sądu. A jednak po raz pierwszy w życiu brakuje jej energii i pomysłów, ogarnęła ją głęboka, niewytłumaczalna apatia. Od klapy z wyprowadzaniem psów nie zdołała wymyślić sposobu na rozwiązanie kłopotów finansowych, nie ma nawet mętnego planu. Siada do komputera z zamiarem zbadania możliwości umorzenia długu i zapada w trans, niemal jak zahipnotyzowana patrzeniem na tykający zegar swojego kryzysu, i budzi się z niczym.

Jedyną rzeczą, która ją mobilizuje, jest sprawa rozwodowa matki. Energię, jakiej nie jest w stanie poświęcić własnym problemom, zużywa na zgłębianie kalifornijskiego prawa rozwodowego, jak gdyby po wygraniu sprawy matki wszystko inne też się jakoś uregulowało. Dzisiaj siada na jednym z sześciu tekowych leżaków rozstawionych wokół basenu i kładzie na stoliku stos książek. Pierwsza, *Ocena taksatorska wartości majątku w sporze rozwodowym*, okazuje się równie nużąca jak odstraszający tytuł. Książki prawnicze, które wypożyczyła w zeszłym tygodniu, żeby przygotować się na spotkanie z Lewisem Grosserem, przypominały szyfr, jakby autorzy rozmyślnie postanowili wyeliminować klarowność z języka angielskiego. Wszystkie te skomplikowane terminy prawne przyprawiały ją o ból zębów. Ale jej duch rywalizacji uznał to za wyzwanie; ten sam impuls, który każe jej wierzyć (tak, być może naiwnie), że trafi na jakiś tajemny przypadek, jakąś lukę prawną, którą przeoczył prawnik.

Poza tym za każdym razem, gdy rzuca książkę prawniczą, żeby przejrzeć najnowszy numer „New Yorkera”, który leży złożony na tacy obok płatków, wspomina bladą, wymizerowaną twarz matki w czasie spotkania z Lewisem Grosserem i jej podrygującą nogę, oznakę stresu. Po dwudziestu ośmiu latach matka w końcu okazała słabość i Margaret zamierza skorzystać z okazji, żeby sprawdzić się jako jej wybawca.

Margaret przeżuwa rozmiękle płatki i popija papkę lemoniadą, a niefortunna kombinacja sprawia, że marszczy jej się

język. Prawda wygląda tak, iż ma wyrzuty sumienia z powodu szybkiego zawarcia przymierza z matką tylko dlatego, że została

o to poproszona. Czy zajęcie neutralnej pozycji w rodzinnej wojnie nie byłoby mądrzejsze? A jednak instynkt mówi jej, że matka jest stroną bardziej poszkodowaną i ma mniej środków do dyspozycji. Sama poruszyła kwestię rażącej nierówności płci w jednym z numerów „Snatcha”. Poza tym ojciec ułatwił decyzję: nie dzwonił do córek, nie przysyłał e-maili. Świadomość, że została zapomniana, nieszczególnie ją cieszy. Jego nieobecność tylko umacnia jej zdecydowanie.

Powraca do lektury i uświadamia sobie, że istnieje wiele podobieństw pomiędzy teorią krytyczną a prawem: jedno i drugie to zbiory tajnych szyfrów, którymi można manipulować na niezliczone sposoby, żeby osiągnąć cel. Podziwia nieograniczone możliwości prawa; tak naprawdę nie ma czegoś takiego jak ustalone pojęcie dobra i zła, jest tylko szereg wiecznie ewoluujących kalkulacji, zmienny zbiór zasad moralnych, pomysłów zbieranina praw ustanawianych, odwoływanych i przywracanych.

Jej ojciec jest mistrzem w tej sztuce. Gdy Margaret przegląda papiery rozwodowe i dokumenty, które kazał podpisać żonie w zeszłym roku, wyczuwa sieć, jaką tkął od chwili obmyślenia swojego planu. (Co było przyczyną? Beverly? A może coś zupełnie innego?) Na poziomie czysto estetycznym podziwia jego projekt. Jest misterny i wyrachowany, a zarazem prawie i uwykrywalny, chyba że się wie, czego szukać. Jednak bezduszność jego strategii przyprawia ją o drżenie.

Zawsze uważała ojca za punkt odniesienia pozwalający jej mierzyć własne osiągnięcia, choć z biegiem lat oddalili się od siebie, ich drogi się rozeszły, jej droga była wręcz przeciwna tej, którą on podążał. Ojciec, jak ona, zawsze miał szerokie horyzonty, zwłaszcza w porównaniu z klapkami na oczach maiki, która koncentrowała się na życiu Santa Rita. To on zachęcił ją do nauki japońskiego („Francuski jest bezużyteczny

w gospodarce światowej", powiedział), namówił ją do otworzenia stoiska z lemoniadą, gdy miała osiem lat („Naucz się wartości pieniądza”), nalegał, żeby studiowała nie na uczelni stanowej, ale na prestiżowym uniwersytecie na Wschodnim Wybrzeżu („Nie miej złudzeń: marka się liczy”). I jeśli nawet w pewien sposób zwróciła się przeciwko niemu — robiąc magisterium z humanistyki, zamiast zająć się biznesem albo przygotowaniem do studiów medycznych, zakładając „Sna-tcha”, zamiast podjąć pracę w „Wall Street Journal”, popierając lekarstwa homeopatyczne, podczas gdy on sprzedawał przesadnie drogie i prawdopodobnie szkodliwe substancje chemiczne, apelujące do męskiej próżności — mimo wszystko przez wszystkie te lata czuła, że łączył ich szacunek dla ambicji. Pasja do pościgu za czymś większym niż to, co można ogarnąć swoim ograniczonym wzrokiem.

Wspomina biuro, które kiedyś miał na pięćdziesiątym ósmym piętrze nowoczesnego wysokościowca w centrum San Francisco. Odwiedziła go kiedyś, w szkole podstawowej, i ośmieliła się spojrzeć na malejący w dole hol, gdy przeszklona winda wiozła ją wyżej, niż kiedykolwiek była. Przyciskając nos do tafli, patrzyła na centrum San Francisco, ulice ułożone jak puzzle, i gdy wzniosła się nad miasto, po raz pierwszy zrozumiała, co tak naprawdę oznacza metafora „mieć u stóp cały świat”.

A jednak ojciec postanowił przybyć tutaj, na najwyższe piętro ze wspaniałym widokiem, zupełnie sam. Miejsce wydaje się zimne, odizolowane. Z drugiej strony, przypomina sobie, przyjechał tu w windzie z Beverly. Wzdycha i wraca do *Oceny taksatorskiej*. Podnosi głowę dopiero wtedy, gdy rozlega się brzęk metalu na betonie. James, który przyjechał ze środkami do czyszczenia basenu, rzuca siatkę i pięciolitrową butlę z chlorem u stóp leżaka. Butla przewraca się i z bulgotem toczy w stronę basenu.

— Cześć — mówi. — Gorąco, no nie?

Czarne kędziory ma mokre od potu, a na białej koszulce odznacza się wilgotny trójkąt od ramion do pępka. Jest ubrany w spłowieale spodenki z madrasu — plisowane z przodu, jak szorty starszego pana, ale podtrzymywane sznurkiem przewleczonym przez szlufki — i Margaret nie może nie zauważyć, że prawie nie ma tyłka. Jego strój jest cudaczny, ale on sam ma w sobie coś dziwnie pociągającego. Coś — może te duże czarne oczy — przypomina jej obrazy Margaret Keane.

— Jak w piekle Dantego—przyznaje. — Praktycznie słyszę skwierczenie własnej skóry.

— Nałożyłaś filtr przeciwsłoneczny?

- Nie.

James sięga do torby i wyjmuje lepką tubkę SPF 45.

- Powinnaś. Jesteś naprawdę blada. Chyba nie chcesz skończyć z rakiem skóry.

Margaret jest dziwnie poruszona tym gestem. Bierze od niego tubkę i ostrożnie wyciska emulsję na ramiona i brzuch, rozciera ją spoconą dłonią, przez cały czas świadoma obserwujących ją ciekawych oczu.

Nie zapomnij o plecach — mówi James. Margaret wyciąga rękę i smaruje łopatkę. — Ja to zrobię.

Pozwala, żeby zabrał jej tubkę. Jego szorstkie palce łaskoczą ją po plecach. Dostaje gęziej skórki. Odsuwa się speszona. Wystarczy. I tak będę leżała na wznak. Kładzie się, pewna, że James zajmie się czyszczeniem basenu, ule on siada na końcu leżaka i leniwie obgryza paznokiec. Niepewna, co powiedzieć, podnosi książkę, lecz nawet gdy trzyma ją przed twarzą, czuje na sobie jego spojrzenie. Dotkliwie świadoma, że jej piersi wyglądają niekorzystnie w za dużym kostiumie Lizzie, próbuje wypiąć je dyskretnie i zaraz potem czuje się płytka z powodu takiej próżności. Wreszcie poddaje się i rzuca książkę na lepkie kolana, plamiąc okładkę emulsją. **I...?** — pyta, przyjacielsko unosząc brew. — O co chodzi? Po prostu jestem ciekaw.

— Czego?

— Co tu robisz?

— Co masz na myśli?

James wzrusza ramionami i ogląda paznokcie drugiej ręki.

— Nie widuję tutaj wielu osób w naszym wieku. Same kury domowe i dzieciaki. Jesteś na wakacjach czy wróciłaś do domu?

— Odpoczywam od kapitalizmu. Co, jak się okazuje, jest dość trudne. Wszędzie cię znajdzie, gdziekolwiek jesteś. — Uśmiecha się cierpko, trochę zaniepokojona, że może za szybko odkrywa karty. Ale to tylko czyściciel basenów, na litość boską, kim jest, żeby osądzać?

— Twoja mama mówi, że odnosisz sukcesy jako pisarka.

— Moja matka lubi przesadzać. Nie wierz jej. James wzrusza ramionami.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Twoja mama jest całkiem fajna. Zawsze uprzejma. Robi mi lemoniadę, ciastka i inne takie.

— Tak, to jej specjalność. Ktoś mógłby powiedzieć, że jej cel w życiu.

James ssie palec i ocienia twarz od słońca.

— Zajarasz? Mam trochę zabójczego humboldta.

Nie to spodziewała się usłyszeć. Zaskoczona siada prosto i odruchowo zerka na dom, żeby sprawdzić, czy matka nie stoi w oknie, wypatrując poważnego naruszenia domowych zasad. Nikogo nie ma. Czując się głupio, mówi z uśmiechem:

— Jasne. Tutaj?

— Możemy iść do domku przy basenie. Nikt tam nie wchodzi poza mną.

Margaret idzie z nim ścieżką za rododendronami do szopy w głębi ogrodu. Szopa jest długa, wąska jak garderoba — gdyby rozpostarła ręce, mogłaby dotknąć ścian — i zbudowana z bielonego betonu. Jest tu chłodno, to raj pajaków, które gnieźdzą się po kątach. Margaret siada na dmuchanym materacu, który leży pośrodku pomieszczenia obok podgrzewacza wody i pompy. Zapach chloru przypomina jej o latach dzieciństwa, o dniach,

kiedy spędzała w basenie tyle czasu, że w nocy, gdy leżała w łóżku i słuchała cykad w ogrodzie, wciąż czuła chlor na skórze.

James sadowi się obok niej, odkopując butle ze środkami chemicznymi, żeby zrobić miejsce dla nóg. Margaret patrzy, jak z kieszeni szortów wyciąga ręcznie dmuchaną szklaną fajkę i plastikową torebkę. Nabija fajkę, niemal przyciskając ją do oka, odejmuje szczyptę nasion i chowa do oddzielnego woreczka na później. Podaje jej fajkę i pochyla się, żeby przypalić. Wdychając słodki, lepki dym, Margaret jest świadoma, że jego dłoń unosi się tylko parę centymetrów od jej nosa. James pewnie trzyma zapalniczkę, osłaniając płomień drugą ręką, żeby jej nie sparzyć.

Marycha przepływa przez nią jak długie westchnienie.

- Boże, dobre — mówi i odchyła się, kładąc na materacu. Zamyka oczy i słucha, jak James pstryka zapalniczką, słyszy szmer jego oddechu, gdy wydmuchuje kłęb dymu. Słyszy elektryczny rytm serca pompy.

- Więc dlaczego się ukrywasz? — pyta James.

- Skąd wiesz, że się ukrywam?

- Nietrudno zgadnąć.

- Powiedzmy, że wpadłam w życiowe kłopoty z miłymi ludźmi z Visy. I z MasterCard, szczerze mówiąc. I z paru firm windykacyjnych.

James jeszcze raz pstryka zapalniczką i głęboko zaciąga się dymem.

- Gdy mieszkałem w Nowym Jorku, znałem faceta, który koczował w tunelach metra. Był kompletnie spłukany. Robił obłędne rzeźby z przeciętych zamków rowerowych. Najwyraźniej w Nowym Jorku jest mnóstwo przeciętych zamków rowerowych. W każdym razie facet siedzi w tunelu, gdzie jedynym źródłem światła jest jego latarka, śpi w śpiworze na pomarańczowych skrzynkach i w nocy słyszy szczury piszczące pod skrzynkami. Mieszka tam w ciemności przez pół roku, tworząc

te zwariowane rzeźby, które wyglądają jak przewód trawienny jakiegoś mutanta. I w jakiś sposób facet, który śmierdzi śmieciami i szczurzymi sikami, trafia do modnej galerii i nakłania właściciela, żeby wszedł z nim do tunelu i obejrzał jego prace. Handlarz sztuki okrzykuje go geniuszem, zabiera wszystkie rzeźby i sprzedaje za kupę szmalu. I teraz facet mieszka w zaadaptowanym magazynie w Soho, płacąc za lokal pięć tysięcy miesięcznie. Mieszka z Chloe Sevigny.

Margaret próbuje znaleźć w tej historii analogie do swojego życia, ale jest zbyt otumaniona, żeby zrozumieć, dlaczego James ją opowiedział.

— Czy to jakaś moralizatorska opowiadka o ściganiu marzeń?

James milczy przez chwilę.

— W zasadzie nie. Po prostu chciałem ci to opowiedzieć. Najszczęśliwszy facet, jakiego znam.

— Teraz, gdy jest bogaty i ma powodzenie?

— Chyba — mówi James z zadumaną miną. — Chyba. Margaret wzdycha z rozczarowaniem. Przewraca się na bok, podskakując łagodnie na poduszce powietrza.

— Dlaczego mieszkałeś w Nowym Jorku?

— Studiowałem na Columbi.

Margaret próbuje usiąść i prawie spada z materaca.

— Co?

— Chemię. Rzuciłem studia.

— Dlaczego?

— Za dużo roboty. To mnie stresowało. Wciąż byłem niewyspany, po przebudzeniu miałem sucho w ustach i pękała mi głowa, musiałem wypić sześć kaw, żeby zwlec się z łóżka. A potem przez cały dzień czułem się tak, jakbym wciąż był dziesięć kroków od miejsca, w którym powinienem być. Harowałem jak głupi dla profesorów, którzy przeciążali nas pracą, żeby zobaczyć, ile zdołamy wytrzymać, zanim wystawią jakąś kompletnie przypadkową ocenę. Zdałem sobie sprawę, że mniej

więcej tak samo będzie do śmierci, i zdecydowałem, że takie życie jest do kitu. Więc przeniosłem się tutaj.

— Dlaczego do Santa Rita? James wzrusza ramionami.

— Bogaci ludzie zawsze mają mnóstwo forsy do wydania.

— I zostałeś czyścicielem basenów?

— Wiesz, to w dalszym ciągu chemia.

— Kontraktowe niewolnictwo. Pewnie nie dostajesz więcej niż osiem dolarów za godzinę.

— Dwadzieścia. Poza tym mam inne źródła dochodów. Oszczędzam, żeby przenieść się do Puerto Escondido, tego miasta surferów w Meksyku. Może otworzę bar na plaży. Może będę sprzedawać deski surfingowe.

- Hm — mruczy Margaret, sięgając po fajkę. — Surfujesz?

- Nie. Ale mógłbym.

- Racja. — Po kolejnym machu Margaret zamyka oczy. Żywo widzi Meksyk: nieskazitelnie białe plaże, proletariat beznamiętnych meksykańskich rybaków, zachody słońca na plaży i zimne piwo Corona. Chłodzone kokosy i *carnitas taco*. Szale tkane przez miejscowych rzemieślników. — Zawsze chciałam nauczyć się surfować — mówi i jest zaskoczona, bo to prawda. Cztery lata w LA i tylko dwa razy była na plaży, cały swój czas poświęcając czasopiśmu. Co za strata, myśli.

Muszę brać się do roboty. — James wstaje i wyciera ręce w szorty. — Mam dzisiaj jeszcze dwa domy.

Dzięki. To była miła pogawędka. I dzięki za trawkę. James przystaje przy drzwiach i gryzie paznokcie kciuka. Spogląda na ogród, potem znowu na nią.

Przy okazji, twoja mama może mieć problem.

Tak? — Margaret nie kryje zaskoczenia. — Wiesz o rozwodzie? Nie sądziłam, że ci powie. James przełyka ślinę, jabłko Adama podskakuje w słońcu.

Dajmy temu spokój. Sam nie wiem, co mówię. Jestem napalony.

Margaret próbuje skupić na nim oczy, ale za bardzo kiwa jej się głowa.

— Nie ma obawy, pomagam jej.

— To dobrze — mówi James i znika.

Parę minut później Margaret zbiera siły, żeby podnieść się z materaca. James już odjechał. Wraca na leżak i patrzy na książki prawnicze. Nie powinna palić trawki. Teraz niczego nie zrozumie. Dzień rozciąga się przed nią, pusty, gorący i zamazany.

Zbiera książki i przenosi się w chłodny mrok gabinetu ojca. W domu panuje cisza — matka drzemie, siostra jest na pływalni. Przecierając zaczerwienione oczy, włącza komputer, żeby sprawdzić pocztę. Josephine przysłała dwa e-maile z pytaniami, gdzie się spodziewa, dlaczego ma odłączony telefon, czy wszystko w porządku. Claire zapraszają na ostatni wernisaż i nawet Alexis przysłała wiadomość z Tokio, gdzie kręci fdm w miejscu, które nazywa po prostu „????”. Margaret rozumie troskę przyjaciółek, ale nie stać jej na przekonującą (a może szczerą) odpowiedź — nie teraz. Jeszcze nie. Pisze po jednej linijce do każdej z nich. „Cześć, jestem w domu, opiekuję się matką. Niebawem napiszę więcej. Pozdro M.”. Wysłała wiadomość, zadowolona, że na jakiś czas ma je z głowy.

Gdy komputer mruczy, ściągając pocztę pełną spamu, dzwoni telefon. Margaret odruchowo podnosi i natychmiast odkłada słuchawkę, nawet nie sprawdzając, kto dzwonił. Słowa e-maili w jednej chwili są rozmyte, potem nabierają ostrości, potem znów rozsypują się w kalejdoskop pozbawionych znaczenia liter. Mrużąc oczy, prostuje się gwałtownie na widok nazwiska ojca. Przez chwilę myśli, że ma halucynacje, ale kiedy mruga i patrzy jeszcze raz, wiadomość nie znika. Art Miller. miller@appliedpharm.com

„Margaret, próbowałem się z Tobą skontaktować, ale Twój telefon (telefony) został odcięty. Muszę pilnie z Tobą poroz-

mawiać. Proszę, zadzwoń do mnie jak najprędzej. Kocham Cię, tata".

Margaret patrzy na wiadomość, próbując rozszyfrować znaczenie, ale jej umysł wiruje w leniwych kręgach i nie chce podsunąć żadnego pomysłu. Coś jednak ją niepokoi, tajemnica, która wymaga natychmiastowego wyjaśnienia. Pilnie! Podnosi telefon i zaczyna wystukiwać numer ojca, ale przerywa, bo słyszy kroki matki w korytarzu na górze. Co będzie, jeśli wejdzie w czasie jej rozmowy z tatą? Siedzi, telefon grzeje się w jej rękę, i z roztargnieniem duma nad katastrofą, jaka mogłaby nastąpić. Rozmowa z ojcem w świętym wnętrzu domu matki byłaby w pewien sposób zdradą, bardzo podobną do tej, jakiej dopuściłby się Art uprawiający seks z Beverly w małżeńskim łóżku. A jeśli matka przez przypadek podniesie słuchawkę i usłyszy ich rozmowę — okrucieństwo! Margaret patrzy na klawiaturę telefonu i nagle nawet szmer jej oddechu wydaje się bardzo głośny w cichym domu. Stąd nie może do niego zadzwonić, bo matka na pewno usłyszy. A komórki już nie ma.

Pilnie! Słowo wzbudza reakcję, sprawia zwierzęcy, instynktowny ból. Co ma zrobić? Znajduje odpowiedź w tym rozkosznym stanie przytępienia. Jedyna logiczna rzecz to wsiąść do samochodu i spotkać się z ojcem osobiście.

Ruch na trasie 101 jest niewielki, na szczęście, bo Margaret wie, że ma spowolnione reakcje. Jedzie za śmieciarką, z której na maskę jej wozu sypie się ścięta trawa. Klimatyzacja charczy i wyrzuca z sykiem anemiczny strumień letniego powietrza. Margaret opuszcza szyby i wiatr targa jej włosy.

Gdy dociera na parking biurowca, jest trzeźwa na tyle, żeby się zastanowić, czy przyjazd tutaj rzeczywiście jest dobrym pomysłem. Nie całkiem pamięta, co zamierzała powiedzieć ojcu. Patrzy na fasadę z czarnego szkła — onieśmielający monolit, specjalnie zaprojektowany w taki sposób, żeby ludzie z zewnątrz nie mogli zajrzeć do środka i zajmowali się wyłącznie własnymi cholernymi sprawami — a potem przygląda

włosy, wyciera twarz rękawem spódnicy i przegląda się w pękniętym lusterku wstecznym. Żałuje, że nie pomyślała, żeby zmienić sfatygowaną pomarańczową suknię frotową. Pot spływa jej pod piersiami. Ma zawroty głowy.

Hol Applied Pharmaceuticals jest oślepiająco biały. Ściany pomalowane na biało. Podłogi z białego marmuru. Kanapy kryte białą skórą stoją na białym futrzaku. Na ścianach wiszą oprawione fotografie zielonych jak jabłko, powiększonych trzysta razy pigulek coifeksu. Zielone rurki neonowe układają się w logo coifex, też powiększone. W dziwnym blasku siedzi recepcjonistka, atrakcyjna młoda Azjatka uczesana w kok, z modnymi czarnymi okularami na czubku nosa. Też jest ubrana na zielono: zielona szmizjerka, zielone buty, zielona spinka we włosach. Margaret zastanawia się, czy jest posłuszna zarządzeniu kierownictwa, czy może sama wybrała kolor na znak lojalności wobec pracodawców. Tak czy siak, uznaje to za przygnębiające świadectwo zależności pracownika od korporacji. Z drugiej strony pewnie ma opcje na zakup akcji.

— Przyszłam do Arta Millera — informuje recepcjonistkę. Kobieta unosi jedną brew. Sięga po słuchawkę i trzyma ją piętnaście centymetrów od ucha.

— Kogo mam zapowiedzieć?

— Jego córkę.

Recepcjonistka wybiera numer. Pochyla się, osłaniając ręką mikrofon, więc Margaret nie słyszy ani słowa, i mówi parę zdań do kogoś na drugim końcu linii.

Prostuje się.

— Chce wiedzieć którą?

— Co?

— Którą córkę?

— Pierworodną.

Po krótkiej rozmowie recepcjonistka wskazuje jej drogę do windy i każe jechać na czwarte piętro. W kabinie czeka Ted.

— Cześć! — woła i klepie ją po ramieniu. Margaret się odsuwa. Ted prowadzi ją przez labirynt boksów w kierunku wielkiego pomieszczenia, gdzie rząd wysokich drewnianych drzwi oddziela ważniejszych członków rodziny Coifex od pospólstwa. — Dobrze cię widzieć. Jak się masz? A twoja siostra?

— Jakoś żyje — odpowiada Margaret, z zażenowaniem przypominając sobie, że ostatni raz widziała go wtedy, gdy wychodził drzwiami frontowymi ich domu z trzema walizkami i workiem z kijami do golfa.

Ted blednie.

— Racja. — Puka dwa razy do drzwi gabinetu, delikatnie, potem otwiera i zaprasza ją zamasztywym ruchem ręki. Margaret robi głęboki wdech, haustem tlenu z klimatyzacji przepędzając resztki pajęczyn haju po marihuanie. Pociera ramiona i wchodzi.

W gabinecie panuje taka cisza, że słyszy pojękiwanie lamp fluorescencyjnych nad głową. Ojciec siedzi za wielkim mahoniowym biurkiem, patrząc w podłogę. Podnosi głowę, mruga do niej i unosi jeden palec w powietrze. Dopiero wtedy Margaret zauważa bezprzewodową słuchawkę na jego lewym uchu.

Zatrzymuje się tuż za drzwiami. Ojciec trochę przytył, w jego łysinie odbija się światło. Policzki ma mięsiste, ale opalone po tygodniach na polu golfowym. Jest ubrany w prążkowany garnitur z atłasowym krawatem w kolorze logo coifex. Wygląda lak świadom swoich praw mięsożerca, który ma zamiar delektować się przygotowanym specjalnie dla niego posiłkiem z dwunastu dań. Z pieniędzmi mu do twarzy.

- Doskonale, doskonale — mówi do mikrofonu. — Słuchaj, powiedz, że raport będzie lada dzień, i poślij im kosz z prezentami, dobrze?... Nie, nie lekarzom, wiceprezesom.

Kończy rozmowę, wstaje i obchodzi biurko. Pochyla się niezgrabnie i zamyka Margaret w sztywnym uścisku. Margaret, zaskoczona, kładzie ręce na jego łopatkach, czując pod palcami drogą włoską wełnę. Ojciec zwykle nie lubi się przytulać, więc

natychmiast wyczuwa wyrachowanie w jego zachowaniu. Oboje odsuwają się szybko.

— Margaret — zaczyna Art — co za niespodzianka. Dlaczego nie zadzwoniłaś? — Wskazuje fotel przed biurkiem i Margaret opada w miękkie skórzane głębie. Gdy jej nos zastyga na wysokości blatu mahoniowego biurka, uświadamia sobie, że popełniła straszny błąd. Tutaj, otoczona zapachem skóry — maślanym i lekko zmysłowym, zapachem samych pieniędzy — jest bardzo słaba i bardzo mała, absolutnie nie w swoim żywiole. Pobudzający wstręt do ojca, który czuła ledwie parę godzin temu, znika bez śladu. Ma wrażenie, że przemieniła się w małe dziecko, które zostało nagrodzone zaszczytną audiencją u króla.

— Dostałam twoją wiadomość — wyjaśnia.

— Tak, zaraz do tego przejdziemy. Ale najpierw powiedz, jak się masz? Kiedy przyjechałaś do miasta? Słyszałem, że mieszkasz u matki. — Lekko marszczy brwi, jakby zraniony. — Mogłaś mnie powiadomić.

— Nie pomyślałam — mówi Margaret, czując się teraz jak bardzo złe dziecko, które nie pamięta o swoim tatusiu, i kompletnie zapomina, że parę minut temu to ona była stroną pokrzywdzoną. Patrzy na jego biurko oddalone kilkanaście centymetrów od nosa: bursztynowy przycisk do papieru z uwieczoną muchą, tytanowy laptop, schludny stos papierów. Na bardzo starym zdjęciu czternastoletnia Margaret z aparatem na zębach trzyma małą Lizzie na kolanach jak lalkę, nerwowy uśmiech zdradza jej lęk przed przypadkowym upuszczeniem siostry. Fotografia stoi w taki sposób, żeby goście mogli ją zobaczyć (Art Miller, kochający ojciec, człowiek, któremu możecie zaufać!), choć on go nie widzi. Z jakiegoś powodu bardzo ją to zasmuca. Nie ma fotografii matki. Odczuwa ulgę na myśl, że nie ma też zdjęć Beverly. Jeszcze nie.

— Jak sobie radzicie? — pyta Art. Trzyma rękę w kieszeni, odruchowo obracając w palcach jakiś niewidoczny przedmiot.

Margaret przez chwilę jest wzruszona jego oczywistą troską o dzieci.

— Świetnie, jak sędzę. Lizzie ciągle jest na pływalni. Mama... — Niezupełnie wie, co powiedzieć żeby nie zdradzić matki — cóż, chyba wiesz.

— Racja. Słuchaj, przepraszam, że się nie odezwałem, ale sytuacja była, sama rozumiesz, trochę niezręczna. To się zmieni, gdy będzie po wszystkim.

— Jasne. — Margaret patrzy na ręce, przytłoczona niezręcznością chwili, a potem przenosi oczy na ojca, który ze zmarszczonym czołem szacuje ją wzrokiem.

— W każdym razie chcę o czymś z tobą porozmawiać. — Ojciec przysiada przed nią na skraju biurka, wygładza ręką spodnie, żeby się nie zagniotły. — Odebrałem kilka telefonów. Od firm windykacyjnych. Rozumiem, że jesteś im winna sporo pieniędzy.

Więc o to chodzi, myśli. W końcu się dowiedział. Robi jej się niedobrze. Zwymiotuje na podłogę wprost przed nim, prosto na zielone logo coifex wplecione w dywanik. Czuje się jak robak pod mikroskopem, nie, gorzej, wypatroszona, jakby ktoś sięgnął do środka, chwycił wnętrzności i wyszarpnął je, żeby pokazać ojcu. Niemal się spodziewa, że ojciec z obrzydzeniem odwróci głowę.

A jednak. Ojciec uśmiecha się do niej. Jest skonsternowana, bo to zupełnie niespodziewany uśmiech, ciepły uśmiech ojcowskiej wyrozumiałości. Co z wykładem o życiu zgodnie z możliwościami? O podejmowaniu mądrych decyzji finansowych? O tym, że ludzie w jej wieku do czegoś doszli, a ona marnowała życie na jakieś mało znane czasopismo, które wpędziło ją w długi?

- Wiesz — kontynuuje ojciec — obecnie nie cierpię na brak pieniędzy. Chciałbym wesprzeć cię finansowo, jeśli tego potrzebujesz.

Margaret przełyka ślinę. Stało się: tata wyciągają z tarapatów.

Powinno boleć, ale gdy szuka siniaka, bolesnego fioletowego miejsca na sumieniu, uświadamia sobie, że zamiast bólu czuje ogromną falę ulgi. Rozwiązanie problemów zjawilo się w czarodziejski sposób i nawet nie musiała prosić. I jeśli to sprzedaż — nie lepsza, prawdopodobnie gorsza niż pozwalanie, żeby Bart utrzymywał ją w Los Angeles — cóż, naprawdę o to nie dba. Dopóki telefony nie przestaną dzwonić. Dopóki nie zacznie nowego życia bez widma długów nad głową. Stwierdza, że uśmiecha się promiennie do ojca. Czy to nie jest łatwe? Art mówi dalej:

— I jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym dać ci trochę ekstra, żebyś mogła znów stanąć na nogi.

Coś w tej propozycji sprawia, że Margaret się waha. To nie jest ojciec, przy którym się wychowała, ojciec, który zawsze mówił, że dzieci powinny uczyć się samowystarczalności, który wymagał, żeby po szkole pracowała w lokalnym banku w celu „poznania wartości pieniędzy”, który dawał jej kieszonkowe ledwo wystarczające na lunch w bufecie, żeby „nauczyła się gospodarować budżetem”. Gdy widzi, jak uśmiecha się do niej, świta jej w głowie, że właśnie to robią rozwiedzeni rodzice: przekupują dzieci, żeby kochały ich bardziej niż drugiego rodzica. Prezenty i pieniądze zamiast czasu i uczucia. Lizzie pewnie też dostanie czek.

— Jestem oszołomiona — mówi powoli, próbując ocenić własne uczucia, gdy ojciec wyjmuje książeczkę czekową z szuflady.

Składa podpis z przesadnym zawijaszem, wydiera czek i podaje jej bez składania, więc Margaret może od razu zobaczyć wypisaną sumę. Dwieście tysięcy dolarów. W milczeniu porusza ustami, jakby smakowała tę liczbę. Dziecko nadzianego tatusia, oskarża się w duchu. Wybierasz łatwą drogę, pozwalając, by tatuś rozwiązał twoje problemy. Ale skrupuły szybko przemijają. Dwieście tysięcy! Jej umysł skupia się na liczbie i powtarza ją jak mantrę. Dwieście tysięcy! Otwierają się przed nią nowe

horyzonty, zbyt szerokie, żeby objąć je wzrokiem. Zapłaci rachunki, znajdzie nowe mieszkanie, może nawet wskrzesi „Snatcha”, jeśli będzie chciała. Powoli pociera czek palcami, po prostu żeby się przekonać, co człowiek czuje, gdy ma takie pieniądze, i spogląda na ojca.

— Jesteś naprawdę hojny, tato — odzywa się po chwili, świadoma, jak nieadekwatnie brzmią jej słowa w tej sytuacji.

— Ja też chciałbym prosić cię o przysługę. — Ojciec podnosi przycisk do papieru i bawi się nim, patrząc na uwięzioną w bursztynie pradawną muchę, potem przenosi spojrzenie na Margaret. — Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że twoja matka i ja spieramy się o zyski z Applied Pharmaceuticals.

Margaret zamiera.

— Tak — odpowiada powoli.

— Zapewne wiesz, że sprawa trafi do sądu. I jestem przekonany, że wiesz, co to oznacza. Mam nadzieję, że staniesz po mojej stronie. To jeszcze nic pewnego, ale myślę, że twoja matka postępowała karygodnie, i jeśli zrobi się paskudnie, ogromnie by mi pomogło, gdybyś zeznawała na moją korzyść. Może o tym, co widziałas w domu.

Margaret patrzy na czek. Wlepia w niego oczy przez długą minutę, aż zera zaczynają się zlewać, i chce jej się płakać.

— Och — mruczy. Żadne słowa nie przychodzą jej na myśl. Czeka, żeby nasunęła się odpowiedź, ale ma pustkę w głowie. Może to zrobić? Czuje, że łza spłynęła z lewego oka i zostawiła mokry ślad na policzku.

Nie przejmuj się tak, Margaret — mówi ojciec. — To naprawdę nic wielkiego.

Nic wielkiego? Margaret nagle widzi, że w ojcu nie ma krzty empatii — jest moralnym relatywistą wykorzystującym innych do zaspokojenia własnych potrzeb. Rozumie, że do niego należy końcówka gry ambicji: sukces za każdą cenę. Nagle wpada we wściekłość. Jest wściekła, że ojciec postawił ją w takiej sytuacji, wściekła, że się z nim identyfikowała, wściekła, że brała pod

uwagę przyjęcie jego pieniędzy. Czy naprawdę była taka słaba? Tak łatwo uwiodło ją pięć zer? Co się stało z samowystarczalnością?

Kładzie czek na biurku i wstaje.

— Chyba żartujesz. — Natychmiast podnosi ją na duchu siłą własnej postawy moralnej. Zapomniała, jakie to wspaniałe uczucie! Tak, lepsze niż pieniądze! Stojąc, jest wyższa niż ojciec, który siedzi na brzegu biurka. Patrzy na niego z góry i widzi plamę wątrobową na opalonej łysinie. — Kantujesz moją matkę i sądzisz, że zwracanie się do mnie o pomoc to nic wielkiego?

Mięśnie drgają na jego policzku, ale twarz pozostaje bez wyrazu. Wstaje i odsuwa się od niej, wraca za bezpieczne biurko.

— Nie melodramatyzuj, Margaret. To rozwód. Ludzie rozwodzą się przez cały czas. Moja propozycja może wydawać się nagła i bezduszna, ale w takiej sytuacji nie ma miejsca na sentymenty. To jak zrywanie plastra: im szybciej to zrobisz, tym mniej boli.

— To nie jest transakcja w interesach — mówi Margaret. — Chodzi o twoją żonę, tato! Jak możesz być taki wyrachowany? Mam na myśli te pół miliarda dolarów. Naprawdę potrzebujesz wszystkiego dla siebie, i to tak bardzo, że gotów jesteś kłamać, a potem oskarżać żonę? Jak w ogóle mógłbyś wydać te całe pieniądze? W tej sytuacji wychodzisz na kompletnego kutasa.

— Nie jestem kutasem, Margaret. Jestem libertarianinem. — Widzi niedowierzanie na jej twarzy i chyba myśli, że nie zrozumiała. — To znaczy, że wierzę w osobistą odpowiedzialność. Wierzę w zbieranie owoców własnej pracy i nie czuję się zobowiązany do wspierania ludzi, którzy nic nie robią.

— Wiem, kim jest libertarianin — syczy Margaret. — Ale nie. Naprawdę jesteś kutasem. Mama nic nie robi? Żarty sobie stroisz? Myślisz, że twój dom sam się sprzątał, twoje kolacje same się gotowały? Czy kiedykolwiek odwiozłeś dzieci do

szkoły? Proszę. — Podchodzi do drzwi i staje, zbyt wściekła, żeby wyjść. — Tak, jesteś kutasem. I idiotą, skoro myślisz, że sprzedam się za marne dwieście tysięcy. Naprawdę, czuję się oburzona, że nie spróbowałeś przekupić mnie przynajmniej milionem. Bóg wie, że masz tyle. Ojciec mierzy ją wzrokiem.

— Margaret, czego się spodziewałaś? Spójrz na siebie. Jesienią skończysz dwadzieścia dziewięć lat i co robisz ze swoim życiem? O ile wiem, marnujesz je bezmyślnie. — Rozlega się ciche pukanie do drzwi. Art nie zwraca na to uwagi. — Nie mam pojęcia, w jaki sposób wpadłaś w takie długi. Sto tysięcy! Nie przypuszczałem, że można tyle zmarnować, tylko bawiąc się czasopismami.

Słowa bolą jak uderzenie pięścią w brzuch, ale Margaret czekała na nie od lat. Zamiast płakać, ma ochotę strzelić ojca w twarz.

— Tato, nie zależy mi na twojej aprobachie. Nie wierzę, że miarą sukcesu są pieniądze albo to, czy jesteś taki potężny, że inni czują potrzebę całowania cię po dupie, albo czy twoje nazwisko pojawi się w „New York Timesie”. — Wyrzucając z siebie te słowa, pyta się w duchu, czy rzeczywiście w to wierzy, i decyduje, że tak, naprawdę wierzy. Czuje się cudownie wolna. — I jeśli uważasz mnie za nieudacznika, to się cieszę, ho to znaczy, że nie dałam się nabrać na twój popieprzony system wartości.

Gwałtownie otwiera drzwi, za którymi stoi Ted.

- Art — szepcze asystent, nie patrząc na nią — spóźnisz się na spotkanie o trzeciej.

- Margaret — syczy Art — pewnego dnia zrozumiesz, jak bardzo się mylisz, a wtedy przyjdiesz do mnie i przeprosisz.

Margaret przez minutę stoi w drzwiach, usiłując nie patrzeć na czek leżący na biurku i powtarzając sobie, że opowiada się po właściwej stronie w tym sporze.

Pieprz się, tato — mówi dość głośno, by słyszał ją cały

personel Applied Pharmaceuticals; dość głośno, by ojciec się skrzywił, a Ted cofnął. — Do zobaczenia w sądzie.

Odwraca się na pięcie i zdecydowanym krokiem wychodzi z biura.

Zapada zmierzch, gdy Margaret wraca do domu, wciąż zarumieniona po zastrzyku adrenaliny, jaki otrzymała w czasie konfrontacji z ojcem. Czuje kwas w żołądku i myśli, że to z podniecenia, ale potem przypomina sobie, iż nie jadła niczego z wyjątkiem płatków kukurydzianych na śniadanie.

— Mamo?! — woła, wchodząc bocznymi drzwiami do kuchni. Nie słyszy odpowiedzi. Otwiera lodówkę i widzi mur hermetycznych pojemników. Każda przejrzysta cegła zaopatrzona jest w etykietkę z taśmą maskującą i opisana charakterem matki: Zupa marchewkowa z imbirem, 23/7, Frittata z wędzonym łososiem 20/7, Kurczak z cytryną 22/7, Krewetki *fra diavolo* 21/7.

Margaret wyjmuje pojemniki z kurczakiem i zupą i odwraca się, żeby położyć je na ladzie. Zderza się z matką, która stoi tuż za jej plecami. Pojemnik z zupą spada na podłogę.

— Boże, ale mnie wystraszyłaś — wybuchła Margaret, podnosząc pojemnik. W białym blasku z lodówki widzi, że emocjonalna trauma ostatniego miesiąca dała się matce we znaki. Skórę ma ziemistą, twarz wychudzoną, oczy zaczerwienione, źrenice małe. Na przedramionach widać czerwone bruzdy, które wyglądają jak ślady po paznokciach. — Mamo, wyglądasz okropnie. Czy ty w ogóle sypiasz? Myślałaś, żeby wziąć ambien albo jakiś inny środek?

— Musimy porozmawiać — mówi Janice.

— Może ja najpierw ci powiem o moim popołudniu? — Margaret zdejmuje wieczko pojemnika, wyjmuje udko i gryzie, rozsmarowując zimny tłuszcz na brodzie. Czuje się jak waleczny wojownik, który maszeruje, by się ubiegać o rękę księżniczki.

Odrzuciła dwieście tysięcy dolarów! Poświęciła własne dobro dla matki, najwyższe świadectwo córczynej miłości! Niemal czuje, jak biją od niej pełne ciepła uczucia — dwie przeciwko całemu światu — i podnosi twarz, jakby chciała pochwycić odbitą miłość. Razem rozwiążą wszystkie problemy — matki i córki!

— Nie teraz. — Janice wyciąga rękę i wyjmuje udko z palców zaskoczonych Margaret, maszeruje do szafki i kładzie mięso na talerzu. Wraca do lady, stawia talerz, podaje jej widelec i serwetkę. — Wczoraj wieczorem byłam u Gossettów. I zobaczyłam, co się stało Sadie.

Margaret widzi bezwładne ciało białego psa, sunące łukiem w powietrzu, i zamyka oczy, broniąc się przed tym obrazem.

— Aha — mamrocze. — Tak.

— Chyba nie rozumiesz. — Janice z drzeniem wciąga oddech i sztywnymi palcami drapie się po przedramieniu. — Chyba nie rozumiesz, co zrobiłaś. Nie rozumiesz wagi zdarzenia.

Margaret nerwowo wyciera serwetką tłuszcz z podbródka skonsternowana teatralnym zachowaniem matki.

— Wagi? Czy trochę nie melodramatyzujesz? Przyjęłam tymczasową pracę, wyprowadzanie psów, żeby zarobić trochę gotówki. Psa spotkał drobny wypadek. Czułam się strasznie, nie niewiele mogłam zrobić.

— Nie rozumiesz — powtarza Janice i Margaret cofa się przed furją w jej głosie. — Omal nie zabiłaś psa sąsiadów. Psa Noreen Gossett. Nie masz pojęcia, jak bardzo Noreen go kocha. I nic mi nie powiedziałaś! Nie byłoby problemu, gdybyś powiedziała! Załatwiłabym to wcześniej i wszystko byłoby w porządku. Jak mogłaś być taka nieodpowiedzialna?

Margaret próbuje coś zrozumieć, ale nie może. To tylko pies, myśli, matka nawet nie lubi psów. Gniece serwetkę w rękę i rzuca ją w stronę kosza na śmieci. Serwetka ląduje na podłodze.

— Mówisz bez sensu, mamo. Psu nic się nie stało. Tylko

parę złamanych kości. Nie ma potrzeby zachowywać się tak, jakbym spowodowała koniec świata. Przeprosiłam Noreen Gossett. Co jeszcze mogłam zrobić? To nie ja siedziałam za kierownicą.

Janice podnosi serwetkę z podłogi i ogląda ją jak dowód, po czym z pietyzmem umieszcza w koszu.

— Wiedz, że musiałam wypisać Noreen Gossett czek na trzy tysiące dolarów, żeby pokryć rachunki za leczenie psa.

— Trzy tysiące? Na rachunek od weterynarza? To więcej niż mój czynsz za dwa miesiące — mówi Margaret, ale krzywi się wewnątrz: została wybawiona przez mamę? Jej upokorzenie sięga zenitu. Świadomość własnej nieudolności dławi ją niczym ciasna różowa obróżka na szyi tego wstrętnego, ledwo żywego kundla. — O to cały ten krzyk? Zwróć ci pieniądze.

— Dlaczego wyprowadzałaś psa Gossettów?

— Czy to ważne?

— Szczerze mówiąc, odnoszę wrażenie, że nie masz dość pieniędzy nawet na kupno przyzwoitej czystej bielizny. Ale skąd ja mam wiedzieć?

Margaret odruchowo podnosi spódnicę, odsłaniając białe majtki z błękitną koronką. Matka szybko odwraca głowę, wyraźnie przerażona, że zaraz zobaczy włosy łonowe. Margaret robi się niedobrze, gdy widzi niesmak na jej twarzy.

— Są czyste — mówi z goryczą. — Nie musisz się o to martwić, gdyby spotkał mnie wypadek samochodowy.

— Nie w tym rzecz.

— A w czym, mamó? Co za różnica, czy mam pieniądze, czy nie?

— Rzecz w tym, że ty nigdy nic mi nie mówisz. Jestem twoją matką!

Margaret patrzy na wrzeszczącą matkę, na policzki pokryte czerwonymi plamami furii, i w końcu daje się ponieść złości.

— Naprawdę chcesz wiedzieć? — pyta urażona kompletnie niezrozumiałym — niesprawiedliwym! — atakiem matki. —

Dobrze. Doskonale. Mam zaległe spłaty na kartach, mam. Jestem winna trochę pieniędzy i próbuję coś wymyślić, żeby je oddać. Uznałam, że podjęcie pracy, póki tu jestem, trochę mi pomoże. — Patrzy na matkę, której mina szybko zmienia się z zaskoczony na zatroskaną, a potem przerażoną. — Ze „Snatchem” wyszło niezupełnie tak, jak myślałam. To chciałaś usłyszeć?

Najwyraźniej nie. Janice mruży oczy i wściekle kręci głową, lakby przez odrzucenie prawdy mogła sprawić, że prawda zniknie. Jej paznokcie głęboko wbijają się w skórę.

— O Boże, Margaret. Nie teraz. Dlaczego?

— Dlaczego? Myślisz, że zrobiłam to umyślnie?

— Winisz mnie, Margaret, ale to ty. Ty. Tak, ty. — Janice wskazuje na nią palcem, dźga powietrze przy każdym „ty”. Palec się kiwa. — Ty wszystko zepsułaś. Ten cały... bałagan to twoja wina. Z Lizzie, Jamesem, Noreen. — Margaret, zbita z. Iropu, słucha niespójnego bełkotu matki. Lizzie? James? Co oni, u licha, mają tu do rzeczy? Janice milknie nagle i oddycha głęboko, jakby chciała się uspokoić. A potem ze łzami w oczach wybucha: — I nawet nie było ci przykro. — Mruga szybko, odwraca się i ucieka z kuchni.

Margaret wlepia oczy w udko leżące żałośnie pośrodku lalerza. Jest zbyt wstrząśnięta, żeby się ruszyć. O jakim bałaganie mówiła matka? O procesie? O zadłużeniu na kartach kredytowych? O rozwodzie? Czy naprawdę wierzy, że ona, Margaret, jest jakoś temu winna? Oto, jakie podziękowanie spotykają za to, że chciała być wojującym bohaterem. Żałuje, że nie może wymazać całego popołudnia, żałuje, że broniła matki przed ojcem, żałuje, że w ogóle zaproponowała jej pomoc. Co sobie myślała? Powinna wziąć od ojca dwieście tysięcy, zapłacić rachunki i wyjechać z miasta, niech rodzice sami załatwiają swoje sprawy. Pomimo rozwodu, myśli z goryczą, wciąż mają wspólną cechę: nic, co robi, nigdy nie zadowoli żadnego z nich. Do diabła z nimi.

Margaret niesie udko do zlewu, wrzuca do zgniatarzki odpadków i włącza urządzenie. Młynek grzechocze i zatrzymuje się ze zgrzytem, gdy kości blokują ostrza. Odwraca się, zabiera torebkę i wychodzi drzwiami kuchennymi.

Na podjeździe mija Lizzie, która wraca z pływalni. Lizzie idzie za nią w kierunku jej samochodu.

— Dokąd jedziesz? — pyta. — Mogę jechać z tobą? Proo-oszę...

— Nie! — warczy Margaret. Widzi zboląłą minę siostry i wie, że rani jej uczucia, ale nie jest w nastroju, żeby się nią zajmować. Silnik jest jeszcze ciepły, gdy siada za kółkiem i wycofuje hondę z podjazdu.

*

Margaret pamięta, jak w czasach jej nauki w gimnazjum budowano Cineplex 13 przy głównej ulicy w centrum Santa Rita. Kino wydawało się młodzieńczą krainą cudowności. Rodzice podrzucali tu dzieciaki w weekendy, pewni, że będą bezpieczne w betonowych wnętrzach. Nie mieli pojęcia, że młodzi kasjerzy za dwa dolary łapówki sprzedają im bilety na fdmy dla dorosłych. Ani że sklep monopolowy Captain Cork po drugiej stronie ulicy sprzedaje gorzałę niepełnoletnim, którzy w plecakach szmuglują zakupy do kina. W piątkowe wieczory przy stolikach w kawiarni jedenasto-, dwunastoletnie dziewczynki trzepotały rzęsami zza wielkich puszek z dietetyczną colą (zaprawioną rumem) do chłopców, którzy nie zwracali na nie najmniejszej uwagi zauroczeni automatami do gier wideo. Ostatni rząd sali jedenastej był miejscem, gdzie, jak chodziły słuchy, połowa jej klasy po raz pierwszy zaliczała tak zwaną drugą bazę, czyli macanki. W „Trzynastce”, jak nazywano multikino, Margaret zainteresowała się kulturą masową.

Trzynastka nie zestarzała się z wdziękiem. Hol jest mroczny, przepaścisty i pachnie zjełczalym tłuszczem. Pająki wysysają muchy w zakurzonych kątach. Wyświechtana wykładzina

świadczy o wieku tego miejsca, brudne tenisówki i rozlane napoje nadały zielonym trójkątom i różowym zawijaszom z lat osiemdziesiątych jednolity szarobury odcień. Neonowe litery układające się w nazwy napojów — sprite, cola, jolt cola — mrugają nieregularnie. Frogger, gra wideo o żabce, w którą kiedyś grywała, czekając na mamę, ustąpiła grze zatytułowanej „Metal śmierci: krwawy pojedynek”, zgrzytajacej i czkajacej w kącie holu.

— Jaki fdm? — pyta niewyraźnie nastolatka za szybą kasy biletowej. Margaret patrzy na repertuar, gotowa wybrać fdm na chybił trafił. Cokolwiek, byle tylko przez parę godzin nie musiała wracać do domu i matki. Do diabła, może spędzi tutaj resztę lata, przemykając z fdmu na fdm, śpiąc w czasie seansów popołudniowych, jedząc solony popcorn, ukrywając się przed lirmami windykacyjnymi.

Przeogląda listę filmów, zastanawiając się nad fatalną ofertą, i zamiera: w sali numer jednaście puszczają *Thrustera*. Przez chwilę myśli, że ma halucynacje. Już? Odwraca się, by spojrzeć na plakaty filmowe na ścianach, i jej serce zaczyna kołatać. Hart patrzy na nią, jego twarz jest trzy razy większa niż w rzeczywistości. Ma ciemne okulary, w których odbija się ferrari, i trzyma w rękach coś, co wygląda na karabin maszynowy. „Jeden człowiek. Jedna maszyna. Jedna krwawa droga zemsty”, oznajmia nagłówek.

- Jaki film? — powtarza dziewczyna w szklanym boksie, gdy ludzie w kolejce zaczynają pomrukiwać.

- *Thruster* — mówi Margaret, nie mogąc wymyślić nic lepszego.

- Seans zaczyna się za dziesięć minut.

Margaret bierze bilet i patrzy na niego przez długi czas. Polem spogląda przez ulicę na sklep monopolowy Captain Cork. Wie, czego będzie potrzebowała, żeby przetrwać.

*

Siedem minut później Margaret zajmuje jedno z ostatnich wolnych miejsc na widowni, gdy na ekranie przesuwa się czołówka. W torebce ma butelkę whisky. Siedzi pomiędzy brodatym mężczyzną, który wygląda tak, jakby spał tutaj od poprzedniego seansu, i dwójkiem młodych ludzi, którzy karmią się wzajemnie popcornem z kubelka wielkości garnka do gotowania spaghetti. Sprężyny w siedzeniu są pęknięte, a aksamit wytarty do gołych nici, ale Margaret jest zbyt pochłonięta tym, co widzi na ekranie, żeby zwracać na to uwagę. Oto on, patrzący na nią, wysoki na sześć metrów. Siedzi za kierownicą czarnego jak smoła ferrari, pędząc przez pustynię, z młodziutką blond lisicą — Ysabelle van Lumis — na fotelu pasażera. Margaret widzi każdy por na jego nosie.

— Jezu — szepcze do ekranu, żeby dać upust ciśnieniu, które w niej narasta.

— Szszsz — ucisza ją siedząca obok kobieta. Margaret wyjmuje butelkę whisky z torebki. Pociąga łyk,

nawet nie starając się ukryć. Oczy zachodzą jej łzami. Kobieta głośno klaska językiem.

— Jezu Chryste — powtarza Margaret tylko dlatego, że dobrze się czuje, zagubiona wśród publiczności, i pije drugi łyk.

Akcja, jak zawsze w takich fdmach, nie ma większego znaczenia. Bart, były kierowca ciężarówki, zostaje tajnym agentem CIA. Musi zinfdtrować szajkę europejskich złodziei biżuterii i bierze udział w Le Mans, zakochuje się w zachwycającej Francuzce (Ysabelle, z żalonym akcentem), która okazuje się prowodyrem szajki złodziei. Akcję urozmaica mnóstwo kraks, niezliczone strzelaniny, pięć bójek na pięści i eksplozja jednego drapacza chmur. Oczywiście Bart musi trzy razy ratować Ysabelle, która zwykle ma na sobie skrawki bielizny. Czy fdm jest mniej prymitywny niż *Fahrenheit 881* Tylko odrobinę. Margaret układa w myślach krytyczny elaborat, wstępniak w „Snatchu” o zapotrzebowaniu na silne heroiny w kinie akcji.

Przynajmniej tym się zajmuje pomiędzy łykami whisky. Głównie skupia uwagę na twarzy Barta, zauważając, że wyraz, który ćwiczył przed lustrem przez całe te lata — przymrużone lewe oko plus refleksyjny uśmiech — naprawdę robi wrażenie. Wygląda na seksownego, a jednocześnie absolutnie niedostępnego faceta. Margaret ma ochotę poderwać się z fotela, wskazać palcem na ekran i wrzasnąć: „Patrzcie! To był mój chłopak. Mój chłopak!”. Dlaczego zerwali? Nie pamięta. Pewnie przez coś błahego, jakieś głupstwo. Popełniła największy błąd w życiu. Jej serce wali w rytm z jazgotem AK-47, który trzyma Bart.

Bart całuje Ysabelle na ekranie, a Margaret zamyka oczy i czuje gorąco na całym ciele, wspominając, jak przytulała się do niego podczas jazdy na motocyklu. W czasie drugiego pocałunku czuje nieprzyjemne ściskanie w gardle, walcząc ze Izami. Potem, gdy oboje zdejmują ubrania (Ysabelle ma fenomenalne piersi) i wskakują do łóżka, jest tylko wkurzona. Uświadamia sobie poniewczasie, że prawdopodobnie ten dupek oszukiwał ją przez cały czas, kiedy kręcili w plenerze, dlatego po powrocie z nią zerwał.

- Kutas — mówi do ekranu, gdy Ysabelle wrzeszczy jak opętana, jej blond włosy łopoczą dziko wokół podrygującego ciała. Pociąga łyk. — Wcale nie byłeś taki dobry.

Kobieta siedząca obok odsuwa się jak najdalej.

- Zamknij się, do diabła — mówi mężczyzna po drugiej stronie. Pochyla się w fotelu, wlepiając oczy w wielkie na metr dwadzieścia, odświetlone cyce Ysabelle.

Bart na ekranie wydaje się nierealny, daleki jak lśniąca dwuwymiarowe zdjęcie jakiejś gwiazdy w kolorowym magazynie. Ikona, którą zawsze chciał zostać. Jak on tego dokonał? Co takiego miał, czego jej brakowało? Czym jest to nieuchwytnie coś, co pozwoliło wszystkim jej przyjaciółkom, Josephine, Alexis i Claire, a nawet ojcu, na szybkie osiągnięcie sukcesu? W ich wykonaniu wydawało się to takie łatwe. Nie przypuszcza, że zależało im bardziej niż jej albo że pracowali ciężiej, albo

poświęcili więcej, albo byli bardziej utalentowani (a może?). Może, zamiast tak bardzo dbać o zasady, o wiarygodność, o rzetelność, powinna dać Paris Hilton na okładkę i zamieścić w „Snatchu” dział zakupów.

Może jedyny sposób polegał na poddaniu się i sprzedaniu.

Siedzi w ciemności strasznie przygnębiona, świadoma, że może gdyby wcześniej to zrozumiała, jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Ponieważ prawda — banalna jak fdm Barta — wygląda tak, iż jest zazdrosna, że jemu się udało, a jej nie, że on zrealizował swoje marzenia, a ona już nawet nie wie, o czym marzyć. A gdyby wzięła te dwieście tysięcy? Naprawdę ruszyłaby „Snatcha” na nowo? Myśli o ostatnim numerze — przegląd wibratorów, na miłość boską — i nagle pojmuje, jak ograniczone, jednotorowe i nieprzyjemne stało się jej czasopismo. Jednym słowem, denerwujące.

Pod koniec fdmu Margaret jest emocjonalnie wyczerpana i mocno wstawiona. Chwiejnym krokiem wychodzi z sali, myśląc, że może powinna się zdrzemnąć na tylnym siedzeniu wozu, zanim pojedzie do domu. Przystaje przy automatycznym wodotrysku i łapczywie siorbie letnią wodę, starając się nie zwracać uwagi na bladozieloną gumę do żucia w odpływie. Woda ma posmak rdzy, ale jest tak spragniona, że o to nie dba.

— Margaret? — pyta ktoś za jej plecami. — Margaret Miller?

Odwraca się i widzi małą, krągłą kobietę w spodniach dresowych i żółtej koszulce polo, z fryzurą matrony i perkatym nosem mopsa. Ma pulchne, różowe policzki osoby dobrze wykarmionej, wykapaniej i wypielegnowanej. Za nią stoi równie niski mężczyzna w tanich mokasynach i koszulce z nadrukiem: „Zdobywca drugiego miejsca w wyścigach wózków golfowych Sand Hill”, która nie całkiem maskuje zaokrąglony brzuch.

Kobieta uśmiecha się promiennie parę centymetrów od jej twarzy, czysta dziecięca radość nie znika, nawet gdy Margaret marszczy czoło z konsternacji.

— Pamiętasz mnie? Kelly Maxfield z twojej klasy w Miliard Fillmore!

— Och — szepcze Margaret słabym głosem. Jej pierwsza myśl jest taka, że to niemożliwe, aby ta kobieta była w jej wieku. Czy Kelly przedwcześnie się zestarzała, czy ktoś ją po prostu nabiera? Margaret pamięta jak przez mgłę pulchną koleżankę, która dobierała kolor sznurowadeł do skarpetek. Miła, choć przeciętna. Teraz przypomina sobie, że w zeszłym miesiącu matka namawiała ją do odnowienia znajomości z tą właśnie dziewczyną. — Rany.

— Nie do wiary, minęło dziesięć lat! Brakowało nam ciebie mi zjeździe, wiesz — mówi Kelly. Chwyta za ramię stojącego obok mężczyznę, który uśmiecha się z roztargnieniem. — To mój mąż, Duncan. Duncan, to Margaret, najbystrzejsza dziewczyna z liceum, poważnie. Wszyscy próbowali od niej ściągać nu sprawdzianach... — Patrzy na Margaret jasnymi oczami i wybucha śmiechem. — Oczywiście, ja nie. Pewnie dlatego i tuliłam na stanowy uniwersytet San Jose zamiast do Stanforda.

Margaret uśmiecha się słabo.

- Co więc porabiasz, Kelly?

- Jestem agentem prasowym. Znasz firmę Maxfield & Associates? Oczywiście, że nie, chyba że jesteś z branży. Ale tak czy siak, to ja. Public relations najnowszej generacji. Głównie sieci społeczne, łączność bezprzewodowa i wielka farmacja. — Krzywi się. — Och! Powinnam powiedzieć wcześniej, wspaniałe nowiny o IPO twojego ojca! Śledziłam w wiadomościach, musisz być zachwycona.

Margaret nie wybrałaby takiego słowa, ale trzyma język za zębami. Pomimo popołudniowej tyrady matki świadomość, jak bardzo byłaby zawstydzona, gdyby rodzinny dramat trafił do gazet, zmusza ją do milczenia. Agenci prasowi nie słyną z dyskrecji. W Los Angeles było ich pełno, ślicznych, młodych pasożytów na diecie bezwęglowodanowej, z czołami wygładzonymi botoksem, żerujących na sławach i zarabiających na

życie kłamaniami gazetom. Bart miał agentkę, dziewczynę o imieniu Bunny, która nazywała ją „Meredith” i specjalizowała się w kleceniach artykułów puszcanych w „Teen People”.

— Absolutnie — kłamie. — Jesteśmy wprost zachwyceni.

— Przekaż mu pozdrowienia. Wiosną widziałam go na konferencji. Chociaż teraz jestem na urlopie macierzyńskim. Nasze pierwsze dziecko, Jackie, ma cztery miesiące. Dość trudno myśleć o rynku sieci bezprzewodowych, gdy ma się dziecko przy cycku... Wybacz, ale taka jest prawda, co dwadzieścia minut. Dzięki Bogu, znaleźliśmy nianię, więc możemy wychodzić i mieć trochę czasu dla siebie, prawda? — Ścisła rękę Duncana, który kiwa głową, jakby próbował się skupić,

1 znów się uśmiecha. Wygląda, jakby nie spał od miesiąca. — Nie mogliśmy się doczekać tego filmu. Podobał ci się *Thruster*?

— Był świetny — duka.

— Jestem fanką Ysabelle van Lumis. A ten Bartholomew--jak-mu-tam? Seksowny facet. Lecę na brytyjski akcent. Wybacz, Duncan! — Trąca męża w bok wymanikiowanym palcem. Duncan chyba tego nie zauważa; wygląda, jakby spał na stojąco.

— Tak naprawdę — zaczyna Margaret i ma wrażenie, że słowa płyną z jej ust bez udziału woli — Bart jest moim chłopakiem.

— Ha ha, nie! Jest mój! Byłam pierwsza! — woła Kelly. Widząc ból na jej twarzy, pyta: — Serio?

— Och, to nic takiego — wycofuje się poniewczasie. Kelly robi wielkie oczy.

— To znaczy... Rany, Margaret. Po prostu zdumiewające. Nie miałam pojęcia. Spotykasz się z gwiazdą filmową!

— No tak — mówi Margaret z zakłopotaniem. Patrzy na wyjście za plecami Kelly, zastanawiając się, czy może zwiąć, nie wychodząc na kompletną idiotkę.

— Patrzcie tylko, masz wspaniałe życie! Słyszałam, że byłeś w LA. Ale ja tu w kółko mówię o sobie. Przepraszam, czasami

to robię, wiesz? Podobno to nic dobrego u agenta prasowego. Powinniśmy trzymać język za zębami. O rany. Bart Przystojniak. Przysięgam, Duncan, wszyscy zawsze mówili, że Margaret będzie kimś, i mieli rację... Ale, czekaj, dlaczego oglądasz film tutaj? Musiałaś widzieć go wcześniej, prawda? O rany, byłaś na premierze?

— Um... — Kelly czeka na odpowiedź. Margaret, przyparta do muru, ma nadzieję, że jeśli nic nie powie, Kelly w końcu się zamknie i pójdzie w swoją stronę.

Kelly ma inne plany.

— Chcę wiedzieć wszystko, co ciekawi ludzie robią w LA. To znaczy, co ty robisz? Pamiętam, moja mama mówiła, że twoja mama jej powiedziała, że jesteś sławną pisarką czy kimś takim. Pracowałam dla jakiegoś magazynu kobiecego, prawda? Czy to „Vogue”? „Elle”? Tak mi przykro, nie pamiętam.

— No cóż... — Margaret widzi w wyobraźni alternatywną t/cczywistość: uhonorowane nagrodą czasopismo, potem opiewająca na sześć cyfr umowa na książkę; pochlebca prezentacja sylwetki na stronach „New York Times Magazine”; elegancka suknia, czerwony dywan na rozdaniu Złotych Globów, Bart u jej boku; piękny, nowoczesnie urządzony dom z lat pięćdziesiątych na wzgórzach; radosne rodzinne wakacje na wyspie St. Barts, dokąd zabiera na Gwiazdkę pełnych uwielbienia lodziców i siostrę. Nagle wymyślanie kłamstw staje się zbyt męczące.

O Chryste — zaczyna, uświadamiając sobie, że jest burdzo pijana. — Słuchaj, jak **to** naprawdę wygląda. Bart rzucił mnie parę miesięcy temu, a ja jestem mu winna dwanaście tysięcy. Moje czasopismo, które, spójrzmy prawdzie w oczy, było przestarzałe w chwili, gdy **je** założyłam, właśnie poszło na dno, poza tym nigdy nie miałam więcej niż piętnaście tysięcy czytelników. Jestem niedoszłym i w gruncie rzeczy nikomu niepotrzebnym feministycznym nauczycielem akademickim, i pół tuzina firm windykacyjnych ściga mnie **za** długi. Czy

wspomniałam, że musiałam zamieszkać u rodziców? Ojciec niedawno nazwał mnie nieudacznikiem i próbował przekupić, żebym świadczyła przeciwko matce, która z kolei nie pochwała niczego, co robię. Jediną osobą, która ma dla mnie odrobinę szacunku, jest moja czternastoletnia siostra, ale ona nic nie wie. Jeszcze nie.

— Och — mruczy Kelly i zaciska rękę na piersi w spazmie zaskoczenia. — Tak mi przykro. To straszne.

— Hej, dlatego Bóg wynalazł alkohol — mówi Margaret i potrząsa butelką whisky, która wystaje z torebki. Nagle czuje się nadzwyczajnie lekka, jakby nosiła głaz w torebce i dopiero teraz pomyślała, żeby go wyrzucić. Śmieje się głośno, czując lekkość — a może to histeria? Dlaczego nie oczyściła się wcześniej? Jakie to miłe uczucie być obiektem pogardy Kelly. Widzi nagłówki, które z pewnością umieści w jutrzejszych brukowcach: „Margaret Miller, kiedyś najlepsza w klasie, dziś przegrana pijaczka!”.

Myślała, że już osiągnęła dno, ale w rzeczywistości nastąpiło to teraz. Upaja się tą chwilą. Już jej nie obchodzi, co ktoś o niej myśli — ani karmiąca piersią koleżanka z klasy, ani krytyczni rodzice, ani Bart, ani jej sławne rówieśniczki, nikt. Podnosi butelkę i pociąga łyk bursztynowego żaru, który rozpala ją jak stu watową żarówkę. Pieprzyć wszystko.

Margaret wyzywająco czeka, żeby Kelly wycofała się w ochronną aurę męża, który po raz pierwszy skupia na niej spojrzenie. Ale ku jej niedowierzaniu Kelly przysuwa się o krok. Kładzie rękę na jej ramieniu i pochyla się, żeby Duncan nie słyszał, gdy szepcze:

— Znam to z własnego doświadczenia. Dzięki Bogu za przeciwbólowy percocet. — Jej dołeczki znikają i podbródek twardnieje, gdy konspiracyjnie kiwa głową.

Zanim Margaret ma czas zareagować, Kelly odsuwa się szybko i podnosi głos do początkowego radosnego szczebiotu.

— Powinniśmy umówić się na drinka i nadrobić zaległości.

Zostawię dziecko z Duncanem, żebyśmy mogły urządzić sobie babski wieczór. OK, Dunc? W każdym razie, daj mi znać, a z przyjemnością z tobą pogadam. — Sięga do torebki po wizytówkę, którą wciska w rękę Margaret z krzepiącym ściśnięciem. — Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać. Serio.

Margaret stoi, obracając w palcach wizytówkę, gdy Kelly wychodzi z oświetlonego neonami holu w ciemność nocy, jej liyzura podskakuje, zmęczony mąż wlecze się pół kroku za nią. licha alkoholu palą ją w gardle.

Muska palcami tłoczony napis na wizytówce — Kelly MaxI icld, specjalistka PR — potem wpycha ją do torebki. Kartonik przykleja się do butelki whisky, bo reszta zawartości się wylała. Wonna kałuża powoli sączy się przez skórę, gdy Margaret idzie do wyjścia.

Trzask! — taki napis widnieje nad drzwiami i Lizzie myśli, że to dziwna nazwa piątkowej młodzieżowej grupy Kościoła Rzeka Życia, ale może coś jej umknęło. Może Bóg trzaśnie cię po głowie, gdy zgrzeszysz? Biblia trzaśnie w palce stóp, gdy upuścisz ją niechcący?

Biblia, którą dostała w zeszłym tygodniu w czasie wizyty w Rzece Życia, nie wygląda na książkę, która mogłaby coś roztrzaskać, pomimo ciężaru. Dla początkujących jest różowa. Ze zdjęciem trzech dziewczyn na okładce. Ubrane w pastelowe sweterki wyglądają, jakby właśnie zeszły z reklamy kosmetyków Noxema. Śmieją się z czegoś, co wyczytały w Biblii (Lizzie szybko ją wertuje, ale nie znajduje niczego, co pobudziłoby ją do głośnego śmiechu). A może tylko są w błogim nastroju. Ostatecznie książka ta nosi tytuł: *Błogość! Biblia dla nastolatków takich jak Ty, napisana absolutnie zrozumiałym językiem!* Lizzie uczy się, że wykrzykniki mają ogromne znaczenie w świecie nastoletnich chrześcijan.

Biblia co prawda nie wprawia jej w stan błogości, ale Lizzie jest dobrej myśli. Trochę żałuje, że razem z książką dostała obciachowe etui z imitacji skóry aligatora, lecz skoro inne dziewczyny noszą swoje z dumą, jak torebki od Prądy, też wpycha je pod ramię, zamiast schować do worka z książkami.

Wersja dla chłopców jest niebieska, z trzema białymi chłopakami w hiphopowych strojach, i mieści się bez kłopotu w tylnej kieszeni workowatych džinsów.

Spotkanie Trzask! odbywa się w sali na tyłach kompleksu kościelnego. Nie ma ławek ani krzeseł. Sala jest wyłożona niebieską wykładziną przemysłową i oświetlona lampami fluorescencyjnymi. Zamiast kazalnicy umieszczono neon „Trzask!”, a niżej wizerunek uśmiechniętego Jezusa namalowany w pointylistycznym stylu Roya Lichtensteina. W kącie stoi lśniąca jak złoto perkusja. Na przeciwległym ścianie graffitiarz wymalował zdanie „Bóg jest miłością” zaokrąglonymi literami.

Około stu nastolatków siedzi po turecku na podłodze. Lizzie przystaje w drzwiach i zastanawia się, gdzie się ulokować. Zeke Bint, który z niechęcią wykonał rozkaz matki i przyprowadził ją do Trzask!, przeciska się obok niej, spiesząc w stronę neonu.

Nie próbuj siadać obok mnie, Miller, nawet o tym nie myśl — szepcze jej do ucha, gdy ją mija. — Wiem o tobie wszystko. Nierządnica Babilonu.

Nie usiadłabym przy tobie, nawet gdybyś był ostatnim Incetem na ziemi — mówi do ulizanych tłustych włosów z tyłu jego głowy. — Śmierdzisz jak psia kupa. — Nie jest zawiedziona jego brakiem zainteresowania. Uważa go za wypierdka, który zajmuje niższe miejsce niż ona w społecznym łańcuchu pokarmowym. Jest maminsynkiem z cuchnącym oddechem i jego towarzystwo natychmiast przekreśliłoby jej szanse za poznanie kogoś interesującego w tej sali. Zwłaszcza jeśli powie innym o jej reputacji.

Gdy w zeszły czwartek Lizzie pierwszy raz odwiedziła Rzekę Życia, na wpół się spodziewała katastrofy, pomimo obietnic wielkiej miłości, jakich nie szczędziła Barbara Bint. Zeke, klasowy parias, jak tylko sięgnąć pamięcią, nie zachęcał do wstąpienia do świata chrześcijaństwa. W czasie jazdy Lizzie pióbowoła oderwać się od narastającego strachu, licząc, ile

razy Zeke poczochna pełne łupieżu włosy (dwanaście razy, zanim dotarli na miejsce). W spotkaniu „wprowadzającym” uczestniczyły głównie panie w średnim wieku, jak Barbara Bint, która siedziała na skraju ławki pomiędzy nią i synem i w czasie śpiewu podkreślała palcem kluczowe frazy („wszystkie drobne stworzenia Boga”, „odkupiony w Jego oczach”) w śpiewniku. Ale był tam darmowy jabłecznik i babeczki dekorowane krzyżykami i wszyscy wydawali się zachwyceni, że ją poznali.

Kazanie nosiło tytuł „Bóg jest przebaczeniem”. „Ci, którym przebaczone i którzy poświęcili swoje grzeszne życie Bogu, pójdą do nieba”, wyjaśnił ksiądz. A Lizzie wyobraziła sobie, jak się wznosi w jakiejś eterycznej windzie na puszysty biały obłoczek w niebie. Może w białej sukience ze skrzydłami. Chociaż pewnie najpierw będzie musiała umrzeć, prawda? Czy w niebie też będzie musiała być na diecie, żeby nie stracić figury? Pewnie nie. To brzmiało całkiem niezłe.

Ale o jej powrocie do Kościoła zadecydowały słowa księdza, gdy wspomniał o piątkowej grupie młodzieżowej Trzask!: „Chciałbym zachęcić młodych członków naszego zgromadzenia do uczestnictwa w spotkaniach. To naprawdę kapitalny czas, skupiamy mnóstwo młodych ludzi, którzy uwielbiają nawiązywać przyjaźnie i sławią miłość Chrystusa. Jest muzyka, tańce, śpiewy, filmy”.

Lizzie wyobraziła sobie, jak wchodzi do pokoju pełnego uśmiechniętych twarzy — nowych twarzy, twarzy, których nie zna z Fillmore High. Twarzy dziewcząt, które będą chciały grać z nią w ubieranki, chodzić na zakupy i rozmawiać o chłopakach, i twarzy chłopców, którzy będą ją zapraszać na prawdziwe randki, z podwożeniem samochodem do restauracji i płaceniem za nią rachunku, i nie będą się spodziewać, że w zamian zrobi im laskę. Fajne dzieciaki z klasą, które nie będą wiedziały, że kiedyś była gruba i nielubiana ani że była szkolną dziwką.

Jeszcze zanim Barbara Bint zasugerowała, żeby Zeke zabrał ją do Trzask!, Lizzie postanowiła, że tam pójdzie.

Ale gdy otwierają się drzwi sali, rzeczywistość niezupełnie pasuje do jej wyobrażeń. Nie witają jej fanfary, nowi przyjaciele nie rzucają się do niej z wyciągniętymi ramionami. W zasadzie chyba nikt jej nie zauważa, gdy lawiruje w tłumie. Nastolatki ściskają Biblie i szepczą („Dylan jest taki...”, „Mówi, że lezus...”, „słyszałam, że kiedyś znał się z Bono,..”), wbijając oczy w puste miejsce pod neonem z przodu sali. Powietrze aż Ir/aska naładowane oczekiwaniem. Lizzie siada na wykładzinie w dość niefortunnym miejscu, tuż przed perkusją.

Gwar cichnie nagle, gdy zaczyna grać muzyka, fala hipliopowych rytmów wstrząsa ścianami i wprawia podłogę w drżenie. *Koleś, to dogmat, powstań i ucz się, Bóg cię pokocha, Jezus powita* — ryczy chór, sto głów kiwa się w takt. — *Sław Imię Vana na wysokościach, On ci wybaczy przed śmiercią!* Pastor Dylan staje pod neonem. Jest ubrany w koszulkę Abercrombie Al Fitch, dzinsy, klapki i kapelusz kierowcy ciężarówki z napisem: „Przyjdź do Jezusa”. Na uchu ma mikrofon bezprzewodowy, a jego włosy widoczne pod kapeluszem mają matowy kolor blond. Podnosi rękę i w pokoju wybuchają radosne okrzyki. Dudnienie basów narasta.

Pastor podskakuje trzy razy i pompuje ręką w powietrzu. Czujemy dzisiaj radość?

Tak! — wrzeszczą zebrani jednym głosem i Lizzie czuje, jak strzała podniecenia przeszywa jej ciało. Wrzask odbija się echem od ścian. Jej rówieśnicy nie byli równie rozgorączkowani, gdy w zeszłym roku Miliard Fillmore High wygrała mecz lutbolowy na zamknięcie sezonu. Rozgląda się, patrzy na urzeczzone twarze siedzących obok niej dzieciaków, i prostuje plecy, żeby mieć lepszy widok.

Wszędzie wokół widzi błogie miny, dzieciaki wyglądają na takie szczęśliwe, tak dobrze przystosowane, jakby przed wejściem do sali połknęły litr proza-jak-to-się-zwie. Patrzą z pogod-

nymi uśmiechami na pastora i zamykają oczy w uniesieniu, kiedy go słuchają; niektórzy nawet podnoszą dłonie ku niebu, jakby z sufitu miały się posypać M&M-y prosto w ich gorące dłonie. Chcę tego, myśli Lizzie, jak to osiągnąć?

— Czy mamy Boga w naszych sercach? — kontynuuje pastor Dylan.

— Tak! — grzmią zebrani.

— Roztrzaskamy przeszkody, które oddzielają nas od Boga?

— Tak! — krzyczy Lizzie z nastolatkami, podchwytyjąc rytm. Rozpaczliwie pragnie czuć to samo co oni i gdy wrzeszczy na całe gardło, myśli, że może też doświadcza uniesienia, jakie ją otacza. Ma jakby zawroty głowy. A może to tylko hiperwen-tylacja.

Pastor z uśmiechem pompuje pięścią nad głową. Nastolatki wznoszą okrzyki, które brzmią jak afrykańska pieśń deszczu z filmów dokumentalnych, które Lizzie czasami ogląda w telewizji publicznej. Hałas cichnie szybko, gdy pastor Dylan kładzie palec na ustach.

Siedząca obok ładna blondynka spogląda na nią z uśmiechem. Ma na sobie obcisłe džinsy i koszulkę z jaskrawymi literami „Jezus jest moim tatuśkiem”. Wskazuje palcem w sufit, potem potrząsa kciukiem. Lizzie, zachwycona, że ktoś ją zauważył, w odpowiedzi podnosi kciuk, choć nie jest na sto procent pewna, co aprobejuje. Ale coś czuje, bez dwóch zdań, ciepłe, puszyste łaskotanie w nosie. Może to Bóg.

Pastor Dylan czeka, aż sala ucichnie, i zaczyna kazanie:

— Dzisiaj, moi przyjaciele, porozmawiamy o sekretach. Wszyscy je mamy. Wejrzyjcie w swoje serca. Macie sekrety. Macie okropne, straszne sekrety, które wypalają was dzień po dniu i nie pozwalają wam spać. A wy myślicie, że jeśli będziecie je ukrywać, w końcu znikną. Ale tak się nie stanie. Będą was zżerać od środka, aż pewnego dnia staniecie się równie brzydki na zewnątrz, jak czujecie się wewnątrz.

Pastor podnosi rękę i kieruje pilota na drugą stronę sali. Za jego plecami opuszcza się ekran, w pokoju robi się ciemno.

— Och! — sapia dzieciaki i zaczynają klaskać.

Lizzie wzdycha wraz z nimi, wtapiając się w tłum. Jest jedną z nich. Tak. Bóg uśmiecha się do nich wszystkich, łącznie z nią. Klaszcze jeszcze głośniej.

Ekran rozjaśnia się, obrazy płyną z projektora w głębi suli. To montaż twarzy — czarnych, białych, azjatyckich, latynoskich, ale nie kolor skóry jest ważny, tylko to, że wszyscy ci ludzie wyglądają na kompletnie przegranych. Kobieta leżąca we własnych wymiocinach, młody mężczyzna bez przednich zębów, zezowata nastolatka trzymająca płaczące dziecko. Młoda kobieta w tandetnej spódniczce mini, z krostami na całej twarzy. Śliniący się nastolatek zgarbiony na wózku inwalidzkim. Zbiorowe westchnienia komentują kolejne zdjęcia. Piosenka U2 *Wciąż nie mogę znaleźć tego, czego szukam* ilustruje muzycznie film.

Z ciemności płynie gromki bezcielesny głos pastora Dylana: Widzicie te twarze? To twarze zagubionych. Narkomanów. Przestępców. Prostytutek. Członków gangu. Są to ludzie ze strasznymi sekretami, które duszą w sobie: grzesznicy, którzy nie przyszli do Boga. Ludzie, którzy nigdy nie przyjęli do wiadomości, że Syn Boży umarł za nich, żeby zmazać ich grzechy. I patrzcie, co ich spotkało! Widzicie, jacy są brzydzy, jak gniją nie tylko ich umysły, ale również ciała? Niszczą ich sekrety. Są straceni.

Głos nabiera siły.

Ale wy nie musicie być tacy jak oni. Nie jest za późno. Bog wybacza wszystkie grzechy. Musicie tylko uczynić Go swoim najlepszym przyjacielem. Wyznajcie mu swoje sekrety, nawet te najbardziej upokarzające. Rzeczy, jakich nigdy, przenigdy nie powiecie matce. I wiecie co? Jeśli obiecacie więcej tego nie robić i zaczniecie wieść czyste, dobre, chrześcijańskie życie. Bóg wam przebaczy. Zamieszka w was. Nauczy was

potęgi miłości. Pomoże wam, żebyście więcej nie grzeszyli. I będziecie mogli żyć pięknie, wewnątrz i na zewnątrz. Domyślcie się dlaczego? On i tak zna wszystkie wasze sekrety. Po prostu chce, żebyście przyszli do Niego, aby się oczyścić. — Pastor milknie i w sali rozbrzmiewa cichy szmer, gdy dzieciaki w skupieniu przyswajają jego słowa. Lizzie pochyla się wyczekująco. — W przeciwnym wypadku — mówi pastor, wskazując palcem słuchaczy i pokazując rzędy idealnie białych zębów w błogim uśmiechu — z radością pośle was do piekła. W górę albo w dół, moi mili. Wasz wybór.

Światła się zapalają i Lizzie mruga w blasku, dumając nad słowami pastora. Nie może rozstrzygnąć, czy są złowróźbne, czy pełne nadziei. Czy to znaczy, że zbrzydnie, jeśli nie wyzna wszystkiego Bogu? Albo czy robi się ładniejsza, gdy wyzna? Jeśli wyzna wszystkie te straszne rzeczy, jakich się dopuściła, to czy na przykład straci pięć kilo na wadze? (To byłoby fantastyczne!).

Pastor błyska w uśmiechu zębami.

— OK! — mówi. — Czas na czytanie. Otwórzcie Biblie na stronie dwieście dwudziestej trzeciej, przeczytamy Jakuba pięć-piętnaście. Posłuchajcie: „Jeśli mówisz, że jesteś totalnie wolny od grzechu, to znaczy, że wciskasz sobie kit i Bóg o tym wie. Ale jeśli pójdziesz na całość i wyznasz swoje grzechy, Bóg okaże się sprawiedliwym gościem. Opuści ci ściemnianie i wyszoruje z ciebie cały ten szajs”.

Milknie i unosi głowę.

— Czas na osobistą modlitwę. Pięć minut. Start!

Lizzie rozgląda się i widzi morze pochylonych głów i poruszających się ust. Syk szeptanych modlitw sprawia, że się czuje jak w kłębowisku żmij. Schyla głowę, wbija oczy w brązową plamkę na wykładzinie i próbuje się skupić. Pragnie czuć się rozgrzeszona tak okropnie, że prawie boli. Wystarczy poprosić Boga o wybaczenie, a będzie szczęśliwa i ładna do końca życia, wszystkie jej błędy znikną i wszyscy będą ją kochać

to wydaje się niemal zbyt łatwe. Ale skąd może wiedzieć, czy robi to jak trzeba? Koncentruje się bardzo mocno.

— Dobry Boże — szepcze. Milknie. To nie brzmi właściwie. Jakby pisała list. Próbuje jeszcze raz: — Cześć, Boże. — To jest za bardzo poufałe. Kim ona jest, żeby uważać Boga za kumpla? Przecież znają się tylko od paru minut.

A jednak tak powiedział pastor Dylan: „Myślcie o Jezusie jak o swoim najlepszym przyjacielu”. Zamyka oczy, próbując wyobrazić sobie Jezusa jako nastolatka, ale zamiast tego widzi uroczego blondyna, który przypomina Justina, co trochę ją rozprasza. I jak dotąd Jezus nie przemówił do niej, przez co trudno wyobrazić go sobie jako przyjaciela. Czy przyjaciel nie powinien podtrzymywać rozmowy?

Ale chętnie zapomni o tych wątpliwościach, jeśli dzięki zyskaniu przyjaźni Boga otrzyma wybaczenie za wszystko i przestanie być społeczną trędowatą. Świadomość, że ktoś wie o niej wszystko i tak naprawdę nie ma jej za złe, że jest taka popieprzona, przynosi dużą ulgę.

Prawda wygląda tak, że nigdy nie myślała wiele o Bogu. Jeśli już, on, a raczej On, zawsze wydawał się jakąś dawną postacią historyczną — jak Aleksander Wielki czy Attyla — istniejącą tylko w starych zatechłych historiach. Biblia przypomina jej podręcznik *Cywilizacja Zachodu*, suchą listę nieistotnych starych bitew i bezsensownej zemsty. Kiedy matka wlokła mnie do kościoła w Boże Narodzenie czy w Wielkanoc, nigdy nie słuchała kazania. Zamiast tego przez godzinę zamalowywała długopisem wszystkie „e” i „o” w śpiewniku.

Teraz dochodzi do wniosku, że popełniła grzech. A Bóg naprawdę nie chce przyjaźnić się z grzesznikiem. A może chce? To wszystko jest tak bardzo zagmatwane. Będzie musiała wrócić do kościoła w niedzielę, żeby wyjaśnić niektóre z tych szczegółów.

Boże. — Nie. — Panie. — Tak lepiej, wyraża pewien rodzaj szacunku do Jego władzy. Ale mówienie tego na głos

wydaje się niezręczne. Lizzie czuje się tak, jakby mówiła do wykładowcy. Nienawidzi szorstkiego brzmienia swojego głosu. A jeśli blondynka siedząca obok usłyszy jej sekrety? Zerka na pochyloną dziewczynę. Jej pomalowane usta poruszają się jak szalone.

Postanawia porozmawiać z Bogiem w głowie. Próbuje jeszcze raz. Panie. Cześć, Panie. Tak. Znacznie lepiej. Jaśnie Panie. Zrobiłam parę naprawdę głupich rzeczy. Spałam z facetem, którego nie poślubiłam. Szczerze mówiąc, z wieloma facetami. I chyba to czyni mnie jawnogrzesznicą. I nazwałam Susan Gossett suką za plecami. Pewnie powinnam ją kochać, bo mówisz, że trzeba kochać wrogów, ale faktem jest, że naprawdę trudno ją kochać. Naprawdę trudno ją chociażby lubić. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego ty — przepraszam, Ty — miałbyś kochać kogoś, kto jest taką suką, ale skoro mówisz, że powinnam ją lubić, to chyba spróbuję. Urywa. Czy powinna użyć słowa „suka”? Może powinna je cofnąć. Ale chwileczkę, jeśli Bóg może czytać w jej myślach, to czy nie wie, co teraz myśli? To trudniejsze, niż sądziła. Więc chyba chcę powiedzieć, że się boję, że już nikt mnie nigdy nie polubi. Czy mógłbyś sprawić, żeby ludzie mnie kochali, proszę? To znaczy, może nie Zeke Bint ani Susan Gossett, ale, wiesz, po prostu parę fajnych osób. Może jak ta dziewczyna siedząca obok mnie. Urywa, koncentrując się bardzo mocno. Tak, myśli, łaskotanie w brzuchu to zdecydowanie Bóg, zajrzał do niej, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia, zanim zamieszka w niej na stałe. A może, chwileczkę, czy to nie burczenie w kiszkaach?

Boże? Jeszcze jedno, to ważna sprawa...

Pastor klaszcze w dłonie.

— OK, czas minął. Teraz pora na uzdrawianie przyjaźnią. Nich wszyscy znajdą dzisiaj nowego przyjaciela w Chrystusie. Potem pośpiewamy i zakończymy wieczór ślubowaniem czystości. OK?

Słysząc pisk tenisówek i szelest dżinsów, gdy nastolatki wstają i zaczynają się kręcić. Lizzie podnosi się i obraca

w lewo, ale blondynka, która siedziała obok niej, jest już zajęta rozmową z dziewczyną po swojej lewej stronie. Patrzy w prawo i widzi małego Azjatę z głową w czymś, co wygląda jak metalowa klatka.

— Cześć — mówi, ale chłopiec szaleńczo kręci głową. Próbuje jeszcze raz. — Jestem Lizzie. A ty? — Chłopiec wciąż kręci głową. Wskazuje na aparat, przewraca oczami i chrząka.

Lizzie słyszy głos za plecami.

— W zeszłym tygodniu zadrutowali mu szczękę. Miał paskudny przodozgrzyz. Musieli złamać kości i przyspawać z powrotem.

Lizzie odwraca się i widzi Marka Weatherlove'a, z rękami w kieszeniach bluzy z kapturem, skulonego, jakby spodziewał się ciosu w twarz.

— Cześć. — Jego głos jakby zacina się na tej jednej prostej sylabie i zgrzyta, jakby ktoś skrobał paznokciami po tablicy, Lizzie krzywi się, słysząc nieprzyjemny dźwięk. Mark wbija oczy w wykładzinę. — Wciąż jesteś na mnie wściekła?

Puls jej przyspiesza.

— Nie rozmawiam z tobą.

— Co tutaj robisz?

Lizzie prostuje plecy i stwierdza, że w sandałach na platformie jest pięć centymetrów wyższa od Marka, więc może patrzeć na niego z góry.

Uczę się siły modlitwy. Uczę się, co to znaczy być dobrą chrześcijanką. Jeśli wiesz, o co mi chodzi. Choć nie sędzę. A co ty tutaj robisz?

Mark wpycha ręce głębiej w kieszenie.

Nie wiem. Rodzice kazali mi przyjść. Mówią, że to dobre miejsce do nawiązywania przyjaźni. — Ściąga brwi.

Tutaj niczego nie nawiążesz — syczy Lizzie. — Jesteś wrednym kłamcą. Nigdy... nie robiłam tego z tobą. Dlaczego napisałeś to na ścianie w szatni? Myślałeś, że jak to zrobisz, będziesz fajny? Pomyliłeś się.

— Przepraszam. Nie wiem, czemu to zrobiłem.

— Tak, biorąc pod uwagę, że twoja mama jest kłamliwą suką, która ukradła mi tatę i zrujnowała życie mojej mamie, nie dziwię się, że jesteś takim dupkiem. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. — Lizzie jest podekscytowania cierpkim brzmieniem swojego głosu: nie zdawała sobie sprawy, że jest zdolna do okrucieństwa.

— Tak — chrypi Mark. — Chyba. — Ociera rękawem kącik prawego oka, ale łza spływa z drugiego i ląduje na bluzie.

Lizzie patrzy na niego przez chwilę, próbując podsycić słuszny gniew — dlaczego ona ma się czuć paskudnie, skoro to on jest fiutem? Ale czuje się okropnie, widząc, jak płacze. Okrucieństwo, uświadamia sobie ponieważ, nie jest cechą boską. Przepraszam, Boże, myśli. Ścisną ją w dołku. I nagle dociera do niej sens tego, o czym mówił pastor Dylan, wszystkie te rzeczy o przebaczeniu, i jak to jest, gdy Bóg zamieszka w tobie i pozwala ci doświadczyć miłości w sposób wcześniej niemożliwy. Ponieważ wiruje w niej coś purpurowego, coś jak empatia, rozumie, że może sprawić, żeby stojący przed nią chłopak poczuł się lepiej. To naprawdę niezłe uczucie.

Dzięki, Boże, myśli. I gdy to mówi do Niego, uświadamia sobie coś, co powinno być dla niej oczywiste wiele tygodni temu: matka Marka uciekła z jej ojcem, co znaczy, że on też ma rozbitą rodzinę. Czy Beverly wyprowadziła się z domu jak jej tata? Z kim mieszka Mark? Kto się nim opiekuje? Kto gotuje?

Zalewa ją cały ból sytuacji jej własnej rodziny. Przetyka ślinę z trudem, aby powstrzymać się od płaczu.

— Tak, mój tata też jest draniem. Pieprzyć ich oboje. Mark patrzy na nią przez długą minutę, jego nozdrza się rozdymają, gdy oddycha urywanie.

— Tak. Rodzice są do bani. A poza tym, kurwa, są potrzebni.

Lizzie ma ochotę uściskać Marka — jest taki smutny i osamotniony. Patrzy na innych nastolatków, szczęśliwych, jakby

w ogóle nie mieli problemów, a potem kieruje spojrzenie w powrotem na Marka. Pewnie jest jedyną osobą na świecie, która potrafi zrozumieć, jaka dziwna jest teraz jej rodzina, i na lę myśl jej oczy wypełniają się słonymi, gorącymi łzami. Mark robi pół kroku w jej stronę i Lizzie zdobywa się na nikły uśmiech.

— OK — ryczy pastor. Gwar rozmów cichnie. — Zanim przejdziemy dalej, chcę, żebyście zwrócili się do waszego nowego przyjaciela w Chrystusie i powiedzieli mu, co naprawdę w nim lubicie.

Czar pryska. Lizzie patrzy na Marka.

— Nie musimy tego robić, prawda? — pyta.

Mark odsuwa się, wciska ręce jeszcze głębiej w kieszenie.

— Nie wiem — mruczy. — Bóg może się wściec, jeśli tego nie zrobimy.

Lizzie wzdycha.

— OK. — Milknie i ogląda Marka od stóp do głów. Zauważa, że trądzik trochę zniknął, a gdy napotyka jego spojrzenie, po raz pierwszy widzi, że jego oczy mają chłodny zielony kolor alg, które czasami rosną w szkolnym basenie. — OK. Podoba mi się kolor twoich oczu. — Jest zaskoczona widokiem jasno-lóżowych plam, które rozkwitają na jego policzkach.

— Dzięki — mamrocze Mark. Wlepia w nią oczy i nic nie mówi.

— OK, twoja kolej — podsuwa.

Mark zasłania twarz ręką i mamrocze coś niezrozumiale w rękaw bluzy.

— Co powiedziałeś? — pyta Lizzie natychmiast czujna. Czy to jakaś obelga? Nazwał ją kretynką? Dziwką?

— Hm — mruczy Mark i odsuwa się na długość ramienia, lego oczy śmigają dziko, zaciska i otwiera dłoń, a potem opuszcza powieki. — Myślę że jesteś naprawdę fajna i bardzo cię lubię — szepcze jednym tchem. Potem odwraca się i czmycha na drugi koniec sali.

Lizzie stoi jak sparaliżowana, niezdolna się ruszyć, i patrzy za nim. Kiedy zaczyna grać perkusja, kilkanaście centymetrów od jej twarzy, czuje głucho dudnienie płynące z wnętrza głowy. Próbuje śpiewać, gdy zespół ryczy na całe gardło porywającą wersję piosenki zatytułowanej *Pumpin' Da Passion*, ale ma kłopoty ze skupieniem się na słowach. Kompletnie się wyłącza i nie słucha ostatniego kazania pastora, gdy słowa Marka gonią się w jej głowie. „Bardzo cię lubię”. Nikt nigdy jej tego nie powiedział.

Po rozdaniu ślubów czystości spogląda na kartkę z wypisaną obietnicą, że nie będzie uprawiać seksu przed ślubem. Dostaje gęsiej skórki na wspomnienie zaskakującej intymności, gdy ciało przyciskało się do ciała. Gdy chłopcy patrzyli na nią w kuchni. Czy naprawdę zrezygnuje z tego na zawsze? Ale potem myśli o naładowanej atmosferze w tej sali, o uśmiechniętych blondynkach (które prawdopodobnie nie pochwalą tego, że uprawiała seks z sześcioma facetami), o Bogu (który też nie jest jej fanem) rozgrzewającym jej brzuch i o chłopakach, którzy mówią, że jest fajna, i gryzmoli swój podpis. Układ wydaje się w miarę uczciwy.

Przed wyjściem w noc ledwo pamięta, że przyjechała tutaj z myślą o sprawie, którą naprawdę musi poruszyć z Bogiem. Kiedy dzieciaki wokół niej zaczynają zbierać plecaki i Biblie, a rodzice czekający za drzwiami zabierają dzieci, Lizzie pochyla głowę i w pośpiechu odmawia ostatnią modlitwę.

Cześć, to znowu ja, Jaśnie Panie. Wcześniej mi przeszkodzono, a jest jeszcze jedna sprawa. Czy mógłbyś sprawić, żeby pojawił się okres? Powinien się zacząć trzy dni temu, a jeszcze nie dostałam. Tak naprawdę w zeszłym miesiącu też nie miałam. Myślałam, że może dlatego, że tracę na wadze, czytałam w Internecie, że to czasami się zdarza, ale już nie chudnę — tak naprawdę ważę coraz więcej. Dlatego trochę się boję. Możesz coś zrobić? Obiecuję, że już nigdy nie będę uprawiać seksu, serio. OK, dzięki, Boże.

Załatwiwszy sprawę, Lizzie wtyka *Biblię Błogość!* pod ramię i idzie do frontowych stopni kościoła, żeby czekać na Zeke'a i Barbarę Bint.

*

- Nie będę chodzić na pływalnię — oznajmia Lizzie przy śniadaniu następnego dnia. Rozkłada gazetę na dziale z komiksami i zerka kątem oka, żeby ocenić reakcję matki.

Janice reaguje z opóźnieniem. Stoi przy kuchence, uparcie szturchając omlet z białek, do którego przed chwilą dorzuciła garść czegoś, co wyglądało jak zielsko, ale zapewniła, że to naprawdę zioła prowansalskie i danie będzie bardzo smaczne. Patrzy na ścinający się omlet szklistym wzrokiem.

- Mamo? Janice podskakuje.

- Co?

- Nie będę chodzić na pływalnię — powtarza.

Matka odwraca się i skupia na niej wzrok, szeroko otwierając oczy.

- Dlaczego? — Siada na krześle obok niej z łopatką w dłoni. Podsuwa pod łopatkę drugą rękę, żeby kawałki przywierającej do niej jajecznej masy nie spadły na blat. Postukuje stopą w podłogę. — Uwielbiasz pływać. Jesteś znakomitą pływaczką.

Lizzie wzrusza ramionami. Znudziło mi się.

To nie jest do końca kłamstwo, ponieważ naprawdę jest głęboko znudzona. Ale nuda nie ma nic wspólnego z pływaniem, ponieważ nie była na pływalni prawie dwa tygodnie od czasu odkrycia graffiti w szatni. Codziennie rano chodziła do biblioteki publicznej, gdzie do trzeciej po południu siedziała na wielkich, wygodnych pufach w kącie działu dziecięcego, czytając powieści Danielle Steel i pochłaniając snickersy, a potem wracała do domu. W ten sposób przeczytała *Pokochać znowu*,

W bezpiecznym miejscu i Drugą szansę, a także pół tuzina innych powieści, poznając co najmniej czternaście różnych eufemistycznych określeń męskiej anatomii (jak dotąd jej ulubione to „obrzmiały członek” trafnie opisujące grubą kiełbaskę Maksa Groupera, którą widziała w czasie seksu w sypialni gościnnej, gdy jego rodzice byli na wyspie Kauai). Czasami po prostu przesyiała na pufie cały dzień, ponieważ ciągle czuła się zmęczona.

Z początku myślała, że nie będzie chodzić na pływalnię tylko przez jakiś czas, że opuści dzień czy dwa, zbierając się na odwagę, żeby stawić czoło Susan Gossett i reszcie dziewczyn. Dzień po znalezieniu graffiti doszła do bramy centrum rekreacji, ale stchórzyła i uciekła. Nazajutrz zmieniła kierunek już na końcu ulicy. Im więcej o tym myślała, tym bardziej się bała konfrontacji z wrogą grupą koleżanek — przecież spała z ich byłymi chłopakami i teraz wyraźnie widziała, że gardziły nią od kilku miesięcy. Ona też na ich miejscu nienawidziłaby siebie. Nic dziwnego, że Susan Gossett wyłaziła ze skóry, żeby podzielić się z nią wieściami o romansie jej ojca.

Kiedy Becky zadzwoniła parę dni temu z pytaniem, dlaczego nie przychodzi, Lizzie oznajmiła, że złapała wirusa bakteryjnego i musi leżeć w łóżku do końca lata. „Jestem naprawdę zaraźliwa” — powiedziała, gdy Becky zaproponowała, że ją odwiedzi, i tym samym przypieczętowała swój samotniczy los. Kiedy Becky przysłała jej pocztą elektroniczną magazyn „US Weekly” i całą filmografię Brada Pitta w prezencie z życzeniami szybkiego wyzdrowienia, Lizzie wpadła w przygnębienie. Była nie tylko dziwką, ale również kłamczuchą i złą przyjaciółką. Modliła się do Boga i prosiła o wybaczenie, ale to też jej nie pomagało. Może musi osiągnąć pewien próg modlitwy — swego rodzaju minimalne saldo dodatnie na koncie — zanim Bóg odpowie?

Z początku myślała, że zaszyje się w bibliotece do końca lata. Ale już przeczytała wszystkie powieści Danielle Steel,

a myśl o sięgnięciu po Judith Krantz wzbudza w niej fale nudy. Ma dość falujących piersi i pulsujących penisów. (Czy Bóg pochwała Judith Kranz? Czy zamiast jej powieści nie powinna czytać Biblii?) Ma sztywne plecy po leżeniu na pufie. Obojętnie, co matka powie o jej decyzji zakończenia zajęć na pływalni, to nie będzie gorsze niż spędzanie całego dnia w czytelni dziecięcej, która pachnie brudnymi pieluchami i grochówką.

— Hm — mruży matka. Zrywa się od stołu, żeby gwałtownie poruszyć omlet. — Wolisz balet? Mogę zobaczyć, czy cię przyjmą, chociaż minęła już połowa lata.

— Nie cierpię baletu.

— Taniec klasyczny? — Matka szturcha, dźga i miesza. Lizzie wzdycha. Wiedziała, że to nie będzie łatwe. Z nagłym

strachem zdaje sobie sprawę, że jeśli nie zachowa ostrożności, wróci na kursy elokwencji i etykiety, skazana na wysłuchiwanie okropnej pani Grimley, rozprawiającej o poprawnej wymowie słowa „bufet”. Drży.

— Szczerze mówiąc, chciałam skupić się na przygotowaniu do egzaminu maturalnego. Wybrałam parę podręczników w bibliotece. Wiesz, jeśli chcę się dostać na dobrą uczelnię, muszę zacząć już teraz. Poprawić oceny z ostatniego semestru.

Janice odchodzi od kuchenki i przyciska ciepłą dłoń do jej czoła.

— Nie masz gorączki. Czy to moja Lizzie proponuje przygotowania do matury? Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taka dojrzała. Czy nie jest trochę za wcześnie? Ale nie zamierzam ci przeszkadzać. Chcesz zacząć odwiedzać uczelnię? Może twój ojciec i ja zabierzemy... — Jej usta zamierają w połowie zdania. — To znaczy, może twoja siostra i ja mogłybyśmy ci pomóc zaplanować wyprawę na jesień.

— Jasne — mówi Lizzie, czując się winna z powodu kolejnego kłamstwa. W ogóle nie myślała o studiach. — Byłoby miło. — Ale wzmianka o ojcu przerwała rozmowę. Matka przez chwilę obraca łopatkę w dłoni, patrząc na nią jak na

tajemniczy obiekt pozaziemski, a potem z drgnieniem przyskakuje do omletu.

— A niech to! Nie przewróciłam na czas. Jest do niczego. Zrobię ci drugi.

— Nie trzeba. Mogę zamiast omletu dostać bekon? Janice patrzy na nią dziwnie.

— A dieta?

— Z diety też rezygnuję — oznajmia Lizzie ośmielona swoim zwycięstwem.

Janice otwiera usta, ale się powstrzymuje i nic nie mówi. Gwałtownym ruchem otwiera lodówkę, żeby wyjąć plaster bekonu.

W domu jest niewiele więcej do roboty niż w bibliotece. Lizzie siedzi w swoim pokoju na lawendowym futrzaku i wrywa pęsetą włoski z nóg, jeden po drugim. Dzisiaj koncentruje się na łydce tuż pod kolanem, gdzie brązowe włoski odrosły po ostatnim skubaniu. Pociąga je delikatnie, oczy łzawiącej z bólu. Najlepiej, gdy wychodzą z korzonkiem otoczonym lepką tkanką.

Do ubiegłego roku to była jej ulubiona rozrywka. Zrezygnowała z nawyku, gdy zaczęła pływać w drużynie. Teraz, gdy ma do zapelnienia niezliczone godziny, wyskubywanie włosków wydaje się dobre dla zabicia czasu. Wie, że to automasochistyczne hobby postawiłoby różnych szkolnych psychiatrów w stan alarmu, ale zawsze uważała je za zajęcie skłaniające do refleksji. Tutaj, za zamkniętymi drzwiami, ze stereo włączonym na cały regulator (*Mówiłaś, że mnie kochasz... jak mógłbym złamać twoje śliczne serduszko?* — nuci Bobby Masterston, jej ulubiony piosenkarz), przepędza z głowy abstrakcyjne dramaty, które nie mają konkretnego rozwiązania — brak miesiączki, graffiti na ścianie w szatni chłopców. Matka coraz bardziej pogrążająca się w szaleństwie gospodyni idealnej i ojciec, który jakby zapadł się pod ziemię. Ostry szpic samotności,

który kłuje w piersi. Każdy wyskubany włoszek to krok ku ostatecznemu celowi, jakim jest totalne obnażenie. A potem, gdy odrosną, będzie mogła zacząć na nowo.

Jej sypialnia jest liliowa, pół tuzina stonowanych odcieni fioletu, od ciemnych aksamitnych zasłon w oknach przez pasiastą narzutę na łóżku do poduszek drukowanych w kwiaty lawendy. Lizzie nie cierpi lila, ale w wieku siedmiu lat miała inne upodobania i poprosiła o urządzenie sypialni w nowym domu właśnie w tym kolorze. Matka spełniła prośbę i teraz pokój, żywcem wyjęty z „Home & Garden”, udaremnia jej wszelkie próby wprowadzenia osobistych akcentów. Nie może przykleić na ścianach plakatów z Bradem Pittem, bo mogłyby zostać ślady na liliowej tapecie w kwiaty. Używanie pinezek jest surowo zakazane. Książki i płyty CD stoją karnie na półkach obok miseczki z suszoną lawendą i broszur pomagających przygotować się do matury (na wypadek, gdyby matka chciała sprawdzić). Każda zbłąkana pozycja wraca do szeregu, gdy matka przychodzi posprzątać. Lizzie siedzi ospale w liliowym pokoju. Jest tak apatyczna, że nie ma siły na robienie czegokolwiek poza wyskubywaniem włosków. Po raz pierwszy od miesięcy czuje się gruba i leniwa — rezygnacja z pływania w połączeniu z ukradkowym objadaniem się snickersami już wpłynęła na jej brzuch, który znowu wylewa się ze spodenek. Przynajmniej ma nadzieję, że tyje właśnie z tego powodu. Przemyka jej przez głowę myśl, że ciężarne kobiety też przybierają na wadze. Wciąga brzuch, aż wałeczki ciała znikają, a potem wyskubuje spod kolana wyjątkowo gruby czarny włoszek i ogląda go skrupulatnie. Zdrapuje drobinę tkanki przyczepionej do korzonka, wyciera w narzutę. Skóra na kolanie icst różowa, jakby obtarta.

Myśli o Marku Weatherlowie. Czy powinna do niego zadzwonić? Chce zadzwonić. Ale dlaczego? Co mu powie? Poza !vm, co znaczyło „Myślę, że naprawdę jesteś fajna”? Czy chciałby się z nią spotykać, czy to tylko grzeczne, miłe słowa?

Bardziej do *rzeczy* — czy ona uważa, że Mark jest fajny? Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Nigdy nie wyglądał na faceta, o którym warto myśleć. Zna go od przedszkola u pani Kraus, ale nigdy się nie przyjaźnili. Zawsze należał do szkolnych frajerów, tych chudych chłopaków, którzy w porze lunchu siedzą na trawniku, czytają magazyny gier wideo i przechwalają się, jak podkręcają karty graficzne w komputerach czy zwiększają możliwości swojej postaci w Half-Life II. Na obowiązkowych sąsiedzkich przyjęciach z grillem Mark zwykle siedział w domu i bawił się swoim gameboyem, choć matka usilnie namawiała go do wyjścia na dwór i wspólnej zabawy. Lizzie pamięta, jak kiedyś próbował pokazać jej grę Super Mario 4, ale ją bardziej interesowała zawartość bufetu niż ratowanie cyfrowej księżniczki przed stadem goryli.

Zawsze uważała Marka Weatherlove'a za aspołecznego debila, ale teraz zastanawia się, czy nie był po prostu nieśmiały. Wspomina, jak się zaczerwienił, gdy powiedział, że jest fajna. Nigdy wcześniej żaden chłopak nie rumienił się z jej powodu. Nawet nie wiedziała, że chłopcy mogą się rumienić. Może do niego zadzwoni, żeby przeprosić za nazwanie jego mamy suką.

Lizzie chowa pęsetę i podnosi „US Weekly”. Przegląda lśniące fotografie na stronach „Gwiazdy są takie jak ty!” —jej ulubionych, pokazujących, jak pryszczate nastoletnie gwiazdki tankują benzynę i kupują puder do stóp Scholia — i dociera do działu plotek. Nagle zatrzymuje wzrok w połowie strony. Ogląda zdjęcie, czyta podpis, potem znów przypatruje się fotografii. Przedstawia jej ulubioną aktorkę Ysabelle van Lumis wysiadającą z białego bentleya przed restauracją w Hollywood. W jednej ręce trzyma złotą torebkę od Fendiego, drugą wyciąga do mężczyzny o surowej urodzie, który z papierosem w zębach wygląda z głębi auta. Zdjęcie jest nieostre, ale Lizzie natychmiast go rozpoznaje: to Bart.

Artykuł informuje, że

Ysabelle van Lumis ma gorącego nowego faceta: Angola Bartholomew Johnsona, byłego ogiera z *Fahrenheit 88* i filmowego partnera w nowym filmie akcji *Thruster*. Nasi hollywoodzcy szpiedzy widzieli, jak szczęśliwa para migdali się w My Pilates Body i kupuje beztłuszczową zieloną herbatę w Coffee Explosion... Chodzą słuchy, że Johnson przeniósł się do rezydencji Yzzie w Malibu! Czy ten pięciokaratowy różowy brylant na jej prawej ręce jest prezentem od nowego kochanka? „Nie czułabym się zaskoczona, gdyby to był pierścionek zaręczynowy — mówi osoba dobrze poinformowana. — To szalony romans!”.

Lizzie jest oburzona. Biedna Margaret — przyjechała do domu, żeby zająć się rodziną w czasie kryzysu, a Bart robi ją w konia. Drań.

Po minucie wahania decyduje, że Margaret musi wiedzieć — i to natychmiast — co się dzieje za jej plecami. Margaret pokaże Bartowi, gdzie raki zimują. Może wsiądzie do samolotu i kopnie go w dupę. Lizzie wyobraża sobie, jak siostra gna przez wzgórze Malibu w słusznej furii, zatrzymuje się z piskiem opon przed pseudogrecką rezydencją Ysabelle van Lumis i pędzi ink burza po schodach. Wpada do sypialni, gdzie Bart i Ysabelle na wpół nadzy piją szampana w łóżku, wylewa na nich wiaderko zimnej wody i wychodzi. Ysabelle ma mokre włosy i zaczyna wrzeszczeć. Wtedy Bart zdaje sobie sprawę, że Margaret jest super, że nie powinien jej zdradzać, i pędzi za nią. W czasie wyścigu po wzgórzach Malibu Margaret hamuje, znowu z piskiem opon — może owce tarasują jej drogę? — i Bart ma szansę ją dopędzić. Potem pada na kolana i przeprosza, i całują się na tle zachodzącego słońca, a następnie Margaret przywozi Harta do Santa Rita, gdzie spotykają się z jej rodziną i razem idą na kolację do Fountain. I wszyscy w mieście nie posiadają się ze zdumienia.

Biegając korytarzem do pokoju Margaret, z „US Weekly” ciasno zwiniętym w garści, Lizzie przyznaje przed sobą, że to całkiem fajnie, iż chłopak zdradza siostrę z wielką hollywoodzką gwiazdą. W ten sposób Margaret wydaje się jeszcze fajniejsza. Pewnego dnia, myśli, chciałaby chodzić na randki z kimś, kto spotyka się również z wielkimi sławami.

Z impetem otwiera drzwi do pokoju siostry i widzi, że Margaret śpi w środku dnia. Obok niej na łóżku leży otwarta książka — wygląda to na jej lekturę z pierwszej klasy, *Buszujący w zbożu*. Lizzie wzdycha, bo większą część zeszłego tygodnia Margaret spędziła na spaniu i piciu piwa. Ledwie wychodzi z pokoju, tylko na posiłki, i nawet wtedy nie zasiada do kolacji z matką i z nią. Je sama w salonie, przed telewizorem. Lizzie zastanawia się, czy Margaret jest smutna — może już słyszała plotki? Przez chwilę ma wątpliwości, czy przychodzenie do niej to dobry pomysł.

Nie. Margaret musi wiedzieć. A ona będzie przy niej, żeby ją pocieszyć. Trzaska drzwiami sypialni, budząc siostrę. Margaret siada gwałtownie.

— Co? Lizzie, spałam.

— Mam złe wieści — mówi Lizzie grobowym głosem. Rozkłada „US Weekly” na łóżku, zawiesza rękę w powietrzu dla lepszego efektu dramatycznego. — Patrz.

Margaret kciukiem wyciera resztki snu z kącików oka.

— Jennifer Lopez jest w ciąży? — pyta.

— Nie — mówi Lizzie ze zniecierpliwieniem. — Niżej. Margaret w milczeniu wlepia oczy w stronę. Garbi się w pomiętej sukni.

— Aha. Zgadza się.

— To twój Bart! — zaznacza Lizzie.

— Wiem. Spotyka się z Ysabelle van Lumis. — Rzuca magazyn na podłogę i pada na poduszki. Ziewa.

Lizzie jest zbulwersowana, że siostra nie pała mściwą furią. Czy nie powinna wyskoczyć z łóżka, wrzeszczeć, wyć i ryczeć z wściekłości?

— On cię zdradza, Margaret — dodaje delikatnie, po prostu na wypadek, gdyby siostra nie zrozumiała.

— Nie zdradza. Zerwaliśmy miesiąc temu.

— Och. — Lizzie wpatruje się w stronę i widzi, jak blednie jej romantyczny fdm zemsty. Nie ma napisów końcowych ani nawet zabawnych scenek z planu. — Dlaczego udawałaś, że wciąż jesteście razem?

Margaret wzdycha i wzrusza ramionami.

— Sama nie wiem. Nie chciałam, żeby wszyscy robili z tego wielką sprawę. Nasza matka w szczególności byłaby wniebowzięta.

— Ale mnie mogłaś zaufać! Mogłaś powiedzieć mi wszystko! Może nawet mogłabym ci pomóc naprawić sytuację!

— To miłe, Lizzie, ale masz czternaście lat. Nie jestem pewna, czy zrozumiałabyś wszystkie okoliczności.

Lizzie patrzy na nią bez zrozumienia, zastanawiając się, kim, u licha, jest ta cyniczna nieznajoma, która śpi w łóżku jej siostry. Poza tym co Margaret tutaj robiła przez ostatni miesiąc? Widzi ją w zupełnie nowym świetle, jakby ktoś postawił świat do góry nogami. Jej siostra wcale nie prowadzi godnego pozazdroszczenia, szybkiego, wspaniałego życia w wielkim mieście. Nie jest wybawicielką, która pomoże scalić rodzinę, me jest nawet przyjaciółką. W rzeczywistości jest, teraz to widzi, bezrobotną, skrytą mądrałą, która w nic jej nie wtajemnicza. Lizzie ma wrażenie, że powietrze z sykiem ucieka z pokoju, a ona robi się sflaczała i płaska. Patrzy na zaróżowioną skórę na nogach.

Nie jestem dzieckiem, Margaret. Nie musisz strugać lukiego ważniaka.

Lizzie. — Nie wstając z łóżka, Margaret klepie ją po i umieniu. — To nie miało nic wspólnego z tobą. Po prostu nie nniilam ochoty o tym rozmawiać. Musiałam najpierw przejść przez własny wewnętrzny proces żałoby, rozumiesz?

Nie, skłamałaś. — Lizzie wyrywa ramię spod protek-

cyjonalnej ręki siostry, czując narastającą niespodziewaną złość. — Wiesz, kim jesteś? Jesteś totalną oszustką, Margaret. I wiesz co? Nawet nie lubię twojego czasopisma.

— O Chryste — wzdycha Margaret, padając na łóżko. „US Weekly” szeleści w podmuchach z otwartego okna. — Nie mogę uwierzyć, że nawet moja siostra mnie nienawidzi. To wszystko jest po prostu przekomiczne. — Ale w jej głosie nie ma śladu rozbawienia.

— Nie wzywaj imienia Pana nadaremno — mówi Lizzie, już czując się winna, że była taka wredna dla siostry, choć ją wkurzyła. Myśli o M&M-ach sypiących się z sufitu na wyciągnięte dłonie: tego chce. — Powinnaś modlić się do Boga. Może poczujesz się lepiej. Mogę pożyczyć ci moją Biblię.

Margaret przygląda się jej z niedowierzaniem.

— Żartujesz, prawda? Swoją Biblię? — Otwiera usta, żeby coś dodać, i wzdycha. — Wiesz co, nawet nie mam siły pytać.

Lizzie przez długą chwilę patrzy na leżącą siostrę, czując mdłości. Myśli o pastorze Dylanie, jak stał pewny siebie w sali, rozdając łaskę, miłosierdzie i miłość zgromadzonym rzeszom. Mocno zaciska oczy i skupia się głęboko, próbując poczuć światło Boga w brzuchu. Jest. Jest. Gorące małe miejsce pod pępkiem. Gdy znów otwiera oczy, kręci jej się w głowie. Drzwi jakby wirują powoli dokoła niej i siostry, która leży na łóżku nieruchomo jak trup. Jest tak, jakby cały wszechświat obracał się wokół nich.

— Pomodłę się za twoją duszę — mówi Lizzie. — Chociaż jesteś totalnie porębana.

Zaproszenie na doroczną, letnią, cichą aukcję w klubie golfowym przychodzi w parny poranek sierpnia, zaledwie cztery dni przed wydarzeniem. Janice stoi w idealnie czystym holu, obracając w palcach tłoczoną kopertę, i czuje się dziwnie wstrząśnięta tą wiadomością z zewnątrz. Nie była w klubie prawie od sześciu tygodni. Zamknięta w domu — azylu chroniącym przed światem — zapomniała o przyjęciu, które jest główną atrakcją lata. Dopiero teraz uświadamia sobie, że po raz pierwszy od sześciu lat nie poproszono jej o przyjęcie roli gospodyni aukcji i odbiera to jak policzek. Może to tylko jakieś domysły ze strony komitetu społecznego klubu, subtelny walc wokół jej rozpacz, ale nie może odeprzeć podejrzeń. Czyżby padła ofiarą bojkotu towarzyskiego? Czy plotka Noreen o Jamesie rozeszła się jeszcze dalej?

Nie pozwoli, żeby to ją powstrzymało. Czuje się niezwyciężona. Jest taka silna, że już nie potrzebuje snu — odrobina środka odświeżającego i jest gotowa na następne sześć godzin (prawdę mówiąc, ostatnio cztery, czasami trzy). W środku nocy może tyle zrobić: dokładnie wypolerować ślubne srebra, ułożyć książki w gabinecie według koloru i gatunku, wyprasować wszystkie serwetki z szafy z bielizną. Zastanawia się, czy Injcmnica sukcesu i pracowitości Marthy Stewart nie polega na

tym, że ona też bierze To — może zawsze taki był sekret najlepszych gospodyń domowych, a ona dopiero teraz zyskała dostęp do najbardziej wewnętrznego kręgu.

James przyjeżdża regularnie we wtorki i piątki, schowek w samochodzie jest skarbcem pełnym przezroczystych plastikowych torebek. Nie wspomina o przerwaniu dostaw, a ona z kolei nie mówi, że go zwolni. Tak, zgadza się, jego obecność na terenie jej posesji jest ryzykowna, czasami sobie przypomina, że mogą jej zabrać Lizzie, ale nie pozwoli mu odejść. Gdzie indziej kupiłaby To? Fantazjuje, że kupi roczny zapas naraz, a potem odprawi Jamesa, dopóki sytuacja nie stanie się mniej niebezpieczna, ale to niemożliwe (zbyt duży wydatek, przynajmniej dopóki nie wygra sprawy przeciwko Artowi, a poza tym co, jeśli monitorują jej konto?). Krew przyspiesza jej w żyłach, gdy słyszy jego ciężarówkę na podjeździe. Zapach chloru przyprawia ją o zawrót głowy — reaguje jak pies Pawłowa. Tętniące w niej życie zdaje się świadczyć, że przez wiele lat praktycznie była martwa, nie zdając sobie z tego sprawy.

A jednak Janice wyczuwa, jak wilki krążą wokół domu i czekają, by popełniła fatalny błąd: prawnicy i Art, a teraz dłużnicy ścigający jej córkę. Telefon dzwoni bez przerwy, firmy windykacyjne szukają Margaret, która przestała odbierać telefony. Janice zanoszą alarmujące wiadomości, wszystkie wypisane wielkimi literami w nadziei, że to przekona Margaret, iż sytuacja jest krytyczna. Zostawia je na jej łóżku albo wsuwa pod drzwi: MASTERCARD DWA RAZY — ODDZWOŃ DO NICH NATYCHMIAST, FIRMA WINDYKACYJNA VISY: CHCĄ POROZMAWIAĆ O UGODZIE, AMEX: CZY ZASTANAWIAŁAŚ SIĘ NAD WIARYGODNOŚCIĄ KREDYTOWĄ? TYDZIEŃ NA DOKONANIE SPŁATY MINIMALNEJ, W PRZECIWNYM RAZIE PODADZĄ CIĘ DO SĄDU. Gdy Margaret powiedziała jej, że ma niespłacone karty kredytowe, Janice założyła, że chodzi o rozsądną sumę, na przykład dziesięć tysięcy dolarów. Ale potem odebrała pierwszy telefon.

i drugi, i piąty. Zrobiła obliczenia i otrzymała sumę ponad stu tysięcy dolarów. Liczba wydawała się niewiarygodna. Margaret wspominała o problemach finansowych ze „Snatchem”, ale czy czasopismo mogło wpędzić ją w takie długi? Może uprawiała hazard (automaty? Wyścigi konne? Czy mają je w Los Angeles?) albo nałogowo robiła zakupy w Bloomingdales (choć jak się zdaje, ma tylko tę jedną okropną suknię). Jest przerażona sytuacją córki — czy nie powtarzali jej, żeby natychmiast spłacała zadłużenie? Jednak drapieżna chciwość firm win-dykacyjnych budzi w niej również instynkty opiekuńcze. Jak Margaret mogła wpaść w takie kłopoty? Janice wie, że powinna upajać się zwycięstwem — miała rację, rację co do perspektyw tego czasopisma, rację co do mylnie wybranej ścieżki kariery, pewnie nawet rację co do Barta, ale ta wiedza nie sprawia jej satysfakcji. Jest przerażona, że córka ukrywała swoją sytuację, że zdała się na łaskę kredytodawców, zamiast zwrócić się o pomoc do własnej matki. Czuje się zraniona tym, że córka nie zaufała jej w chwili potrzeby, i to powstrzymuje ją od zaproponowania pomocy w spłacie długów. Poza tym dopóki proces nie zakończy się korzystnym dla niej wyrokiem, nie ma siu tysięcy w gotówce. Tak, mogłaby dokonać spłat minimalnych, żeby utrzymać firmy windykacyjne na dystans, ale czy Margaret jej pozwoli? Jakoś w to wątpi. Co poza tym może zrobić? Nic z wyjątkiem przekazywania wiadomości, z których każda kolejna wypisana jest nieco większymi literami niż poprzednia.

Ale jeśli ona ma związane ręce, to Margaret też nic nie robi, żeby naprawić sytuację. Od czasu sprzeczki o psa Gossettów icst nadašana, pije piwo w środku dnia, większość czasu spędza w sypialni za zamkniętymi drzwiami, z głośno nastawioną muzyką albo czyta szmirowate pisemka Lizzie w ogrodzie, jedyną osobą, z którą rozmawia, jest James, co ciągle budzi jej obawy. Czasami szpieguje ich przez żaluzje, gdy gawędzą przy basenie, a raz kiedyś widziała, jest tego pewna, jak Margaret

szła z Jamesem w stronę ogrodowej szopy. Czy James daje jej To? Ta myśl ją trwoży, ale zachowanie córki świadczy, że nie o to chodzi, bo sypia więcej niż na początku lata.

Jest wiele pytań, które chciałaby jej zadać: co się stało ze „Snatchem”? W jaki sposób wpadła w długi? Dlaczego Bart nie zadzwonił ani razu przez całe lato? Co robi w szopie z Jamesem? Ale przyznanie się Margaret do ubóstwa w połączeniu z jej złością z powodu afery z psem zerwało wąty rozejm i teraz z daleka obserwuje, jak córka odpływa na niewidzialnej fali. Margaret już nie mówi, że pomoże jej w sprawie sądowej, praktycznie wcale z nią nie rozmawia. Janice przesyła jej wiadomości wypisane sztywnymi, wysokimi na dwa i pół centymetra literami.

A teraz to, od jej przyjaciół z klubu. Janice patrzy na zaproszenie i spostrzega, że jest zaadresowane wyłącznie do „Pani Janice Miller”. To powinno boleć, ale, dziwne, nie boli. Tak, czuje się bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu, lecz czy to jest złe? Nie, wcale. W rzeczywistości w swojej fortecy samotności czuje się bezpieczna, nietykalna, odsunięta od pazernych palców bezsensownych emocji. Jest świetnie, dopóki ma To, lśniący jak lód proszek, który rozjaśnia wnętrze mózgu.

Oczywiście pójdzie na przyjęcie, myśli. Udowodni wszystkim, że radzi sobie doskonale. Lepiej niż doskonale. Jest wielka.

*

Wieczorem w dniu przyjęcia Janice daje sobie trzy godziny na przygotowania. Bierze godzinną kąpiel w pianistych solach z nawilżającym balsamem kardamonowym. Z worka w cedrowej szafie wyjmuje czarną jedwabną suknię od Diane von Furstenberg i odświeżają, spryskując wodą Evian. Ekshumuje z wyłożonych bibułą sarkofagów na półkach w szafie naszywane kryształkami czółenka od Ferragama na specjalne okazje. Z sejfu w podłodze szafy z bielizną wydobywa naszyjnik od Tiffany'ego, leżący w wysłanym aksamitem pudełku, gwiazd-

kowy prezent od Arta sprzed paru lat, i zapina delikatny zameczek na szyi.

Stojąc przed lustrem, jest zadowolona z wyglądu. Wprawdzie suknia wisi na niej odrobinę bardziej, niż pamięta — tak, traci na wadze! — ale ma odpowiednią długość i odpowiednio głęboki dekolt. Ciemne półksiężycy zmęczenia pod oczami to zupełnie inna sprawa, ich ukrycie wymaga dwóch warstw podkładu. Gdy bierze tusz do rzęs, jej ręka tak mocno drży od l ego, że musi kłaść czarną maź trzy razy. Nic nie może poradzić na czerwone pręgi od paznokci na przedramieniu, ale zakryją je rękawy. Kiedy sprawdza rezultat w lustrze, jest zadowolona. Nie wygląda na emerytowaną rozwódkę. W rzeczywistości od lat nie wyglądała lepiej. W lustrze widzi ostre kąty, smukłe linie, wyraźnie zarysowany podbródek, który mówi światu, że nie wolno jej lekceważyć.

Przyjęcie! Podniecają ta perspektywa, wyczuwa zmianę na lepsze, jej wielki debiut solowy. Przed zejściem na dół przystaje w łazience, żeby ułożyć szybką kreskę Tego na dodatkowe wzmocnienie, odchyła głowę, ciesząc się łaskotaniem w gardle, i chowa woreczek w kopertowce od Judith Lieber, na wszelki wypadek.

Wchodzi do kuchni, gdzie Lizzie siedzi przy ladzie, pałaszuje słodkie płatki kukurydziane. Najwyraźniej znowu przegrywa walkę z otyłością, co wprawia ją w złość, nie na nią oczywiście, ale na Arta, za zaburzenie delikatnej równowagi metabolizmu córki. Lizzie radziła sobie tak dobrze do czasu odejścia ojca. Uobi jeszcze jeden krok i spostrzega, że na stołku obok Lizzie siedzi jakiś chłopak. Zatrzymuje się w pół kroku, gdy jego twarz nabiera ostrości. To nikt inny, jak Mark Weatherlove. Syn Ileverly je łyżką płatki zbożowe — łyżką z kompletu sreber ulubnych, z inicjałami rodziny Millerów wygrawerowanymi na tle żonkach. Beverly! Opadają dziwne uczucie straty; jej najlepsza przyjaciółka odeszła, a jednak jej syn z niewiadomych powodów jest tutaj, w jej domu.

Stoi, próbując pojąć obecność tego obcego w swojej kuchni i odgadnąć, co to może oznaczać. Lizzie i Mark nigdy nie byli szczególnie zaprzyjaźnieni, o czym ona i Beverly taktownie starały się nie rozmawiać, obie przekonane, że to jej dziecko odcina się od mniej towarzyskiego rówieśnika. Teraz się zastanawia, czy Beverly przysłała Marka na przeszpiegi. Przyszedł tutaj, żeby wy badać, czy wciąż zadaje się z Jamesem, a następnie przekazać informacje swojej matce, która z kolei podzieli się nimi z Artem. (Wilki! Wilki są w domu!). A może szuka dokumentów prawnych? Janice rozgląda się po kuchni, próbując zlokalizować papier}', które mogła gdzieś tutaj zostawić, ale lada są lśniące i puste po nocnym sprzątaniu. Wszystkie dokumenty są schowane w szufladzie w gabinecie.

Przypatruje się chłopcu, zwracając uwagę na brudną bluzę i zdarte tenisówki. Mark zauważa ją i zrywa się ze stołka.

— Witam, pani Miller — mówi. Ścisną łyżkę w garści. Świętość jej azylu została pogwałcona. Janice czuje jego

nieproszoną obecność każdym porem ciała. Jak go wyprosić? Przebywa tutaj jako gość Lizzie. Wyrzucenie go byłoby niegrzeczne — i wieści szybko dotarłyby do Arta i Beverly. Ręce i nogi drżą jej z napięcia. Chce podrapać swędzące przedramiona, ale przeszkadzają rękawy sukni.

— Mark — mówi głosem chłodniejszym, niż zamierzała — jak się masz?

Wydaje się, że pytanie wprawia go w osłupienie, bo nic odpowiada. Obok niego Lizzie wpycha do ust ostatnią łyżkę płatków i ściera mleko z warg grzbietem ręki.

— Maffphffff — mamrocze.

— Nie mów z pełnymi ustami, nie rozumiem — upominają Janice. Patrzy, jak Mark oblizuje łyżkę, język przesuwając się powoli po tłoczonych inicjałach, i trzęsie się z wściekłości. -Dlaczego wzięłaś srebra, Lizzie?

Lizzie wlepiła oczy w łyżkę.

— Leżały na wierzchu.

— Polerowałam je. — Janice przestępuje z nogi na nogę, nie mogąc ustać w miejscu. Ma ochotę wyrwać łyżkę z lepkiej garści Marka. Mark siedzi na stołku, sztywny jak manekin.

Lizzie odkłada łyżkę, podnosi miskę do ust i wypija gęste mleko.

— Musimy iść. Będziemy trzaskać — mówi.

— Czym? — pyta Janice z trwogą. Porcelaną? Rozgląda się, szukając łatwo tłukących się przedmiotów.

— Trzask! to kościelna grupa młodych — wyjaśnia Lizzie. Janice czuje ulgę, ale tylko przez chwilę. Kościół? Gdy

pozwoliła Lizzie pójść do kościoła z synem Barbary Bint, wyobrażała sobie, że może jest to dobre środowisko do nawiązania przyjaźni. Nie przypuszczała, że wśród nowych przyjaciół znajdzie się Mark Weatherlove. Może to wszystko jest intrygą lej wrogów? Barbara, Beverly, Art i Noreen zmówili się, żeby zawlec Lizzie do kościoła, gdzie Mark się z nią zaprzyjaźni, a następnie przeniknie do rodziny? Czy bezradna Lizzie wpadła w pułapkę? Nie daj Boże, czy Art wciągnął ją w ten spisek?

Potrząsa głową. Nie. Oczywiście, że nie. Mark to tylko chłopiec. Dziecko jak Lizzie. Pewnie zdenerwował się na jej widok równie mocno jak ona, gdy zobaczyła jego. Nagle przypomina sobie, że widziała go ze łzami w oczach na progu domu Weatherlove'ów tego dnia, gdy Art ją zostawił, i czuje przypływ skruchy. Z pewnością to nie było dla niego łatwe, biedny chłopiec. Patrzy na swoją Lizzie — która, jeśli płakała, lo skrywała przed nią łzy — i myśli, że ma szczęście, bo na przekór wszystkiemu jej dom jakoś się trzyma. Przenosi spojrzenie na Marka i zmusza się do radosnego uśmiechu. A jednak, powtarza uporczywy głos w jej głowie. A jednak.

Doskonały pomysł! — mówi. — Bawcie się dobrze.

Lizzie mierzy ją wzrokiem.

Ładnie wyglądasz — stwierdza. — Dlaczego się tak wystroiłaś?

— Idą na cichą aukcję w klubie.

Mark Weatherlove z brzękiem upuszcza łyżkę. Przenikliwe dzwonięcie srebra przyprawia ją o ból zębów. Będzie wgięcie. Mark podnosi łyżkę i prostuje się, unikając jej spojrzenia. Starannie wyciera łyżkę o nogawkę dżinsów i ogląda ją.

— Przyjęcie w country clubie? — pyta.

— Tak.

— Aha — mruczy Mark. Wydaje się zielony na twarzy. Janice chce odejść, ale stoi, jakby jej nogi wrosły w ziemię.

Mark z pewnością ma różne informacje. W jej głowie kłębią się pytania: czy twoja matka wciąż z wami mieszka? Czy przeniosła się z Artem do Four Seasons? Czy często widzisz Arta? Wcale? Jak to odbiera twój ojciec? Co twoja matka mówi o mnie? Czy ktoś w ogóle coś o mnie mówi? Ale milczy.

Słyszy kroki za plecami. Odwraca się, gdy Margaret wchodzi do kuchni z „US Weekly” pod pachą. Janice patrzy, jak córka podchodzi do lodówki, wyjmuje piwo i beztrudnie wypija je jednym długim pijackim łykiem. Rzuca butelkę, która z zatrważającym trzaskiem ląduje w koszu, potem bierze z lodówki następną. Odwraca się w stronę Marka.

— Rany, gość. Nie mieliśmy gości od jakiegoś czasu. Jesteś kolegą Lizzie?

Jej córka mówi! Rusza się! Janice cieszy się tą chwilą, odprężenia, ale jej ulga jest podminowana przez dziwnie agresywne zachowanie Margaret i jej niechlujny wygląd. Dwa piwa? Czy jej córka wpada w alkoholizm? Pragnie powiedzieć coś na ten temat, ale pytanie Margaret wciąż wisi ciężko w pokoju. Lizzie wierci się na stołku.

— To Mark.

Margaret patrzy na niego przez długą chwilę, potem jej mina zdradza, że go rozpoznała.

— Mark Weatherlove? — pyta, jej oczy ciemnieją z ożywienia.

Janice chce wybuchnąć — Tak! I używa sreber! — ale przebiegle myśli, że jeśli zachowa milczenie i będzie tylko obserwować, może zdobyć cenne informacje. Lizzie i Mark patrzą na siebie, jedno czeka, żeby odpowiedziało drugie. Mark siedzi jak sparaliżowany. Lizzie zdobywa się na skinienie głową.

Wszyscy milczą. Jedyńm dźwiękiem jest szybkie postukiwanie. Dopiero po minucie Janice uświadamia sobie, że źródłem tego staccato jest jej pantofelek, najwyraźniej podrygująca stopa stała się jedynym ujściem dla skumulowanej energii jej ciała. Zauważa, że Margaret wciąż nosi tę dziwną suknię; jej pozorna niezdolność do zmiany stroju z nieprzyjemnej stała się niemal patologiczna. Czy w ten sposób wysyła jej sarkastyczną wiadomość? Czy to rodzaj buntu przeciwko jej standardom higieny? Zemsta za ich walkę? Prawdopodobnie.

Margaret spogląda na nią i potrząsa głową.

— Słuchaj, Mark, mogę przeprosić cię na chwilę? Sprawy rodzinne — mówi, gdy Janice uśmiecha się lekko do podłogi.

Mark kiwa głową i sunie bokiem do drzwi.

— Pojeżdżę na rowerze, Lizzie — mówi i znika na podjeździe.

Margaret czeka, aż drzwi się zamkną, potem wybucha:

— Jezu, Lizzie! Jeśli mama nie chce tego powiedzieć, ja to zrobię. Zwariowałaś?

— O co ci chodzi? — Lizzie robi wielkie oczy.

— Nie zdajesz sobie sprawy, że toczy się proces? Że on jest synem... — Margaret zerka na Janice i ścisza głos: — kobiety, dla której zostawił nas ojciec? Nie pomyślałaś o uczuciach mamy? — Patrzy na nią ze zmarszczonym czołem. — Dobrze się czujesz, mamo?

— Doskonale, Margaret — mówi Janice lekko zirytowana, że córka traktuje ją jak dziecko, ale również zaskoczona jej opiekuńczością. — Wszystko w porządku.

Tymczasem Lizzie robi się czerwona.

— Och — mruczy i spogląda na nią wzrokiem zbitego szczeniaka. Janice się krzywi. Biedna Lizzie, myśli odruchowo, zapominając, że minutę temu ona też chciała wyrzucić Marka. — To nic wielkiego.

— Nic wielkiego? — pyta Margaret. — Rany, Lizzie, jesteś niesłychanie naiwna.

Lizzie jest bliska łez i Janice nie może znieść tego dłużej.

— Skarbie, Lizzie, wiemy, że nie zrobiłaś tego umyślnie — zaczyna.

— Nie sędzę, żeby to wszystko w ogóle go obchodziło — mówi Lizzie. — Chciałam się tylko zaprzyjaźnić.

Margaret kręci głową.

— Mów, co chcesz, ale nie przyszło ci na myśl, że wybrałaś dziwny moment? A jeśli Mark będzie przekazywał informacje? Gra toczy się o wysoką stawkę, Lizzie. Musisz wiedzieć, jak to wpływa na ludzi.

Janice jest oszołomiona, słysząc to uzasadnienie własnych trosk, i przez chwilę czuje niespodziewaną bliskość z Margaret — czyżby pojednanie majaczyło na horyzoncie? Lizzie jednak wszystko psuje. W napadzie złości zrywa się z krzesła.

— On tego nie robi! — wrzeszczy. — On mnie lubi. Boże, Margaret, jesteś wredna. Nie wszyscy na świecie koniecznie chcą ci się dobrać do skóry. Nie chcesz, żebym miała kolegę? A może chcesz, żeby wszyscy byli równie żałośni jak ty? — Potyka się, wstając, i przewraca stołek, który z hukiem upada na podłogę. Wybiega z kuchni, trzaskając drzwiami. Ślubne srebra, ułożone na aksamitnej szmatce na ladzie, drżą.

— Najwyraźniej ktoś jeszcze nie poznał brzydkiej strony natury ludzkiej — zauważa Margaret. — Zresztą, mnie wszystko jedno. — Wzrusza ramionami, na pozór tylko do siebie, i wraca na górę.

Janice stoi sama w rozbrzmiewającej echem kuchni i na przekór wszystkiemu chce za nią zawołać. Mogą przedyskutować tę zmwę przeciwko niej, przeanalizować się podej-

rzanych związków, omówić sposoby rozwiązania jej problemów finansowych. Może była zbyt surowa w związku z tym niefortunnym wypadkiem z psem. Z radością przeprosi, byle tylko Margaret została z nią chwilę dłużej. Ale Margaret odeszła.

Co to wszystko znaczy? Sama, bez dzieci, czuje się tak, jakby straciła kontrolę nad tym, co ledwie parę minut temu wydawało się idealnie ułożone. Sama myśl o tym, żeby wsiąść do samochodu, wydaje się nie do zniesienia, co dopiero jazda przez całe miasto, a potem spędzenie trzech godzin w towarzystwie dwustu przyjaciół i znajomych, których nie widziała, odkąd Art i Beverly... Patrzy na granitowy blat, na srebra leżące wzdłuż skraju, i poprawia dwa krzywo ułożone widelce. Widzi odbicie swojej twarzy w łyżce do nakładania potraw. Wygląda jak maska halloweenowa, upiornie rozciągnięta, usta przypominają ziejącą ranę, oczy są smugami czerni. Wstrząśnięta rzuca łyżkę na ladę. A potem, szybko (zanim Margaret zejdzie na dół) i ukradkiem (pochylając się nisko, na wypadek gdyby Lizzie i Mark kręcili się po podjeździe), otwiera torebkę. Wyjmuje woreczek, wysypuje stosik proszku na czysty blat kuchenny i nożem do smarowania chleba fonnuje cienką kreskę, ł idy wciąga ją nosem, czuje zapach środka, którego używała rano do wypolerowania granitu do połysku.

Zamyka oczy i wyobraża sobie kryształki płynące w krwiobiegu, maleńkie chemiczne sześciany siły i witalności. Oddycha głęboko, powietrze jest tak czyste i wzbogacone, że niemal widzi, jak wypełnia jej płuca. Potem otwiera oczy, wygładza suknię i zdecydowanym krokiem idzie w pantoflach od Ferigama do porsche.

Gdy przybywa na miejsce, sznur wozów zmierza obsadzonym dębami podjazdem do klubu. Parking wygląda jak luksusowy salon samochodowy: mercedesy, bmw, audi, escalade'y i navigatory stoją w schludnych rzędach, nawet bentley zaparkowany

w kącie z dala od innych wozów, żeby ktoś przypadkiem nie zarysował go drzwiami. Parkuje SUV-a pomiędzy dwoma innymi identycznymi porsche cayenne.

Tego wieczoru stare granitowe schody prowadzące do drzwi frontowych klubu są udekorowane girlandami z liści kapusty i marchewkami w wielkich plecionych koszach. Tematem przyjęcia jest „Piotruś Królik”, a pieniądze z aukcji trafią do organizacji ratującej króliki. Janice przystaje przy drzwiach, żeby przeczytać plakat: „Co roku miliony króliczków są porzucane niedługo po świętach wielkanocnych, gdy rodziny stwierdzają, że ich nowe pupilki wymagają tyle samo pracy, co psy i koty, a nie liżą ani nie mruczą. Dzisiaj zbierzemy pieniądze, żeby pomóc ratować zwierzęta jak Munchkin, sześciomiesięczny kłapouch, który został znaleziony w koszu na śmieci, i Binky, baran angielski z jednym okiem, niedawno poturbowany przez pitbulla”.

W ogrodzie za budynkiem klubu agencja adopcyjna rozstawiła płot z białych sztachet. Króliki kicają w zagrodzie pod opieką starszego mężczyzny z widłami w ręce, ubranego w kombinezon jak pan McGregor. Na furtce wisi ręcznie malowana tablica: „Adoptuj nas!”.

To wszystko jest urocze, niezmiernie urocze, decyduje Janice. Patrzy z góry na białego nakrapianego rekxa i zastanawia się, czy nie zabrać go do domu dla Lizzie, ale podejrzewa, że króliczek zjadłby jej bratki i w końcu trafił do schroniska.

Przyjęcie trwa w najlepsze. Janice przyjmuje od przechodzącego kelnera „prysznic ogrodowy” — zielone martini o smaku kiwi. Podchodzi do okna, żeby spojrzeć na zagrodę na trawniku, po drodze rozdając uśmiechy, kiwając głową i wymieniając uprzejmości z członkami klubu. Zdaje się, że nikomu nie przeszkadza jej obecność, a nawet wręcz przeciwnie. Noreen Gossett uprzejmie macha z drugiej strony sali, gdzie bryluje z Grouperami. Joannie Cientela ze szkolnego komitetu zbiórek

pieniężnych kiwa do niej ręką zza fortepianu. Jest tak, jakby wypadki ostatnich sześciu tygodni wcale nie miały miejsca i przez chwilę Janice zastanawia się, czy może to lato faktycznie nie było gorączkowym snem.

Rozpoznaje członków klubu z gry w golfa, spotkań komitetu rodzicielskiego, turniejów tenisowych, pływalni. Atmosfera w pokoju jest gęsta od wdzięku i układnych manier. Janice się odpręża, czując, jak synchronia przenika ją do szpiku kości. Wszyscy przybyli z daleka, pochodzą z różnych miejsc, mają przeszłość bogatą i biedną, a jednak należą do plemienia, które się odnalazło. Razem ta grupa jest dowodem, że gust nie jest czymś, co posiadają ci bogaci od pokoleń, ale czymś wrodzonym, darem ofiarowanym wyjątkowym jednostkom przez... kogo? Boga? DNA?

Tłum zdaje się tańczyć przed nią, gdy idzie przez salę, wszyscy tanecznym krokiem usuwają się z drogi, żeby ją przepuścić. To jak lot przez chmurę. Prezes klubu Jim Rittenberg chwyta ją za łokieć i szepcze do ucha:

— Wyglądasz fantastycznie, Janice. Cieszę się, że przyszłaś. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, iż w tym roku wybraliśmy Noreen na gospodynię. Błagała o to od lat, a ja pomyślałem, że będziesz wdzięczna za przerwę.

— To ładnie z twojej strony — mówi Janice unoszona przez dum. Wokół jest tyle podniet, że nie wie, gdzie patrzeć. Długo tu nie była, zbyt długo. Dlaczego chowała się w domu? Jedna osoba chce z nią porozmawiać o zmianach w radzie miejskiej, inna o cenie nieruchomości na wschodnim krańcu miasta. Nikt nie wspomina słowem o Arcie. Życie prywatne jest oczywiście tematem tabu w sferze publicznej, co teraz ją cieszy. Rozmawia swobodnie, słowa płyną lekko, jakby nigdy nie zerwała kontaktów towarzyskich. Kryształ wszystko napędza, jej język jest kapryśny i prędko, czasami To mówi bez naradzania się z mózgiem, a jednak nic niewłaściwego czy nie milego nie pada z jej ust. Może zupełnie wyłączyć umysł.

Wypija resztki koktajlu i bierze następny od krążącego kelnera, gawędząc z Dale'em Bellstromem o nowej sali gimnastycznej, której budowę planuje się w Miliard Fillmore High. W połowie drugiego martini czuje, że się rumieni i mówi trochę za głośno. Jest dotkliwie świadoma pustego kieliszka, każdym nerwem dłoni czuje ciężar kryształu, kropelki wilgoci na krawędzi, smukłą nóżkę zaciśniętą w palcach.

Janice przeprasza i staje przy otwartych drzwiach balkonowych, oddychając głęboko wieczornym powietrzem. Uświadamia sobie, że kryształowa jasność przemija, ustępując otumanieniu alkoholowemu. Oddycha z otwartymi ustami, mając nadzieję, że tlen rozjaśni jej w głowie. Powietrze jest ciepłe, wcale nie orzeźwia. Strasznie swędzi ją kostka. Drapie się, ale swędzenie staje się jeszcze gorsze. Gdy opiera się o futrynę, widzi Barbarę Bint zmierzającą prosto w jej stronę i bierze się w garść.

Barbara zjawia się w chmurze pachnącego wodą Trésor jedwabiu w kolorze maku. Gdy pochyła się do całusa na odległość, przypadkowo muska ustami jej policzek i zostawia na nim smugę szminki. Janice dyskretnie ściera szminkę dłonią.

— Dobrze cię widzieć, Janice! — woła Barbara, dotykając jej ręki. — Zdaje się, że ostatnio widywałam częściej twoją córkę niż ciebie!

Janice nie może znieść uczucia, o jakie przyprawia ją kontakt dłoni Barbary z jej skórą, jakby kłuły ją igły i szpilki.

— Racja — mówi. — Kościół. Tak, Lizzie chyba uznała, że to interesujące.

— Powinnaś być bardzo dumna. Ona naprawdę zaangażowała się w działalność grupy młodzieżowej, i tak szybko! — Barbara pochyła się konspiracyjnie. — Uważam, że życie duchowe jest ważne dla naszych dzieci. W dzisiejszych czasach dzieciaki są takie... zagubione, nie sądzisz? To przez te wszystkie straszne wpływy współczesnej kultury. Wiesz, myślę, że w przyszłym roku Zeke będzie uczył się w domu.

— Słucham?

— Nauka w domu — powtarza Barbara. Popija łyk wody mineralnej i mówi zza krawędzi szklanki. — Liceum jest pełne owiec, które zeszły na manowce. Wokół jest tyle rozrywek, które rozpraszają dzieci, a nauczyciele nie są w stanie wskazać Zeke'owi drogi, jaką według mnie powinien podążać. Oprócz matematyki musi się uczyć kodeksu moralnego. I może to nie moja sprawa, ale jeśli mamy być uczciwe, to samo odnosi się do twojej Lizzie.

— Moralność Lizzie nie budzi zastrzeżeń — mówi Janice. Spogląda na pole golfowe i widzi, że królikom udało się uciec z zagrody. Tuziny króliczków rozbiegają się po przystrzyżonej trawie, kicają prosto przez bunkier w kierunku trzeciego dołka. Pan McGregor odrzucił bezużyteczne widły i próbuje zagnać zbłąkane zwierzątka z powrotem do zagrody. Noreen Gossett na czele kilku kobiet w sukniach koktajlowych sunie za nim lekkim krokiem, spiesząc z pomocą, ale wysokie obcasy zapadają się w trawie. Noreen, z rozsypaną wymyślną fryzurą, pędzi za szarym króliczkiem i osuwa się na kolano, błocąc suknię. Janice podnosi kieliszek do ust, żeby ukryć uśmiech na myśl, jak będzie prowadzić aukcję w poplamionej trawie sukni. Króliki znikają w krzaskach.

— Myślę, że powinnaś przynajmniej wziąć to pod rozwagę. Porozmawiaj z córką — mówi Barbara, a potem prostuje ramiona. Przez chwilę ma dziwną minę. Janice widzi, że patrzy nad jej ramieniem. Czuje na plecach mrowienie czarnego przeczucia, ale zwalcza pragnienie odwrócenia głowy. Barbara jednym haustem wypija resztę wody.

— Cześć, Beverly — jej głos brzmi o oktawę za wysoko. Wdzięczny uśmiech na twarzy Beverly zamarza w grymasie przerażenia, gdy Janice się odwraca. Dwie kobiety stoją twarzą w twarz, oddalone o pół kroku. Barbara znika.

— Och, nie zdawałam sobie sprawy, że to ty, Janice. Co za niespodzianka.

— Cześć — mamrocze Janice, nie zdając sobie sprawy, co mówi. Myśli o Marku w kuchni i wiąże jego pozieleniałą twarz z obecnością Beverly na przyjęciu. Nie, to wcale nie jest niespodzianka, myśli. Sama powinna to przewidzieć.

Beverly szybko dochodzi do siebie, gimnastykuje twarz w szeregu grymasów i w końcu robi serdeczną minę.

— Nie byłam pewna, czy przyjdiesz — mówi irytująco lekkim tonem. — Zważywszy na okoliczności.

Obie kobiety przestępują z nogi na nogę w pantoflach na szpilkach. Beverly wygląda szałowo. Janice z przerażeniem rejestruje nowy kolor włosów — twarzowy złoty brąz — i nową fryzurę na pazia, i niebiesko-fioletowy kostium koktajlowy, który podkreśla smukłej szą niż kiedyś figurę, i rumianą opaleniznę, jakby Beverly właśnie wróciła z relaksujących wakacji nad Morzem Śródziemnym. Jednak coś w niej wydaje się jej obce, jakby nie była prawdziwą osobą, tylko karykaturą kobiety, którą kiedyś znała tak dobrze. Janice zastanawia się, czy ta Beverly, która przynosiła jej na urodziny oliwki w domowej zaprawie, która podlewała jej zielnik, gdy wyjeżdżali na wakacje, która była powiernicą jej nieszczęścia, gdy Margaret nagle wyprowadziła się do LA, w ogóle kiedykolwiek realnie istniała, czy może była tylko wytworem jej wyobraźni. A potem nagle wpada w złość. To cudowne uczucie.

— Myślałaś, że się roztopię i wyparuję, ułatwiając ci kradzież mojego życia? — mówi. Ścinająca krew w żyłach obecność Beverly wyrywa ją ze stanu otumanionej hibernacji. Czuje się rześko, jest bystra i skupiona. — Grubo się myliłaś. — Słowa trzaskają jak świeżo wykrochmalone płótna i Janice drży z emocji, gdy Beverly się wzdraga. Nigdy nie cieszyła jej walka, sposób, w jaki przeciwnik obnaża człowieka, odsłania jego największe słabości i najbardziej irracjonalne pobudki. Rzadko walczyła z Artem. Ich kłótnie miały charakter pasywnie agresywny — u niej frustracja objawiała się zrządzeniem i rozdzierającą rozpaczą, którą zna i której nienawidzi, a u niego

długotrwałą nieobecnością i pracoholizmem. Ale teraz zanosi się na porządną bitwę. Janice musi podziękować Temu.

— Nie chciałam cię skrzywdzić. Przecież wiesz. — Beverly szeroko otwiera oczy i mruga błagalnie. Janice ma ochotę wymierzyć jej kopniaka.

— Nie wiem wszystkiego, Beverly. Nie zadałaś sobie trudu, żeby zadzwonić i mi powiedzieć.

Beverly ściska garb nosa. Janice zna z kortu ten nawyk. Beverly robi to, gdy koncentruje się na strategii gry.

— Wiesz, że nie zgadzałam się z Louistem — mówi cicho — a potem zeszłego lata grałam w parze z Artem na turnieju golfa, gdy byłaś w Indianie na pogrzebie matki, i po prostu się stało. Nie mogłam ci powiedzieć i oczywiście nie miałam pojęcia, że lo potrwa dłużej niż tydzień. Ale, z drugiej strony, uczucia... Poza tym wiedziałam, że w zasadzie nie jesteś szczęśliwa...

Janice z żalem wspomina rozmowę, jaką odbyła z Beverly niedługo przed odejściem Arta, tutaj w klubie, po grze w tenisa. Beverly powiedziała jej, że seks z Louistem zrobił się nudny, ona zaś w przypływie szczerości opisała ostatnią noc, gdy słyszała, jak Art onanizuje się w łóżku, tuż przy niej, myśląc, że śpi. Pomijając żenujący fakt, że mąż woli się masturbować, niż zbudzić ją i uprawiać seks, wstrząsnęło nią to, że beztriosko robił to w łóżku, zupełnie się nie przejmując, czy ona zauważy. Założyła, że Beverly podzieli jej odrazę, ale na twarzy przyjaciółki odmalowała się litość. Janice była przekonana w owym czasie, że Beverly lituje się nad nią, ale teraz się zastanawia, czy nie była to litość nad Artem. I czy, co gorsza, Art nie myślał o Beverly, gdy to robił.

Więc mówisz, że zdecydowałaś, iż moje rzekome nieszczęście jest pretekstem do uczynienia mnie jeszcze mniej szczęśliwą?

Chyba się zgodzisz, że potrzebowałaś zmiany — mówi Beverly. — Czegoś, co pomogłoby ci uciec od klaustrofobii. Klaustrofobii? — Słowo wstrząsa nią, przywołuje jakieś

déjà vu, które nie całkiem może umiejscowić. „Uciec od tej klaustrofobii”, tak, tego samego zdania użył Art w liście, gdy napisał, że chce rozwodu. Boże, czy Beverly pomogła mu go pisać? A może pokazała jej list? Robi jej się niedobrze na tę myśl. Tak czy siak, jest to niezbity dowód ich romansu, ich związku i za to jej nienawidzi.

— Raczej nie masz prawa mówić mi, czego potrzebuję — oznajmia podniesionym tonem. Wyczuwa bezruch w sali balowej, jakby wszyscy nadstawiali uszu, żeby usłyszeć tę ostrą wymianę zdań. Ludzie stojący w pobliżu pilnują się, żeby na nie nie patrzeć.

— Nie dziwię się, że jesteś zła — mówi Beverly. — Wiem, że to, co zrobiłam, co my zrobiliśmy... — Janice wzdryga się, słysząc to „my” — jest straszne. I nie oczekuję, że kiedyś znów będziemy przyjaciółkami, ale mam nadzieję, że możemy zachowywać się uprzejmie. Na litość boską... — Przysuwa się trochę bliżej i kładzie rękę na jej przedramieniu. Janice uświadamia sobie, że Beverly tak naprawdę czekała na ten moment, bo jest on dla niej czymś w rodzaju katharsis. Wie, bez cienia wątpliwości, że Beverly ćwiczyła tę mowę w pamięci przez dwa miesiące, czekając na nieuchronną chwilę, gdy wpadną na siebie w Whole Foods albo u Neimana. Gwałtownie odsuwa rękę.

— Och, Beverly, daruj sobie te niemądre frazesy. Nie mam zamiaru być uprzejma i poprawiać ci samopoczucia. Nie obchodzisz mnie ani trochę. Po prostu mam nadzieję, że kiedy Art cię rzuci jak gorący kartofel, jak rzucił mnie, nie przyjdiesz z płaczem do moich drzwi, bo wiesz, że nie okażę ci współczucia.

Beverly marszczy czoło i Janice myśli, że widzi, jak przebiega w pamięci swoją kwestię niczym aktor, który zapomniał części monologu. Janice wodzi wzrokiem po sztywnych plecach klubowych przyjaciół, którzy zastygli w bezruchu, próbując udawać, że nie słuchają. Czuje pot zbierający się wzdłuż linii

włosów i pałace swędzenie, które rozprzestrzenia się na drugą kostkę. Nie czuje się w centrum uwagi, wcale. Może myśleć wyłącznie o wprowadzeniu kolejnej kreski Tego do organizmu.

— Skończyłam tę rozmowę — oświadcza. Odwraca się, żeby pójść do toalety, ale staje jak wryta i spogląda na Beverly, która wygląda na przegraną. — On jest tutaj, prawda? — pyta.

Beverly otwiera usta, zamyka, potem kiwa głową.

— W pokoju klubowym — mówi głosem płaskim jak łopatką kuchenna.

*

W toalecie słycać tylko szum klimatyzacji. Pomieszczenie pachnie liliami i świeżą bielizną. Janice myje drżące ręce pod kranem, przyciska dłonie do chłodnego marmurowego blatu, a potem przykłada je do gorących policzków. Uświadamia sobie, że jest mocno wstawiona. W wyobraźni widzi siebie w postaci chwiejnej linii narysowanej przez dziecko śliską kredką. Myśl o spotkaniu z Artem przyprawia ją o mdłości. Zastanawia się, czy nie skapitulować i nie wymknąć się z przyjęcia tylnymi drzwiami.

Ale bijący szybko puls skłania ją do działania. W głębi gardła czuje metaliczny smak zwycięstwa. Już pokonała Beverly, przemieniła słuszny gniew w niebezpieczną broń i teraz jest gotowa zwrócić ją przeciwko mężowi. Jeśli wytrzyma i przetrwa len wieczór, coś udowodni, choć dokładnie nie umie tego czegoś nazwać. Druga możliwość to usunąć się w cień i zniknąć, a przecież nie jest przygotowana na ucieczkę z podkulonym ogonem. Podnosi nogę i wściekle drapie się po kostce.

Dwa razy sprawdza, czy drzwi toalety są zamknięte, potem wyławia plastikowy woreczek z torebki. Formuje kreskę proszku na granicie. Stuka pomalowanym paznokciem w woreczek i zastanawia się, czy nie usypać dwóch kresiek. To więcej, niż zwykle bierze, ale ten jeden raz nie powinien zaszkodzić. Tak. Jeśli ma stawić czoło Artowi, potrzebuje dodatkowego kopa,

żeby wyeliminować to rozchwianie. Usypuje drugą grubą linię, prawie opróżniając torebkę. Będzie potrzebowała więcej. Jutro. A później może ostatecznie zwolnić Jamesa.

Ktoś puka do drzwi w chwili, gdy wciągnęła pierwszą dawkę. Niemal wyskakuje ze skóry.

— Zajęte! — warczy w stronę drzwi.

Splukuje toaletę, żeby zamaskować szum powietrza, kiedy wciąga drugą kreskę, a potem odkręca kran dla ukoronowania przedstawienia. Oczy zachodzą jej łzami, To szczypie delikatny nabłonek w nosie. Po paru sekundach ma wrażenie, że toaleta podskakuje jak na hydraulicznych sprężynach, wcześniej niesłyszalny pomruk lamp przemienia się w ryk, a pulsująca krew zaczyna wściekle krążyć w kończynach. Czuje się taka żywa, taka radosna, że to niemal boli. Chryste, czy będzie mogła z tego zrezygnować? Nigdy, nigdy, nigdy, pulsują żyły w odpowiedzi.

Janice otwiera drzwi toalety z takim impetem, że przypadkowo potrąca kobietę, która stoi za nimi, czekając na swoją kolej.

— Przepraszam! — śpiewa, ledwo zauważając jej zdumioną minę, a potem spieszy korytarzem w stronę pokoju klubowego.

Pokój klubowy był swego czasu wielką biblioteką, wysoką na ponad cztery metry, z mahoniowym fryzem rzeźbionym w cherubiny. Głębokie skórzane fotele stoją na czerwonym puszystym dywanie. Jedna ściana książek została usunięta, żeby zrobić miejsce dla długiego baru z polerowanego mosiądzu, a druga ustąpiła pomieszczeniu do przechowywania cygar. Gdy Janice zbliża się do drzwi, widzi chmurę siwoniebieskiego dymu dryfującą tuż nad głowami członków klubu.

W połowie pokoju uświadamia sobie, że swędzenie kostek znikło, a co więcej, już nie czuje stóp. Zastanawia się, czy nie przesadziła, biorąc drugą kreskę. Czuje w ustach kwaśny smak i bierze z tacy następne zielone martini, żeby go splukać. Wibruje z nadmiaru Tego: widzi, jak stoi pośrodku pokoju, wysyłając fale energii. Nigdy, nigdy, nigdy, tętni wściekle jej

ciało. Twarze osób stojących wokół niej rozmywają się i wyost-
trzają. Może skupić się tylko na jednej. Art stoi dokładnie po drugiej
stronie pokoju ze szklaneczką szkockiej w dłoni, patrząc prosto na nią.

Ma wrażenie, że pokonanie dzielącej ich odległości trwa dziesięć
minut, a jednak widzi swoją podróż tylko w błyskach, jak w świetle
stroboskopowym. Tu zaciska rękę na oparciu fotela, mocno, aż bieleją i
bolą knykcie. Tu trąca biodrem doktora Brunschilda, który z
niepokojem odwraca głowę, a potem znika z pola widzenia, gdy idzie
dalej. Tu zauważa rękę barmana, który potrząsa srebrnym shakerem do
martini w rytm pulsowania w jej skroniach. Czuje symetrię
wszystkiego dokoła, każdą molekułę podporządkowaną celowi jej
podróży.

Art patrzy na nią, jego czujne spojrzenie przyciąga ją jak magnes.
Dopiero zatrzymując się przed nim chwiejnie, uświadamia sobie, że
nie ma pojęcia, co chciała powiedzieć. Stoi i nienawidzi go z taką
nieokiełznaną wściekłością, że nie może nawet znaleźć słów na
opisanie tego, co czuje. A jednak jednocześnie ma ochotę podnieść
rękę i dotknąć jego twarzy, poczuć znajome pergaminowe łaty skóry
pod czubkami palców, musnąć tak dobrze znane kłujące włoski na
małżowinie usznej. Art stoi tylko parę centymetrów dalej i Janice
czuje, że jeśli przełamie barierę i go dotknie, kontakt fizyczny położy
kres dotychczasowej nieuprzejmości i brzydocie. Przysuwa się,
odrobinę, przepelniona oczekiwaniem, ale on robi pół kroku w tył. Ten
ruch uświadamia jej, że jest o wiele za późno, że on już odszedł. Że w
rzeczywistości był nieobecny dłużej, niż sięga pamięcią. Przelotna
nadzieja gaśnie, zostawiając głęboki ból utraty.

Janice zamyka i otwiera dłoń, niepewna, czy użyć jej do walnięcia
go w twarz, czy do złapania za blezer. Nie spodziewała się, że
oczyszczająca furia, jakiej zaznała w czasie konfrontacji z Beverly, w
przypadku Arta będzie skażona żalem i wyrzutami sumienia.

Art odzywa się pierwszy.

— Janice — zaczyna irytująco obojętnym tonem — domyśliłem się, że przyjdiesz. Beverly była innego zdania, ja jednak wiedziałem, że nie odpuszczysz.

— Jest mi bardzo miło, że po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa znasz mnie lepiej niż twoja nowa kochanka — syczy, ale wbrew sobie wspomina, jak Beverly lekkim tonem używała liczby mnogiej. My. Przenika ją drżenie.

Art nie traci spokoju.

— Jak dziewczynki? — pyta.

— Dlaczego udajesz, że to cię obchodzi? — Janice słyszy własny głos jak w końcu tunelu, rozproszony i zniekształcony przez echa. — Zdaje się, że spadły na sam dół twojej listy priorytetów, poniżej prania chemicznego garniturów, pieprzenia mojej partnerki tenisowej i próby szantażowania mnie groźbą odebrania dziecka.

Art rozgląda się i ścisza głos niemal do szeptu.

— Janice, możemy przestać? Proszę. To nie pora ani miejsce. Wątpię, czy chcesz, żeby nasi znajomi i sąsiedzi wtykali nos w nasze sprawy osobiste.

— Mam to gdzieś — prycha. Podnosi głos, czyniąc z niego broń. — Ja nie mam się czego wstydzić. Nie zrobiłam nic złego.

— Czy mam poruszyć temat czyściciela basenów? — szepcze Art.

— Wiesz, że to bezpodstawne oskarżenie — syczy (ni-gdynigdynigdy, słyszy w głębi czaszki). — Noreen go nie potwierdzi. Kłamała. Nie masz żadnego dowodu. Żadnego. Dowodu.

Art patrzy na nią krytycznie.

— Jesteś pijana. Nie powinniśmy rozmawiać. Zostawmy to prawnikom.

— Nie — mówi głośno, wściekła, że traktuje ją jak szkodnika, którego likwidację lepiej zlecić profesjonalistom. — Do diabła z prawnikami. Nie wierzę, że w ciągu sześciu tygodni

nie zadzwoniłeś, żeby mi wyjaśnić, dlaczego wrzucasz nasze małżeństwo do klozetu. I naprawdę nie mogę uwierzyć, że próbujesz odebrać mi wszystko, co stworzyliśmy razem, a potem się spodziewasz, że będę postępować kulturalnie. — Słowa są piękne i ostre jak diamenty, ale ledwo styszy własny głos w szumie krwi w uszach. Jej serce bije o wiele za szybko. NIGDYNIGDYNIGDY, łomocze. Pot ścieka jej po twarzy i kapie z podbródka. Swędzenie kostek powraca ze zdwojoną siłą. Janice traci krytyczne poczucie równowagi.

Art krzywi usta w lekkim, pełnym napięcia uśmiechu i rozgląda się od niechcienia, wcale się z tym nie kryjąc, żeby wyglądało naturalnie. Ludzie otwarcie wlepiają w nich oczy.

— Naprawdę jutro pożałujesz, jeśli nie odetchniesz i się nie uspokoisz.

— Jestem spokojna — kłamie. W rzeczywistości ogarniają panika i stwierdza, że ma coraz większe kłopoty z łączeniem słów w taki sposób, żeby zdania miały sens. — Ale dlaczego powinnam być? To wszystko, co mamy. Ty zabierasz. To wszystko.

Art wzrusza ramionami.

— Stworzyłem Applied Pharmaceuticals bez twojej pomocy.

— W życiu nie zrobiłbyś tego beze mnie — prychna. — Myślisz, że bawiły mnie rozmowy towarzyskie z nudnymi zonami twoich japońskich inwestorów? Myślisz, że bawiło mnie odgrywanie uprzejmej gospodyni wobec chamów... — lozgląda się po pokoju, wybiera inwestora kapitału wysokiego ryzyka — w rodzaju Mitcha Jillardiego? Nie. Całe moje życie było nastawione na wspieranie. Wspieranie ciebie. Kto pakował ci walizki? Walizki na podróż? Kto odebrał twój paszport, prał, zestawiał kalendarz spotkań towarzyskich? I robił zakupy, i sprzątał dom, i zajmował się dziećmi? Wszystko ja.

Chciałaś to robić. O nic cię nie prosiłem. Akurat, cholera.

— Słuchaj — mówi Art i ukradkiem zerka przez ramię. — Podpisałaś papiery. Daję ci wystarczająco dużo. Jesteś zaradną kobietą, Janice. Poradzisz sobie.

Janice widzi, jak Beverly podchodzi do drzwi sali klubowej, przystaje, a potem idzie prosto w ich stronę. Ledwo trzyma się na nogach i nagle robi jej się bardzo zimno. Ściska kieliszek i próbuje skupić na nim spojrzenie. Koktajl zmienia kolor z zielonego na niebieski, a potem na lawendowy. Gdy podnosi oczy i patrzy na stojących wokół ludzi, twarze są zniekształcone jak na nieostrej fotografii. Przenosi ciężar ciała na jedną nogę, gdy obcas ustępuje pod drugą.

— Dobrze się czujesz? — pyta Art z zatroskaną miną. Chwyta ją za ramię i pomaga jej wrócić do pionu.

— Ty hipokryto — mamrocze, wyrywając się. W naładowanej przestrzeni, która ich dzieli, przez jedną ulotną chwilę widzi, jak odchodzi do innego świata, tego, który jest okrutny i wściekły w swoim wyzwoleniu. Milczy, próbując znaleźć słowa, którymi mogłaby wyrazić to uczucie, lecz usta ma odrętwiałe i puste.

— Chyba masz dość alkoholu — ocenia Art i sięga w kierunku jej dłoni.

— Mam dość wszystkiego. — Podnosi prawie pusty kieliszek do ust. Zadziera głowę, żeby wysączyć drink do ostatniej kropli. Z niewiadomego powodu głowa odchyła się dalej do tyłu, tułów podąża za głową i Janice przewraca się powoli. Ma wrażenie, że leci całą wieczność, dość długo, by poczuć, jak plama drętwoty niczym farba rozlewa się po głowie, tułowiu i kończynach (nigdynigdynigdy), i zastanowić się, skąd pochodzi czerń. Potem czuje, jak włos dywanu drapie jej nagie plecy, i traci przytomność.

*

Później pamięta tylko statyczne sceny, jak widokówki wideo. Doktor Brunschild klęczy nad nią, podnosząc jej powieki.

Palce ma zimne i wilgotne od kieliszka koktajlu. „Zemdlała — oznajmia. Janice słyszy strzępy zdań. — Odwodniona, tętno przyspieszone, nieregularne...”. Czuje, jak jego ręka obejmuje tył jej głowy, czuje zimną wodę spływającą w dół gardła i się krztusi.

Art i Beverly stoją za doktorem, ich twarze stapiają się w jedną. Za nimi rozpościera się widownia znajomych twarzy z ustami rozdziawionymi w wielkie O. Twarze krzywią się dziko, jak namalowane przez van Gogha. Szepczą słowa niczym chór grecki opowiadający o jej losie:

— ...z siebie widowisko... — mówi Noreen Gossett z fałszywą troską.

— Nieodpowiedzialne zachowanie... — mówi Joannie Cien-lela. Ścisła perły na szyi.

— ...wypiła co najmniej cztery... może pięć... — mówi Jim Rittenberg i odsuwa szpicem buta zbity kieliszek martini.

— ...kompletnie niespójnie... — mówi Beverly Weatherlove. Wisi na Arcie, który nic nie mówi. Twarz ma praktycznie bez wyrazu.

— ...potrzebuje pomocy — mówi Barbara Bint, wpływając w pole widzenia. Pochyla się, bierze ją za rękę. Janice czuje w dłoni niespodziewany, nieznośnie intymny ciężar jej miękkiej ręki. — Niech ktoś jej pomoże. Biedna Janice.

Doktor Brunschild niecierpliwym gestem każe im się odsunąć i Janice traci ich z oczu. Ręka Barbary się wysuwa, zostawiając wrażenie ciepłego ciała.

Łatwiej jest znowu zemdleć, niż znosić ten ból.

Budzi się, leżąc na plecach pod prysznicem w damskiej szatni, zimna woda spływa z regulowanego sitka. Ostre jak igły sił rumienie uderzają w jej twarz. Ktoś wysypuje lód z wiaderka na jej piersi. Janice dygocze z szoku. Wciąż jest w jedwabnej sukni, zupełnie przemoczonej, rozchylona góra odsłania stanik.

Brodata twarz doktora Brunschilda wsuwa się w pole widzenia. Słyszy jego głos odbijający się od białych kafelków i uderzający ją z tysiąca kierunków.

— Janice, słyszysz mnie? Ocknęłaś się? Możesz mówić? Obok niej stoi otwarta torebka, krople wody poplamiły

jedwabną podszewkę. Doktor Brunschild trzyma prawie pusty plastikowy woreczek, biały proszek przywiera do plastiku.

— Znalazłem to w twojej torebce, Janice. Musisz mi powiedzieć, co to jest, żebym mógł ci pomóc. Co to?

Nie może poprawnie sformułować zdania.

— To — mówi, czując dziwną ulgę z powodu tego wyznania. — To To.

— Co to jest? Kokaina? Heroina? Matamfetamina? Mrugając, żeby pozbyć się wody z oczu, w sukni zadartej do

bioder, Janice nie umie wymyślić innej odpowiedzi, jak tylko: „To. To”, a potem przewraca się na bok i wymiotuje do odpływu prysznic.

Towarzyska dyskrecja chroni Janice przed jazdą do szpitala i związaną z tym wizytą policji. Wartość członkostwa w klubie mocno by ucierpiała, gdyby policyjne raporty — drukowane co środę w „Town Crier” — ujawniły, że ktoś przedawkował narkotyki w pokoju klubowym. Ale trudno jej dostrzec w tym dobre strony, gdy w środku nocy wraca do domu, wzdęta po wypiciu dziesięciu litrów wody, wciąż cierpiąca na zawroty głowy, wciąż przemarznięta i mokra, na fotelu pasażera w mercedesie doktora Brunschilda.

Wilki podeszły bliżej, ale wie, że jeszcze jej nie dopadły.

Janice i doktor Brunschild nie zamienili słowa, dopóki wóz nie zatrzymał się na podjeździe. Doktor wyłączył zapłon i teraz słuchają tykania stygnącego silnika. Janice patrzy na fasadę domu. Wysokie dwuskrzydłowe drzwi są ocienione przez portyk, a bluszcz, który obrasta front, pełźnie w nocy, by

zasłonić drzwi i okna, zaszyć ją wewnątrz domu poskręcanyymi zielonymi pędami.

Na górze światło się pali w pokoju Lizzie, a z okna w salonie na dole płynie niebieskawy blask z telewizora. Dziewczęta jeszcze nie śpią. Co im powie, gdy zobaczą ją w takim stanie?

Doktor Brunschild gładzi brodę i spogląda na nią w lusterku wstecznym.

— Może zajrzysz jutro do mojego gabinetu? — proponuje. — Porozmawiamy, jak poradzić sobie z twoim problemem.

Janice czuje, jak na nią patrzy, chcąc pochwycić jej spojrzenie. Z determinacją wbija oczy w dom.

— Dziękuję, ale nic mi nie będzie. To żaden problem. Za wiele drinków na pusty żołądek.

Doktor chrząka.

— Jestem lekarzem, Janice. Umiem dostrzec różnicę pomiędzy alkoholem i środkami pobudzającymi. Bierzesz metamfeta-ininę, mam rację? — Pilnie wpatruje się w jej twarz, oczekując reakcji, ale ona dalej wygląda przez okno, choć czuje jego spojrzenie jak igły kłujące w policzki. — Posłuchaj, wiem, że ostatnie miesiące były straszne, i nie osądzam postępowania, które mogłaś rozumieć jako mechanizm obronny. Bóg tylko wie, skąd bierzesz narkotyki, Janice, ale na wypadek, gdybyś nie wiedziała, ten środek jest bardzo, bardzo uzależniający.

Janice milczy, rozważając jego słowa.

Doktor kontynuuje łagodnym tonem:

Potrzebujesz fachowej pomocy. Zgłoś się do kliniki.

Janice gwałtownie prostuje się w fotelu.

Nie! — wybucha, wyobrażając sobie, jak tygodniami tkwi uwięziona w jakiejś strasznej klinice na pustyni i jakie będą konsekwencje. Wszyscy się dowiedzą, prawnicy się dowiedzą i odbiorą jej Lizzie. — To niemożliwe. Jestem w trakcie sprawy rozwodowej.

Doktor Brunschild przez minutę siedzi w milczeniu, rozważając jej słowa i patrząc w mrok.

— Rozumiem. To niekoniecznie musi wyjść na jaw, jeśli tym się martwisz — mówi uspokajającym tonem. — Mogłabyś się skontaktować z miejscową kliniką. Ale nie próbuj radzić sobie sama.

Dom stoi sześć metrów dalej. W ciemności jest oazą. Tam są jej córki. Jej dzieci. Jeśli Art zabierze wszystko inne, jeśli przegrała i straciła, co kiedyś miała, przynajmniej zostały jej dziewczynki, które śpią w mocnych murach jej domu. Dla nich samych warto odstawić To. Bo jeśli tego nie zrobi, na pewno je straci; odpłynie i zniknie na zawsze, tak zagubiona w Tym, że nie znajdzie drogi powrotnej. A wtedy prawnicy ją zdemaskują i pieniądze z IPO będą najmniejszą z jej trosk: Art zabierze Lizzie, Margaret ją znienawidzi, a wtedy co pocznie? Może już jest za późno, panikuje, myśląc o twarzach Arta i Beverly,

o nowym „my”, które tworzy front zjednoczony przeciwko niej i tylko czeka, żeby popełniła jakiś błąd. Wilki krążą.

Kładzie słabą rękę na kłamce i z trudem otwiera drzwi.

— Nie będę — mówi. — Nie robię tego sama. — Iz czółenkami w rękach, czując ostry żwir pod bosymi stopami, prostuje ramiona i rozpoczyna długi marsz do domu.

Gdy Margaret była w drugiej klasie, nauczycielka skreśliła uwagę na marginesie jej raportu o wynikach w nauce. „Margaret zapowiada się wyjątkowo — napisała idealnym pochyłym pismem. — Może jest trochę przemądrzała, ale to oczywiście cecha błyskotliwego umysłu i silnego przywódcy. Czy braliście pod uwagę przeniesienie jej do wyższej klasy?”. Margaret czyta te zdania w nikłym świetle na strychu. Wyrazisty czerwony atrament spłówił do anemicznego różu, cienki jak bibułka papier rozpada się jej w rękach. Zdumiewa się, że już w wieku ośmiu lat miała ukształtowany charakter — przemądrzała! — co rodzi pytanie, czy naprawdę wyskoczyła z brzucha lanice przekonana, że już nie musi się niczego uczyć. Natura, ostatecznie wrodzona! A jednak nauczycielka bardzo się pomyliła: silna przywódczyni! Parska. Nabrała wszystkich, jeszcze zanim wyrosła z zabawy lalkami Barbie.

Rzuca kartkę pod nogi, na rosnący stos żółknących papierów: świadectwa z siedemnastu lat nauki w szkole podstawowej, gimnazjum i liceum, sprawdzone wypracowania, każde z wielką szóstką (często szóstką z plusem) na stronie tytułowej, średnia ocena z ogólniaka (nieprzekonujące 4,3), bilet z ukończenia liceum, z entuzjastycznie wypisaną nazwą przyszłej uczelni, Cornell, jej prace magisterskie, dwa czterdziestostronicowe

tomy, które napisała w czasie długich wyczerpujących sesji w bibliotece kampusu, potwierdzenie przyjęcia na studia podyplomowe i ziarniste zdjęcie w lokalnej gazecie, gdy została wpisana w poczet Phi Beta Kappa, korporacji zrzeszającej wybitnie uzdolnionych studentów. Archiwum kończy się nagle, gdy w wieku dwudziestu czterech lat wyjechała do Los Angeles. Wygląda to tak, jakby spadła ze skraju mapy i została uznana za zmarłą.

Sięga głębiej do szafki, którą matka starannie opisała na etykietkach z motywem bluszczu, MARGARET. (Szafka obok to LIZZIE z motywem stokrotki, a sąsiednia nosi ciekawą nazwę ARCHIWUM: WYCINKI). Jest tutaj całe jej dzieciństwo starannie ułożone w kolorowych teczkach: PRACE (ANGIELSKI); cała seria PLASTYKA według technik (KREDKA, OŁÓWEK i AKWARELA); ARTYKUŁY: FILLMORE BUGLE; LISTY DO ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA i KORESPONDENCJA: WYSŁANE. W wieku dwunastu lat Margaret napisała list do prezydenta, wyrażając swoje zaniepokojenie zanieczyszczeniem oceanów: „Dziedzictwo naszej ziemi leży w głębi oceanu — w domu skromnych wielorybów, tańczących delfinów, cierpliwych żółwi — a my musimy dążyć do ochrony tego środowiska dla nich i dla siebie. Panie Prezydencie, będę wdzięczna, jeśli poświęci Pan czas na rozważenie proponowanego przeze mnie projektu ustawy". Prezydent — a raczej jakiś stażysta zajmujący się korespondencją w Białym Domu — odesłał list z odbitym pieczętą podpisem, dziękując jej za poparcie. Pamięta, jak z oburzeniem wyrzuciła list, ale teraz jest tutaj, zachowany przez matkę, wyprasowany żelazkiem i schowany w teczce z napisem KORESPONDENCJA: ODEBRANE. Gniewie go i rzuca na stos z leciutkimi wyrzutami sumienia, że niweczy pieczołowitą pracę matki.

Strych jest niespodziewanie jasny i czysty: więc to robiła tutaj matka, sprzątała, układała, myła okna. Wnętrze pachnie kulkami na mole i sosnowym środkiem do czyszczenia. Mar-

garet musi się schylać pod drewnianymi krokwiemi, ale nawet one zostały odkurzone i tylko jeden pajak próbuje odbudować sieć pomiędzy pudłami oznaczonymi OZDOBY CHOINKOWE (SZKŁO) i PŁASZCZE ZIMOWE (1980). Niedopite piwo zostawia wilgotne O zdumienia na wynikach egzaminu maturalnego: 1520 punktów, najlepszy wynik w klasie umożliwiający studia na Harvardzie, choć wolała Cornell z powodu bardziej liberalnego programu nauczania. Gliniana miska, którą zrobiła w pierwszej klasie — pamięta, jak dała bezkształtną bryłę matce na Boże Narodzenie — służy jej za popielniczkę, gdy beztrąsko pali w domu, nie przejmując się zakazem.

Matka zachowała to wszystko, dokumentację jej prześwietnej młodości. Patrząc na górę papieru, na lata osiągnięć tak licznych, że o połowie z nich zapomniała, Margaret może myśleć tylko o jednym: dlaczego? Chce pozbyć się tego nad wiek rozwiniętego dziecka, które celowało we wszystkim, które dostawało szóstki bez sięgania po książkę, którego słownictwo w wieku sześciu lat dorównywało zasobowi słów licealistów. gdyby tak mogła znaleźć choć jedną jedynekę na świadectwie czy pracach pisemnych, jedną zapowiedź niepowodzenia, jakie poniosła... ale nie ma nic, tylko optymistyczna seria szóstek, setek punktów i „Doskonale!”. Wszystko to ją okłamało — wszystkie te autorytatywne cyfry, zachęcające ją, mówiące jej, że jeśli będzie ciężko pracowała, świat stanie przed nią otworem, i uwierzyła im ślepo, uwierzyła w całe to amerykańskie marzenie. Rzuca pierwszą nagrodę z mistrzostw grup dyskusyjnych w przedostatniej klasie na stos, który się rozsypuje, ślizgając we wszystkie strony po podłodze strychu. Bosą stopą rozkopuje stertę jeszcze bardziej, wydaje się, że papiery uciekają przed nią ze strachu i chowają się po kątach. Osiągnięcia są brzemieniem, więc się cieszy, że z tym skończyła. Witaj Margaret, Nieudaczniku! Jej nowa mantra: pieprzyć to!

Opróżniwszy szafkę, przyciska zmięte papiery do piersi, zostawiając za sobą szlak trzepoczących celujących wyników,

schodzi ze strychu, mija pokój siostry (drzwi są zamknięte przed intruzami), schodzi po schodach do salonu i rzuca naręcze do kominka. Jedna zapalka i papiery stają w płomieniach, ogień nabiera siły tak szybko, że musi się comać, żeby nie osmalił jej rzęs. Wspaniale! Po minucie z jej przeszłości zostają tylko dymiące popioły, które tańczą, znikając w kominie.

Wraca po schodach po kolejne naręcze — następnie, myśli, spali księgi pamiątkowe, albumy ze zdjęciami z liceum, a potem trofea z sypialni. Czy płonący plastik jest rakotwórczy? A kogo to obchodzi! Śmieje się głośno, wchodząc po schodach, czując się lekka jak popioły, które teraz płyną nad Santa Rita.

Ostatnie dwa tygodnie od czasu, gdy uderzyła w dno, były dla niej objawieniem. Nie dba o nikogo i o nic, jakby pewnego dnia po przebudzeniu odkryła, że już nie ma nerwów, żeby odczuwać ból, i tym samym uwolniła się od strachu. We wtorki i w czwartki pali trawkę z Jamesem, siedząc na dmuchanym materacu w domku w ogrodzie i rozmawiając o rzeczach, których później nie może sobie przypomnieć (książki? Filmy? Filozofia Wschodu? Wszystko jakoś się rozmywa). Czyta należące do Lizzie stare numery „US Weekly” (zafascynowana, bez odrazy, jakby była akolitką studiującą u stóp nowego despoty). Sypia po dziesięć, dwanaście godzin, a poza tym oddaje się radosnemu lenistwu. Nic nie robi. Nic! Czeka, żeby ktoś to zauważył i coś powiedział, ale przez cały ubiegły tydzień Millerowie unikali się starannie. Matka spędza dni w sypialni, oglądając telewizję, siostra pływa w basenie na nadmuchiwanym fotelu, z walkmanem w uchwycie do napojów, z wielkimi słuchawkami na głowie, jak żaba wygrzewająca się na liściu lilii. Tymczasem telefon dzwoni i dzwoni. Margaret słyszy go ze swojej sypialni, gdzie często leży godzinami, gapiąc się w gipsowy fryz na suficie, ale teraz zamiast elektrycznych wyładowań dźwięk nie wywołuje żadnej reakcji. Czyta wiadomości, które matka wsuwa pod drzwi, z komplementnym brakiem zainteresowania, niemal jakby były skierowa-

ne do obcej osoby. Niech operatorzy kart kredytowych po nią przyjdą, myśli. Co mogą jej zrobić?

W korytarzu na górze, blisko schodów na strych, Margaret wpada na siostrę wracającą z łazienki. Lizzie odwraca oczy i próbuje ją minąć, ale ona zastępuje jej drogę.

— Co robisz? — pyta, czując radosną agresję. Od tygodnia dzielą jakieś niesprecyzowane wzajemne żale. Margaret czuje, że to ona sprowadziła coś złego, choć nie wie dokładnie co. Ten stan rzeczy przywodzi jej na myśl przykre zdarzenie. Na pierwszym roku studiów miała przez weekend opiekować się królikiem koleżanki, która wyjechała do chorej babci. Przesiedziała całe te dni w bibliotece i śleczyła po nocach, przygotowując się do egzaminów końcowych, i zupełnie zapomniała

o króliku. Kiedy w końcu sobie przypomniała, dwa dni później, króliczek leżał na boku. Oczy miał szkliste, oddech wyęteżony, był ledwo żywy z odwodnienia. Patrząc na cierpiące zwierzę, Margaret czuła straszny wstyd. Przez cały następny dzień opiekowała się królikiem, podając mu wodę pipetką i kawałki liści sałaty z bufetu, żeby wrócił do formy przed powrotem koleżanki, ale mimo to przez miesiąc nie mogła spojrzeć jej w oczy. Stwierdziła, że jest samolubną osobą, bezmyślną w swojej determinacji i na tę myśl zrobiło jej się niedobrze.

I choć teraz nie ma pojęcia, w jaki sposób mogła skrzywdzić Lizzie, to samo mdlące ssanie sugeruje, że ją strasznie zawiodła. Tylko że teraz, mówi sobie, nie będzie się tym przejmować. Pieprzyć to!

— Nic — mówi Lizzie i przeciska się obok niej. — Nie rozmawiam z tobą.

- Dlaczego ze mną nie rozmawiasz?! — woła Margaret do jej pleców. Ale siostra już pędzi do pokoju, zostawiając za sobą nikły zapach gumy balonowej. Drzwi zamykają się cicho. Nawet w złości, zauważa Margaret, Lizzie brakuje wewnętrznego Kiiicwu niezbędnego do satysfakcjonującego trzaśnięcia drzwiami. Czuje przyływ opiekuńczej miłości do młodszej siostry,

która wydaje się naiwna i zupełnie niezdolna do poradzenia sobie z brzydota świata istniejącą na zewnątrz tych murów.

Margaret miała czternaście lat, gdy Lizzie się urodziła. Wciąż pamięta, jaka była lekka i bezbronna, gdy matka pozwalała brać ją na ręce. Maleńka Lizzie wydawała się krucha jak porcelanowa filiżanka, bibelot przeznaczony do postawienia na półce i starannego odkurzania, bez narażania na niebezpieczeństwa rzeczywistego używania. Od pierwszego dnia przyjęły naturalne role: Margaret, mądra opiekunka, i Lizzie, chętna akolitka, zawsze ciekawa, co robi starsza siostra, dokąd idzie, w co się ubiera, co je. Lizzie miała pięć lat, gdy Margaret wyjechała na studia. W ostatnie lato przed wyjazdem czytała siostrze wieczorami *W drodze* Kerouaca, wówczas swoją ulubioną książkę. Kładła się pod kołdrą z latarką, ściśnięta pomiędzy pluszowymi misiami i lalkami o plastikowych buziach, starannie przeskakując przekleństwa i sceny seksu. „Jesteś pewna, że chcesz, abym to czytała? — pytała. — Zawsze możemy poczytać którąś z twoich książek”. Ale Lizzie, senna i ciepła, tylko mruzczała, kiwała głową i przytulała się jeszcze mocniej, aż w końcu zasypiała. Zostawiła jej książkę, gdy wyjechała na studia, i jest ciekawa, czy Lizzie ją odkryła.

Status starszej siostry zawsze podbudowywał ego i Margaret nauczyła się liczyć na to ślepe uwielbienie, na tę pochlebczą mimikrę. Uważała takie relacje za rzecz oczywistą i dopiero teraz uświadamia sobie, że podziw Lizzie przeminął. Siostra wydaje się daleka i obca, i prawdopodobnie jej odczucia są podobne. Margaret jest znacznie starsza, długo nie było jej w domu, a nieobecność idola nie sprzyja kontynuacji kultu. Może to naturalne, że Lizzie rozczarowała się do niej, może po prostu jest to częścią procesu dojrzewania: dzieci dorastają, robią się zblazowane i wyrzucają na śmietnik swoich niegdyś czczonych bohaterów. Zdarza się. Zwłaszcza gdy odkrywają, jak Lizzie, że bożyszcze zostało rzucone przez swojego chłopaka

i obecnie nie może znaleźć pracy. Margaret wzrusza ramionami — pieprzyć to!

Zgarnia drugą partię papierów, niesie do kominka i wraca na strych po trzecią, gdy zaskakuje ją widok matki w drzwiach sypialni. Staje jak wryta. Przez chwilę myśli, że widzi ducha. Matka w białej, zwiewnej koszuli nocnej, z nietypowo rozpuszczonymi włosami i czarnymi kręgami pod oczami wygląda eterycznie, jakby można było przesunąć przez nią rękę. Żebra odznaczają się pod koszulą.

— Czy czuję dym? — pyta Janice chropawym głosem, jakby miała pełno flegmy w gardle. Ścisną drzwi ręką i patrzy za Margaret, jakby za jej plecami mogły wybuchnąć płomienie.

Margaret nie widziała jej od pięciu dni, kiedy doktor Brunschild przywiózł ją z letniej gali w country clubie. Janice weszła chwiejnym krokiem, zamknęła zaskoczoną Margaret w wilgotnym, kurczowym uścisku, który pachniał wódką i fiołkami i trwał jakieś pięć sekund dłużej, niżby sobie życzyła, potem udała się na górę, żeby podobnie potraktować Lizzie, a następnie zniknęła za zamkniętymi drzwiami sypialni. Od tej pory leżała w łóżku, oglądając Food Network i wychodząc tylko od czasu do czasu po kubek herbaty ziołowej. Przestała sprzątać, gotować i pracować w ogrodzie; nadnaturalna energia, jaką miała przez całe lato, znikła i dom szybko pogrążył się w chaosie.

Lizzie i Margaret nie zdołały wydobyć z niej żadnych szczegółów, dlatego wróciła do domu mokra, rozczochrana i w cudzym samochodzie, poza tym, że „odrobinę za dużo wypila”. Ale Margaret czuje, że stało się coś ważnego — jej matka była pijana! Nie pamięta, kiedy ostatnio widziała ją w takim stanie, o ile w ogóle, i ten fakt w połączeniu z nagłym upadkiem zainteresowania domem poważnie by ją zaniepokoił, gdyby nie zdecydowała, że przestaje czymkolwiek się przejmować.

Palę stare papiery — wyjaśnia Margaret, podchodząc bliżej i zatrzymując się pół kroku od niej. Niebieskie oczy

matki są szare i dziwnie płaskie, jak staw odbijający nadciągające burzowe chmury, i gdy w nie patrzy, jej triumfalna agresywna apatia nagle znika. Coś jest strasznie, strasznie źle. Ta zjawa nie może być Janice Miller. Margaret jest sparaliżowana przez wrażenie, że matka, którą znała przez całe życie, przepadła bez śladu, pozostawiając tę wysuszoną łupinę. Włoski jeżą jej się na ramionach.

— Aha — mówi Janice bezdźwięcznie. — Mam nadzieję, że pamiętałaś o otworzeniu komina. — Za nią na ekranie telewizora Mario Batali dusi udziec jagnięcy w prodiżu. Janice odwraca się, by popatrzeć, potem macha ręką w stronę łóżka.

— Uczę się robić *crostata* jagnięce. To pikantny pasztet. Może upiekę jutro na kolację? — Patrzy na Margaret, prostuje się i zmusza do nikłego uśmiechu.

Pomimo uśmiechu ma twarz somnambulika, jakby patrzyła zza wrót śmierci. Coś się w niej zmieniło. Margaret zastanawia się przez minutę i uświadamia sobie co: Janice jest dziwnie spokojna. Przychodzi jej na myśl, że matka wydawała się niezdrowa przez większą część lata — wychudzona, humorzas-ta, roztrzęsiona. Margaret uznała te objawy za przypadek pozałamaniowego przedrozwodowego lęku. Ale teraz, gdy przygląda się, jak matka chwiejnym krokiem idzie w kierunku rozesłanego łóżka, zastanawia się, czy w grę nie wchodzi coś więcej. Matka przypomina półprzytomnych narkomanów, wycieńczonych, ledwo żywych ćpunów, jakich można zobaczyć pod sklepem z alkoholem w centrum Los Angeles. Z drgnieniem przypomina sobie, że James wspomniał o „problemie” matki — może wcale nie mówił o rozwodzie. Czy mógł insynuować, że jej matka łyka pigułki...?

Pigułki? Trudno sobie wyobrazić. A jednak. Przychodzi jej na myśl Berty Friedan i opisywane przez nią podmiejskie gospodyni domowe uzależnione od środków uspokajających - wtedy to były: *aludal*, *valium* i nafaszerowane efedryna pigułki odchudzające (to by wyjaśniało, dlaczego Janice traci

na wadze). Boże, czy jej matka, która, o ile wie, płakała tylko kilka razy w życiu, naprawdę tak się załamała, że sięgnęła po środki uspokajające? Przypomina sobie, że Lizzie znalazła pustą buteleczkę vicodinu w szafce. Wydaje się niemożliwe, by Janice Miller mogła się od czegoś uzależnić — a jednak ma siną skórę wokół oczu, jest blada i wymizierowana, bliska wycieńczenia. Nie wspominając o dziwnym zachowaniu. Matka wchodzi do łóżka, gdy Margaret wreszcie pyta wprost:

— Bierzesz coś? — Natychmiast żałuje, że nie może cofnąć tego pytania. Nie chce wiedzieć. A jednak musi. Może pomóc!

Janice, zaskoczona, odwraca się i siada na brzegu materaca. Z wysiłkiem przełyka ślinę.

— O co ci chodzi? — pyta. Wskazuje notes, gdzie zapisywała wskazówki szefa kuchni. — Biorę notes i notuję przepisy.

— Wiesz. Jak... Brałaś vicodin? — Uważnie przygląda się matce.

— Nie do wiary, że o tym pomyślałaś — mówi Janice. Głos ma napięty, wysoki i drżący.

— Przepraszam. — Margaret wycofuje się z oskarżenia, które już brzmi niedorzecznie. — Ale cóż, wyglądasz jak śmierć. I cały tydzień spędziłaś w łóżku.

Janice krzywi usta.

— Jak śmierć? — powtarza, opadając na poduszki. — Pięknie, Margaret. Miło mi, że się o mnie martwisz. Ale nic mi nie będzie. Po prostu byłam trochę chora. Dziś czuję się znacznie lepiej. I nie biorę vicodinu.

— Racja. — Margaret czuje się głupio, że poruszyła temat. To idiotyczne, myśli. Matka jest przygnębiona i nic dziwnego. Przygnębieni ludzie często leżą w łóżku, tracą apetyt i zachowują się dziwnie, o czym dobrze wie z własnego doświadczenia. Myśl, że matka — Janice Miller! — mogła się uzależnić, i to naprawdę tak nieprawdopodobna, że niemal śmieszna.

A jednak pierwszym krokiem uzależnienia jest przeczenie. A może to drugi etap rozpacz?

— Wiesz, że jeśli masz problem, zawsze możesz ze mną porozmawiać — mówi Margaret, świadoma, jak bezradnie brzmią jej słowa.

— Skarbie, nic mi nie jest.

Margaret ociąga się w drzwiach, niepewna, co jeszcze powiedzieć. Czuje wiszący w domu pochmurny mrok jakiegoś nieokreślonego zła i próbuje sobie wmówić, że to już jej nie obchodzi. Po niezręcznej chwili Janice sięga do szafki nocnej i podnosi kopertę.

— Prawdę mówiąc, możesz coś dla mnie zrobić. Chcę porozmawiać z tobą o Jamesie.

— O Jamesie? — powtarza Margaret zbita z tropu. Uświadamia sobie z konsternacją, że matka musiała się domyślić, iż razem palą trawkę. Jak? Ocenia odległość od szopy w ogrodzie do okna sypialni, kierunek letniego wiatru, okres połowicznego rozpadu molekuł dymu marihuany.

— Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła — kontynuuje Janice. Wyciąga kopertę. — Będzie tu lada chwila. Powiesz mu, że go zwalniam? I dasz mu ten czek z premią? Nie czuję się na tyle dobrze, żeby zrobić to osobiście.

— Dlaczego go zwalniasz?

— Lato się kończy — mówi Janice, ale nie chce spojrzeć jej w oczy. — Niedługo zakryjemy basen.

— Jest dziesiąty sierpnia. Czy chodzi o pieniądze? O rozwód?'

— Nie, nie. — Janice obraca kopertę w palcach, wygładza załamania paznokciem. — Po prostu... nie jestem zadowolona z jego pracy. Chociaż nie musisz mu tego mówić.

Umysł Margaret pracuje na wysokich obrotach. Skąd, u licha, matka się dowiedziała, co robią w szopie? Czy ma kamery szpiegowskie w ogrodzie? James straci pracę, a jeśli matka rozpuści wieści, prawdopodobnie sąsiedzi też zrezygnują z jego usług. Biedny facet. I to będzie jej wina. Ma ochotę się skulić.

— Powinnaś wiedzieć — zaczyna powoli — że to nie jego wina. Powód, z jakiego go wylewasz.

Janice przekrzywia głowę.

— Jestem tego świadoma — mówi ostrożnym tonem. Cholera, myśli Margaret. Ona wie.

— Naprawdę, jeśli zwalniasz go za to, za co myślę, że go zwalniasz, to naprawdę masz wąskie horyzonty, mamó — brnie dalej, nie mogąc się powstrzymać. — To ma uzasadnione zastosowania w medycynie, większe niż wiele leków na receptę. Nawet zalegalizowaliśmy to w tym celu w Kalifornii kilka lat temu, pamiętasz?

Janice ma skonsternowaną minę.

— Nie wiedziałam. To legalne? Jesteś pewna? Margaret czuje, że zaraz pęknie jej głowa.

— O czym my mówimy?

— Nie jestem pewna — mówi Janice, uważnie obserwując jej twarz.

— Ja też nie. Może po prostu damy sobie z tym spokój?

— Naturalnie — zgadza się Janice z wyraźną ulgą. Prostuje się i wygładza narzutę na nogach. Potrzęsa kopertą. — Daj mu czek i powiedz, że był bardzo dobrym pracownikiem, ale musimy go zwolnić z powodów niezależnych ode mnie. Powiedz mu... że jestem wdzięczna za to, co dla nas zrobił, i z radością wydam mu rekomendacje, ale lepiej, żeby przeniósł się gdzieś indziej.

— Jasne — mówi Margaret, zdając sobie sprawę, że straci ledynego przyjaciela. Niechętnie bierze kopertę z ręki matki i waży ją w dłoni.

Matka odwraca się w stronę telewizora, gdy Mario Batali wraca na ekran, trzymając w ręce kacze zwłoki.

We Włoszech — oznajmia — nazywają tę potrawę *uirpcwcio d'anatra affumicata*, ale ja nazwę ją rozkoszną...

*

Tak to już jest — mówi James i kładzie się na materacu. lizyma czek nad głową. — Margaret wyciąga szyję, żeby

zobaczyć liczbą wypisaną przez matkę, ale jest zbyt napalona. Leżą w milczeniu na materacu, chmury dymu wciąż wiszą w powietrzu. Margaret wsłuchuje się w szum podgrzewacza wody. W tym stanie słyszy nie jeden ton, ale harmonię atonalnych dźwięków.

— Naprawdę mi przykro — zapewnia, język ma gruby i odrętwiały. Siada prosto, patrząc na leżącego Jamesa. — Myślę, że cię wylała, bo wie, że dajesz mi trawkę.

— Nie sądzę.

— A z jakiego powodu?

On też siada i przysuwa się do niej. Pocieszaj ąco klepie ją po nagim ramieniu, tuż obok ramiączka sukienki. Skóra w tym miejscu mrowi ją jeszcze przez chwilę. James jest ubrany w kombinezon i szarą koszulkę z nadrukiem „St. Vincent Water Polo '88”, a głowę ma opasaną spłowiałą czerwoną chustką.

— Nieważne. Nie przejmuj się. Czyszczenie basenów i tak nie jest moim życiowym celem. To tylko sposób, żeby się stąd wyrwać.

— Znowu mówisz o Meksyku?

— Jasne. Na razie. Nie planuję. Lubię myśleć o życiu jak

o fali, na której płynę, i jestem ciekaw, dokąd mnie zanieśie. Nie panuję nad tym, po prostu muszę patrzeć przed siebie

1 uczyć się godzić z brzegiem, na jaki mnie wymyje.

— Myślałam, że wiara w przeznaczenie odeszła razem z Grekami.

— Nie przeznaczenie. Ja wierzę w życie.

— A co to znaczy? Myślę, że tak naprawdę to, co robisz, to przenoszenie odpowiedzialności.

— Przenoszenie odpowiedzialności? A co to, u licha, znaczy? — James pociąga ją za kosmyk włosów. Margaret czuje nacisk jego uda, gdy materac zapada się pod połączonym ciężarem ich ciał. — Wyrzucić z głowy słownik synonimów i pomyśl. Życie nigdy nie daje ci tego, co naprawdę chcesz, więc po co walczyć?

— Rozumiem. Staralam się ze wszystkich sił, a zyskałam tylko masę długów. Mówiłam ci o swojej nowej mantrze? Pieprzyć to.

— Wspaniale. Rozumiesz? Zamiast walczyć z życiem i żałośnie przegrywać, powinnaś dać mu się ponieść. Cieszyć się tym, co świat ci daje.

— Próbuję wierzyć, że to łatwe.

— Jest łatwe. Zobaczysz, kiedy pojedziesz ze mną do Meksyku — zachęca James. Kładzie się na materacu, zakłada ręce za głowę i uśmiecha się do niej jak wyjątkowo zadowolony kot.

Margaret dopiero po minucie uświadamia sobie, co zasugerował.

— Nie zadzieraj ze mną — mówi, klapiąc go po udzie.

— Mógłbym wykorzystać firmę do wyjazdu. Ciebie też nic tu nie trzyma. Chyba że chcesz czekać, aż dupki od kart kredytowych wpakują cię do więzienia.

Margaret patrzy na swoje ramiona, podtrzymujące ją na materacu, i uświadamia sobie, że James ma rację. Nic jej tu nie trzyma. Nie ma pracy, nie ma zobowiązań, nie ma żadnego majątku z wyjątkiem na wpół zdechłej hondy. Czy firmy windykacyjne znajdą ją w Meksyku? Raczej me. Na tę myśl uśmiecha się mimo woli. Pieprzyć to! Wreszcie wulgarny zwrot otwiera przed nią nowe możliwości: Meksyk!

Nie czuje się tutaj szczęśliwa ani nawet niezbędna. Jej pobyt w Santa Rita jest tylko głupią wymówką, a wszelkie złudzenia, że pomoże rodzinie, dawno się rozwiały. Matka me tylko nie potrzebuje, ale nie chce jej pomocy. Lizzie się do niej nie odzywa. Myśli o słowach matki: „Nie potrzebuję niczego”. Zastanawia się nad rozdrażnieniem siostry, lekceważeniem ojca. Przyznaje Jamesowi rację. Może wymknąć się z miasta równie łatwo, jak przybyła, nawet nie ma czego pakować.

Wyjazd do Meksyku. Tak. To wydaje się nieuchronne, końcowy wynik powolnego, niepohamowanego upadku w nicość. Tam zatrzyma się jej życie: na plaży w Meksyku, gdzie pozwoli, żeby mózg jej pleśniał, gdy będzie podawała margarity studentom na wakacyjnych wyprawach. Margaret Miller, okrzyknięta osobą, która zmieni świat, żyjąca z palącym trawkę lekkoduchem w kraju Trzeciego Świata. Jej przyjaciółki z LA będą przewracać oczami i z miejsca o niej zapomną. Rodzice, myśli, umrą ze wstydu.

— Jasne — mówi. — Pojadę z tobą. Czemu nie? James się uśmiecha.

— Jedziemy jutro.

— Jutro? — Margaret liczy dni do daty rozprawy — dziesięć — i z trudem przełyka ślinę. Nie będzie na procesie. A jednak czy naprawdę myślała, że wmaszeruje do sądu i poprze sprawę matki po lekturze kilku książek prawniczych i obejrzeniu letnich powtórek *Prawa i porządku*? — Nie zaczekasz tydzień, może dwa? Nie chcesz powiadomić swoich klientów?

— Nie. — James znowu ogląda czek. — Chyba to znak, że pora ruszać.

Margaret uspokaja się i skupia na jego słowach — unosić się na fali życia. Pod tanią sofistyką jego przenośnia nic odbiega daleko od filozofii zen, którą studiowała na zajęciach z religii świata. Gdyby Budda był surfingowcem, tak właśnie by powiedział. Czemu nie? Zawsze interesował ją. buddyzm.

— OK — mówi. Może być kimś takim, myśli, światowym podróżnikiem, migrującym przez dalekie kraje i zbierającym okruchy nowej wiedzy, poznającym mało znane zwyczaje Trzeciego Świata i zaginione języki. Stanie się lepszą osobą, pogodną, spokojną, pogodzoną z otoczeniem, gdziekolwiek będą, obojętną na sprawy materialne. Może nawet zacznie uprawiać jogę.

James się uśmiecha.

— Wpadnę po ciebie o dziesiątej. Przed zmierzchem będziemy za granicą.

Siada i pochyla się. Margaret z początku myśli, że chce uścisnąć jej dłoń, ale James pochyla się głębiej, aż czuje na twarzy jego oddech pachnący marihuaną i gumą miętową, i całuje ją bez ceregieli. Odsuwa się od niego zaskoczona fizyczną bliskością jego twarzy. Ale potem czuje jego usta na swoich, pasujące jak klucz do zamka, i uświadamia sobie, że to wcale nie jest niespodzianką, że od samego początku się zastanawiała, jak to będzie, więc zamyka oczy i zatracą się w tej chwili.

Jej ręce jakby z własnej woli podnoszą się i wsuwają pod jego koszulkę. Skóra pod jej dłonią jest szorstka i sucha — czuje jego opaleniznę. Bez odrywania ust James rozpina kombinezon i górna część opada mu na biodra. Margaret przesuwa dłoń na jego piersi, nieowłosione i gładkie. Z zamkniętymi oczami, spowita przez senne, bawełniane chmury marihuany, zapomina, gdzie jest, z kim jest. Im dalej się posuwają — jego kombinezon na podłodze (Margaret szeroko otwiera oczy, gdy widzi, że James nie nosi bielizny), jej sukienka ściągnięta przez głowę, majtki zaplątane wokół kostek — tym większe ogarnia ją poczucie uierzeczywistości. Kim się stała? To nie jest Margaret Miller, którą zna.

James popycha ją i zanim ma czas pomyśleć, czuje go w sobie. Przez chwilę patrzy, jak wisi nad nią nagi. Znowu zamyka oczy, czując, jak materac unosi ją w górę. Gdy kończą, rozprasza ją nagły, natarczywy strach, że gdy będzie po wszystkim, po prostu zniknie jak kamfora, jakby nigdy się nie urodziła. Myśli z drgnieniem, że nie powinna palić papierów z dzieciństwa, wymazywać dowodów swojego istnienia.

Ale kiedy unosi powieki, wciąż jest. Oczy po dłuższej chwili przystosowują się do mętnego światła. James już stoi, wciągając

koszulkę. Oczy ma podkrążone i szkliste. Gdy na niego patrzy, próbując pozbyć się tego dziwnego, nieprzyjemnego wrażenia — jakby mrówki wędrowały po jej nagim ciele — drzwi domku się otwierają i słoneczny blask zalewa wnętrze. Margaret łapie sukienkę, która leży na podłodze, i okrywa się prędko. Gdy wciąga ją przez głowę, widzi, że to Lizzie — chwała Bogu nie matka — stoi w drzwiach, wlepiając w nich oczy, w kostiumie mokrym po pływaniu w basenie.

Margaret usiłuje wstać z materaca, ale ślizga się po plastiku. Szamocząc się na leżąco, uśmiecha się nerwowo do młodszej siostry. Lizzie patrzy w milczeniu, jej oczy skaczą z niej na Jamesa i z powrotem. Pogarda maluje się na jej skrzywionej twarzy. Nagle Margaret widzi się oczami siostry. Uświadamia sobie, że już nie jest jej heroiną, mentorką ani wzorem do naśladowania, tylko obibokiem palącym marihuanę i uprawiającym seks z czyścicielem basenów. Resztki uwielbienia — a co gorsza, szacunku — ulatują bez śladu. Margaret z zaskoczeniem uświadamia sobie, że to sprawia jej ból. Próbuje przywołać swoją nową mantrę, ale tym razem słowa brzmią, obojętnie i głucho. Ma wrażenie, że ostatnia gwiazda zgasła na nocnym niebie, pozostawiając ją samą w czarnych jak smoła ciemnościach.

— Poczulałam trawkę. — Lizzie ujmuje się pod boki. Woda ścieka po jej udach.

— Chcesz trochę? — pyta James. Margaret tłucze go pięścią w nogę.

— Ona ma czternaście lat!

Lizzie patrzy na suknię zebraną wokół talii Margaret, na rozpięty kombinezon, i wybucha:

— Uprawialiście seks!

— Nie! Nie — mówi Margaret.

— Wszystko w porządku, to nic wielkiego — odpowiada James w tej samej chwili.

Lizzie patrzy na nią, potem na Jamesa, potem znów na nią. Głośno przełyka ślinę.

— Wiesz, w Trzask! mówią nam, że to grzech. Tymoteusz dwa dwadzieścia dwa: „Zwiewaj od wszystkiego, co sprawia, że czujesz się napalony, i zamiast tego szukaj rzeczy, które uczynią cię dobrym człowiekiem”. Podpisałam ślub czystości, wiesz.

— Jezu Chryste, Lizzie — wzdycha Margaret.

— Nie wzywaj imienia Boga nadaremno, bo się na ciebie wścieknie — poucza ją Lizzie, a potem obraca się na pomarszczonej pięcie i znika w ogrodzie, maszerując w stronę domu. Słyszą, jak w dali trzaskają francuskie drzwi.

— Pierdoły — mruczy Margaret.

— Nie wiedziałem, że twoja siostra ma świra na punkcie religii — dziwi się James.

— W zeszłym miesiącu nie świrowała. James wzrusza ramionami.

— Pieprzyć to miejsce. Ludzie tu dziwaczejają. Tylko pomyśl, lulro o tej porze będziemy pić coronę w Tijuanie.

Margaret wie, że wypadaloby zareagować z entuzjazmem, ale usta ma zbyt suche i lepkie, żeby sformułować słowa. Dwa razy przełyka ślinę i zamiast odpowiedzieć, posyła mu blady uśmiech.

Po wyjściu Jamesa siedzi w szopie przez pół godziny, próbując wytrzeźwieć. W końcu podnosi się, żeby pójść do domu i przetrząsnąć lodówkę. Panuje cisza, słychać tylko wysokie brzęczenie telewizora na dole. W drodze do kuchni przystaje przy drzwiach pokoju. Lizzie leży skulona na kanapie, ledząc batonik. Na drugim końcu kanapy, kilometr dalej, siedzi Mark Weatherlove w niebieskiej wiatrówce. Oboje w skupieniu wpatrują się w ekran telewizora, ale Margaret ze swojego miejsca nie widzi, co oglądają. Robi krok za próg. Lizzie i Mark jednocześnie odwracają głowy. Patrzą na nią z identycz-

nymi minami zaniepokojenia. Lizzie szybko naciska kciukiem pilota. Telewizor milknie.

— Co oglądacie? — pyta Margaret w nadziei, że jakoś pogodzi się z Lizzie, ale przerywa jej histeryczny wrzask:

— Zamknij drzwi!

Margaret zastyga, potem wzrusza ramionami i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Zastanawia się, co oglądali, ale jest zbyt wyczerpana własnym popołudniem, żeby naprawdę się tym przejmować. Źle się czuje, ręce jej drżą i jest bardzo spragniona. Pewnie odwodnienie po paleniu trawki. Staje przy zlewie kuchennym i wypija trzy szklanki wody z rzędu. Dopiero po trzeciej przypomina sobie, że nie zapytała Jamesa, czy wie, co jest nie w porządku z jej matką.

*

Margaret kończy dzień długą, niespokojną drzemką. Kiedy się budzi, zapada zmierzch. Leży w łóżku, ubrana tylko w poszarpane majtki, przytłoczona wspomnieniami wydarzeń popołudnia. Ledwie parę godzin temu uprawiała seks. Po raz pierwszy od... Boże, pięciu miesięcy? Minęło tyle czasu, odkąd Bart z nią zerwał? Bart był agresywnym kochankiem — miał w sobie coś brutalnego, co zawsze sprawiało, że czuła się posiniaczona. Seks z Jamesem, dla porównania, przypominał pływanie w Morzu Karaibskim, był ciepły i rozkołysany.

Zamyka oczy i widzi lazuruwe morze. Biały piasek. Nowego kochanka, z którym jedzie do Meksyku. Nowego kochanka, który rzucił studia i nałogowo pali trawkę, i wlecze ją do Meksyku, żeby zapuściła dredy i żyła jako barmanka z mini małą pensją. Nie, myśli, to stary model myślenia. Pojedzie z nowym kochankiem, wolny duch nieskrepowany drobno mieszczańskimi zasadami, by zamieszkać w złotym blasku słońca, daleko od przesady amerykańskiej kultury, wolna od sądów zachodniej cywilizacji, ukryta przed firmami windyka-

cyjnymi. Wszystkiego jest za wiele, wszystko dzieje się za szybko. Brzemienna w skutki decyzja przytłacza ją niczym fala i nie jest pewna, czy przyspieszony puls jest wynikiem podniecenia, czy może paniki.

Dom jest cichy. Margaret przeciąga się i zmusza do wstania z łóżka. Chwiejnym krokiem podchodzi do okna, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Lewą nogę ma zdrętwiałą po spaniu.

Wygląda przez okno na podwórko za domem. Wreszcie znad oceanu przypełzła letnia mgła, przynosząc jednolicie szare niebo i temperatury tuż poniżej przyjemnych. Ogród wygląda mało pociągająco w płaskim świetle, róże przekwitają, kwiaty na rabatach gonią resztkami sił. Na meblach ogrodowych leżą rozrzucone kolorowe czasopisma, a na środku trawnika wala się opakowanie po snickersie.

Margaret patrzy dalej, na basen, i zamiera, nie całkiem pewna, co widzi. Mruży oczy, próbując przebić wzrokiem wieczorny mrok, i zamiera.

Lizzie unosi się twarzą w dół w basenie, z rozłożonymi rękami, z nogami lekko zanurzonymi. Jej ciało dryfuje powoli, tworząc maleńkie fale na skądinąd gładkiej powierzchni. Najwyraźniej nie porusza się od paru minut.

Margaret serce zamiera. Szarpie klamkę, otwiera siatkę i wrzeszczy:

— Lizzie!

Lizzie nie zdradza oznak życia.

Margaret wybiega z domu, nie zdając sobie sprawy, że ma na sobie tylko majtki. Skacze po trzy stopnie naraz i biegnie w chłodnym wieczornym powietrzu, wyobrażając sobie głowę Lizzie pękniętą po nurkowaniu w płytkiej części, przypadkowe przedawkowanie pigułek z apteczki (vicodin?), wylew krwi do mózgu. Samobójstwo? Uderza się w palec o kamień, skrzeczy z bólu, ostatnie trzydzieści metrów pokonuje na jednej nodze i skacze. Woda w basenie, ciepła po długim lecie, szarpie za

napiętą gumkę jej bawełnianych majtek. Margaret płynie szaleńczo w stronę najgłębszej części i łyka wodę, gdy stara się trzymać głowę nad powierzchnią.

Mrugając, bo chlor szczypie ją w oczy, próbuje zobaczyć unoszące się ciało Lizzie, wypatruje bąbelków powietrza z jej ust. Spostrzega wokół jej głowy coś dziwnego, bulwiastego i zniekształconego. Kiedy jest już blisko, ciało siostry się porusza. Lizzie przekreca się i spogląda na nią ze zdumieniem.

Dopiero teraz Margaret może zobaczyć maskę płetwonurka. Patrzą na siebie przez filtr z grubego plastiku.

Lizzie odrywa maskę z wilgotnym mlaśnięciem i przesuwa ją na czubek głowy. Ma siną pręgę na czole od nacisku plastikowego skraju i rzęsy sklezione przez wodę. Przygląda się Margaret i wyciera ślinę z kącików ust. Oszołomiona i bliska hiperwentylacji, z nosem pełnym szczypiącej od środków chemicznych wody, Margaret przestaje machać rękami, ale siła rozpędu niesie ją w stronę siostry. Oddycha z ulgą i przez chwilę się boi, że zaraz zacznie szlochać.

— Nie masz koszulki — zauważa Lizzie z irytująco zblazowaną miną. — Ani kostiumu kąpielowego. Lepiej, żeby James się nie zjawił, bo zobaczy twoje cycki. Och, chwila, już je widział.

— Myślałam, że nie żyjesz — wyrzuca z siebie Margaret. Jej sympatia gaśnie w obliczu antypatii siostry. Czyżby Lizzie nie zauważyła tej heroicznej akcji ratunkowej?

— Żyję. Dziwię się, że cię to obchodzi.

— Chryste, Lizzie, śmiertelnie mnie wystraszyłaś — mówi Margaret, słysząc żalosaną nutę w swoim głosie i usiłując odzyskać zimną krew. Ale jej serce wciąż łomocze dziko, kiedy myśli o martwej siostrze w basenie. — Więcej tego nie rób, dobrze? — dodaje może trochę zbyt gwałtownie. — Mama dostałaby ataku serca, gdyby cię zobaczyła.

Lizzie odyma usta.

— Nie próbuj mną rządzić.

Margaret pod pływa do brzegu i przytrzymuje się wyłożonej kafelkami krawędzi, próbując złapać oddech.

— Poza tym i tak za dużo czasu spędzasz w basenie. Palce ci zgniją od tych wszystkich chemikaliów.

Lizzie przewraca oczami.

— Wiesz, gdy zamkniesz oczy i unosisz się na brzuchu, czujesz się jak w kosmosie. — Pływa w miejscu pośrodku basenu, machając rękami, żeby utrzymać głowę nad wodą. — Wiedziałaś, że mają coś, co się nazywa komora deprywacji sensorycznej? Dają ci setkę dolców, żebyś weszła do takiego obłądnego zbiornika z wodą, potem gaszą światła, a ty się tylko unosisz? Niczego nie widzisz, nie słyszysz ani nie czujesz. Widziałam w telewizji. Ludzie odlatują i tracą rozum. Mówią, że to jak bycie martwym.

— Co się z tobą dzieje? — pyta Margaret. Wreszcie oddycha wolniej. — Masz czternaście lat, na litość boską. Daj sobie spokój z tą makabrą, jesteś za młoda.

— To, że Bart rzucił cię dla Ysabelle van Lumis, nie daje ci prawa mówić każdemu, co ma robić. Ani każdego okłamywać.

— Nie rzucił mnie dla Ysabelle. To było bardziej skomplikowane.

— Mniejsza z tym. — Lizzie płynie w jej stronę i zatrzymuje się na wyciągnięcie ramienia. — Twojego zdjęcia nie widziałam w „US Weekly”. Ale rzecz w tym, że moje życie też jest do chrzanu, wiesz.

— Nie może być tak źle.

— Nie masz pojęcia.

— Mów, śmiało.

Lizzie łypie na nią wrogo, oczy ma zaczerwienione od chloru, drży jej dolna warga. Skórę ma ściągniętą i pulchną jak noworodek. Patrzenie, jak próbuje utrzymać się na powierzchni, jest niemal nie do zniesienia. Lizzie zanurza podbródek i wypluwa haust wody.

— Jestem w ciąży — oznajmia, a potem wybucha płaczem.

W głowie Margaret gorące żółte oczyszczające słońce Meksyku zachodzi szybko i niespodziewanie, wpada do lazurowego oceanu i znika z pola widzenia. Margaret instynktownie wyciąga rękę, zamyka miękkie ciało histeryzującej siostrzyczki w opiekuńczych ramionach.

— Nie martw się — mówi do czubka mokrej głowy, gdy przywierają do brzegu basenu. — Pomogę ci.

Lizzie wtula nos w dołeczek przy jej obojczyku, pociągając nosem, a Margaret, wciąż oszołomiona, myśli, że nigdy dotąd nie czuła się taka stara.

Lizzie siedzi przy lakierowanym na lawendowo biurku w kącie swojego pokoju. Po prawej stronie leży *Biblia Błogość!*, jakby obgryziona na brzegach, z kartkami pomarszczonymi od rozlanej coli, kawałek snickersa zlepiła ewangelie Mateusza i Łukasza. Po lewej stronie leży broszura z oślimi uszami, którą rano znalazła pod drzwiami, wsuniętą przypuszczalnie przez Margaret. Pięciocentymetrowe różowe litery tytułu oznajmiają: *Wybór to prawo kobiety*. Poniżej widnieje rysunek twarzy dziewczyny z końskim ogonem, z wielkimi obręczami w uszach, z jedną ręką wyzywająco zaciśniętą w pięść.

Lizzie otwiera broszurę i czyta pierwszy akapit. „Siedemdziesiąt siedem procent przeciwników aborcji stanowią mężczyźni. Sto procent z nich nigdy nie zajdzie w ciążę. Rząd ma nie większe prawo rządzić łonem kobiety, niż decydować, co mężczyzna ma robić ze swoim penisem”. Przewraca kartkę. „To Twój wybór. Przez trzydzieści lat Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych bronił prawa kobiety do decydowania, co ma robić z własnym ciałem. Nie pozwól, żeby przeciwnicy aborcji zbałamucili Cię swoimi kłamstwami”. I dalej: „Aborcja jest jednym z najbezpieczniejszych zabiegów medycznych, nie bardziej niebezpiecznym niż wyrwanie zęba”. Poniżej jest zdjęcie uśmiechniętej lekarki ze stetoskopem na szyi.

Lizzie rzuca broszurę i podnosi Biblię. Otwiera na aneksie. Pod słowami „Co Bóg myśli o...” znajduje szereg palących kwestii: „Seksie przedmałżeńskim?”, „Masturbacji?”, „Oszukiwaniu na sprawdzianach z matmy?”, „Niegrzecznym zachowaniu wobec mamy?” i „Przeklinaniu?” ze wskazaniem, w którym miejscu w Biblii może znaleźć osobisty punkt widzenia Boga na poszczególne zagadnienia.

Słowo „Aborcja” widnieje na samym początku strony i ma tylko jeden odnośnik. Księga Wyjścia 20:13, strona 133. Lizzie otwiera Biblię na stronie sto trzydziestej trzeciej i czyta: „Nie zabijaj!!!”. Zdanie jest podkreślone na czerwono.

Od tego wszystkiego boli ją głowa. Poddaje się i bierze pęsetę, dziś skupiając uwagę na włoskach, które rosną na placach stóp, obiecująco grubych i szczeciniastych. Wyskubuje jeden i ma wrażenie, że ktoś ukłuł ją igłą w paluch. Skóra wokół mieszka różowieje i puchnie zadowolająco. Lizzie szarpie następny. Wodnisty śluz kapie jej z nosa. Ogarnia ją spokój. Jedynym wrażeniem jest pieczenie w stopie. Myśli o losie ciąży odpływają, podobnie jak nieprzyjemne wspomnienie nagrania wideo, które wczoraj oglądała z Markiem. Sceny prześladowały ją przez cały ranek, choć starała się o nich zapomnieć, aż w końcu nie była pewna, czy ma zawroty głowy z powodu tego, co rośnie jej w brzuchu, czy z powodu filmu odtwarzanego w pamięci.

Kończy pierwszą stopę i zaczyna skubać drugą, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Lizzie rzuca pęsetę do szuflady i kuśtyka, żeby otworzyć. Margaret stoi w progu. Jej suknia frotowa strzępi się na rąbku, materiał, na początku lata pomarańczowy jak pacholek na drodze, teraz jest poplamiony i łagodnie brzoskwiniowy. Margaret ściska pod pachą książkę z oślimi uszami. Lizzie przekrzywia głowę i czyta tytuł na grzbiecie: *Twoje ciało, Twoje życie. Feministyczny przewodnik po prawach reprodukcji*.

Lizzie nigdy tak naprawdę nie rozumiała tego całego feminiz-

mu Margaret — czy to naprawdę coś ważnego? Nawet słowo „feminizm” wydaje się zatechłe, bardziej pasuje do testu z historii niż do jej życia. O ile wie, kobiety na świecie mają się całkiem dobrze, na przykład noszą coraz fajniejsze ciuchy. Nie ma nic przeciwko, gdy od czasu do czasu chłopcy otwierają przed nią drzwi. Nawet chce, żeby to robili.

Margaret wchodzi do pokoju, odsuwa na bok zmiętą kołdrę i sadowi się na brzegu materaca. Pochyla się i splata ręce na kolanach.

— Pogadajmy.

— OK — mówi Lizzie z drzeniem, siadając obok niej. W jej jasnych oczach widzi, że czeka ją kazanie. Kazanie oznacza oczekiwania, jakich nigdy nie spełni, a teraz nie jest pewna, czy może zadowolić kogokolwiek. Co dopiero siostrę, która przez całe lato zachowywała się jak apodyktyczna, kłamliwa zrzęda.

— Najpierw chcę powiedzieć, że wiem, iż byłam wredną siostrą. Byłam zajęta własnymi sprawami, kompletnie pochłonięta sobą i najwyraźniej nie poświęcałam ci dostatecznej uwagi. I wiem, okłamałam cię, co się dzieje w moim życiu, i to było nieuczciwe. I nie miałam prawa atakować cię w związku z Markiem Weatherlove'em. Jest twoim kolegą i powinnam zaufać twojemu osądowi. Co mogę powiedzieć z wyjątkiem tego, że naprawdę jest mi przykro?

— OK. — Lizzie zdobywa się na nikły uśmiech. Promyk nadziei przebija się przez mrok chaosu. Nie spodziewała się przeprosin, jej siostra nieczęsto przeprasza. Zawsze uważała, że to dlatego, iż zawsze ma rację, ale ostatnio doszła do innego wniosku: Margaret nie przeprasza, bo nie lubi się mylić. Może, myśli, Margaret naprawdę pomoże jej wszystko rozwiązać. — Miałś Barta na głowie i tak dalej.

— Zapomnij o Barcie — mówi Margaret, machając ręką, jakby wypędzała go z pokoju. — Porozmawiajmy o tobie, zakładam, że przeczytałaś broszurę, którą ci podrzuciłam?

Była... sama nie wiem. Trudna.

Margaret znów macha ręką.

— Tak, to przestarzała retoryka. Ale przejdźmy do rzeczy. Po pierwsze, rozumiesz, że nie jesteś sama, prawda? Założę się, że czujesz się naprawdę samotna, ale za tobą stoją legiony kobiet.

— Tak? — Lizzie nie jest pewna znaczenia słowa „legiony”, ale zaczyna podejrzewać, że dyskusja nie będzie obiektywna.

— Przetarły drogę, dzięki czemu sytuacja, w jakiej się znalazłaś, nie musi być traumatyczna.

— Och — mruczy Lizzie. — Znam je?

— No nie.

— Jak w takim razie mogą stać za mną? — pyta Lizzie, świadoma, że niepotrzebnie utrudnia, ale nie może się powstrzymać. Udawanie głupka jest jedynym znanym jej sposobem dręczenia siostry.

Margaret wzdycha z irytacją.

— OK, zła metafora. Daj spokój. Mówię tylko, że masz do pomocy cały ruch feministyczny. Zakładam, że ojciec nie bierze żadnej odpowiedzialności, prawda? Kto jest ojcem? Mark?

— Nie.

— Zatem...

Lizzie milczy przez chwilę.

— Nie jestem pewna, naprawdę. Margaret szeroko otwiera oczy.

— Rany. Rany boskie! Lizzie, nie miałam pojęcia. Lizzie rumieni się z niespodziewanej dumy, gdy dochodzi do

wniosku, że zrobiła wrażenie na siostrze. Wspomina Margaret w szopie, w sukience zebranej wokół talii, ze stojącym nad nią Jamesem, i rumieni się jeszcze bardziej na myśl o dzieleniu wspólnych doświadczeń. Tak, oczywiście, Margaret to zrozumie.

Ale leżąca na biurku różowa książka przyciąga jej oko i znów omywa ją fala udreki.

— Ale to grzech — przypomina sobie na głos. — Nie ma w tym nic zabawnego.

Margaret krzywi twarz.

— Kto ci powiedział, że to grzech? Przyjemność. Pożądanie jest naturalnym instynktem ludzkim. Nie powinnaś być zawstydzona seksualnym przebudzeniem. Przypisujemy popęd płciowy wyłącznie chłopcom, a dziewczętom wmawiamy, że przez okazywanie zdrowej seksualnej ciekawości staną się dziwkami. To podwójna miara i naprawdę nie powinnaś padać jej ofiarą, OK? Właśnie to próbowałam przekazać w „Snatchu”.

— OK — mówi Lizzie, trochę pocieszona wsparciem siostry, nawet jeśli niezupełnie rozumie, co Margaret próbuje powiedzieć.

— Wiesz, ja też straciłam cnotę w liceum — wyznaje Margaret i gładzi ją po ramieniu. — W ostatniej klasie. Z facetem z Modesto w czasie wiosennej konferencji kółek dyskusyjnych w Los Angeles. Zdobył srebrny medal za mowę na temat radykalnego ekoaktywizmu. Seks był raczej nieciekawym, prawdę mówiąc, do luzu, ale nie czułam się zawstydzona i ty też nie powinnaś się wstydzić.

Lizzie myśli o swoim zachowaniu i pragnie, żeby ta rewelacja poprawiła jej samopoczucie, ale brzmi tak niewinnie w porównaniu z tym, co sama robiła. Podejrzewa, że gdyby Margaret знаła prawdę, nie byłaby równie wyrozumiała. Milczy przez minutę, podczas gdy ręka siostry grzeje jej kark, ale w końcu nic może znieść dalszego oszukiwania.

- Ale ja spałam z sześcioma facetami — wypala. — W niespełna trzy miesiące.

Oczy Margaret wyglądają tak, jakby miały wyskoczyć z orbit i spaść na dywan.

- Jezu!

Ich mimowolny wybuch sprawia, że Lizzie chce wpełznąć pod kołdrę i zostać tam na zawsze. Miała rację. Margaret głośno przełyka ślinę i ścisza głos:

To znaczy, nie osądzam cię, ale rany boskie, Lizzie, naprawdę przejęłaś władzę nad swoją seksualnością.

— Dzięki, chyba — mamrocze Lizzie, wciąż myśląc o jej wybuchu.

— Nie używaliście prezerwatyw?

— W zasadzie tak, ale parę razy zapomniałam.

— Cóż, przypuszczam, że to będzie porządną nauzką. W przyszłości pamiętaj, nie ma prezerwatywy, nie ma seksu, OK? Mam ci opowiedzieć o chorobach przenoszonych drogą płciową?

— Nie, nie trzeba. — Lizzie nie ma ochoty na wysłuchiwanie kolejnego wykładu. Oczywiście miała edukację seksualną, po prostu ją zignorowała. Patrzy na siostrę. Margaret siedzi wyprostowana jak lizuska Marci Schumacher na lekcji angielskiego, gdy ma zamiar zgłosić się do odpowiedzi. Głęboka bruzda marszczy jej czoło, a jednak wygląda niemal na szczęśliwą. Policzki ma zarumienione, ramiona wyprostowane. Lizzie wpada do głowy, że Margaret jest bardziej zaangażowana w jakiś wewnętrzny dialog niż w rozmowę z nią, że uważa się w tej sytuacji za kogoś w rodzaju bohatera, starszą mądrą siostrę. I choć czuje powrót dawnego podziwu, jednocześnie myśli, że w zachowaniu Margaret jest coś smutnego: czy jej życie jest takie nudne, że to kazanie jest wszystkim, co ją ekscytuje?

— Pewnego dnia będę musiała zabrać cię do Dobrych Wibracji i sprawić ci przybory z prezerwatywami, żeby to się więcej nie powtórzyło. Ale tymczasem porozmawiajmy, co zrobić. Jedna z moich dawnych koleżanek z Berkeley prowadzi Klinikę Planowego Rodzicielstwa w San Francisco. Rozma wiałam z nią rano i powiedziała, że może wcisnąć cię na wizytę już jutro. Naprawdę nie powinnaś czekać, im prędzej to zrobisz, tym łatwiej pójdzie.

— Co ma pójść łatwiej? — Lizzie podejrzewa, że już zna odpowiedź, i robi jej się niedobrze.

— Aborcja, oczywiście.

Lizzie sztywnieje. Wyczuwała, co nadchodzi, ale słowa siostry z siłą wybuchu atomowego niszczą jej własną wolę.

— Tak naprawdę nie zdecydowałam się na aborcję — mówi. Jej głos brzmi bardzo cicho.

— Och. — Margaret nie kryje zaskoczenia. Patrzy na swoją dłoń, jakby miała tam wypisaną ściągę. — Bądź rozsądna, Lizzie, naprawdę nie ma innego wyjścia. Masz czternaście lat, na miłość boską, jesteś o wiele za młoda na dziecko. Co zrobisz? Rzucisz szkołę, żeby się nim zająć? Będiesz zdawać maturę z dzieckiem w nosidełku na plecach? A co ze studiami? Co z karierą? Chyba nie chcesz narazić całej przyszłości dla dziecka.

Prognozy siostry przywodzą jej na myśl te okropne programy telewizyjne dla młodzieży i robi jej się słabo, gdy nagle widzi siebie jako bohaterkę jednego z nich. Matura? Studia? Praca? Jeszcze nawet nie myślała, gdzie chce studiować, choć studia zawsze kojarzyły jej się z imprezami. Chłopcy. Bez rodziców. Przez krótką chwilę jest skłonna przystać na plan siostry. Coś jednak ją powstrzymuje.

— Ale — protestuje nieśmiało.

— Ale co?

— Ale Bóg mówi, że aborcja jest morderstwem. I że pójdę do piekła.

— Och, Lizzie — wzdycha Margaret, kręcąc głową. — Nawet nie wiem, od czego zacząć.

— Co?

— To wszystko propaganda. Fanatycy religijni lansują swoje pokręcone pojęcie moralności — moralności, nawiasem mówiąc, opartej na fikcyjnych opowieściach napisanych przez polityków sprzed dwóch tysięcy lat w taki sposób, żeby odpowiadały ich potrzebom politycznym, a nie przez jakiegoś wszechwiedzącego „Boga” — Margaret potrząsa dwoma palcami w powietrzu, jakby zaznaczała cudzysłów. — Chcą cię przekonać, żebyś poświęciła własne życie dla czegoś, co w tej chwili jest niezdolną do życia zbitką komórek wielkości orzeszka pistacjowego. Aborcja nie jest morderstwem, nie bardziej

niż wycięcie migdałków. Ludzie w tym twoim kościele wpędzili cię w poczucie winy, nazywając to grzechem, żeby zyskać przewagę moralną.

Lizzie nie jest przekonana. Myśli o miłym pastorze Dylanie i czuje się zmuszona stanąć w obronie kościelnych przyjaciół.

— Oni mnie nie winą. Kochają mnie.

— Kochają cię? — parska Margaret. — Ledwo ich znasz. Ile razy byłeś w kościele, cztery? pięć? I będziesz przedkładać ich słowa nad to, co mówi twoja siostra?

— Ale ja myślę, że to złe. Zabijanie dziecka. Margaret siada i pociera skronie.

— To jeszcze nie jest dziecko. Nie czytałaś...? Wiesz co? Daj sobie spokój. Pomińmy stronnicze argumenty i porozmawiajmy logicznie. Co zrobisz? Urodzisz dziecko? Sama je wychowasz? Bez ojca do pomocy?

Lizzie myśli o dzieciach. Tak naprawdę nie zna żadnego niemowlęcia; jedyne, jakie pamięta, widziała u kuzynki ze strony ojca, gdy odwiedziła ich parę lat temu. Maleństwo, mięciutkie i ciche, przez cały czas spało w foteliku i było ubrane w różową sukienkę z delikatnego kaszmiru, którą kuzynka sama zrobiła na drutach. Najlepiej pamięta stopki dziecka, maleńkie, delikatne i idealne, jak u lalki. Pieściła te stopki godzinami.

— Nie wiem — mówi. — Może. Jestem pewna, że mama pomoże. Mama kocha dzieci.

— Mama kocha dzieci, które nie należą do jej nastoletniej córki.

Lizzie zamyka oczy i widzi wizję przyszłości: fotel na biegunach, pachnąca słodko maleńka dziewczynka, która nic nie potrzebuje nikogo poza nią. Będzie musiała odejść z Miliard Fillmore High, jak ostrzega siostra, ale prawda wygląda tak, że nie będzie miała nic przeciwko, że jej noga nigdy więcej nie postanie na terenie szkoły. Może przeskoczy końcówkę liceum i wejdzie prosto w świat dorosłości. Wynajmie mieszkanie

i sama wychowa dziecko. Jak w *Gilmore Girls*, będą najlepszymi przyjaciółkami. Może Mark Weatherlove zechce z nimi zamieszkać. A Becky będzie opiekunką.

Czy to źle, że dziecko nie będzie miało ojca? Zastanawia się nad własnym ojcem, myśląc, dziwne, o jego starych butach golfowych, które pewnego dnia znalazła w szafie w korytarzu, porzuconych, zakurzonych i pachnących pleśnią. Nagle czuje ukłucie bólu i zbiera jej się na płacz, bo tak bardzo potrzebuje jego miłości. Ale gdyby go nie знаła, teraz nie miałaby czym się przejmować, prawda? Zgodnie z tą logiką jej dziecko nigdy nie będzie się czuło zawiedzione ani porzucone przez ojca, ponieważ ojca nie będzie. To naprawdę dobre. Oczywiście, jeśli urodzi się chłopiec, może potrzebować mężczyzny jako wzoru do naśladowania, ale w tę rolę mógłby wcielić się ktoś inny. Na przykład Mark.

Chcę być dobra, myśli. Wydaje się jasne, że dziecko jest czymś dobrym, czystym i doskonałym, antidotum na wszystkie straszne rzeczy, jakie zdarzyły się w całym jej życiu. Będzie jej miniaturką, tylko bez jej wad. A jej obowiązkiem będzie ochrona dziecka i nikt — nawet mama czy siostra, bo swoją drogą co one wiedzą o wychowywaniu dzieci? — nie będzie mógł jej mówić, co ma robić. Będzie samodzielna. Tylko ona i dziecko. Tak bardzo będzie je kochać. A ono odwzajemni miłość.

Lizzie otwiera usta. Mówi powoli i starannie, wiedząc, że niewłaściwe słowa zirytują siostrę.

— Zrobiłam źle wszystko, co mogłam. To znaczy, złamałam prawie wszystkie dziesięć przykazań. Cudzołożyłam, za-zdrościłam, kłamałam i kradłam. Reszty nie pamiętam, ale pewnie też to zrobiłam. Mam tylko dwoje przyjaciół na całym świecie i myślę, że tata mnie nienawidzi, mama pewnie też. Ale, Margaret, to jest coś, co mogę zrobić. To znaczy, mogę dać życie. Jak coś takiego może być złe?

Margaret tylko na nią patrzy, twarz jej się wydłuża. Wygląda, jakby zaraz miała się rozplakać.

— Lizzie, zbyt surowo się oceniasz. Jesteś wspaniałym dzieckiem. Proszę, nie wątp w siebie. Jesteś niezwykła. Jest o wiele za wcześnie, żebyś miała siebie znienawidzić.

Zwykle Lizzie uwielbia słuchać takich rzeczy, ale już wprawiła się w stan narastającej skruchy, żalostnej wiary w przekonanie o własnej racji.

— Nie — mówi ponuro. — Potrzebuję odkupienia.

— Myślisz, że znajdziesz odkupienie, rodząc dziecko? — pyta Margaret. — To po prostu naiwne. Wiem, że jesteś na to za mądra.

Lizzie prostuje plecy, podnosi Biblię i kładzie na kolanach. Przyciska dłoń do fakturowanej okładki i próbuje napęlić się siłą Jaśnie Pana. Myśli, że w brzuchu, gdzie rośnie dziecko, czuje białe światło, jakby lekkie gryzienie. Musi stawić opór cynicznemu światopoglądowi siostry.

— Nie. Nie dokonam aborcji — oświadcza tak silnym głosem, na jaki może się zdobyć. To zaskakująco łatwe.

Margaret gwałtownie wciąga powietrze przez nos. Jest to pełne napięcia westchnienie.

— OK, w takim razie możemy rozważyć możliwość adopcji. Tysiące ludzi są gotowe zabić za zdrowe białe dziecko.

— Nie, Margaret. Nie rozumiesz? Ja chcę mieć dziecko. Margaret pociera kark palcami i wpatruje się w podłogę.

Mija długa minuta. Mówi powoli, głosem szorstkim i niskim:

— Posłuchaj, wywieram na ciebie nacisk, i to nie jest uczciwe. Zdaję sobie z tego sprawę. Potrafisz sama zdecydować, racja? Prawo wyboru. Nie prawo do wyboru aborcji. Racja. O to chodzi w feminizmie. Więc w porządku. Zrobisz coś dla mnie, Lizzie? Nie podejmuj decyzji teraz. Po prostu o tym pomyśl. Przełożę wizytę w klinice i podrzucę ci parę pozycji do przeczytania. I może porozmawiamy znowu, gdy obie trochę ochłoniemy.

Lizzie uważnie obserwuje siostrę, uświadamiając sobie, że purpurowe plamy na jej policzkach i napięte ścięgna na szyi już

nie świadczą o zadufaniu wszytkowiedzącej mądrali, ale są oznaką prawdziwego zdenerwowania. Rozumie, że wygrała tę bitwę, i po chwili czuje radość płynącą ze swojej siły. Kto by przypuszczał, że tak łatwo zdoła pokonać nieustraszoną Margaret? Ale widząc jej żalną minę, chce się poddać, po prostu po to, żeby siostra znowu wyglądała na szczęśliwą.

Opiera się temu impulsowi. Myśl o dziecku, przypomina sobie. Różowa stopka w dłoni.

— Nie zwracaj sobie głowy — mówi. — Już zdecydowałam.

Margaret zupełnie traci panowanie nad sobą. Zrywa się z łóżka jak rażona prądem, jej ręce unoszą się sztywno i zastygają pod kątem trzydziestu stopni względem tułowia. Oczy ma wilgotne, choć nie wiadomo, czy są to łzy gniewu, czy frustracji. Zaciska pięści i wygląda tak, jakby chciała kogoś uderzyć — ją? — w twarz. Lizzie się kuli.

— Lizzie! Nie możesz pozwolić, żeby ci to zrobili!

Po raz pierwszy w życiu Lizzie boi się siostry. Ochronnym gestem dotyka brzucha, czując gruby pas ciała pod kostiumem karmelowym, i zastanawia się, czy dziwne skurcze, które czuje, to ruchy dziecka.

— To moja decyzja. — Słyszy ciężki łomot własnego serca. Mam, bam, bam, tłucze się w klatce piersiowej. Serce bije tak głośno, że szyby drżą w oknach. Bam, bam, bam. Potem uświadamia sobie, podobnie jak Margaret, że dźwięk płynie z dołu, gdzie ktoś wali w drzwi na tyłach. Dzwoni dzwonek, następuje krótka chwila ciszy, po czym znowu zaczyna się walenie.

— Odejdź! — woła Margaret, nie ruszając się z miejsca, z rękami wciąż zaciśniętymi w supły furii.

— Kto to? — pyta ją Lizzie.

Margaret nic nie mówi, ale jej twarz się ściąga, gdy hałas nie ustaje. Dla Lizzie jest jasne, że siostra nie chce, żeby ona podeszła do drzwi — dlaczego? Strach, że ją uderzy, nagle

ustępuje ciekawości, ale również poczuciu siły. Ma przewagę: podjęła decyzję, zmusiła ją do ustąpienia i teraz Margaret jest po prostu sfrustrowana, że jej nie posłuchała. Ma ochotę pobiec do drzwi, po prostu po to, żeby zrobić jej na złość. Ponieważ może.

— Nie zejdziesz? — pyta.

— Niech mama otworzy.

— Mama ostatnio niczego nie robi. — Lizzie patrzy na siostrę, ciesząc się tym nowym poczuciem siły.

Ale Margaret stoi w miejscu.

— Nie ruszę się, dopóki nie obiecasz, że będziesz bardziej otwarta na tę sprawę. Zajrzyj do kliniki, porozmawiaj, to wszystko.

— Dobra, rozumiem — mówi Lizzie. Odwraca się i pędzi do schodów, skacze po dwa stopnie naraz, przesuwając rękę po poręczy. Słyszy, jak Margaret krzyczy: „Nie!”, ale nie zwraca na nią uwagi. Łąduje na podeście z łupnięciem, które przyprawia ją o skurcz żołądka.

Margaret biegnie za nią, potyka się i zjeżdża na sam dół. Lizzie nawet się nie odwraca. Pędzą przez dom, bose stopy plaskają o deski, zostawiając ślady w kurzu, którego nikt nie ścierał od tygodnia. Lizzie wpada na futrynę drzwi kuchennych, krzywi się, myśli o dziecku. Margaret chwyta ją za ramię kostiumu kąpielowego i ciągnie mocno, ale Lizzie się wyrywa. Elastik strzela, aż piecze ją skóra.

— Auć! — wrzeszczy.

— Nie podchodź do drzwi! — błaga Margaret.

— O co ci chodzi? — Lizzie okrąża wyspę w kuchni zastawioną brudnymi naczyniami i pełną kawałków trzydniowej pizzy. Strąca ręką na wpół opróżniony kartonik z zepsutym sokiem pomarańczowym i śmierdząca zawartość obryzguje szafki.

Pierwsza dociera do tylnych drzwi, o parę sekund przed siostrą, i otwiera je gwałtownie. James stoi na wycieraczce. Na

głowie ma pamiątkowe sombrero, które wygląda na lekko spleśniałe.

— *Hola* — mówi. — Jest Margaret?

— A, to ty. — Lizzie nie jest pewna, kogo miała nadzieję zobaczyć za drzwiami — Barta? Ysabelle van Lumis? Ojca? — ale na pewno nie jego. Widok Jamesa, którego oglądała ostatnio w szopie ze spodniami spuszczoneymi do kostek, przyprawia ją o rumieniec, on jednak nie wydaje się ani trochę speszony. — To tylko twój chłopak — zwraca się do siostry, która hamuje za jej plecami, zadyszana. — O co chodzi?

James patrzy nad jej ramieniem na Margaret.

— *Hola*, Margarita. Gdzie twoja walizka? Gotowa do wyjazdu?

Lizzie spogląda na Jamesa, potem na Margaret, która zdecydowanie wygląda na zdenerwowaną.

— Dokąd się wybierasz, Margaret?

James poprawia sombrero, opuszczając je tak, że można odczytać wyszyty napis: „Ferie wiosenne w La Vida Loca '01”.

— Zwiewam z twoją siostrą do Meksyku — wyjaśnia. — Nie powiedziała ci?

— Do Meksyku? — pyta Lizzie.

— Do Meksyku? — powtarza ktoś inny. Janice stoi z ręką zaciśniętą na blacie, ubrana w atłasowy szlafrok mocno ściągnięty w talii. Wszyscy troje obracają się, jakby na dany znak, i wlepiają w nią oczy. Lizzie usiłuje sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała matkę w pozycji stojącej. Co najmniej pięć dni temu. Od dwóch dni nie widziała jej wcale, przemykając na paluszkach obok zamkniętych drzwi sypialni. Jesteś złą córką, myśli. Nie poświęcasz uwagi matce. To kolejny powód, żeby zatrzymać dziecko.

Janice wskazuje otwarte drzwi.

Usłyszałam pukanie. Ktoś walił i walił...? — Skupia spojrzenie na gościu, milknie i zwraca się do Margaret: — Co

James tu robi? Margaret, nie powiedziałaś mu? O co chodzi z Meksykiem?

— O nic — mówi Margaret i pyta Jamesa: — Słuchaj, możemy pogadać na osobności?

— Zamierzamy udać się na wygnanie — tłumaczy James, patrząc nad jej ramieniem na Janice i Lizzie. — Jedziemy do Puerto Escondido.

Lizzie trawi jego słowa. Czy siostra wyjedzie? Czy ją porzuca? Jej stalowa wola, ledwie parę minut temu zahartowana przez zwycięstwo, teraz roztapia się w kałużę galaretki cytrynowej. Nie chce zostać sama z dzieckiem, jeszcze nie. Jak ona może tak ją zostawiać?

Drży jej dolna warga, ale zanim może coś powiedzieć, odzywa się Janice:

— Nie możesz jechać z nim do Meksyku. — Jej głos jest ostry jak brzytwa.

— Nie jadę — oświadcza Margaret i zwraca się do Jamesa: — Poważnie. Zmieniłam zdanie. Jestem potrzebna tutaj.

— Mówię serio. Nie lubię, jak spędzasz z nim czas — kontynuuje Janice, jakby nie słyszała jej słów.

Margaret przenosi spojrzenie na matkę.

— Dlaczego?

— Bo nie — odpowiada Janice z naciskiem. Staje za nią i ściska jej ramiona. — Bo tak powiedziałam. A jestem twoją matką.

Margaret się wyrywa. Ramiączko zaciśnięte w rękę Janiec pęka i Margaret chwytą je, żeby suknia nie spadła.

— Co, do licha? Czyżby jakaś dyskryminacja klasowa? Nie chcesz, żeby twoja córka zadawała się z wynajętym pomocnikiem? O to chodzi? Chryste, mamó, było podobnie, gdy odeszłam z Bartem. Nie był dla mnie „dość dobry”, wywierał na mnie „zły wpływ”, bo nie ukończył Harvardu ani nie miał praktyki prawniczej. Ha, wiesz, co sobie myślę? Myślę, że po prostu się boisz, że twoja córka może być prawdziwym nie-

udacznikiem. Myślę, że się boisz, że jestem dowodem, że cała struktura społeczna, w którą zawsze wierzyłaś, która określiła całe twoje życie, w rzeczywistości jest pusta, i że ani ty, ani ja nie jesteśmy lepsze od nikogo innego. — Jaka się coraz bardziej w trakcie tej przemowy.

Lizzie spogląda na swoje ramiona i widzi gęsią skórę, nie z zimna, ale z lęku. Analizuje mowę siostry i dostrzega ziarno prawdy: mama za bardzo przejmuje się tym, co myślą inni. Ale czy Margaret również się tym nie przejmuje? Jeśli nie, dlaczego zawsze starała się być najmądrzejsza? To nowe zrozumienie przyprawia ją o dreszcz. Ma wrażenie, że niewidzialny sznur mocno wiąże ją, siostrę i matkę, że wszystkie trzy zawsze starały się sprostać jakimś nierealistycznym wymaganiom. Biedna Margaret. Biedna matka. Biedne one wszystkie.

Ale Janice ma zmieszana minę.

— Wcale nie o to chodzi — mówi zduszonym głosem.

— Tak naprawdę — wtrąca James — mój tata był dentystą. W Great Neck. Nie należał do klasy robotniczej.

Lizzie doznaje olśnienia—jeśli Margaret planowała na dziś wyjazd do Meksyku, to znaczy, że wcale nie miała zamiaru lechać z nią do kliniki.

— Nie mogę uwierzyć, że mi nie powiedziałaś o wyjeździe do Meksyku — zwraca się do Margaret z wyrzutem, teraz wyobrażając sobie inną przyszłość, w której siostra jedzie z nią do kliniki i trzyma ją za rękę, gdy jest usypiana przez lekarzy w niebieskich papierowych kitlach, a po wybudzeniu karmi rosołem z kluskami i lodami czekoladowymi, dopóki nie poczuje się lepiej. Cierpi z powodu utraty przyszłości, która, jak teraz sobie uświadamia, ostatecznie nie byłaby taka zła. — A co z moją wizytą? Chciałaś, żebym pojechała sama?

Margaret odwraca się.

- Nie, Lizzie, nie jadę do Meksyku. Mówiłam ci. Zostaję, >eby ci pomóc.

— Och. — Lizzie jest wciąż zbyt zatracona w melancholijnej wizji, żeby zrozumieć jej słowa.

— Jaką wizytą? — pyta Janice.

— Nie jedziesz? — pyta James. Opiera się o futrynę, ruchem wyrażającym przesadny zawód zdejmuje kapelusz i przyciska go do piersi. — Olewasz mnie?

— Nie. Nie jadę! Nie! Jadę! Na miłość boską, czy nikt mnie nie słucha?! — krzyczy Margaret. Uderza dłońmi w skronie, mocno, aż Lizzie wpada w przestach. — Chciałam jechać, Lizzie, ale gdy dowiedziałam się o twojej sytuacji, postanowiłam zostać. Pomóc. Coś zrobić. — Wydaje się, że mówi do siebie. Ramiączko sukni opada, odsłaniając część bladej piersi. Lizzie zastanawia się, czy Margaret wie, że prawie widać jej brodawkę. Chce, żeby wszyscy umilkli, cały ten zgiełk przyprawia ją o ból brzucha. Sytuacja jest taka pokręcona, że niema pojęcia, jak zacząć ją prostować. Żałuje, że życie nie ma klawisza przewijania wstecz, bo wówczas mogłaby cofnąć je do miejsca, kiedy dom był jeszcze normalny. Gdyby oni wszyscy mogli przewinąć wszystko do początku, czy nie zrobiliby wszystkiego lepiej?

— Ale mimo wszystko nie życzę sobie, żebyś się z nim zadawała — powtarza Janice.

Margaret odwraca się wściekle i poprawia suknię.

— A niby dlaczego? Obraża cię, że twoja córka, absolwentka prestiżowej uczelni, pieprzy się z czyszcicielem basenów? Wiedziałaś, że studiował na Columbi?

— Ty... — Janice nie może dokończyć zdania. Opiera się o skraj granitowej wyspy. — Ty się z nim...?

James wreszcie wychodzi za próg. Wbija sombrero na głowę

— Cholera, Margaret. To nie ma nic do rzeczy. Ona nie chce, żebyś się ze mną zadawała, bo jestem jej dealerem, o to chodzi.

Pierwsza myśl Lizzie: James handluje narkotykami? Nigdy nie widziała dealerów, ale nie sądziła, że wyglądają jak on

Potem, gdy analizuje resztę zdania, z którego wynika, że mama kupowała od niego narkotyki, kręci jej się w głowie. Jest zbita z tropu. Co? Nie! Co? Jej myśli rwą się i wirują chaotycznie. Ale nie jej jednej odebrało mowę. W kuchni panuje taka cisza, że słychać ptaki pluskające się w ogrodowej fontannie, samolot lecący po niebie.

Siostry patrzą na matkę, która jakby chwieje się lekko pod siłą ich spojrzeń. Szuka ręką stołka i opada nań ciężko.

— Dealerem? — powtarza Lizzie, patrząc na Jamesa, który teraz sunie od drzwi w stronę swojego samochodu. Ma wrażenie, że zaraz pęknie jej głowa. Niemożność przetworzenia danych. Alarm. Alarm. — Żartujesz. Mama bierze narkotyki? — Przenosi oczy na Margaret, potem znów na Jamesa, nie mogąc spojrzeć na matkę. — Jakie? Pali trawkę?

— Słuchajcie. Próbowiałem powiedzieć to Margaret. Wasza mama jest uzależniona od mety i chyba powinniście jakoś jej pomóc — mówi James. Lizzie nie jest pewna, czym właściwie icst meta, ale słowo „uzależniona” nasila zawroty głowy, gdy wraca myślą do pokazu slajdów w Trzask! i zdjęć uzależnionych oil koki bezzębnych dziwek z pustką w oczach. Patrzy na mamę, która może nie wygląda najlepiej, ale zdecydowanie nie icst wrakiem. To nie ma sensu.

— James! — Janice łapie się za głowę. — Dlaczego to zrobiłeś? Miałeś po prostu odejść.

— Meta? — Margaret stoi jak słup soli. — Dawałeś jej metę?

— Czy meta to koka? — pyta Lizzie, czując się wyłączona i kompletnie zagubiona. Nikt nie odpowiada.

James wzrusza ramionami.

Błagała o to. Ja tylko próbowałem trochę zarobić. Dziś uprzedaje się ten towar. Próbowiałem ją powstrzymać, ale mi groziła.

- Studiowałeś chemię — mówi Margaret. — To gówno zabija ludzi. Myślałam... Ale meta? I ty?

— Nie bądź hipokrytką, Margaret. Przez całe lato paliłaś ze mną trawkę.

Lizzie myśli, że ta nowa rewelacja w zasadzie nie jest niespodzianką, bo przecież wczoraj wyraźnie czuła woń trawki w domku w ogrodzie. Ale kiedy zbiera razem wszystkie informacje, dochodzi do wniosku, że przez całe lato w ich domu istniał zupełnie inny świat — świat potajemnego brania narkotyków i uprawiania seksu, podczas gdy ona wylegiwała się w basenie, o niczym nie mając pojęcia. Jak zwykle. Chce jej się płakać.

— Ale to co innego — kontynuuje Margaret. — Meta uzależnia.

— Zdziwiłabyś się, ile osób tutaj to bierze. Co najmniej jedna czwarta ludzi, u których czyszczę baseny.

— Już przestałam, Margaret — zaznacza Janice. — Skończyłam z tym tydzień temu. Po przyjęciu w klubie. Doszłam do siebie. Dlatego zwolniłam Jamesa. Dlatego byłam taka... powolna... przez cały tydzień. Ale teraz wszystko w porządku. — Wyciąga rękę do Margaret, która stoi, oszołomiona, po drugiej stronie wyspy kuchennej. — Przestałam brać.

Lizzie ma wrażenie, że stała się niewidzialna jak anonimowy widz na przedstawieniu teatralnym. Nic nie wydaje się realne, z wyjątkiem ściskania w dołku.

— Chyba zwymiotuję — oznajmia, lecz nikt nie zwraca na to uwagi.

Janice odwraca się w jej stronę.

— Lizzie... — zaczyna i urywa zagubiona.

— Wyjdź z domu, James, proszę — mówi Margaret. -Naprawdę, odejdz, zanim zapomnę, że mam moralne zastrzeżenie do prawa narkotykowego Kalifornii, i sięgnę po telefon, aby poinformować policję, że dealer mety zwiewa do Meksyku. Jestem pewna, że ucieszy ich ta wiadomość.

James wyraźnie się waha. Patrzy na Janice, która teraz przyciska czoło do granitowego blatu pomiędzy rękami.

— Pani Miller...

Janice lekko unosi głowę.

— Janice — poprawia go chrapliwym szeptem. — Ile razy mam ci mówić? Wystarczy Janice.

— Odejdź — powtarza Margaret.

James wzdycha i podnosi ręce. Zanim może coś powiedzieć, Margaret zatrzaskuje mu drzwi przed nosem z taką siłą, że dom drży w posadach. Szklanka stojąca na brzegu blatu drży, przechyla się i spada do zlewu. Kolebie się w komorze z nierdzewnej stali, cudem ocalała.

Lizzie patrzy przez okno, jak James idzie powoli do swojej ciężarówki. Przy drzwiach zdejmuje sombrero i rzuca je na skrzynię, gdzie leży walizka, gitara, kilka tekturowych pudeł. Lizzie wyobraża sobie, jak Margaret siedzi w kabinie obok niego, jak tył jej głowy maleje w dali. Zastanawia się, czy nie byłoby lepiej, gdyby odjechała. Razem z mamą. Niech wszyscy po prostu odejdą, James, mama i siostra. Gdy zostanie sama z dzieckiem i światłem Jaśnie Pana, wszystko okaże się prostsze.

Kiedy ciężarówka Jamesa odjeżdża z podjazdu, Margaret mówi:

— Nie do wiary... — Na pozór zwraca się do plamy soku pomarańczowego na podłodze. — To wprost nie do wiary. Moja mama uzależniona od mety...

— Co to jest meta? — wtrąca Lizzie. Margaret ciągnie dalej:

— ...ojciec porzucił rodzinę, siostra jest nawiedzoną nastolatką powiększającą statystyki ciąży, a ja jestem bezdomnym bankrutem bez chłopaka czy pracy. Gdzie my żyjemy, na jakimś zadupiu czy co? To mi się w głowie nie mieści. Wszystko jest takie... pokręcone.

Stanowcza Margaret z jej sypialni znikła. Ta Margaret, skamieniała ze łzami w oczach, w podartej frotowej sukni, wydaje się taka młoda. Lizzie przypuszcza, że gdyby podeszła i wzięła ją w ramiona, Margaret przestałaby mówić i zalała się

łzami. Drży, ponieważ światło w jej brzuchu znowu się rozpala, i czuje święty nakaz naprawy sytuacji. Czy zdoła?

Janice w końcu podnosi głowę i patrzy na nią dziwnie, jak na gościa z Plutona, który zmaterializował się w spiżarni. Lizzie widzi na jej policzkach ślady łez i wklejone w nie resztki pizzy. Poniewczasie dociera do niej, co powiedziała siostra. Odwraca głowę, żeby mama nie mogła zobaczyć jej twarzy. Jeszcze się nie zastanowiła, jak ma jej to powiedzieć.

— Statystyki ciąży? — pyta Janice. Strzepuje okruszek z wargi. — Co to znaczy?

— Nic — mówi Lizzie szybko. — Nic.

— Żadne nic, Lizzie — warczy Margaret. — Mamo, Lizzie jest w ciąży. Próbowałam ją przekonać, żeby przerwała, ale nic chce słuchać. Będzie miała dziecko, bo Bóg jej tak każe. — Zakrywa twarz ręką i mamrocze: — I chyba nigdy nie czytała „Snatcha”.

Janice przenosi oczy z jednej córki na drugą, bez śladu zrozumienia. Lizzie nie może znieść jej spojrzenia.

— Co to jest meta? — szepcze jeszcze raz, jakby odpowiedź mogła w jakiś sposób wyjaśnić chaos i zamęt w pokoju. Potem czuje, jak jej żołądek podchodzi do gardła, biegnie do zlewu i wymiotuje na sucho.

— Cięża? — powtarza Janice za jej plecami. — Nie. Przestań żartować, Margaret. To naprawdę nie jest śmieszne. Cięża! Nie... Lizzie? To prawda? Lizzie?

Lizzie patrzy na zniekształcone odbicie swojej twarzy w dnie nierdzewnego zlewu, plama brązowych włosów i różowego ciała kołysze się i kiwa, gdy próbuje wyrzucić kwaśny supel z dna żołądka. Ale nic nie wychodzi. Światło Jaśnie Pana w brzuchu gaśnie i zostawia spiralę bólu, jakby ktoś skręcał jej wnętrzności. Odwraca się powoli w stronę matki.

— Tak — mówi w jej przerażonych oczach widzi wszystkie rozczarowania, jakie sprawiła, wszystkie zawałone lekcje dykcji, nocne obżeranie się lodami i sobotnie wieczory, gdy z nikim się

nie umawiała. Lizzie przeży ramiona i prostuje kręgosłup, jak nauczyła się na zajęciach z baletu. Kładzie rękę na pępku, czując, jak podniszczony elastik kostiumu kąpielowego napina się mocno na brzuchu. Przywołuje miłość Boga — próbuje, bardzo bardzo mocno, poczuć ciepłą pociechę — i mówi: — Hęde miała dziecko. Czy to nie cudowne, mamó?

— Dziecko... — powtarza Janice. Jej ręce bezcelowo unoszą się w powietrzu, drżąc w widoczny sposób.

Zapada cisza. Lizzie patrzy, jak matka gwałtownie wciąga powietrze przez nos; oddechy zaczynają się powoli, niczym westchnienia, potem nabierają tempa. Wygląda to jak hiper-wentylacja. Lizzie boi się ruszyć. Ściany kuchni zdają się napierać do wewnątrz.

Ręka Janice trzepocze i opada, by zacisnąć się na kieszeni szlafroka.

- Nie mogę zrobić tego więcej — mówi słabym głosem. Lizzie i Margaret patrzą na siebie, obie niepewne, co to oznacza, lunice niewidzącym wzrokiem spogląda przez okno na podwórko przed domem. Jej głos wznosi się o oktawę i grozi, że mę załamie. — Nie mogę. Nie mogę! Poddaję się. Słyszycie ninie, dziewczęta? Poddaję się!

Lizzie bezradnie przygląda się, jak matka zaciska pasek szlafroka, bierze z krzesła torebkę i wychodzi z kuchni. Słyszy pisk opon porsche na żwirze, kiedy matka wypada z podjazdu na ulicę, zostawiając za sobą grubą warstwę gumy. Lizzie nie idzie odbitą w szybie twarz, bladą i ściągniętą, i ma wrażenie,

mama wyjeżdża na zawsze.

*

Sierpniowa woda w basenie jest ciepła i spokojna. Unosząc ręce na plecach, pół godziny później, Lizzie zamyka oczy i widzi wewnętrzną stronę powiek różowiejącą w słońcu. Zaciska powieki jeszcze mocniej i obserwuje gwiazdy eksplodujące w ciemności. Kiedy to nie odrywa jej uwagi od skurczu

w brzuchu, przekręca się w wodzie i podciąga kolana do piersi. Jej głowa podskakuje, na wpół zanurzona; woda która wsącza się do uszu i ust, ma cierpki smak. Zastana wia się, czy mogłaby opaść na dno basenu i zniknąć na zawsze.

Gdy znowu przekręca się na plecy, słyszy na patio plaskami-bosych stóp. Margaret biegnie po gorącym cemencie do chłodniejszych płytek na brzegu basenu. Lizzie nie podnosi głowy, ale widzi pomarszczone palce stóp zakrzywione na krawędź i i spękany czerwony lakier na paznokciach.

— Lizzie — mówi Margaret. Głos jest zniekształcony przez wodę w uszach. — Musimy pogadać.

Lizzie bierze głęboki oddech i opada pod powierzchnię. Pod wodą, dryfując w kierunku szorstkiego cementu na dnie, słyszy tylko głucho dzwonięcie w głowie, i kiedy patrzy w górę, widzi lustrzaną powierzchnię powiększającą słoneczne światło w nu gotliwe snopy. Maleńkie bąbelki przywierają do jej brązowych kończyn, które płyną swobodnie po bokach, jakby nie należały do niej. Płynie przy dnie basenu, zwinięta jak konik morski, licząc. Gdy dochodzi do trzydziestu siedmiu, płuci zmuszają ją do powrotu na powierzchnię. Wynurza głowę i słyszy, że Margaret krzyczy:

— Proszę, Lizzie, przestań!... — a potem bierze kolejnym głęboki wdech i pozwala ciału opaść na dno basenu.

Wypływa na powierzchnię...

— ...nie złość się na mnie... Po...

— Mama nas potrzebuje... Więcej...

— ...rodzina, cholera jasna, na przekór... Powietrza.

— ...co ty robisz?!

Gdy wynurza się szósty raz, Margaret już nie ma. Lizzie łapczywie chwytając powietrze, głęboko oddychając brzu-

chem z nadzieją, że to uśmierzy ból. Węzeł zaciska się coraz bardziej. Zastanawia się, czy Bóg ją karze. Umrze w basenie.

Jaśnie Panie, powiedz mi, co mam zrobić. Czy jestem grzesznicą? Czy pójdę do piekła? Co mam zrobić, żebym znowu była szczęśliwa? Co mam zrobić, żeby wszystko w mojej rodzinie się ułożyło? Jak mogę być kochana? Jak mogę być dobra? Wspomina biblijne zdjęcie Marii, cnotliwej matki Boga — promień żółtego światła oświetla ją z nieba, twarz przesycona jest radością prawości. Przesycona wybaczącą miłością Jezusa. Proszę, Boże, myśli. Daj mi znak. Pokaż mi, co zrobić.

Otwiera oczy, rozgląda się. Woda w basenie z chlupotem uderza o płytki. Obok niej przepływa martwa wałka ciągnięta w kierunku odpływu. Nad głową, na niebie, nie ma niebieskiego snopa światła, tylko pierzasta biała smuga odrzutowca. Lizzie płynie w stronę materaca, który uderza o ścianę w głębokiej części basenu jak więzień bez szans na ucieczkę.

W połowie drogi węzeł w brzuchu drga konwulsyjnie i kurczy się gwałtownie. Jakby ktoś pchnął ją nożem. Lizzie dławi ból i zamyka oczy. Gorączkowo płynie do brzegu, jedną ręką zgarnia wodę, drugą ściska brzuch. Woda pieni się i burzy, zalewa jej nos. Boi się, że utonie.

Za nią rozprzestrzenia się szlak ciemnej krwi znaczący jej drogę przez wodę.

Janice czuje, jak żwir chrzęści pod cienkimi podeszwami pantofli, jak torebka uderza w atłasowy szlafrok, gdy biegnie do samochodu, naciskając palcem przycisk pilota. Siada za kierownicą SUV-a, a potem, tak po prostu, jest już na ulicy. Ma przyspieszone tętno, niemal jak po zażyciu Tego, ale to tylko adrenalina. Wciska pedał gazu do deski, porsche rwie do przodu niczym koń czystej krwi uwolniony z maszyny startowej (od zera do setki w cztery i osiem dziesiątych sekundy, powiedział sprzedawca, ale nigdy wcześniej nie próbowała), i wpada w poślizg na zakręcie, niszcząc biedne krzewy azalii w ogródku Upadhyayów.

Kto podjął decyzję wyjazdu? Jakby jakaś niewidzialna ręka szarpnęła ją do przodu, wyciągnęła z domu. Mija dom Gossei tów i Brunschildów, przejeżdża obok przedszkola Lizzie i pędzi w kierunku centrum, i dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, że nu wie, dokąd jechać. To, myśli. Chcę Tego. A Tego nie ma. Nu powinna zwalniać Jamesa, to był niewybaczalny błąd. Czy może go doścignąć?

Zawraca na środku ulicy, niemal rozbijając przenośną ubikację, która stoi przed frontem niedawno wyburzonego domu i wraca w kierunku swojego osiedla. James jedzie do Meksyku co znaczy, że musi się kierować w stronę autostrady. MA

piętnaście minut przewagi, ale może wstąpił po benzynę albo kawę? Janice pędzi ulicami, wypatrując czerwonej ciężarówki. Jeszcze może go dogonić. Kupi całą zawartość jego schowka i może nawet namówi go, żeby zorganizował więcej.

Lizzie jest w ciąży. Początkowy szok i przerażenie ustąpiły wściekłości. Lizzie jest w ciąży. Jak jej córka mogła być taka głupia? Czy to wpływ Margaret, tego czasopisma, które zapełniło jej głowę seksem i reklamami wibratorów? Czy to wina Arta, który nigdy nie poświęcał Lizzie uwagi, na jaką zasługiwała? Czy to jej wina? Wyobraża sobie córkę, idącą główną ulicą miasta z brzuchem wielkim jak arbuz, i przetyka wstyd: jej biedna dziewczynka zostanie odrzucona, jej życie legnie w gruzach, a ona, Janice, zostanie osądzona. Kobieta w średnim wieku porzucona przez męża, z jedną córką w długach, zmuszoną mieszkać w rodzinnym domu, i drugą w ciąży jeszcze przed uzyskaniem prawa jazdy. Janice zna miasto na tyle dobrze, by wiedzieć, że wszyscy skupią uwagę na niej, w centrum tej całej katastrofy, i uznają ją za winną. To zawsze jest wina matki, czyż nie? To niesprawiedliwe.

To. Potrzebuje Tego. Ciężko pracowała, żeby To odstawić, zamknęła się w sypialni jak pacjent w zakładzie dla umysłowo chorych, w celi z blad różową tapetą i wykładziną na podłodze, lecz jednak celi. Przecierpiała najgorszy tydzień w życiu — tydzień spoconych koszmarów, w których ścigał ją potwór z ostrymi szponami, niespokojny tydzień bezsenności, mdłości i strachu tak potwornego, że myślała, że się udusi, tydzień, w ciągu którego została ostatecznie i kompletnie wyniszczona przez swoje nieudane małżeństwo. Zrezygnowała z jedynej rzeczy, która przynosiła jej ulgę, i dlaczego? Dla niewdzięcznych, nieodpowiedzialnych dzieci? Z poczucia obowiązku wobec społeczności, która ją odrzuca pomimo tego wszystkiego, co zrobiła, żeby zasłużyć na swoje miejsce? Ze strachu, że zostanie znaleziona przez łajdaczącego się, kłamliwego, niedługo byłego męża?

Na osłonie przeciwsłonecznej wisi laminowane zdjęcie jej rodziny zrobione trzy lata temu w czasie zimowych wakacji na Hawajach, ostatnia wspólna fotografia. Zawsze ją lubiła: siedzą we czwórkę na skarpie nad oceanem, z wieńcami *lei* na szyjach, mrużąc oczy w słońcu, morze za nimi jest niewiarygodnie turkusowe, i choć raz wszyscy się uśmiechają. Millerowie w raju. A jednak. Teraz przypomina sobie krępujące kolacje, w czasie których kłóciła się z Margaret, czy luksusowy ośrodek wypoczynkowy, który wybrała tak pieczołowicie, nie powoduje jakiejś katastrofy ekologicznej, Lizzie, która pięć razy wyskakiwała do baru z deserami lodowymi, i Arta, który odchodził od stołu przed deserem, żeby zadzwonić do biura. Teraz widzi, że wszystko sobie wymyśliła: solidne małżeństwo, szczęśliwe dzieci, zżytą rodzinę. Nic z tego nigdy nie istniało. Janiec zrywa fotografię i rzuca ją za fotel.

— Do diabła z nimi — mówi głośno, żeby przepędzić dzwonienie w uszach. Potem ryczy jeszcze głośniej: — Do diabła z nimi! — To brzmi cudownie i potężnie. Rozluźnia szlafrok, zsuwa go z ramion, odsłaniając ramiączka koszuli nocnej. Szaleńcze zachowanie przyprawia ją o zawrót głowy. Jedzie beztrąsko przez miasto w koszuli nocnej, szukając narkotyków, i nawet nie zapięła pasów! Istny obłąd! Drży, gdy uświadamia sobie, że to sprawia jej przyjemność. Czy mogłaby o wszystkim zapomnieć? O kontroli, stabilizacji i potrzebie robienia tego, co wypada? Dlaczego nie?

Ale najpierw musi znaleźć To; czuje w żyłach resztki, leciutki odłot pcha ją naprzód. Mija stację benzynową, ale nie ma tam czerwonej ciężarówki, na parkingu przy Starbucks też nie. Przed wjazdem na autostradę uświadamia sobie, że James z pewnością już zmierza na południe ku granicy. Widzi już wjazd i musi zdecydować, czy dołączyć do rozpędzonych wozów i pozwolić, by ich pęd poniosł ją do międzystanowej, czy zawrócić. Przez chwilę ją kusi: naprzód, za Jamesem, wciąż może go dopędzić! Ale już czuje, że szuka wiatru w polu,

dlatego wciska hamulec i zawraca w kierunku miasta. Czy naprawdę zamierzała ścigać go do Meksyku w koszuli nocnej?

Poza tym James na pewno nie jest jedynym handlarzem narkotyków w Santa Rita! Czy nie znajdzie kogoś takiego na dworcu autobusowym (ten mglisty pomysł pierwszy wpada jej do głowy) albo w jakiejś ciemnej uliczce... Na czystych ulicach miasta nie widzi nikogo, kto wyglądałby na dealera. Może stacja kolejowa? Skręca ostro w prawo, mijając znak stopu bez zwalniania, i wraca do centrum, gdzie pociąg podmiejski zatrzymuje się co pół godziny w porze szczytu. Wjeżdża na parking, zastawiony najnowszymi modelami luksusowych niemieckich sedanów czekających na właścicieli, którzy wrócą ekspresem o szóstej dziesiątej, i zagląda do ceglanej budki pełniącej funkcję dworca. Wnętrze jest puste, tylko poranna gazeta leży na ławce, trzepocząc na słabym wietrze.

Co teraz? Zapuszcza silnik i jedzie do wschodniej części miasta, w kierunku Miliard Fillmore High. Widziała dość popołudniowych programów dla młodzieży, by wiedzieć, że najpewniej tam czyhają dealerzy, polując na naiwne dzieci. Dostrzega ironię w tym, że ona i Art przenieśli się do tego miasta właśnie dlatego, że nie było tu handlarzy narkotyków. Santa Rita wydawała się miłą, bezpieczną, zdrową fortecą do wychowywania dzieci. A jednak oczywiście dali się zwieść: żadne miasto nie jest naprawdę bezpieczne, prawda? Zgnilizna i poleczna dotarła tutaj podstępnie, wdarła się za mury zamku, ponieważ jak inaczej Lizzie mogłaby zajść w ciążę, jak Art mógłby zostawić ją dla innej kobiety, jak ona sama mogłaby skończyć na szukaniu dealera w pochmurne sierpniowe popołudnie?

Liceum pojawia się po prawej stronie. Janice okrąża gmach, pi zypatrując mu się pod każdym kątem, gdy rozważa możliwości. Letnia szkoła się skończyła; parking jest pusty, tereny bezludne. Wjeżdża przez bramę frontową, pod tablicą, na której diody tworzą napis: „Gratulacje uczniom ostatniej klasy! Szkoła

zaczyna się trzeciego września", i mija świeżo pomalowaną aulę. Jakiś nauczyciel wychodzi drzwiami głównego budynku i mknie przez parking do samotnego zielonego passata z drzwiami wgiętymi po stronie pasażera. Niesie połamany szkielet z klasy przyrodniczej, w jednej ręce trzyma tułów, w drugiej ślepą oderwaną czaszkę. Bojąc się, że wygląda podejrzanie, Janice jedzie wokół szkoły w kierunku boisk.

Tam na skraju świeżo obsianego boiska znajduje to, czego szukała. Dwaj nastoletni chłopcy siedzą na murawie, opierając stopy na bieżni, i palą. Są czarni (nienawidzi się za stereotypy rasowe, ale czyż nie taka jest prawda? Czy stereotypy biorą się znikąd?) i wyglądają trochę niebezpiecznie, włosy mają zaplecione w drobne, przylegające do czaszek warkoczyki, woi kowate dzinsy wiszą tak nisko, że nad paskami widać pół księżycy pośladków, jak poobijane owoce. Garbią się pod ciężarem własnej arogancji, w obronie przed chłodem mgły wpływającej na wzgórze, i przekazują sobie papierosa. Janice przypuszcza, że jeśli opuści szybę, poczuje już znajomy smród marihuany. Jeśli ktoś w Santa Rita wie, skąd wziąć To, to oni

Parkuje na dalekim końcu parkingu, po drugiej stronie siatkowego ogrodzenia, i patrzy na plecy chłopców. Jeden odwraca głowę, dostrzega SUV-a i pochyla się, żeby powiedzieć, coś do kolegi, który natychmiast chowa skręta w dłoń. Janiec zawiązuje szlafrok i kładzie torebkę na kolanach. Jej tętno przyspiesza, aż słyszy je w uszach, wysoki szum, jak wycie wiatru na zewnątrz samolotu. Co powie? Co sobie pomyśla? To nieważne. Czuje, jak porzuca wszystko — siebie, rodzinę, całe środowisko, które uważała za swoje — i wreszcie uwalnia się od tego brzemienia, zrzuca je z barków i ucieka na zawsze

Myśli o van Goghu, o eksplodującej furii jego gwiazdzistego nocnego nieba — sugerującego jakąś zupełnie nową, urzekającą rzeczywistość — i przypomina sobie, że w końcu artysta obciął sobie ucho, a potem się zastrzelił. Czy jej szaleństwo zakończy się w podobny sposób? A jednak nie może puścić klamki

drzwi; jeśli je otworzę, myśli, i podejść do chłopców, jakoś uwolnić się od tego wszystkiego. Wolność. Nigdy naprawdę nie była wolna, a teraz ma wolność na wyciągnięcie ręki, z tyloma możliwościami. Czy może poddać się Temu, skapitulować jak samolubna matka, której już nic nie obchodzi? A nawet odejść całkowicie, zostawić zagubione dzieci własnemu losowi, zostawić Santa Rita i zacząć nowe życie gdzieś indziej? W Paryżu? W Rzymie?

Otwiera drzwi i spogląda z fotela kierowcy. Asfalt wydaje się odległy o trzy kilometry i nagle kręci jej się w głowie, jakby miała skoczyć w przepaść. Odrzuca wszystko, w imię czego kiedyś pracowała, naraża życie dzieci i własne, ale gdy wreszcie wysuwa i stawia nogi — atłasowy szlafrok ślizga się po skórze fotela, kluczyk w stacyjce podzwania ostrzegawczo — zamiast wrażenia, że wpada w otchłań, czuje, iż unosi się bezpiecznie, jakby na prądzie ciepłego powietrza. Nie, już jej nic nie obchodzi. Nie obchodzi! Niski śmiech wzbiera w głębi jej gardła.

Janice wychodzi na boisko, świeża murawa ustępuje lekko pod pantoflami, gdy idzie, mocno przyciskając torebkę do boku. Chłopcy są tylko parę metrów dalej. Wyraźnie czuje dym marihuany, zapach niemytych ciał i świeżego potu. Idzie z niecierpliwością w ich stronę. Ale przestraszył ich trzask drzwi wozu i teraz wstają, nie odwracając się, otrzepują džinsy, gotowi odejść. Niższy rzuca skręta na ziemię i rozgniata go białym butem do gry w koszykówkę wielkości bochenka chleba, wciąga kaptur czarnej bluzy na głowę, jakby nie chciał zostać zidentyfikowany.

Widzi siebie, jak oni muszą ją widzieć — biała kobieta w średnim wieku, w niesamowitym wozie, zdecydowanie nie ich zwykła klientka. Unikają jej. Spieszy do nich zbyt skoncentrowana na pokonaniu dzielącej ich odległości, żeby się zastanowić, co robi, gdy podejdzie. Chłopcy ruszają po bieżni. Janice przyspiesza, pocąc się z wysiłku pomimo chłodu w po-

wietrze. Potyka się w pantoflach w wysokiej trawie i upada na kolano, ale natychmiast się podnosi. Skupiona na celu nie zwraca uwagi na ból promieniujący z biodra.

Chłopcy puszczają się biegiem i Janice zdaje sobie sprawę, że zaraz ich straci. Pędzi za nimi, torebka uderza ją w bok, szlafrok się rozchyła, odsłaniając koszulę nocną.

— Wszystko w porządku! — woła do ich pleców coraz bardziej spanikowana. — W porządku! Nie uciekajcie!

Słyszając jej krzyki, niższy chłopak odwraca głowę. Ich oczy się spotykają i Janice zapiera dech w piersi. Jest zdumiewająco młody, w wieku Lizzie, może nawet młodszy, twarz ma dziecinnie zaokrągloną, cerę niezeepsutą przez trądzik. Dostrzega strach w szeroko otwartych oczach, potem chłopiec odwraca się i biegnie jeszcze szybciej, jego nieproporcjonalnie długie nogi szamoczą się w za dużych dżinsach. Nie jest niepoprawnym przestępcą — może wcale nie jest przestępcą, tylko czymś dzieckiem palącym trawkę po południu — i to z jakiegoś powodu łamie jej serce. Patrzy na niego i widzi Lizzie, widzi też Margaret, obie młode, zagubione i wystraszone.

Zatrzymuje się nagle i patrzy, jak chłopcy wspinają się na siatkę i zeskakują na ulicę. Nagle zaczyna płakać. Płacze, bo pomimo wszystkich tych lat przestrzegania zasad i starań, żeby być najlepszą żoną i matką, nie zdołała ochronić swoich dzieci. Są smutne, cierpią, walczą ze światem i przegrywają, i to boli. Zawiodła. Nie potrafiła nawet ochronić siebie. Najpierw szlocha, a potem zawodzi głośno; śluz spływa z nozdrzy i pełźnie, gęsty i słony, po górnej wardze, strumyczki łez zbierają się wokół nosa, po czym pędzą wartko ku podbródkowi, kałuża wilgoci rośnie w dekolcie koszuli.

Janice stoi, płacząc, pośrodku boiska, delikatna nowa murawa rozciąga się we wszystkie strony, ponure szare niebo wisi nisko nad głową. Nie może się ruszyć, nie może odejść, nie może nawet paść na kolana. Przez chwilę myśli, że czas

się zatrzymał, a ona pozostanie tu na wieki, na tym boisku, bezbronna i sama.

Po paru minutach uświadamia sobie, że dzwoni komórka. Sięga po nią na oślep, wsuwa rękę do torebki, którą wciąż przyciska do boku. Otwiera klapy i z zaskoczeniem widzi własny numer telefonu. DOM, mruga. Przez chwilę jest dezorientowana, jakby podzieliła się na dwoje, jedną Janice zostawiając w domu, żeby zadzwoniła do drugiej. Niepewnie podnosi aparat do ucha i czeka, żeby usłyszeć, co powie sama sobie.

Ale po drugiej stronie odzywa się Margaret. Głos ma wysoki i choć próbuje mówić powoli, Janice słyszy strach w słowach córki. Serce jej zamiera.

— Mamo — mówi Margaret — Przed chwilą znalazłam Lizzie krwawiącą w basenie.

— Krwawiącą? — powtarza Janice. Jej gardło, już wąskie od flegmy, zaciska się tak mocno, że ledwo może oddychać. Patrzy w stronę ulicy: chłopcy zniknęli i teraz widzi tylko jadące wolno samochody. — Zrobiła sobie krzywdę?

— Nie wiem. Jest mnóstwo krwi. Mówi, że miała okropne skurcze. Umiera ze strachu!

Przenika ją wstrząs elektryczny wspomnień — sama garbi się nad sedesem, wrzeszcząc z bólu.

— To poronienie — mówi, przypominając sobie. — Lizzie poroniła. — Oddycha głęboko i odwraca się w stronę wozu zaparkowanego na skraju boiska. Czuje dziwną ulgę, gdy ulatują możliwości, jakie miała przed sobą ledwie parę minut temu, ulatują jedna po drugiej, aż zostaje tylko jedna. Gdy biegnie w kierunku parkingu, jest zaskoczona swoim spokojem. Dokładnie wie, co trzeba zrobić, zna każdy krok — wezwać karetkę, zabrać z biurka kartę ubezpieczenia, zadzwonić do doktora Brunschilda, zapakować koszulę nocną Lizzie.

- Poronienie? — Głos Margaret brzmi histerycznie. — Co mam zrobić?

— Posłuchaj, co zrobimy, Margaret. Wszystko będzie dobrze, skarbie. Ze mną wszystko w porządku, jestem tylko parę przecznic dalej. Wracam do domu.

*

Poczekalnia w szpitalu wymaga odnowienia. Lata wylewanej kawy i ciekących nosów odbarwiły plastikowe pomarańczowe krzeselka ustawione w rzędach naprzeciwko siebie. Margaret osuwa się na krzesło vis-à-vis Janice, dzieli je parę kroków wytartego linoleum, i wbija oczy w pognieciony numer „Sun-set”. Janice ogląda CNN na śnieżącym telewizorze przyśrubowanym do ściany. Dźwięk jest wyłączony, więc tylko czyta wiadomości na pasku. Indeks NASDAQ spadł o trzydzieści punktów. Wskutek samobójczego zamachu bombowego na Bliskim Wschodzie zginęło czternaście osób. Prezydent wyjechał na swoje ranczo łowić ryby z sekretarzem obrony i złapał jesiotra. Panda, przedstawicielka gatunku zagrożonego wymarciem, urodziła młode w zoo. Te fakty ją uspokajają: świat na zewnątrz jest normalny. Ludzie umierają. Ludzie żyją. Ludzie łowią ryby.

Janice trzyma na kolanach zakrwawiony ręcznik plażowy, w który owinęła Lizzie na czas jazdy, teraz starannie złożony w kwadrat, żeby nie było widać plam. Lizzie jest w pokoju badań. Janice zastanawia się, czy nagle i — tak, dzięki Bogu — dogodne poronienie jest jej nagrodą za to, że jednak nie uległa Temu. Gdy stała pośrodku boiska, czy instynkt macierzyński, ciągle obecny na przekór wszystkiemu, przejął nad nią kontrolę? Czy zbliżywszy się do przepaści, wyczuła, że Lizzie krwawi w basenie i że musi zawrócić? Tak, decyduje. Podoba jej się ten pomysł.

Janice przygląda się Margaret, która przybrała na wadze od czasu powrotu do domu; jej koścista figura nabrała miękkości, ramiona się zaokrągliły, podbródek stał się pełniejszy. Margarci w skupieniu czyta czasopismo, jakby naprawdę interesowały ją

rady dotyczące wiosennych sadzonek, ale Janice widzi, że jej nieruchome oczy tylko wwiercają się w środek strony. Przychodzi jej na myśl, że straciła sześć tygodni na szorowanie kuchni w narkotykowym szaleństwie, podczas gdy powinna się dowiedzieć, dlaczego jej córka jest taka nieszczęśliwa, podobnie /resztą jak powinna zauważyć, że młodsza córka już nie jest dziewicą.

Margaret podnosi głowę i podchwytuje jej spojrzenie. Opuszcza czasopismo.

— Czy poronienie może spowodować trwałe uszkodzenia? — pyta.
— Wyglądało strasznie. Pełno krwi.

— Nic jej nie będzie — zapewnia Janice.

— Jesteś optymistką czy może wiesz coś, czego ja nie wiem?

— Sama poroniłam trzy razy. Stąd wiem. Czasopismo opada na kolana Margaret.

— W ogóle nie wiedziałam, że poroniłaś, co dopiero trzy razy. Trzy poronienia?

— Powiedzieli mi, że po tobie mogę nie mieć dziecka. Kiedy cię urodziłam, pękła mi macica. Nie mogłam donosić ciąży, więc w końcu przestaliśmy próbować. Lizzie to szczęśliwy traf. Myślałam, że wiedziałas.

— Nigdy mi nie mówiłaś.

— Aha. Przepraszam. — Janice wie, że nie powiedziała córce, nie powiedziała nikomu, nawet matce. Poronienia zawsze odbierała jako osobistą porażkę, jako słabość, którą nie chciała dzielić się ze światem. Ale teraz te zdarzenia wydają się nieistotne i tak dawne, że równie dobrze mogły przytrafić się komuś innemu.

Poronienie bardzo boli? Względnie, oczywiście. Janice wspomina fioletową smugę bólu, melancholijne poi /ucie nieuchronności. To było straszne.

Nigdy nie byłam w ciąży — mówi Margaret z zadumą. Mam nadzieję.

Margaret podnosi czasopismo, czyta linijką, odkłada.

— Przechodzisz przez głód narkotykowy? Po... — Rozgląda się po pustej poczekalni i milknie. — No wiesz.

— Głód narkotykowy? — Janice myśli o chłopcach na boisku chowających skręta w dłoni. — Nie. Chyba już mam to za sobą. Mam nadzieję.

Margaret uśmiecha się leciutko.

— Przypuszczam, że powinnam cię pochwalić przynajmniej za śmiały wybór substancji. Nie spodziewałam się tego po tobie

Janice patrzy na nią i zastanawia się, czy to obelga. Ale na twarzy córki nie ma śladu osądu, tylko roztargnione rozbawienie. Janice pławi się w tym dziwnym, nieuzasadnionym po dziwie córki, czując się trochę jak zawodowy bokser, który pokazuje siniaki.

— Cóż — mówi cierpko — gdybym wiedziała, że tak uzależnia, nie tknęłabym tego.

— Nie mogę uwierzyć, że nie wiedziałaś, co to było. -Margaret milknie. — Szczerze mówiąc, po zastanowieniu, mogę.

— Naprawdę, Margaret, ja nie mogę uwierzyć, że prowadzę z tobą tę rozmowę. — Ale w skrytości ducha Janice jest zadowolona, że córka nawet żartuje na ten temat. W miejscu osądu widzi możliwość niespodziewanej bliskości.

Margaret unosi brwi.

— Jest lepsza niż wszystko, o czym rozmawialiśmy przez całe lato, prawda? Czyli o niczym. Przynajmniej coś znaczy Przynajmniej jest prawdziwa.

Janice w milczeniu rozważa jej słowa, myśląc, że może są najmądrzejsze, jakie usłyszała od niej przez całe lato. Wszystko wyszło na jaw, cała jej brzydota została wystawiona na pokaz i poddana dyskusji i choć to koszmarnie, choć czuje się nieprzyzwoicie naga, jakoś nie jest to tak bolesne, jak sobie wyobrażała Uśmiecha się lekko do córki.

Milczą. Pasek wiadomości CNN informuje, że w tym tygo-

dniu zaczyna się kiermasz szkolny. Że w Nowym Jorku odnotowano rekord ciepła. Że cyklon w Teksasie zniszczył sześć domów i pięćdziesiąt dwie osoby zostały bez dachu nad głową. Janice zamyka oczy, po chwili unosi powieki i pyta Margaret:

— Zerwałeś z Bartem, prawda?

Margaret wbija oczy w ekran telewizora. Janice myśli, że jej nie słyszała, ale po chwili córka przenosi na nią spojrzenie.

— Tak. Wiosną. Zostawił mnie. Teraz spotyka się z gwiazdą filmową.

— A... „Snatch”?

— Skończony.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? Margaret spuszcza oczy na ręce.

— Ponieważ mówienie ci sprawiłoby, że wszystko stałoby się realne. I sama nie wiem, co byłoby gorsze, twoje rozczarowanie mną czy moje rozczarowanie sobą.

Janice próbuje wymyślić odpowiedź, ale tylko frazesy przychodzą jej na myśl. Wstaje, podchodzi do córki i siada obok niej na pomarańczowym krzeselku. Bierze jej rękę i ściska. Margaret opiera głowę na jej ramieniu i wzdycha. Westchnienie podnosi włoski na ramionach Janice.

— Nie sprawiłaś mi zawodu — mówi. — Podziwiam twoją ambicję. Masz tylko dwadzieścia osiem lat. Wciąż możesz zrobić wszystko, co zechcesz.

Piersi Margaret unjoszą się i opadają ciężko, gdy oddycha. Po chwili Janice słyszy jej stłumiony głos:

— Czujesz się samotna bez taty?

— Tak — mówi, uświadamiając sobie, choć nie rozważała tego wcześniej, że to prawda. Przeraza ją myśl o nadchodzącej jesieni, kiedy Lizzie zacznie szkołę, a Margaret wyjedzie. — Ale nie brakuje mi go — dodaje.

— W przyszłym tygodniu przegramy w sądzie, prawda? — pyta Margaret, nie podnosząc głowy z jej ramienia.

Janice uśmiecha się blado.

— Najprawdopodobniej. Twój ojciec ma bardzo drogiego prawników.

— Nie mogę uwierzyć, że tak słabo cię kochał. To boli.

— To bardziej skomplikowane niż... — zaczyna i milknie. Margaret nie jest głupia, przypomina sobie. Ona też nie. — Twój ojciec jest egocentrycznym kutasem, który troszczył się tylko o jedno. O siebie. Żałuję tylko, że nie zrozumiałam tego dawno temu.

— Nie wiedziałaś, że jest taki, gdy za niego wychodziłaś? Janice milczy i godzi się z prawdą.

— Wiedziałam — mówi, wracając myślą do studiów, do pigulek w foliowych opakowaniach, do Arta klęczącego z rezygnacją na ziemi. — Wiedziałam, jeszcze zanim go poślubiłam. Po prostu postanowiłam to zignorować, ponieważ bardziej zależało mi na czymś innym, na stabilności, bezpieczeństwie. Myślałam, że tego potrzebuję. I byłaś ty. — Patrzy na Margareti, dwudziestoosmioletnią, samotną i pogrążoną w długach, ale niczym nieobciążoną, i musi przyznać (nawet jeśli nie powie tego na głos), że tym, co od dawna czuła w obecności córki, jest zazdrość.

Margaret ściska jej rękę i prostuje się na krześle. Janice czuje mrowienie w miejscu, gdzie opierała głowę.

— Nie pozwolimy mu wygrać — oświadcza Margaret.

— To już nie ma znaczenia. Wystarczy mi na życie. Trzeba tylko się dostosować.

— Tu chodzi o zasadę — przekonuje Margaret. Zwija „Sunset” w ciasny rulon i uderza czasopismem o udo. — Poza tym przykro mi na myśl, że zobaczę, jak cię... poniża. Zwłaszcza publicznie.

— Nie tak bardzo publicznie. Nikt nie musi wiedzieć. Nie zorganizujemy konferencji prasowej. Nasi przyjaciele i sąsiedzi nie przyjdą na sprawę rozwodową.

Margaret odwraca się i patrzy na nią przez długą chwilę

Wydaje się głęboko pogrążona w myślach i Janice się zastanawia, co, u licha, w jej słowach jest takie trudne do zrozumienia. Nagle Margaret prostuje się, siada na brzegu krzesła, ostatni raz uderza się zwiniętym magazynem po udzie, a potem rzuca go na podłogę, żeby sięgnąć do torebki.

— Co? — pyta Janice. — Co?

Margaret wpycha ręce głęboko do zniszczonej torby z brązowej skóry, która wygląda tak, jakby straciła fason w siedemdziesiątym drugim, i z daleka czuć ją pleśnią. Margaret wyciąga zużytą chusteczkę higieniczną, pustą butelkę po whisky — Janice unosi brwi — parę nieczytelnych kwitów, siatkową portmonetkę pełną drobnych, i rzuca to wszystko na kolana. W końcu odkleja od wewnętrznej kieszeni białą, pros-łokątną kartkę, poplamioną ciemnym płynem, i potrząsa nią triumfalnie.

— Mogę pożyczyć twoją komórkę? — pyta.

— Do kogo dzwonisz?

— Później ci powiem.

Janice podaje jej telefon i patrzy, jak Margaret wychodzi przez automatyczne drzwi poczekalni na parking. Przez szybę widzi, że rozmawia z komórką przyciśniętą do ucha, z kciukiem wbitym w drugie ucho, żeby wyciszyć hałas nadjeżdżającej karetki. Obserwując ją, wyobraża sobie świat alternatywny — wciąż możliwy — w którym jej starsza córka jest energiczną i sprawną kobietą sukcesu, robiącą interesy przez telefon komórkowy podczas lotu odrzutowcem z miasta do miasta. Mogłaby zostać, kim tylko zechce.

Kiedy Janice przygląda się Margaret przez szybę, w poczekalni zjawia się Lizzie, ubrana w papierowy szlafrok, z garścią formularzy. Jest bosa, na nadgarstku ma opaskę z niebieskiego plastiku. Wygląda anemicznie, opalenizna odpłynęła wraz z krwią w basenie. Jej pierwsze kroki są niepewne i powolne i chwieje się lekko po znieczuleniu, jakby miała upaść na brudne linoleum. Ale potem dostrzega matkę i na jej

twarży odbija się taka prostolinijna ulga, że Janice czuje łzy w oczach. Wstaje na czas, żeby ją chwycić, gdy Lizzie się potyka i rzuca na nią całym ciężarem ciała. Stoją, przytulone, oddychając jednocześnie. Janice słyszy za plecami wykrzykiwane polecenia ratowników medycznych, którzy wpadają przez rozsuwane drzwi do poczekalni, wioząc na wózku zakrwawionego mężczyznę w płataninie kroplówek i plastikowych rurek. Nie zwraca na nich uwagi.

 Nie pamięta, kiedy ostatni raz czuła się równie szczęśliwa.

Dopadają ją na podjeździe, gdy wychodzi po poranną gazetę.

— Margaret Miller? — słyszy i odwraca się zaskoczona. Przez fantasmagoryczną minutę myśli, że mężczyzna stojący na podjeździe jest jej wielbicielem — może fanem „Snatcha” przychodzącym złożyć wyrazy szacunku — i uśmiecha się odruchowo, choć nie wygląda na jej statystycznego czytelnika. Przede wszystkim to mężczyzna, poza tym jest w średnim wieku, ubrany w kowbojskie buty i czapkę baseballową. A może to dziennikarz? Czyżby już się zjawili? Margaret stoi, mrugając w żółtym blasku świtu, wciąż na wpół śpiąc, i zastanawia się, czy ten gość jest pozostałością z nocnych snów. Mężczyzna podchodzi do niej i powtarza nazwisko zgrzytliwym, twardym głosem. — Margaret Miller?

Margaret kiwa głową, zanim może wymyślić coś lepszego, to on staje tak blisko, że czuje orzechy ziemne w jego oddechu i widzi siwiejącą szczecinę na brodzie.

— Doręczenie nakazu — szczeka i podrywa rękę, aż dokument, który trzyma, zawisa milimetr od jej piersi. Zszokowana patrzy na brudną kopertę z wyraźnie wydrukowanym jej nazwiskiem i wyjmuje ją z jego ręki. Mężczyzna odwraca się na pięcie i odchodzi podjazdem, żwir chrzęści pod kowbojskimi butami.

Margaret czyta wezwanie w kuchni, gdy pije kawę: Visa podaje ją do sądu za trzydzieści dwa tysiące czterysta czterdzieści osiem dolarów i dwadzieścia trzy centy zaległości na karcie. I to tylko pierwsze z serii wezwań, które napłyną w nadchodzących tygodniach. Wyobraża sobie, jak jeden przez drugiego biegną do jej drzwi, hordy doręczycieli wezwań potykających się, skaczących po podjeździe. Patrząc na wrześnieową datę rozprawy na dokumencie, odkrywa, że świadomość, iż nastąpił koniec, sprawiła jej ulgę. Jest zmęczona czekaniem.

W kuchnia panuje cisza. Jest wczesnie, matka jeszcze śpi na górze, nadrabiając bezsenne letnie noce. Margaret odsuwa nakaz sądowy, otwiera „New York Times” na dziale biznesu. Tam, na stronie E4, znajduje artykuł, którego szukała. „Sprawa rozwodowa dyrektora naczelnego Applied Pharm”, oznajmia nagłówek i Margaret wstrząsa się, widząc te słowa. Wiedziała, że artykuł się ukaże, ale jest zaskoczona, gdy widzi wydrukowane słowa, takie konkretne, takie ostateczne. To się stało tak szybko. Kiedy Kelly Maxfield zadzwoniła, dziennikarze skwapliwie skorzystali z okazji.

Kelly była na zajęciach muzycznych „Mama i ja”, gdy Margaret złapała ją przez telefon w dniu poronienia Lizzie. W tle słyszała głucho dzwonienie, wrzaski i wycie, od jakiego pękają żarówki. Musiała wykrzyknąć swoje nazwisko dwa razy, zanim Kelly — „Kto? Nie słyszę! Kto?” — zrozumiała, kto dzwoni. Stojąc na szpitalnym parkingu, martwiła się, że Kelly przypomniała sobie wymyślającą pijaczkę z kina i teraz udaje, że nie poznaje nazwiska. Ale w końcu jej głos przebił się przez krzyki berbeci.

— Margaret! Cześć! Nie sądziłam, że skorzystasz z mojego zaproszenia! — wrzasnęła Kelly i Margaret usłyszała niekłama ne zadowolenie w jej głosie. Nawet gdy przyznała, że nie dzwoni w sprawach towarzyskich, Kelly nie wydawała się speszona. Jasne! — zawołała, jakby prośba Margaret o pomoc w udupieniu rodzzonego ojca była najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem

Kiedy Margaret powiedziała matce o swoim pomysle pójścia z ich sprawą do prasy, Janice zbladła.

— Wyciąganie spraw osobistych na forum publiczne jest wulgarne — powiedziała. — Przyzwoici ludzie tego nie robią. — Ustąpiła, gdy Margaret podała nazwisko Kelly Maxfield. Mimo to obie potrzebowały kilku godzin, żeby ją przekonać, że nie będzie musiała z nikim rozmawiać ani nawet ujawniać niczego poza szczegółami prawnymi, że zostanie przedstawiona jako osoba niewinna, prawa i zasługująca na sprawiedliwość. A jednak matka nie chciała mieć nic wspólnego z planowaniem, jakby ignorowanie sytuacji oznaczało, że nic się nie dzieje.

Tak więc Margaret spotkała się z Kelly bez niej. W piątek opracowały strategię w domowym biurze Kelly, w słonecznym pokoju pełnym zabawek i stosów teczek z materiałami dla takich firm jak HyperGiz i InnoModo. Dziecko — tłusta kuleczka o imieniu Audrey — spała w wózku spacerowym, który Kelly kołysała jedną ręką, drugą wystukując e-maile na swoim blackberry.

Kelly nazwała ich kampanię PR publicznym zawstydzaniem (oczywiście, pomyślała Margaret, ma to swoją oficjalną nazwę) i zauważyła, że ta taktyka sprawdziła się doskonale w sprawie żony Jacka Welcha, która ujawniła sprosne korzyści dodatkowe, jukie małżonek czerpał jako dyrektor naczelny General Motors.

— Dostała połowę jego majątku, co było cholerną fortuną — powiedziała Kelly, gdy wyjęła z szafki wycinki z gazet. — Twoja mama, biedna kobieta, ogromnie jej współczuję, zyska mnóstwo sympatii. Boże, mogę tylko sobie wyobrazić. W każdym razie, zacniemy od zamieszczenia artykułu w „New York Timesie”, dla wiarygodności. To, co napisze „Times”, nie będzie zbyt barwne, ale ubarwianiem zajmą się inne gazety, które podchwycą temat we wtorek. — Kołysała wózek, główka dziecka kiwała się sennie na boki.

Margaret, niemal wprawiona w stan hipnozy tym monotonnym ruchem, też pokiwała głową.

— Ile to będzie kosztować? Kelly zastanowiła się.

— Zwykle biorę dwieście za godzinę. Obłąd, prawda? Ale dla dawnej koleżanki zrobię to za darmo. Przynajmniej pierwsze dwadzieścia godzin. Dobrze?

— Dobrze — odparła Margaret. — Lepiej niż dobrze.

— Potrzebujemy oświadczenia twojej matki. Margaret wyjęła złożoną kartkę z torebki.

— Mam. Napisałam za nią. Kelly puściła wózek i przeczytała.

— Doskonale, Margaret! „Cierpię niewysłowienie”. Jak kwestia z filmu! Boże, nie cierpię pisać oświadczeń, to chodzenie po grząskim gruncie. Może powinnaś wziąć pod uwagę karierę w PR, masz wrodzony talent. — Wsunęła palce w miszkę żelków, pogrzebała w nich i wybrała kilka podobnych do poczwarek. — Lubisz bananowe?

Margaret stwierdziła, że podziwia skupienie i sprawność Kelly, która szybko skompletowała dokumenty prawne, jakicli miały wymagać gazety, błyskawicznie ułożyła notkę prasową i poleciła dwóm asystentom z centralnego biura zebrać użyteczne wycinki prasowe. Pomyślała, że gdyby zatrudniła ją jako dyrektora, może „Snatch” nie stałby się finansową katastrofą, i poczuła sympatię do tej kobiety, chociaż Kelly, małomiasteczkowa i zadowolona z życia w cieniu sławy innych ludzi, była antytezą wszystkiego, co sama chciała reprezentować.

— Dzięki — powiedziała, myśląc, jak lekceważąco potraktowała ją w kinie. — Nie musiałaś być dla mnie miła.

Kelly zatrzepotała ręką, jakby odpędzała muchę.

— W ogólniaku zawsze cię podziwiałam. Nie mogę powie dzieć, że służenie ci pomocą nie powiększa mojej wiary we własne siły.

Dziecko zbudziło się i zaczęło płakać. Kelly wzięła je na rękę, spokojnie rozpięła pomarszczoną bluzkę i przysunęła je

do piersi. Dziecko przyssało się łapczywie. Margaret odwróciła oczy.

— Powinam ją przewinąć i zacząć dzwonić — oznajmiła Kelly.

Margaret wstała szybko i ruszyła do drzwi. Kelly wyprzedziła ją i otworzyła drzwi biodrem. Gdy Margaret się przeciskała, ścisnęła jej łokieć wolną ręką.

— Wiesz, wciąż natykam się na mendi, które rzucają żony dla nowych przyjaciółek po zrobieniu wielkiego interesu — powiedziała, patrząc na rozanielone dziecko. — Włóczą się po wszystkich konferencjach z chudymi ślicznymi asystentkami, które noszą za nimi aktówki, podają im kawę, traktują jak bogów. A oni odnoszą się do nas, swoich agentów prasowych, jak do pokojówek, których jedynym celem jest tuszowanie ich błędów. — Urwała i popatrzyła na Margaret. — Wiem, że nie powinnam tego mówić, ponieważ on nadal jest twoim ojcem, ale zawsze uważałam go za egoistycznego oportunistę. Masz jaja, jestem pełna podziwu. — I wypchnęła ją za drzwi.

Słowa Kelly unosiły Margaret na chmurze poczucia słuszności — postępowała właściwie — do wczorajszego ranka, kiedy zbudziła się spanikowana, myśląc, że popełniła straszny błąd. Jak mogła w taki nieodwracalny sposób zdradzić? Jeśli wcześniej ją lekceważył, mogła tylko sobie wyobrażać, co poczuje teraz. Nie przejmuj się, powtarzała sobie, ale dwadzieścia osiem lat przyzwyczajenia mówiło co innego. Teraz, gdy patrzy na słowa w „New York Timesie”, wie, że nic nie ma znaczenia, bo jest już za późno, żeby zatrzymać toczący się głąz.

Artykuł składa się z siedmiu krótkich akapitów na dole slrony — w zasadzie trudno je uznać za artykuł — po przekątnej od notowań NASDAQ, gdzie cena akcji APPI wynosi sto trzydzieści cztery i pół dolara. Margaret miała nadzieję na pierwszą stronę, a przynajmniej na zdjęcie. Przykro patrzeć, że to, co dla niej jest epopeją — sześciogodzinną operą burzy i naporu — nie zasłużyło nawet na notkę reklamową na okładce.

Art Miller, dyrektor generalny Applied Pharmaceuticals, firmy o fenomenalnych notowaniach giełdowych, w piątek uda się do sądu na pierwsze przesłuchanie w sprawie rozwodowej z żoną, z którą żyje w separacji, Janice Miller. Z dokumentów sądowych wynika, że Miller odmawia osobie, z którą przeżył 28 lat, prawa do podziału akcji Applied Pharmaceuticals wartych, według dzisiejszych cen, 510,2 miliona dolarów.

Kluczowy dla procesu jest dokument „poślubny” — podpisany w czasie objęcia stanowiska dyrektora firmy przez Millera — w którym pani Miller zrzeka się wszelkich praw do majątku powiązanego z Applied Pharmaceuticals, obejmującego akcje i opcje na ich zakup. Pani Miller utrzymuje, że nie była świadoma treści krótkiej klauzuli zamieszczonej w liczącym 410 stron dokumencie, w przeciwnym wypadku wystąpiłaby o pakiet wynagrodzenia od Applied Pharmaceuticals. Obecnie występuje o połowę wszystkich udziałów, powołując się na kalifornijskie prawo rozwodowe.

„Moja klientka została zmuszona do podpisania dokumentów, które przedstawiono jej jako standardową dokumentację Applied Pharmaceuticals, i ufając mężowi, nie zatrudniła doradcy, który mógłby zauważyć to niekorzystne dla niej sformułowanie — powiedział prawnik pani Miller, Lewis Grosser. — Kto na świecie odpisałby się od takich pieniędzy, gdyby nie został oszukany? Co ważniejsze, jakim trzeba być mężem, żeby zrobić to żonie?”

Janice Miller przekazała pisemne oświadczenia za pośrednictwem prawnika. „Cierpię niewysłowienie z powodu rozpadu rodziny, ale nie tracę wiary, że kalifornijski system prawny okaże się uczciwy i sprawiedliwy”.

Margaret jeszcze raz czyta tę linijkę, teraz nienawidząc teatralnego zwrotu „cierpię niewysłowienie” — nigdy nie

umieściłaby takiego banału na łamach „Snatcha”, dlaczego więc uznała, że jest dobry dla „New York Timesa”? Nie przypomina tego, co powiedziała matka, choć podpisała się pod tymi słowami. Czyta dalej:

Według nowych dokumentów rozwodowych, które uzyskał „New York Times”, pan Miller zamierza zaproponować żonie alimenty w wysokości 96 000 dolarów rocznie plus tysiąc miesięcznie na dziecko. Millerowie mają dwie córki: Margaret, 28, i Elizabeth, 14. Obecne dochód Arta Millera, ujęte w aktach S-1, wynosi 589 000 dolarów rocznie, z dodatkowym 3,8 miliona udziałów w Applied Pharmaceuticals. Produkt firmy, coifex, długo oczekiwany lek regenerujący włosy, przeszedł testy kliniczne, które wykazały bezprecedensową skuteczność 96 procent, i ma pojawić się na półkach aptek jesienią. Z powodu opóźnienia akcje Applied Pharmaceuticals (APPI) spadły ze 142 — tyle wynosiły kilka tygodni po IPO 28 czerwca — do obecnych 134,5.

Art Miller odmawia komentarzy. Linda Lockly, rzecznik Applied Pharmaceuticals, powiedziała: „Nie dyskutujemy o sprawach osobistych naszego personelu”.

I na tym koniec. To wydaje się takie błahe — tylko słowa na papierze, który przed końcem dnia posłuży do wyłożenia klatek dla ptaków i jako rozpałka do grilla. Pewnie nic z tego nie wyjdzie. A jednak patrząc na ten artykuł, wspomina żar spełnienia, jak wtedy, gdy z drukarni przychodził nowy numer „Snatcha” i po raz pierwszy trzymała egzemplarze, przenosiła paczki z palety i ustawiała w wieże na podłodze pokoju. Były to jej słowa, zmaterializowane, gotowe do podboju świata. Myśli, że powinna otworzyć butelkę szampana, i chciałaby, żeby ktoś — matka, Lizzie, James, ktokolwiek — był z nią

tutaj, by świętować. Ale Lizzie jest na górze, w łóżku, James dawno wyjechał do Meksyku, a Janice, jak podejrzewa, nie miałyby ochoty wznosić toastu za, jak to ujęła, „publiczne pranie rodzinnych brudów”.

Margaret zamyka gazetę i zostawia ją na ladzie w kuchni. Bierze miskę płatków zbożowych i szklanekę soku pomarańczowego, znosi na tacy do sypialni Lizzie. Siostra, oparta o górę poduszek, ogląda telenowe. Pięć dni po poronieniu już nie musi leżeć w łóżku, ale rozkoszuje się rolą inwalidki i nikt jej nie przeszkadza. Kiedy Margaret wchodzi do pokoju, pojękuje cicho.

— Uhhhhh. Żołądek mnie zabije. — Łypie na tacę ze śniadaniem.
— Jest bekon?

— Mama jeszcze nie wstała — mówi Margaret, stawiając tacę na jej nogach. — A ja nie smażę.

Lizzie podnosi do ust łyżkę rozmoczonych płatków i sior-bie powoli.

— Wydrukowali?

— Artykuł? — pyta Margaret. — Tak.

— Dobry?

— Nie jestem pewna, czy dobry to właściwe słowo. Ale chyba tak.
Nie jestem pewna.

— Tata się wścieknie?

— Może. Nie odbieraj telefonu. Przynieść ci coś jeszcze?

— Może coś do czytania?

— Jasne. Może coś Joan Didion? Czytałaś ją? Lizzie się waha.

— Myślałam o czymś bardziej... Może nowy „US Weekly”?
Margaret myśli o literaturze pięknej, której Lizzie nigdy nie

przeczyta, o wielkich filozofach, nad którymi nigdy się nie zastanowi, o wszystkich feministycznych myślicielach, których nazwisk nigdy nie zapamięta. Myśli o komórkach mózgu siostry, gasnących jedna po drugiej niczym owady w pułapce, gdy będzie marnować życie na przejmowanie się życiem miłosnym

gwiazd i dumanie nad sekretami osobistych trenerów hollywoodzkich. Uśmiecha się do niej.

— Co tylko sobie życzysz, mała.

Lizzie uśmiecha się, aż robią się dołeczki, i Margaret przez chwilę rozkoszuje się jej niewinną radością.

— Dzięki — mówi Lizzie. — Obiecuję, że następna będzie książka.

Margaret schodzi do kuchni, gdzie matka w stroju do joggingu pije kawę. Wciąż jest blada i chuda, ale ciemne półksiężycy pod oczami zaczynają znikać i znów wygląda krzepko, jak wilk morski, który po długim pobycie na lądzie wraca na morze. Stoi przy ladzie kuchennej i czyta wezwania do sądu, na wpół zasłaniając twarz ręką, jakby broniła się przed słowami na kartkach.

— Dam ci pieniądze — proponuje, gdy Margaret podchodzi do niej. Słowa padają z jej ust z zaskakującą gwałtownością. — Nawet jeśli nie wygram procesu. Upłynnię parę aktywów.

Margaret patrzy na wezwania.

— Nieee — odmawia ostrożnie, smakując w ustach smak tego słowa. — Nie. Nie chcę, żebyś to robiła.

— To będzie pożyczka, Margaret. Oddasz.

— Dzięki, mamó — mówi, czując, jak krzepnie jej wola. — Ale zdecydowałam, że ogłoszę bankructwo. To nie będzie mocno bolało, naprawdę. Nie mam niczego, co będą mogli zabrać, może z wyjątkiem wozu, ale wątpię, żeby go chcieli.

Janice ściąga usta i Margaret pojmuję, że powiedziała coś nie tak.

— Wolisz ogłosić bankructwo, niż pozwolić, żeby matka... żebym ja ci pomogła? O to chodzi?

— Nie chodzi o ciebie. Ja tylko... chcę poczuć, że zaczynam od nowa, bez żadnych zobowiązań, nie windując się na niczyich plecach. Czy to ma sens? Jeśli wezmę twoje pieniądze, poczuję się jeszcze mniejsza niż w tej chwili, a nie tego mi trzeba. Mamó, dałaś mi życie, bardzo uprzywilejowane życie na

srebrnym talerzu i naprawdę to doceniam, ale nie musisz dawać mi nic więcej. To moja wina, nie twoja.

Janice kantem dłoni wygładza wezwania na granitowym blacie.

— Rozumiem, Margaret, rozumiem. Ale jestem twoją matką. Chcę, żebyś wzięła to pod rozwagę. Upadłość zniszczy twoją wiarygodność kredytową, trafisz na czarną listę. Nie wiem, jak kupisz dom!

— Naprawdę nie uważam, żeby w tej chwili to było moim największym zmartwieniem. — Margaret zbiera wezwania i chowa do kieszeni sukni. — Może zamieszkać w jaskini w Nepalu i zostanę mniszką buddyjską.

— Czasami po prostu cię nie rozumiem. Naprawdę. — Janice wzdycha.

Siedzą, pijąc kawę. Przed domem warczy betoniarka w drodze na niedaleką budowę.

— Nie powiesz nic o artykule? — pyta w końcu Margaret. Janice patrzy na gazetę leżącą przy łokciu, jakby dopiero teraz ją zauważyła.

— Wolę nie czytać — mówi. — Chcę wiedzieć tylko, kiedy będzie po wszystkim.

Dzwoni telefon.

*

Przed południem staje się jasne, że artykuł wywołał większy efekt, niż można było przypuszczać, widząc jego skromną objętość. Dzwonią z „San Francisco Chronicle”, potem z „Wall Street Journal”. CNET CNN. Janice nie odbiera telefonu, więc Margaret robi to za nią, kierując wszystkich do Kelly Maxfield, nie mówiąc nic z wyjątkiem „bez komentarza” (irytujące, ponieważ oczywiście ma komentarze, całe mnóstwo, i powstrzymywanie się od nich sprawia fizyczny ból). Przez okno kuchenne widzi matkę, która siedzi w ogrodzie, proste jak trzcina plecy są jedynym znakiem, że słucha, pilnie, każdego słowa, które mówi do słuchawki.

W chwili zamknięcia giełdy akcje Applied Pharmaceuticals spadły ze stu trzydziestu czterech i pół do stu dwudziestu ośmiu.

*

Nazajutrz rano historia trafia do lokalnych gazet. Na okładce działu biznesu „San Jose Mercury News” jest zdjęcie Arta — z dnia debiutu giełdowego Applied Pharmaceuticals — i znacznie bardziej satysfakcjonujący wysoki na dwa i pół centymetra napis: „Ulubieniec NASDAQ uwikłany w skandal rozwodowy”. „San Francisco Chronicle” nie publikuje zdjęcia, ale dodaje wykres spadającej wartości akcji Applied Pharmaceuticals, poszarpana linia kończy się strzałką złowieszczo wskazującą w dół.

O dziesiątej akcje warte są sto dziewiętnaście dolarów.

W kolejnych dniach, gdy dołącza Internet i wiadomości telewizyjne, Margaret z zaskoczeniem odkrywa, że życie jej ojca stało się przedmiotem narodowego zainteresowania. MSNBC cytuje anonimowego członka zarządu Applied Pharmaceuticals, który wyraził ubolewanie, że sprawy osobiste dyrektora generalnego „szargają dobre imię coifeksu”. CNN wzmiankuje o „zatrośkaniu inwestorów Applied Pharmaceuticals, że prasa wywlecze szczegóły wynagrodzenia kierownictwa i finansów firmy”. Tylko „Fox News” opowiada się stanowczo po stronie Arta Millera: jakiś spec opisuje Janice Miller jako „chciwą kurę domową, która w życiu nie zarobiła dolara i spodziewa się, że wszystko dostanie za darmo”. Jest wiele przypuszczeń, dlaczego coifex jeszcze nie trafił na półki: czy Federalny Urząd Żywności i Leków wycofuje zezwolenie? Czy firma ukrywała jakieś skutki uboczne? Margaret zastanawia się, czy te spekulacje nie są dziełem Kelly.

Tego popołudnia Applied Pharmaceuticals wydaje komunikat prasowy: „Coifex jesienią trafi do aptek, a wszelkie opóźnienia mają charakter ściśle proceduralny”. Plotkarskie strony inter-

netowe publikują informacje, że Art Miller wynajął znanego nowojorskiego agenta prasowego Davida Farikowa, specjalistę od katastrof PR. Sam Art powstrzymuje się od oświadczeń, zaprzeczeń, publicznych wybuchów wściekłości. Nie dzwoni. Akcje spadają: sto dwanaście, potem sto dziesięć przed zamknięciem giełdy.

Proces odbędzie się za trzy dni, w piątek o dziesiątej. Sekretarka jest pełna wiadomości od reporterów, prawników, sąsiadów, gospodarzy debat w programach informacyjnych; zadzwoniło nawet kilka nieznanym osobom (zawsze kobiet), by „zaoferować wsparcie”. Janice zastanawia się, czy wyrazić zgodę na wywiad z Larrym Kingiem, ale Kelly jest przeciwna.

— Staram się o doświadczenie do Oprah — mówi. — Zaczekajmy na nią. To znacznie lepsze.

— Oprah? — pyta Janice. — Och! Uwielbiam ją! — I Margaret zauważa nowy twardy błysk w oku matki, przygaszony odrobiną zawstydzenia, ale pełen zemsty i przekonania o własnej słuszności. Uświadamia sobie, że wbrew woli matka jest w stanie cieszyć się tą sytuacją.

Ona sama dzwoni tylko raz, do Los Angeles. Josephine odbiera komórkę z chrapliwym „halo?”. Sapie do słuchawki, wciągając wielkie hausty powietrza, gdy biegnie. Margaret słyszy szczekanie psów w tle, ciche żalosne zawodzenie wozu strażackiego.

— Co robisz? — pyta.

— Wędruję po Runyon Canyon. Gdzie jesteś? Gdzie byłaś? Jakbyś zapadła się pod ziemię.

— W domu rodziców. Teraz wędrujesz z komórką?

— Wiem, to straszne, ale spodziewam się telefonu od swojego agenta. — Josephine łapie oddech. — Dobra, zatrzymam się. Rano czytałam wiadomości, wiem, co się dzieje z twoją rodziną. O mój Boże. Z tobą wszystko w porządku? Nic dziwnego, że wyjechałaś.

— To nie był jedyny powód. „Snatch” poszedł na dno, Stuart Gelkind jednak go nie kupił.

Po chwili wahania Josphine mówi:

— Tak, domyśliłam się. W zeszłym tygodniu był obszerny artykuł o nim w „LA Timesie”, bez wzmianki o „Snatchu”, więc każdy dodał dwa do dwóch.

— Aha — mruczy Margaret, czując mdłości. — Kutas doprowadził mnie do bankructwa.

— Tak mi przykro, Margaret. „Snatch” był cudowny, a on jest głupi, skoro tego nie dostrzegł.

Margaret przez chwilę rozczuła się nad sobą. Przełyka ślinę.

— To było dość wredne lato, Josie.

— Skarbie! — Głos Josephine staje się gardłowy z emocji. — Może to sprawi, że poczujesz się lepiej. Ysabelle van Lumis rzuciła Barta. Najwyraźniej przez cały czas zdradzała go z Bobbym Masterstonem.

— Och — szepcze Margaret zaskoczona. Wsłuchuje się w swoje ciało — od czubków palców stóp, przez kark, po walący mięsień w klatce piersiowej — próbując wykryć jakiś szczątkowy gniew, jakiś ból, jakąś nadzieję. Cokolwiek. Ale nie ma nic, poza odrobiną — ale tylko odrobiną — smutku. Może kapka radości z cudzego nieszczęścia. Czy w ogóle kiedykolwiek go kochała? Teraz to naprawdę nie ma znaczenia. — Wciąż jestem mu winna dwanaście tysięcy. Nie mówiłam o tym? Kolejna sprawa, którą muszę załatwić.

— Niedługo wracasz, prawda? Wiem, że „Snatch” padł, ale mogłabyś skończyć kurs dla scenarzystów, założę się, że byłabyś wspaniała. Nie powinnaś przestawać pisać, to byłaby wielka strata. I możesz śmiało zamieszkać u mnie w domu dla gości. Nalegam. Miło będzie mieć cię w pobliżu.

— Dzięki, ale chyba zostanę tutaj jakiś czas, dopóki nie wykombinuję, co mam zrobić. To środowisko jest odrobinę mniej toksyczne, wiesz?

— Uważasz, że jesteśmy toksyczne? — W głosie Josephine słychać chłód.

— Nie to miałam na myśli. Ale czy naprawdę chcesz, żeby

w twoim domu mieszkał zielony z zazdrości potwór? Poza tym w tej chwili nie stać mnie nawet na powrót.

— Jeśli potrzebujesz pieniędzy, mogłabym cię zatrudnić do pomocy. Naprawdę potrzebuję asystentki. Robię następnego pilota i jestem kompletnie zawałona robotą.

Margaret śmieje się wbrew sobie.

— Josephine, naprawdę nie rozumiesz. Josephine wzdycha.

— Brakuje mi ciebie, wiesz?

— Mnie ciebie też — mówi Margaret. Patrzy na wypielegnowany ogród, myśląc o twardym, jasnym świetle Los Angeles, o dzikim wietrze Santa Ana gnącym palmy w głębokich pokłonach, o nocnych helikopterach krążących z reflektorami skierowanymi na bulwary. Przez chwilę myśli, że powinna wrócić, natychmiast, jak najszybciej, zanim zupełnie straci energię. A potem nalewa sobie szklanke lemoniady i idzie na górę, żeby obejrzeć z Lizzie jakiś film na DVD.

*

Sytuacja pogarsza się w środę, gdy Applied Pharmaceuticals oświadcza, że jest już znana data wypuszczenia coifeksu: lek trafi na rynek i będzie dostępny w ciągu dwóch tygodni. Oprali odrzuca propozycję przeprowadzenia wywiadu z Janice, a komentatorzy, rozproszeni nowym oświadczeniem Apple, zaczynają odchodzić od tematu. Szcątkowe zainteresowanie mediów ma charakter odwetowy. „Medialna wrzawa wokół Arta Millera jest bezcelowa — mówi spec w programie *Crossfur* (jest w średnim wieku i łysieje, zauważa Margaret), jego sine jak wątroba usta warczą na skwaszoną młodą blondynkę, która słabo broniła Janice za pomocą arsenału feministycznych frazesów. — Życie osobiste kierownictwa nie ma wpływu na ich zdolności zarządzania firmą. Jeśli już, bezwzględność finansowa Arta Millera dowodzi, że ma on cechy wielkiego dyrektora generalnego”.

Pod koniec dnia akcje cofeksu rosną do stu dwudziestu pięciu i Janice chodzi po domu z ustami zaciśniętymi w ponurą linię. Poczucie klęski w powietrzu jest wręcz namacalne, gęste jak grochówka. Telefon przestał dzwonić. Gdy Lizzie, Margaret i Janice razem siedzą w jednym pokoju, głównie milczą. O zmierzchu ulicą powoli przechodzą Grouperowie odbywający wieczorną przechadzkę z psem. Margaret patrzy na nich przez okno kuchenne, gdy gapią się bezczelnie na dom. Parę minut później zjawiają się Bellstromowie. Nikt nie skręca na podjazd, by zadzwonić i zaoferować słowa otuchy. Margaret zastanawia się, czy się boją, że klęska jest zaraźliwa; wyczuwa, że sąsiedzi wycofują się z obawy przed infekcją. Widzi, że niechcący podniosła stawkę. Jeśli nie wygrają procesu, skutki uboczne będą straszne dla matki — nie tylko finansowo. Wyobraża ją sobie w supermarkecie, ludzi szepczących za jej plecami, choć uśmiechają się twarzą w twarz; oferujących współczucie, a jednak w głębi duszy zastanawiających się, czy Janice nie zasłużyła na to, co ją spotkało. Nieuchronnie zostanie wykluczona z towarzystwa, i to będzie wina Margaret.

*

Ostateczny cios pada w czwartek, dzień przed rozpoczęciem procesu, kiedy do Internetu trafia anonimowy e-mail z linkiem do strony, która podaje, że ma „tajne seksualne taśmy Arta Millera”. Kelly, która obejrzała je jako jedna z pierwszych, dzwoni wczesnym rankiem z ostrzeżeniem.

— Robi się paskudnie — mówi do Margaret. — Przeglądam to. Tymczasem nie odbieraj telefonów. Są jak rekiny, które wyczuły krew. Dziennikarze żyją takimi chwilami.

Margaret kończy rozmowę i patrzy na Janice, która stoi przy wyspie w kuchni z czasopismem w rękę i udaje, że nie słucha. Ma wrażenie, że sama poprosiła o walnięcie matki kijem baseballowym.

— Mamo — zaczyna powoli. — Jest taśma z seksem.

— Co? — Janice mruga szybko.

— Taśma z seksem. Taty. I Beverly.

— O Boże. — Janice przyciska ręce do granitowego blatu, napina ramiona. — Na coś takiego się nie pisałam. — Podnosi paznokciem niewidzialny okruszek.

— Obejrzę wideo i powiem ci wszystko, co musisz wiedzieć — mówi Margaret, wiedząc, że to nieprzyjemne zadanie jest niewielką karą za poniżenie, na jakie nieumyślnie naraziła matkę.

— Myślisz, że jest za wcześnie na drinka? — pyta Janice. Opada na krzesło i siedzi, patrząc bez entuzjazmu na okładkę „Bon Appetit”.

Margaret korzysta z komputera w gabinecie. Nalewa sobie szkockiej z zaniedbanego barku ojca (decyduje, że dziesiąta nie jest zbyt wczesną godziną na drinka) i zaciąga rolety. Komputer pojękuje, kurz na ekranie syczy, gdy monitor się rozgrzewa. Przed włączeniem pliku wideo wspomina pewną noc, gdy była w pierwszej klasie. Wstała w środku nocy po szklankę wody i mijając uchylone drzwi sypialni rodziców, zobaczyła matkę i ojca w trakcie stosunku. Patrzyła w milczeniu przez minutę, przerażona, gdyż to, co widziała, wyglądało na gwałtowne zapasy na łóżku, a potem, choć zrozumiała, co się dzieje, opadła ją ciekawość, kto wygra. Nie mogła zdecydować, czyje zwycięstwo woli. Wreszcie strach przed przyłapaniem przepędził ją od drzwi i wróciła do łóżka, gdzie nie spała przez całą noc, z narastającą grozą odtwarzając tę scenę w głowie.

Będzie musiała się wykapać, gdy z tym skończy, myśli z ręką zawieszoną niechętnie nad myszką.

Ziarniste nagranie jest wielkości odciska kciuka i równie obciążające. Niewyraźna biała plama podskakuje, a potem się wyostrza. To nagi tyłek, pojawiający się i znikający z kadru. Obraz się rozmazuje, gdy kamera zmienia położenie. Nowy kąt

jest dziwny i przez parę sekund Margaret nie może rozpoznać części ciała, jaką ma przed oczami, aż w końcu uświadamia sobie, że Art podniósł kamerę i wycelował ją w dół tułowia, żeby zarejestrować dla potomnych swoją erekcję. I Margaret odwraca wzrok, pełna obrzydzenia, a gdy znów patrzy, kamera leży, pewnie na szafce nocnej. Teraz widać wyraźnie dwa ciała, Art i Beverly leżą na wielkim łóżku, i zwrócenii głowami w stronę kamery. Margaret może praktycznie policzyć włosy na łysiejącej głowie ojca. Nie jest to przyjemny widok.

Uprawiają seks w pozycji misjonarskiej, żadnych perwersji, żadnych dziwactw, Art na górze, Beverly na dole. Ich ciała, rozplaszczone przez siłę ciężkości, mają typową dla wieku średniego konsystencję starego sosu. Wygląda na to, że Beverly ma implanty, bo jej piersi są jedyną częścią ciała, która się nie rozlewa. Przez chwilę Margaret myśli, że wideo jest nieme, a potem słyszy ciche dyszenie. Ich seks jest mało podniecający. Jedyne głośniejszy dźwięk rozlega się pod koniec — po raczej nudnych czterech minutach, gdy Beverly popiskuje parę razy. Art wysapuje słowo, które brzmi jak „Urg!”, a potem pada. I to wszystko.

Margaret chłodno ogląda wideo, próbując myśleć, że osoba na ekranie nie jest jej ojcem, tylko antropologiczną figurą do zanalizowania, lecz okazuje się to niełatwe. Czuje odrazę, a co więcej, nieopisany smutek. Zawsze wyobrażała sobie, że Art zostawił matkę dla czegoś bardziej ekscytującego, czegoś dzikiego i wyuzdanego, co mogłaby zrozumieć. Prawda wygląda bardziej prozaicznie i tym samym jest mniej zrozumiała. Rzucił nas dla tego?

A jednak w tym samym czasie niespodziewanie współczuje ojcu z tym jego nudnym filmikiem. Jeśli nie pociągnęło go podniecenie, to w takim razie co? Miłość? To być może pewnego dnia mogłaby mu wybaczyć.

Gdy Margaret siedzi, sącząc szkocką w blasku ekranu kom-

putera, Lizzie wchodzi do gabinetu. Ubrana w dres, ostrożnie siada w fotelu, jakby sadowiła się na delikatnych jawkach. Margaret wyłącza komputer, ale Lizzie ma dziwną minę.

— To wideo? — pyta.

— Jakie wideo? Lizzie przewraca oczami.

— Proooszę. Nie jestem głupia, Margaret.

— Poważnie. Skąd o nim wiesz? Mama ci powiedziała?

I dopiero teraz, widząc minę siostry, Margaret przestaje się zastanawiać, skąd pochodzi nagranie. Kąciki jej ust drżą leciutko, jakby nie wiedziała, czy się uśmiechnąć, czy zrobić grymas. Oczy ma duże, jakby wypychało je wewnętrzne ciśnienie. Margaret domyśla się, że jej siostra wie coś, czego nie wie ona.

— Masz z tym coś wspólnego? — pyta.

— Nie! — Lizzie podciąga nogi pod siebie. — No może trochę.

— Co to znaczy?

I Lizzie wszystko wyjaśnia. Jak Mark wiele tygodni temu znalazł taśmę w pudełku po butach w głębi szafy mamy i powiedział o tym Lizzie. (Margaret zastanawia się, co Mark robił z butami matki, ale uznaje, że sprawa jest zbyt przygnębiająca, żeby w nią wnikać). Jak trzymał kasetę wideo pod swoim łóżkiem, niezupełnie pewien, co z nią zrobić, aż w końcu jej pokazał. (Margaret pamięta jak przez mgłę Marka w pokoju z jej siostrą i szybko wyłączony telewizor). Gdy w tym tygodniu do domu Weatherlove'ów zadzwonił ktoś z „Internetowej organizacji informacyjnej”, Mark odebrał i przez dwie godziny rozmawiał z miłą kobietą o swojej mamie. Lizzie niejasno wspomina o powodach, z jakich Mark przesłał kasetę tej kobiecie, i nie rozwodzi się nad swoją rolą poza wyznaniem, że była z Markiem na poczcie. Mówi tylko:

— Przypuszczam, że Mark jest porządnie wkurzony na mamę.

Margaret nie jest pewna, czy siostra pomogła opracować ten

obłądny, strategiczny spisek, który przewyższył jej własne machinacje, czy może razem z Markiem po prostu zrobili coś niesłychanie głupiego. Przypomina sobie historie o dzieciakach, które, poddane praniu mózgu przez antynarkotykowe kampanie reklamowe, zgłaszały policji domowe uprawy maryški w piwnicy i trafiały do rodzin zastępczych, a ich rodzice za kratki. Pewnego dnia, gdy Mark i Lizzie zbliżą się do wieku średniego, myśli, wydadzą fortunę na terapię, próbując zrozumieć swój postęp.

— Co o tym myślisz? — pyta Margaret.

Lizzie podnosi rękę i przygląda się spękanemu różowemu lakierowi na kciuku.

— Nie wiem. To dziwaczne. Przypuszczam, że miałam mnóstwo innych zmartwień. — Osuwa się w fotelu niemal do pozycji leżącej. — Myślisz, że gazety napiszą, co się stało w zeszłym tygodniu? To znaczy... o tym, co się stało... w szpitalu?

Margaret kręci głową.

— Nie mogą wiedzieć.

Lizzie odrywa łuskę lakieru z małego palca i rzuca ją na podłogę.

— Poproszę mamę, żeby przeniosła mnie do świętej Gertrudy — oznajmia. — Powiedziała, że jak naprawdę chcę, to mogę.

— Do szkoły katolickiej? Z zakonnicami? I lekcjami katechizmu?

— Mają naprawdę dobrą drużynę pływacką. — Lizzie siada prosto.

— Myślisz, że się przejmują, gdy ktoś nie jest katolikiem? Wystarczy, że wierzy się w Boga, prawda? Myślisz, że dla Boga to różnica?

— Jesteś dziwna.

— Może namówię Marka, żeby też się przeniósł. Nienawidzi Fillmore High.

— Chodzisz z nim?

Lizzie wzrusza ramionami, ale zaraz potem naciąga skraj bluzy na usta, żeby ukryć uśmiezek. Jest coś kazirodczego w tym związku, myśli Margaret. Widząc uśmiech siostry, powstrzymuje się od komentarza.

Lizzie opuszcza bluzę.

— W każdym razie nie mogę wrócić do Fillmore. Będę totalnym wyrzutkiem. Już jestem.

Margaret odsuwa szkocką.

— Wiem, że to żadna pociecha, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że mnóstwo lubianych dzieciaków w twojej klasie właśnie teraz osiąga swój poziom szczytowy. Za dziesięć lat pójdziesz na zjazd absolwentów i zobaczysz, że mają po troje zasmarkanych bachorów i mieszkają w przyczepach. A kiedy pójdziesz na studia, stwierdzisz, że to odmieńcy i nudziarze naprawdę rządzą światem.

— A co się stało z tobą? Rządzisz światem?

— Niezupełnie — mówi Margaret, żałując teraz, że cokolwiek powiedziała. — Ale ja jestem wyjątkiem od reguły.

Lizzie przewraca oczami i wychodzi. Margaret patrzy za nią i myśli, że kiedy jej siostra będzie nieco starsza, stanie się godnym przeciwnikiem. Może już jest.

*

Na przekór ostrzeżeniom Kelly nikt nie dzwoni i czwartkowy poranek upływa powoli, w tempie spływającego lodowca. W gazetach nie ma słowa o nagraniu, a jedyna wzmianka o Arcie została zamieszczona na ostatniej stronie działu biznesu w „New York Timesie” i dotyczy zbliżającej się kampanii reklamowej coifeksu, z krótkim napomknieniem o procesie. Margaret ogląda poranne wiadomości, ale dopiero na CNBCM trafia na rozmowę o coifeksie, i to dotyczącą akcji Applied Pharmaceuticals, które ustabilizowały się z powrotem na poziomie stu trzydziestu czterech.

Niepodobna skupić się na niczym. Z każdą mijającą minutą

rośnie prawdopodobieństwo, że gra się nie opłaci: media straciły zainteresowanie procesem, nikt nie zwróci uwagi na nagranie z seksem, a ojciec nie zmieni stanowiska. Jutro pojedą do sądu i przegrają. Margaret wychodzi nad basen i patrzy na swoje odbicie. Woda jest spokojna — nikt nie zbliżył się do basenu od czasu poronienia Lizzie — i cienka warstwa brązowego osadu zalega na dnie w głębokiej części. Margaret myśli o Jamesie, gdzieś na plaży w Meksyku, i żałuje, że nie pomyślała, żeby wziąć od niego skręta przed wyjazdem.

Opada na trawnik i gapi się tępo na błękitne niebo, gdzie żar południowego słońca wypala resztki porannych chmur. Świeżo skoszona trawa łaskocze ją w plecy. Myśli, że czuje lekką krzywiznę ziemi pod kręgosłupem. Leci samolot. Patrzy na wlokący się za nim widmowy szlak pary, dopóki nie znika. Niebo znowu jest puste i czyste. W domu dzwoni telefon. Włącza się sekretarka, ale przy basenie nie słyhać wiadomości. Parę minut później znów dzwoni. Margaret leży bez ruchu, jakby nagły ruch mógł sprawić, że czar pryśnie. Wreszcie zasypia.

Wczesnym popołudniem Janice wychodzi z domu i staje nad nią, zasłaniając słońce.

— Gramy z twoją siostrą w monopol. Chcesz do nas dołączyć?

— Jasne — mówi Margaret i wstaje. Z tyłu nóg ma odcisnięte żdźbła trawy.

— Urocze nagranie twojego ojca jest we wszystkich wiadomościach — dodaje Janice. Pociera brew dłonią i zamyka oczy przed słońcem. — Telefon się urywa. Wszyscy chcą wiedzieć, co czuję. A jak myślą, niby co czuję?

— Przykro mi, mamó. — Margaret impulsywnie pociera ramię matki przez cienką popelinę koszuli. Mięśnie są mocno napięte. — Naprawdę.

Janice kręci głową.

— To nie twoja wina. Zrobię trochę mrożonej herbaty.

Margaret idzie za nią do kuchni, gdzie na stole leży odkurzona gra Monopol. Nie grały razem od lat, ale biorą swoje dawne pionki (Lizzie: terier szkocki, Margaret: but, Janice: naparstek). Miejsce na lewo od Margaret zije pustką, gdzie zwykle siedział Art (cylinder). Wygrałby, gdyby tu był. Zwykle wygrywał, bezceremonialnie i bez radosnych przechwałek, jakich nie szczędzili pozostali członkowie rodziny, gdy szczęśliwym trafem udało im się odebrać mu palmę zwycięstwa. Uznawał swoje wygrane za rzecz oczywistą, z uśmiechem chowając stosy pomiętych papierowych pieniędzy pod swój skraj planszy. „Uważaj to za życiową lekcję — powiedział kiedyś, gdy doprowadził Margaret do bankructwa blokadą hotelu. — To świat w miniaturze”.

Rzucają kostką i przsuwają pionki po planszy, ale trudno im się skupić, gdyż telefon dzwoni bez przerwy.

— Powinnam go odłączyć — mówi Janice, lecz tego nie robi. Słuchają półuchem, jak osoba weryfikująca informacje z serwisu Page Six nagrywa wiadomość, Matt Drudge prosi o komentarz, a agent jakiegoś talk-show sugeruje, żeby Janice wystąpiła w programie z Artem i Beverly, żeby „omówić sprawę na antenie”.

Lizzie łąduje w więzieniu, traci trzy kolejki.

— Ta gra jest do kitu — jęczy. — Może zagramy w uno? Jestem w tym dobra.

— Przyzwyczajaj się do uczucia, jakie towarzyszy utracie pieniędzy — mówi Janice, zezując na kurczący się stosik banknotów.

Margaret patrzy na matkę, próbując zadecydować, czy żartuje, czy wyraża prawdziwe rozgoryczenie. Janice podnosi głowę, spostrzega, że jest obserwowana, i uśmiecha się blado.

— To tylko żart, Margaret. Staram się. Naprawdę się staram.

— To poważna sprawa — mówi Lizzie. — Nie do śmiechu, mamo. — Ale nie jest jasne, o co jej chodzi. Po kolejnym rzucie przesuwa pieska w kierunku Park Place, gdzie Margaret

zbudowała barykadę zielonych domków, gdy znów dzwoni telefon. Margaret prawie nie zwraca na to uwagi. Dopiero po chwili orientuje się, że głos płynący z głośnika należy do jej ojca.

Wszystkie zamierają. Margaret patrzy na Janice, która z różowymi plamami na policzkach wbija oczy w sekretarkę. Lizzie chowa twarz za garścią pieniędzy, które miała podać Margaret. Szum zakłóceń na linii nie może zamaskować napięcia w głosie Arta.

— Janice, tu Art. Musimy porozmawiać. Musiałem kupić nową komórkę. Dzwon pod sześćset pięćdziesiąt pięćset pięćdziesiąt pięć siedemdziesiąt cztery dwanaście.

Rozłącza się, zanim Janice ma szansę podnieść słuchawkę. Przez minutę nikt się nie rusza. Lizzie patrzy na pieniądze, otwiera rękę i wypuszcza papierki na stół. Janice odsuwa krzesło, sięga do telefonu i ściska tytanową słuchawkę tak mocno, że słycać pisk.

— Skończymy kiedy indziej — mówi. Potem znika w gabinecie.

Lizzie i Margaret w milczeniu składają grę. Zbierają pieniądze, przepasują je gumką, chowają do woreczków plastikowe hotele, wyęzając słuch w próbie ułowienia rozmowy za drzwiami gabinetu. Margaret próbuje odgadnąć jej charakter — ustępstwo? Wojna? Czuje się dziwnie wyłączona; irracjonalnie wyobrażała sobie, że to ona będzie rozmawiać przez telefon z ojcem. Myśli o czeku, który dla niej wypisał, siedząc na biurku, i zastanawia się, czy jest świadom, że to ona zaaranżowała całe to szaleństwo w mediach. Zastanawia się, czy jej nienawidzi.

Pakują planszę do pudełka i Margaret niesie je do pokoju. Kiedy otwiera drzwiczki szafki, widzi ułożone w schludnym stosie czternaście numerów „Snatcha”: wszystkie, które wydała, w porządku chronologicznym, z lekko pomarszczonymi grzbietami. Stoi i patrzy, i musi zdusić płacz. Matka je mimo wszystko

zachowała, może nawet czytała. Podnosi numer o sławach sprzed dwóch lat i otwiera na przypadkowej stronie, ale stwierdza, że nie może przeczytać ani słowa. Czy teksty były dobre? Nie chce wiedzieć, nie teraz. Może z czasem nabierze dystansu, żeby to ocenić.

Lizzie staje za nią i patrzy na magazyn, a potem na stos na półce.

— Ha — mruczy — zastanawiałam się, gdzie się podziały. Margaret obejmuje i całuje impulsywnie siostrę w pulchne policzki.

— Chcesz pooglądać telewizję? — pyta. — Pozwolę ci wybrać program.

Lizzie włącza Nickelodeon i oglądają *Kocham Lucy* ze ściszym dźwiękiem, czekając, aż matka skończy. Zza drzwi gabinetu płynie stłumiony głos, wznoszący się i opadający, niezrozumiały. Na ekranie telewizora Lucy przebrana za chórzystkę szpieguje tancerkę, która, jak myśli, ma romans z Rickym. Wszystko wydaje się takie naiwne. Dziś Lucy wynajęłaby prywatnego detektywa z satelitarnym urządzeniem śledzącym i kamerą szpiegowską, żeby przyłapać Ricky'ego *in flagranti delicto*, dałaby draniowi popalić na sprawie rozwodowej, a potem uciekła, żeby mieć lesbijski romans z tancerką.

Wreszcie matka wychodzi z gabinetu. Ma zaróżowione powieki i smugi tuszu do rzęs na policzkach. Idzie powoli, jak na środkach uspokajających, w kierunku kanapy, siada pomiędzy córkami.

Lizzie i Margaret przestają oglądać telewizję i patrzą na matkę. Janice w milczeniu wbija oczy w ekran, gdy Lucy poddaje się logice. „Och, Ricky, przepraszam, że myślałam, co myślałam!” — piszczy. Ricky i Lucy padają sobie w objęcia, a na widowni w studiu wybucha dziki aplauz. Lizzie podnosi pilota i wciska klawisz wyłączenia dźwięku.

Lizzie i Margaret czekają cierpliwie, aż matka przemówi.

— Chyba powinnyśmy to uczcić — mówi Janice po minucie,

prosto do telewizora. — Chociaż nie mam pewności, czy koniec małżeństwa jest odpowiednią okazją. Co ludzie robią? Palą zdjęcia ślubne? Kupują jacht?

— Może zjemy lody? — proponuje Lizzie.

— Co się stało? — pyta Margaret.

— Ugoda — wyjaśnia Janice. — Dostaję połowę, wszystkiego.

— Och! — Margaret nie jest pewna, jak powinna zareagować. Jej radość wydaje się jakoś nieestosowna, zwłaszcza w świetle ponurej rezygnacji matki. — Tak po prostu? To było takie łatwe?

— To wcale nie było łatwe — zaprzecza matka niskim, zmęczonym głosem.

Margaret milczy skruszona.

— Mimo to gratuluję — odzywa się w końcu. — Co powiedział?

Janice uśmiecha się tylko ustami, nie odrywając oczu od telewizora, gdzie przewija się czołówka *Pana Eda*.

— Rozumiem, że zarząd przekonał go, że dalsze trzymanie się planu byłoby szkodliwe dla wizerunku firmy i tym samym dla jego stanowiska w Applied Pharmaceuticals.

— Co zrobisz?

— Sprzedam akcje, zanim cena spadnie. Ani przez sekundę nie wierzyłam, że coifex naprawdę czyni cuda. Widziałaś, w jakim stanie jest głowa ojca.

— Może wreszcie kupimy Margaret nową suknię, skoro nie musimy się martwić o pieniądze — sugeruje Lizzie. — Jej włosy też proszą się o podcięcie.

Margaret daje jej prztyczka w kolano.

— Bardzo zabawne. I to mówi dziewczyna, która używa fioletowych cieni do powiek z brokatem. — Ale patrzy na frotową suknię, niemal gładką od ciągłego noszenia, i po raz pierwszy od wielu tygodni ma ochotę ubrać się w coś nowego.

Wziąć prysznic, zrobić makijaż i przygotować się na atak zewnętrznego świata. Nadchodzi jesień i w gasnącym tchnieniu lata czuje rzeński prąd nadchodzących zmian.

Janice kładzie rękę na jej udzie i patrzy na nią w skupieniu.

— Wiesz, byłabyś bardzo dobra w PR, gdybyś chciała spróbować. Założę się, że Kelly dałaby ci pracę.

Margaret wyobraża sobie siebie w garsonce od Ann Taylor, biegnącą truchtem po ośrodkach konferencyjnych z naręczem komunikatów prasowych i plastikowym uśmiechem na twarzy. Wzdryga się.

— Nie przychodzi mi na myśl nic, co mogłoby sprawić mi mniejszą przyjemność.

— Myślałam — zaczyna Janice i milknie. Jej ręka podskakuje na nodze Margaret. — Myślałam, że może spotkasz się z doradcą zawodowym.

— Mamo, nie. Proszę.

— Powinnaś iść do wróżki — podsuwa Lizzie. Podwija nogi pod siebie, eksponując brudne palce stóp. — Becky kiedyś była i usłyszała, że gdy dorośnie, zostanie słynną lekarką. I wyjdzie za faceta o brązowych włosach.

— Przestańcie, obie. Nie potrzebuję doradców ani wróżek -burczy Margaret. — Niech nikt się nie wtrąca, proszę.

Janice odwraca się w stronę telewizora.

— Ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa — mówi cicho. Myślę, że mogłabyś robić tak wiele rzeczy.

Margaret jest bliska litowania się nad sobą, nad tym, że za pięć tygodni skończy dwadzieścia dziewięć lat, a potem już tylko krótki marsz do trzydziestki, i wciąż będzie sama, będzie nikim, i zacznie pracę od zera, poniżej zera, bo będzie musiała wygrzebać się z dołu bankructwa, zanim naprawdę zacznie budować na nowo. Czy jest dla niej za późno? Czy stoi na brzegu, patrząc, jak statek odpływa ze wszystkimi jej rówieśnikami na pokładzie, podczas gdy ona trzyma powiewający koniec mokrej wstążki jako nagrodę pocieszenia? Ale teraz

przynajmniej w tej chwili — kiedy siedzi w tej umocnionej twierdzy z siostrą i matką, chroniona przez ich nielogiczną wiarę, nie ma miejsca na strach. Coś wymyśli, na pewno. Musi.

Janice wstaje z kanapy i idzie do kuchni. Margaret słyszy, jak otwiera drzwi lodówki, włącza jakieś urządzenie. Po paru minutach wraca z tacą, na której stoją trzy miseczki lodów miętowych z czekoladą i domową bitą śmietaną, przybranych gałązką mięty z ogrodu. Stawia czarki przed córkami, siada na kanapie pomiędzy nimi i ze zdeterminowanym wyrazem twarzy wbija łyżeczkę w swoje lody.

— Przepyszne — oznajmia.

Pałaszują w milczeniu. Zapada wieczór, cienie pełzną po trawniku, światło w pokoju przygasa, gdy Janice, Lizzie i Margaret siedzą i patrzą niewidzącym wzrokiem w niemy telewizor. Lizzie nabiera czubatą łyżkę topiących się lodów i kropla spada na kanapę. Janice ściera ją brzegiem rękawa.

— Mamo, ile warte są akcje? — pyta Lizzie, grzbietem lepkiej ręki wycierając bitą śmietaną z podbródka.

Janice myśli.

— Więcej, niż będę w stanie wydać — mówi w końcu. W ogrodzie grzechoczą dęby, gdy wieczorny wiatr porusza

konarami. Suche liście sypią się do basenu. Margaret patrzy przez okno, jak liście tańczą na powierzchni wody, a potem powoli dryfują w kierunku odpływu. Zamyka oczy. Pozwala, by słodka czekolada rozpuszczała się na języku, i słucha dalekiej orkiestry kosiarek.